

Landau Irena

Siostry

Rozdział I

Maria wyszła z domu z dużą siatką na zakupy. Na szczęście targ był bardzo blisko. Lokatorzy, budzeni rano hałasami uważali, że o wiele za blisko. Maria także parę lat temu podpisywała jakieś protesty i apele do władz, żądając usunięcia niektórych wylewających się z placu straganów. Zwykle ktoś po pewnym czasie reagował, stragany znikwały i pojawiały się po drugiej stronie ulicy. Wtedy tamci lokatorzy zaczynali się denerwować i po kilku miesiącach, na czyjąś interwencję, stragany znikwały i pojawiały się znowu pod oknami Marii. Ten kontredans trwał przez pewien czas, w końcu lokatorzy zwiędli i przestali protestować, a że starzeli się razem z blokiem, zaczęli chwalić sobie bliskość targu. Dokładnie tak, jak Maria. Czy może Mi-riara, jak się dawniej nazywała.

Właściwie duża torba na zakupy w ogóle nie miała prawa istnieć. Lekarz już dawno zapowiedział, że cztery kilo to absolutny pułap i że Marii w ogóle nie wolno dźwigać. Dobrze sobie, a kto zrobi zakupy? Owszem, Szymon przywiózł kilka kilo kartofli, pytał, czy Maria chciałaby czegoś jeszcze, ale czy to z góry można wiedzieć? A człowiek chciałby, żeby jedno pasowało do drugiego, żeby ten uroczysty obiad był naprawdę smaczny. Nie co dzień wnuczka kończy trzynaście lat! Maria właściwie ma wyrzuty sumienia, zwykle wykręcała się od opieki nad dziewczynką, cały ciężar pilnowania dziecka gdy było niezdrowe, wzięła na siebie matka Asi, na wakacje też wyjeżdżała z Justynką tam-

7

ta babcia, a Maria była od święta. Szymek z żoną i córką przychodzili na obiady, Maria dawała wnuczce pieniądze i prezenty, ale starała się nie angażować, nie chciała uzależniać się od uczucia. Kiedy matka Asi zachwycała się dzieckiem, szalała przy każdej wysypce, nosiła ze sobą tony zdjęć, Marii żal jej było z całego serca. Nie, więcej nie da się ponieść żadnej miłości, można kochać, ale do pewnych granic. Odtąd - dotąd, a krok dalej, to już szaleństwo, obłąd i samobójstwo.

Oczywiście, nie miało to nic wspólnego z obiadem, który miał być jak najwspanialszy. Na straganach piętrzyły się warzywa, nie, marchewki Justynka nie lubi. Może kurczak? Maria właśnie przechodzi obok budki z drobiem, owszem, są kurczaki nawet ładne, a obok leżą różne podroby, skrzydełka, szyjki-

Skrzydełka, szyjki... zaraz... co to było, czemu nagle świat się zmienia, coś przesuwa się przed oczami...Szyjki...

.Suswoteałoią tLR' łsiq r iib?ivc; ysioifiMol uoiuwf w .sbso aidoe '^ilswrto ilenysof.' . iti3 Jfdld s onssi iiasa/łle ii b -łM -iśom .b-islf As{ .jfst sinbsbfoCl uštbj osoifeiid Oczywiście, teraz doskonale sobie przypominam. Chani-na! Chanina w naszej kuchni... Patrę na mamę, która kroi cieniutko ciasto rozwałkowane na stolnicy. Zawija ten placek i tnie ostrym nożem raz po razie, od ruloniku odpadają nitki,

mama strzepuje je nad stolnicą. Żebym stanęła na głowie, żebym pękła, nigdy w życiu nie wyszedłby mi taki cieniutki makaron, mój, jeśli jestem zmuszona go robię-, bardziej przypomina wstążki do warkoczy. Mama tnie i jednocześnie rozmawia.

- To ile ma Chanina tych szyjek?
- Oj, no ile, no ile, a ile pani chce? Będą w sam raz na rosółek do tego makaronu, szyjki świeżutkie, palce lizać.
- Pięć bym wzięła.

8

- Jakie pięć, co pani mówi, pięć? Przecież kot się tym nie naje, pani Rose! A jak pani weźmie dziesięć, to ja opuszczę, bo mam już końcówkę, no.

Mama coś tam kalkuluje, liczy.

- To ile?

Chanina mówi ile i mama łapie się za głowę.

- Za dziesięć?
- Co pani, pani Rose, co pani?! Pani się śmieje z biednej Chaniny? Za jedną! No, niech będzie za dwie.

Okropnie nie lubię, kiedy mama targuje się z tą nieszczęsną Chaniną, która, otulona chustką, biega cały dzień po ludziach, żeby zarobić parę groszy. Co chwilę wyciąga jakąś szmatę i wyciera w nią wiecznie kapiący nos, a mama potem myje te szyjki i myje, bo boi się, że może kapka na nie w końcu spafla.

- No dobrze, to są szyjki, aleja mam dla pani jeszcze coś - mówi handlarka i wyciąga jakiś flak ze sfatygowanego koszyka.
- Co to jest? - pytam.
- Oj, panienka Miriam to może tego i nie pamięta...

Z kąta wychodzi Ajka, w ręce trzyma lalkę Teofilę. Teofila, ubrana przed chwilą w sukienkę ze starej, zniszczonej apaszki mamy, wygląda szalenie elegancko.

Młodsza siostra okazuje się bystrzejsza niż ja.

- Jejku - mówi - to musiała być jakaś olbrzymia kura, szyję miała jak nie wiem co.
- Bo to nie kurza szyja, tylko gęsia - obwieszca Chanina takim tonem, jakby pokazywała nam ósmy cud świata - ze skórą, pani Rose, z calutką skórą. Środek mamunia włoży do rosółku, a skórę nadzieje, mam tłuszczyk. Mąką i tłuszczykiem. Sam cymes! Pani Rose to wie. n ; . T

Mama targuje gęsią szyję, a moja siostra nagle pyta.

- Pani Chanina, co to za imię „Chanina”?

- Cicho bądź - upominam Ajkę, bo pytanie, właściwie nie wiadomo czemu, wydaje mi się szalenie nietaktowne.

- Nie, dlaczego, mogę Ajce powiedzieć - powiada Chanina i siada na stołku, a mama podaje jej kubek czegoś ciepłego. - Ja się wcale nie nazywam Chanina, tylko wiecie, moja mama była Chana, a nas, córek, to miała aż trzynaście, trzynaście córek, gwałtu, jakie nieszczęście. Tata, niech pamięć jego będzie błogosławiona, tej trzynastej, co już na pewno miała być chłopakiem, nie wytrzymał i od razu, kiedy się dowiedział, to tak jak stał, tak się przewrócił i było po tacie. A ja byłam jedenasta z kolei i kiedy mama umarła, to opiekowałam się najpierw dwiema siostrami, a potem, jak Małka poszła na tyfus, już tylko jedną. No i co to ja chciałam, że niby Chanina. Bo nas wszystkie to ludzie nazywali „Chanine córki”, kto by zapamiętał tyle imion. Tylko mama. Ale mamy nie udało się uratować z tego choróbki, też umarła. To teraz ja się opiekuję Rutusią, ale ona ma już dwadzieścia lat, tylko po tym wszystkim na rozum jej się rzuciło, cały dzień tańczy i śpiewa i nawet boję się Szmulka z nią zostawiać, ale co robić, co ja mam, pani Rose, robić, a najgorzej to się boję, że mnie przy tym szmuglu złapią i zastrzelą, to co wtedy stanie się z Rutusią i moim synkiem, no, ja się pani pytam?

Mama nic nie odpowiedziała, bo też pytanie było retoryczne. Wiadomo, co się stanie, umrą, albo z głodu, albo zachorują na tyfus, albo ich zastrzelą czy wywiozą, mało to jest rodzajów śmierci? Tylko brać i wybierać. Ajka zrobiła wielkie oczy.

- Jaki Szmulek? - zapytała dosyć przytomnie. - Chanina mówiła, że ma same siostry?

- Nie usłyszała Ajka? Mój synek.

- To Chanina ma męża?

- Oj, jakie z ciebie ciekawe dziecko. Jakiego męża? Czy to do dziecka trzeba od razu męża?

10

- Chanina da spokój - odezwała się od stolnicy mama, ale handlarkę trudno było powstrzymać.

- Pani Rose, co pani tak dziecko wydelikaca, czy to są czasy na delikatność? Niech wie. Kto by się ze mną ożenił, tak tylko... Mówiłam Aronowi, ale on nie uwierzył, że to jego jest ten Szmulek, a ja nawet żalu nie mam, bo sama, żebym głowę dała, pani Rose, to bym nie dała. Może to był Jasek, a może Natan?

- Ja Chaninę bardzo proszę! - zdenerwowała się mama. - Co to Ajkę obchodzi!

Patrzyłam z niedowierzaniem na handlarkę. Wyglądała na sto lat i była brzydka jak tysiąc nieszczęść. Jaki Natan, jaki Jasek, jaki Aron? Komu mogła się aż tak podobać Chanina? I kiedy to było?

- A ile lat ma ten pani synek? - zapytała, tym razem w porę, Ajka.

- Zaraz... jeszcze miesiąc i będzie miał siedem. Jak dożyje...

O mało się nie przewróciłam. Siedem? To ile lat może mieć Chanina? Przyjrzałam się jej jeszcze raz. No tak, włosy, które wylażyły w strąkach spod chustki, były prawie czarne, siwizna widoczna była tylko na skroniach. Zębów handlarka nie miała prawie wcale, gdzieś tam żółciły się pojedyncze pieńki. Za to oczy! Rzeczywiście, oczy były piękne, rzęsy gęste i długie, a usta, gdyby nie były zapadnięte, może też byłyby ładne.

- A Chanina... - nie wytrzymałam - ile ma lat?

- Miriam! - zgromiła mnie mama.

- Co jest, żadna tajemnica, będzie akurat w szabes trzydzieści pięć roków. Późno mi się ten Szmulek zdarzył i jakoś nie bardzo w porę, tfu, na psa urok. A były okazje, oj były. Jak służyłam u tych Rozblatów, co mieli pięciu synów, to każdy...

Tego już mama nie wytrzymała.

11

- Chanino, dosyć tego. Jak Chanina wypła i sprzedała co tam było, to pewnie Chanina się śpieszy.

Handlarka ciężko podniosła się ze stołka.

- Oj, się śpieszy, się nie śpieszy...No dobrze, prawda, jeszcze idę tu za róg z jajkami. Zdobyłam cztery jajka dla tej Dory. Oj, ale się ucieszy.

I Chanina wtedy poszła, ale...

* * *

- Pani kochana, kupuje pani, czy jak - zagadnęła Marię sprzedawczyni z budki - bo tak pani stoi i stoi. Towar mam świeży, dzisiaj bity, nie ma co oglądać. Kurczaczka?

Maria ocknęła się z zamyślenia. To co? Może rzeczywiście weźmie kurczaka? No nie, raczej dwa. Niby na cztery osoby wystarczyłby jeden, ale oni wszyscy lubią pierś, a to znaczy...Może kupić same piersi? Ale kurczak w całości lepiej się piecze, same piersi można usmażyć, a Justyna woli pieczone. No i Szymek pewnie zjadłby dwa kawałki.

- Dobrze, pani mi zważy dwie gęsie szyje, ojej, przepraszam, dwa kurczaki.

- Gęsich szyjek nie prowadzę.

- Nie, nie, dwa kurczaki. I wątróbkę do nadzienia.

Wątróbka też była. Maria zapłaciła, dokupiła sałatę, pomidory, natkę pietruszki, dwa kilo jabłek i z trudnością taszcząc pełną siatkę wróciła do domu. Całe szczęście, że mieszkanie było na drugim piętrze, a nie na siódmym, jak początkowo Leonowi proponowano.

- Przecież jest winda - przekonywał ją mąż - a powietrze wyżej jest lepsze i hałasy tak nie dochodzą.
- Daj mamie spokój - wtrącił wtedy Szymek - nie wiesz, że mama nie jeździ windą?
- Ja nic nie mówię - westchnął Leon - ale, nie obrażając cię, na stare lata mogłabyś się przyzwyczaić. Nawet na drugie piętro będzie w końcu trudno nam wejść.

12

- Dobrze, masz rację - kiwnęła głową Maria, chociaż dobrze wiedziała, że do windy wsiądzie tylko w najostatecznej ostateczności. Zamknięcie doprowadzało ją do szału, a w windach wpadała z miejsca w panikę. Może to była klaustrofobia, a może nie, wychodziło na to samo. Tak więc teraz wdrapywała się po schodach. Na szczęście akurat szedł do szkoły jej sąsiad z pierwszego piętra i od razu zapytał:
- Zanieść pani toto na górę?
- A nie spóźnisz się do szkoły?
- Nie, mam czas.

Chłopak złapał siatkę, poczekał grzecznie aż pani Maria otworzy drzwi i zaniósł zakupy do kuchni.

- Pomóc jeszcze w czymś?
- Nie, dziękuję, piotrek, bardzo ci dziękuję.
- Kurczę, nie ma za co - ukłonił się chłopiec i popędził, tupiąc butami.

„Dobry chłopak” - pomyślała z sympatią Maria. - „A może przeciąć kurczaka i upiec tylko półtora?” - zastanowiła się - „a te pół miałabym na potem? Bo całych dwóch nie zjedzą i po co mam go odgrzewać?”

To był dobry pomysł, Maria wyjęła deseczkę, położyła na niej tego mniejszego kurczaka...

Rozdział II

... tego mniejszego kurczaka, wyjęła z szuflady najostrzejszy nóż. Kurczak wyslizgiwał się z ręki, tańczył na deseczce, w końcu Maria złapała go przez ściereczkę „Powinnam była poprosić tę babę na targu, żeby mi przekroiła” - wpadła na pomysł poniewczasie - „dla niej to drobnostka. A w ogóle po co kupowałam dwa, od razu trzeba było wziąć półtora. Zawsze mam tendencję do chomikowania, kupowania wszystkiego za dużo. Dobrze to było kiedy Leon żył, a teraz trzeba uważać”. Emerytura pani Marii, nawet razem z połówką renty inwalidzkiej, była niewielka, chociaż i tak lepsza, niż byłaby sama, gola emerytura. „Mam szczęście - pomyślała - że straciłam zdrowie przez tę wojnę”. I sama się rozbawiła tą myślą. Jej mąż, Leon, zmusił ją po prostu do załatwiania sobie renty, mimo że Maria za nic nie chciała chodzić do lekarzy, na komisję, wypełniać papierków.

- Przecież mamy dosyć, Szymek jest na swoim - tłumaczyła - po co mi to?

- A jak umrę, to z czego będziesz żyła? Z tej, za przeproszeniem, zasranej emeryturki?
- Nawet nie mów takich rzeczy - oburzyła się wtedy Maria i odpukała w niemalowane drewno - nie wiadomo, komu z brzegu.

Okazało się, że jednak „z brzegu” było Leonowi. I renta bardzo się przydawała, a ile razy pani Maria ją odbierała,

14

tyle razy szeptała do siebie: „dziękuję, Leonie, dziękuję za troskę”. Gdyby nie ta troska, nie stać by było Marii na kurczaki.

Ostry nóż bez trudu przeciął mięso, chrząstkę oraz czubek palca Marii.

- Cholera - zawołała - tylko mi tego brakowało! Spirytus salicylowy szczypał bez litości, Maria wyjęła

z szafki plasterek, zaraz, plasterek? Czy wtedy nie było plasterków? A może nie było ich w getcie? No tak, oczywiście, lekarstw też nie było...

* * »

I dlatego mama zawięła wtedy palec w białą szmatkę. Bo jednak, oczywiście, jednak zacięła się w palec przy krojeniu makaronu, doskonale pamiętam. Ajka się przestraszyła.

- Ojej, Mirka, ratuj mamę, - zapiszczala - krew się leje! Ratunku!

Z pokoju, zwabiony krzykiem córeczki, przydreptał tata.

- Co jest? - zapytał - Rózia, co znowu?
- Nic, idź spać - burknęła mama - Miriam, daj no kawałek białej szmatki, leży w dolnej szufladzie.
- I jodynę - podsunęłam.
- Już nie ma jodyny.
- Ojej, jak to dobrze - ucieszyła się Ajka, która jak ognia bała się opatrywania wszelkich skaleczeń.

Mama spojrzała na nią, ale nie komentowała tej niemądrej radości. Ojciec podszedł i usiłował pomóc mamie zawiązać szmatkę na supełek. Szło mu to bardzo opornie.

- Iziek, wiesz co, ty idź i się połóż. Nie wiem, jak to jest, rysujesz wspaniale, a do takich rzeczy się nie nadajesz. Boisz się krwi i tyle.
- Przesadzasz - burknął obrażony tata - nie bądź taka niecierpliwa. Za sekundę będzie po wszystkim.

Nie trwało to sekundy, ale dobre dziesięć minut. Ojciec mocował się ze szmatką, mama zaciskała ze złości zęby, w końcu nie wytrzymała.

- Mówię tobie, idź. Już Józek by to lepiej zrobił.
- A właśnie - rozejrzał się tata - gdzie jest Józio, gdzie łązi o tej porze? i
- Nie łązi, tylko jest u Romanka. Przepisuje książkę do rachunków.
- Co robi?!
- Przepisuje. Już na kompletach dostał dwie dwójce, bo nie miał jak odrobić zadań. W książce jest wytłumaczenie, a jego nauczycielka, wiesz, ta Kohnówna, nie umie wyjaśnić rachunków i kazała, żeby sami przeczytali. To trzeba mieć książkę.

Ojciec obruszył się.

- Róża, ja nic z tego, co ty mi tu mówisz, nie rozumiem. Co znaczy, że Józio nie ma własnej książki? Trzeba mu kupić, wolę nie zjeść, a książki do nauki dziecko musi mieć.
- Musi? To idź i mu kup.
- A ty nie możesz? Albo Mirka?
- Nikt nie może, na jakim świecie ty żyjesz, ja cię pytam? Nie ma książek. Romanek ma po swojej starszej siostrze, to ma. A Mirka swoje zostawiła na starym mieszkaniu. Przecież braliśmy tylko to, co konieczne.
- To książki już nie były konieczne?
- Iżek, kto wtedy o tym myślał!

Tato kręcił posiwiałą głową. Nie mógł jakoś zrozumieć tego wszystkiego co się działo.

- No, dobrze, to dlaczego dałaś go na takie komplety, żeby nauczycielka nie umiała mu wytłumaczyć? Przecież to proste sprawy, trzecia klasa.
- Bo Kohnówna uczyła się historii i filozofii. Skąd ma pamiętać te wszystkie rzeczy? i

- Więc weź i oddaj go na inny komplet.
- Sam weź - rozzłościła się mama - i sam go oddaj. Najlepiej do Oxfordu, jak masz taki wybór. Kohnówna mało bierze i tak się cieszę, że Józio w ogóle się uczy. Póki co.
- Jak to? Dlaczego „póki co“?

- Co ty, Lziek? Myślisz, że tak będzie zawsze, że będziemy mieszkali w tych dwóch pokojach po twojej mamie, niech jej ziemia lekką będzie?

Ojciec skończył zawiązywać zakrwawioną szmatkę i zajął do garnka.

- Rosołek? No tak, masz rację, wcale nie myślę, że tak zawsze będzie, Róziu. Kto by to wytrzymał? To nieporozumienie się wyjaśni, ktoś temu Hitlerowi wytłumaczy, że Żydzi są mądrym»narodem. Przecież Niemcy to cywilizowani ludzie, Wagner, Goethe... może Szwajcarzy, może Czerwony Krzyż, Anglia...

Mama spojrzała na ojca jak na wariata. Z nich dwojga ona tylko była realistką. Ojciec, ceniony i zdolny architekt, przed wojną całymi dniami siedział w pracowni, a w domu zarysowywał każdy skrawek papieru, łącznie z marginesami moich zeszytów szkolnych, rysunkami domów, domków, których projekty albo ktoś zamówił i ojciec sobie szkicował różne detale, albo takie, o których ojciec tylko marzył. „Pamiętaj, Mireczko, kiedyś wszyscy będą mieli takie mieszkania. W szklanych domach, Żeromski. ...”

A kiedy okazało się, że łatwiej o gruzy niż o budowanie nowych, wspaniałych osiedli, ojciec usiłował nie przyjmować tego do wiadomości. Oczywiście nie miał pracy, bo co mógł robić architekt w getcie? Mógł siwieć, łysieć i spać. Mama przejęła obowiązki pana domu i sprzedawała swoją biżuterię, której nie miała, niestety, zbyt wiele. A kiedy słuchała peror ojca, najpierw ogarniała ją litość, a później złość. Dzisiaj przyszła kolej na to drugie.

17

- Przestań opowiadać takie banialuki, bo mi się coś robi! - krzyknęła - Wagner-szmagner! Opamiętaj się, ludzie na ulicy umierają z głodu! Lziek! Czy ty nie widzisz, co się dzieje?! Lepiej weź się do jakiejś roboty, bo ja już nie mam do ciebie zdrowia!

Ojciec spojrzał spłoszony na mamę.

- Zlituj się, Rózia, do jakiej roboty? Kto dziś potrzebuje architekta?
- Jakiego architekta? Już nie możesz robić czego innego?
- Kiedy ja nic nie umiem. Rózia, to się na pewno odmieni, zobaczysz.
- A jakże, odmieni się, odmieni, jak wszyscy zdechniemy, to się odmieni!

Ajka zaiyczała jak lew, mama podbiegła do niej.

- No nie płacz, Ajkiele, córuś...mama tylko tak mówiła. Wszystko będzie dobrze, pojedziemy na wieś...
- A kupisz mi pieska?
- Pieska? Kiedyś ci kupię.
- To co ja mogę robić - wtrącił się tato - bo rzeczywiście, coś by trzeba.

- A swojemu tacie się przyglądałeś?
- Różia!
- Co „Różia”? Nie honor ci być krawcem?
- Nie chodzi o honor, ja nie umiem. Tato szył garnitury, że palce lizać, nawet, żeby chodziło o życie, to bym nie potrafił.
- A kto dziś szyje sobie garnitury?! Mógłbyś łątać ubrania, zwęzać, przerabiać. Ja bym ci pomogła. I Mirka też.

Aż mi się kiszki przekręciły na samą myśl o szyciu.

- Mamo, to ja już wolę dawać lekcje.
- Czego?
- Polskiego.

18

No, rzeczywiście, z polskiego miałam zawsze najlepsze stopnie, pani mnie chwaliła. A czasy były takie, że niejedno dziecko, co tam dziecko, dorośli też, niejeden dorosły chciałby poprawić wymowę, akcent. Bo jeśli ucieknie i uda mu się przedostać na tamtą stronę, to jak będzie mówić?

Mama kiwnęła głową, że owszem, że można spróbować. A potem poszli z ojcem do piwnicy i wyciągnęli z kąta starą maszynę do szycia, na której dziadek szył wiele lat, ale która jeszcze doskonale działała. Wszyscy patrzyli na nią z nadzieją. Ajka od razu przyniosła Teofilę i jakieś szmatki.

- Pokaż mi, gdzie tu jest igła? - zaczął ojciec swoją wątpliwą krawiecką karierę, a mama chwyciła się za głowę.
- Gwałtu, twój t^a ciągle szył i szył, a ty nawet tego nie wiesz?

Pani Maria nalepiła wreszcie plasterek, krew przestała się sączyć.

„No, to pieczony kurczak, sałata ze śmietaną, pieczone ziemniaki i co jeszcze? Doskonała jest ta fasolka szparagowa w puszkach, mam jeszcze dwie, będą w sam raz. Słodycze mam z głowy, jabłka kupiłam. Na początek dać barszczyk z jajkiem, czy pomidorową? Albo z groszkiem ptysiowym, też mam. Lody! Oczywiście, jak mogłam zapomnieć! Lody, przecież Justynka przepada za lodami, a ja nie kupiłam. Trzeba będzie iść jeszcze raz.”

Lody można było kupić blisko, w spożywczym na rogu. W sklepie prawie nikogo nie było, w zamrażalniku leżała cała sterta pudełek.

- Dzień dobiy - powitała panią Marię znajoma ekspedientka - pomóc w czymś?

- Które lody pani by mi radziła?

19

- Pewnie dla tej ślicznej wnuczki?

O, jak przyjemnie. Teraz kupowanie stało się prawdziwą frajdą, nie to, co dawniej.

- Dla wnuczki.

- Radziłabym te owocowe z waniliowymi. A te są z czekoladą. Które wnuczka woli?

To był poważny problem. Justyna lubiła owocowe, których nie znosiła Asia. Szymon jadał tylko czekoladowe, synowa wolała waniliowe. No tak, trzeba kupić i te, i tamte, nie da rady. Może Marii w końcu zapłacą za korektę, cały tydzień ją robiła, a forsy jak nie ma, tak nie ma. Pewnie przyjdzie w poniedziałek, to się załata tę dziurę po lodach. Tym razem paczka nie jest ciężka, zresztą Piotruś jest w szkole i tak nie mógłby Marii pomóc. Co tam kilo lodów, głupstwo, to nie to, co tamte buraki z kartoflami...

No nie, teraz nie czas myśleć o burakach, należy szybko wsadzić lody do zamrażalnika, bo jeśli raz stopnieją, to koniec. No, więc lody. A teraz trzeba szybko znowu wyjść, bo Maria jeszcze nie kupiła prezentu dla Justysi. Bagatela, trzynaste urodziny, to bardzo ważna rzecz. Justynka chciałyby mieć złoty pierścionek, albo zegarek. Pieniądze na ten cel Maria zbierała już od dawna i ciągle jej brakowało. Ale dwa dni temu przyszedł Szymek z tymi ziemniakami. Długo się jakoś kręcił po pokoju, otwierał i zamykał okno, siadał, wstawał.

- O co chodzi, Szymek? - zapytała Maria, która doskonale znała syna, albo przynajmniej tak jej się wydawało i wiedziała, że chce jej coś powiedzieć i nie wie jak. Tak samo się zachowywał, kiedy miał szesnaście lat i chciał poprosić rodziców, aby mu pozwolili pojechać na wakacje samemu, to znaczy bez nich, z kolegami w Bieszczady. I tak samo gdy ich zawiadomił, że zaręczył się z Asią. O tym, że Joanna była w trzecim miesiącu ciąży, Szymek w końcu jednak nie powiedział, chociaż był starym koniem po trzydziest-

20

ce, a jego przyszła żona też pierwszą młodością nie grzeszyła. I kiedy przyszli dziadkowie dowiedzieli się wreszcie o tej ciąży, byli - mało - powiedzieć - zadowoleni. Byli wniebowzięci, bo już myśleli, że nigdy nie doczekają się wnuka.

I teraz też Szymek łąził po mieszkaniu. Maria nawet się przestraszyła.

- No więc o co chodzi? Coś się stało? Jesteś chory?!

- Ależ mamo, co to za katastroficzne podejście do życia - wzruszył ramionami Szymon - siadaj, coś ci chcę zaproponować, tylko na mnie od razu nie krzycz.

_ ?

- No więc są te urodziny Justysi i gówniara głupia się przyznała, że zasugerowała ci takie drogie prezenty. A ty jej obiecałaś! Jak mogłaś? Przecież cię na to nie stać!

Maria od razu się zdenerwowała.

- Skąd wiesz? Może wygrałam w ruletkę?! Szymek, odczep się, obiecałam i nie namawiaj mnie, żebym Justynkę zawiodła.

- Nie trzeba było obiecywać, a smarkata powinna mieć rozum!

- Słowo się rzekło, kobyłka u płota.

- Słuchaj...ja tego...ja ci dam pieniądze.

- Szymek!

- Co „Szymek”? No co, „Szymek”? Czy zaproponowałem, że uduszę i obrabuję staruszkę? Wielkie rzeczy, ile razy ty mi dawałaś!

- Jak miałam z czego i wiadomo, że to rodzice dzieciom dają, a nie...

- Akurat, „dzieciom”. Daliście nam na remont mieszkania i na wakacje z Justysią, sto razy mi dawałeś, a teraz się złościsz. Masz, weź i kup jej ten zegarek, chociaż uważam, że jej się należy w dupę, a nie prezent. Tylko wiedziałem, że się uprzysz.

21

No i w końcu pani Maria, chociaż z wielką niechęcią, musiała wziąć połowę tych pieniędzy. Razem z tym, co miała, kwota była wystarczająca.

- A następnym razem nie pytaj Justyny, co jej kupić, bo zabroniłem, rozumiesz, za-bro-ni-łem jej z tobą na ten temat rozmawiać.

- Przesadzasz, dziecko nie zdaje sobie sprawy z tych finansowych historii.

- Akurat - parsknął Szymek - lepiej się orientuje niż ty.

Tak więc Maria, trzymając już tylko torebkę, zeszła po

raz trzeci tego przedpołudnia ze schodów, ale ciągle była niezdecydowana. Zegarek, czy pierścionek... pierścionek... no tak, tamtego pierścionka, tamtego, wymarzonego...

Rozdział III

...nigdy nie zapomnę.

A zakochana byłam po uszy, zakochana byłam na śmierć i życie. Heniek też mnie kochał i, nie do wiary, czasami nawet wydawało mi się, że jestem szczęśliwa. Spotykaliśmy się pod drzewkiem, na tyłach

kamienicy. Na ten maleńki placyk wschodziły tylko wąziutkie i chyba wysoko umieszczone okna od łazienek, a może ubikacji? A może od klatki schodowej? Nigdy tego nie sprawdziliśmy, nie weszliśmy do budynku. Po co? Woleliśmy wierzyć, że nikt nas nie podgląda, że nikt nie może zobaczyć jak Heniek mnie całuje, gorąco, coraz goręcej, jak się tulę do niego. Siadywaliśmy na ławeczce, bo pod tym drzewkiem stała ławeczka, miała złamaną poręcz, ale Heniek przyniósł młotek, gwoździe i deseczkę i naprawił tę poręcz - on wszystko umiał zrobić. Drzewko odkryliśmy od razu na drugim spacerze i ono się zieleniło. A tak w ogóle innych drzewek nie pamiętam, może ich w getcie nie było, a może były, ale ja na nie nie trafiłam? W każdym razie to było coś cudownego, ten placyk, na placyku zieleniące się życie, ławeczka oparta o cienki pień.

- Miriam - mówił poważnie Heniek, zawsze mówił „Mi-riam”, bo uważał, że to nie pora na ecie-pecie, na jakieś Mirusie czy Mireczki. „Miriam - powtarzał - to jest nasz park, tylko nasz. Nasz placyk i nasze wróble”.

No właśnie, zupełnie zapomniałam o tych wróblach. A przecież były nawet gołębie, oczywiście gołębie fru-

23

wały sobie, gruchały, zupełnie jakby nie wiedziały gdzie są.

- One są chyba pochodzenia żydowskiego - zażartowałam kiedyś.
- Co tobie do głowy przychodzi, Miriam?
- No bo dlaczego siedzą za murami?

Ale widocznie ptaki uznały, że to nie jest miejsce dla nich, bo po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że przestały przylatywać.

- Heniek, nie ma ich - zasmuciłam się pewnego dnia -jak myślisz, dlaczego?
- Bo nie mają tu co jeść - wytłumaczył mi chłopiec - kto dziś rzuci ptakom jakieś resztki, ty się zastanów, Miriam.

No tak, to nie były czasy na okruszki, na okruszki dla ptaków. U nas w domu też było coraz biedniej, tamtą gęsią szyć wspominaliśmy z rozczuleniem. Bo wtedy mama posłuchała Chaniny i nadziała szyć tłuszczem i mąką. Była wspaniała, cudowna, ale miałam żal do mamy, że nie pozwoliła mi na tę ucztę zaprosić Heńka.

- Co ty dziewczyno wygadujesz? Jakiego Heńka?
- Mamo, nie udawaj.
- Heńka-szmeńka. Już się wstydy własnego imienia? Chaim mu nie odpowiada?
- Niczego się nie wstydy, tylko sama wiesz, że ma już prawie wyrobione papiery, a tam jest, że mu

na chrzcie dali „Henryk”. Musi się przyzwyczaić, bo jak wyjdzie i go złapią, to...

- Idźże, Mirka, jak go złapią, to nie papiery mu każą pokazywać, tylko...

Zdanie nagle się urwało. Mama i tak bardzo się zagalopowała, rozmowa z córką o takich sprawach była dla niej w ogóle nie do pomyślenia. Oczywiście wiedziałam o co mamie chodzi, mama wiedziała, że ja wiem, ja wiedziałam, że mama wie, że ja wiem, że ona wie. ..Iw końcu temat był

24

nie tyle nieprzyzwoity co przygnębiający. Bo jeśli Heńka złapią i zechcą się przekonać, to go zabiją. Zabiją i koniec. Niczego innego nie można było się spodziewać. Nie mieściło mi się wtedy w głowie, że można człowieka zabić za to, że kiedyś obcięto mu coś, czego ja nawet nigdy nie widziałam i nie byłam pewna, jak to u dorosłego mężczyzny wygląda i co mianowicie Żydom obcinano. Mama kiedyś, bardzo niechętnie, wytłumaczyła mi, że skórkę i krótko wyobrażałam sobie, że taką skórkę jak przy manicurze, co sugerowało, że cała rzecz kończy się paznokciem. Ale kiedy, dawno temu, zapytałam o to starszą koleżankę, wyśmiała mnie niemiłosiernie, po czym narysowała cały, jak go nazwała „męski interes” z przyległościami - najpierw nie-obrzezany, a po/em obrzezany. Nie bardzo mi się to podobało i wolałam nie przypasowywać tej rzeczy do Heńka, żeby sobie chłopca nie obrzydzić. Ponieważ jednak koleżanka wytłumaczyła mi przy okazji jak się poczyną dzieci,

O czym już mętnie wiedziałam z zakazanych lektur, doszłam do wniosku, że cała ta kłopotliwa, a potrzebna mężczyznom sprawa, odbywa się po ciemku i że w każdym razie nie będę musiała niczego oglądać. Były to myśli głęboko utajone, a teraz mama wyciąga takie sprawy z powodu idiotycznej gęsiej szyi.

- To co, mogę zaprosić Heńka?

- Nie możesz, do tej szyjki, nie licząc nawet mnie, są

1 tak cztery osoby - tato, Ajka, Jozio i ty. Co ty sobie wyobrażasz, że to szlauch? Sikawka strażacka? Mam ją dzielić na drobinki? Chaim ma, dzięki Bogu, na psa urok, matkę i ojca, niech mu nadziewają własną szyję - powiedziało się mamie. Spojrzałyśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem. Bo rzeczywiście tato Heńka miał tę część ciała nieproporcjonalnie długą i cienką i myśl o nadzianiu jej wydawała nam się szalenie zabawna. Stałyśmy w tej kuchni i nie mogłyśmy przestać się śmiać. Ajka, chociaż

25

nie bardzo wiedziała o co chodzi, dołączyła do nas swój piskliwy głosik. Ojciec, znękany, wsadził głowę przez drzwi.

- Co jest? - zapytał - Można wiedzieć, co was tak rozbawiło? Świat się przekręca do góry nogami, Zylberbaum umiera na tyfus, a was to bawi?

Śmiech się urwał jak nożem uciął. Mama ponuro schyliła się nad stolnicą.

- Ty, Lziek, zawsze musisz wszystkim humor psuć. Najpierw uważałeś, że to się wszystko „wy-ja-śni”, że Wagner, że Zola...
- Jaki Zola, Róża, wstydziłabyś się, Zola był Francuzem!
- To Goethe, już dobrze? A teraz tylko załamujesz ręce. Co to, już się pośmiać nie wolno?
- Bo Zylberbaum...
- Jaki Zylberman?
- Baum.
- Dobrze, jaki...
- Nie znasz go? Przecież razem ze mną projektował ten domek na Pradze, tych no, jak im tam...
- Dobrze, no i co?
- No i umiera. Na tyfus...
- Czy on jeden? Lziek, czy ja mam płakać nad każdym, kto tu umiera? Życia by mi nie starczyło, nawet jakbym żyła tysiąc lat. Ty się martw o rodzinę, Lziek, weź się do łatania spodni Kohna. Zamiast płacić za lekcje Józia, Koh-nówna powiedziała, że jak załatasz, to za pięć lekcji nie weźmie.
- Wstydziłabyś się, ludzie giną, a ty...a ciebie nic nie obchodzi, spodnie...
- MNIE nic nie obchodzi!? - powiedziała mama i plasnę-ła nadzianą szyją o stół. - Mnie nie obchodzi? A co ja mogę zrobić, no co? Karmię starą Łaję, co chodzi na żebry, co dzień u nas je. Uważasz, że mam iść na ulicę i plunąć pierwszemu lepszemu Niemcowi w pysk? Dobrze, proszę,

26

już idę, jak uważasz, że mnie nic nie obchodzi, to proszę, zaraz się przekonasz!

Mama jak szalona wybiegła na schody. Tato na chwilę ośłupiał, ja runęłam za mamą. Przerazenie ścisnęło mnie za gardło, trzeba było mamę znać. Czasami wstępował w nią szatan i wtedy była zdolna do wszystkiego. Wcale nie byłam pewna czy nie zrobi tego, co zapowiedziała, szczególnie, że każdy z nas dużo oddałby za możliwość zrealizowania czegoś takiego. Dużo, ale przecież nie życie, przecież naplucie na faszystę niczego by nie zmieniło, byłoby czczym gestem, ale jak fascynującym! Mama biegła ulicą, na szczęście jakoś nie było widać zielonego munduru. Dopadliśmy ją za rogiem.

- Mamo, nie wygłupiaj się!
- Róża, w tej chwili wracaj!!! Co cię ugryzło?! - dyszał tato.

Mama była w amoku, jeszcze się wyrывała, jeszcze wypatrywała. Usłyszała dopiero płacz Ajki, która dowlokła się do nas obejmując nieodłączną lalkę Teofilę.

- Mamo! Nie chcę, żeby cię zabili! Co ja zrobię jak ciebie zabiją!

To jakoś do niej dotarło, szczególnie, że zza rogu wyszedł Józek z zeszytami pod pachą. Spojrzał na nas ze zdumieniem.

- Co się stało .wyrzucili nas z mieszkania?
- Nie - szlochala Ajka - mamunia pobiegła napluć w mordę Niemcowi.
- Ty, Ajka, jak coś powiesz, to nie wiadomo czy się śmiać, czy płakać. Jakies niestworzone historie, już mamunia nie ma co robić? Tylko pluć? Tato, co się dzieje?
- O której ty wracasz, co? - wykręcił się ojciec od odpowiedzi. - Tyle czasu trwał komplet? Gdzie łąziłeś?
- Nigdzie nie łąził - odpowiedziała mama poprawiając włosy - sam go wysłałeś do Tomka po nici. Masz?

27

- Trzy szpulki, ale zdrożały - pokazał Józio swój nabytek - i Tomek powiedział, że jak chcesz więcej to żeby brać, bo jednego ze szmuglerów zastrzelili przy murze i jak się skończy zapas, to nie wiadomo czy jeszcze będą. Powiedziałem, że przyjdę jutro.

Wróciliśmy wtedy do domu. Nie mówiło się już potem nigdy o wysoku mamy, ale wydaje mi się, że właśnie wtedy postanowiła, że coś będzie robić, zaczęła szukać kontaktów...

O historii z pluciem na Niemca opowiedziałam tylko Chaimowi.

- Twój tata ma rację - oświadczył - trzeba walczyć. Ja też...
- Co ty też?

Ale chłopak nie chciał niczego więcej powiedzieć. Do końca nie dowiedziałam się, co wtedy miał na myśli. Mnie walka z Niemcami wydawała się absolutnie beznadziejna. Gdzie tam! Wystarczyło popatrzeć na wypasione, błyszczące i bezczelne pyski pod zielonymi czapkami, przyjrzeć się ich broni. Kto miał z nimi walczyć, jakie mogłyby być perspektywy? Mało ludzi umierało? Wtedy jeszcze w getcie nie było blokad, jeszcze nie zaczęła się akcja, miałam więc nadzieję, że może słowa ojca nie są takie bezsensowne, że może ktoś gdzieś oprzytomnieje, może Hitler? Może Anglia? Może Ameryka? Bo czy to możliwe, żeby świat patrzył na coś takiego spokojnie? Rzucanie się na faszystów przez takich chłopców jak Henio wydawało mi się absurdalne. No, Heniek i kto? I te żywe trupy, które snuły się ulicami? I mama? A może tato, który nie trafiłby nawet słonia z odległości metra? Kto? Ci zaszczuci, zagłodzeni, często zawszeni mieszkańcy getta? Wydawało mi się to bez sensu, chociaż później zrozumiałam, jaki sens ma umieranie z honorem, skoro już trzeba umierać.

28

Ale tego dnia w naszym „parku”, na naszej ławeczce pod drzewem, Henio nie chciał mówić o walce. Przeciwnie, przytulił mnie, pocałował i pogłodził po kolanie. Zrobiło mi się jakoś dziwnie ciepło.

- Posłuchaj Miriam - powiedział - posłuchaj...

- Co jest, do kurwy nędzy, taka twoja mama - Maria jak przez mgłę usłyszała głos kierowcy i ciężarówka z piskiem opon minęła ją o parę centymetrów. - Gdzie łazisz, cholerny babsztylu? Życie ci niemile? Mam za twoją głupotę iść do pierdła, niech ja skonom?

Rzeczywiście, pasy dla pieszych były chyba o cztery metry na prawo, a Mjuia leżała między ciężarówką a czerwonym osobowym samochodem, którego kierowca opuścił szybę i wyraźnie solidaryzował się z krzyczącym facetem. Obaj mieli rację, chociaż niezbyt elegancko wyrażoną. Obaj też wyszli z wozów i schylili się nad Marią, która z trudem gramoliła się z jezdni, aż w końcu, pomimo zawrotów głowy, udało jej się ustać w pozycji pionowej. Kierowca „malucha” wziął ją pod rękę, a ten drugi nagle rzucił się przed siebie i schwytał za kołnierz zupełnie porządnie ubranego chłopaka.

- Ty bandyto, gówniarzu, ja ci nogi zaraz powyrywam! Oddaj łobuzie, ale to już!

Młody człowiek bez chwili wahania wyciągnął rękę, w której trzymał torebkę Marii.

- Czego pan wydziwiał, znalazłem torbę i właśnie chciałem oddać, a pan mnie za niewinność szarpie!

- Oddać?! Złodzieju, oddać?! A dlaczego leciałeś w tamtą stronę?!

- W jaką?

Kierowca, który w jednej ręce trzymał torebkę, puścił chłopaka i pokazał stronę o której mówił. Młodzieniec tył-

29

ko na to czekał. Z miejsca puścił się biegiem przed siebie i kiedy znalazł się kilkanaście metrów dalej wyciągnął lewą rękę, zgiął ją w łokciu, a prawą uderzył w przedramię.

- Ty taki-siaki - wściekł się kierowca i chciał gonić smarkacza, ale akurat spojrzął na Marię i zrezygnował. Miała rozbite kolano, na łydkę sączyła się strużka krwi.

- Cholera, idziemy na pogotowie, albo lepiej do szpitala. Akurat tu jest.

- Nie trzeba, nic mi nie będzie - wystękała Maria, która właściwie czuła się całkiem nieźle, a kolano rozbiła sobie nie pierwszy raz w życiu.

- Pani nie grymasi, bo nie mam czasu, kurde. Może pani chce wezwać policję. Ale to była pani wina i żeby się pani nawet przekręciła, to nic mi nie zrobią.

- Nie chcę żadnej policji - pokręciła bolącą głową Maria - wiem, że lażłam jak głupia. Przepraszam.

- Ale opatrzeć pani to kolano muszę, bardzo panią proszę - złagodniał kierowca - bo się jeszcze jakiś syf wda i będę miał panią na sumieniu. Tu jest szpital...

„No, może rzeczywiście - pomyślała Maria - jak mi się ma paskudzić.” Pozwoliła więc zaprowadzić się na izbę przyjęć, pozwoliła młodemu lekarzowi zrobić sobie opatrunek i przyrzekła przyjść za kilka dni, chociaż, prawdę mówiąc, tym razem nie była pewna czy dotrzyma przyrzeczenia. Zmienić to świństwo mogła sama, mogła też jej pomóc sąsiadka, która była emerytowaną pielęgniarką. Na tych rzeczach znała się nie gorzej niż ten, miły zresztą, lekarz, który jednak pozwalał sobie na poufałość, czego Maria nienawidziła.

- No, babciu - mówił - niech babcia tylko uważa, żeby nie forsować tego kolana i nie moczyć go, Boże broń. Najlepiej niech babcia idzie zaraz do domu, albo, jeśli to możliwe, wezwie taksówkę, tam jest automat. I niech babcia...

30

Maria nie wytrzymała.

- Bardzo przepraszam, panie doktorze, ale ja, o ile pamiętam, nie jestem pana babcią.

Lekarz zaczerwienił się.

- Przecież ja w przerośni...

- Niech pan sobie daruje tego rodzaju przerośnie i w stosunku do mnie, i w stosunku do innych starszych pań. I niech pan powie personelowi szpitala, że takie zwracanie się do ludzi jest nie do przyjęcia. Dziękuję za opatrunek i do widzenia.

Lekarz, bardzo speszony, odprowadził wzrokiem pacjentkę. Pielęgniarka nie posiadała się z oburzenia.

- Ohydne babsko - skwitowała sprawę. - To jest wdzięczność. My /u harujemy, a baba ma muchy w nosie, kurczę pieczone.

- Bo ja wiem? - burknął pan doktor. - Może ona ma rację...

Maria tymczasem wyszła na ulicę, kolano bolało ją tylko trochę, głowa bardziej, ale prezent trzeba było kupić. Zaraz za rogiem zobaczyła szyld sklepu jubilerskiego.

- Czym mogę służyć? Może pierścionek?

No właśnie... pierścionek...Rozdział IV

- Niestety, Miriam - powiedział Heniek i pogłodził mnie po głowie - bardzo mi przykro, ale nic ci nie mogę dać. Dałbym ci pierścionek, nawet nie wiem, czy u nas jest taki zwyczaj, czy może nie, ale i tak bym ci dał. Na zaręczyny, bo ty będziesz moją żoną, Miriam, a ja, Chaim, twoim mężem.

- Chaim?

- To poważna sprawa i muszę mieć do tego własne imię. Ja, Chaim, wezmę cię, Miriam, za żonę i będę cię kochał aż do śmierci. Możemy od razu iść do rabina i wziąć ślub.

Ale nie chciałam jeszcze brać ślubu. Po co? I tak Heniek mieszkał w jednym pokoju z rodzicami, z wujkiem, jego żoną i ich dziećmi. U nas w mieszkaniu też zrobiło się ciasno, odkąd wprowadziła się ciotka Sara z mężem i Dawid -kiem. Niby gdzie mieliśmy mieszkać? Co by się zmieniło? Nic. Heniek też to rozumiał, ale coś go jednak gnębiło.

- Miriam - mówił, bardzo lubił powtarzać moje imię -Miriam, ja ci zrobię pierścionek, z drutu ci zrobię. Zobaczysz.

I rzeczywiście na następne spotkanie przyniósł spleciony z drutu krążek i wsunął mi na palec.

- Teraz jesteś moja, Miriam - powiedział żartobliwie -moja. I...ale się nie pogniewasz?

- Nigdy się na ciebie nie pogniewam.

32

- Bo wiesz... ja mam stąd wyjść. Ale czy wiadomo, Mi-riam, że dojdę żywy? Czy mnie nie złapią, albo od razu, albo potem? Nie chcę wyjść bez ciebie, ale co mam robić? A jak już tam będę, to postaram się o papiery, żebyś ty też wyszła. I kiedyś się spotkamy. Jeżeli będę żył. Ale może nie. Więc chciałbym... no wiesz, ja jeszcze nigdy... żebyś ty była moja. Bo umrę i nie będę wiedział, jak to jest, a ty przecież też... prawda? Nie chcesz ślubu, no, rozumiem, ale można bez ślubu. Ja cię tak proszę, Miriam tak cię proszę. Może to grzech, a może nawet nie, bo kto wie, co się stanie? A czy my możemy czekać? No powiedz sama, powiedz, czy my możemy czekać?

Trochę się bałam, ale trudno było nie przyznać Heńkowi racji. i

- No dobrze, Chaim, to ja się zgadzam. Tylko od tego są dzieci, a co będzie jak zajdę?

- Nie zajdziesz, mnie kolega powiedział...dał mi...no, nie zajdziesz. Nie martw się.

I ja się zgodziłam. No bo rzeczywiście, skąd mogłam wiedzieć, czy się kiedyś pobierzemy, czy będziemy żyć długo i szczęśliwie, jak to się życzy młodej parze. Długo...po prostu śmieszne. A może? A może będzie tak jak teraz i będzie, i będzie, i w końcu wojna się skończy, a Żydów wypuszczą, pozwolą wyjść za te muiy? Niech nas nawet wypędzą na najbardziej zabita deskami wieś, niech nas zawiozą na ten jakiś Madagaskar, jeśli już tak nas nienawidzą, że tu nie ma dla nas miejsca. Chociaż tato mówił, że przecież tu żyli nasi dziadkowie i dziadkowie naszych dziadków, że Polska to nasza ojczyzna i nic tego nie może zmienić, że on tyle domów zaprojektował i stoją, że Szwar-cenblit tylu ludzi wyleczył, to o co chodzi, w czym jesteśmy gorsi? A mama powiedziała „Ty, Lziek, ty nie szukaj sprawiedliwości, ty nie czekaj na sprawiedliwość, bo prędzej się skonania doczekasz”. „Co ty opowiadasz, Róża - zde-

33

nerwowa! się ojciec - czego ty dzieci uczysz?" „Jakie dzieci? Józek jest na podwórku, Ajka zasnęła. A

Mirka lepiej wie niż ty, co się dzieje."

Tato machnął wtedy ręką, ale ja i tak wiedziałam swoje: nie ma na co czekać. No więc się zgodziłam. Heniek pocałował mnie w dłoń z tym drucianym pierścieniem.

- O nic się nie martw, ja ci powiem, kiedy się spotkamy. Będę dla ciebie dobiy, och, jaki dobry, moja Miriam.

Ale ja się martwiłam. Niepotrzebnie, Heńkowi nie udało się załatwić wolnego pokoju nawet na sekundę. Bo gdzie? Coraz to nowe ulice były wyłączane z getta, przesiedleńcy walili drzwiami i oknami, w jednym pokoju gniotło się po kilka osób, u nas była rodzina z Dawidkiem, a potem wprowadziła się jeszcze starsza pani Kowalska, Helena Kowalska, naprawdę tak się nazywała i z tym nazwiskiem mogła iść na tamtą stronę, ale nie mogła, bo mówiła... ojej, zgroza, ten akcent, a co za słownictwo, co drugi wyraz z jidysz, na przykład tak mnie chwaliła: „Ojej, no Miruchne to azoj mądre dziecko, sam cymes, jakie kepele”. Uczyłam ją, ale wstydziłam się taką starszą panią bez przerwy poprawiać. Zresztą i tak... i tak ją potem zabrali. Więc nie było gdzie się tak naprawdę spotkać, Heniek kiedyś takim dziwnym głosem zapytał, czy ta nasza ławeczka byłaby wygodna, gdyby tak położyć głowę tu, a nogi tam, ale chyba tego na serio nie myślał, gdzież by, skąd, od ulicy dwa kroki. Już co to, to nie, on też by chyba zresztą nie chciał. I tak tułaliśmy się i nigdzie nie było miejsca, a tymczasem moja koleżanka Basia zaszła w ciążę i o mało ze zmartwienia nie zwariowała.

- No dobrze - pytałam ją - ale gdzie wyście z Aronkiem to zrobili?

- No, coś ty, w domu.

- Przecież u was w jednym pokoju mieszka siedem osób! A w kuchni śpią dziadkowie.

34

- Mają mocny sen.

- I wy tak przy dziadkach? A jakby ktoś wszedł?

- To by wyszedł.

- Basia, coś ty...

Nie, my nie mogliśmy tak, jak króliki, aby zbyć...Nie, no, nie umieliśmy... Może to głupie, ale nie...I tak mijał dzień po dniu, a Heniek był coraz bardziej markotny i nawet mnie przeproszał.

- Chyba mnie masz za niedojdę, za głupiego... Mężczyzna, a nie umie takiej rzeczy zorganizować. Wybacz mi, Miriam.

- Heniek - pocieszałam go - może to i lepiej. Patrz, co się stało z Basią.

Bo Basia w końcu, kiedy dostała tyfusu, poroniła i z tego wszystkiego już nie wyszła. Ojej, jak ten Aronek płakał i jej rodzice. Ale niedługo, bo się od niej zarazili tyfusem i też poszli, jedno po drugim. A ten Aron

się wylizał. Więc pocieszałam tak Heńka i już tylko całowaliśmy się na tej ławeczce, która była coraz bardziej odrapana, pod drzewkiem, które coraz mocniej się pochylało. A ptaków już wtedy dawno nie było. I do niczego nie doszło. Nie umieliśmy, no, nie umieliśmy, przecież byliśmy właściwie dziećmi.

- Czy pani się źle czuje? - zapytał ekspedient i Maria nagle zdała sobie sprawę, że owszem, źle się czuje. Kolano pulsowało, głowa bolała... Maria nie pamiętała, czy uderzyła głową w jezdnię. Może nie, może głowa rozboleła ją ze zdenerwowania, ostatecznie nie co dzień wpada się pod samochód. Może powinna była, jak na początku sugerował ten smarkaty lekarz, zostać w szpitalu na obserwacji chociaż parę godzin, może nie trzeba było tak zdecydowanie zaprotestować. No, trudno, głowa poboli i przestanie. Pierścionek...

35

- Dobrze się czuję, dlaczego? Tak się tylko trochę zamyśliłam, bo nie wiem, jaki pierścionek byłby odpowiedni dla trzynastoletniej dziewczynki.

- A ma być złoty? Tak? To może ten. Albo, o ten.

Oba były ładne. Pani Maria zdecydowała się w końcu i postanowiła zrujnować się i wziąć taksówkę. Co tam! Kolano bolało, a w tramwaju jeszcze jakiś złodziej mógłby ukraść pierścionek i co by było?

Drugie piętro okazało się tym razem wyższe niż normalnie, na dodatek na najwyższym schodku, podłożywszy sobie pod pupę gazetę i reklamówkę, siedział Gabriel.

- Na litość boską, co pan tu robi? - zdenerwowała się Maria, która zamierzała położyć się na tapczanie pod kocem i na żadne wizyty nie miała najmniejszej ochoty.

- Czemu mówisz mi „pan” - jak zwykle nie odpowiedział wprost na pytanie Gabriel - przecież piliśmy bruderszaft.

Rzeczywiście, podczas ostatniego spędu gości Maria dała się namówić na to „tykanie” i już po chwili gorzko żałowała, bo ten cały Gabriel z miejsca zaczął wyobrażać sobie Bóg wie co i nawet nazwał ją „słodką wisienką”. Chyba odbiło staremu przykowi, amatorów mu się w tym wieku zachciało. Maria nienawidziła niespodziewanych gości, ostatecznie od czego jest telefon.

- Dobrze, więc co TY tu robisz?

- Czekam na moją królową - wygłupiał się Gabriel - czekam z bijącym sercem. Czy mogę wejść?

Trudno było wyganiać człowieka.

- No... ale ja właśnie... stłukłam kolano i chciałabym się położyć, więc może na chwilę...

- Pokaż - zainteresował się Gabriel i nagle przeistoczył się w zupełnie innego człowieka. - Pokaż. O, widzę, że już byłaś u lekarza. Kładź się, ja zrobię herbatę. Jak to się stało?

- Ciężarówka... nie uważałam i trochę mnie musnęła, a ja się przewróciłam - mówiła Maria, ze

świadomością, że

36

źle robi, że tego, w gruncie rzeczy obcego człowieka nic nie obchodzi jej wypadek i tylko obciąża go niepotrzebnie swoimi problemami. Ale jakoś nie mogła przestać. - Głowa też mnie boli.

- Uderzyłaś się w głowę?
- Nie, chyba nie, nie pamiętam.
- Jak to, „nie pamiętasz”? Amnezja? Na litość Pana Boga, robili ci jakieś badania? Encefalografię?
- Chcieli, ale nie uznałam tego za konieczne.

Gabriel spojrział na kobietę ze strachem.

- Jutro tu przyjdę i jak się ten ból głowy nie skończy, to wiozę cię na ostry dyżur. Przecież możesz mieć wstrząśnienie mózgu!
- Nie zawracaj głowy - zirytowała się pani Maria - a jutro przychodzi do mnie na obiad rodzina.
- Daj ich telefon, zaraz odwołam.
- Ani nawet! Nic mi nie jest! I w ogóle to, wybaczone, nie twoja broszka, a...
- To się okaże! Leż! Zaraz ja tę herbatę... gdzie masz aspirynę?
- W łazience, a co, jesteś przeziębiony?
- Ja? Ty masz wziąć aspirynę. Kolano! Nie zginaj kolana. Gdzie jest koc, to znaczy drugi koc?
- Po cholere drugiego i tak mi gorąco. Gabriel, błagam cię, nie lataj mi przed oczami, siadaj, herbatę sobie też weź, a tam są kruche ciasteczka. I w ogóle po co robisz tyle szumu, niepotrzebnie ci mówiłam, prześpij się i wszystko minie. Już mnie głowa mniej boli.
- Naprawdę?!

W głosie Gabriela słychać było prawdziwą troskę. Widocznie naprawdę się przejął. Marię niesłychanie to zdziwiło. Tego pana, emerytowanego dentystę, poznała na brydżu u koleżanki. Początek tej znajomości był raczej smutny. Już od kilku lat Maria, Bożena, pan Andrzej i jego, po-

37

wiedźmy, żona, spotykali się na kartach kolejno u każdego, co dwa tygodnie. Wszyscy oprócz radosnej Emilki, byli już na emeryturze, Emilka pracowała jako kosmetyczka, ale tylko chodziła do klientek, miała więc czas. Zresztą, od chwili, kiedy zajęli się nią podstarzały, a zamożny adwokat, miała tego czasu coraz więcej, a klientki, jak się wyraziła, „odstawiała stopniowo od cycka”. W brydża starsza część towarzystwa

grała nieźle, Emilka zaś, przyuczona, raczej poprawnie. Marię denerwowały jej powiedzonka, broń Boże nie te stare, ale wymyślane na bieżąco, jak na przykład „stare pryki grają w piki” albo „Andrzejek jak leży, to nawet nie da rady jednej”. Bożenka kiedyś powiedziała, że chyba zrezygnuje z towarzystwa tej pary i powiedziała to w złą godzinę, bo po tygodniu Andrzej umarł nagle na zawał, a Emilka więcej się oczywiście na spotkaniach nie pokazała. Panie wróciły z pogrzebu Andrzeja bardzo smutne. Po pierwsze, żal było człowieka, a po drugie zastanawiały się, skąd wziąć partnerów do brydża.

- Ruta już dawno się wpraszała - przypomniała sobie Maria.
- Ta twoja psiapsiółka?
- Co ty, znajoma, od razu psiapsiółka. Bardzo jest miła, zobaczysz. I nieźle gra. To trzy. A czwarty?
- Może Gabriel?
- Zlituj się, kto się dziś nazywa Gabriel?
- Facet się nazywa. Przecież nie od dziś, to stary piernik, jak my. Mój dentysta.
- Jak spartolimy, to nam będzie zęby wrywać!

Bożenka się roześmiała.

- Nie będzie, jest na emeryturze.

I na następnego brydża, który odbył się u Bożenki, przyszli nowi gracze, a na jeszcze następnego, przyszedł tylko pan Gabriel, bo Ruta dostała grypy.

38

- To co, gramy z dziadkiem? - zapytała Bożenka i nawet zaczęły, ale co to za gra? Po jednym robrze Maria wyciągnęła koniaczek i coś do koniaczku, a potem fla-szeczkę jeszcze czegoś. Było bardzo przyjemnie, o bry-dżyku jakoś się zapomniało, no i wtedy właśnie Gabriel z rozczochraną czupryną siwych włosów, zaczął całować panią Marię w rękę. Żeby nie ten alkohol, do którego nie była przyzwyczajona, jakoś by te niewczesne flirty przerwała, ale i jej szumiało w głowie no i wypła z dentystą bruderszaft. Piano miała podwójnego kaca i po koniaczku i po Gabrielu. „Chyba mi odbito na stare lata - myślała, skręcając się ze wstydu - jak ja teraz pójdę do niego na brydża? Pewnie myśli, że jestem stuknięta! W tym wieku! Coś okropnego!”. No i Maria, udając po dwóch tygodniach ciężką grypę, nie poszła na karty, ale na następne, do Rutki, już musiała iść. A przez ten czas Gabriel telefonował chyba ze sto razy i Maria była tym zupełnie skołowana, bo człowiek się wygłupiał, nazywał ją słońcem, królową, wisienką i na każde pożegnanie mówił „Całuję twoje rączki, Marysieńko”. A potem zaczął przychodzić. Dzisiaj dopiero pierwszy raz Marii zaświtało, że mu naprawdę na tej znajomości zależy i przyjrzała mu się uważniej. Był ciągle jeszcze przystojny, miał niebieskie, niespłowiałe oczy, ładnie pachniał wodą po goleniu. Na lewym policzku bieliła się blizna. Ciekawe, skąd ją miał. Jakiś wypadek? Czy może wojna? Maria leżała cicho, nawet przymknęła oczy i zorientowała się, że Gabriel, myśląc, że zasnęła, cichutko postawił herbatę na stoliku, na palcach doszedł do półki, wyjął jakąś książkę... jaką? Maria zmrużonymi oczami usiłowała odczytać tytuł... zaraz,

grubawy tom, kolorowa okładka...chwileczkę, no nie, to nie do wiary, jej ulubiona książka, takie same wydanie, jakie wtedy miała, a po wojnie odkupiła w antykwariacie. „Rocz-

39

niak" Marjore Rawlings, powieść o chłopcu mieszkającym z rodzicami na farmie w lesie i o jego ukochanym jelonku. Jak Ajka płakała...

Rozdział V

Okropnie ta Ajka płakała, kiedy okazało się, że niestety, z Flagiem, tym jelonkiem, nie można już było wytrzymać, bo wszystko niszczył. Zapłakiwała się, kiedy matka chłopca strzeliła do Flaga i tylko zraniła go, a Jody musiał go dobić, żeby nie cierpiał. Do dziś Ajka pamięta tę książkę i za nic nie chc[^]do niej wrócić. A wtedy Róża, słysząc płacz swojej młodszej córki, przybiegła z kuchni.

- Miriam, o co znowu chodzi?
- O nic, czytałam jej „Rocznika” i tak się poiyczała.
- Jakiego „Rocznika”, skąd ty to masz?
- No, jak to skąd, bibliotekarz przyniósł.

„Bibliotekarzem” nazywałam mężczyznę (a może to była

kobieta, nie pamiętam), który co pewien czas przywoził na wózku książki do wypożyczania. Nosił je po domach i nie tylko zarabiał, ale był dla nas źródłem pociechy, wypatrywałyśmy go więc bardzo niecierpliwie. Pamiętam, że raz mama zamieniła jedną z książek na taką, którą już czytałam i kiedy wróciłam, zrobiłam jej, zupełnie niewinnej i chcącej jak najlepiej, okropną awanturę. Całe życie mam przez to wyrzuty sumienia.

- Ty, Mirka, chyba jesteś zupełnie bez rozumu - denerwowała się mama przeglądając „Rocznika” - żeby czytać dziecku takie smutne rzeczy. Uważasz, że Ajunia ma poza tym za dużo powodów do śmiechu?

Ajka nie słyszała tej przemowy, bo wtuliła buzię w poduszkę i łkała na cały głos.

41

- A ty - pogładziła mama córeczkę po głowie - też masz oczy na mokrym miejscu. Przecież to wszystko jest wymyślone, tego wcale nie było. Jakaś pani wymyśliła tę całą historię, a ty ryczysz.

Ajka usiadła i spojrzała na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

- To tego chłopca nie było? I jelonka nie było?
- Nie wiem, może był, a może nie.
- I nikt go nie zastrzelił? Tak naprawdę?

Żal mi się jej zrobiło.

- Nie, nikt go nie zastrzelił.
- I żyje sobie w lesie?
- Ojej, nie morduj mnie, no, żyje.
- I nie przyjdzie tam Niemiec? Bo jakby przyszedł, to by go zastrzelił i tego chłopca i jego rodziców i wszystkich.
- Nie przyjdzie, to jest bardzo daleko stąd.
- Jak daleko? Jak do murów?
- Dalej.
- Jak do tamtego mieszkania?
- Dalej.
- Jest jeszcze coś dalej?

Zrobiło mi się okropnie nieprzyjemnie.

- Ajuniu, to jest za morzem i za górami i za lasami tam, gdzie jest dużo drzew...
- Jak to?
- No, dużo drzew. Las, przecież ci czytałam.
- A ja myślałam, że tylko w bajkach jest morze i las.
- Przecież martwiłaś się o jelonka - usiłowałam być logiczna - a on biegał po lesie. Jak uwierzyłaś w jelonka, to las też jest naprawdę.
- A mama mówiła, żebym nie płakała, że to jest wszystko wymyślone, że siedzi jakaś baba i wymyśla lasy, morza, jelonki, drzewa..Góry. Że tego nie ma.

Mamie opadły ręce.

42

- Źle mnie zrozumiałaś, nie chodzi o to, że morza nie ma...
- Wy myślicie - rozżłościła się Ajka - że dziecku to można byle głupstwa opowiadać. A ja swój rozum mam.

Mama westchnęła, machnęła obiema rękami naraz i poszła, bo Dawidek z kolei ryczał, a jego rodzice

wyszli akurat do teściowej. Zostałam sama z siostrą.

- Bajki-srajki mi tu gadasz - skorzystała z nieobecności mamy - duperele! Myślisz, że ja jestem bobo, że ci uwierzę w diabły, anioły, morza, rzeki, góry! Nikt tego nigdy nie widział. I tak daleko jak ty mówisz też nie ma. Jest getto i tamta strona, a dalej już nic i nic.

- A Łódź - przypominałam zdesperowana - pamiętasz? Przecież ciotka»Tusia przyjeżdżała do nas z Łodzi!

- Ona mieszkała w Łodzi, bo jest rzeka Wisła, to ona tam mieszkała na Łodzi. Rzeka jest, to prawda. I nie zawracaj mi głowy.

- Nie żadna rzeka. To jest inne miasto, daleko.

- Ty idź i całuj mnie w dupę - zakończyła dyskusję Ajka i przestała płakać. Bo i po co, skoro nie było jelonka..

Ale tego dnia Ajka nie miała szczęścia. Po obiedzie mama pozwoliła jej iść do koleżanki, która mieszkała dwa domy dalej.

- Tam jest zegar, patrz na niego - przykazała - kiedy duża wskazówka będzie na samej górze, a mała na samym dole, masz wracać do domu.

- Dobrze - powiedziała Ajka - o szóstej wrócę.

Mama stała z rozdziawionymi ustami, a tato aż się zaczerwienił z dumy.

- Oj, co to za dziecko - powiedział - co za główka! Spinoza nam rośnie!

- Tato, nie zaczynaj każdego zdania od „oj” - zwróciłam ojcu uwagę - bo jak pójdziesz na tamtą stronę to cię po tym jeszcze rozpoznają. To żydowski zwyczaj.

43

- Nie podobają ci się żydowskie zwyczaje? - oburzył się ojciec - Doczekałem się!

- Nie o to chodzi, chce tato wpaść?!

- A może ja się stąd nigdzie nie wybieram - zaczął tato - a może ja nie chcę wkładać cudzej skóry? A może ja nie uważam, że bym był gorszy niż taki Kwiatkowski, co liczy na palcach i jednej prostej kreski nie potrafi zrobić? Oj, Miriam, ja własnej córki nie poznaję, ja...

Ojciec długo by jeszcze perorował, gdyby pędem nie wróciła do mieszkania Ajka. Znowu płakała, aż się trzęsła.

- Mamo, mamusiu, Mirka, tato!

- Co się stało?!

- Nadepnęłam na gazetę!!! Ojej, mamuniu, och jej, ja nadepnęłam na gazetę!!!

Tato zrobił wielkie oczy.

- Ty córuchna, chyba jesteś myszuga - powiedział. -Nadepnęłaś, i co? Przecież to nie świętość, gazeta.
- Ziek, ty się puknij - załamała ręce mama - czy w ogóle na ulicę nie wychodzisz?
- Prawie nie, bo co?
- Mamo - płakała Ajka - chodź! Bo to się ruszało! Mamo, tam ręka wystawała i jak nadepnęłam, to podskoczyła. On żyje! Mamo...

Mama tak jak stała, w niezbyt czystym, zabrudzonym mąką fartuchu, wybiegła za Ajką na ulicę. Ja też poszłam. Siostrzyczka rozglądała się, ale wszystkie gazety wyglądały podobnie. Leżało ich dosyć dużo.

- No?
- Nie wiem - łkała Ajka - to była polska gazeta.
- Skąd wiesz?
- Bo poznałam literki.
- Sto razy ci mówiłam - zdenerwowała się jeszcze bardziej mama - żebyś uważała, żebyś omijała gazety. A ty le-

44

ziesz jak nieprzytomna, na pięć minut nie można cię z oka spuścić. No?

- Nie wiem. Ojej, mamo, to ta! Ta! Zobacz, ręka wystaje! A mankiet był w paski, pamiętam!

Nie miałam odwagi podejść, siostra wtuliła twarz w moją spódnicę. Mama z zaciśniętymi zębami dotknęła przegubu wysuwającego się z pasiastej koszuli.

- Ona ma rację, czuję tętno - powiedziała i odsunęła gazetę. Leżał pod nią mężczyzna w nieokreślonym wieku, wychudzony do ostatecznych granic. Wydawało się, że nie oddycha. Nie wiem, czy bardziej mi było żal Ajki, czyjego...
- Mirka, leć po doktora, może można jeszcze coś...

Nie słyszałam już dalszego ciągu. Lekarz mieszkał za rogiem, pobiegłam jak do pożaru. Był w domu.

- Czekaj, dziecko, zaraz idę - mówił, zabierając lekarską walizeczkę - już idę. Pewnie rodzina myślała, że nie żyje. Może stracił przytomność i poruszył się, jak siostrzyczka nadepnęła. Czekaj, wezmę laskę.

Uprzejmość lekarza na nic się jednak zdała. W ciągu tych paru minut mężczyzna skończył umieranie i nie pozostało nic innego, jak zakrycie go ponownie gazetą.

Ajkę mama wysłała jednak do koleżanki i kiedy wróciła wspomniała zmarłego tylko mimochodem.

- Czego on był taki siny? - powiedziała - Pewnie się długo nie mył.

- Nie opowiadaj takich rzeczy przy kolacji, smarkata - rozłościł się Józio - nie oglądaj trupów na ulicy, to nie będziesz sobie, ani innym, obrzydzać jedzenia. Tyle huku o byle co, zwariować można!

Mama coś mruknęła, tato złapał się za głowę i na tym skończyła się sprawa gazety. Dowiedzieliśmy się jeszcze od sąsiadki, że to był student medycyny, syn zmarłego niedawno doktora Błata. I że z tej rodziny już nikt nie został.

45

... I Maria w końcu naprawdę zasnęła. Kiedy ocknęła się na dobre, była już czwarta, a Gabriel siedział tak jak przedtem i czytał tego „Rocznika”. Marii zrobiło się głupio.

- Okropnie cię przepraszam - powiedziała - przecież na pewno masz jakieś swoje sprawy, a tu tylko tracisz czas. Może dać ci coś do jedzenia, Boże mój, na pewno umierasz z głodu.

- Leż - zakrzętnął się Gabriel - leż i nie wstawaj. Nie mam żadnych spraw do załatwienia, kanpkę już sobie wziętem. Może ci zrobić jajecznicę?

Maria nie bardzo lubiła, kiedy ktoś jej czegoś zakazywał. Wysunęła jedną nogę spod koca, potem drugą. Kolano rwało jak cholera, ale ból głowy prawie minął. No, może lekki zawrót się poczuło...

Gabriel zdenerwował się nie na żarty.

- Mówiłem ci, leż!

- Nie chcę być niewdzięcznym bydlęciem...tego...bydlęciem, ale niby z jakiej racji mi rozkazuje?

- Jestem medykiem.

- Zęby mnie nie bolą.

- Maria..

- A w ogóle to muszę siusiu, mogę iść, czy mam napisać podanie?

Gabriel spojrzął na Marię i uśmiechnął się.

- Jesteś szalenie bezpośrednia. Na oko dama, „nie tknij mnie, nie rusz mnie”, a tu nagle „siusiu”.

- Według ciebie ta czynność nie przystoi damie? Jak miałam się wobec tego wyrazić?

- Kiedy mnie się to podoba - kiwnął głową Gabriel - owszem. Chociaż moja pierwsza żona

powiedziałyby, że chce iść do wuceciku.

46

- Dokąd?!
- Do W.C.

Maria przyjęła to do wiadomości, chociaż po chwili, kiedy kroić pomidory na szybko zaimprovizowany obiad (parówki, ziemniaki smażone, sałatka warzywna, woda mineralna), zastanowiła się. Pierwsza żona? To znaczy, że były następne? Ile? Może ten facet żeni się i rozwodzi nałogowo? Może jest bawidamkiem, jak to nazywała kiedyś mama? Dzisiaj nazwano by go dziwkarzem. Kto wie, starość kobiety to zupełnie co innego, niż starość mężczyzny. Taki siedemdziesięcioparolatek może poderwać pięćdziesięcioletnią kobietę. Dentysta! Kto wie, może leży na forsie? Mógł mieć kilka żon, a z Marii sobie po prostu żartuje. Co mu po takiej sferej babie?

Maria ze złości nie dopilnowała parówek, dwie z pięciu pękły i teraz będzie musiała sama je zjeść. Nie znosiła tego, kiełbaski nasiąknęły wodą, przecież nie da ich gościowi.

Do kuchni zajrzał Gabriel.

- Co ty tu robisz, ile razy mam ci...myślałem, że zemdlałaś w tym...
- ...wuceciku? Nie, robię coś do jedzenia.
- Ale po co?
- Żeby jeść.
- Nie jestem głodny.
- To zjem wszystko sama.

Gość zajrzał do garnuszka, spojrzął na patelnię.

- Pięć parówek zjesz sama i tyle kartofli? Zaszkozi ci.
- To mi pomóż.

No i skończyło się oczywiście na wspólnym obiedzie. Gospodyni wyjęła nawet wino z szafki, do wina podała słone paluszki, orzeszki. I po tym winie nie wytrzymała.

- Miałaś żonę?
- Mmmm.

47

- I co?

_ ?

- No, rozwiedliście się?
- Nie.
- A co?

Maria wiedziała, że jest wścibska, że Gabriel nie chce o tym mówić, ale jakoś nie mogła się pohamować.

- Z pierwszą się rozwiodłem. To znaczy ona się ze mną rozwiodła, wyjechała do Stanów z takim jednym. I z Moniką. Naszą córką.
- A..no, a co z drugą?
- Umarła. Wypadek, wjechała na drzewo i żebro jej przebiło serce.
- Boże!!! Kiedy?

Gdyby Maria nie miała za sobą takiego ciężkiego dnia, gdyby nie wypita wina, już dawno by zamilkła. Gabriel na szczęście zdawał sobie z tego sprawę.

- Już dosyć dawno. Przebolałem. I żebyś od razu wiedziała, że więcej żon nie miałem. Na razie.
- Jak to „na razie”? Masz kogoś?
- To zależy od ciebie, Mario, czy mam kogoś... Nasze życie, całe nasze dalsze życie zależy od ciebie.

Maria spojrzała na mężczyznę, który siedział z kieliszkiem podniesionym do ust, z wyrazem oczekiwania na twarzy. „To absurd - pomyślała - nigdy nasze życie nie zależy od nas. Nie od nas. Od tego, co jest dookoła, co się dzieje, od ciężarówki, choroby, od tego, czy się zejdziesz z chodnika na jezdnię... Nie od nas...”

Rozdział VI

Całe życie mnie to gnębi, że tak słabo pamiętam Józka... Był ode mnie o kilka lat młodszy, o kilka ważnych lat, bo ja byłam dorastającą panienką, a on był dzieckiem, którym rodzice nie pozwolili mi się zajmować, a potem chłopcem, wiecznie czymś zaabsorbowanym, latającym z kolegami po podwórkach, wracającym z poobijanymi kolanami. Nie dawał się pogłodzić, ani pocałować, pyskował przeokropnie, do mamy nie miał takiej śmiałości, ale na mnie sobie używał. Kiedy spotykał mnie z Heńkiem, latał za nami i wrzeszczał „Narzeczeni w ciemnej sieni, dają cmoka pannie Geni”. Było to zupełnie bezsensowne i drażniło mnie aż do łez. Heniek za to się śmiał.

- Daj spokój, Miriam - mówił - nie goń go, bo po pierwsze, on ma szybsze nogi, a po drugie, co mu możesz zrobić?
- Nogi z tyłka wykręcę i wkręcę w ucho!

- Chyba, że tak - śmiał się Heniek, bo wyobrażał sobie, jak Józek będzie wyglądał z tą nogą w uchu.

Kiedy wracałam do domu, prosiłam brata, żeby przestał, usiłowałam go przekupić, kiedyś zdobyłam nawet kawałek czekolady.

- Masz i przestań nas przezywać - powiedziałam.

Ale Józek czekoladę oddał Ajce i na drugi dzień, kiedy nas przydybał pod domem, zaczął wrzeszczeć „Narzeczona, narzeczony, głupi kretyn z każdej strony!”. Akurat ten

49

wierszyki usłyszała mama, która szła oddać klientowi spodnie załatane przez tatę.

- Chodź no tu - zawołała Józka - coś, smarkaczu, powiedział?
- Nic.
- Myślisz, że twoja mama jest głucha? Dlaczego dokuczasz ludziom? Kogo przezywałeś?
- Pani Rose, pani się na niego nie gniewa - wyrwał się niepotrzebnie Heniek. - Niech sobie układa te wierszyki, widocznie ma zdolności poetyckie.
- A co - powiedziała mama złym głosem - to się do was odnosiło?

Stałam ze spuszczoną głową.

- Do was?
- No, do nas.
- Mirka, w tej chwili idź na górę, Chaim, wracaj do rodziców. Ja mam tu z córką do pogadania, a ty, Chaim, jesteś już dorosły, rozumu nie masz?
- Czego mama od nas chce - zdenerwowałam się - co to, nie wiesz, że się spotykamy?
- Jak koledzy, a ja tu słyszę...

Heniek nie stracił głowy. Podszedł do mamy, wytarł spocone ręce o workowate spodnie i zaczął:

- Pani Rose, wobec zaistniałej sytuacji, ja Henryk... to jest Chaim, niniejszym mam zaszczyt prosić panią, pani Rose, o rękę tej oto Miriam i przyrzekam...

Mama rzadko używała brzydkich słów, więc warknęła:

- Ty, Chaim, możesz mieć zaszczyt pocałować mnie, panią Różę Rose, w piętę, rozumiesz? Zmiataj do swojej ma-mele, ale już! Józek, zaniesiesz te spodnie pod numer pięć, mieszkania osiem i niech ci zapłacą od razu, a jak nie, przynieś spodnie z powrotem!

- Ale mammo, Kopel na mnie czeka!
- To poczeka, wielka osobistość, Kopel! Mirka, na górę!

50

"1

Wydawało mi się dotychczas, że mama wie, że się z Heń-kiem kochamy, przecież ciągle o nim mówiłam. Może zmyliło ją to, że znaleźliśmy się od dzieciństwa i chodziliśmy nawet przez pewien czas do tej samej szkoły. Może nie zauważyła momentu, kiedy przyjaźń przerodziła się w miłość.

- Siadaj - powiedziała teraz zimnym głosem - i opowiadaj. Co między wami jest, no?
- Ojej - usiłowałam bagatelizować sprawę - czego się złościysz? Heniek chce się ze mną ożenić. Kochamy się.
- I co?
- Co „i co”?
- Już ty dobrze wiesz, o co cię pytam. Znalazłaś sobie czas na amoryj Smarkata! Heniek-szmeniek! Co wy możecie wiedzieć o miłości! Narzeczeni od siedmiu boleści i ósmego skonania! Jeszcze mi tego brakowało! Czy to jest czas na miłość, no, powiedz sama, Mirka, przecież nic nie wiadomo, dzisiaj człowiek jest, a jutro go nie ma, czy teraz akurat trzeba się przywiązywać do człowieka, jak się nie musi?!

W słowach mamy było coś fałszywego, miałam wrażenie, że trzeba myśleć akurat odwrotnie.

- Właśnie, że teraz - krzyknęłam - bo jak nie teraz, to może już nigdy! Właśnie przeciwnie, trzeba kochać, wszyscy nas nienawidzą, wszyscy chcą nas zabić, to czym więcej można mieć miłości, tym lepiej! Niech ten człowiek, którego jutro może nie będzie, wie, że ktoś go kochał. Na co ja mam czekać, mammo, na co Chaim ma czekać? Na lepsze czasy? Aż przyjdzie Mesjasz? A może to dla mnie za długo, a może Mesjasz już przyszedł, tylko umarł na tyfus albo go zamordowali, bo musiał przejść przez aryjską stronę? Co?

- Nie bluźnij - wyjąkała mama, spojrzała na mnie i nagle zaczęła płakać.

Podeszła, przytuliła mnie z całej siły i szepnęła:

51

- Może ty masz trochę racji, dziecko moje kochane. Tylko uważajcie i jak czegoś nie wiesz, to ja ci powiem, bo nie daj Boże, żeby coś...
- Wcale tego między nami nie ma - powiedziałam okropnie zawstydzona - bo i gdzie?

Głupio mi było okropnie, mamie chyba jeszcze bardziej, bo obie z ulgą powitałyśmy powrót Józka.

- Dali - powiedział i położył pieniądze na brzegu stołu. -To ja już mogę iść do Kopia?

I poszedł. Jak to jest, przecież Ajka była młodsza od niego, a pamiętam ją z tamtych czasów o wiele lepiej. Pewnie dlatego, że ciągle mnie o coś pytała, że się do mnie przytulała, że byłam dla niej autorytetem. No i dlatego, że potem żyła... A Józek... A Józek wtedy poszedł do kolegi i już nie wrócił na własnych nogach. Chyba po pięciu minutach usłyszałyśmy na schodach rumor i krzyki i mama, tknięta złym przecuciem, otworzyła drzwi. Na półpiętrze stał nasz sąsiad z dołu i jeszcze jakiś mężczyzna. Jeden trzymał na rękach Józka, drugi podtrzymywał mu głowę, z której lała się struga krwi.

- Józek!!! - krzyknęła mama nieswoim głosem -Józek!!! Żyje?!

- Pani otworzy szerzej drzwi, pani Rose - powiedział sąsiad - a Mirka niech leci po lekarza. Tego akurat towaru w getcie nie brakuje, żeby jeszcze mieli lekarstwa. ..

Nie czekałam na dalszy ciąg, pobiegłam do doktora, po chwili byliśmy już w domu. Doktor Piker, tak, nazywa! się Samuel Piker, obmacywał głowę Józka, nogi, klatkę piersiową. Mama załamywała ręce.

- Ja nie wiem. Ja się dowiem, ale chyba to nie będzie możliwe. Co się jemu stało, że jest taki...spadł z dachu, czy co?

Nasz sąsiad ciągle stał w korytarzu, a słysząc pytanie Pi-kera wszedł do pokoju. Spojrzał z żalem na nieprzytomnego Józka, na mamę z poszarzałą twarzą, na ojca, który milcząc jak kamień trzymał w ręce dłoń swojego synka.

- Z jakiego dachu, pan doktor żartuje - powiedział. -Nie zszedł z chodnika. Co, pan nie wie, że nasze życie zależy od tego, czy się zejdzie z chodnika na jezdnię? Leciał gdzieś i nie zauważył, że Niemiec idzie z drugiej strony.

- Tyle razy mu mówiłam - zapłakała mama.

- A bo to taki chłopak słucha, co się do niego mówi? No i nie zszedł z Chodnika. A ten jak go kopnie, jak zacznie wrzeszczeć, jeszcze jak panin synek leżał na ziemi, to go kopał, jakby nie mógł przestać, po nerkach, po głowie.

- Pan da spokój - wtrącił doktor - słuchać tego nie można.

Ale sąsiad chciał wszystko dokładnie opowiedzieć.

- Można, można, niech wszyscy wiedzą, może ktoś przeżyje, to opowie. Kopał go i kopał, aż tu patrzy, że całe buty ma krwią Józia powalane, to kazał jednemu, co stał w bramie, zdjąć czapkę i tą czapką buty wyczyścić na glanc. I w końcu jego też skopał, bo nie da się tak na sucho krwi wyczyścić. I poszedł, a jak poszedł, to myśmy Józka zabrali i tu przynieśli. A tego z czapką rodzina zabrała, ale on już nie żył. A Józio co, przeżyje?

Doktor Piker kiwał głową w tył i w przód, w tył i w przód.

- Za co mnie taka kara spotyka - mrucał - za jakie ciężkie przewinienia ja się skazałem, żeby tu być

lekarzem, co nie może leczyć. Co ja takiego w życiu zrobiłem, że mnie tak, Panie, karzesz, żebym ja musiał matce odpo-

53

wiadać na takie pytania, żebym ja musiał oglądać chłopaczka, żydowskie dziecko, co rano na swoich nogach biegało, a teraz leży tu, jak wróbelek nieszczęsny, jak...

- Róża - przerwał jeremiady lekarza ojciec, a jego głos był zimny i spokojny - Róża, żono moja. Weź do ręki dłoń naszego syna. Weź do ręki zimną, martwą dłoń naszego syna, naszego Josefe, naszej nadziei...

I tak się stało, że lepiej pamiętam śmierć Józka i patetyczne słowa ojca, niż samego Józka, o którym nie umiałabym wiele opowiedzieć i nie jestem nawet pewna, czy miał czarne oczy, jak mama i ja, czy zielone, jak tata i Ajka.

Na szczęście, doskonale sobie to przypominam, Ajki nie było wtedy w domu, poszła do sąsiedniej kamienicy, do koleżanki. A kiedy wróciła, kiedy opłakała już śmierć Józka, powiedziała:

- Mamuniu, bądź spokojna, ja nigdy nie będę taka niegrzeczna, jak Józek, którego Niemiec musiał ukarać. Ja wiem, że dobre dziecko powinno zejść z chodnika kiedy zobaczy Szkopa, bo jak nie, to będzie ukarane. Grzeczne dziecko nie robi siusiu w majtki, nie pyskuje, nie zjada czyjegoś jedzenia, nie nadeptuje na trupy i schodzi z chodnika. Nie martw się o mnie, mamusiu, dobrze?

* * *

- Źle się czujesz? Może ja niepotrzebnie akurat dziś zawracam ci głowę? - zapytał z niepokojem Gabriel, a Maria przytaknęła.

- Rzeczywiście, nie czuję się najlepiej.

- Zostawmy tę rozmowę - wycofywał się gość - nie odpowiadaj na moje pytanie, zadałem je nie w porę i za wcześnie. Ja jednak zatelefonuję do twojego syna, nie powinnaś sama zostawać na noc.

54

O tym nie mogło być mowy. Szymon na pewno przygotowywał się do jutrzejszych urodzin Justynki. Maria jednak nie musiała w to wtajemniczać Gabriela.

- Sama do niego zatelefonuję.

Mężczyzna podał jej słuchawkę.

- No, proszę.

- Potem.

- Ja to chcę słyszeć.

- Potem.
- Zostanę, dopóki nie zapewnisz sobie opieki na noc. Po takim wypadku możesz mieć jakieś komplikacje, głowa cię bolała. Nie ma mowy, żebyś wyszedł, dopóki tu ktoś nie przyjdzie.
- Gabrielu, ^nie uważasz, że rościsz sobie prawa, które...
- Trele-morele... Nic nie roszczę, ale się stąd nie ruszę. Albo ja tu zostanę na noc, albo ten twój Szymon.
- A może być Ruta?
- Jaka... a, ta od brydża. Może być.

Ruta była w domu, mieszkała sama, nie miała żadnych zobowiązań i prośbę Marii przyjęła wręcz z entuzjazmem.

- Mireczko kochana, oczywiście! Z przyjemnością. Za chwilę przyjadę, tylko po drodze wstąpię do sklepu, kupię łososia, salami, mandarynki, winogrona! Winko! Zrobimy sobie ucztę!
- Nigdzie nie wstępuj - zdenerwowała się Maria - niczego nie kupuj, już jadłam. I jakoś nie bardzo się czuję, pójdziemy spać.
- O siódmej?!
- To ja pójdę spać.
- Dzisiaj dają wystrzałowy film.
- To sobie obejrzysz.

55

- No dobrze, zobaczymy, najwyżej zjemy wspaniale śniadanko - ekscytowała się Ruta. - Już jadę, jesteś sama?
- Nie.
- Szymon jest?
- Nie.
- A kto?
- Pan Gabriel.

Głos Ruty przestał brzmieć radością.

- Skąd on się wziął u ciebie?

- Przypadkowo przyszedł.
- Przypadkowo?! Już ja znam takie przypadki, jak ci nie wstyd, siwe włosy i bara-bara!

Przerażona Maria spojrzała na Gabriela. Słyszysz, czy nie? Patrzy w okno, nie widać wyrazu twarzy, ale ramiona podejrzanie mu się trzęsą.

- Zwariowałaś, co ci w głowie, jakie bara-bara? - powtórzyła nieopatrznie Maria i jeszcze raz spojrzała w stronę Gabriela. Śmiał się teraz już zupełnie jawnie.
- Niech cię cholera, przyjeżdżasz, czy nie?!
- Może przeszkodzę?
- Ruta!
- No dobrze, już jadę.

Maria wściekła odłożyła słuchawkę. Gabriel wycierał zażawione oczy chusteczką.

- Ta twoja przyjaciółka jest bezkonkurencyjna - wyjąkał - no i jesteśmy skompromitowani na wieki, musisz za mnie wyjść.
- Idź do diabła.
- Przy okazji powiedz jej, że już się nie mówi bara-bara.
- A jak? - wyrwało się Marii.
- Lepiej ci nie powiem, bo jeszcze mnie uszkodzisz. To nie są określenia dla damy. I wiesz, lepiej jednak pójdę zanim mnie przydybie ta baba. Na pewno przyjedzie?

56

- Na pewno.
- Jakby nie, to zadzwoń.
- Zadzwonię.
- Bardzo cię lubię, Mario moja kochana - powiedział na zakończenie Gabriel.

I poszedł, a w chwilę później zjawiła się Ruta, trochę na-bzdyczona, ale jednak obładowana zakupami.

- Cicha woda brzegi rwie - powiedziała na powitanie i zapytała - a jak się czujesz?
- Fatalnie - jęknęła Maria i skłamała. Ale doprawdy, chciała się położyć, a na salami i łososia nie miała najmniejszej ochoty.

Nie do wiary, nie miała ochoty na salami, kto by uwierzył...]

Rozdział VII

Takiego głodu, jaki był później, Józio nie doczekał, ale nawet wtedy, gdy umierał, nie był syty. Nikt nie był syty, tacie za łataninę płacili byle co, a pan Abram, któremu tato w pocie czoła i z pomocą mamy przenicował spodnie, nie zapłacił w ogóle nic.

- Ty mi, Izaku, musisz wybaczyć, wzięli ode mnie za tę metrykę więcej, niż myślałem.
- To nie trzeba było dawać mi tych spodni. Napracowałem się jak dziki osioł.
- Przecież muszę mieć coś porządnego na wyjście. Nie pokażę się za murami jak oberwaniec, zaraz by mnie rozpoznali.
- Myślisz, że tam Polacy chodzą we frakach? Że mają miody? Też się męczą.
- Ale nie aż tak...

Tato machnął ręką. Po śmierci Józia skapcaniał, mama prosiła go, żeby coś robił, bo nie będzie chodziła po darmową zupę, skoro można jeszcze jakoś bez tego żyć, a dzieci mają ojca i matkę.

- Niech będzie ta zupa dla sierot i dla starców, a my na razie jakoś ciągniemy.
- Już dobrze - mówił zmęczonym głosem tata - żeby nie Ajka, żeby nie Mireczka, palcem bym nie ruszył.

To było miesiąc później... nie, może dwa miesiące, daty mi się ciągle mylą, niektóre rzeczy pamiętam wyraźnie, a inne mi się ćmią, są zamglone... W każdym razie pewne-

58

go dnia znowu przyszła Chanina. Wyglądała nieźle, może włosy jej trochę zrzedły, a może nie, w każdym razie zapukała ostro, jak zwykle i weszła do kuchni.

- Co słyhać, pani Chanina - przywitała ją bezbarwnym głosem mama - dawno pani do nas nie zachodziła.
- Tak jakoś... Szmulek mi chorował, ale, tfu, tfu, wyzdrowiał, co pani powie, z tyfusu się wygrzebał. Ja tych szyjek nie sprzedawałam, bo gotowałam je dla dziecka, co pani powie, wyzdrowiał! Lata jak dawniej! Dlatego nie przychodziłam, ale dziś mam dla pani taki towar, taki towar, że niech pani siada, bo pani się przewróci, jak pani zobaczy, co Chanina dla pani niesie.
- A jak się miewa siostrzyczka? - przypomniałam sobie.
- Oj, panieriKo Mirusiu, jej się zmarło, ona tego tyfusu nie przeżyła, może jej lepiej tam, niż tu... Bo ostatnimi czasami to ona całkiem już była myszuga, całkiem rozum straciła. Umarło biedactwo... Ale co ja tu gadam, chce pani obejrzeć towar?

I nie czekając na pozwolenie Chanina wyciągnęła z torby tobołeczek. Rozwinęła go ostrożnie i naszym zachwyconym oczom ukazało się pięć jajek. Jedno było troszkę pęknięte.

- No?! - powiedziała z dumą handlarka - No?! Dobre jedzenie, koszerne! Za to nad tłuczone to ja opuszczę. No?

- A ile Chanina za to chce? Bo u nas z pieniędzmi nie bardzo.

- Co ja za to chcę? Ile ja mogę za to chcieć? Tyle, żeby się opłacało zrobić dzieciom przyjemność. Oj, ja wiem, że Józio tak lubi jajeczka, jak mu pani Róża ugotuje, to on ze smakiem zje.

W kuchni zapadła taka cisza, że usłyszała ją nawet gadająca bez przerwy Chanina.

- Co jest? Co jest, pani Rose? Mirka?

59

- Józia już nie ma - odezwała się Ajka, przytulając mocno Teofilę - Józia Niemiec pokopał i teraz Józio jest w ciemności, pod ziemią.

Handlarka ciężko usiadła na stołku.

- Taki rok na tych bandytów, to Józio też? Ale ty źle mówisz, Ajuniu, Józiovi nie jest ciemno. Ani mu nie jest ciasno, ani nie jest tak, że mu źle oddychać. Dlaczego ma mu być ciemno, czy zimno, jak on nic nie czuje, nic nie widzi i nic mu na tej ziemi nie może przeszkadzać? Tam nie ma żadne „ciemno”, Ajuniu, może coś jest, ale już nie na tym świecie, a o tamtym, to na mój rozum nikt nic nie wie, bo nikt żywy tam nie był. Może go wcale nie ma? Nie martw się Ajuniu, nie jest Józiovi ani ciemno, ani jasno, wcale mu nie jest...

Mama oparła głowę o stół i zaczęła tak płakać, jak nigdy do tej pory. Wyjęłam z woreczka pieniądze, które dostałam za ostatnie lekcje polskiego.

- Wystarczy?

- Za dużo.

Chanina odliczyła należność za jajka i pogładziła Ajkę po głowie.

- Ta Dora, dla której miałam towar, to wczoraj się otruła - szepnęła. - Ta Dora. No. Zamawia jajka i się truje. Nawet listu nie zostawiła. Ja bym tam Szwabom w ich robocie nie pomagała, a tak, to niech Mirka patrzy, mają do zabicia jedną Żydówkę mniej. I te jajka mi zostały. A niech tam, dołożę jeszcze pipek, taki smutek w waszym domu, taki żal. Ładny był chłopiec z Józia, mógł sobie, biedak jeszcze chociaż te trochę pożyć.

Przestraszyłam się.

- Dlaczego Chanina mówi „trochę”?

-Tak sobie mówię, co ja tam stara wiem, Mirka niech sobie tego do głowy nie bierze. Oj, co za nieszczęście na nas przyszło, taki cures. Pani Rose, pani tak nie płacze, bo pa-

60

ni serce weźmie i pięknie, a przecież ma pani jeszcze dwie, bez uroku, śliczne córeczki. To ja już idę...

Ajka pociągnęła nosem i powiedziała:

- Ale Chanina nam w końcu nie powiedziała, jak się nazywa?
- Estera, moje dziecko, Estera mam na imię, a na nazwisko Rozensztajn. Też od róży, podobne do waszego. To ja już mówię do widzenia i ja już idę.

I poszła. Wiele lat minęło, a ja ciągle jestem wdzięczna Ajce, że zapytała Chaninę o nazwisko, bo przecież nigdy by potem Szulka nie rozpoznała...

/

- Czemu ty tak po ciemku siedzisz? - zapytała Ruta. Film się widocznie skończył, w telewizji szły reklamy, a Rucie się nudziło. Maria miała w stosunku do niej uczucia ambiwalentne. Znały się od wczesnego dzieciństwa, przed wojną mieszkały w tym samym domu, z którego trzeba się było wynosić, kiedy zawęzał się teren getta. Tyle, że Ruta tam nie weszła. Udało się ją umieścić w klasztorze, gdzie otoczona czułą opieką przez zakonnice, przeżyła spokojnie całą okupację. Chodziła nawet, w asyście dwóch sióstr, które za habitami skutecznie ukrywały trochę za czarne oczy i włosy dziewczynki, na spacer nad pobliską rzeczkę. Siostra Teresa uczyła Rutę religii, w końcu też pupilka, za zgodą rodziców, z którymi zakonnice miały przez pewien czas kontakt, została ochrzczona. Siostry długo myślały, jakie by dać jej imię, na które reagowałyby bez niebezpiecznego wahania, w końcu siostra Teresa zaproponowała: „Małgorzata”. Wydawało się to bezsensowne, jednak zakonnica, która miała trzy bardzo światowe rodzone siostry powiedziała, że od „Małgorzaty” modne jest spieszczenie „Rita”, a od Ruty do Rity niedaleko. Pomysł

61

okazał się genialny, a po wojnie, Ruta znów powróciła do „u”, co nie przeszkadzało, że religijna stała się aż do dewocji. Wszystkich dookoła usiłowała nawracać, a chłopców, którzy się nią interesowali, ciągnęła w czasie randek do kościoła. Jednego przekonała tak skutecznie, że wstąpił do seminarium duchownego.

Ruta pobiegła wtedy do siostry Teresy, aby wypłakać jej się w habit.

- Dziecko drogie, trudno, bądź zadowolona, że przysporzyłaś Kościołowi duchownego. A następnym razem idź z chłopcem na spacer, albo na jakiś dobry film do kina. Albo zaproś go do domu, tylko, żeby babcia była...

Bo rodzice Ruty zginęli i dziewczynka mieszkała z babcią, bardzo mądrą kobietą, tylko trochę oschłą.

Rady siostry Teresy nie poskutkowały, każdy chłopak był egzaminowany ze znajomości religii, każdy

musiał co tydzień przystępować do komunii, a czasy były takie, że nawet ludzie wierzący bali się z tym afiszować. Oczywiście, nie wszyscy, w każdym razie chłopcy Ruty. W końcu zostawił ją na lodzie taki jeden Ludwik, Ruta miała już czterdzieści lat i to był koniec jej flirtów. Zresztą chodziło chyba nie tylko o młodocianą dewocję, a co za tym idzie o dokuczliwą w końcu cnotę koleżanki Marii. Była ona - lub może stała się - apodyktyczna, wścibska i zazdrosna. Była też dobra, uczynna i pomagająca ludziom. Tak więc Maria w stosunkach z nią przerzucała się od gorącej sympatii do wściekłej złości. Raz chciałyby spotykać się z Rutą jak najczęściej, a po tygodniu bywała bliska morderstwa. W chwili, kiedy Ruta zapalała światło, ogarnęło ją to drugie uczucie.

- Po co mnie budzisz, przecież wiesz, że źle się czuję.
- Nie ze mną te numery, Bruner - zacytowała koleżanka kwestię z polskiego serialu - wielkie rzeczy, kolano! Przyznaj się, że chciałeś tu ściągnąć Gabriela? Tylko nie

62

rozumiem, dlaczego nie został na noc? Może on już nie może? Co?

- Odczep się, kobieto! - jęknęła Maria - Skąd ja mogę wiedzieć, on tu sam przyszedł.
- Po co?
- W odwiedziny.
- Tyle to wiem. Podobasz mu się? A ja go pierwsza poznałam i tak na mnie patrzył... A ty się wkręciłaś.
- Gdzie, na litość boską?!
- Nie wzywaj imienia Pana nadaremno, sto razy ci mówiłam!
- Przepraszam. To gdzie się wkręciłam?
- W jego serce.
- Zwariowa^ś na stare lata? Mniszkówny się naczytałaś?
- Lepsza Mniszkówna niż te nowomodne amerykańskie powieści, w których jedynym meblem jest łóżko. Wstyd i ohyda!
- Skąd wiesz, czytałaś?

Ruta się zaczerwieniła.

- Niechący. A ty to też jesteś. Mało ci było jednego męża, musisz polować na drugiego. Chociażby przez pamięć na Leona nie powinnaś uwodzić Gabriela.
- Rutka, odczep się, jeśli po to przyjechałaś, żeby mi tu pieprzyć...

-... no wiesz!

-...to jedź do domu i zostaw mnie.

- A jakże, żebyś zadzwoniła do Gabriela.
- Nie twój interes. Dasz mi herbaty, czy mam sobie sama zrobić?
- Nie wstawaj, oczywiście, że ci dam.

Ruta pobiegła do kuchni i po chwili wróciła z tacą. Stała na niej szklanka herbaty, na talerzyku leżała pokrojona bułka, obok niej czerwienił się łośoś.

63

- Nie mów mi, że nie będziesz jadła kolacji - oświadczyła przyjaciółka - bo wepchnę ci ją na siłę w te pyskate usteczka. łośoś jak malowanie, prawie czerwony, a tu masz listek sałaty. A jakbyś wolała salami, to też ci ukro-ję. Może napiłabyś się wina?

Maria spojrzała ze wzruszeniem na troskliwie zastawioną tacę, na elegancko złożoną serwetkę, na równiutko pokrojoną bułkę. To była właśnie cała Ruta, uważna, odgadująca cudze chęci. Bo jednak Maria poczuła, że tego łośosia, którego nie widziała chyba z rok, chętnie zje.

- Nie, kochanie, wina nie. Ale w lodówce jest puszka piwa, marzę o piwie.
- DO ŁOSOSIA???? - ze zgrozą wyszeptała Ruta.
- No to co?
- Maria! To szczyt wszystkiego! Nie wypada!
- A czy ja jestem na przyjęciu w Białym Domu?

Ruta, mrużąc pod nosem zaciekle słowa protestu, poszła jednak po to piwo, które z obrzydzeniem otworzyła i nalała Marii.

- Ja tego nie widzę - oświadczyła.
- No i dobrze.
- I nie mów Gabrielowi, bo cię rzuci jak rozpalone żelazo.
- Nie ma mnie co rzucać, nie jesteśmy parą. A dla ciebie będzie lepiej, jeśli się do mnie zrazi, będziesz mogła go poderwać.
- To młodzieżowe słownictwo z epoki węgla kamiennego wcale do ciebie nie pasuje - stwierdziła Ruta - jakbym chciała narobić ci koło pióra, to powiedziałabym Gabrielowi, że pijesz piwo do łośosia.
- Możesz mu powiedzieć, proszę bardzo, nawet sama mu powiem. Wielka afera, pomyślałby kto.

Ręczę ci, że to go do mnie nie zrazi.

- Okropnie jesteś pewna siebie.

64

Marii nagle zachciało się śmiać. Siedzą tu dwie stare baby, jedna dobiega siedemdziesiątki, druga ją przekroczyła i klóć się o starego dziada, który pewnie jak przez mgłę przypomina sobie męskie sprawy i który na pewno nie jest typem filmowego amanta. Piwo do łososia, rzeczywiście, ważny problem!

- Ruta, może przestaniemy się wygłupiać. Kolano mnie boli.

- Kolano... wcale się nie wygłupiam, tylko dziwi mnie, że zapominasz o Leonie. Tak go niby kochałaś...

;

Rozdział VIII

Czyja kochałam Leona? No tak, pewnie, wspólne życie, wspólny syn...Leon, niech mu ziemia lekką będzie, był dobrym człowiekiem i jak Heniek w końcu wychodził, to mi nawet powiedział:

- Miriam, pamiętaj, jakby co, jakby jakieś nieszczęście, to zwróć się do Leona. To dobry chłopak, on ci zawsze pomoże.

Bardzo się bałam. Heniek miał wyjść nocą przez mury, po drugiej stronie miał na niego czekać taki jeden, ale on to ciągle odkładał, ciągle przewlekał, nie mógł podobno znaleźć miejsca, gdzie by Heńka przyjęli. Papiery papierami, już były gotowe, już je Heniek miał, nawet mi pokazywał, Henryk Kowalski się nazywał, a na drugie, jak na kpiny, miał staropolskie imię Krzesimir. To była metryka chłopaka, który zginął od razu na początku wojny. Bomba uderzyła w jego dom i nikt tam nie ocalał, ale metrykę akurat miała wtedy, nie wiem czemu, jego babcia. I ona tę metrykę oddała za darmo. „Mój wnuk zginął - powiedziała z płaczem - ale ciała nie znaleziono, rozniosło cały dom. To niech przynajmniej jakiś inny chłopak ma z tej metryki pożytek, niech przeżyje, niech tylko pomodli się czasem za Heniusia. Mnie tam wszystko jedno, czy będzie się modlił w kościele, w synagodze, czy pod gołym niebem. Bóg jest jeden i jest wszędzie." Zabiło wtedy tej kobiecie nie tylko wnuka, ale syna i synową, tylko wnuczka ocalała, trzyletnia dziewczyneczka, która nocowała u babci. I przez tę

66

dziewczynkę ta pani nie chciała, żeby Heniek u niej mieszkał, jako niby wnuk. „Nie mogę - tłumaczyła się - no, nie mogę. Jak go znajdą, jak wpadnie, to zabiją nie tylko mnie, bo o to bym może i nie dbała, ale Krysiunię. Nie, Krysiuni nie mogę narażać, niech mi to Bóg wybaczy." Ja ją rozumiałam i Heniek też, ale długo trwało zanim znalazł się ten stryżek na Starym Mieście.

Heniek miał tam mieszkać nie u kogoś, tylko sam, to była kłitka z kuchenką i klozetem. Wspaniałe miejsce, tylko że Heniek będzie musiał wychodzić, żeby zarobić i żeby kupić sobie jedzenie. Zarabiać miał

w jednym sklepie, ale nie sprzedawać, tylko wyładowywać towary, sprzątać i takie tam. Żeby łożo, oprócz właściciela, za bardzo ludzie nie oglądali. A poea tym miał załatwiać jakieś sprawy, nielegalne sprawy, jakąś pomoc dla Żydów, to było okropnie niebezpieczne. Wolałam, żeby w ogóle nie wychodził, a te papiery oddał Leonowi, niech on idzie. Ale Heniek mnie wyśmiał.

- Akurat, Leon się nie nadaje do konspiracji, głównie on tam załatwi. I mordę ma taką, że każde uczucie na niej widać. Miriam, ty mnie nie denerwuj. Tak ma być, trudno.

- A kiedy wyjdiesz?

Heniek objął mnie mocno, jakiś listek z naszego drzewka spadł mi na nos.

- Dzisiaj w nocy.

- Chaim... czy my... czy my się jeszcze zobaczymy?

I co mi miał Heniek na to odpowiedzieć? Pocałował mnie raz, potem drugi, odprowadził do domu...

- Do widzenia, Miriam, kochanie moje, moja żono - powiedział, a oczy miał pełne łez. - Zawsze będę cię kochał, moja Miriam.

A następnego dnia przyszedł Leon i zawiadomił mnie, że wszystko dobrze poszło, że Heńkowi udało się przejść przez mur. Strażnik był przekupiony, oślepił i ogłuchł na te

67

kilka minut. Ten facet, co miał być po drugiej stronie, już czekał i jak mu Heniek dał złoto, zaprowadził go na Stare Miasto i jakoś nikt ich nie złapał, chociaż było po godzinie policyjnej. Heniek już mieszka na tym stryszku i nawet rano poszedł do sklepiku.

- Skąd ty to wiesz? - zdziwiłam się, bo nie wiedziałam, czy mam się cieszyć i czy Leon aby nie zmyśla. Ale nie, okazało się, że były jeszcze w jakimś ważnym miejscu telefony i że Heńka sprawa też była ważna, więc ktoś do kogoś zadzwonił i Heniek bardzo prosił, żeby mi przekazać wiadomość, a ten ktoś znał Leona...No, jednym słowem, mój narzeczony wyszedł i co ja miałam teraz robić? Miałam czekać. No i czekałam, czekałam, ale o żadnych aryjskich papierach dla mnie nie słyszałam. I na razie więcej wiadomości od Heńka nie było. Tylko Leon ciągle przychodził i pytał, czy czegoś nam nie potrzeba. Na początku, przyznam się, nie bardzo go lubiłam. Wydawał mi się jakiś rozmazany, zarost mu rósł kępami i miał jakby za długie nogi i ręce. Ciągłe tymi rękami gestykulował, machał, raz mamie z rąk wytrącił kromkę chleba z marmoladą, którą niosła tacie, a raz zawadził o garnek z kartoflami i chlupnął sobie gorącą wodę na spodnie. Poparzył się w udo, a pisnął, jak mysz. Nie wyglądał na prawdziwego mężczyznę. No i miał krzywe zęby, jedna jedynka z przodu zachodziła mu na drugą. Okropnie mi się to nie podobało. Poza tym był za grzeczny, przypominał mi Uriaha Heepa z „Dawida Copperfielda” Dickensa. Kiedy to powiedziałam ojcu, bardzo się na mnie pogniewał.

- Leon to porządny i szczerzy chłopiec - powiedział z wyrzutem - jak go możesz porównywać z taką jaszczurką, z taką glistą?

- Ale on się wije i ciągle mówi takie rzeczy.
- Kto się wije, w głowie ci się wije! Jakie rzeczy?
- Jak Uriah. Z taką fałszywą skromnością.

68

- Dlaczego od razu fałszywą, on jest po prostu skromny.

Może to i była prawda, to na pewno była prawda, ale Leon nie podobał mi się i już. Ciągle za coś przeproszał, ciągle z czegoś się tłumaczył, mówił „Oj, Mirka, co tam ja, ja jestem nieważny, mnie może nie być, aby tobie było dobrze.” Okropnie mnie to złościło, chociaż mama uważała, że Leon naprawdę tak myśli.

- Czy on się w tobie nie kocha? - zapytała pewnego dnia.
- Mamo, to przecież przyjaciel Heńka.
- Ja nie pytam, czy on coś robi, żebyś ty go pokochała, tylko czy on ciebie nie kocha.
- Co mnie to obchodzi, kocha, nie kocha, dla mnie może się nawet ożenić z Chaniną.

A tymczasem wyglądało na to, że mama ma jednak rację. Leon wodził za mną oczami, przychodził, ale jeść nie chciał za żadne skarby.

- Sami macie ledwie na ząb - mówił i wychodził tuż przed obiadem, albo przed kolacją, jeżeli w ogóle była kolacja. Mama już dawno przestała karmić żebaczkę, przykro jej było, ale nie miała czym.
- Co ja mam powiedzieć tej kobiecie, jak przyjdzie - zamartwiała się - ona liczy na coś ciepłego, a co ja mam jej dać? Obierki?

Ale żebaczka jakoś się nie pojawiała i mama znowu załamywała ręce.

- Nic innego, tylko umarła - mówiła - umarła i nie ma jej. Co się dzieje na tym świecie, gwałtu, co ja mam robić?!

Ojciec bez zapału terkotał maszyną do szycia.

- Przestań Róża, jak będziesz żałować każdego obcego co umarł, to sama szybko się wykończysz. No i popatrz, gdzie ja tę łąkę wstawiłem, w całkiem dobre miejsce, a dziura jak była, tak jest. Miruchna, dziecko moje, spruj to, ja się na sekundę zdrzemnę.

69

Od czasu śmierci Józia te drzemki taty stawały się coraz dłuższe. W ogóle bardzo się zmienił, kiedyś przyszedł do domu i spojrzałam na niego obcym okiem, tak, jakbym go pierwszy raz widziała. Był prawie tysi, resztki włosów posiwiał jakąś żółtawą siwizną, uszy zaczęły odstawać, może dlatego, że schudła mu

twarz. Duży nos jeszcze jakby się powiększył, usta się zapadły, a oczy miał jakieś dziwne, patrzące przez człowieka. Ich, dawniej intensywna zieleń, zmieniła się w zielonkawą, brudną szarość. A ręce! Tato miał zawsze piękne ręce, dłonie malarza, w tych dłoniach zwykle tańczyły ołówki kreślące ściany i dachy domów, wznoszące na papierze fantastyczne gmachy. Te ręce wychudły, stawy zgrubiały, na dłoni wiły się brzydkie, fioletowe żyły, paznokcie były połamane i czasem niezbyt czyste, w dotyku palce stały się szorstkie od wiecznego dotykania starych, zmechanych materiałów. Ojciec chodził teraz przygarbiony i nawet szurał nogami.

- Dziek, co ty tak szurasz? - denerwowała się matka.

- Już nie masz innych zmartwień? - odpowiadał swoim ulubionym zdaniem tato. Na chwilę przestawał powłóczyć nogami, ale po minucie znów słycać było jego niepewne kroki.

Mieszkaliśmy już wtedy w jednym pokoju, w drugim był Dawidek z rodzicami i panią Kowalską, doszła do nich jeszcze babcia, to znaczy babcia Dawidka, którą też wyrzucono z mieszkania przy ostatnim zawężaniu terenu getta. Kuchnia była wspólna, ale co tam, i tak się prawie nic nie gotowało. I w tej kuchni właśnie siadywał Leon i zawracał głowę. Złościł mnie, ale kiedyś bardzo mi się go żał zrobiło, bo przyszedł i prawie płakał.

- Mirele - powiedział, czego też zresztą nie lubiłam - Mi-rele, mnie jest tak przykro, bo ja dla ciebie niosłem upominek.

70

- Obejdzie się, Leon, mnie nie trzeba żadnych prezentów.

- No, obejdzie się, boja go nie mam, już go nie mam, tego upominku dla ciebie.

Mama spojrzała na jego zrozpaczoną twarz.

- No, powiedz nam Leonku, co się stało?

- Pani Rose, pani wie, jak ja tu wszystkich poważam i szanuję - zaczął, a mnie się znowu przypomniał Uriah -i cały tydzień chodziłem czyścić Goldbaumowi, co handluje jedzeniem, czyścić schodki i myć podłogę i on miał mi za to dać jabłuszko dla panny Mirusi i on dał mi jabłuszko. Kiedy pani ostatni raz widziała takie piękne, czerwone jabłko bez jednej plamki i nawet z listeczkami? Ono ważyło chyba z pół? kilo, no, prawie. Dzisiaj wziąłem jabłuszko i szedłem właśnie do państwa i...

Leon położył głowę na ramieniu opartym na poręczy krzesła. Cały się trząsł, nie mógł mówić i dopiero, kiedy mama dała mu szklankę wody, pociągnął nosem i dokończył:

- ... i kiedy szedłem, to wypadł z bramy taki szajgiel, niech go cholera weźmie i wyrwał mi jabłko z ręki i ja bym go może złapał, ale on je od razu nadgryzł, a resztę obśli-nił. Przecież nie będę przynosił Mirusi ugryzionego jabłka. I nie ma jabłka... A tak się radowałem, oj, tak się cieszyłem, że Mirka coś takiego zje, jakby była na wolności, jakby to było prawdziwe życie, a nie taki erzac, taka umieralnia. Pani Rose...

Wtedy pierwszy raz spojrzałam na Leona łaskawszym okiem i nawet go pocieszyłam.

- Nie martw się Leon, liczą się dobre chęci i ja ci tak dziękuję, jakbyś mi to jabłko przyniósł. A ten chłopak będzie miał taką przyjemność jak je sobie zje, może ostatni raz zje jabłko. Nie żałuj mu, Leon, może on był głodny, a mówisz, że tylko raz ugryzł, może on je zaniósł

71

jakiemuś dziecku, co ciebie teraz błogosławi. Za to jabłko.

Leon podniósł zażawione jeszcze oczy.

- Ty, Mirele, jesteś aniołem - powiedział. - Prawdziwym aniołem. Pani Rose, pani ma anioła w domu, że tylko mu ręce całować.

I chciał mnie pocałować w rękę, a ja się znowu zezłościłam i o tę przesadę, i o całowanie. Heniek mógł mnie całować, a nie ten jakiś Leon, nawet jakby mi workami jabłka i banany przynosił. Tak właśnie powiedziałam, kiedy wreszcie poszedł, a Ajka zapytała:

- Co to jest banan?

- Taki owoc, długi i żółty.

- To jest marchewka - powiedziała z pogardą Ajka - taka duża, a głupoty gada. Marchewka i marchewka. Mamo, kiedy zrobisz marchewkę?

Ale mama nie wiedziała. Marchewka też nie leżała na ulicy...

* * *

- On ciebie też kochał - ciągnęła Rutka - a ty mu taki kawał wykręcasz. Jeszcze dobrze nie ostygł!

Marię coraz bardziej bolała głowa, gadanina przyjaciółki doprowadzała ją do szału.

- Co ty bredzisz, jaki numer, w moim wieku? Nie zauważyłaś, że już jesteśmy poza wyborem? Justynka powiedziałaaby, że mamy przechłapanie.

- Mów za siebie!

- A poza tym, to po pierwsze, Leon umarł już cztery lata temu, a po drugie, wybacz, ale to nie twoja sprawa.

Ruta podniosła się i, pełna godności, poszła do drugiego pokoju. Na progu jednak nie wytrzymała i z hukiem zatrzasknęła za sobą drzwi. Maria poczuła, że śruba wkręca jej się w mózg. Na dodatek akurat w tej chwili zadzwonił

72

telefon, jeden aparat stał tuż przy tapczanie i Maria podniosła słuchawkę.

- Mama?
- O, Szymuś. Co się stało?
- Na litość boską, czemu miało coś się stać, czy już nie wolno mi normalnie zadzwonić do własnej matki?
- Bo o tej porze rzadko dzwonisz.
- Naprawdę? A jest jakaś specjalna pora na moje telefony? Nieważne, to co, jutro o drugiej?
- Czekam.
- A kupiłeś w końcu ten prezent?
- Kupiłam, pierścionek. A wy?
- Asia sweterek, a ja dam Justysi pieniądze, już sam nie wiem, czego chce.
- Nie jest to specjalnie pedagogiczne.
- To wymyśl coś, proszę bardzo.
- Przecież mówiła o zegarku.
- Ma zegarek. Ona chce taki z bajerami, nie mam zamiaru wyrzucać na to pieniędzy i tak zgubi. A jak ty się czujesz?
- Doskonale.
- Nie wierz jej - odezwała się bezwstydnie Ruta, która podsłuchiwała rozmowę z drugiego aparatu i nawet nie miała na tyle przyzwoitości, żeby to ukryć. - Mama wpadła dziś pod samochód i rozbiła kolano.
- CO TAKIEGO???! Mamo?!
- Zamknij się, do cholery - wściekła się Maria. - Musisz się do wszystkiego wtrącać?! Nosem mi już wychodzą twoje idiotyczne odzywki, lepiej zbieraj się i wynocha! Kto cię prosił, żebyś gadała, no?

W słuchawce zaległa cisza. Po sekundzie Maria usłyszała głos syna.

- Mamo, co ja ci zrobiłem? Dlaczego na mnie krzyczysz?!

73

- Przecież nie na ciebie, tylko na Rutę. Podsłuchuje z drugiego telefonu, przyszła do mnie i...
- Naprawdę wpadłaś pod auto?

- E tam, przesada, musnęło mnie i rozbiłam kolano. Już mam opatrunek.
- Już jadę.
- Ani mi się waż! Idę spać!
- Ale jutro przyjdę sam, obiadu nie będziesz...
- Będę!
- To Asia przyjdzie ci pomóc. To jest moje ostatnie słowo. Asia przyjdzie o jedenastej, a ty zadzwoń z samego rana, bo ja cię nie chcę budzić. Czy pani Ruta może zostać u ciebie na noc?
- Mogę, po to przyszłam.
- Pocałuj mnie w nos, donosicielka! Spółdzielnia „UCHO”!
- Mamo, nie kłóćcie się.
- Dobrze, Szymon, kończmy już tę rozmowę, chce mi się spać.
- To dobranoc, a może ja jednak...

Maria odłożyła słuchawkę. Wstała z tapczanu i powlokła się do łazienki, a kiedy wróciła okazało się, że Ruta pościeliła już kanapę, postawiła na stoliku obok herbatę z cytryną, nawet książkę, która leżała otwarta grzbietem do góry na stole, założyła jakąś walającą się na półce pocztówką i położyła obok herbaty. Zgasiła też górne światło i zapaliła nocną lampkę. Obok telefonu postawiła zdjęty ze ściany, a stanowiący tylko dekorację owczy dzwoneczek przywieziony przez Justynkę z gór i wręczony babci.

- Jakbyś czegoś chciała, to zadzwoń - burknęła Ruta - i nie złość się. Ktoś mu musiał powiedzieć.
- Wcale nie. I nie wiem po co podsłuchiwałaś, wstydziłabyś się.
- Ale chyba nie mówiłaś serio?

74

- Czego?
- No, żebym poszła... ja cię bardzo przepraszam, no, rzeczywiście nie powinnam była...
- Już dobrze - powiedziała Maria, którą rozbroiła troska Ruty. - Nieważne. To ja powinnam dziękować.
- Przecież to głupstwo, szklanka herbaty...
- Ale jednak.
- Ja zawsze dla waćpani wszystko, sługa jestem i podnózek - zaśmiała się w końcu Ruta i Marii

przypomniała się jasnowłosa i niebieskooka Esterka...

;

Rozdział JX

...której dawałam lekcje poprawnej polszczyzny. Pracę tę załatwił mi Leon, który był w jakiś zawity sposób z tą Esterą spokrewniony.

- Dostaniesz za to obiady dla ciebie i Ajki. I może jakieś pieniądze też. To są bogaci ludzie, niczego nie pożąają, żeby Esterka miała szansę na wyjście. Wygląda jak aniołek, ale w domu mówi się po żydowsku, a w polskim ma taki akcent, że się słabo robi. Nie mogłaby ust otworzyć. Jak ją podszkolisz, to może uda się Esterkę przerzucić, wygląd ma wspaniały i nikt nie pozna, że to Żydówka. Mówię ci, Mirusiu, trafia ci się prawdziwy cymes. Idź i weź menażki, oni ci dadzą obiad dla Ajuni.

Oczywiście poszłam, mama mi nie dała żadnych menażek, bo nie miała, tylko dwa garnuszki i koszyczek.

- Ostrożnie, nie wylej jak będziesz wracała.

Ojciec potarł nos palcem, potem dłoń przesunął na czoło. - Na co mi przyszło - jęknął - że moja córka, córka Izaaka Rose będzie żebrała o jakieś resztki, o darmową zakupkę!

Obraziłam się.

- Jakie „żebrała”, czemu „żebrała”? Zapracuję na to.

- Właśnie - wtrącił Leon - zapracuje. Co w tym złego, panie Rose? To są bardzo porządni ludzie i nikt Mirusi nie będzie lekceważył. Czy może iść?

- Teraz zaraz?

76

- Teraz zaraz.

- No dobrze, czyja mówię, że nie ma iść? Niech idzie. Co za los, ludzie, co za los...

- Iziak, przestań biadolić, tylko weź się za tę kapotę, rękaw przyszywać, bo za dwie godziny muszę iść ją oddać.

No i poszłam z Leonem. Prawdę mówię, u rodziców Estery bogactwo aż się przelewało. W trzech pokojach mieszkali tylko oni z babcią i braciszkiem Esterłti, na podłodze leżał najprawdziwszy dywan, w kącie w przedpokoju stały dwa worki kartofli i jeden kapusty, w koszu leżały cebule i czosnek. Pod kuchnią buzował ogień, a na fajerkach stały aż cztery garnki. Potem dowiedziałam się, że w jednym była grochówka, w drugim marchewka na słodko, w trzecim dusiła się najprawdziwsza, cała kura, przepraszam, dwie kury, a w trzecim gotował się kompot z suszonych śliwek. Obok na blasze rumieniły się pokrojone grzaneczki do tej grochówki; grzaneczki były z białej butki. Wydawało mi się, że grochówka

nie jest koszerna, ale potem okazało się, że rodzice Estery nie przestrzegają takich rzeczy.

- Pan Bóg, jeśli jest, ma teraz ważniejsze zmartwienia - powiedział, dotychczas bardzo pobożny, ojciec mojej uczennicy.

Esterka rzeczywiście mówiła po polsku tak, że włos się jeżył na głowie. Ja prawie nie znałam żydowskiego i czasami nie rozumiałam jakiegoś słowa, a dziewczynka, mimo wyglądu aniołka, była psotna i nabierała mnie jak mogła. Od razu pierwszego dnia zapytałam ją jak jest po żydowsku „bardzo dziękuję”, bo na początku lekcji poczęstowano mnie połówką słodkiej bułeczki - skąd oni wzięli coś takiego, nie mam pojęcia.

- Pani Mirele, pani podziękuje o tak: „tuches”, to mamie będzie bardzo zadowolone, jak pani tak pójdzie i powie.

Podniosłam się więc z krzeselka, poszłam do drugiego pokoju, pokazałam tę bułeczkę i mówię:

77

- Kochana pani, ja bardzo dziękuję i się kłaniam, i mówię pani „tuches”.

Matka Estery poczerwieniała, a tato zaczął ryczeć ze śmiechu.

- Oj, przyszedł na mnie ostatni dzień, czas konania - jęczał przez łzy. - Oj, Fagiele, oj, ja nie wytrzymam, co ona mówi, ta nauczycielka, rozpęknę się, umrę w te złe czasy ze śmiechu.

Pani Fajga też zaczęła się trząść.

- Mirele, czyś ty ogłupiała, oj, nie mogę, Estera!!! Mojsie, to robota tej paskudy, naszej córeczki, głowę sobie dam uciąć, Estera!!!!

Esterka na paluszkach weszła przez drzwi.

- Ty kazałaś nauczycielce tak powiedzieć?

- Co ja mogę kazać, to ona ma mnie uczyć, a nie odwrotnie.

Stałam na tym dywanie zupełnie oszołomiona. W końcu pan Mojżesz jakoś się uspokoił.

- Ty. Mirka, tego słowa w ogóle nie używaj, to jest brzydkie słowo, fuj.

- Ale co to znaczy?

I okazało się, że nikt w całym domu nie zna tego słowa po polsku. Dopiero Leon, który wcale nie proszony, przyszedł po mnie, powiedział dosyć swobodnie:

- Nie wiesz, naprawdę? Tuches to jest dupa.

Po tej historii Esterka starała się mnie ułagodzić i uczyła się aż miło. Nie miałam podręczników, ale Leon

zdobył mi „Historię literatury Niepodległej Polski”, obejmującą niestety tylko lata 965-1795 Ignacego Chrzanowskiego. Były tam fragmenty literatury z tego okresu i niektóre z nich czytałam Esterce. Zdobyłam też „Pana Tadeusza” i kilka współczesnych książek dla dzieci. Esterka czytała je czasem na głos, a ja poprawiałam jej wymowę. Była zdolna i po miesiącu zasób słów bardzo jej się zwiększył. Zain-

78

teresowała się też książkami, które czytywała nawet wtedy gdy mnie nie było. Oprócz bowiem „Pana Tadeusza”, którego chciałam mieć w domu i na innych jeszcze lekcjach, wszystkie książki zostawiałam u Estey. Kiedyś nie przychodziłam do niej przez cały tydzień, bo mama zachorowała i musiałam być w domu. Kiedy przysłam po tygodniu, Esterka powitała mnie przygotowaną z góry przemową: „Droga pani Mirko, nawet człowiek prostego stanu też potrzebuje, żeby mu sprawiedliwość wymierzona była. A żaden sędzia rzeczy swej sędzią być nie śmiał. Wszyscy na wyobrażenie boże stworzeni są. Jaśliże tedy odejmujemy Żydom wolność pozывania Niemców do sędziego, odejmujemy im wszystkie wolności. Tak powiedział jednego czasu u stołu on wielce możny a sławny mąż..zaraz, zaraz, jak mu tam było... no, mąż co miał dom pełen białych głów, które posługiwały...”

Stałam zupełnie oszołomiona.

- No i co, ładnie mówię po polsku? - dopytywała się Esterka.
- Pięknie, skąd to wzięłaś?

Dziewczynka z dumą pokazała mi tom Chrzanowskiego założony papierkiem na stronie 121.

- O, stąd. Tak sobie to wszystko poskładałam, trochę zmieniłam. Ładnie?

Był to tekst wzięty fragmentami z Modrzewskiego, w tłumaczeniu Bazylika, „O naprawie Rzeczypospolitej” z roku 1577...

Długo musiałam Esterce tłumaczyć, że język się zmienia, że teraz mówi się inaczej i żeby, Boże broń, nie wyskoczyła z czymś takim, kiedy będzie po drugiej stronie.

Na wszelki wypadek zabrałam jej Chrzanowskiego i zaniostałam do domu razem z dwiema menażkami wspaniałego jedzenia, którego mi rodzice dziewczynki nie skąpili. Pożyczyli mi też aż dwie menażki i mama w ogóle przesta-

79

ła gotować, bo wystarczyło tego i dla mnie, i dla Ajki, i dla rodziców. Niedługo jednak chodziliśmy najedzeni, po pewnym czasie teren getta znowu został zawężony i rodzinę Esterki wyrzucono na bruk. Mieszkali potem w piwnicy dwie ulice od nas, nie mieli absolutnie nic i teraz ja dokarmałam Esterkę tymi okruchami, które mogłam przynieść. Dalej też usiłowałam uczyć ją polskiego, aż pewnego dnia mi powiedziała:

- Pani Mirka, pani da spokój, to nie na moją głowę. Ja już stąd nigdzie nie pójdę. Tato, a Bóg mówi

po żydowsku?

Ojciec nie odpowiedział. Leżał nieprzytomny i umierał, wcale nie na tyfus. Nie wiem na co umarł najpierw on, potem braciszek Estery, potem mama i tego samego dnia Esterka. Nie dowiedziała się, czy Bóg mówi po żydowsku, a ja pomyślałam wtedy, że chyba nie, bo tak się dzieje, jakby tam na górze też Żydów nie lubili.

* * *

Pani Maria nie mogła zasnąć. Kolano rwało niemiłosiernie, głowę miała jakby wypchaną watą. Na dodatek Ruta kręciła się po mieszkaniu, zapalała światło w kuchni i w łazience, brzękała jakimiś naczyniami. Można się było tego spodziewać. Maria wiedziała, że Ruta całe życie cierpi na bezsenność, trudno było jej zwracać uwagę. Zresztą wcale nie było późno, normalnie o tej porze Maria też by nie spała. Proszek nasenny, który sobie sama zaaplikowała wcale nie działał, może lepszy byłby jakiś przeciwbólowy. Maria zwlokła się z łóżka, zapaliła górne światło. Ruta od razu zareagowała.

- Co się stało, czego się tłuczesz jak Marek po piekle?
- JA się tłukę jak Marek po...
- Dobrze, ale ja jestem zdrowa. Chciałam sobie wziąć kanapkę i tak się zastanawiam, ukroić sobie, czy nie.
- Przecież ci nie żałuję.

80

- Nie masz co być taka łaskawa. Moje salami, moje masło.
- Tym bardziej.
- Ale potem musiałabym jeszcze raz umyć zęby.
- Nie chwal się, jakie zęby?
- Musisz być taka złośliwa? Właśnie protezy nie znoszę myć.
- To nie wkładaj.
- I mysz za mnie pogryzie?
- To wkładaj.
- Ale nie chce mi się potem ich wyjmować...
- To idź do rabina.
- Zwariowałaś, po co?

- Żeby jemu^awracać głowę a nie mnie.

Ruta kucnęła i tuż przy ziemi rozczapierzyła dłoń najpierw wierzchem do góry, potem wierzchem w dół.

- Taki kawał z taką brodą - powiedziała - a ty dlaczego wstałaś?
- Mam tu gdzieś środki przeciwbólowe. Kolano mnie rwie, że nie można wytrzymać.
- To od razu idź do sraczyka, ja ci dam te pastylki - za-krzątnęła się przyjaciółka. - Kładź się i śpij.
- Właśnie nie mogę.
- Poczytaj coś. A może pogadamy?

Ale zanim Maria wyszła z kuchni rozległ się dzwonek telefonu.

- Boże, coś stało, już prawie dziesiąta, coś z Justysią -wpadła w panikę Maria. Ale nie, to był Gabriel, który najmocniej i najserdeczniej przeproszał, że telefonuje tak późno.
- Bo czekałem i nic, nie zadzwoniłaś. A ja się tu okropnie martwię. Jak twoja głowa?

Rucie nie wypadało lecieć do drugiego pokoju, więc tylko stała obok i słuchała.

81

- Gabriel? - szepnęła.

Maria kiwnęła głową.

- No więc, jak się czujesz?

Nie wiadomo czemu Marię ta troska zirytowała.

- Jak młody Bóg.
- A noga?
- Gabrielu - krzyknęła Maria ku radości Ruty - naprawdę nie widzę powodu, żebyś tak się o mnie troszczył. Jest tu Ruta, zrobi co trzeba, bardzo ci dziękuję za wszystko, ale doprawdy nie rozumiem, dlaczego uważasz, że możesz ingerować w moje życie.

Gabriel wyraźnie bardzo się speszył.

- Ależ Marysieńko...
- „Marysieńka” to była żona Sobieskiego, a ja jestem „Maria”.
- Ależ Mario, ja bardzo przepraszam, nie chciałem być natrętny. Doprawdy miałem jak najlepsze intencje. Nie rozumiem, co cię ugryzło...

- Nic mnie, jak się wyraziłeś, nie ugryzło. A teraz dobranoc, spokojnych snów i nie zastanawiaj się nade mną.

- Jak uważasz - nabzdyczył się Gabriel. - Jak uważasz. Szkoda. Dobrej nocy.

Maria ze złością odłożyła słuchawkę, ale Ruta już od połowy tej konwersacji miała jakąś dziwną minę.

- Co?

- Musiałaś być taka nieuprzejma? On się obrazi.

- I dobrze. Będziesz go mogła łapać.

- Nie o to chodzi.

- A o co? - krzyknęła Maria. - No o co? Wybałuszasz na niego gały, aż głupio patrzeć, a potem przychodzisz do mnie i wywracasz mi cały dom do góry nogami. Już nie można iść do łazienki, albo po proszek od bólu głowy, żeby się na ciebie nie napatoczyć!

- Mówiłaś że kolano...

82

- Przedtem kolano, a teraz głowa! Boże, zupełnie jakby mi ktoś walił w nią miotem! Niedobrze mi!

Maria pobiegła do łazienki, a chwilę potem trochę zła, ale bardziej zaniepokojona przyjaciółka pobiegła za nią. Na szczęście Maria nie zdążyła zamknąć drzwi na zameczek. Leżała teraz obok sedesu błada jak prześcieradło, oczy miała zamknięte.

- Marysia!!! Maria!!! Miriam!!!

Karetka pogotowia przyjechała dość szybko, po pół godzinie Maria była w szpitalu, a po godzinie Szymon miotał się po korytarzu?

- Gdzie mama?! Co jej jest? Gdzie doktor?!

Z pokoju wyszedł lekarz w białym kitlu.

- Panie, noc, pacjenci śpią, kto pana tu wpuścić?!

- Maria! Maria Porter?! Co jej jest?!

- A kim pan ...

- Syn! No?! Syn! Gdzie ona jest?

Lekarz spojrzał na zdenerwowanego do ostatecznych granic Szymona.

- Panie, nic takiego, jakiś szok pourazowy, leciutkie wstrząśnienie mózgu, nie ma o czym mówić.

Trzeba było ją od razu po wypadku hospitalizować. Poobserwujemy ją trochę i będzie jak nowa. Oczywiście na tę wieńcówkę nic nie poradzimy, cóż, wiek.

- Mogę do niej wejść?
- No...nie powinienem, co to za pora..na sekundę.
- Jest przytomna?
- Oczywiście.

Maria, ciągle jeszcze blada, spała. Nie widziała syna, który pochylił się nad jej łóżkiem. Dopiero kiedy pocałował ją w czoło, otworzyła oczy.

83

- Szymuś? Ładnie was urządziłam...
- Nas? Chyba siebie?
- Ale urodziny Justynki... Obiad...
- Zrobisz jak stąd wyjdiesz.
- Ale kurczaki...Słuchaj, idź do mnie, zapomniałam, że kurczaki trzeba włożyć do zamrażalnika. W szufladzie jest ten pierścionek, daj go jutro Justynce i przeproś ją ode mnie, pewnie będzie rozczarowana, miały być lody, a...
- Przestań - zirytował się Szymon. - Przestań! Lody! Kurczaki! Doprawdy mogłabyś wiedzieć, co jest ważne, a co nie! Dobrze, pójdę, wsadzę do zamrażalnika, a pierścionek dasz jej sama jak wyjdiesz.
- Ale czy wyjdę?
- MAMO!!!!

Do pokoju wszedł lekarz.

- No i dosyć tego. Jutro pan przyjdzie, mamusia się wyśpi i będzie przytomniejsza. Panie...
- Porter, Szymon Porter.
- Oczywiście. Niech się pan pożegna z mamą i...

Maria usiłowała usiąść na łóżku.

- Jak to pożegna? Pan doktor myśli, że... że na... że na zawsze?
- Co pani za rzeczy opowiada, słowo daję - zdenerwował się lekarz - myślę, że do jutra. Ci chorzy są doprawdy tacy przewrażliwieni, że człowiek boi się odezwać. Mówi się o pryszczu, a oni od razu widzą

nowotwór!

- Jaki nowotwór? - przeraził się tym razem Szymon.
- O rany, żaden, niech ja skonam. Panie Porter, już pana tu nie ma. A pani niedługo wróci do domu, tylko ja się wykończę, słowo daję. No już, buzi i spać.

Szymon wyszedł, a Maria zapadła w niespokojny sen, który bardziej przypominał majaczenie niż wypoczynek. Przed oczami nikła jej, a potem wyraźnie się rysowała plakietka na fartuchu lekarza. Co tam było napisane? Jakies

84

nazwisko, kończące się na „icz”: Staniewicz? Parewicz? Daniewicz? Nieważne, ważniejsze było imię. To imię z czymś się Marii kojarzyło, co to było za imię? Jan? Nie. Janusz? Jakub, oczywiście Jakub, Kuba, z którym Ajka grała w piłkę na podwórku! Ale lekarz przecież nie był taki niski? A tamten ...

;

Rozdział X

...tamten nie urósł. Nie wiadomo, dlaczego zupełnie zwyczajnym rodzicom zdarzył się taki syn, o prawie normalnym tułowi i o nogach i rękach długości kończyn małego dziecka, chociaż umięśnionych jak u dużego chłopaka. Głowę Jakub też miał dużą, może nawet za dużą, a rysy twarzy niby normalne, a jednak niezupełnie. Było w nich coś dziwnego, może zbyt wydatne usta, może za szeroki nos, za wysokie czoło. Kuba miał dwanaście lat i był bardzo inteligentny i odcytany, znał polski, żydowski, a nawet, chociaż niezupełnie dobrze, hebrajski. Całymi dniami siedział w książkach, które rodzice zdobywali mu czasami dużym kosztem. Bo co miał robić? Dzieci wyśmiewały się z niego, nazywały go „kurduplem”, nie chciały się z nim bawić, a Moniek nawet go bił.

- Ty skurczynogo, ty idź do cholery - wołał - patrzcie go, piłkę chce łąpać. A idźże, pokurczu!

Najpierw Kuba oblewał łzami każdy taki incydent, a potem zamknął się w dorriu. Czytał, rysował i to tak, że jego obrazki nadawałyby się do sprzedania, gdyby ktokolwiek w getcie kupował takie rzeczy. Owszem, raz jeden taki, co trudnił się szmuglem, wziął obrazek Kuby i usiłował go sprzedać po tamtej stronie, ale wrócił z niczym.

- Ty, Kuba - powiedział - namaluj co innego. Pani, która widziała twój malunek, oj, jak się zachwycała, ale bała się go kupić. „Panie kochany - powiedziała mi - jakże ja będę trzymać w domu taki obrazek z trupami, z mu-

86

rem, a ten tu nawet ma opaskę. Każdy pozna, że to z getta, a mnie życie mile. Niech pan da temu chłopakowi, o, te parę groszy, niech sobie kupi farby...albo lepiej, patrz pan, ja mam tu pudełko farb i papier, pan mu da, niech namaluje coś ludzkiego, to kupię. Kwiaty jakies, krajobraz, boja wiem?" Masz,

Kuba, zrób, jak ci ta pani radzi, a ja jej sprzedam. Obiecała za to kilo mąki i masło. I parę groszy.

Kuba bardzo się ucieszył i wziął się do malowania. Ale mu nie wychodziło. Nie pamiętał kwiatów, a tym bardziej krajobrazów. Poradziłam mu, żeby namalował drzewko z ławeczką, nawet go zaprowadziłam w to miejsce, które już nie było tajemnicą od kiedy nie było Heńka. No i Jakub je namalował, to drzewko, pochylone już i prawie bez liści i tę ławeczkę, której deszcz zmył zieloną farbę i tę kamienicę z tyłu i tego staruszka, który akurat tam przysiadł.

- Pani Mirko, dobrze będzie? - zapytał.

Co ja miałam chłopcu powiedzieć? Obrazek chwycił za serce, był wspaniały, ale jeśli ta pani chciała sobie na ścianie powiesić coś pogodnego, to nie daj Boże, trudno było sobie wyobrazić smutniejszą scenę niż to na wpół umarłe drzewo, na wpół martwą ławkę i prawie umarłego staruszka. Ale jednak ta kobieta, może z litości, a może dlatego, że ostatecznie obrazek nie musiał kojarzyć się z gettem, wszędzie było nieszczęście i śmierć, kupiła obrazek Kuby i nawet poprosiła o następne, ale ten szmugler przestał przychodzić i tak się to skończyło. Może został po tamtej stronie, może go zabili, kto wie.

Po tej sprzedaży Jakub jakby nabrał śmiałości, w każdym razie pewnego razu zauważyliśmy, że wyszedł na podwórko.

- Ajka - powiedziała mama - przestań miętosić tę Teofilę i marsz na dwór. Masz się pobawić z Jakubem.

- Z tym pokurczem?!

87

- Skąd się do mnie takie wredne dziecko wzięło?! - krzyknęła mama. - Żebym ja od ciebie więcej czegoś takiego nie usłyszała! Jakub jest miłym i mądrym chłopcem!

-Ale...

- I nie twój zamazany interes, że ma trochę krótsze nogi, a ty co, piękność jesteś, Królowa Śniegu?

- I ręce też ma..

- Ani słowa więcej!

Ajka, ociągając się, zeszła ze schodów. Przez okno widziałyśmy, jak bardzo wolno podchodzi do Kuby, jak mu pokazuje Teofilę, jak Kuba biegnie do domu po piłkę i potem, jak się tą piłką bawią.

Z drzwi sąsiedniej klatki schodowej wyszedł Moniek ze swoim nieodłącznym przyjacielem, Arnoldkiem.

- Oj, niech ja skonam - zawył. - Ajka sobie męża znalazła! Ty Kuba, jak wleziesz na drabinę, to ją może pocałujesz.

Kuba na razie wcale nie był niższy od Ajki, toteż podszedł do niej i stanął tak, jakby się mierzył.

- Wcale nie potrzebuję drabiny, a ty idź do diabła - odciął się.
- Ale będziesz potrzebował! Wysokiej! A teraz bez drabiny możesz mnie, kurduplu, akurat pocałować w dupę.
- Ty mnie też.
- Oj, nie mogę, nie dam rady tak kucnąć, bo mnie krzyż pęknie!!!
- Co jest? - wtrąciła nagle Ajka. - Co ci, Moniek, przeszkadza, że my się tu bawimy? Twoje podwórko?
- Żona męża broni!
- Moniek - wziął stronę Ajki Arnoldek - daj spokój. Co ci ten pokurcz przeszkadza. Nie chcesz, to się z nim nie baw. Co on ci zrobił?

Moniek, zdziwiony zdradą przyjaciela, kopnął jakiś kamyk.

88

- Czyja mówię, żeby on nie grał w piłkę? Jak chce grać z dziewczyną, to niech gra. Może się nawet lalką pobawić, kurza noga. Idziemy?

Przyjaciele zniknęli, a od tego czasu Ajka zaprzyjaźniła się z Kubą, odwiedzali się i spotykali na podwórku i pan Bóg ją chyba strzegł, że tamtego dnia nie mogła wyjść, bo ją gardło bolało. Jakub sam uderzał piłką o ścianę i w pewnej chwili zobaczył go Niemiec, który szybkim krokiem przechodził obok naszego domu. Cholera wie, po co łąził w samym środku getta i to nie sam, ale z drugim Niemcem, który niósł pod pachą jakąś paczkę. Jakub akurat stał blisko bramy no i podpadł.

Niemiec coś zaszwargotał, obaj wybuchnęli śmiechem i ten wyższy kiwnął palcem na Jakuba. Chłopiec, blady i spocony ze strachu wrósł w ziemię. Stałam w oknie za zasłoną. Rozumiałam trochę po niemiecku, ale myślałam, że się przesłyszałam, kiedy ten niższy kazał Kubie się rozebrać.

- Ściągaj majtki - wrzeszczał - no, już! Spodnie, koszulę.

Chłopiec, który znał żydowski, też mniej więcej rozumiał, co się do niego mówi. Rozumiał, ale nie mieściło mu się to w głowie.

- Pan nie strzela - prosił.
- Zamknij mordę! Rozbieraj się!

Do Kuby w końcu dotarło. Trzęsącymi się rękami ściągnął ubranie i stał w tej bramie goły, jak święty turecki. Wyglądał rzeczywiście niesamowicie, jak istota nie z tego świata. Proporcje jego ciała były jakby opaczne, stopy miał wielkie, pupa sterczała mu jak dwa przyłączone jasicz-ki. Niemcy zarykiwali się ze śmiechu.

- Ty, Dieter, mamy szczęście, że zdobyłeś ten aparat - rechotał ten wyższy, a mniejszy rozpakował aparat fotograficzny - cyknijemy tego przedstawiciela Żydków, oto jak wyglądają! Ty, Żydek, pokaż szwanca, po co ci taki duży,

89

a może wasze kobiety na ciebie lecą?! Zaraz się przekonamy!

Śmiejąc się, wybiegł za bramę i po chwili wrócił z jakąś dziewczyną, której też kazał rozebrać się do naga. Obaj Niemcy, bawiąc się setnie, zaczęli reżyserować sceny godne najbrzydliwszego domu publicznego. Dwunastoletni Jakub nie wiedział w ogóle, o co chodzi, robił, co mu kazano, dziewczyna płakała, ale po kilku kopniakach zrozumiała, że ma się śmiać. W końcu Niemcom film się skończył, może nie mieli drugiego, a może im się znudziła ta zabawa. Kopnęli jeszcze raz dziewczynę, splunęli w kierunku Jakuba, którego najwyraźniej brzydzili się dotknąć i, ku naszemu zdumieniu nie zabijając ich, poszli.

Od tego czasu chłopiec znów przestał wychodzić na podwórko, Ajki nie chciał widzieć i stało się tak, jakby w ogóle go nie było. Tylko jego matka na moje pytanie odpowiedziała:

- Oj, Mireczka, zmarnowali mi dziecko. Takie dobre dziecko...
- Ale przecież on żyje?
- Żyje, Mirele, żyje...

I niczego więcej o Kubie się nie dowiedziałam. Bardzo nam go było żal, ale mama tylko załamywała ręce.

- Co za szkoda - mówiła. - Jaka szkoda, taki zdolny chłopiec... ale co to za szczęście, Mirka, co za traf, co za boska opieka, że Ajki tam wtedy nie było. Ja Bogu codziennie dziękuję, bo oni by ją, zamiast tamtej dziewczyny, wzięli do fotografowania. Oj, co to za szczęście...
- A tamtej dziewczyny ci nie żal? - powiedziałam, bo miałam dość tych modłów i tego egoizmu - za co ty Bogu dziękujesz, za to, że tak zrobili z kim innym? A ona już nie jest człowiekiem, dlaczego Bóg pozwolił, żeby to ją spotkało? Co?

90

- Daj mi spokój, Mirka, filozof się znalazł, Spinoza. Woląabyś, żeby padło na Ajkę?! Co?! Idź, daj tacie coś ciepłego do picia, bo od tego pyłu ciągle mu w gardle zasycha. ..

* * *

Maria obudziła się z ciężkiego snu, a może nie snu, może majaczenia? Miała zupełnie suche gardło, ale na stoliku stała jakaś lurowata herbatka, dobre i to. W szpitalu panowała cisza, wydawało się, że wszyscy chorzy śpią. Kiedy jednak Maria wylazła z łóżka i pokuśtykała do toalety, usłyszała za drzwiami sąsiedniej sali ni to płacz, ni to jęk. Kiedy wracała, płacz się nasilił, otworzyła więc drzwi i podeszła do łóżka pod ścianą. Leżała tam zakryta aż po siwe włosy kobieta. Jej plecy drżały, kołdra unosiła się w nierównymi rytmie.

Maria schyliła się nad łóżkiem. Od tego ruchu zakręciło jej się w głowie.

- Proszę pani - szepnęła - co się stało? Boli panią coś? Może pomóc?

Kobieta nie odpowiedziała, ale łkanie jakby przycichło.

- Może zawołać lekarza?

- Nie potrzeba lekarza - powiedziała rozwlekłym i rozmazanym głosem siwa pani. - Mnie żaden lekarz nie pomoże.

- Nie trzeba tracić nadziei - pocieszała Maria - teraz medycyna...

- A dajże mi pani spokój z medycyną, to nie jest sprawa na medycynę, to jest życie... życie...

Maria przysiadła na brzegu łóżka. Czowała coraz większy zawrót głowy, przed oczami wirowały jej czarne płatki.

- Jakie życie?

91

* * *

- Moje. Moje nieszczęsne życie - jęknęła jakimś dziwnym głosem pacjentka i wysunęła głowę spod kołdry. -Moje zmarnowane życie, Mireczko, moje pokręcone życie. Dlaczego ja musiałam tak marnie zginąć, nie wiem nawet czy Ajka przeżyła, ale ty żyjesz, chwala panu, ty żyjesz, Mi-rele, oj, ty żyjesz!

Położyłam głowę na poduszce obok mamy.

- Ty też przecież żyjesz, zaraz przyjdzie lekarz, zaraz cię wyleczą.

Ale nie, widać było, że tu żaden lekarz nie pomoże, mama umierała, w moich oczach kurczyła się, malała, chudła, oczy miała coraz większe. Wiedziałam, że była głodna, strasznie głodna, że umierała z tego głodu, musiałam jej coś dać, może w szpitalnej kuchni można coś dostać, może pani Halina coś ma, pójdę do pani Haliny, a może, a może Dziubie jakiś gość zapłacił w naturze, zdarzało się przecież ...Może ma kawałek ciasta, albo nawet czekolady. Dziuba, jaka jest, taka jest, ale dla umierającej matki nie pożałuje.

- Zaraz - powiedziałam - mamusiu, mamele, zaraz, już idę, przyniosę ci czekolady, albo ciastko, nie umieraj, poczekaj, zaraz...

Już wstawałam, ale jakoś mi to nie szło, ktoś mi związał nogi, ktoś mi napchał waty do głowy, a jeśli nawet przyniosę chociaż buraka, chociaż jedną marchewkę, to mama i tak da Ajce, a sama będzie tu umierać, w tym błocie, z którego nie mogę wstać, wśród tych trupów, które leżą w stertach jak sęgi drzewa. Skąd ja mam wziąć jedzenie, przecież Esterki już nie ma, jej babcia nie da mi kurzego skrzydełka i nie powie „jedz, Miruniu, na zdrowie”.

Biedna Esterka i biedna jej babcia, babcia, która tańczyła na ulicach getta, łapała każde jasne dziecko i

wo-

92

łała - „patrzcie ludzie, żyje, moja wnuczka żyje, nie umarła!” Dzieci uciekały, spłoszone, a mnie było żal tej babci, żal Esterki, no i kto mi da teraz zupę dla mamy, kto mi pomoże, moja matka tu leży, zastrzelili ją, trzeba zobaczyć, czy jeszcze żyje, może żyje, dookoła leżą całe sterty trupów, czy to są Żydzi, Polacy a może Francuzi? Grecy? Co za różnica, ludzie tu leżą, moja mama tu leży, nie, przecież ją zastrzelili wcześniej, czy pociąg już odjeżdża? Mamo, nie

chcę cię zostawiać, ratunku...

* * *

- Co tu się dzieje? - pielęgniarka, poprawiając włosy pod czepkiem wpadła na salę.
- Nie wiem - odezwała się jakaś pacjentka spod okna -ta pani z żołądkiem płakała, a potem przyszła jakaś obca, położyła się obok niej na łóżku i coś mamrocze, krzyczy... Spać nie można.

Siostra przyjrzała się Marii.

- To ta Porter. Pani Porter, o co chodzi? Nie wolno kłaść się do cudzego łóżka, kto to widział?

Maria z trudem odzyskiwała poczucie rzeczywistości.

- Zaraz... Porter? To Leon nazywał się Porter. Ten kolega Heńka... Chaima. Leon, taki z zębami.
- Ja tam nie wiem. Niech pani wraca do swojego łóżka.
- Ale mama... to jest.. czy to moja mama?

Pielęgniarka zorientowała się, że tu coś jest nie w porządku.

- Zaraz, pani Porter. Niech już pani leży. Ja zawołam lekarza.
- Do mamy?
- Niech pani poczeka.

Maria usiadła na łóżku. Wydawało jej się, że obudziła się z głębokiego, koszmarne go snu i nawet już nie bardzo pa-

93

miętała, co jej się śniło. Poszła, podtrzymywana przez lekarza, do swojego łóżka, wzięła jakieś podane jej lekarstwo i zasnęła kamiennym snem. Zasnęła też pacjentka, która płakała, bo nie przyszła do niej córka, już piąty dzień nie odwiedziła matki, która była wprawdzie chora, ale która nigdy i w niczym nie przypominała pani Róży Rose i która wcale nie miała zamiaru umierać.

Rozdział XI

Noce w szpitalu są długie i człowiek budzi się nawet po środkach nasennych. Maria leżała otumaniona, tkwiąca jeszcze w przeszłości, materac był niewygodny, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Tęskniła za matką, tęskniła za Aj-ką, która już nie miała kiedy pojechać na urlop do Izraela, do Szmula i ^usi.

* * *

Gdybym wtedy nie męczyła matki, która bała się wypuścić Ajkę na podwórko, gdyby przeze mnie ten zakaz nie został odwołany, może nie zaczepiłby jej ten cały Moniek, nie zamąciłby jej do reszty w głowie. Tato wtedy pokazywał mamie jakiś paskudny łach.

- Zobacz, Róża - skarżył się - co oni mi tu dali. Więcej dziur niż materiału, nie wiem, czy z tych drugich portek starczy towaru, żeby coś z tym zrobić.
- Więcej dziur, większa zapłata - odpowiedziała matka -a ty się nie dziw, ludzie ciągle chodzą w tym samym, jakoś nie widzę tych domów mód.
- U Abrama można kupić.
- To idź i kup.
- Żartujesz, za co?
- Nie ty jeden nie masz za co.

Rzeczywiście, prawie wszyscy chodzili dziwnie ubrani. Ajka nosiła moje przerobione stare sukienki, a ja nawet nie mieściłam się w rzeczy mamy, boją przerosłam. Ojciec

95

swoją marynarkę zdarł ze szczętem. Teraz nosił starą, ongiś elegancką bonżurkę z błyszczącym kołnierzem, a szyję otulał zrudziałą chustką mamy. Świeący się kołnierz pasował do reszty ubrania jak kwiatek do kożucha i ile razy patrzyłam na smutną, wydłużoną twarz ojca, zwieńczającą tę absurdalną konstrukcję, chwycił mnie pusty śmiech. Tato odszedł do swojej maszyny, zostaliśmy w kuchni z Leonem, który jak zwykle, siedział na „swoim” stołku i zabawiał rozmową mamę. Zauważył mój rozweselony wyraz twarzy.

- Co cię tak śmieszy?
- Balowy strój ojca, można skonać.

Ale chłopca wcale to nie śmieszyło, przeciwnie.

- Mirusiu, ty wiesz i twoja mama wie, jak ja ciebie lubię i szanuję - mówił - ale ten twój śmiech jest do niczego niepodobny. Tatefe ubiera się tak, żeby mu było ciepło i wygodnie. Czy to są czasy na elegancję?

Leon mnie doprawdy irytował.

- Dla ciebie mój ojciec nie jest żadnym „tatele” i już mi uszami wyłazi to ciągłe gadanie o „czasach”. Zawsze są jakieś czasy. A jak Rzymianie mordowali pierwszych chrześcijan, to nie były czasy? A jak palono czarownice na stosie? A jak, nie tak znowu dawno, szalała hiszpanka i tylu ludzi poumierzało? A jak ludzi w czasie pierwszej wojny truli na froncie gazami? A ...

- Nie bądź taka uczona, Mirka - wtrąciła mama - tamte czasy były dla tamtych ludzi, a te są dla nas. Czy my mamy opłakiwać losy świata?

- I to w ogóle żadne porównanie - dodał Leon - bo to co my tu mamy, to dopiero początek. Idą takie dni, że uchowaj Boże, takie dni, że świat spłynie krwią, że...

- Nie kracz, Leon, bo mi się flaki gotują w brzuchu - przerwała mama - mało ci tego, co jest? Ziek, co jest, chcesz pić?

96

Tato wszedł, ciągnąc po podłodze frędzle od chustki mamy.

- Nie, słyszałem, co Leonek mówił. Ty masz rację, Leon. Myślałem, że nie będzie tak źle, że Niemcy się opamiętają, że Anglia, że Ameryka. Ale popatrz, Róża, popatrz, rozejrzyj się tylko... To jest koniec, nic nie ma, Józia nie ma i tylko ciemność przed nami... Oni nas wszystkich zmiotą z ziemi, ja nie wiem, czy warto na to czekać.

Wściekłam się.

- No i widzisz, Leon, coś narobił! Gadanie takie idiotyczne. Tato, uspokój się, przecież już gorzej nie może być. Popatrz, jesteśmy tu razem, i mama, i ja, i Ajka. To się skończy, Szwaby przegrają wojnę, jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, jeszcze będziesz budował domy, wiesz, ile domów będzie trzeba zbudować po wojnie?

Tato patrzył na mnie smutnym wzrokiem i właśnie wtedy wbiegła Ajka.

- Mamo, mamo, ten idiota Moniek to powiedział, że Chrystus był Żydem i Matka Boska też była Żydówką i święty Józef i wszyscy. I zaklął się na głowę swojej babki. Mirka, to nieprawda, co?

Spojrzałam na rozgorączkowaną Ajkę, a potem na rodziców. Matka tchórzliwie wycofała się z dyskusji i odwrócona plecami, mieszała w garnku wodnisty barszcz. Tata patrzył w okno, Leon wsunął nos w książkę.

- Prawda - powiedziałam.

- Jak to??? To ten kretyn Moniek nie kłamie?!

- Akurat w tym wypadku nie.

Ajka odwróciła się gwałtownie i złapała za klamkę.

- Dokąd?

- Bo ja to muszę ogłosić! Ja muszę iść na ulicę i pod mury i krzyzczeć o tym na całe gardło! Przecież jak oni się dowiedzą, jak Polacy się dowiedzą, to nie pozwolą nam zrobić nic złego, oni przecież tak kochają Jezusa i modlą się do

97

niego i do Matki Boskiej, ja wiem! Jakby chrześcijanie wiedzieli, to by nas kochali, a Niemcy są też chrześcijanami?

- Tak, ale...

- Puść mnie, Mirka, ja pójdę i powiem Niemcom, od razu nas wypuszczą z getta, powiem, że Jezus też był Żydem i umarł na krzyżu za Żydów też, bo...

- Skąd ty to wszystko wiesz, co? - zapytał ojciec.

- Od Mońka. On jest chrzczony. Nazywa się Marian, ale jego mama jest Żydówką i musiała przyjść do getta, a ojciec... Ja muszę iść i ogłosić i od razu, od razu będzie koniec tego getta i...

- Nigdzie nie pójdziesz - zatrzymałam Ajkę - siedź i zjedz, co ci mama daje. Oni wszyscy doskonale wiedzą, kim był Jezus Chrystus, Matka Boska i apostołowie.

- Apo... co?

- Moniek ci nie mówił? Doskonale wiedzą. Właśnie dlatego nas tu zamknęli.

- Jak to?!

- Bo Żydzi ukrzyżowali Chrystusa.

- Kiedy?

- Prawie dwa tysiące lat temu.

- Ale Chrystus też był Żydem. Dwa tysiące? No, bardzo źle zrobili - zmartwiła się Ajka. - Moniek mi to mówił, ale nie uwierzyłam. Bardzo źle. Ale co my mamy z tym wspólnego?! I on przebaczył, Moniek mówił, że przebaczył, to o co chodzi? Tato, ja nie rozumiem, o co chodzi? Tato?

- Jedz i uważaj, bo barszcz ci kapie po brodzie - błysnął ojciec zdolnościami pedagogicznymi.

- Mirka? Wytłumacz mi, czy ten Niemiec zabił Józia za to, że Chrystusa zawiesili na krzyżu?

- Nie zawiesili, tylko rozpięli. Ukrzyżowali.

Mama nie wytrzymała, z płaczem wybiegła z kuchni, Leon wreszcie zamknął książkę.

- Ajka, zobacz, co narobiłaś, twoja mama płacze. Po co

98

zadajesz takie pytania, na które nikt nie umie odpowiedzieć?

Ajka lubiła Leona, ale tym razem spojrzała na niego spode łba.

- Może ty nie umiesz, a Mirka, albo tato na pewno umiej. Tato jest najmądrzejszy i na pewno wie, o co chodzi...

Ojciec w połowie tego hymnu na jego cześć wstał i poszedł do mamy.

- Tato by mi wytłumaczył, ale musi pocieszyć mamę - wyjaśniła sobie zniknięcie ojca dziewczynka - ale ty, Mirka...

Załamalam się.

- Nie, nie umiem ci tego teraz wytłumaczyć - powiedziałam - to są bardzo skomplikowane i kontrowersyjne sprawy, a...

- Jakie? Kont..

- No widzisz, nawet takich słów nie znasz. Zaczekaj, jak dorośniesz, to jeszcze raz sobie porozmawiamy, wtedy ci wytłumaczę, jak to jest.

- A czyja wiem, czy dorosnę - westchnęła Ajka, ale tak, jakby mówiła o ewentualnej drobnej przykrości.

- Jak to?

- Przecież co dzień się umiera, raz ten, raz tamten. Józio umarł i pani Lusja z parteru, a Lzę, tę, co szmuglowała, też wczoraj zabili. A Esterka i jej rodzice? Też wzięli i umarli. Tak już jest, że się umiera, tylko ja bym nie chciała zostać sama, bez was, nie chciałabym się pętać po ulicy. Już bym wolała umrzeć dopóki wy żyjecie i żeby mnie ktoś trzymał za rękę, jak Józia. Nie trzeba było tak zrobić dwa tysiące lat temu, ale przecież Chrystus też był Żydem, to ja nie rozumiem. Mirka?

Miałam dosyć. Leon siąkał nosem, Ajka jadła ten barszcz bez apetytu.

- Poczytam ci, dobrze?!

99

- Oj, dobrze, a co?

Już nie pamiętam, jaką wtedy książkę wyciągnęłam, w każdym razie temat na razie się skończył. Ajka chyba rozumiała... no nie, co rozumiała? Chyba to, że pewnych

spraw nie da się zrozumieć...

* * *

Następnego dnia Maria obudziła się z uczuciem, że świat jest piękny a życie będzie trwało jeszcze co najmniej sto lat. Lekarzowi, który przyszedł na obchód ciągnąc za sobą, jak kometa, ogon wystraszonych studentów, powiedziała, że czuje się bosko i wychodzi.

- A już, zaraz - zakpił pan doktor - już panią pakuję i wyrzucam. A co było w nocy? Majaczyła pani, czy może mi opowiedziano bajkę?
- Nie majaczyłam, śniło mi się coś, a pielęgniarki od razu robią wielkie halo!
- Monika siłą wyciągała panią z łóżka innej chorej. Może mi pani powie, że naumyślnie pani tam wlaźła?
- Jaka Monika?
- Pielęgniarka.
- Zdawało jej się, oparłam się tylko.
- Tak, głową o poduszkę, a nogami o prześcieradło.
- Chciałam ją pocieszyć. Zresztą nie pamiętam dobrze, daliście mi jakieś pastylki...
- Nie na włożenie kobietom do łóżek.
- A skąd pan wie, może mi się ta pani spodobała - zażartowała Maria - może mam takie skłonności?

Jakiś student parsknął śmiechem, lekarz poklepał Marię po ręce.

- Chyba, że tak. Ale do domu dziś pani nie pójdzie. Musimy sobie panią pooglądać. I śniadanko niech pani sobie daruje. Badania trzeba zrobić. Siostró...

100

- Ale urodziny Justynki!

Doktor już poszedł dalej. Zaczął się normalny, denerwujący, paskudny szpitalny dzień. Nikt temu nie był winien, Maria sądziła, że gdyby nawet leżała w separacie na łożu z puchu, żeby usypiano ją do każdego pobrania krwi, gdyby podawano jej wykwintne potrawy na złotej tacy, gdyby lekarze byli przemili, a pielęgniarki słodkie i piękne, to i tak nienawidziłaby szpitala. „Grzeszę - pomyślała - nawet tak Jak jest, w dużej sali, w kiepskich warunkach, i tak mam milion razy lepiej niż w czasie wojny. Ale nie można przecież zawsze równać do dna. Ojciec kiedyś mi powiedział, że jak jestem w złym humorze, to powinnam sobie przypomnieć, że mam obie nogi. No, powiedzmy, że jednej nie miałam, obudziłam się, a t uf obie są! Jaka radość, co za szczęście! Bardzo to dobry sposób na życie, ale trudno wykonalny." Te wszystkie rozważania

snuła już po południu, przetykając z trudem zdębiałe kartofelki z marchewką i z czymś zielonym.

- Co to za mięso? - zapytała z niesmakiem kobieta z łóżka pod oknem.
- Ze szczura - wygłupiła się młoda dziewczyna leżąca obok Marii.
- Fuj, doprawdy - zirytowała się ta pierwsza - mogłabyś, smarkata, nie obrzydzać jedzenia!
- Pertyku z panią nie piłam - zachnęła się dziewczyna - a jak pani nie chce wiedzieć, to pani nie pyta. Hrabina de Grubadupa!

Ta spod okna wyskoczyła z łóżka.

- Ja ci zaraz pokażę hrabinę, ty dziwko, jedna, kur...
- Dajcie spokój, kobiety - łagodziła Maria - jak wam nie wstyd, takie dobre mięsko, pychota...

Obie przeciwniczki gruchnęły śmiechem, ta młodsza jakoś się opamiętała.

- No już, jak pani wstała, to widzę, że wcale nie jest pani tęga.

101

- Może ja też niepotrzebnie... Chcą panie po mandarynce?

Kłótnia ucichła, przez drzwi zajrzał jakiś mężczyzna.

- Można?
- Właż, Sebastian, włącz, cześć - ucieszyła się dziewczyna, a po chwili, kiedy młodzi całowali się jak szaleni, drzwi się znowu uchyliły. Maria aż podskoczyła na łóżku. Do sali wszedł Szymon z kwiatami, za nim szła Asia z menażką, na końcu nieśmiało dreptała między łózkami Justynka z malutkim misiaczkiem w czerwonej kamizelce.

Wszyscy usiedli obok łóżka Marii, po czym zaległa śmiertelna cisza. Konwersacja w warunkach szpitalnych należy do jednych z trudniejszych życiowych zadań.

- No, weź ten słoik i wstaw kwiatki - zdobyła się na intelektualny wysiłek Maria.
- Jakie kwiatki? - zapytał z tępym wyrazem twarzy Szymon.
- Te, idioto - zgromiła męża Asia - które miętosisz w łapie.

Widocznie początek rozmowy rozgrzał żonę Szymka, bo wręczyła Marii menażkę.

- Ma tu mama kotlet cielęcy z groszkiem i ryż. A tu sałatkę z pomidorów. A, tu proszę, kładę w denku makowiec.
- Asieńko, kto to zje?

- Mama to zje. Widzę, że cały szpitalny obiad mama zostawiła. Nic dziwnego.
- Babciu, a ja ci przyniosłam misiaczka - powiedziała Justysia - na szczęście i żebyś wyzdrowiała jak najszybciej. A Zuza kazała cię pozdrowić.

Justyna miała przyjaciółkę, Zuzannę, z którą bez przerwy kłóciła się i godziła. Widocznie teraz nastał dobry czas.

- W ogóle nie jestem chora - zdenerwowała się Maria -nie wiem po co ta cała heca. Ruta robi krzyk, Gabriel robi szum...

102

- A właśnie - przypomniał sobie Szymon wracając ze słoikiem, z którego smętnie zwisały gerbery - Gabriel dzwoni, aż się telefon urywa. Boi się do ciebie przyjść, podobno go opieprzyłaś. Ale on uważa, że byłaś chora i dlatego... Pozwól mu tu przyjść, boja też już jestem półprzytomny z tych telefonów. Masz powodzenie, słowo daję, czy mi się aby ojczym nie szykuje?

- Nie wygłupiaj się - powiedziała ze złością Maria. - Ju-stynko, tak mi przykro, akurat urodziny musisz spędzać w szpitalu, Szymon, idźcie stąd, zabierzcie dziecko do kina, czy co, skoro już diabli wzięli dzisiejszy obiad.

- Dziecko do kina, mama to ma pomysły - parsknęła Asia - ona zaprosiła na wieczór na balangę dziesięcioro kolegów z klasy. To znaczy sześciu chłopców i cztery dziewczyny. *

Maria się zdziwiła.

- Dlaczego nie do pary?
- Jeden jest na zapas, jakby jakiś zrobił nawalankę.
- A co będziecie robili?
- Będą tańczyć - westchnęła Asia - i Justynka prosiła, żebyśmy wyszli z domu.
- I co?
- Mama na głowę upadła?
- No, niby tak.
- E tam, co mama opowiada, w życiu! Żeby mi trawkę palili, albo...

Justynka oburzyła się.

- Ja nie wiem co to jest, że starym tylko świństwa w głowie. Jaką trawkę, czy my mamy źle we łbie? A co do pieprzenia się, to...

- JUSTYNA!!! - zawołali jednym głosem dorośli.
- A co, nie to miałaś na myśli? Tylko, kiedy nazwać rzecz po prostu, to od razu „Justyna”. Możesz być spokojna, ja wiem, że przed piętnastymi urodzinami tego się nie...

103

- JUSTYNA!!! Jak to „piętnastymi”, kto ci takich bzdur naopowiadał?
- A wy myślicie, że co? Potem to już nawet wstyd być dziewicą.

Maria poczuła, że ją znowu głowa zaczyna boleć.

- Na szczęście do piętnastych urodzin brakuje ci dwóch lat, może potem zmądrzejesz. Wiesz, kiedy ja miałam piętnaście lat, no, może szesnaście - zastanowiła się Maria -to pomimo wszystko też mi były w głowie różne takie... pomyśl, wojna, a my kochałyśmy się w chłopakach.

Asia kręciła się już niespokojnie na krześle.

- Szymon - szepnęła, ale mąż udawał, że nie słyszy.
- Szymon, zrób z tym coś.
- A przecież - ciągnęła Maria - przecież byliśmy głodne, czasem nawet brudne, a w obozie...
- Mamo! - nie wytrzymała Asia - jak mama może takie rzeczy dziecku opowiadać?! Tyle razy mamę prosiłam. Makabry jakieś, horrory, mało się tego w telewizji nao-gląda, tych bandytów, zbrodni?! Jeszcze mama opowiada jej takie rzeczy, doprawdy! Czy Justysia musi o tym wiedzieć? Było, minęło, historia starożytna. Ja mamę bardzo proszę!

Szymon siedział i patrzył w okno, Justyna wyglądała na śmiertelnie znudzoną.

- Przepraszam - sumitowała się Maria. - A w ogóle, Ju-stysieńko, przecież ja mam coś dla ciebie - wyciągnęła rękę z pudełeczkiem, podanym jej ukradkiem przez Szymona i wręczyła je wnuczce.

Dziewczyna spojrzała na pierścionek i rzuciła się babci na szyję.

- Babina, jesteś super! Ekstra!! Zuza pięknie z zazdrości!!!

Pan Sebastian przerwał na chwilę całowanie swojej dziewczyny leżącej na sąsiednim łóżku.

104

- No, nie da się ukryć, babkę masz wystrzałową - stwierdził - moja prędeż kopnęłaby w kalendarz, niż by mi dała choćby gówna na patyku.

Asia spojrzała z niesmakiem na chłopaka i zdecydowała:

- My już chyba pójdziemy, a babcia się zdrzemnie. Może jutro pozwolą mamie wyjść do

szpitalnego parku, posiedzieć pod drzewkiem.

Maria zamknęła oczy i znowu zobaczyła tamto drzewko, tamten heńkowy „park”...

;

Rozdział XII

To było już wtedy, kiedy matka wychodziła nie wiadomo gdzie i kiedy ojciec stał i stał przy oknie i ciągle na nią czekał, a kiedy wracała, robił jej wymówki.

- Róża, doprawdy, znalazłaś sobie czas na kumy, na latanie.
- Nie mam żadnych kum.
- Jak to? A Leosia? A ta z zezem? A ta z czerwonym pyskiem, a ...

Tato nie lubił przyjaciółek mamy. Uważał, że plotą głupstwa i odciągają ją od domu. Już przed wojną, doskonale pamiętam, robił jej o to awantury.

- Do parku z Ajką, tak do parku. Z wózekkiem. A w drugim wózekku przyjeżdża Stefanek z mamunią, z tą głupią krową, osiemdziesiąt kilo żywej wagi. A Motel już na nóżkach przybiega z mamcią, z tą idiotką w peruce z siana. I gadacie o pupie Maryny i o teściowych, mężów obgadujecie, myślisz, że ja nie wiem?!
- Uspokój się, Izaak - mówiła mama, jeszcze młoda, elegancka i pachnąca - wymyślasz niestworzone rzeczy, mama Stefanka to znana adwokatka, matka Motelka pisze wiersze dla dzieci. Co one ci zrobiły? Wcale cię nie obgaduję. Chyba nie jesteś zazdrosny o te parę przyjaciółek?
- Zazdrosny, zazdrosny, jak ty coś wymyślisz. Lepiej byś w domu siedziała.
- A Ajunia ma powietrza nie łyknać?
- Latem łyknie. Jak pojedziemy do Ciechocinka.

106

- Idź, projektuj tę willę, a mnie daj żyć - mówiła wtedy mama i teraz powtarzała to samo:
- Daj mi żyć, Iziek. Nie latam do nikogo z czerwonym pyskiem.
- To co robisz?
- Tańczę kankana w kabarecie.

Odpowiedź była tak absurdalna, obraz mojej postarzałej, osiwiałej, ciężko ruszającej się matki, wywijającej nogami tak śmieszny, że zaczęłam rechotać, jak głupia. Mama spojrzała na mnie.

- Dobrze, że ci wesoło - powiedziała i westchnęła. Gdybym wiedziała, czym grożą wyprawy mamy, na co się naraża roznosząc konspiracyjne gazetki, odechciałoby mi się chichotów. A! o tym nie wiedział nikt oprócz Leona, a przedtem Heńka. Wciągnął ją w to i mama latała po getcie z torbą pełną zakazanych druków, natomiast bez żadnego dowodu tożsamości, na wszelki wypadek, aby w razie wpadki nie trafiono do nas. Dowiedziałam się o tym już po wojnie od Leona, na którego w pierwszym odruchu okropnie nakrzyczałam. Uważałam, że wciąganie w coś takiego matki było niewybaczalną lekkomyślnością.

- Życie wtedy w ogóle było lekkomyślnością - odpowiedział Leon - ktoś to musiał robić.

- Ale dlaczego mama?

- A dlaczego każdy inny?

Ojciec oczywiście o niczym nie wiedział, robił mamie wymówki, może mu się zdawało, że znowu chodzi na pogaduszki do parku, może nawet nie wiedział, że istnieje w ogóle jakaś konspiracja? Kto by takiemu roztargnionemu człowiekowi, złamanemu życiu, powierzał jakieś tajemnice? Ja też o niczym nie wiedziałam, dla mnie jedynym parkiem było nasze drzewko pod murem kamienicy. Chodziłam tam czasami sama, czasami z koleżanką, ale nigdy, przenigdy z Leonem. Uważałabym to za niełojalność w stosun-

107

ku do Heńka. Wróciłam kiedyś do domu okropnie przygnębiona i wybrałam się do mojego drzewka sama, wzięłam ze sobą tomik wierszy Tuwima, który akurat wtedy stał się dla mnie objawieniem. Chciałam, siedząc na naszej ławeczce, pozachwycać się prawdziwą poezją, odetchnąć trochę, znaleźć się w innym świecie. Wiele utworów z tomiku „Czyhanie na Boga” znałam na pamięć i idąc, powtarzałam urywki wiersza „Przetrywam”, który wydawał mi się proroczy:

„Przetrywam... Minęły lata i lata przeminą,
Będzie tysiąc utracień i tysiąc zdobywań,
Będę tęsknił - godzina pójdzie za godziną
W tańcu żalów, nadziei, łez i oczekiwań”...

Dalszego ciągu nie pamiętałam, a i ten pierwszy fragment uleciał mi z pamięci, kiedy doszłam do naszego miejsca i zobaczyłam... no właśnie, niczego nie zobaczyłam. Nie było ławeczki, nie było drzewka, czy to ta kamienica? Może się omyliłam? Nie, dom był ten sam, te same okienka... Pod murem sterczał pieniek. Oczywiście, sprawa była prosta, ktoś nie miał czym rozpalić pod kuchnią, ławka i drzewko nadawały się do tego znakomicie. A może Heńka też już nie ma?! Łykałam łzy, cóż to za głupie strachy i sentymenty, myślałam, wspomnienia i tak pozostaną, może lepiej, że ktoś miał na czym ugotować tę kartoflankę. Razem ze mną na pieniek patrzył wychudzony pies. Coś niesłychanego, psa nie widziałam już od wieków, jak, na jakich resztkach uchowało się to zwierzę?

- Idź sobie stąd - powiedziałam - ty tu nie musisz siedzieć. Chyba nie jesteś Żydem, co? Wynocha, póki nie zdechłes z głodu, idź za mury, no? - Złapałam jakiś kijek i usiłowałam przegonić kundelka. Kierowałam go w stronę bramy, może go nie zastrzelą, może uda mu się wyjść? Ale

pies po przejściu jednej ulicy wracał do odrapanego domu, wracał pod kamienicę, patrzył w górę i wył. Kto wie? Może tam mieszkali jego właściciele, może już nie żyli, a może nie mieli go czym karmić? Ściemniało się już, musiałam wracać, chociaż serce mi się krajało na myśl o piesku i nawet przez chwilę zastanawiałam się, czy go ze sobą nie zabrać. Niestety, było to absolutnie niemożliwe, sami nie dojadaliśmy, w mieszkaniu był niesamowity tłok, to nie był moment na psa. „Cholera - myślałam - to nie są dni na nic, ani na miłość, ani na młodość, ani na radość, ani na psa. To w ogóle nie są czasy na życie”. I przysłałam do domu okropnie rozgoryczona. Tato siedział obok maszyny z opuszczonymi rękami. Na mój widok wstał z krzesła.

- Mirele, ratuj mnie, stwórco narodu - jęknął - gdzieś ty się szwendała? Już jest prawie ciemno, mama o mało nie wyszła z siebie, poszli z Leonem cię szukać!

- Przecież jeszcze nie jest ciemno.

- Ale zaraz będzie.

- To ja nie mogę się przespacerować? I co ma do mnie ten cały Leon?!

- No, już dobrze, masz prawo. A ten Leon to chyba... ten Leon, chyba się w tobie zakochał...

- To świństwo - wściekłam się - najlepszy przyjaciel Heńka! Heniek tam naraża życie, a on tu...

Ojciec usiadł na resztkach dawniej wygodnej kanapy, sprężyny jęknęły.

- Siadaj tu, córeńko - powiedział i wziął moją rękę w swoje, szorstkie teraz, dłonie - nie irytuj się. On przecież nic nie mówi, ten Leon, żadnej krzywdy Chaimowi nie robi. Jeśli cię nawet pokochał, to nie jego wina. Nie gniewaj się na niego.

- Ja się nie gniewam - szepnęłam - tylko w ogóle mi smutno. Tam łązi taki samotny pies, żal mi go.

- Mirele, opamiętaj się, ludzie umierają jak muchy, a tobie żal psa?

- Tato, ale on przecież nic nie rozumie. Żył sobie u ludzi, a tu patrz, ludzi nie ma, życia nie ma...

Tato drapał mnie ciągle w jednym miejscu. Delikatnie tulił moją rękę i drapał ją powyżej przegubu. Tarł też skórę kciukiem, w końcu zaczęło mi to przeszkadzać.

- Co ty, tatusiu, chcesz mi się przedrapać do kości?!

- Nie, ale coś ci się przylepiło, może idź i umyj to miejsce, o...

- To jest pieg, mam to od zawsze.

Ojciec zaśmiał się.

- No i popatrz, a ja nigdy nie zauważyłem, przepraszam.
- Nie szkodzi. Ja wiem, ty masz rację, niepotrzebnie się martwię psem, i tak wszystkich nas szlag trafi, co tam jeden kundel...
- Mirka, ja myślę, że gdyby nawet było najgorzej, to nie znikniemy tak zupełnie. Ludzkość, tak w ogóle, jest jak drzewo, a człowiek jak liść na tym drzewie. Może nie jest taki ważny jako jednostka. Gdy liść spada ma to minimalne znaczenie i drzewo nie umiera. Nawet, gdy wszystkie spadną, drzewo zostaje i odradza się wiosną. Liść nie jest czymś sam w sobie, Mirele, jest jednością z tym drzewem i jego koniec nie jest zupełny, bo zostaje to, co było tą jednością, łącznością i racją bytu, jego najważniejszą częścią - drzewo. Następne liście też są częścią tej ciągłości, a poprzednie żyją w nich, w tych, które się odnawiają i wyrastają co rok. Nawet, jeśli zostanie tylko pień, to z niego też wyrastają kiedyś pędy. Co my możemy o tym wiedzieć, córciu? Nie jesteśmy świadomi tego pnia, tak, jak liść nie wie nic o drzewie, drzewo o korzeniach, korzenie o glebie. Co my wiemy, Mirko o śmierci, skoro nikt jej nie przeżył?!

Już od kilku minut mama stała w drzwiach i przysłuchiwała się wywodom ojca. Teraz weszła głębiej do pokoju.

110

- Oj, co za filozof się z ciebie zrobił, Izaak - powiedziała - sam cadyk przy tobie to mrówka. A łatę na tyłku tych portek kto przyszyje? Listek czy drzewo? A ty Mirka, masz dokładnie mówić, kiedy wrócisz, niepokoiłam się.
- Co mi się mogło stać? - zapytałam, tak, jak pytałam jeszcze kilka lat temu i nagle zdałam sobie sprawę, że teraz nie mogłam się odezwać bardziej idiotycznie. Wszystko mi się oczywiście mogło stać.
- Sama nie wiesz, co wygadujesz - zdenerwowała się mama - a w ogóle, to słuchaj taty. On wie, co mówi. Lziek, zjesz makaron?
- A mam wybór?
- Nie.
- To po co pytasz?

Taki to był fen wieczór. Jeszcze dziś czuję ciepły dotyk dłoni ojca i leciutkie drapanie. Mam pieg do dziś i jakoś, może bez sensu, kiedy patrzę na niego, wydaje mi się, jakby to był jakiś klejnot podarowany mi przez tatę. Ten pieg.

* * *

Następnego dnia na porannym obchodzie lekarz badał Marię, ostukiwał, zaglądał w oczy i uśmiechał się promiennie.

- No, zdaje się że już po ptokach - powiedział - najgorsze za nami.

- To co, idę do domu?
- Jak do jutra będzie dobrze, jak badanie...
- Jakie badanie?
- Jeszcze takie jedno małe... jak wypadnie dobrze, to może jutro.
- Może?! Ja chcę wiedzieć na pewno!
- Na pewno, to się idzie za stodołę - zażartował niezbyt subtelnie lekarz - a ja mówię, że PRAWIE na pewno. Chy-

lił

ba, że pani znowu wejdzie komuś do łóżka, w razie czego polecam się łaskawej pamięci.

Chore w sali parsknęły śmiechem, jednocześnie do pokoju wszedł Gabriel, zasłonięty ogromnym bukietem róż.

- Panie, o tej porze nie ma odwiedzin - rzuciła się w jego stronę pielęgniarka - pan ordynator robi obchód, proszę w tej chwili...

Ordynator odwrócił się w stronę intruza.

- Gabryś, niech ja skonam - krzyknął - skąd się tu wzięłeś?!
- Kuba no, wiedziałem, że tu pracujesz i tak sobie pomyślałem, że protekcji to ty nie uznajesz, ale po znajomości kolegi chyba nie wyrzucisz.
- A do kogo...
- Do pani Marii Porter.
- A, nasza pupilka... Biedna, upadła na głowę, może dlatego jej się podobasz?

Maria włączyła się do rozmowy.

- Kto panu doktorowi powiedział, że Gabriel mi się podoba? To nie ja jemu przyniosłam kwiaty.
- Marysiu - posmutniał gość - jak możesz?

Lekarz uśmiechnął się, skinął głową i podszedł do następnej chorej.

- Siostrzo, niech mu pani pozwoli zostać.

Gabriel wyszarpał jedną różę z bukietu.

- To dla pani, siostrzyczko - powiedział, więc pielęgniarka machnęła ręką i nawet przyniosła jakiś

wazon, do którego z trudem wcisnęła róże.

Gabriel usiadł na krześle przy Marii i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wystraszyłaś mnie prawie na śmierć - powiedział zupełnie poważnie - zastanów się, czy ty mnie naprawdę nie lubisz? Bo jak nie, to nie będę się narzucał. Ale jeśli nie jestem ci wstrętny, to pomyśl - może to nasza ostatnia

112

szansa? Najostatniej sza? I, jeśli jej nie wykorzystamy, to pozostanie nam już tylko staczanie się z górki, czekanie... A razem moglibyśmy jeszcze przeżyć parę miłych lat. Ja wiem, że jestem okropnie banalny, ale co mam powiedzieć?

Maria, pomimo wszystko, była zaskoczona.

- Gabrielu, w naszym wieku, po siedemdziesiątce?!
- Przecież ci nie proponuję żadnych szatów.
- Ale wiara... Ja jestem Żydówką.
- Wiem, oczywiście, że wiem.
- I nie przeszkadza ci to?

Gabriel zerwał się z krzesła, zawadził o wazon, róże się zachwiały, w ostatniej chwili złapała je sąsiadka z łóżka obok, która akurat wstała, aby udać się do małego romantycznego miejsca. Pan Gabriel był taki czerwony, że dziewczyna pomyślała: „ani chybi, staruszka na miejscu szlag trafi, co ona mu takiego nawinęła?”

- Obrażasz mnie - wrzasnęła tymczasem Gabriel - za kogo mnie masz?! Za rasistę?! Za faszystę?! Co ty sobie...
- Siadaj - łagodziała Maria - siadaj, mówię ci i nie urządź tu awantur.

Gabriel nie usiadł. Stał i wymachiwał rękami.

- I po to moi rodzice w czasie wojny się narażali, po to, żebym ja teraz musiał wysłuchiwać jakichś insynuacji, no wiesz...
- SIADAJ! - huknęła Maria - Siadaj na dupie i uspokój się. JUŻ! No, przepraszam.

„Starzy, a takie słowa mówią - myślała sobie dziewczyna - i kłóć się zupełnie jak ja z Sebastianem. Czy człowiek nigdy nie mądrzeje?”

A Maria patrzyła na Gabriela i właściwie pierwszy raz zaczęła się na serio zastanawiać nad jego propozycją. „Nie kocham go - myślała - i dobrze. To nie będzie pierwszy raz, kiedy bym wyszła za mąż bez

prawdziwej miłości. Ru-

113

ta mnie zabije. A co powiedziałyby dzieci? Szymon? Asia? JUSTYNA? Jakby to wyglądało, nawet w Urzędzie Stanu Cywilnego, takie dwa stare pryki? O Boże, o czym ja myślę, to chyba najmniej istotne. Co ja mam powiedzieć temu Gabrielowi, siedzi taki jakiś otępiały, pewnie się boi, że mu odmówię. A może się boi, że się zgodzę? Przecież ja go wcale nie znam! Cholera wie, czy to porządny człowiek? A może to na przykład jakiś kapuś, albo złodziej? No nie, dentysta nie musi kraść. Ciekawe, czy zajmuje się też protetyką, to dla mnie byłoby istotniejsze".

- No to jak, kochanie? - szepnął Gabriel.
- Zastanowię się, dobrze?
- Ale niedługo, pełnoletność bliska - zażartował smutnym głosem i w chwilę potem inna pielęgniarka przegnała go bez litości z sali.
- To co, mam przyjść tu jeszcze? - zdążył zapytać.
- Do domu. Jutro idę do domu - odpowiedziała Maria.

Gabriel poszedł, a dziewczyna z sąsiedniego łóżka skomentowała.

- No, to ma pani powodzenie. Taki podryw w tym wieku...

„Rzeczywiście - pomyślała Maria - podryw. Dawniej to

się nazywało zaloty. Tak właśnie mówiła mama. „Ten Leon, to się naprawdę do ciebie zaleca, Mirele. Ty go tak nie przeganiaj, bo nie wiadomo, jak będzie z tym całym Chai-mem, czy on sobie jakiejś siksy nie przygrucha po tej całej aryjskiej stronie".

114

Rozdział XIII

Niektóre rzeczy pamiętam jak przez mgłę, bo chociaż miałam już wtedy szesnaście, czy siedemnaście lat, to odczuwałam może niektóre ważne rzeczy słabiej, jeśli nie dotyczyły mnie bezpośrednio. O niektórych nawet nie wiedziałam, a inne, może drobne, wryły mi się w pamięć na zawsze. Nie dary na przykład głowy, czy nie pomyliłam kolejności zdarzeń. Ale tamtą środę pamiętam jak najdokładniej i wiem, że to już było po ścięciu naszego drzewka, bo kiedy zapukał ten facet i szepnął „mam wiadomość od Heńka", od razu pomyślałam, że, no tak, że oczywiście, że to był zły znak, nie ma drzewka dlatego, że Heńka też nie ma. O mało nie zemdlałam, stałam jak wryta, mama wciągnęła tego człowieka do pokoju i zapytała, co się stało, kim on jest, co ma wspólnego z Heńkiem i skąd my możemy wiedzieć, czy on mówi prawdę.

To był taki Żyd, który miał jakiegoś kolegę i ten kolega znał kogoś, kto stał przy przejściu i dawał się przekupić i on, ten co przyszedł, szmuglował różne ważne rzeczy, mięso, czekoladę, igły do maszyn do

szycia, buty, co popadło. Zaraz, jak on się nazywał? Takie miał dziwne imię, bo nazwiska nie podałam... No... Przecież doskonale pamiętam... Mam! Załman! Załman, a kazał mówić na siebie Zenek. I kiedy zobaczył mnie, taką przestraszoną, od razu powiedział, że Heniek żyje.

- Panienska się nie martwi - powiedział - żyje, żyje, tylko miał przygodę, ale nic się takiego nie stało, przysłał

115

mnie, bo on się bał, żeby panienska się z boku czegoś nie dowiedziała, więc lepiej, żebym ja powiedziała. Tyle, że ja życie narażam, przechodząc tam i z powrotem, więc może by mamunia...

Mama organicznie nie znosiła takich typów, co innego brać za przeniesiony towar, a co innego za wiadomości.

- Ile? - warknęła.

- A kto tu mówi o pieniądzach - obraził się ten Załman, czy tam Zenek - zmęczony jestem, głodny, ja tylko chciałem... no, myślałem, żeby może coś do jedzenia... może by pani przyrządziła na gorąco tę kielbasę, co przyniosłem, ja wiem, że niekoszerna, ale jakby wam to nie przeszkadzało, to może i dla państwa, bo wystarczy.

Mamie wstyd się zrobiło, wzięła kielbasę, było tego ze dwa kilo.

- A od Heńka mam jeszcze czekoladę i ciepły sweterek dla panienski i jakby panienska nie uwierzyła, że ja naprawdę widziałem Heńka, to kazał powiedzieć takie hasło, czy co, „pierścionek z drutu”. No?

Kamień spadł mi z serca, tak, oczywiście, facet znał Heńka.

Mama popatrzyła na mnie.

_ ?

- Zgadza się, pan Zenek zna Heńka, rób tę kielbasę.

Najedliśmy się wtedy do wypęku, ale tata nie chciał. Nie

przestrzegał zasad religijnych, dawno to wszystko porzucił ku zgrozie swoich rodziców, którzy jednak pogodzili się z ateizmem ojca i tylko babcia bardzo prosiła, żeby nie jadł wieprzowiny. Ojciec zresztą miał w dzieciństwie tak wpojony wstręt do świńskiego mięsa, że nie jadł go tak, jak na przykład nie jemy żab, chociaż Francuzi bardzo je sobie cenią. A pochodzenie tej kielbasy było ojcu niewiadome. Zenek, z którym już po kwadransie przeszedłam na „ty”, opowiedział mi przy tej uczcie o Heńku.

116

- No więc są dwie rzeczy, dwie sprawy, jedna to taka, że z tydzień temu, kiedy Heniek sprzątał sklep...

Heniek sprzątał ten sklep tuż przed zamknięciem, właśnie wycierał ladę, kiedy wpadł jakiś spóźniony klient. Szefa nie było, klient zobaczył kogoś przy ladzie i zawołał:

- Hej, panie ładny! - a ten głupi Heniek odruchowo się odwrócił i stanął do gościa twarzą, pokazując w całej krasie swój duży nos, ciężkie powieki, czarne jak smoła oczy i prawie granatowe, kręcone włosy.
- Czym ja panu mogę służyć? - zapytał, niepotrzebnie nadużywając zaimka, co było podejrzaną naleciałością językową.

Gość przyjrzał się Heńkowi.

- Niech ja skanam, Żydek! Patrzcie ludzie, gdzie to po-właziło, pełno tego, jak karaluchów!
- Ależ skąd, proszę pana - bronił się zdesperowany Chaim - mam papiery, mogę panu pokazać.

I wtedy, dokładnie według proroctwa mojej mamy, klient zarechotał.

- Pokazać? Pokażesz, ale co innego i nie mnie, bo bym się zerzygał, ale policji!

Heniek uznał, że to już koniec, że mu wobec tego wszystko jedno, przechylił się przez ladę i z całej siły lunął kapusia w twarz. Tamten się zachwiał, złapał równowagę i wybiegł na ulicę wrzeszcząc: „dranie, łobuzy, świnie, ja ci pokażę, ja cię wykończę, tylko zasmradzasz naszą ziemię, naszą...”

Miał pecha. Akurat na zewnątrz zaczynała się łapanka, mężczyzna zaślepiony wściekłością i krwią z rozbitego łuku brwiowego, nie zauważył ani bud, ani Niemca, który tamtędy przechodził. Niemiec podłapał już trochę język, a na pewno wpadały mu w uszy przekleństwa, uznał, że to do niego facet kieruje swoją przemowę, wyjął rewolwer i strzelił. Gość padł trupem na miejscu, Heniek, który wi-

117

dział cały incydent przez szybę wystawową, uciekł do piwnicy, a jego szef, który już od pewnego czasu stał w magazynku za sklepem, przyłączył się do niego.

- Nie wiem, czy powinna mnie cieszyć czyjaś śmierć - oświadczył wieczorem - i niech temu draniowi ziemia lekką będzie. Nawet się za niego w niedzielę pomodłę, jak mi najgorsza złość przejdzie. Ale tak, jak jest, nie może być. Ty, Heniek, masz mordę taką, że ci żadne papiery nie pomogą.

Córka tego sklepikarza, panna Basieńka, nazywana w domu z oczywistych powodów Hajduczkim, jako że ojciec był miłośnikiem „Trylogii”, a „Pana Wołodyjowskiego” znał prawie na pamięć, a więc panna Hajduczek, zaprotestowała:

- Tato - powiedziała z oburzeniem - jak możesz o twarzy Henryczka mówić „morda”? Przecież taka twarz...taka twarz... - Basia nie miała słów, na określenie piękna Heń-kowej fizjonomii.
- No więc twój Heniek się wtedy cudem wywinął śmierci - opowiadał Zenek - a ta Basia, to jest właśnie druga sprawa.

- Jak to „sprawa”? - zapytałam. - Też go chciała sypnąć?
- Skąd, przeciwnie - Zenek o mało nie udławił się kiełbasą.

Otóż okazało się, że Basia kochała mojego chłopca jak szalona, nawet wtedy, kiedy nie tyle za radą, ile na rozkaz szefa, utlenił sobie włosy, a na nos wsadził przyciemnione okulary.

- Masz je nisko nosić - przykazywał sklepikarz - wtedy i oczy zakryją, i nos się jakby zmniejszy. Pokaż. No, na wszelki wypadek trzymaj w kieszeni zawsze dużą chustkę do nosa i jakby cię znowu ktoś zobaczył, to udawaj, że masz straszny katar. Kichaj! Będą z tego dwie korzyści, po

118

pierwsze, zakryjesz pysk, a po drugie, może ten ktoś nie będzie się chciał zarazić i pójdzie sobie.

Basieńce jednak jasne loki chłopca też się podobały. Wodziła za nim zakochanym wzrokiem, czekała na jakieś dobre słowo, na wzajemność. Zwierzyła się ze swego uczucia ojcu. Tato antysemitą absolutnie nie był, ale uważał, że co za dużo, to niezdrowo.

- Hajduczku - tłumaczył córce - jakby nawet ten Heniek też cię pokochał, to przecież teraz o żadnym ślubie mowy być nie może.
- Zaczekamy - tłumaczyła Basia - przecież tych Szkopów w końcu szlag trafi, wojna się skończy. Wtedy urządzisz nam ślub, najlepiej w kościele Świętej Anny, bo to blisko i...]
- W jakim kościele, przecież on jest innej wiary. Chcesz brać ślub u rabina, opamiętaj się!
- A cywilnego nie można?
- Chcesz, żeby obie babcie dostały ataku serca? Poza tym oni mają inną kulturę, inne zwyczaje, co powiedzą ludzie?! Hajduczku, jeszcze się sto razy zakochasz i odkochasz, zostaw tego Heńka. Może on w ogóle ma narzeczoną, co ty o nim wiesz?!
- Jak on ma narzeczoną - odpowiedziała Basia, która aż zbladła na samą myśl o takiej możliwości - to niech go moje oczy więcej nie widzą, niech się od nas wynosi!

Gospodarz Heńka ze zgrozą spojrział na córkę.

- Barbaro, jak ci nie wstyd? Przecież by go złapali!
- O mało go u nas nie złapali, a wtedy wszyscy poszlibyśmy do piachu! - zauważyła, nie bez racji, Basia. - My tu narażamy dla niego życie, chyba ten Heniek powinien być wdzięczny, może nie?
- Dziecko, ale jeśli on cię nie kocha?
- To pokocha. Tato, ja będę całe życie taka dobra dla niego, taka dobra. Przecież jestem ładna, prawda?

- Oczywiście, ale nie o to...

- I maturę mam i w ogóle. Tak nie może być, żeby on po tym wszystkim mnie nie chciał, musi, musi mnie chcieć, bo ja go Kocham! Jak ma tu być, jak mam na niego co dzień patrzeć i coraz bardziej go lubić, to on musi też, a jeśli jest już żonaty, co nie daj Panie Boże, to niech sobie idzie, żebym nie widziała go ciągle, żebym zapomniała! Tato!

Sklep był mały i Heniek, chcąc nie chcąc, musiał słyszeć, jeśli nie całą rozmowę, to jej fragmenty. Było to tragicomiczne, ale co miał zrobić, o innej pracy nawet marzyć nie było można.

- No i Heniek kazał powtórzyć - kończył rozmowę Zenek - że nie może tam niczego o tobie powiedzieć, ale żebyś się nie martwiła, bo on jakoś da sobie radę, tak, żeby ciebie nie zdradzić, a tej panience też nie dawać za dużo nadziei... Czego ty od razu płaczesz, Miriam, no, przecież nic się nie stało. Od razu mówiłem Chaimowi, żeby ci o tej gówniarze nie opowiadać, ale on się bał, żeby ci kto inny nie skłamał, że on tam ma narzeczoną. Żebyś widziała, jaka to historia.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że sytuacja była bardzo niebezpieczna, że Heniek nie miał żadnego dobrego wyjścia. Przekręciłam na palcu druczany pierścionek, a potem go zdjęłam.

- Możesz powtórzyć coś Heńkowi?

- No, oczywiście, mogę, ja chodzę tam i z powrotem, papiery mam, że palce lizać, a wyglądam... sama widzisz.

Widziałam, Załman miał jasne, proste włosy, niebieskie oczy i białą skórę.

- To mu powiedz...

Nie pamiętam dokładnie, co kazałam Heńkowi przekazać. Sens był taki, że najważniejsze jest życie, że może ta Basia jest w gruncie rzeczy dobrą dziewczyną, że ja mu zwracam wolność. Kto wie zresztą, co się ze mną stanie,

a ta Basia chyba będzie żyła i jeśli po wojnie zdecyduje się wyjść za Żyda, to urodzi mu dzieci i będą szczęśliwi. Niech się mną nie martwi i niech nie naraża życia przeze mnie i ja jego pierścionek na oczach Zenka zdejmuję i schowam go na pamiątkę, ale nosić już go nie będę. Niech on się nie czuje do niczego zobowiązany...

Jeszcze kiedy Zenek opowiadał o Hajduczku przyszedł Leon i teraz siedział i kiwał głową.

- Tak, Mirusia ma rację - potakiwał co sekundę - pewnie. .. oczywiście... życie ma się jedno, a potem się zobaczy... Niech Heniek bierze tę gojkę!

Nienawidziłam słowa „goj”, było obraźliwe i tak samo rasistowskie, jak na przykład „parch” w stosunku

do Żydów. Mieliśmy się uczyć od antysemitów?

- Leon - nie wytrzymałam w końcu - nie wtrącaj się, to nie twój zafajdany interes!

Mama jakoś dziwnie nie zwróciła mi uwagi na mało eleganckie słownictwo, zresztą może mówiłam niewyraźnie, bo cały czas popłakiwałam.

Dookoła mnie ludzie umierali, głodowali, chorowali, trupy leżały na ulicach, a ja optakiwałam ewentualny - bo nie wiedziałam, jak to się skończy - koniec narzeczeństwa, koniec... czego? Bo przecież nie mojej miłości.

Wyobrażałam sobie Heńka całującego w jakimś składziku za sklepem jasnowłosą Basię. Oni tam nie będą mieli kłopotu ze znalezieniem miejsca. Sklepiarz na pewno często wychodził, jego żony w ogóle nie było, może umarła, może się rozwiedli, nie miałam o tym pojęcia. Heniek z łatwością skorzysta z łóżka, dywanu, nie wiedziałam co jest najwygodniejsze w tym nie znanym mi mieszkaniu. Mnie namawiał, może i tę Basię też namówi, zresztą sądząc po tym, czego się dowiedziałam, ta dziewczyna tylko czekała na okazję. Może w ogóle jest puszczalska, a Heniek cóż, mężczyzna, wiadomo, skorzysta z tej okazji, pa-

121

trzenie go, nawet posła mi tu przysłał, żebym mu dała błogosławieństwo na ten podły flirt z jakąś siksą.

Myśli skakały mi po głowie, jedna przeczyła drugiej, nie wiedziałam, na kogo się wściekam, na siebie, na Heńka, na tę tam Basię, czy na los. Nie wyobrażałam sobie, jak mój chłopak mógł tak lawirować, żeby Basia go nie wyrzuciła z domu i żeby pozostać mi wiernym. Ta Basia to też ziółko, myślałam, przecież to szantaż, zwykła podłość, po co jej chłopak, którego zmusza do zalotów, jak jej nie wstyd?! Nawet do głowy mi nie przyszło, że dziewczyna mówiła to w złości i że prawdopodobnie nigdy w życiu nie kazałyby Heńkowi wyjść na ulicę, że po prostu usiłowała coś zrobić. Mało to razy dziewczyny krzyczą „jak odejdziesz, to cię zamorduję”, a która to robi? Słowa Basi wzięłam na serio, a Heniek też musiał je tak traktować, bo kto wie? A może spełniłaby jednak swoją groźbę? Dziwne, ale ta cała miłosna tragedia nie odebrała mi apetytu na kielbasę, pomagał nam Leon, a w końcu, po przysięgach Zen-nka, że wędlinka jest zrobiona z autentycznego wołu i świnia nie miała z tym nic wspólnego, ojciec też dał się namówić. Ajka karmiła także lalkę Teofilę, a potem Załman poszedł. Nigdy się nie dowiedziałam, czy powtórzył moje oświadczenie Heńkowi, czy nie, bo więcej do nas nie przyszedł. Może żal mu się zrobiło tej kielbasy?

* * *

ir, l ;. j , . IV , f- ■ *TI , '

Maria jednak nie wyszła na drugi dzień ze szpitala, bo wieczorem zrobiło jej się słabo i lekarz nie chciał jej puścić. Uważała, że to okropna przesada, że słabo się robi z powodu zapachów szpitalnych, ale nie chciało jej się kłócić, zastrzegła sobie, że to już będzie absolutnie ostatni dzień, a kiedy z wizytą wpadła Ruta, Maria po pewnym czasie pomyślała, że to może być w ogóle ostatni dzień w życiu, bo koleżanka doprowadzi ją do zawału.

122

- Nie mogłam wcześniej przyjść, bo miałam katar i nie chciałam cię zarazić - tłumaczyła się Ruta, wyciągając z torby wielkości średniej walizki jakieś paczki i paczuszki - ale słyszałam, że owszem, że masz beze mnie dosyć gości, to jest indycza pierś na zimno, a tu masz kompot z jabłek, drzwi się podobno nie zamykają. Dzwoniłam do Gabriela i...

- Po cholere dzwoniłaś do Gabriela?!

- Chciałam wiedzieć, jak się czujesz, a to są winogrona, myte, a tu masz książki, przyniosłam pięć, bo nie wiem, które czytałaś, a...

- To nie mogłaś zapytać Szymona?

- Mogłam, ale nie chciałam. Co to, masz Gabriela na własność, już nie można nawet z nim porozmawiać?! To jest wedlowska mleczna...

- Można, ale co on sobie pomyśli, czy to mój... czy to jakiś bliski mi człowiek, żebyś akurat jego pytała?

- Ty mi powiedz, czy bliski? Mówił o tobie tak, jakbyście się mieli za pięć minut pobrać. Nie wiedziałam, że jesteś taka pazerna, miałas już męża, ilu ci potrzeba? Masz syna, wnuczkę, a ja?

-Co ty?

- No właśnie - prawie rozplakała się Ruta - a o mnie nawet nie pomyślałaś. Może Gabriel zwróciłby na mnie uwagę, już ci mówiłam, a ty mi go odbiłaś. Może ja też chcę mieć męża, nawet kochanka nigdy nie miałam - Ruta szeptała i w tym cichym głosie słychać było łzy - nie miałam. Nawet nie wiem, jak to jest.

Maria nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

- Ruta, chyba przeceniasz Gabriela. Wątpię czy byś się od niego czegoś dowiedziała, za stary jest na te hopki.

- Skąd wiesz? Taki jeden aktor miał dziecko po osiemdziesiątce.

- To go sobie weź, tego Gabrysia, jak cię zechce, proszę bardzo.

123

- Ale on mówił, że ty... że czeka na odpowiedź.

- Nie szkodzi. Umów się z nim i jeśli on się tobą zainteresuje, to nie będę wnosiła pretensji.

- Naprawdę? Tu masz gazety, a to jest lizeska, z trudem dostałam, bo kto to dziś nosi, ale może jest ci zimno? W prywatnym sklepiku na Pradze. Drogie jak cholera.

- Zwrócę ci.
- Liczyłam na to. Więc co, umówić się z nim?

Ale w końcu Ruta postanowiła nie umawiać się, tylko napisać list. Zmusiła Marię do wysłuchania szkicu, który napisała przy jej łóżku na odwrotnej stronie opakowania od czekolady. Maria słuchała i włosy jej dęba stawały.

„Drogi panie Gabrysiu, piszę do pana, bo nie wiem, czy miałby pan ochotę się ze mną widzieć. Maria wie, że piszę i nie ma zastrzeżeń, więc to nie jest z mojej strony nieelojalność. Wydawało mi się na początku naszej znajomości, że się panu podobam, więc uważam, że powinnam pana poinformować, że nie jestem mężatką tylko zupełną panną. Dobrze gotuję i jestem opiekuńcza. Jeżeli chciałby pan ze mną nawiązać bliższą znajomość, byłoby mi bardzo miło. Nie chcę się narzucać i być natrętną, więc załączam swój telefon i czekam, aż pan zadzwoni. Kreślę się z poważaniem

Ruta"

- No i co o tym myślisz?

Maria była tak zmęczona, że nie miała siły na obłudę.

- Myślę, tylko się nie obraż, że ta cała epistoła jest do dupy.

Ruta zerwała się z krzesła.

- U ciebie co drugie słowo jest na cztery litery - krzyknęła - po prostu boisz się, że ci odbiję tego kretyna, że nie

124

będziesz miała za darmo zapasowej sztucznej szczęki, bo bez tego nawet buraka nie ugryziesz!

Pani Ruta rzuciła na kołdrę Marii jeszcze kilka paczuszek, z jednej wylała się jakaś okropna woda kolońska i jej zapach rozniósł się po sali.

- Masz i udław się - zawołała Ruta wybiegając na korytarz.

Maria, bardzo zmartwiona, wstała z łóżka, ale nie udało jej się dogonić rozwścieczonej koleżanki. W uszach brzmiały jej słowa:

- Burak... buraka nie ugryziesz...

Jak to było właściwie z tymi burakami?

;

Rozdział XIV

Ajka napierała się i napierała, chciała koniecznie zobaczyć pieńek po ściętym drzewku. Oczywiście nie opowiedziałam jej o romantycznym aspekcie całej sprawy, ale kiedy wróciłam wtedy taka smutna do domu, wspomniałam nie tylko o psie, ale i o drzewie.

- Ojej, ja chcę zobaczyć to drzewko, koniecznie! - zapaliła się.
- Kiedyś widziałaś piękniejsze drzewa, jak chodziłam z tobą do parku - wspominała zamierzchtë, chociaż przecież w końcu nie tak dawne czasy, mama.
- Ale ja tego nie pamiętam - upierała się moja siostra.
- Tego drzewa nie ma, został tylko pieńek. Poszukamy innych drzew.
- Ale może wyrosła z niego jakaś gałązeczka, przecież mówiłaś, że gałęzie wyrastają z pnia. No, chodź, weź mnie, proszę cię...
- Idź z nią - powiedziała zmęczonym głosem matka -niech ja mam chwilę oddechu. I w ogóle muszę coś załatwić.

Tego latania mamy po mieście nie znosiłam, chociaż nie wiedziałam, że było aż tak niebezpieczne. Coś mi się w tym jednak nie podobało.

- Gdzie masz to załatwić? Dokąd idziesz?
- Od kiedy muszę się przed tobą tłumaczyć? Idę po... no, do klienta. Po spodnie.
- A tatuś sam nie może iść?

126

- Przecież szyje.
- Nieprawda, z pokoju nie dochodzi żaden turkot.
- Bo tata pewnie fastyguje - skłamała mi mama w żywe oczy, bo to ona robiła wszystkie fastrygi - mówię ci, zabierz Ajkę, niech dziecko się przejdzie.

Domyśliłam się, że ojciec albo spał, albo leżał twarzą do ściany. To mi się też nie podobało.

- A może tato by z nami poszedł?
- Przecież wiesz, że on nie lubi wychodzić z domu. I nie dyskutuj, zabierajcie się i idźcie.

Więc wzięłam ze sobą siostrę razem z jej Teofilą, którą z braku wózka dla lalek nosiła w płóciennej torbie mamy. Przykrywała ją drugą, mniejszą torbą, grającą rolę kołderki. Szliśmy prosto przed siebie, kiedy nagle usłyszałam niemieckie przekleństwa, czyjs krzyk, coś się działo na środku jezdni.

- Do domu! - wrzasnęłam, ale Ajka zaparła się jak osioł.

- Czekaj, może trzeba będzie pomóc?

No, rzeczywiście. Niemiec klnąc i wycierając sobie ręce dużą chustką do nosa, odchodził szybkim krokiem. Na ulicy leżał jakiś człowiek wprzęgnięty do dużych taczek, z bramy wysypali się gapie. Uznałam, że można podejść. Ludzie kucali i pospiesznie zbierali z jezdni coś, co wysypywało się z worków, które pękły spadając z wózka.

Jeden z mężczyzn badał puls pobitego wozaka.

- Trup, nieboszczyk, błogiej pamięci - stwierdził - na śmierć go zatłukł, skurwysyn, niech piorun strzeli w jego matkę.

- Ale co się stało?

Ajka przykucnęła obok innych i szybko ładowała do torby z Teofilą buraki, a do tej drugiej, pełniącej dotychczas rolę kołderki, kartofle. Wśród ziemniaków czerwieniło się kilka marchewek, dwie z nich Ajka schowała szybko do kieszeni.

127

- Co się stało, a co się miało stać? Niemiec zatłukł Żyda, wielkie mecyje - westchnął jeden taki z brodą i pejsami - on przechodził jezdnią, ten Szwab, niech mu oczy wypłyną na tył głowy, a ten biedak ciągnął taczki i sapał i w końcu kichnął akurat Niemcowi w ucho. Szedł środkiem jezdni, a ten laźł prosto przed nim. No i jak kichnął, to może go przestraszył, czy opryskał, kto to wie, a ten jak go lunie. Potem jeszcze pokopał i... co tam gadać, normalna rzecz. Już temu buraczki nie będą potrzebne, chyba że na tamtym świecie barszczyku sobie nagotuje. Z pulpetami.

- Pulpety są dobre do rosółu, a do barszczyku najlepsze są kartofle - wtrąciła jakaś baba, jakby to było najważniejsze.

Z bramy wyszła gruba kobieta i spojrzała na nieboszczyka, a potem trąciła Ajkę w ramię.

- Fuj, ty smarkata, ty - krzyknęła - człowieka zabili, a ci tu kradną kartofle, nie wstyd wam?!

O mało nie zapadłam się pod ziemię.

- Ajka, wyrzuć to i wracamy!

- O co się Pelcia ciska? - zapytał ten z pejsami. - O co ten raban? Sama pani plotkuje, suchej nitki na nikim nie zostawia, wszyscy mają Pelci o, potąd - wskazał na podbródek - a taka pani delikatna? Komu to dziecko kradnie buraki, trupu?

- Trupowi - poprawiłam z belferskiego przyzwyczajenia, a Żyd kiwnął głową.

- To ja właśnie mówię, trupu. Co on sobie z tym wszystkim po śmierci zrobi?

- Ale może ma rodzinę - powiedziałam - spadkobierców.

Mój rozmówca aż się skręcił ze śmiechu.

- Oj, panienka mnie nie doprowadza do skrętu kiszek, ja jestem poważny człowiek, szanowany. I ja wam mówię, jedzcie te buraki na zdrowie.

128

Mógł długo pozwalać, albo nie, inni nie czekali końca dyskusji, w pobliżu już nie było śladu po „spadku”, a pani Pelcia, dziwnie pogrubiała w pasie, znikąca we wnętrzu domu. Ktoś litościwy zakrył nawet zwłoki gazetą i wszystko wróciło do normy. Do drzewka nie dotarliśmy. ..

Mama długo wypytywała o okoliczności zajścia, wzdychała, miała pewne wątpliwości.

- To w końcu ukradłyśmy te buraki, czy nie?

Ajka chciała to po prostu wiedzieć, nawet, jakby się okazało, że ukradła, nie miałyby wyrzutów sumienia. Przecież właściciel nie żył, komu zrobiła krzywdę? Ona się po prostu informowała. Gorzej było ze mną. Wszelkie przejawy jakiegokolwiek świństwa napawały mnie obrzydzeniem, uważałam, że „od rzemyczka do koniczka”, że zaczyna się od byle czego, a kończy na tym, co się działo. W tym wieku człowiek, który zdążył poznać jakieś zasady, chce się jeszcze do nich stosować. Ajka nie zdążyła ich w praktyce doznać, a to, co usiłowałam jej wpoić, zbyt się różniło od tego, czego doświadczała, aby nasze morały mogła brać na serio. Ojciec ważył w ręce największego buraka i w końcu powiedział.

- Tak, Ajuniu, ukradłyście.

- Iżek, jaz tobą nie wytrzymam - rozgniewała się mama - co ty dziecku opowiadasz? Jakby ona nie wzięła, wzięłyby kto inny.

- Ukradłby kto inny.

- No, ale komu?

- To jest moralnie obojętne, komu. Buraki nie były nasze, były własnością kogo innego i nie miałyście do nich prawa. Jak się bierze cudze, to się kradnie. Co z naszej Aj-ki wyrośnie, ja się pytam?

Uznałam te wątpliwość za raczej optymistyczną, ale mama sobie tego nie skojarzyła.

129

- Więc według ciebie, co mają teraz zrobić? Odnieść buraki na tamto miejsce, żeby je w tej samej sekundzie zabrał jakiś złodziej?

Mama powiedziała właśnie tak i, przerażona, zakryła ręką usta. Tato spojrzął na nią z litością.

- No i widzisz. Owszem, teoretycznie biorąc, powinny iść i odłożyć je w to samo miejsce, ale...

- Ani mi się śni - rzuciła się Ajka - niech mi tato tego nie każe robić, bo nie pójdę! Myślałam, że się ucieszycie - zaczęła pociągać nosem - że mama robi jarzynkę i barszczyk z kartofelkami na kolację.

Myślałam, że mnie pochwalicie, a wy...

- Idź i wychowuj dziecko w takich warunkach - mruknął ojciec - nie rycz, Ajka, taki znowu też nie jestem, żeby wam kazać to odnosić.
- To czego im w głowach mącisz? - rozłościła się mama - Gotować te buraki, czy może wyrzucić z powodów moralnych? - przeciągnęła z ironią w głosie.
- Gotować - zdecydował ojciec - oczywiście, że gotować i że te buraki trzeba było przynieść do domu, nie uważaj mnie za idiotę. Chciałem tylko, żeby Ajka wiedziała, że je ukradła. Ale to są takie czasy, że wszystko staje na głowie i nie można się rozemkać co jest do przyjęcia, a co już nie. Niech to wszystko diabli wezmą!

Ojciec po swoim machnął ręką i poszedł do pokoju.

- To w końcu można kraść, czy nie? - zapytała zdezorientowana siostra, a ja zaproponowałam, że jej poczytam.

Najzabawniejsze, jeśli to jest właściwe słowo, że nikt w tej całej dyskusji o kilku burakach nie wspomniał o człowieku pobitym na śmierć za jedno kichnięcie. To zdarzenie wydawało się może bardziej naturalne i powszednie od kradzieży, a może jednak tylko znalezienia przez nas kilku zabłoconych buraków?

130

- Owszem, wypiszę panią - oświadczył lekarz - ale absolutnie, powtarzam, absolutnie nie może pani, przynajmniej przez pewien czas, mieszkać sama.
- Kupię sobie kota - oświadczyła Maria.
- Ja mówię poważnie. Jeśli ktoś mi nie podpisze papierka, że będzie z panią, nie wypuszczę pani za Chiny.
- To jest bezprawne, jeszcze nie jestem ubezwłasnowolniona - wściekła się Maria - pan mi nie ma prawa dyktować z kim mam mieszkać.
- Ja przecież tylko dobrze radzę - łagodził lekarz - ma pani przyjaciółkę, może ona?
- A co, pilno panu na mój pogrzeb?
- A rodzina?

Rzeczywiście, jeśli Maria miała zastosować się do wskazań lekarza, to jedynym wyjściem byłaby chwilowa wizyta u Szymona. Ale wcale nie była pewna, czy syn przyjmie z entuzjazmem jej obecność, już nie mówiąc o Asi. Maria nie miała na to wszystko wielkiej ochoty, nie, to nie było takie proste i jednoznaczne. Właściwie myśl o tym, że będzie co dzień widywała syna i Justynę, a nawet Asię, była jej miła. Także to, że ktoś będzie się o nią troszczył i że na obiad dostanie coś, czego nie upitrasila sama i byle jak. Owszem, przyjemnie będzie mieć do kogo usta otworzyć. Z drugiej jednak strony, może oni nie

chcą? Może ją wezmą pod przymusem? Nie było żadnego sposobu, żadnej możliwości, aby się tego dowiedzieć. No, a poza tym, gdzie by spała? Szymon miał trzy pokoje z dość dużą kuchnią, w jednym pokoju był gabinet Szymka i duży tapczan, na którym spali oboje z Asią, w drugim Asia urządziła tak zwany salon, a trzeci oczywiście należał do Justyny.

131

To niby gdzie miała podziac się Maria? Kiedyś tam nocowała przez trzy dni, bo malarz robił w jej mieszkaniu remont. Owszem, było bardzo przyjemnie, spała na rozkładanym łóżku w pokoju Justyny. Ale teraz, kiedy Justyna nie była już małym dzieckiem, kiedy przychodziły do niej koleżanki, byłoby to krępujące. Nie, cały pomysł był okropny, Asia będzie wściekła, kto lubi mieć teściową w domu? Najlepiej byłoby pojechać do jakiegoś sanatorium, jeśli już lekarz tak stanowczo stawia sprawę. Jaka szkoda, że Ajka akurat wyjechała do Izraela ...

- A co pan doktor myśli o sanatorium?
- Wspaniały pomysł - ucieszył się medyk - doskonały. Mogę polecić takie jedno w Ciechocinku. Tylko to droga impreza. Ma pani pieniądze?

Maria zwiędła. Że też o tym od razu nie pomyślała. Skąd wziąć forszę?

- Nie mam pieniędzy - odpowiedziała smutnym głosem i właśnie wtedy wszedł Szymon.
- Na co nie masz pieniędzy?
- Na sanatorium w Ciechocinku, bardzo by się pana mamie przydało.

Maria o mało nie rzuciła w lekarza wazonikiem ze zwiędłym kwiatkiem. Po co się wtrąca? Po co teraz opowiada Szymkowi, że Maria potrzebuje opieki, że co najmniej trzy tygodnie, że Ciechocinek, że cholera wie co? Po co wtrąca się w rodzinne sprawy? No i oczywiście od razu są rezultaty.

- Owszem, masz pieniądze - mówi Szymon - jeszcze mnie stać, żeby ci opłacić sanatorium, nawet sześć tygodni.
- Nie potrzebuję - mówi spieniona Maria, ale lekarz przerywa jej w pół słowa.
- Bardzo pani potrzebuje - mówi - albo to, albo syn zabierze panią do domu.

132

- Bardzo chętnie - odpowiada z miejsca Szymon - a co byłoby według pana doktora korzystniejsze?
- Najpierw sanatorium, a potem się zobaczy. Pomijając ten wypadek, serce pani Porter jest nie bardzo...

„Wypchaj się, idioto i wytapetuj - myśli Maria - pilnuj swojego serca, moje tyle wytrzymało, to jeszcze trochę po-stuka". Ale już nic nie mówi, ma dosyć wszelkich dyskusji, zgadza się pomieszkać trzy dni u

Szymona, a potem wyjechać do tego Cieclocinka. Do tego samego, patrzcie ludzie, do którego wyjeżdżała przed wojną z mamą i bardzo jeszcze małą Ajką. Taką, która nie zadawała kłopotliwych pytań i nie zrywała się w nocy z łóżka z przeraźliwym okrzykiem: „Mamo, gwizdzą!!!”

Rozdział XV

Zaczął się chyba od sprawy maszyny do szycia... nie, nie wiem, może już przedtem zaczęła się akcja, może już wcześniej były te gwizdki? Ale dzięki maszynie mieliśmy nadzieję ocaleć. Ludzie, oddający maszyny mieli szansę dostania się do pracy w szopie, a zaświadczenie o tej pracy mogło uchronić przed Umschlagplatzem. Ci którzy byli niepotrzebni i nie mieli takiego papierka, nie mieli także nadziei na życie, ale ci z szopów... Nasza ukochana ciocia Myszka, która już wcześniej pracowała w jednym z nich, przybiegła i kazała oddać tę maszynę i oddaliśmy ją, a ciocia miała resztę załatwić i już się cieszyliśmy, ale następnego dnia Myszka nie przyszła i jeszcze następnego też nie i Leon dowiedział się, że ciocię zgarnęli w blokadzie właśnie wtedy, kiedy szła do nas i wywieźli ją nie wiadomo dokąd, bo wtedy jeszcze nie wszyscy wiedzieli, gdzie jadą pociągi z Umschlagplatzu. Dopiero później powiedziano mi, że jadą prosto do Treblinki i na tamten świat, który był na pewno bezpieczniejszy od naszego. Tak więc przepadła ciocia Myszka, ukochana siostra mamy i to ją opłakiwała mama, a nie maszynę do szycia. Zresztą teraz w domu już by się nie przydała, nikt nie dawał niczego do łatania, co tu łatać, jak życie wisiało na pajęczej nitce.

- Nie płaczcie - usiłował pocieszać nas Leon - zobaczcie, ciocia się znajdzie, pewnego dnia tu wejdzie i będziemy razem jeść chałkę w piątek wieczór.

134

Leon pocieszał nas takim grobowym głosem, że już nic bardziej smutnego nie można było sobie wyobrazić. Trudno się dziwić, dwa dni wcześniej wywieźli jego rodziców. Mama powiedziała mu, takiemu biednemu i załamanemu:

- Leon, no, trudno, dziękuj Panu, że ciebie wtedy nie było w domu, nie jesteś sam, teraz my będziemy twoją rodziną.

Zgodziłam się z tym.

- Pewnie - powiedziałam - jak umierać, to cużamen do kupy, jesteś dla Heńka jak brat, to tak, jakbyś był moim szwagrem. Zostań.

Ten wywód nie bardzo się Leonowi spodobał, skrzywił się na słowo „szwagier”, ale został. Został i okazał się po prostu niezbędnym na każdym kroku, zdobywał jakieś kartofle, jakiś chleb, pamiętam, że raz przyniósł tutkę z cukierkami. Ajka z rozkoszy prawie płakała, a ja byłam Leonowi naprawdę wdzięczna. Nawet jakoś przestały mnie razić mankamenty jego urody, nikt wtedy nie był ładny, ludzie wyglądali jak widma, chudzi, zagłodzeni, ze strachem w zapadniętych oczach. Kiedyś spojrzałam do lustra i niedobrze mi się zrobiło, twarz miałam jakąś wyciągniętą, usta szare, oczy matowe, okropność. „Gdyby teraz Heniek mnie zobaczył - pomyślałam - od razu ożeniłby się z tym zasranym Hajduczkiem, nawet by mnie palcem nie chciał tknąć.” Tak pomyślałam, ale jakoś nie zmartwiłam się specjalnie, byłam cała ogarnięta, spowita, omotana przez strach, a to, czy umrę brzydsza czy ładniejsza, nie grało roli. Do szopu

w końcu nie udało nam się dostać, ale Leon gdzieś się postarał dla nas o jakieś zaświadczenia ze stemplami, nie wiedzieliśmy czy fałszywe, czy po kimś kto zginął, ale ja się pierwsza domyśliłam, że fałszywe, bo były na nich nasze własne imiona i nazwiska. Leon tłumaczył, że nie, że po prostu blankiety są kradzione. Wynikało z nich, że pracujemy wszyscy w jakimś szopie, oczy-

135

wicie oprócz Ajki, była na to za mała. Nie wierzyliśmy tym zaświadczeniom, gdy gwizdki rozlegały się na podwórku drętwieliśmy ze strachu. Trzeba było wtedy schodzić, stawać w szeregu, a potem była selekcja - niektórych puszczano z powrotem do domu, a większość goniono na ten Umschlagplatz, skąd już nikt nie wracał. Nie wiem jakim cudem z pierwszej blokady nas wypuszczono i kazano iść do mieszkania. Ojciec cały się trząsał, mama była sina, Ajka zaczęła płakać dopiero w domu.

- Nie rycz - powiedziałam nieswoim głosem - widzisz, że nas puszczono.
- Ale doktora Zębiwyrwa nie... - łkała Ajka.
- Sto razy - zebrało się mamie na pedagogikę - sto razy ci mówiłam, żebyś tak nie przezywała doktora Bluma.
- Już nie będę - przyrzekła Ajka zupełnie niepotrzebnie, bo ani ten dentysta, ani żona, ani troje dzieci nie wrócili już do mieszkania. Jego gabinet ktoś splądrował, zabrał co cenniejsze rzeczy i zostawił drzwi otwarte. Kiedy zobaczyliśmy to z Leonem, postanowiliśmy wejść. Nie wiem właściwie po co, może pchała nas ciekawość, kusily te nie zamknięte drzwi...

W gabinecie był okropny bałagan, na podłodze walały się opakowania po wiertłach dentystycznych, leżały rozbite naczynka z wysypującymi się proszkami, deptaliśmy po szklanych, trzeszczących fiolkach. W powietrzu unosił się jakiś specyficzny dla gabinetów dentystycznych zapach, a obok fotela, którego chyba z powodu jego wielkości, czy ciężaru, nie wyniesiono, leżała sztuczna szczęka przygotowana dla jakiegoś pacjenta, też już jej prawdopodobnie nie potrzebującego. W rogu pokoju stała popruta nożem leżanka. Obicie z czarnej skóry, czy może czegoś imitującego skórę, sterczało malutkimi strzępami we wszystkie strony, spod niego wyłaziły białawe kłaczkę. Na pewno ktoś szukał ukrytych tu skarbów, ciekawa byłam, czy znalazł.

136

Może i tak, doktor był człowiekiem majątnym, co nie pomogło mu w tej jego ostatniej chwili.

Leon usiadł ciężko na tapczaniku, rozejrzał się po zrujnowanym, martwym pokoju.

- Zobacz, tak wygląda koniec świata, popatrz tylko, Mirele, nie ma Blumów, ani jego, ani małej Hani, ani Samuela, ani ich mamy. Ten, co miał odebrać zęby, też już ich nie odbierze, bo go nie ma. Nikogo nie ma, na świecie jest tylko śmierć, na naszej wyspie jest śmierć, idzie i przyjdzie także do nas.

Nigdy nie słyszałam, żeby Leon tak mówił. Przeciwnie, zwykle nas pocieszał, wynajdywał różne wyjścia z niemożliwych sytuacji i dobre strony tam, gdzie ich nie było. Widocznie i naglego przyszła zła chwila.

Usiadłam obok chłopca i pogłaskałam go po głowie.

- No co ty, Leon - szepnęłam - no, uspokój się, czy tylko Blumów zabrali? Pewnie to się skończy, zrobili te kilka blokad i już, i dadzą sobie spokój.

- Nie łudź się, to dopiero początek. Trzeba pomyśleć

0 tym, gdzie się chować. A może nie, po co to wszystko

1 tak prędeż, czy później...Moi rodzice...

Żał mi go było, zresztą samej siebie też. Strach ścisnął mi serce, ból był zupełnie realny. Przytuliłam się do Leona.

- Leon, tylko nie płacz, no, co ty...

Ten gabinet i tę poprutą leżankę zapamiętam do końca życia. Było cicho, ludzie bali się odetchnąć, bali się głośno mówić, bali się żyć. A może już w naszej kamienicy nikogo nie było, może przez ten czas, kiedy siedzieliśmy w tym makabrycznym gabinecie, przyszli Niemcy i wymordowali resztę Żydów? Może wymordowali całe getto i byliśmy już tylko my wśród trupów otoczonych murami. Może zostałam tylko ja i Leon, który mnie coraz mocniej obejmuje, przytula, całuje i do którego ja też się z całej siły tulę, skoro już jest on i tylko on?

137

I stciło się w końcu to, co powinno było stać się z Chai-mem, stało się tak szybko, że ledwie poczułam ból, a potem Leon przeproszał mnie, całował po rękach, przysięgał, że nigdy nikogo innego nie kochał. Te jego deklaracje właściwie mało mnie obchodziły, cała sprawa wydawała mi się niezbyt ważna, doznanie, oprócz tego bólu, właściwie żadne. Może czułam tylko jakąś inną, bliższą więź z Leonem i żał, tak, wielki żał, że zdradziłam Chaima, Heńka, że to nie on. Zresztą nie wiedziałam, czy to nikłe uczucie ciepła, które daliśmy sobie nawzajem, nie było ważniejsze, niż niewierność komuś, o kim nic nie wiedziałam już od dawna, który może ożenił się z tym całym Haj-duczkiem.

- Już dobrze, Leon - powiedziałam, bo przeproszał mnie, kajał się i miałam już tego dosyć - już dobrze. Przecież ci pozwoliłam, przecież nie zrobięś tego siłą.

- Ale czy ty mnie kochasz?

Nie, nie kochałam go i wydawało mi się, że to nie jest teraz takie ważne. Spojrzałam na Leona, na jego smutne oczy, na rozwichrzone włosy.

- Tak - skłamałam - owszem, Kocham cię.

Kilka godzin zastanawiałam się, czy zwierzyć się mamie, a wieczorem to ona złapała moment, kiedy byliśmy same w kuchni i powiedziała.

- Mireczko, ja wiem, nie czas teraz na morały. Ale po co ci to? Przecież go nie kochasz, a jak

zajdziesz, to ja już nie wiem...

Okropnie się zawstydziałam, po prostu mnie замуrowało.

- Z drugiej strony - ciągnęła mama - Leon jest porządnym chłopcem i jakbyś chciała wyjść za niego, to my byśmy z tatą nie mieli nic przeciwko temu. Wyprawimy wam ślub, a potem...

Matka przerwała. No pewnie, kto mógł używać słowa „potem”? Więc tylko mnie objęła, przytuliła i ostrzegła:

138

- Nie rób tego więcej, Mirele, sama rozumiesz... to nie jest w porządku.

No tak, to nie było w porządku, a mimo tego spotykaliśmy się z Leonem w tym gabinecie, do którego nikt się nie wprowadzał. Przedtem wszędzie był taki tłok, a tu, patrzcie tylko, stały puste mieszkania i nikt do nich nie wchodził. Coraz mniej było ludzi, coraz częściej gwizdek rozlegał się na podwórzu. A Leon szukał kryjówek.

* * *

No i w końcu Maria została przewieziona z całą pompą do mieszkania syna.

Asia wybiegł/i aż na schody, wzięła teściową - „właściwie świekre”, pomyślała Maria, ale to słowo zupełnie zanikło - więc wzięła matkę męża pod rękę, tak jakby Maria była ze szkła. Nie była, a trzymanie się pod pachę zawsze niesłychanie ją złościło, nie lubiła wymuszonej bliskości, niepotrzebnego dotyku, nie znosiła, kiedy ktoś usiłował jej coś narzucać, na przykład tempo chodzenia i już miała wyrwać rękę, ale się opamiętała. Nie będzie zaczynać pobytu u syna od kłótni. Dała się więc zaprowadzić do mieszkania i od razu w progu pokoju stanęła jak wryta. Wszystko było tu poprzestawiane, w tak zwanym szumnie salonie stał tapczanik Justyny, obok niego jej biureczko i półka na książki. Telewizor, jak potem się przekonała, został przeniesiony do gabinetu, gdzie też wepchnięto na siłę dwa fotele i dwa krzesła. Natomiast pokój Justyny został kompletnie przemeblowany. Stało tu łożo, wygrzebane nie wiadomo w jakim antykwariacie, był głęboki fotel, komódka, wąska szafa, a na stoliku pod oknem zainstalowano nieduży, ale kolorowy telewizor. Obok niego, w kryształowym wazonie, tkwiły nie chryzantemy, lecz róże, chyba ze trzynaście ognistoczerwonych róż. Spisek z lekarzem szpital-

139

nym aż bił w oczy, wszystko to musiało zająć rodzinie co najmniej dwa dni, zakładając, że łożo znaleźli w niespotykanym tempie.

- No, mamusiu? - zapytał spuchnięty z dumy Szymon.

Maria z trudem dusiła w sobie wściekłość. Coś zrobiono za

jej plecami, mało tego, wbrew jej woli. Zgodziła się mieszkać u syna przez kilka dni konieczne do załatwienia sanatorium, a to, co tu zastała, sugerowało, że ma zamieszkać z rodziną na stałe, wrócić tu po

Ciechocinku i wegetować w charakterze babuni do końca życia. Maria opanowywała się z taką trudnością, że znowu rozboleła ją głowa.

- Dziękuję wam bardzo, cudownie, ale po co to było na kilka dni?!
- Przez kilka dni mama też może mieć wygodę - wykręciła się Asia.
- Ale dla Justynki to kłopot.
- Dziecko jest szczęśliwe, że może mieć ukochaną babcię w domu - załgiwał się Szymon, który obiecał córce w zamian za te zmiany rower górski - a i nam będzie z tobą dobrze.
- I tak to wszystko machnąłeś przez te pół godziny po rozmowie z lekarzem? Podziwu godne - nie wytrzymała Maria.
- Przewidywaliśmy taki obrót sprawy - odpowiedział syn, zupełnie jakby udzielał wywiadu w telewizji - i już kilka dni temu...nieważne. Więc co, podoba ci się? A te róże przysłał pan Gabriel, żebyś wiedziała.

Jakby na zamówienie zadzwonił telefon i okazało się, że to właśnie ofiarodawca róż chce powitać miłą Marynię.

- Nareszcie na wolności - huknął w słuchawkę - nareszcie w domu!
- No, niezupełnie - odpowiedziała z irytacją Maria.
- Czy pozwolisz, że złożę ci swoje uszanowanie?
- A jakże, składaj, słucham.

140

- Daj spokój, przecież wiesz, o co mi chodzi, czemu jesteś taka zgryźliwa? Pytam, czy mogę przyjść.
- Chwileczkę - Maria odłożyła słuchawkę obok telefonu i spytała głosem grzecznej panienki:
- Asiu, Szymonie, pan Gabriel chciałby mnie odwiedzić, czy pozwolicie mi przyjąć gościa?
- No wie mama - obraziła się Joanna - czy mama musi pytać o takie rzeczy? Mama jest u siebie.
- Szymek?
- Nie wygłupiaj się - nachmurzył się syn - ty doprawdy masz pomysły!

Maria przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Oni pozwalają - powiedziała, wiedząc, że zachowuje się po świńsku - tacy są uprzejmi. Tylko uprzedzam cię, że na poczęstunek nie masz co liczyć, nie kupiłam jeszcze niczego i...

Szymon bardzo energicznie i bardzo niegrzecznie wyrwał matce z ręki słuchawkę.

- Zapraszamy pana na kolację, niech pan nie słucha mamy, widocznie porządnie upadła na głowę.

Gabriel niby to się śmiał, ale słysząc było, że jest speszony.

- To...no, dobrze, ale kiedy?

- Może jutro, tak w okolicy siódmej, dziś mama jest zmęczona i musi odpocząć.

Szymon odłożył słuchawkę, a w Marii znowu się zagotowało.

- Kto ci powiedział, że jestem zmęczona i muszę odpocząć i kto cię prosił, żebyś informował o tym Gabriela? Nie jestem zmęczona i idę po zakupy.

- Mamo!

Ale Maria się uparła. Pomimo gwałtownych protestów syna i Asi, zeszła na dół i w sklepie, który na szczęście mieścił się w tym samym bloku, kupiła pięć czekolad, du-

141

że opakowanie lodów dla Justyny oraz butelkę koniaku. Wracała na miękkich nogach, a w otwartych drzwiach zobaczyła nie tylko przestraszone twarze swoich bliskich, ale także Rutę, jeszcze w kurtce i w berecie, spod którego wystawały już nie siwe, ale czarne jak heban kosmyki.

- E... - zaczęła - noooo... widzę, że się już dobrze czujesz. Jakby tu...no, chciałam cię przeprosić, uniosłam się w tym szpitalu. No?

- Nie ma o czym mówić - pocieszyła koleżankę Maria -ale nastąp się i daj mi przejść. Słabo się czuję.

- No i masz! - podsumował matkę Szymon. - Najpierw udajesz zucha, a teraz mdlejesz.

- Kto mdleje, Szymon?!

- Bo mama zawsze jest taka - wtrąciła Asia - człowiek chce jak najlepiej, stara się, na głowie staje, chce, żeby mamie było dobrze, a mamie nic się nie podoba. Szymuś dwa dni latał jak opętany, ja ugotowałam taką pomidorową, że Justyna już rano o mało nie wyjadła jej z garnka, ale mamie nic nie smakuje, bo mama...

- Dziecko, przestań - Marii zrobiło się niesłychanie przykro, bo rzeczywiście, w tym, co mówiła Asia, było dużo racji -co mi nie smakuje, kto mnie tu częstował zupą? Asia?

- No tak, prawda - uśmiechnęła się w końcu synowa -trochę się rozpędziłam. Ale teraz proszę, już jest obiad.

- To ja idę - zerwała się Ruta.

- Nigdzie nie idziesz, Asia, da się wykroić z tej pomidorowej jeszcze jedną porcję?
- I ze zrazów też, zapraszam - Asia wskazała Rucie miejsce koło stołu, a Maria znówu się najeżyła. Nie znosiła zrazów, mdło jej się robiło na sam zapach duszonego mięsa, ale oni o tym oczywiście nie pamiętali. Ale po chwili przyszła refleksja - może o tym w ogóle nie wiedzieli? Więc usiadła do stołu, a potem, z trudem żując wołowinę, zapytała:

142

- Ruta, a skąd wiedziałaś, że dziś wracam?
- Gabryś mi powiedział - odparła przyglądając świeżo pofarbowane włosy.
- No i bardzo dobrze - odpowiedziała Maria, którą o mało, pomimo wszystko, szlag nie trafił. „A ten drań jeszcze śmiał się tu wpychać na kolację” -pomyślała.

Ruta zaś patrzyła na nią z triumfem w błyszczących oczach.

- Nie pytasz, kiedy mi powiedział?
- Domyślam się, że dzisiaj.
- Właśnie wracam od niego - oznajmiła Ruta całej rodzinie, pięć minut przed obiadem wpadła bowiem do domu Justysia, przywitała się z entuzjazmem z babcią, a Rucie grzecznie, we własnym mniemaniu, podała pierwszą rękę. Teraz siedziała przy stole i ze względu na najstarsze pokolenie starała się nie trzymać łokci na stole, nie mlaskać i nie wstawać co sekundę z krzesła. Rewelacją Ruty nie okazała najmniejszego zainteresowania.
- Wracam od niego - powtórzyła czarnowłosa starsza pani - już dwa razy tam byłam.
- I co? - zapytała wreszcie Maria.
- No jak to? Dwa razy. Raz zaniósłam mu słownik hi-szpańsko-polski, bo szukał, a ...
- Na cholerę mu to? - zdziwiła się Maria. - Wybiera się do Madrytu walczyć z bykami?
- Nie, ale kupił album Salvadora Dali po hiszpańsku i chce sobie coś tam przetłumaczyć.
- Po co, chyba widzi reprodukcje?
- Ale tam jest życiorys i różne takie. A drugi raz po prostu zaprosił mnie na kawę.
- I co?
- A co miało być? Zaczekaj tylko, zdąży się, nie piekarnia...

143

Konwersacja nie wciągnęła reszty rodziny, Maria była zmęczona, do czego po poprzednim wysoku nie chciała się przyznać. Justyna nagle zmieniła temat.

- Fajnie, że jesteś, babciu, już się bałam, że masz całkowicie przerąbane - powiedziała serdecznie - i nie martw się, że zajęłaś mój pokój. Widziałaś jakie masz ekstra-łóże? A w spiżarce i w lodówce mama trzyma kupę żarcia dla ciebie, w spiżarce ma ze sto słoików z konfiturami, teraz takie można w sklepie...

Spiżarka? Racja, przecież w tej kuchni jest spiżarka, to wyjątkowe, a dawniej wszędzie były. Spiżarnia...

Rozdział XVI

Właśnie w spiżarce, w takiej głębokiej spiżarce pod oknem, mama ukryła Ajkę w czasie blokady. Nie załatwiliśmy wtedy żadnej kryjówki, a nasze zaświadczenia były bardzo niepewne, więc kiedy z podwórka rozległ się przesywający uszy gwizd i wrzaskliwe niemieckie ryki, wszyscy wiedzieli, że znowu, że to już. Niektórzy pędzili schodami w dół na 1eś, na szyję, jakby im się śpieszyło na ten Umschlagplatz, inni schodzili ociągając się, z rozpaczą na szarych twarzach. Byli tacy, którzy zabierali przygotowane wcześniej złote monety, pierścionki, bransoletki, w nadziei, że może będzie się można jakoś wykupić, oddać to, wrócić jeszcze raz do mieszkania. Zdarzali się też optymiści, którzy ciągnęli ze sobą tobołki z butami, z ciuchami, a nawet z pościelą, w śmiesznym przekonaniu, że im się tam, dokąd ich zawiozą, na coś te rzeczy przydadzą.

Nie wszyscy mieli takie złudzenia. W naszym domu na trzecim piętrze mieszkała Gołda; nazywano ją piękną Goł-dą, bo była rzeczywiście prześliczna, miała czarne warkocze i oczy, jakich nigdy już później nie widziałam. Spoza gęstych rzęs lśniły fioletem i wyglądały jak najprawdziwsze bratki. Gołda tuż przed wojną wyszła za męża. Ku zdumieniu całej kamienicy, jej mąż był niski, niepozorny, wyglądał nijako, a na dodatek z lekka zezował. Nie mogliśmy się nadziwić dziewczynie mającej takie powodzenie, że wybrała akurat Marka. Ale wystarczyło zamienić z nim kilka słów, żeby decyzja, co tam „decyzja”, żeby szalona miłość

145

Gołdy stała się zrozumiała. Marek był uroczy, dowcipny, rozumiejący, a na dodatek takiego jak on erudyty chyba nikt z nas w życiu nie spotkał. Człowiek po pięciu minutach zapominał o jego nieatrakcyjnym wyglądzie, przebywanie z nim było radością. Żona wodziła za Markiem oczami, była to para jak z filmu. Po roku urodziła im się córeczka, Celinka, a kiedy zaczęła mówić okazało się, że odziedziczyła rozum ojca, bo urodę matki widać było od razu. Nie wiem dokładnie jak sobie radzili przed akcją, ale już po jej rozpoczęciu, Marek z córeczką wybrał się do babci. Trafili tam na blokadę. I taki był koniec Marka i Celinki.

Gołda siadywała potem sama w mieszkaniu, wychodziła bardzo rzadko, zresztą nie trwało to długo, tylko do tej blokady, podczas której mama upchnęła Ajkę w ciasnej spiżarce.

- Siedz tu i nie ruszaj się - przykazała nieswoim głosem - żeby nie wiem co się działo, żeby ktoś tu nie wiem jak wrzeszczał, nie ruszaj się dopóki ktoś z nas po ciebie nie przyjdzie. I nie płacz!

- A ...a jak... a jak nikt już nigdy po mnie nie przyjdzie? Mamusiu? - łkała Ajka.
- Przyjdzie. Córeńko, a jakby jednak... to niemożliwe, ale jakby jednak nikt ..to wyjdź dopiero jak będzie zupełnie cicho i ciemno, zobaczysz przez tę kratkę. I wtedy idź do... zaraz... idź...no, do takiego mieszkania gdzie ktoś będzie.
- Ale...
- Musimy już iść, Ajeczko - mama z całej siły powstrzymywała płacz - musimy. Do widzenia, kochanie, do widzenia.

Mama zamknęła drzwiczki od szafki i wyszliśmy z mieszkania. Byliśmy już na półpiętrze, kiedy coś mignęło nam przed oczami i usłyszeliśmy jakiś nietypowy, koszmarny dźwięk. Odruchowo wyjrzałam przez okno. Na podwórku,

146

trochę na prawo od klatki schodowej, leżała Gołda. Nogi i ręce miała rozrzucone, obok jej głowy rozlewała się kałuża krwi. Jasnowłosy Niemiec, któremu kosmyki wystawały spod przesuniętej na tył głowy czapki, z obrzydzeniem otrząsał krew z czubków butów i kłął w żywy kamień. Nie wiem dlaczego oni wszyscy tak dbali o błyszczące buciory, może mieli taki rozkaz? W pierwszej chwili myślałam, że on po prostu zabił tę Gołdę, ale nagle zrozumiałam, że nie, że dziewczyna wyskoczyła z okna swego mieszkania na bruk. Obok niej leżał brązowy pluszowy miś. Znałam go, był ukochaną zabawką Celinki.

Często potem wyobrażałam sobie ostatnie minuty życia Gołdy. Jak zwykle siedziała chyba w fotelu na biegunach, wpatrywała się w fotografię, która stała na stoliku, w zdjęcie Marka z roześmianą Celinką na kolanach. Gdy usłyszała gwizdek, może wstała, przeszła się po pokojach, poprawiła poduszki na tapczanie. Może podeszła do lustra i zobaczyła swoje fiołkowe oczy i zapuchnięte, czerwone powieki, może przyglądała matowe, poszarzałe włosy i sprawdziła, czy obrączka nie spada ze środkowego palca, na który przełożyła ją gdy dłonie jej schudły. Ucałowała fotografię i byłam pewna, że powiedziała Celinie, że powiedziała Markowi: „Już, już idę do was, zaraz się znów spotkamy, jeszcze tylko sekundę, minutkę, za chwilę już będziemy razem.” Ta minutka była jej potrzebna, żeby wyjąć z szafy misia, najukochańszą zabawkę córeczki, bez której tam gdzie jest, na pewno jej bardzo smutno. Nie wiem, czy Gołda płakała, czy bardzo się bała tego co zamierzała zrobić, a może się uśmiechnęła i z tym uśmiechem i z miśm w ręce stanęła na parapecie okna.

I skoczyła.

Może spotkała Celinę i Marka; należało jej się to, tej pięknej Gołdzie.

147

Mama już dużo w życiu widziała, ale śmierć Gołdy jakoś wyjątkowo nią wstrząsnęła. Nie wiem jakimi drogami doszła do wniosku, że nie, nie może tak zostawić Ajki, że skoro nie wrócimy to i tak zginie, będzie się samiotka snuła w tym kosmarze i nie da sobie rady, będzie płakała, głodna i opuszczona... mama jak szalona runęła schodami w górę, wyciągnęła nic nie rozumiejącą Ajkę ze spizarki. I zeszliśmy

razem na podwórko.

Tatę i Leona wtedy wypuścili, a nas pognano na Umschlagplatz. Nie pamiętam dokładnie tej drogi, nie pamiętam, jak znaleźliśmy się na miejscu, na jakimś nieprawdopodobnym placu, na którym stał zбитy, jęczący, obdarty tłum. Najbardziej wryły mi się w pamięć słowa powtarzane przez mamę tępym, głuchym, zrozpaczonymi głosem: „po co ja Ajkę wypuściłam, po co ja Ajkę zabrałam, przecież Iziek został, po co ja...” Wydawało mi się że śnię.

Staliśmy na tym placu, a Niemcy...

* * *

- Babciu - dotarł do Marii trochę zaniepokojony głos Justyny - co ty tak szepczesz?
- Wcale nie - ocknęła się Maria - powiedziałaś o spżarce, a ja ostatnio mam takie tam skojarzenia.
- Jakie skojarzenia? - zapytał Szymon - Kiedy to się zaczęło? Po tym wypadku?
- Odczep się, a co, ty nie masz skojarzeń? Wcale nie po wypadku, tylko przed, jak kupowałam gęsie szyje, tfu, kurczaki. Rano. Coś mi wtedy błysnęło i tak się za mną snuje.
- Co? - zaciekała się wnuczka.
- Ach, takie sprawy z bardzo dawnych czasów, z mojej młodości.
- Jakie, ciekawe?

148

- Mamo - powiedziała ostrzegawczo Asia - ja mamę bardzo proszę, żadnych takich, Justynka jest jeszcze dzieckiem i nie dla niej...
- Wcale nie jestem dzieckiem, już mam trzynaście lat -obraziła się dziewczynka - a co babcia takiego robiła w młodości, że jej nie pozwalasz opowiadać? Seksiła się na prawo i na lewo?

Ruta o mało nie udławiła się zrazem, Szymon nie dosłyszał.

- Co robiła?
- No, dawała du... tego... no... pie... no nie wiem jak to określić, żebyście od razu na mnie nie naskoczyli.
- Od stołu! - wrzasnął Szymon. - Marsz do swojego pokoju!!! Smarkata, jak ty...

Maria dusiła się ze śmiechu.

- Sami jesteście sobie winni, ona przecież niczego nie wie. A poza tym, nie ma swojego pokoju, tu jest teraz jej pokój.

Justynka połykała tzy.

- Przepraszam, nie chciałam babci obrazić - wydukała -ale tak jakoś mamę zrozumiałam...
- Już dobrze, ale żebyś wiedziała, że to nie chodzi o te sprawy, o żadne puszczanie się.
- To o co? Co babcia takiego zrobiła w młodości, że mama nie pozwala o tym mówić?
- Bo wiesz, ja właściwie nie miałam młodości. Była wojna.
- Mamo!
- I działy się różne nieprzyjemne rzeczy. I tyle. Kiedyś sobie o tym poczytasz.
- To znaczy, że chodzi o historię?
- Tak jakby.
- E tam - zniechęciła się Justyna - nie przepadam za historią. Wojny punickie, Leszek Biały, Rewolucja Francu-

149

ska, Hitler, Stalin... Co mnie to obchodzi? I tak muszę to kuć w szkole, jak mama babci nie pozwala o tym opowiadać, to nie i tak wolę pograć na komputerze.

- Ależ, Justynko - zaczęła teraz z innej beczki Asia - jak możesz...
- Nie zawracajcie dziecku głowy - zdenerwowała się Maria, która na szczęście przełknęła ostatni kęs mięsa i stanowczym ruchem odmówiła dokładki.
- Wiesz co? - powiedziała Ruta - Połóż się, ja ci deser przyniosę do łóżka i pogadamy.
- To jest dobry pomysł - przytaknął Szymon. - Mama pewnie chętnie odpocznie.
- A ja pójdę do Zuzy, dobrze?
- Idź, na parę godzin zejdź mi z oczu, lepiej dla ciebie, żeby mi złość przeszła.
- Czego chcesz od dziecka? - zaczęła bronić córki Asia.
- Lepiej zostaw ten temat, bo mi się przeleje - warknął Szymon.

Maria rzeczywiście lepiej się poczuła w łóżku, a byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie musiała słuchać zwierzeń koleżanki.

- No więc Gabryś zaprosił mnie do siebie na kawę, niby obejrzeć ten album Dali, bo oczywiście udawałam, że mnie to szalenie interesuje, a on zdążył przetłumaczyć kilka ciekawych fragmentów, zna włoski, francuski też, więc mu łatwiej poszło.

- Co ty mówisz - wtrąciła Maria - nie wiedziałam, że to taki poliglota.
- A żebyś wiedziała. No więc najpierw poszłam do fryzjera i kosmetyczki, a potem do sklepu z elegancką bielizną...
- ZWA- RIO-WA-ŁAŚ??? A gdzie twoje zasady, co powiedziałaśby spowiednik?
- A może mnie się w końcu też coś od życia należy?!
- No tak, ale żeby tak od razu...

150

- A skąd ja miałam wiedzieć, jakie on ma tempo? Może to już ostatnia szansa?
- No i jakie?
- E tam. Zmarnowałam kupę forsy, a ten stanik wcale nie jest wygodny. Koronkowe figi mnie drapią, tylko halka się przyda.
- No wiesz, Ruta, to już przechodzi wszelkie...
- Czekał, ale pomimo to bardzo dobrze nam się gadało.
- O czym?
- Czekał... o tym Dali, o innych malarzach. Potem on się o ciebie wypytywał, ale wiesz jaka ja jestem dyskretna.
- Akurat.
- W każdym razie nie powiedziałam, że masz kochanka. ;
- CO TAKIEGO??? Zlituj się?! Niby kogo?
- Piotra.
- Jakiego Piotra, o czym ty bredzisz?
- Sama opowiadałaś mi, że na twojej klatce schodowej mieszka jakiś Piotr, że nosi ci na górę zakupy, że wkręca ci żarówki, że częstujesz go ciastem, że bywa u ciebie. Raz nawet mówiłaś, doskonale pamiętam, wyrwało ci się, że nocował. Pewnie niejedną noc. Co ty myślisz, że ja mam sklerozę?!

Maria dostała ataku śmiechu.

- Idiotko, ten Piotr chodzi do szkoły podstawowej, a nocował u mnie dwa lata temu, jak jego rodzice musieli jechać do Gdańska na jakiś pogrzeb i prosili, żebym się nim zaopiekowała. Kochanek, rzeczywiście! Chyba na łeb ci się cnota rzuciła! I o tym opowiedziałaś Gabrielowi?!

- Wcale nie powiedziałam - nadęła się Ruta - tylko wspomniałam, że jesteś zaangażowana.
- Doprawdy, nie wiem co mam z tobą robić - uspokoiła się wreszcie Maria - czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że takie gadanie to świństwo?

151

- A podrywanie facetów, to w porządku? Ilu może mieć taka stara baba jak ty? Czy ja wiem, czy ten Piotr to naprawdę dzieciak?
- Wiesz co, wypchaj się i wy tapetuj.
- Dobrze, to ja pójde do Gabrysia i mu wytłumaczę.
- Rób co chcesz, daj mi spać. Żegnam cię oziębło.
- No wiesz...

Ruta, trochę obrażona, a trochę nękana wyrzutami sumienia poszła wreszcie do domu. Maria przytuliła policzek do poduszki...

Rozdział XVII

Musiałam wtedy być śmiertelnie przerażona, skoro w pierwszej chwili nie zorientowałam się, że to był właśnie Umschlagplatz, plac przeładunkowy przy dworcu Gdańskim. Jak to zwyczajnie teraz brzmi. Słabo to pamiętam, przez cały czas miałam przed oczami Gołdę i tego misia, zamordowanego misia, czy to normalne, żeby mordować misie? Czy misie idą do nieba, czy on trafi do Celinki? Mama kurczowo ścisnęła rączkę Ajki.

- Dokąd nas zawiozą? - pytała siostrzyczka - Mamo, dokąd?
- Na wieś - zdołała wymyślić mama - na wieś. Na słońce, na trawę, do krówek.
- A jak wygląda krowa?
- Przecież widziałaś na obrazku krowę.
- To dlaczego ty płaczesz, mamo? - zdziwiła się Ajka. -Dlaczego ci wszyscy ludzie tak płaczą, dlaczego ten w tałe-sie się modli, przecież to dobrze, że wyjeżdżamy?
- Bo tam może trzeba będzie ciężko pracować?

Słuchałam tej rozmowy, słowa matki docierały do mnie

jak przez watę.

- No to co? Przecież już gorzej nam nie będzie, niż jest...

Coś się działo, ktoś rozdzielał ludzi, wydawało mi się, że

mężczyźni byli kierowani w jedną stronę, nas pognano w drugą, nic dziwnego, byliśmy zabiedzone, pomyślałam, że jeśli oddzielali tych zdolnych do pracy, to my nie wyglądałyśmy na zdolne do niczego. Mama przypominała stule-

153

nią staruszkę, chociaż miała wtedy około czterdziestki, ja wyglądałam na dwunastolatkę, a o Ajce szkoda było nawet mówić. Tłum na placu kiwał się, słychać było krzyki i jęki, ktoś upadł, pewnie umarł, wszystko razem wydawało się nierealne, było snem. „Może to naprawdę jest sen - myślałam - może się obudzę i okaże się, że wszystko jest w porządku?” No nie, nawet jakbym się obudziła, to też nic nie byłoby w porządku, Gołda zrobiła najlepiej, Gołda miała rację...

Stałyśmy przy jakimś płocie, czy przy drutach, może to była brama i nagle ktoś się do nas przecisnął, machał jakimś papierkiem, złapał mamę i mnie za ręce i ciągnął z całej siły. Mama, pewna, że idzie na śmierć, zapierała się jak mogła, dopóki nie usłyszała szeptu „pani Rose, spokojnie, ja was wyprowadzę, głowa do góry, spokojnie, tylko spokojnie”. Nie wierzyłyśmy własnym uszom, ale ten obcy facet rzeczywiście nas wyprowadzał. Nie szło mu to łatwo, ktoś zorientował się, że nas ratują, jakieś ręce czepiały się spódnicy mamy, ktoś z całej siły złapał mnie za nogę.

- Mnie też - słyszałam szepty - nas też!

Szepty przeszły w krzyki, ktoś szarpał chustkę Ajki.

- Chociaż moje dziecko, zabierzcie stąd dziecko!

- Puście - błagał mężczyzna - nie mogę, no, nie mogę nikogo innego. NIE MOGĘ, puście, bo wszyscy zginiemy, ja też!

Ktoś, kto siedział na ziemi, jakaś kobieta, wpiła palce w brzeg jego marynarki. Widziałam, jak ten człowiek, prawie płacząc, odginał te palce jeden po drugim, zdejmował z siebie jak macki meduzy, odczepiał wychudłe palce, zaciskające się coraz słabiej, wreszcie ręka odpadła, kobieta zrezygnowała, zrezygnowała z życia. Na pewno po tej ręce nie został nawet ślad popiołu, po tych palcach z sinymi paznokciami, wbitymi w rudy materiał marynarki.

154

Człowiek, który po nas przyszedł, pokazał coś w bramie, ktoś skinął głową, nie pamiętam dokładnie, czy to była jedna brama, czy może dwie, ciągle wszystko było nierealne, szczególnie ta opustoszała ulica, na której znalazłyśmy się po kilku minutach. Mężczyzna był blady i spocony, nogi się pod nim trzęsły. Staliśmy przez chwilę obok jakiegoś domu, cisza i pustka po szalejącym, rozpaczającym, umierającym tłumie na Umschlagplatzu była czymś zupełnie niesamowitym.

- Nigdy więcej - powiedział nasz przewodnik - żeby mi dawali góry złota. Nigdy, przenigdy, jutro się stąd wynoszę, przez mur, jakkolwiek, niech mnie od razu zabiją. Ja nie mam do tego zdrowia, pani Rose.

- To po co nas pan stamtąd zabrał - burknęła Ajka - pojechalibyśmy do krówek.

- A jakże, do krówek - roześmiał się skrzeczącym głosem mężczyzna. - To teraz niech pani wraca do domu, pani Rose, ma pani więcej szczęścia niż sam Stworzyciel Świata, żeby was ktoś nie zobaczył, jak szliście na plac, to byłoby po wszystkim.

- Kto? - zapytała mama.

- Pani myśli, że ja powiem? - zadał retoryczne pytanie mężczyzna. - Pani myśli, że ja już od tego zupełnie zwariowałem? Ktoś. Ktoś, kto kogoś zna, kogoś, kto wiele może. Już?

Nie wiem, czy mama domyśliła się kto to był, ja myślę, że ktoś, kogo mama znała z konspiracji. Może przekupiono Niemców, może pokazano jakieś lipne przepustki, a najpewniej jedno i drugie.

- Jak ja mam panu dziękować - opamiętała się mama, ale facet machnął ręką.

- Daj pani spokój, wszystko to gówno warte - odpowiedział, odwrócił się i poszedł.

Wróciłyśmy do domu, wspięłyśmy się po schodach, drzwi były nie wiadomo dlaczego otwarte, tato leżał na łóż-

155

ku twarzą do ściany, Leon był w kuchni. Widziałam, że nic tam nie robił, stał przy zimnej blasze i uderzał dłonią w fajerkę. Raz, drugi, trzeci... fajerka brzęczała, był to jakiś dziwny dźwięk, no pewnie, kto kiedy słyszał uderzenia kantem dłoni w fajerki?

- Lziek - powiedziała mama. - Lzieczku, wróciłyśmy.

Ojciec gwałtownie usiadł na łóżku i wlepił w nas oczy.

Tak zbladł, że myślałam, że na miejscu padnie trupem, kto by pomyślał, że taki blady człowiek może jeszcze bardziej zbieleć.

- Róża? - zapytał jakimś ochryplym szeptem - Mirka?! Ajka?!

- Panie Rose, pan przestanie - odezwał się z kuchni drewnianym głosem Leon. - One od tego wołania nie wrócą, nie wrócą! Panie Rose, ja pana błagam, niech pan sobie nie rozdziera serca.

Ajka widocznie otrząsnęła się z szoku, bo nagle uznała to wszystko za dobry kawał. Pobiegła pędem do kuchni, złapała Leona za spodnie i zawyła:

- Uuuuhu!!!

Przez to jej poczucie humoru ratowaliśmy Leona przez godzinę, mama kładła mu na serce okłady z zimnej wody, ja ogrzewałam jego ręce swoimi, ojciec rozkleił się kompletnie i nie można było od niego niczego się dowiedzieć, powtarzał, jak zacinająca się płyta „Róża, Mirka, Ajka, Różieńka, Ajunia, Mirete, wróciły, panie świata, Róża...”

- Przestań - huknęła w końcu mama - przestań, bo cię obleję zimną wodą!

I rzeczywiście wzięła do ręki kubek z wodą, podeszła do ojca i spokojnie sobie zemdląca. Tak, to już dokładnie pamiętam, Leon się ocknął, a mama zemdląca i to doprowadziło tatę do przytomności. Obaj z Leonem ratowali mamę, Ajka opowiadała Teofilowi o wsi i krówkach, a ja ciągle miałam przed oczami misia. Misia i odrywane siłą palce - naj-

156

pierw kciuk, a potem palec wskazujący, środkowy, serdeczny i mały, tak je nazywała w zamierzchłych czasach moja nauczycielka gry na fortepianie.

- Pamiętaj - mówiła - akord weź kciukiem, małym i serdecznym palcem. To te.

Akord... Pamiętam te lekcje, ale całą historię Umschlag-platzu zasnuwa mi jakaś mgła. Może to i lepiej...

Maria w końcu zasnęła, zasnęła w tym paradnym łóżu z drewna i spała przez cały wieczór i całą noc. Dopiero w południe do pokoju wsunęła się Asia.

- Mamo - dotknęła ramienia teściowej - mama żyje?

- Dlaczego i yam nie żyć? - mruknęła spod kołdry Maria.

- Bo już dwunasta.

- W nocy?!

- Nie, w południe.

Maria usiadła gwałtownie na łóżku.

- Żartujesz?!

- Kiedy naprawdę, już się przestraszyłam, mama śpi i śpi. Ale to pewnie zdrowo.

- Już wstaję - zakrzętnęła się Maria. - Podaj mi szlafrok. Fuj, śmierdzi szpitalem. Dasz mi coś? Bo umieram z głodu.

Asia się uśmiechnęła.

- Za chwileczkę.

- Dobrze, to zjem i pójdę do siebie, zobaczę, czy nie ma jakiejś korespondencji, kwiaty trzeba podlać.

- Mamo, niech mama nie idzie. Nie ma listów, Szymon tam wczoraj wieczorem był. Niech mama lepiej dziś nie idzie.

Maria wyczuła w głosie synowej jakiś dziwny ton. Zaniepokoiła się.

- Dlaczego, coś tam się stało?

157

- Nie, nie...to znaczy, nic takiego.
- To idę.
- Bardzo mamę proszę.
- Ale o co chodzi?!
- To już powiem - załamała się Joanna. - Mama wtedy kupiła te dwa kurczaki i zostawiła je na stole w kuchni i kazała je Szymkowi włożyć do zamrażalnika, ale on był okropnie przejęty mamy wypadkiem, a potem mu to z głowy wyleciało... On mnie zabije jak się dowie, że mamie powtórzyłam.
- Dobrze, nic nie powiem. I co?
- Jak to, co? Zaśmierdły się. W całym mieszkaniu jest taki zapach, że Szymuś dostał torsji jak tam wszedł, zupełnie jak w trupiarni.
- Ładna historia - zdenerwowała się Maria - i co teraz będzie?
- Szymek otworzył wszystkie okna na przestrzał. Akurat spotkał na schodach tego Piotrusia i dał mu klucze, bo wie, że mama mu też czasami daje i Piotruś przyrzekł, że będzie co godzinę sprawdzał, czy jakaś szyba się nie potłukła, a jakby był deszcz i na noc, to zamknie okna.
- Ale jemu też przecież będzie śmierdziało, biedny chłopak.
- On powiedział, że po ostatnim pobycie na obozie z kolegami, to już nic mu niegroźne i że taki zapach jest zajebisty.
- JAKI??
- No, zajebisty.
- Coś potwornego, co to znaczy?
- A bo ja wiem, jak Justyna pierwszy raz tak powiedziała, to Szymek kazał jej umyć język mydłem.
- Co za metody z dziewiętnastego wieku!
- Ale to nic nie pomogło. W telewizji też tak mówią, sama słyszałam, niby jakiś ojciec się przez to na syna gniewał, ale słówko poszło w świat.

158

- Dobrze, ale ja go nie rozumiem.
- Co tu rozumieć - westchnęła Asia - grunt, że Piotrek chce się tym zajmować. Zajebisty, to zajebisty, aby się ten zapach ulotnił.

- Coś ci powiem o Rucie i o Piotрку, nie uwierzysz - przypomniała sobie Maria, po czym ze smakiem obgadała koleżankę. I w końcu doszła do wniosku, że może powinna zadzwonić do Gabriela, chociażby dlatego, że zapomniała mu podziękować za te piękne róże. Gabriel owszem, był w domu i nawet zdążył już rozmawiać z Rutą.

- Zadzwoniła do mnie dziś rano - powiedział, po wysłuchaniu zachwyków nad kwieciem - i zachowywała się bardzo dziwnie. Co się z nią dzieje, po co mi przez pół godziny opowiadała o jakimś Piotrusiu ze szkoły podstawowej, który nosi ci zakupy? Wybacz, ale ja nie rozumiem, sto razy mi powtarzała, że ten Piotruś to malutkie dziecko. To co, malutkie dziecko wnosi ci zakupy i wkręca żarówkę? Kto tu oszalał?

Maria bawiła się doskonale.

- Piotrek ma czternaście lat i jest wyższy ode mnie - poinformowała Gabriela.

- No tak - powiedział z ironią Gabriel - to wiele wyjaśnia, ale nie wszystko. Bo niby dlaczego zostałem w ogóle poinformowany o tym Piotrusiu o ósmej rano? Zaciąłem się w policzek.

- Czym?

- Żyletką.

- Nie używasz maszynki elektrycznej?

- Nie, ani szczoteczki do zębów na prąd, ani... Czy my musimy prowadzić tę idiotyczną, wybacz, rozmowę?

- No rzeczywiście. Ruta jest dobrą, w gruncie rzeczy, duszą, chciała zdementować wczorajsze rewelacje.

- Słuchaj, ja chcę jeszcze trochę pożyc i to nie w Tworkach. Jakie rewelacje?

159

- Bo ci powiedziała, że ja jestem zaangażowana. Niby w tego, czekaj, czy tak się mówi? Z tym Piotrem.

- Naprawdę?! Mario, naprawdę masz kogoś?!

- Nie, Ruta to wymyśliła.

- Ja w ogóle nie słuchałem jej gadania, paplała tu jak nakręcona dwie godziny, a teraz dowiaduję się, że jednak trzeba było słuchać. Mario, ogromnie mi przykro, nie wiedziałem, że masz kogoś, to dla mnie...

- Uspokój się, nie mam nikogo, ten Piotr...

- A więc jednak. Piotr...

- Cholera ciężka, żeby to szlag trafił, zamknij się i daj mi słowo powiedzieć, nie ma żadnego Piotra, to znaczy jest, ten nastolatek!

W słuchawce zapadła cisza. Gabrielowi widocznie zabrakło słów.

- NASTOLATEK??? - wydukał w końcu z niebotycznym zdumieniem. - Kręcisz z nastolatkiem?!!!

- Kretyn - wściekła się Maria - przecież chyba mnie nie posądzasz... to uczeń, sąsiad, nikogo nie mam, to jest totalne nieporozumienie!

- Więc po co mi o nim opowiadasz?

- Nie ja, Ruta ci opowiadała.

- Kiedy?

Marii zabrakło sił. Cała ta operetka zaczęła ją męczyć.

- Wiesz co, spotkajmy się na kawie w „Ziarenku”, pogadamy. Co?

- Z rozkoszą, w tym „Ziarenku”, gdzie barmanką jest taka gruba baba z tyłkiem?

- A widziałeś kiedyś grubą babę bez tyłka? To o czwartej, stoi? Potem zabiorę cię do nas na kolację.

- Z całą przyjemnością, Marysienko - uśmiechnął się do słuchawki Gabriel. - Z całą rozkoszą, tylko czy ty jesteś w stanie?

- W poważnym?

160

- Nie, zdrowotnym.

- Nic mi nie jest i żeby nie te śmierdzące kurczaki, to bym jeszcze dzisiaj przeprowadziła się do domu.

- Jakie kurczaki?

Maria o mało nie wpadła w panikę. Rozmowa o zdechłym drobiu mogła doprowadzić do takiego samego bełkotu jak relacje o nieszczęsnym Piotrusiu.

- Nieważne. Więc o czwartej?

- Tam, gdzie baba z grubym...

- Właśnie.

Maria odłożyła słuchawkę. Baba z grubym tyłkiem. Na litość boską, skąd Sitkowa wzięła w tych czasach taką grubą pupę?

/

Rozdział XVIII

Blokady nie ustawały, Leon wynajdywał najróżniejsze kryjówki, teraz na dźwięk gwizdka bieглиśmy do upatrzonego z góry miejsca. Był nim na początku pokój na trzecim piętrze, w oficynie częściowo zburzonej przez bombę jeszcze na początku wojny. Pół klatki schodowej miało zrujnowane trzecie piętro, a połowa jakoś się ostała i w tej całej połowie zamurowano w jednej, jak to się wtedy nazywało, garsonierze, drzwi od klatki schodowej. Pomalowano je na żółty kolor i przybrudzono czym się dało, żeby nie było widać niedawnych robót. A przedtem wyrąbano kawałek sufitu, obudowano go, na strychu zmontowano klapę zamykaną od zewnątrz. Właziliśmy wraz z trzema innymi rodzinami przez tę klapę i po drabinie do pokoju, zasuwaliśmy w klapie zasuwę, a mąż jednej z kobiet zostawał na strychu i zasypywał klapę od zewnątrz jakimś strychowymi śmieciami. Potem leciał do innej kryjówki, zresztą nie wiem dokładnie co robił, może miał, to znaczy łudził się, że miał, jakieś wspaniałe papiery, zaświadczenia. Jeszcze wtedy sądzono naiwnie, że jakkolwiek Żyd z getta warszawskiego może być faszystom niezbędny. Uważaliśmy, że może Niemcy będą się bali wchodzić do częściowo zrujnowanej klatki schodowej, a jeśli wejdą, nie zorientują się w rozkładzie mieszkań. Może pomyślą, że ten mur zastępujący drzwi jest tyłem mieszkania z sąsiedniej klatki. W każdym razie kryjówka była w miarę bezpieczna, byliśmy tam już ze

162

trzy razy i tego dnia, kiedy znowu rozległ się gwizdek, pobieглиśmy pędem przejściami zrobionymi w piwnicach do oficyny i schodami w górę, do zbawczej garsoniery. Przypominam sobie, że jej właściciela, studenta medycyny, Kopia jakiegoś tam, zabrali od razu na początku akcji. Z ciekawością oglądałam rozwieszone w pokoju rysunki anatomiczne człowieka. Babcia jednej z ukrywających się rodzin podczas drugiego pobytu w kryjówce podeszła bliżej do ściany i wodząc prawie po niej nosem, zorientowała się, co to właściwie jest. A był to goły osobnik rodzaju męskiego i na dodatek nieobrzezany, co było widoczne bez najmniejszej wątpliwości. Babcia, potwornie zgorzonna, zerwała wszystko, co ozdabiało pokój, łącznie widocznym ośnieżonych gór i podarła w drobny mak.

- Fuj - szeptała - fuj, paskudztwa, obraza Pana! Fe, ohyda, taki rok na tego szajgeca!
- Niech teściowa nie przeklina, na Kopia już nie czeka żaden rok. Nie ma teściowa innych kłopotów? Cicho, sza! Bo jeszcze nas ktoś usłyszy.

Żał mi było tych rysunków, jakoś zabijały czas, ale może rzeczywiście lepiej, żeby Ajka ich nie studiowała. Kto by się zresztą przejmował takimi rzeczami, siedząc w tym pokoju jak na okręcie w czasie burzy. Dookoła rozlegały się wrzaski, oddalały się i zbliżały, słychać było, jak z podwórka wyprowadzają ludzi. Ajka podeszła bliżej, chciała wiedzieć czy zabrali też Tereskę i czy będzie miała się z kim bawić.

- Odejdź od okna - krzyknęła szeptem mama - ale to już! Bo cię zobaczą!

Ajka odskoczyła jak oparzona i skuliła się pod parapetem, po czym na czworakach podpełzła do mamy.

- A jak mnie już zobaczyli? - szepnęła rwącym się ze strachu głosem. - A jak zobaczyli i przyjdą?

163

Nikt nie wiedział, czy moją siostrę zobaczyli, ale wszyscy wiedzieli, co będzie, jeśli przyjdą. Przez chwilę w pokoju panowała głucha cisza. Przerwał ją płacz Mikuni, półrocznej córeczki jednej z kobiet.

- Daj jej cyca - poradził mąż - to się uspokoi.

Widocznie jednak Mikunia niczego nie mogła wyssać,

chyba jej matka dawno straciła pokarm. Dziecko rozrycza-ło się jeszcze głośniej.

- Pani coś zrobi z tym bachorem - powiedział sąsiad, były rzeźnik, którego wszyscy się bali, bo, co było dość rzadkie w żydowskim domu, pił na umór i po pijanemu bił, kogo spotkał. Teraz był oczywiście trzeźwy, i to od dawna, bo po prostu nie miał na wódkę i ten stan trzeźwości bardzo mu dokuczał.

- Pani coś zrobi - warczał - bo nam sprowadzi tych sukinsynów, cholera na nich, na głowy.

Kobieta kołysała Mikunię, dawała jej rąbek szmatki do ssania, nic nie pomagało.

- Ja nie będę ginąć za tego przeklętego bękarta - syczał rzeźnik - niech się pani wynosi z kryjówki!

Wcale nie wiem, jakby się to skończyło, gdyby nagle dziecko nie zaniósło się kaszlem i nie umilkło.

- Aaa, kotki dwa - ledwo dosłyszalnym szeptem śpiewała jego matka i nagle zerwała się z miejsca.

- Karol - krzyknęła - Karol!

- Szszsz - uciszył ją mąż, matka zamarła tak jak stała, ja skamieniałam. Opierałam się plecami właśnie o te zamurowane drzwi i wyraźnie poczułam, jak ktoś w nie stuka, a po chwili wszyscy usłyszeliśmy mówiących dosyć głośno Niemców. Rozumiałam już wiele i dotarło do mnie, że jeden pyta drugiego:

- Hans, tam za ścianą coś jest, popatrz tylko. Tu powinny być drzwi?

- Jakie drzwi, to przecież jest mur.

164

- Bo zamurowane. Znam się na takich sztuczkach. Mówię ci, że tam są Żydzi.

- A ja ci mówię - przyciszył głos ten jakiś Hans - żebyśmy zabrali stąd swoje dupy. Są, to są. A może mają granaty?

- Sami by się rozwalili.

- A co ich lepszego czeka, jak ich stąd wywlecemy? Lepiej chodźmy naprzeciwko, może w tych gruzach są schowane jakieś rzeczy.

- Jakie rzeczy?
- Smarkacz jesteś, jakie rzeczy, złoto! Nie wiesz, że tu wszyscy Żydzi leżą na złocie?

Widocznie Hans przekonał kolegę, bo usłyszeliśmy, jak wchodzi do zrujnowanego mieszkania, jak depczą chrzęszczące odłamki cegieł. Ni stąd, ni zowąd przypomniła mi się dziecinna zabawa, kiedy na dany znak wszyscy zastygają w pozach, w których akurat byli. Właśnie tak się zachowywaliśmy, nikt się nie śmiał poruszyć, matka Mikuni stała wyciągając ręce z dzieckiem do męża, a jej twarz była zalana łzami. Pomyślałam, że na szczęście łzy spływają bezszelestnie. Niemcy buszowali kilka metrów od nas, coś mówili, najpierw ciszej, potem głośniejsze i nagle rozległ się ich ryczący, nieopanowany śmiech. Po prostu wyli, chyba klepali się po plecach, aż dostawali czkawki, tupali, bili pięściami w ścianę. Nie rozumieliśmy tego, co na litość Boga, mogło ich tak rozbawić? Gdyby znaleźli to mityczne złoto, chyba prędko by się o nie pobili, niż wyli z radości. Żołnierze, czkając w ostatnich paroksyzmach śmiechu, zeszli po tych niepewnych schodach, usłyszeliśmy jeszcze jakieś wołania na podwórku i zapanowała cisza. Może już poszli? Odczekaliśmy jeszcze kilkanaście minut, dopóki nie rozległo się umówione stukanie w klapę. Przyszedł mąż jednej z kobiet. Można było wychodzić.

165

Rozprostowałam zdrętwiałe kości. Obok mnie matka Mikuni kołysała martwe dziecko, oczy miała oszalałe, rzeźnik też jakoś poczuł się głupio.

- Czego pani płacze, pani nie płacze, kto widział rodzić dzieci w takich czasach, panin mąż mógł sobie interes na supeł zawiązać. I tak by umarło i was pociągnęło, bez niego łatwiej się będzie ratować.
- Panie, pan zamknie pysk - nie wytrzymał ojciec dziecka.
- Żydzi, nie wstyd wam się kłócić - uspokajała staruszka od obrazków - sza, sza! Biedne maleństwo...

Nie słuchałam dalszego ciągu, razem z mamą, tatą, Ajką i Leonem wygramoliliśmy się na strych, zeszliśmy piętro niżej i tam przypomniłam sobie rżących ze śmiechu szkopów.

- Mamo, ja tam zajrzę, z czego oni się tak śmiali?

Mama zostawiła Ajkę ojcu i weszła razem ze mną.

W pierwszej chwili nie zauważyliśmy niczego szczególnego. Na podłodze, jak zwykle, leżała kupa cegieł. Wystawało z niej coś białego.

- Co to jest? Tynk?

Podeszliśmy bliżej. To nie był tynk. To był goły, w jednym miejscu zadraśnięty bagnetem, tyłek grubej Sitkowej, otoczony strzępami czarnej spódnicy. Widocznie handlarzka, nie mając żadnej kryjówki, schowała się w tych ceglach, ale pupy już nie miał jej kto przysypać. Może Niemcy, widząc czarny materiał, uznali go za wór ze złotem, rozpruli bagnetem i zobaczyli zupełnie nieoczekiwany skarb? Wcale

im się nie dziwiłam, że ich to rozbawiło, ja i mama też gruchnęłyśmy śmiechem. Spod cegieł wysunęła się twarz Sitkowej.

- Poszli? - szepnęła.
- Poszli, może pani wyjść - wykrztusiłam.
- Jak mnie jeden dziabnął, to myślałam, że nie wytrzymam i krzyknę - Sitkowa powoli wyłaniała się z gruzu -ale nie, leżałam cicho, niczego nie zauważyli!

166

Kobieta, dumna z własnego sprytu, poszła godnym krokiem do mieszkania. Byłam oczywiście pewna, że Niemcy wiedzieli, co widzą. Może im się nie chciało szarpać z babą, może rozbroił ich dobry humor, a może byli to tak zwani „dobrzy Niemcy”, to znaczy tacy, którym zabijanie nie zawsze sprawiało przyjemność?

Wróciłyśmy wtedy do mieszkania i opowiedziałyśmy o Sitkowej. Ajka aż skakała z radości, tato się uśmiechnął, a Leon powiedział:

- Miriam, ja ciebie nie poznaję. Co śmiesznego widzisz w tym, że zranili kobietę, że w panice szukała kryjówki, że umierała tam ze strachu, że potrafiła zachować milczenie w takiej sytuacji? Przecież śmierć się o nią dosłownie otarła. I jak możesz tak się dobrze bawić, kiedy przed chwilą widziałaś jak umarła Mikunia, widziałaś rozpacz jej matki? Kiedy wiesz, że nasza kryjówka jest właściwie spalona, bo jak ten Niemiec coś podejrzewał, to inni mogą też... a może nawet ten sam kogoś przyśle? Miriam, co się z tobą dzieje, pani Rose, co pani jest?

Pomyślałam wtedy, że ten Leon to bardzo dobry i poważny chłopak, ale poczucia humoru nie ma za grosz.

* * *

Maria zjawiła się w „Ziarenku” pięć po czwartej, przy stoliku pod oknem czekał już Gabriel. Tym razem przyniósł tylko jedną różę, chyba dwumetrową.

- Myślałem - zaczął - i myślałem i w końcu zrozumiałem tę aferę z Piotrem.
- Jaką aferę, nie ma żadnej afe...
- Właśnie. Przypomniało mi się, że Ruta...
- Błagam cię, dajmy już temu spokój - poprosiła Maria. - Ruta to bardzo dobra kobieta i powiem ci szczerze, że byłaby lepszą żoną dla ciebie niż ja. Ja mam sto bzików, a ona by ci dywany pod nogi słała.

167

- Nie chcę dywanów.

- Nigdy nie miała męża, te dziwactwa wynikły z samotności. Ona nikomu nie chce zrobić krzywdy, tylko marzy o przyjacielu, o mężu. Wierz mi, Gabriel, że jej się to należy.
- Ode mnie?!
- Od życia. Naprawdę. Ja już swoje przeżyłam, dobrze mi tak, jak jest.
- Gówno prawda - wyraził się nieoczekiwanie brzydko zwykle szarmancki Gabriel - wcale ci nie jest dobrze. Nikt nie włązi pod samochód, bo mu dobrze.
- JA włąziłam pod samochód???
- Właśnie. Dentysta, nie dentysta, a naczytałem się tego w życiu dosyć, interesowały mnie ludzkie zachowania. Myślałaś o czymś, coś cię absorbowało. Nic przyjemnego, prawda? Może miałaś tego dosyć i podświadomie weszłaś pod auto?
- Puknij się, znalazł się Freud dla maluczkich. Zagapiłam się i tyle.
- Powiedzmy, to powtórz mi z ręką na sercu, że jesteś szczęśliwa.
- A kto jest szczęśliwy, Gabrielu?

Maria przyglądała się swemu towarzyszowi. Coraz bardziej jej się podobał, ale w dalszym ciągu nie wyobrażała sobie rozpoczęcia teraz nowego życia z obcym facetem. Łaziłby po domu, wszystko przestawiał. Trzeba by mu było gotować obiady, może jeszcze prać jego gacie. Brrr... Gadałby, oglądałby mecze w telewizji, może lubi głośną muzykę? Chciałby wychodzić wieczorami, a Marii oprócz tego brydza nic właściwie nie ciągnęło. Jeden plus, to to, że był za stary, żeby mieć rodziców, ale Leon też nie miał rodziców, więc Maria nawet nie wiedziała jak to jest, kiedy trzeba być synową. Ale lichy go wie, może ma wredną siostrę. „Siostra męża, głowa węża” - przypomniało jej się gdzieś zasłyszane, czy przeczytane powiedzonko.

168

- Masz siostrę?
 - Mam. Starszą, bardzo mnie kocha. Wiesz, jesteśmy w ciągłym kontakcie, nie tak, jak inni. Szczególnie od czasu, kiedy jestem sam, ona nie lubiła mojej żony.
- No i masz! Katastrofa, siostra, która drze koty z bratową, koniec świata. Nie, to nie na nerwy Marii.
- Koniaczkę? - proponował tymczasem amant, nie wiedząc jaką reakcję wywołał ostatnim zwierzeniem.
 - Chętnie. Ale czekaj, mówiliśmy o Rucie. Powiadasz, że jesteś samotny, może jednak zwróciłbyś na nią uwagę? Ona jest taka pobożna, dobra, ciągle siedzi w kościele, tylko czasami ma wysoki. Za wszelką cenę chce kogoś mieć, byłaby...

- A daj mi spokój, doprawdy! Dwa koniaczki jeszcze proszę i słone orzeszki. Co cię ugryzło z tą Rutą, czy ja jestem jakąś instytucją charytatywną?

- Nie, ale na mnie... no wiesz, na mnie nie bardzo możesz liczyć.

Gabriel aż się uniósł na krześle.

- Dlaczego?! Mario? Dlaczego?

Co mu odpowiedzieć? Że Maria go nie kocha? To śmieszne, w tym wieku nie oczekuje się płomiennych uczuć. Że nie czuje do niego tak zwanego pociągu fizycznego, żeby się przyzwocić wyrazić? Jeszcze śmieszniejsze, jakby nawet czuła, to on już pewnie dawno jest ex... Że nie chce prac jego bielizny? Powie, że sam będzie prał.

- No wiesz... - duka Maria - już się przyzwyczałam do wolności, do samotności. Tak mi wygodniej. Zrozum, Gabrielu, czy to jest wiek na śluby? I co by powiedziała twoja siostra?

- Na pewno spodobałabyś się jej - w głosie mężczyzny brzmiała wyraźna niepewność.

- A jeśli nie?

- To nie. No wiesz, nie Różyczka się z tobą chce żenić, tylko...

169

- Jak, jak ona się nazywa?!

- Róża, a bo co?

- Bo moja mama tak się nazywała - powiedziała powoli Maria i zupełnie bez sensu poczuła nagle gwałtowną sympatię do ewentualnej szwagierki. Co więcej, ogarnął ją jakiś rodzinny nastrój i zaczęła się wahać.

- Powiadasz, że Róża... a mogłabym ją poznać?

- Oczywiście - ożywił się Gabriel - zanim pojedziesz do Ciechocinka, czy po powrocie?

- Wolałabym zanim.

- No, to przyjdź do mnie w sobotę na kawkę, Różyczka zapowiedziała, że będzie. Pewnie coś upiecze. To jak?

- Dobrze - przyrzekła Maria i już wiedziała, że do soboty będzie myślała ciągle o tej tam Różyczce i o ewentualnym... no, możliwym, ale wcale nie postanowionym małżeństwie z Gabrielem. Bo Róża Róża, ale po co jej właściwie ten obcy facet, jego łysinka i sztuczna szczęka? Dentysta, a własne zęby zaniedbał... Nie, Maria nie wiedziała, co ma robić.

Ale w piątek okazało się, że Róża złapała grypę i nie może się z Marią spotkać. A może to był tylko

wykręt?

Rozdział XIX

Szymon przyszedł do domu cały w skowronkach.

- No, masz załatwione najlepsze sanatorium w całym Ciechocinku - powiedział - za trzy dni sakum-pakum i jazda! Wsiadamy w wóz, oczywiście cię odwiozę. Poza tym melduję posłusznie, że w twoim mieszkaniu już nie śmierdzi, możesz spokojnie iść się spakować. Tylko nie bierz telewizora, bo tam jest w każdym pokoju.

- Ha, ha - burknęła bez entuzjazmu Maria - ale dowcipne. Tak się cieszysz, że się mnie pozbędziesz?

- Mama jest niesprawiedliwa - stanęła w obronie męża Joanna. - Szymek ze skóry wyłazi, żeby mamie dogodzić, a mamie się wszystko nie podoba.

- Bo tata za bardzo się rozporządza - błysnęła inteligencją Justyna - mnie to też wkurza jak cholera. Zrób to, zrób tamto. Jak człowiekowi tak się coś dyktuje, to w końcu wszystko zaczyna olewać. Przecież można poprosić, zapytać o zdanie, a nie tak z góry „pojedziesz, spakujesz się, wysikasz...”

- JUSTYNA!!!

- Już dobrze, przepraszam - zmięgowała się dziewczyna - ale babciu, żebyś wiedziała, że ja się wcale nie ucieszę, kiedy wyjedziesz, chociaż mnie wypieprzyłaś z apartamentu. I...

- Mamo, ja mamę za Justynkę bardzo przepraszam - zaczerwieniła się Asia - pojęcia nie mam, skąd u niej takie wyrażenia!

171

- Od babci się nauczyłam - wyjaśniła Justyna. Była to nieprawda, ale ładnie zabrzmiało, a Maria wybuchnęła śmiechem.

- Już dobrze - pocieszyła Szymona, który stał nabzdyczony koło drzwi - wiem, że się starałeś. Dziękuję. Czy trzeba zapłacić przekazem z góry, czy można dopiero po przyjeździe?

- Już jest zapłacone, nie kłopotz się tym.

- Ani nawet - zdenerwowała się Maria. - Mowy nie ma! Sama zapłacę.

- Gównu zapłacisz - wyraził się Szymon ku szalonej radości Justyny - nie stać cię na to. Dostałem kupę szmalu za projekt. Co to, nie wolno mi raz w życiu zafundować ci wakacji?

- Masz dosyć wydatków na rodzinę.

- A mama to nie rodzina? - powiedziała ciepło Joasia.

- Ale nie muszę jechać do luksusowego sanatorium... -broniła się jeszcze Maria, chociaż słowa Asi sprawiły jej naprawdę dużą przyjemność. - Nie muszę mieć kafelków i sraczyka z pozytywką. Mogę się na przykład zatrzymać w prywatnej kwaterze.

- Możesz, ale się nie zatrzymasz - burknął Szymon. -Opłaciłem wszystko i po ptokach. Nie kłóćmy się, dobrze?

Maria z pewnym rozrzewnieniem spojrzała na trzy stojące przed nią osoby. Ma dobre dzieci, ta Joasia, chociaż czasami nie do zniesienia wkurzająca, też jest bardzo porządnym człowiekiem, Szymon mógł gorzej trafić, pamiętała jak prowadzał się z taką jedną świergotliwą idiotką, Marii włosy wtedy stawały na głowie, jak myślała, że może się pobiorą. Ale nie. Na szczęście tamta... zaraz, jak jej było... no, oczywiście, Klaudia, więc owa Klaudia rzuciła Szymona. Chodził nieszczęśliwy, dopóki nie poznał Asi. I dobrze się stało.

Maria postanowiła przyjąć ten prezent Szymona, to sanatorium. Przyjmować też czasem trzeba. Wyobraziła so-

172

bie od razu elegancki budynek, tarasy. Jak to się życie zmienia, nie do wiary...

* * *

Po blokadzie, w czasie której Niemcy domyślili się, że za ścianą jest zamurowany pokój, w dawnym domu nie można już było zostać. Nie wykombinowano żadnej innej kryjówki, a akurat pani Bronka, dawna przyjaciółka mamy, bała się mieszkać sama, bo jej wszyscy lokatorzy już zginęli. Była tam kryjówka, też niepewna, ale zawsze... Mama postanowiła, że się przenosimy, więc zabraliśmy rzeczy i wszyscy, razem z Leonem, upchaliśmy się w jednym z dwóch pokojów. Mieszkanie było parterowe, a przed piecem, czego już dziś prawie nikt nie pamięta, leżały zwykłe metalowe płyty wielkości - powiedzmy - wycieraczki pod drzwiami wejściowymi. Chodziło o to, aby popiół i żar nie spadały na podłogę. Otóż u pani Brońci, jak ją wszyscy nazywali, ta płytka była podnoszona, w podłodze ukazywał się wycięty otwór, którym schodziło się do zamurowanej na głucho piwnicy. Co więcej, okienko od tej piwnicy też było zamurowane i zamaskowane jakimiś paprochami. Gdy zaczynała się blokada, trzeba było zejść po chwiejnej drabince, a potem zasunąć od spodu płytę tak, żeby leżała dokładnie na swoim miejscu. No i czekać.

W pierwszej chwili wydawało mi się to wspaniałe. Nie trzeba było lecieć piwnicami przez pół domu, od razu po gwizdku można było schodzić i już. Nie byliśmy też zależni od tego mężczyzny, który w poprzedniej kryjówce zasypywał zbyt widoczne wejście na strychu. Do pierwszej blokady miałam względne poczucie bezpieczeństwa, a Ajka nawet urządziła sobie zabawę ze schodzenia do tej kryjówki, zaniosiła tam też swoją ukochaną lalkę Teofilę i usłała jej łóżeczko ze szmatek.

173

- Ona tam będzie stale mieszkać - oświadczyła - i nic jej żaden Niemiec nie zrobi, a jakby nas wzięli i zabili, to ona zostanie i potem opowie ludziom, takim ludziom, co będą żyli za tysiąc lat, opowie, że tu

robili takie rzeczy i tamci ludzie za tysiąc lat zabiją tych wnuków tych Niemców. I dobrze im tak!

Ojca aż zatrzęsło.

- Co ty za bzdury opowiadasz, Ajka - krzyknął, a tacie bardzo rzadko zdarzało się podnosić głos - co będą winne wnuki tych Niemców?! Wstydzilibyś się!
- A co my jesteśmy winni, że tyle lat temu zabili Jezusa Chrystusa?!
- No właśnie, chyba nie podoba ci się, jak ktoś tak uważa, co? A chcesz robić tak samo?!
- Bo ja nienawidzę Niemców.
- Nie Niemców, ale faszystów.
- A co za różnica?!
- Zasadnicza, niemiecki naród, Heine...
- Nie zawracaj dziecku głowy - wtrąciła się mama - nic ci to nie pomoże, nie wytłumaczysz jej takich niuansów. Heine... daleko od niego odeszli. A ty Ajka. nie myśl o zabijaniu, tylko idź spać.

Następnego dnia rano rozległ się gwizdek i okazało się, że nowa kryjówka jest okropna! OKROPNA!!! Nie tylko Ajka, przerażona, tuliła się do mamy, ja też miałam ochotę wyć i bić pięściami o ścianę. W piwnicy panowała absolutna ciemność. Ciemność i cisza. Nie wolno było zapalać świeczki, bo powietrze znikąd nie dochodziło i oszczędzaliśmy tlen. Nie wolno było się poruszyć, bo Niemcy mogli akurat stać blisko pieca.

Od razu zaczęłam się dusić, chociaż na razie powietrza było dosyć. Okazało się też, że jednak byliśmy od kogoś zależni, bo sami nie wiedzieliśmy w ogóle, co się dzieje, czy blokada jest skończona, czy jeszcze trwa. Pani Brońcia umówiła się z sąsiadem, że zapuka w klapę kiedy będzie po wszyst-

174

kim, ale nie wiadomo było, czy ten sąsiad, który chował się w starym kufrze na stryszku, przeżyje. A jeśli przeżyje, czy zapamięta, że ma pukać w takt piosenki „Chryzantemy złociste”, jedynej, którą dobrze znał, bo facet był właściwie nienormalny, niedorozwinięty, chociaż bardzo panią Brońcię kochał i chyba myślał, że jest jego matką. Nikogo innego Brońcia nie śmiała prosić o to pukanie, a Josefe i tak nie chciał siedzieć w piwnicy, bo panicznie bał się ciemności. W kufrze miał wykręczone otworki, a cały ten zakurzony, omszały mebel stał tuż koło okienka. Josefe święcie przyrzekł, bijąc się w piersi, że kiedy Niemcy sobie pójdą, wejdzie do mieszkania i zapuka „pukpukpuk pukpukpukpuk” i to będzie znaczyło, jak powiedział „że to ja, Josefe, a nie taki przeklętnięty Niemiec, co Brońci mamusi chce krzywdę zrobić”. Na takiej to cienkiej nitce wisiało nasze życie. Mama w ogóle uważała, że pani Brońci na głowę się rzuciło, żeby takiego człowieka wtajemniczać i pokazywać mu kryjówkę.

- On tu pewnego dnia z dobrego serca przyprowadzi Niemców, zobaczysz - biadała - poproszą go, to przyprowadzi.

- On nienawidzi mundurów - broniła Josefe pani Brońcia - a od czasu Nineczki na sam ich widok dostaje szału.

I Brońcia opowiedziała nam o Nineczce. Nie byłam przy tym, ale to dziecko do dziś śni mi się po nocach.

Wtedy nie było blokady. Dziewczynka, którą ten Josefe zresztą ubóstwiał i uważał za Królową Śnieżkę, bawiła się przed domem. Stała tam ławeczka pamiętająca lepsze czasy i na tej ławce Nineczka właśnie rozkładała jakieś swoje szmatki, kiedy przechodzący obok dwaj SS-mani zwrócili na nią uwagę. Ich rozmowie przysłuchiwała się ze swojego parterowego okna Brońcia, która doskonale znała niemiecki.

- Ty, popatrz no - powiedział rosty byk z czerwonym karkiem do swego mniejszego, jasnowłosego towarzysza - to nie może być żydowskie dziecko. Jakie niebieskie oczy, a włosy po prostu złote.

175

Ten niższy podszedł bliżej.

- No, rzeczywiście - powiedział - chyba zabłądziła, może przelazła przez mur, czy jak?

- Albo, wiesz co, może Żydzi ją porwali na macę?

Ninka stała obok ławki blada jak śmierć. Miała już siedem lat i wiedziała czego można się było po Niemcach spodziewać.

- Jak się nazywasz? - zainteresował się ten starszy i dziecko, znające język żydowski, którym posługiwano się w jej rodzinie, jakoś zrozumiało, o co chodzi.

- Nineczka - wybąkało.

To nic nie mówiło Niemcom. „Nineczka” mogło być zdrobnieniem od wielu imion, a było spolszczoną przez pewną ciotkę imieniem „Chana”, ale tego nie można było się domyślić. Pytali więc dalej.

- A skąd się tu wzięłaś?

To już było za trudne, Ninka stała i wlepiła rzeczywiście wyjątkowo błękitne oczy w Niemca.

- Ona nie rozumie - wykazał się znajomością psychiki dziecięcej ten starszy.

- Chodźmy stąd, już późno - wyrwał się blondas.

- Nie bądź świnia, jak ci nie wstyd - zawołał większy - chcesz zostawić dobre, aryjskie dziecko na pożarcie tym parszywym Żydom? Jeszcze jej krzywdę zrobią. Weźmiemy ją, a potem zobaczymy.

Zaalarmowana przez sąsiadów matka Ninki wybiegła na podwórko i widocznie uważała, że Ninka może naprzykrza się SS-manom, że o coś ich pyta... Brońcia nie zdążyła krzyknąć, żeby ją uprzedzić co się dzieje. I tak nie wiadomo było co w tej sytuacji należy robić. Matka Ninki, zupełnie skołowana, zawołała po żydowsku:

- Ninka, Chanele, do domu!
- Już idę - odchrzyknęła jej w tym samym języku córka.

176

Niemcy z niesmakiem spojrzeli na kobietę, zaniedbaną, z długim nosem, posiwiałą ze zmartwienia, bo przecież nie starą. Jidysz widocznie obijało im się o uszy, bo bezbłędnie go rozpoznali. Chcieli się jednak upewnić, żeby Boże broń, nie skrzywdzić dziecka, które byłoby niewinne.

- To twoja córka? Rodzona? - zapytali łagodnym głosem.

Matka Ninki z zapałem kiwnęła głową, a córeczka przytuliła się do niej i wcisnęła twarz w maminą spódnicę.

- Tfu - powiedział z obrzydzeniem w głosie jeden z Niemców - a ja pogładziłem to paskudztwo po głowie. - Potem wyjął rewolwer i bez złości, za to bardzo precyzyjnie, strzelił w głowę najpierw matce, a potem oniemiałej ze zgrozy Niemce. Odsunął butem trupy i wzruszając ramionami odszedł razem z kolegą i ze swoim czystym sumieniem. Podobno Josele nie pozwalał zabrać zwłok, płakał, ryczał, bił głową o ścianę. A poza nim nie było już nikogo, kto by tak rozpaczał, bo ojca Ninki wzięto w jednej z poprzednich blokad, a jej dwóch braciszków-bliźniaków umarło na tyfus. Zresztą, co tu mówić, Ninka z jej nieznaną poprawnego polskiego i tak, pomimo jej wspaniałego wyglądu, miała minimalne szanse przeżycia. Może lepiej, że zginęła od razu, niż gdyby miała się dusić w komorze gazowej.

Nie mogłam zapomnieć o Nince i często wyobrażałam sobie tych Niemców, którzy chyba naprawdę myśleli, że nie zrobili nic niewłaściwego. I właśnie to było najbardziej przerażające.

Tak więc pani Brońcia uważała, że na Josku można polegać i rzeczywiście, po blokadach przychodził i odpukiwał te „Chryzantemy złociste”. Nienawidzę tej niewinnej piosenki do dziś, na szczęście wyszła już z mody. Najgorzej znosiła ciemność i ciszę tej kryjówki Ajka i sądzę, że to był początek jej klaustrofobii, może nie takiej ostrej i klinicz-

177

nej, ale jednak. Wpada w panikę w każdym zamkniętym pomieszczeniu z którego nie może natychmiast wyjść, a windami w ogóle nie jeździ. Ja zresztą też.

No cóż, mam nadzieję, że w tym ciechocińskim sanatorium będę miała pokój na niskim piętrze, a może Szymon

o tym pomyślał?

* * *

- Szymon, a na którym piętrze jest ten mój pokój? - zapytała Maria.
- Na pierwszym, na pierwszym, nie myśl, że nie pamiętam.

No tak, Maria miała dobrego syna. Wierzyć jej się nie chciało, że tak się przed tym bronila, że bała się tego dziecka, przepłakała całą ciążę, a kiedy Szymek się urodził, nawet na niego nie spojrzała. Leon był przerażony.

- Mireczko, przecież to nasze dziecko, każda matka kocha swoje dziecko!
- Właśnie - syczała Maria przez zaciśnięte zęby - właśnie. A ja nie chcę. Nie chcę!

Ale już wtedy, wbrew własnej woli, kochała Szymona

1 nic nie mogła na to poradzić.

Rozdział XX

Z mieszkania już na szczęście ulotnił się trupi zapaszek i Maria mogła spakować rzeczy. Nie żałowała sobie i tak Szymon miał ją odwieźć samochodem, tak więc do walizki upchnięte zostały suknie na ładną pogodę, suknie na brzydką pogodę, zapasowe buty (trzy pary), piękny szlafrok i biżuteria. Z wyłożonego zamszem pudełka wysypały się na stolik koraliki z czeskiego szkła, dwie złote bransoletki, z których ta grubsza była prezentem od Leona, prawdziwe korale i pierścionki. Jeden z nich, już o wiele za ciasny na zgrubiałe palce i stawy Marii, był zrobiony z drutu. Obrączka ślubna, obrączka od Heńka, obrączka która nigdy nikogo z nikim nie połączyła na dobre, ani na złe, na zdrowie, ani na chorobę...Tej obrączki nigdy już Maria nie włożyła i właściwie nie wiadomo dlaczego przechowywała ją razem z bransoletką, ze złotymi monetami, których na początku było dosyć dużo, a potem zostały tylko dwie i z czterema złotymi pierścionkami chowanymi na czarną godzinę. Maria brała do ręki monety i zastanawiała się, co zdarzyło się ich właścicielowi? Właściwie nie bardzo miało sens to zastanawianie się, te wyrzuty sumienia, które dręczyły Marię przez całe życie. Wiadomo, co mogło spotkać człowieka prowadzonego w kolumnie innych Żydów na Umschlagplatz. Ale przecież i Maria tam była, a jednak żyje. Kilka razy po wojnie dawała ogłoszenie do gazet, że poszukuje właściciela ślubnej obrączki z wygrawerowanymi

179

inicjałami M.B. i datą 12 III 1929. Nikt się nigdy nie zgłosił, więc co miała robić? A trzeba przyznać, że monety uratowały życie i jej, i Ajce, i Leonowi, a matce przynajmniej

to życie o parę miesięcy przedłużyły...

* * #

I oczywiście, zawdzięczam to Leonowi. Przybiegł wtedy do domu podniecony i zdyszany, ale poczekał, aż Brońcia zniknie w swoim pokoju, aż pani Kasia, która w tym pokoju Bronki od kilku dni mieszkała razem z córeczką, umyje się i położy. Dopiero wtedy wyjął z kieszeni przypięty tam agrafką woreczek i wysypał zawartość na swoją kołdrę. Zatkano nas. Na kocu lśniły tak zwane złote „świnki”, w dołku leżało kilka pierścionków, były też złote bransoletki i jakieś luźne kamyki. Po prostu skarb. Tata złapał się za głowę.

- Leon - wrzasnął szeptem - coś ty zrobił! Gwałtu! Okradłeś kogoś, obrabowałeś?!

- Panie Rose - uniósł się honorem Leon, właściwie już od dłuższego czasu nazywał tatę panem Iziem, ale teraz poczuł się śmiertelnie urażony, r- Panie Rose, jak pan w ogóle...co pan sobie myśli?! Za kogo mnie pan ma?! Czyja sobie zasłużyłem na takie posądzenie?!!

- A co ja mam myśleć? - zapytał zgnębiony ojciec. - Co ja mam myśleć, jak najlepszy chłopak... jak nasz przyjaciel, co to chodzi, za przeproszeniem, prawie z gołym tyłkiem, co nie ma na masło z chlebem, przynosi mi nagle do domu takie, niech będzie przeklęte imię ich ojca, precjoza, takie klejnoty?! No, co ja mam sądzić? No?

Zachciało mi się śmiać. Ojca wyraźnie poniosło, wygadywał niesłychane rzeczy, Leon miał minę zgwałconej dziewczyny. Na dodatek kłócili się pytaniami, przed czym zawsze ostrzegałam tych nielicznych uczniów, którym szli-

180

fowałam język polski. „To sposób mówienia typowy dla Żydów - mówiłam - oczywiście nie ma w tym nic złego, ale sama przyznasz, że nie po to chcesz uciec na aryjską stronę, żeby się afiszować swoim pochodzeniem." Teraz właśnie miałam próbkę takiego dialogu, było to bardzo ekspresyjne, ale mnie jakoś rozbawiło. No a poza tym, rzeczywiście, skąd u tego gołodupca to całe złoto?

- Leoś, powiedz skąd to masz, wyjaśnij Izaakowi i będzie po wszystkim - łagodziła mama - może ukradłeś jakiemuś Niemcowi? Bo to nie byłby grzech.

Ojciec miał jednak swoje zasady.

- Co ty opowiadasz, Róża, czego ty dzieci uczysz? Kradzież, to jest kradzież.

- Pocałuj mnie w nos - wytoczyła argument mama - no, Leon?

- Nikomu nic nie ukradłem - burknął chłopak - szedłem ulicą, którą chwilę przedtem pędzono ludzi na Umschlagplatz. No i na środku jezdni leżał ten woreczek, jest taki szary, nikt go nie zauważył. A ja podniosłem. Może miałem lecieć na Umschlagplatz i szukać właściciela, co?

Pomysł był taki absurdalny, że nawet ojciec pokręcił głową.

- No tak. To ja cię przepraszam. Rzeczywiście. Ktoś to musiał zgubić, biedny człowiek. Pewnie się zmartwi, jak zauważy.

- Izaak, czy ty ciągle nie rozumiesz, co się dzieje? Po co mu złoto jak go zaraz zabiją. Już on ma inne zmartwienia.

- Ale może myślał, że się wykupi, a teraz już wie, że przepadło...

Ajka, zawsze czuła na takie rzeczy, ryknęła płaczem. Mama się okropnie zdenerwowała.

- Iziek, straciłeś rozum, słowo daję! Po co dzieciakowi robisz ciężkie serce? Masz jakąś radę, jakiś sposób? Nie

181

masz, to trzymaj, ja cię proszę, buzię na kłódkę i podziękuj Leonowi. A nie wpadło ci aby na myśl, że on mógł to wszystko schować dla siebie? Mógł i miał prawo, wcale nie musiał rzucać nam tego do stóp?

- Nie do żadnych stóp, tylko na łóżko - chlupnęła Ajka. - Nie widzicie, że na łóżko, czy co?
- Nawet by mi to do głowy nie przyszło - powiedział zaskoczony pomysłem mamy Leon - przecież jesteście dla mnie rodziną... A złoto może się przydać i to jak! Dzięki niemu może się uda uciec, przekupić strażnika przy murach... Zapłacić temu, co nas przechowa po aryjskiej stronie... Nie, żebym się cieszył, że kogoś złapano i prowadzono na śmierć, ale skoro już tak miał pisane... Lepiej, że ja znalazłem, niż jakiś Niemiec prawda? Panie Izium?
- No tak, prawda, dobry z ciebie człowiek, Leonie - powiedział, ociągając się, ojciec. Widać było, że sytuacja go przerasta. Prawdę mówiąc, w ogóle wszystko go w tych czasach przerastało, nie umiał przestawić się na wojenne myślenie, nie umiał przestać myśleć o Anglii, o kulturze niemieckiej i nie mieściło mu się to wszystko w głowie. Ciągłe dowodził, że gdyby ktoś z kimś porozmawiał, żeby ktoś komuś coś uświadomił... że to pomyłka, że może wypuścili z jakichś więzień bandytów, że przecież normalny człowiek nie zabiłby Ninki, nie skopałby Józka.. A jednocześnie chyba wiedział, że to nie dawni kryminaliści, że naprawdę dzieje się coś niepojętego i szalonego. Już wtedy wydawało mi się, że ojcu właściwie obrzydło życie i gdyby nie mama, nie wstawałby w ogóle z łóżka, nie jadłby i nie schodził do kryjówki i dawno albo umarłby z rozpacz, albo złapałby go Niemcy. Już nie kreślił swoich projektów na żadnych kartkach papieru, stracił wiarę, że którykolwiek kiedykolwiek zrealizuje. Przystał też szyć, nie było już klientów, nikt nie myślał o ubraniu. Tylko ja jeszcze miałam kilku uczniów, między innymi córeczkę tej pani

182

Kasi, która mieszkała w jednym pokoju z Brońcią. Właściwie nie bardzo miałam czego jej uczyć, mówiła tylko po polsku i to bardzo dobrą polszczyzną, ale pani Kasia chciała, żeby sześciolatnia dziewczynka po prostu miała co robić.

- Miriam, naucz ją może trochę czytać. Mam tu taką książeczkę z dużymi literami...

Siedziałam więc co wieczór i pokazywałam Geniusi:

- Patrz, to jest „A”. Jakie słowo zaczyna się na „A”?
- Aronek - odpowiedziała Geniusia i co ja miałam zrobić? Jeśli przedostanie się na tamtą stronę, to lepiej, żeby zapomniała o Aronkach, Jośkach, Szmulach...
- Nie ma takiego słowa - kłamałam więc w żywe oczy, a Geniusia patrzyła na mnie jak na wariatkę.
- Co ty mówisz, Mirka, jak to nie ma. W przedszkolu dawno temu był Aronek i Janek i Krzyś i Natan i...

- Zapomnij o nich, znajdź mi inne słowo na „A”
- Nie ma innego słowa.
- Co ty opowiadasz, posłuchaj: arbuź, altana, aleja, akacja, albatros, no?
- W ogóle nie znam tych słów - zbuntowało się dziecko.
- Alarm - podpowiedziała moja mama.
- O, alarm, alarm to znam. Jak ryczą syreny i rzucają bomby. To jest alarm. Na „A”.

Niedobrze mi się robiło od tych lekcji, każda litera kryła w sobie niespodzianki, a kiedy przy „B” Geniusia nie wiedziała, co to jest banan, baran, bibuła, a wymieniła bombę, biedę i babcię do którego to słowa dołączyła opowieść o tym, jak jej babcia umarła w bólach (też na „B”), o mało się nie załamałam. Pani Kasia mnie pocieszała:

- No trudno, tak już jest. Może opowiesz jej jakieś bajeczki i potem, według nich, wybierze słowa. - I to wreszcie zdało egzamin, wymyślałam jakieś historyjki, proste, pozbawione wzmianek o takich luksusach jak

183

banan, czy arbuź, pamiętam, że bohaterką jednej z nich była cebula, bo właśnie cebulę jeszcze mieliśmy. I Geniusia rzeczywiście uczyła się czytać. Była bardzo zdolna. Wieczorami, po lekcji, pani Kasia kładła ją spać, a potem wszyscy zbieraliśmy się w kuchni, bo tam było najcieplej. Przy kuchennym, kafłowym piecu zawsze stała pani Kasia z rękami splecionymi z tyłu. Był to wspaniały sposób na ogrzewanie rąk, a mama Geniusi jakoś zawsze marzła. To było jej miejsce i córeczka o tym wiedziała. Co wieczór z pokoju dochodził jej smutny głos:

- Mamusiu, stoisz przy piecu?
- Stoję, kochanie.
- Buzią do mnie?
- Buzią do ciebie.
- No to dobranoc, mamusiu...

Pewnego dnia blokada zastała panią Kasię i Geniusię na podwórku, nie zdążyły zejść do kryjówki. Kto wie, może to „mamusiu, stoisz przy piecu?” jest jedynym po nich wspomnieniem?

Tak więc ja jedna jeszcze trochę zarabiałam, przynosiłam do domu jakieś chleby, kawałek mięsa, a raz zapłacono mi garścią orzechów. I ta biżuteria przyniesiona przez Leona pomagała nam jakoś przetrwać, chociaż staraliśmy się wydawać jak najmniej, bo było wiadomo, że musi się z tego getta uciec, że tu nie ma żadnych szans na przeżycie. Dostaliśmy kiedyś nawet wiadomość od Heńka, że się stara, że może mu

się uda, tylko za papiery trzeba by zapłacić, a on nie ma czym. Więc teraz, kiedy mogliśmy mu przesłać pieniądze, trzeba było szukać okazji, szukać nie tylko kogoś, kto wyjdzie, ale kogoś kryształowo uczciwego, kto te „świnki” Heńkowi odda. I ten ktoś jeszcze w ogóle musiał chcieć się tego podjąć. Wyglądało to wszystko raczej beznadziejnie...

184

Maria nie miała siły dokończyć pakowania. Te obsesyjne myśli zaczynały ją osaczać, tyle lat spychała je na dno świadomości, aż tu nagle...

„Wszystko przez tę cholerną gęsią szyję” - przypominała sobie ze złością. - „Żeby takie głupstwo mogło uruchomić taką lawinę!” Spojrzała na swoją pięść i zdała sobie sprawę, że ściska w niej blaszany pierścionek. Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby Heniek w czasie Powstania Warszawskiego nie wyszedł na ulicę, nie złapał broni zabitego Niemca, nie przyłączył się do walki? Może jakoś by przeżył, nie upadłby na Starym Mieście zastrzelony, porany kulami. Może spotkałby się z Miriam? A Maria pomimo wszystko, pomimo nocy w tym obskurnym gabinecie dentystycznym, na pewno nie wyszłaby za Leona, tylko za Heńka, zawsze, przez całe życie tylko za Heńka. Działy się w życiu Marii bardzo różne rzeczy i złe, i dobre, czas coraz bardziej oddalał ją od Chaima, ale przecież dla niego czas nie istniał, on się nie starzał, na zawsze pozostał tym samym Heńkiem, który podarował jej pierścionek z drutu, z którym nie łączyło jej to, co powinno ich było połączyć. Maria była potem wierna Leonowi, śmieszne, wcale nie Leonowi, tylko Heńkowi. I jeszcze teraz przyjmowanie zalotów Gabriela wydawało jej się nielojalnością wobec Chaima, a nie wobec Leona, który przecież stosunkowo niedawno umarł, z którym miała Szymona, z którym przeżyła życie.

Maria siedziała nad tym pudełkiem i nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Jest już przecież stara, stara, jak trudno w to uwierzyć, w głowie płacząc jej się romantyczne brednie. W to, że nie jest już młodą dziewczyną uwierzyła parę tygodni temu, i to wcale nie wtedy, kiedy czesała siwe włosy, nie wtedy, kiedy pudrowała zmarszcz -

185

ki na policzkach, nie wtedy, kiedy patrzyła na swoje zniszczone ręce, lecz w chwili, gdy wyrzucała do śmieci piękne, blaszane pudełko po zjedzonych przez gości czekoladkach. Nigdy w życiu, nigdy takiego pudełka nie rzuciłaby do kosza młoda dziewczyna, można w nim było coś przechowywać, jakieś listy, broszki, diabli wiedzą co, można je było kiedyś przerobić na pokój dla lalek, niekoniecznie dla własnej córeczki, może dla dziecka sąsiadki. A tu, patrzcie ludzie, Maria nawet się nie zastanawiała, pudełko wylądowało w kubie, a Marię przeszedł dreszcz. To właśnie była starość, to niezostawianie niczego na potem, na kiedyś, człowiek wiedział, że tego „potem” już nie będzie.

Więc Maria zdawała sobie sprawę ze swojego wieku, nie, chyba jednak niezupełnie, skoro płakała teraz nad drucianym kółeczkiem, skoro tęskniła do Heńka tak, jak tęskniła przez całe swoje życie.

I nie wiedziała w końcu, czy to dobrze, czy źle, że ta obrączka przechowała się wraz z resztą drobiazgów u pani Haliny...

Rozdział XXI

Jazda była bardzo przyjemna, chociaż Marię rozboleł krzyż od tego siedzenia w samochodzie.

- Mogłam śmiało jechać pociągiem - gderiała.
- Tak i przesiadać się w Aleksandrowie Kujawskim do koszmarnego wagonu, do którego trzeba prawie włązić po drabinie - bujknął Szymon.
- Żartujesz, po jakiej drabinie? I dlaczego tam jest przesiadka, kiedyś byliśmy z Leonem w Ciechocinku i było bezpośrednio połączenie.
- Sto lat temu. Teraz jest przesiadka, a stopień wagonu jest okropnie wysoko.
- Skąd wiesz?
- Bo mieliśmy zjazd w Ciechocinku akurat wtedy, kiedy samochód stał po tej stłuczce w warsztacie, rok temu. O rany! - zorientował się poniewczasie Szymon, a jego matkę aż poderwało z fotela.
- JAKĄ STŁUCZKĘ???!!!
- No, ojej, nie było o czym mówić.
- JAKĄ STŁUCZKĘ??? Kiedy miałeś wypadek??? Dlaczego ja nic o tym nie wiem?!
- Dlatego, właśnie dlatego, że od razu podnosisz alarm na pół Polski. Po co miałem cię denerwować? No, stuknął nas taki podpity idiota, nic się nie stało.
- Zaraz... czy to nie wtedy Asia złamała rękę? Doskonale pamiętam, mówiłeś, że upadła, że upadła prosto na Justynę, że jej podcięła nogi i dlatego dziecko jest całe posinia-

187ki na policzkach, nie wtedy, kiedy patrzyła na swoje zniszczone ręce, lecz w chwili, gdy wyrzucała do śmieci piękne, blaszane pudełko po zjedzonych przez gości czekoladkach. Nigdy w życiu, nigdy takiego pudełka nie rzuciłaby do kosza młoda dziewczyna, można w nim było coś przechowywać, jakieś listy, broszki, diabli wiedzą co, można je było kiedyś przerobić na pokój dla lalek, niekoniecznie dla własnej córeczki, może dla dziecka sąsiadki. A tu, patrzcie ludzie, Maria nawet się nie zastanawiała, pudełko wylądowało w kubie, a Marię przeszedł dreszcz. To właśnie była starość, to niezostawianie niczego na potem, na kiedyś, człowiek wiedział, że tego „potem” już nie będzie.

Więc Maria zdawała sobie sprawę ze swojego wieku, nie, chyba jednak niezupełnie, skoro płakała teraz nad drucianym kółeczkiem, skoro tęskniła do Heńka tak, jak tęskniła przez całe swoje życie.

I nie wiedziała w końcu, czy to dobrze, czy źle, że ta obrączka przechowała się wraz z resztą drobiazgów u pani Haliny...

Rozdział XXI

Jazda była bardzo przyjemna, chociaż Marię rozboleł krzyż od tego siedzenia w samochodzie.

- Mogłam śmiało jechać pociągiem - gderiała.
- Tak i przesiadać się w Aleksandrowie Kujawskim do koszmarnego wagonu, do którego trzeba prawie włązić po drabinie - burknął Szymon.
- Żartujesz, po jakiej drabinie? I dlaczego tam jest przesiadka, kiedyś byliśmy z Leonem w Ciechocinku i było bezpośrednie połączenie.
- Sto lat temu. Teraz jest przesiadka, a stopień wagonu jest okropnie wysoko.
- Skąd wiesz?
- Bo mieliśmy zjazd w Ciechocinku akurat wtedy, kiedy samochód stał po tej stłuczce w warsztacie, rok temu. O rany! - zorientował się poniewczasie Szymon, a jego matkę aż poderwało z fotela.
- JAKĄ STŁUCZKĘ???!!!
- No, ojej, nie było o czym mówić.
- JAKĄ STŁUCZKĘ??? Kiedy miałeś wypadek??? Dlaczego ja nic o tym nie wiem?!
- Dlatego, właśnie dlatego, że od razu podnosisz alarm na pół Polski. Po co miałem cię denerwować? No, stuknął nas taki podpity idiota, nic się nie stało.
- Zaraz... czy to nie wtedy Asia złamała rękę? Doskonale pamiętam, mówiłeś, że upadła, że upadła prosto na Justynę, że jej podcięła nogi i dlatego dziecko jest całe posinia-

187

zione! A tobie akurat wypadł ząb! Cholera, to wszystko była ta stłuczka? I kazaliście dziecku mnie okłamywać? Tak?! Niech się babcia nie denerwuje, jak w tej piosence?!

Szymon był zgnębiony i zły.

- Szlag by to trafił, zawsze muszę coś chlapnąć. No, tak. Po co miałaś się niepokoić? Nic się nie stało.
- Tylko teraz już nigdy nie będę ci wierzyć, to się stało. Przrzeknij mi, że to było ostatni raz!
- Dobrze, niech będzie, ostatni raz ci nie powiedziałem, że miałem małą stłuczkę.
- NO - uspokoiła się trochę Maria, nie zauważając, że Szymon swoje przyrzeczenie bardzo ograniczył. - No, więc co z tą przesiadką? Przecież to idiotyczne, do Ciechocinka jeździ masa inwalidów na wózkach, jak sobie dają radę?
- No właśnie. Nie wiem.
- Czysty obłąd - denerwowała się Maria - co oni sobie myślą, żeby takie rzeczy...

- Jacy „oni”? Pewnie nie mają forsy.
- Ale muszą mieć, przecież ci niepełnosprawni...
- Mamo, błagam cię, to nie moja wina - jęknął Szymon - lepiej patrz, już wjechaliśmy do Ciechocinka.

Maria zamilkła na chwilę, za oknem samochodu przesuwały się domki w zieleni i bloki wcale nie w zieleni, podróż przez miasto była bardzo krótka i po chwili Szymon zatrzymał się przed elegancko wyglądającym sanatorium „Oa-sis”.

- Dlaczego „Oasis”? - zapytała od razu na wstępie Maria.

Recepcjonistka zastanowiła się.

- Och, proszę pani, to znaczy „Oaza”. Że u nas jest tak przyjemnie, taki spokój...
- Rozumiem, ale dlaczego po angielsku?
- Bo przyjeżdża wielu gości z zagranicy, ze Stanów, wie pani.

188

- Ale z Polski też?
- Ja rozumiem, o co pani chodzi - uśmiechnęła się grzecznie dziewczyna - ale to nie ja wymyśliłam tę nazwę. Mogę przekazać pani zastrzeżenia panu dyrektorowi.

Szymon syknął, jakby ktoś nastąpił mu na odcisk.

- Nie, nie, nie trzeba, niech pani niczego nie przekazuje. Mamo, daj spokój, „Oasis” to bardzo ładna nazwa. Proszę pani, mamy zarezerwowany pokój na pierwszym piętrze, to znaczy mama, pojedynczy.
- Pani...
- Porter, Maria Porter.
- Oczywiście, proszę, może zawołam kogoś, kto wniesie bagaże? ^

Ten luksus zupełnie oszołomił Marię, nie uwierzyła własnym oczom kiedy zobaczyła chłopca w uniformie. Młodzieniec zaniósł jej walizki do pokoju 127, rozsunał zasłony i nisko się skłonił, gdy Szymon dał mu napiwek.

- Czuję się jak w filmie z życia wyższych sfer - oznajmiła. - Człowieku, ile ty bulnąłeś za to wszystko?
- Mniej niż ty co roku wciskasz Asi i Justynce! - postawił się Szymon. - I przestań wreszcie o tym myśleć. Tu masz łazienkę ze sraczykiem, a tu leży pilot od telewizora. Tu masz guziki, możesz przywołać pokojówkę, pielęgniarkę... telefon...

- Czy ty uważasz, że jestem nienormalna? - zirytowała się Maria - Sama się ni cholery nie domyślę, że to jest telefon?

- Chciałem...już dobrze.

Szymon jakby jeszcze na coś czekał. Maria wiedziała, że czegoś mu brak i po chwili domyśliła się czego.

- Dziękuję synku - powiedziała, a potem objęła tego absolutnie dorosłego mężczyznę, któremu sięgała do brody,

189

wspięła się na palce i pocałowała w policzek pachnący jakąś wodą „po goleniu” - bardzo tu jest pięknie. Na pewno odpocznę i w ogóle. Kochany jesteś. No.

Szymon uśmiechnął się od ucha do ucha, a że właśnie rozległ się gong zapowiadający obiad, zatarł ręce i oznajmił:

- To idziemy na małe co nieco. Wykupiłem sobie żarcie na dziś.

Ten pierwszy obiad był wspianiały, miły był także poobiedni spacer z synem, potem Szymon odjechał, a ażurowa brama zamknęła się za jego samochodem.

Maria wróciła do pokoju. Ciągle miała przed oczami tę bramę...

* * *

Tamta była trochę inna, prześwietlając miała tylko górną połowę, na dole była metalowa, jednolita. Także składała się z dwóch skrzydeł, jedno było zamknięte, a drugie otwarte i to skrzydło prawie przylegało do muru kamienicy.

Wysłałem wtedy z matką z domu, poszliśmy do człowieka, który może mógł załatwić przerzut pieniędzy dla Heńka na te papiery. Człowiek nie chciał się umawiać u siebie w domu, spotkaliśmy się na ulicy, ale cała ta konspiracja runęła, kiedy okazało się, że jest to po prostu pan Dawid, którego mama знаła od niepamiętnych czasów i który pracował kiedyś nad jakimś projektem razem z ojcem. Sytuacja była mało zabawna, bo my także wolałyśmy zataić swoją tożsamość, lepiej, żeby się nie rozeszło, że mamy jakieś pieniądze. Dawid z kolei nie chciał, żeby ktoś wiedział o jego kontaktach. Mimo to, uśmiechnęliśmy się, kiedy mama zaczęła dukać hasło - „szalom - powiedziała - czy pan sprzedaje guziki?”. „Owszem, ale tylko do palta” - miał odpowiedzieć facet. Całe to hasło było kretyńskie, kto w getcie sprzedawał, czy też kupował takie głupstwa jak

190

guziki, kto w ogóle myślał o podobnych rzeczach. No, ale hasło musi być niebanalne, inaczej można byłoby się omylić, Heniek mi takie sprawy kiedyś tłumaczył. Mniejsza

o to, bo ten Dawid nie odpowiedział odzewem, tylko rzucił się na mamę.

- Pani Rózo kochana, to pani żyje? I Miriam żyje? A Izaak?
- Żyje - wybąkała mama i pomimo zaskoczenia niespodziewanym spotkaniem nie zrezygnowała z konspiracji. -A guziki?
- Tylko do palt - zaśmiał się nasz znajomy. Wracałyśmy więc do domu w lepszych humorach, bo Dawid był człowiekiem solidnym i jeśli ktoś mógł załatwić taką sprawę, to właśnie oji. Szłyśmy ulicą, a potem skręciłyśmy w prawo, żeby, przez przechodnią kamienicę, skrócić sobie drogę do domu. Widocznie nadzieja, jaka nam zaświtała po złożeniu sprawy w ręce pana Dawida, uspiła naszą czujność, bo nie usłyszałyśmy gwizdka i dostałyśmy się w sam środek blokady.

Stanęłyśmy jak wryte w tej bramie, drogę miałyśmy już odciętą z obu stron, bo na ulicy też pojawili się Niemcy. Podwórko było zielone od mundurów, żołnierze wywlekali jakąś kobietę z klatki schodowej, słychać było wrzaski

1 płacz, mama po sekundzie wahania wciągnęła mnie za otwarte na oścież skrzydło bramy.

- Kucnij - rozkazywała zdyszonym szeptem, przyciągając ciężkie drzwi jak najbliżej do muru kamienicy, tak, że prawie rozplaszczaliśmy się o ścianę. - Kucnij, bo u góry jest ażur!

Kucnięcie w tej sytuacji było niemożliwe, spróbowałam jednak, brama się trochę odsunęła, mama syknęła, ale trudno, nie było wyjścia. Siedziałyśmy na piętach, nogi nam cierpły, serce biło jak młot, przecież to niemożliwe, myślałam, przecież taka kryjówka jest śmieszna, to dobre

191

do zabawy w chowanego, oni nas zaraz znajdą i wywloką. Ale minuty mijały i nikt jakoś na bramę nie zwracał uwagi.

Przez szparę obserwowałam podwórko, stał już tam szereg ludzi, na końcu ustawił się jakiś patriarchalny starzec w zupełnie porządnej kapocie. Był to na pewno ortodoksyjny Żyd, nie rezygnujący z niczego, co dyktowała mu jego wiara i tradycja. Był wychudzony, długi nos ostro wystawał z bladej twarzy okolonej pejsami. Jego siwa, długa broda od razu przyciągnęła uwagę Niemca, który ze śmiechem pokazywał Żyda swojemu koledze. Może niedawno znalazł się w getcie i jeszcze kogoś takiego nie widział. Ten drugi Niemiec podszedł do patriarchy i przyjrzał mu się z bliska. Wydawało się, że obaj patrzą sobie prosto w oczy.

- Zupełnie gość jak z plakatu - powiedział Niemiec. Już wszystko rozumiałam, kiedyś uczyłam się trochę niemieckiego, nawet nie przypuszczałam, że mi się w tak makabrycznych okolicznościach przyda.
- Zobacz no, to mają być najwięksi wrogowie ludzkości!?

Ten drugi też podszedł bliżej.

- No, lceek, pokaż jak Żydki skaczą - rozkazał i w przewidywaniu dobrej zabawy stanął mocniej na rozkraczonych nogach.

- Daj spokój - wtrącił się ku mojemu zdumieniu ten pierwszy - wróg, nie wróg, ale hecy też nie ma powodu robić.

- Oszalałeś? Już mi nie wolno trochę się rozerwać przy tej robocie? No, lcek, hop!

Żyd stał jak wmurowany. Nawet nie spuścił głowy.

- On nie rozumie, kończ już z tym - odezwał się z pewnym niesmakiem żołnierz.

- To ja mu zaraz wytłumaczę. Hop, lcek, pejsy w ręce i skakać mi tu jak żabka! No!

192

Żyd nie reagował.

- Rebe, rebe Aaron, on ci każe skakać - powiedział po żydowsku jeden z mężczyzn stojących w szeregu - lepiej skacz, bo cię zastrzeli.

- Bardzo proszę - odezwał się w końcu patriarcha piękną, nienaganną niemczyzną - jak pan lubi skoki, to wolna wola. Proszę sobie poskakać. Ja już jestem na to za stary.

Niemiec nie uwierzył własnym uszom.

- Was??? - wrzasnął - Hans, co on powiedział?

- Słyszałeś, co powiedział - oburzył się Hans - co za bezczelność!

- Ja ci pokażę, ty parchu, ty podczłowieku - pienił się Niemiec. - Na iiemię, buty mi tu lizać! Ale już!

Patriarcha wzruszył ramionami.

- To jest zachowanie niegodne nawet żołnierza SS - powiedział bardzo spokojnie - może pan być pewien, że nie będę robił takich rzeczy. Sam bym sobie tego nie wybaczył i Pan by mi tego nie wybaczył.

Gdyby Niemców nie wprawił w osłupienie ten dialog, pewnie nie daliby rebemu skończyć. Ale byli tak zdziwieni, że wysłuchali wszystkiego, a potem Hans wyjął rewolwer i spokojnie strzelił Żydowi w głowę. Rebe upadł na ziemię, a ten drugi Niemiec rzucił się na kolegę.

- Popsułeś mi całą zabawę! Zwariowałeś, czy co?!

- Nie lubię takich rzeczy - odparł SS-man - nie po to tu jesteśmy, żeby robić sobie cyrk. Mamy oczyścić ziemię od tej zarazy. Im szybciej, tym lepiej. A znęcania się nie lubię, nawet muchom nie obrywałem skrzydełek.

- Idiota - stwierdził z niesmakiem jego kolega i machnął ręką. Po czym dołączył do szeregu dwoje dzieci wywleczonych właśnie przez innych Niemców z oficyny.

Siedziałyśmy za tą bramą zdrętwiałe i przerażone. W głowie zaległa się mi się głupia ciekawość - kto nas

znajdzie,

193

ten „gorszy” Niemiec, który lubi się znęcać, ale jak na razie nikogo nie zabił, czy ten „szlachetny”, który może uznać w jakimś mglistym sensie godność rebego Aarona. Co byłoby gorsze, a co lepsze? Pytanie było bezsensowne, alternatywa tu nie istniała, gdyby nas znaleźli, nie żyłybyśmy długo. Mama odmawiała jakieś modlitwy poruszając tylko ustami. Trzęsłam się ze strachu, nie byłam pewna, czy przez ażurową część nie widać czubka mojej głowy, a bałam się poruszyć, bo Niemcy przebiegali przez bramę tam i z powrotem.

Trwało to wieki, w końcu jednak ludzie zostali wyprowadzeni, Niemcy odeszli. Nikt nie zamknął na szczęście bramy, nikt jej nie ruszył, ani za nią nie zajrzał. Prawdopodobnie Niemcy w ogóle nie brali pod uwagę takiej naiwności, nie sądzili, że można się ukryć po prostu za drzwiami. Tego typu kryjówka bardziej pasowałaby do jakiejś farsowej sytuacji z filmu, za drzwiami kryli się kochankowie w strachu przed zazdrosnymi mężami, a nie ludzie zagrożeni śmiercią. W każdym razie hałas ucichł. Oczekaliśmy jeszcze chyba pół godziny, zanim zdecydowaliśmy się na wyjście. Nogi miałam jak z drewna. Mama podeszła do rebego, zamknęła mu oczy, nic więcej nie mogła zrobić. Przeszliśmy przez podwórko i wróciliśmy do domu, gdzie szalał nieprzytomny z niepokoju Leon. Ojciec leżał twarzą do ściany, a policzki miał zalane łzami. Ajka kurczowo objęła mamę.

- Gdzieście byli - rzucił się na nas Leon - ojciec już was opłakał! Boże, gdzieście łaziły?! Czy to są czasy, żeby się spóźniać?!

- Mamo, Mirka - płakała Ajka - mamó... Co się wam stało?!

- Nic nam się nie stało - uspokajała Ajkę mama.

Ojciec przytulił mokrą twarz do moich włosów.

194

- Żyjesz - szeptał - żyjecie...

- Żyjemy, żyjemy, przepraszamy za spóźnienie, zagadałyśmy się na kawie z pączkami - powiedziała ponuro mama, ale nawet Ajka rozumiała, że to ironia.

Nie chciało nam się opowiadać tego wszystkiego, więc mama tylko krótko poinformowała rodzinę:

- Wpadłyśmy w blokadę i przeczekałyśmy ją w bramie.

- Też pora na żarty, pani Rózo - zawarczał Leon - my tu od zmysłów odchodzimy, a pani kawały w głowie. W bramie to się przeczekuje deszcz, a nie blokadę. Co się dzie-

- No, to nie w bramie, ale ZA bramą - uściśliła mama, a Leon bardzo niegrzecznie wzruszył ramionami.

nam innym razem. A co z tym face-

- Był - ożywiła się mama. - I może nawet załatwi. Do dziś mi się śni ta brama, nawet tego słowa nie znoszę.

to?

IB?

Rozdział XXII

Marłę posadzono przy stoliku razem z pewną panią Elżbietą, która przyjechała z córeczką oraz z panem Johnem, przybyszem aż z Nowego Jorku. Już w czasie pierwszej kolacji pan John poprosił, żeby go nazywać, jak się wyraził, „po prostu Jankiem, a jeszcze lepiej - Janeczkiem”, bo tak właśnie nazywała go mama, kiedy z nim przyjeżdżała z Warszawy do Ciechocinka, aby leczyć chore migdałki. Potem tato pana Janeczka, jeszcze w 1970 roku, emigrował z żoną i trojgiem dzieci do Ameryki i zerwał wszelkie kontakty z rodziną.

Nigdy więcej nikt z nich do Polski nie przyjechał, a tata pana Janeczka chwycił się, jak to w Stanach, różnych zajęć, aż w końcu stał się współnikiem jednego ze średnio poczytnych tygodników, a może miesięczników - Maria nie słuchała tej opowieści uważnie. Pan John natomiast wyspecjalizował się w reportażach i chociaż współnictwo już dawno objął w spadku, nie rezygnował z ulubionego zajęcia. Miał zamiar i ze swego pobytu w kraju ojców zrobić reportaż, na co władze sanatoryjne patrzyły przychylnym wzrokiem, jako że była to wspiana reklama. Maria nawet podejrzewała - nie była tego oczywiście pewna - że sanatorium nie żądało od nowego znajomego pieniędzy za pobyt, co byłoby o tyle zabawne, że John, jak wynikało z tego co opowiadał, leżał na dolarach. Był pełen entuzjazmu dla swego właśnie rodzącego się dzieła, dla sanatorium, dla Ciechocinka i dla Polski w ogóle. Szukał też

196

w Warszawie przez różne instytucje rodziny, co nie było łatwe zważywszy, że nazwisko jego brzmiało „Nowak”. Lepsze to, stwierdziła Maria, niż „Kowalski”, ale szukać rodziny Jana Nowaka było trudno. Ojciec miał na imię Andrzej, co w jego pokoleniu bynajmniej nie było rzadkością. Maria też musiała sobie przypominać, czy nie zna żadnych Nowaków. Owszem, znała kilku i musiała dać panu Janeczce ich telefony. Byłoby pięknie, gdyby na przykład jej znajomy, Krzysiek Nowak, który klepał biedę z żoną i dziećmi, znalazł takiego krewnego. Maria miała jednak na to nikłą nadzieję. Rozmowy z panem Janeczkiem okazały się nawet ciekawe; miał wiele do powiedzenia na temat prasy i dziennikarstwa w USA. Niestety jego pobyt już się kończył, za trzy dni miał lecieć do domu i nie wiadomo było kogo posadzą na jego miejscu przy stoliku. A Maria bała się ewentualnego sam na sam z panią Elżbietą, ubraną codziennie w inną kreację i chwalcącą się mężem chirurgiem. Chirurgiem nie takim zwykłym, tylko, jak poinformowała Marię córeczka pani Elżbiety, Samanta, „chirurgiem plastycznym”. W pierwszej chwili trudno to było zrozumieć, ale Elżbieta wybuchnęła niesłychanie perlistym śmiechem i wytłumaczyła:

- Droga pani, plastycznym! Plastycznym! To coś wspaniałego, może zna pani tę aktorkę, która grała w serialu „Stłuczone życie”? Jak to, pani nie ogląda seriali? Wiele pani traci. Otóż ona grała główną rolę, tytułową, że tak powiem. Gdyby Mireczek nie zoperował jej nosa, to by nikt nie dał jej angażu, wyglądała jak Pinokio! Ale Mireczek zrobił jej nos jak marzenie, Kleopatra by się spaliła z zazdrości. Samanta, nie

jedz makaronu palcami!

- A jak pani spieszcza imię córeczki? - zaciekała się Maria.
- Po co zdrabniać, to tylko niepotrzebne rozpieszczanie dziecka. Samanta to Samanta, chciałam żeby miało „h”

197

w środku - i pani Elżbieta na odwrocie koperty napisała „Samantha”, - ale mąż ją zgłaszał i nie dopilnował. Moja mama mówi na nią „Mantusia”, coś obrzydliwego, a teściowa „Samcia”, co sobie raz na zawsze wyprosiłam.

- A jak na ciebie mówią dzieci w przedszkolu?
- Mańka - odparło dziecko, a pani Elżbieta, która dotychczas widocznie nie wpadła na pomysł, żeby o to zapytać, o mało nie zleciała z krzesła.
- JAK???
- Mańka, a bo co, mnie się bardzo podoba - odpowiedziała właścicielka oryginalnego imienia.
- No i widzi pani - prawie płakała młoda mama - człowiek się namyśla, wysila na coś oryginalnego i wychodzi z tego taki banał!
- A po co pani coś oryginalnego - odezwał się pan Janeczek - ja tam jestem zadowolony.
- Ale ma pan kłopoty z odnalezieniem rodziny.
- Bo ja wiem, jakbym się nazywał Neron Koporapolowi-czowski, to może też miałbym trudności.
- Moja siostra - przypomniała sobie Maria - też używa takiego spieszczenia, które mało przypomina jej własne imię. Kiedy była mała, sama siebie nazwała Ajką i tak już zostało.
- A jak ma naprawdę na imię? - zainteresował się John, ale w tej chwili podano coś bardzo dobrego, więc wszyscy zajęli się jedzeniem i pytanie zawisło w powietrzu.

Marii było w Ciechocinku naprawdę przyjemnie, szczególnie, że już drugiego dnia na spacerze spotkała znajomą jeszcze z pracy i miała wspaniałą okazję, żeby przy kawce z ciastkiem, lub przy frytkach z keczupem, opłotkowały dawne koleżanki. Pani Kama zawsze była miła i Maria lubiła ją jak mało kogo. Teraz obie uważały, że to szczęśliwy traf, szkoda tylko, że mieszkają w różnych sanatoriach. Ale popołudniami po zabiegach - pani Kama cierpiała na

198

jakieś schorzenia dróg oddechowych - mogły się spotykać prawie co dzień. Było to przyjemną odmianą po panu Janeczku, który zaczął męczyć Marię swoimi pytaniami. Chciał też, aby ustawiła się a to na tle sanatorium, a to na tle drzewka w sanatoryjnym parczku, a to na spacerku obok tak zwanego „Grzyba”,

który był właściwie fontanną.

- Już nie ma w Ciechocinku ciekawszej osoby? - nie dawała się fotografować Maria.
- Owszem, są - odpowiedział z godną podziwu szczerością reporter - ale ja chcę pokazać, pani rozumie, atmosferę tego miasta. Pani zresztą jest śliczna, ma pani taką... zaraz, jakby to ująć... o, perską urodę. Te czarne pasma w siwych włosach...

„Kretyn - pomyślała Maria - « perską » , rzeczywiście!". Ale czarne pasma ją zelektryzowały.

- Jakie pasma?! Wcale ich nie widzę!
- Bo są z tyłu głowy, o, tu.

Wieczorem Maria wykręcała głowę tak, że o mało nie złamała karku. W końcu ustawiając przemyślnie dwa lusterka zobaczyła jakiś niezupełnie osiwały kosmyk, a następnego dnia przyczepiła się do Kamy:

- Zobacz mnie z tyłu, co?
- Na cholere, nie dosyć cię widzę z przodu?
- Ale zobacz, nie chcę cię uprzedzać, żebyś się nie zasugerowała. Widzisz coś?

Pani Kama znana z jędrnego języka, obeszła koleżankę dookoła i stwierdziła:

- Owszem, widziałam, prawdę mówiąc rzecz nie uchodzi uwagi.
- No co, co widzisz?
- Twoją grubą dupę.
- Świnia - oburzyła się spostponowana Maria. - Na głowie, co widziałas na głowie?

199

Kama spojrzała na nią jak na wariatkę, ale jeszcze raz przeszła do tyłu.

- Łupieżu się nie stwierdza - oznajmiła - owszem, masz ładne włosy.
- Ale czarny kosmyk! Jest?
- Są nawet dwa, bo co?

Maria poczuła się podniesiona na duchu.

- Ach, to wspaniale, wiesz, kiedyś miałam zupełnie czarne włosy.
- Coś mi się ćmi. Takie jak ta mała, prawda?

Przez park szła jakaś babcia prowadząca za rączkę może sześciolletnią dziewczynkę, łudząco podobną do

Ajki. Dziewczynka podrzucała do góry szmacianą laleczkę -może ojciec ją samą tak podrzucił - i dogadywała:

- A teraz dziecko, hop, pod sufit, hop, do mamusi, hop, do tatusia, a teraz dziecko, hop...

Lalka wyleciała małej z rączek i odbiła się od drzewa...

* * *

Ajka, tak samo jak ta dziewczynka, podbiegła wtedy do mamy i zawołała:

- Ojej, nie trzeba się tak bawić lalkami!

To był jakiś spokojniejszy dzień, od rana nie było żadnej blokady. Może Niemcy odpoczywali, a może zbierali siły na popołudnie. Róża Rose razem z panią Brońcą postanowiły zrobić dobrą kolację. W tym celu wyskrobały część resztek kartofli z piwnicy, tej samej, w której była kryjówka. Także stamtąd przyniosły trzy duże cebule. Jeden pierścionek ze znalezionej skarbu był już sprzedany, tak więc Leon przyniósł do domu kawałek dosyć świeżej kiełbasy. Nikt już się w domu nie zastanawiał czy jest koszerna, czy nie, ojciec machnął ręką na tradycję. Nawet trochę się ożywił czując zapach duszonej, a bardzo aromatycznej

200

potrawy. Ożywił się, ale od razu opadły go wyrzuty sumienia.

- Co ze mnie za śmieć - skostatował - skoro nie zarabiam na rodzinę. Mam troje dzieci, a... - urwał. Widocznie uświadomił sobie, że ma już tylko dwoje. Oczy zaszyły mu łzami, a mama wyszła do kuchni.

Udawałam, że nie usłyszałam tego przejęzyczenia. Zrobiło mi się jednak okropnie przykro, szczególnie że - jak zdałam sobie sprawę - niezbyt często myślałam o Józiu i nigdy nie rozmawiałam z rodzicami o zmarłym braciszku. Uważałam, że może lepiej im tego nie przypominać, co było zwyczajnym tchórzostwem, bo nonsensem było sądzić, że nie pamiętają o Józiu i nie myślą o nim prawie w każdej chwili. Teraz jednak d|rtam temu spokój i tylko pocieszyłam tatę.

- Daj spokój, niby jak chcesz zarabiać? Jak w ogóle można teraz zarabiać? Chcesz Szwabom pałace projektować?

- Ale wy macie jakieś pieniądze.

- To przecież te ze skarbu Leona.

- Z jakiego skarbu?

Przeraziłam się. Nie pierwszy raz ojciec robił wrażenie zupełnie zagubionego, nie pamiętającego najoczywist-szych rzeczy. Tym razem było to wyjątkowo wyraźne.

- No, jak to? Przecież Leon znalazł woreczek z pieniędzmi, z biżuterią.
- A! - załapał tato. - Rzeczywiście, znalazł. Ale miał oddać. Prawda?
- Nie, przecież..
- No tak - już do końca przypomniał sobie sprawę ojciec - no tak. Tamtego zabili. No tak, oczywiście, wyleciało mi z głowy.

Nie wiedziałam, czy czuję się pocieszona. Jak można było nie pamiętać takiej historii? Ojciec nie był zdrowy, coś się działo z jego głową, z jego pamięcią. To było przerażające. Poszłam do kuchni, do mamy.

201

- Mamo, czy ty nie uważasz, że z ojcem jest coś nie tak? Zapomina. A przecież za wcześnie na sklerozę. Może to odżywianie?

Mama nieoczekiwanie zaczęła na mnie krzyczeć.

- Mirka, daj mi spokój, mało jest curesów, co? Mało zmartwień?! No pewnie, że zauważyłam, każdemu się zdarza zapomnieć, ty też zapomniałaś jak się nazywała ta twoja koleżanka, która zaszła w ciążę. No, zapomina!! I w złym humorze też jest, mój Lziek, zawsze taki pogodny, nie powiem, że energiczny, nie, ale swobodny, teraz nic, tylko patrzy przed siebie. No i co, czy to są czasy na skakanie z radości? Daj mi spokój!
- Ale jednak - nie ustępowałam - może on jest chory?

- Chory? Chory!! To weź i idź z nim do lekarza, może go wezmą na badania do kliniki i zaordynują kurację w Ba-den-Baden. Albo w Ciechocinku. No idź, na co czekasz, tatuś jest chory, bardzo to inteligentnie wykombinowałaś, boja, stara matka, jestem ślepa i głucha. No leć, zaraz tu przyjdzie trzech lekarzy z noszami!!!

Rzeczywiście, mama miała rację. Kilku lekarzy, owszem, było, ale nie mieli czym leczyć, zresztą taki doktor z naszego domu sam ledwie żył. Po co miałam iść po lekarza, to nie katar, to jakaś ciężka choroba, nikt ojcu nie pomoże. Trzeba by było psychiatry... Nie, mama miała rację, szkoda było gadania, tylko ją zdenerwowałam, a już i tak wzmianka ojca o trojgu dzieciach wyprowadziła ją z równowagi.

W kuchni rozchodził się coraz intensywniejszy zapach, z pokoju przybiegła pani Brońcia.

- Róża, bo spalisz jedzenie - zawołała ze zgrozą.

Nie, jakoś nic się nie spaliło, ale było za wcześnie na kolację, Leon jeszcze nie przyszedł, a co gorsze, nie było Ajki.

- O Boże, gdzie to dziecko się podziało?!

202

- Może zeszła do piwnicy porysować - zasugerowałam, bo Ajka ostatnio rysowała i uważała, że odkryła w sobie talent artystyczny. Powyciągała różne przybory kreślarskie ojca, które taszczył ze sobą od początku wojny i kiedy mama pierwszy raz zobaczyła, jak Ajka używa tego wspaniałego ołówka i notesu, już brała się do zlania jej pupy, ale ojciec zaprotestował.
- Róża, ja jej pozwoliłam. Niech rysuje, może odziedziczyła po mnie zdolności.
- Izaak, na łeb ci się rzuciło, przecież to są rzeczy nie do kupienia, jeszcze ci się przydadzą.
- Mnie się już nic nie przyda - powiedział tato ku zgryzocie mamy.

I Ajka rysowaj[^]. Trzeba przyznać, że robiła miniaturowe szkice, wykorzystywała te notesy do maksimum. Godzinę temu też coś tam komponowała wysuwając z ust czubek języka. Zajrzałam jej przez ramię. Rzeczywiście, jeśli można tak się wyrazić, trup leżący na bruku wyglądał jak żywy.

Mama wróciła z piwnicy, była blada i trzęsa się.

- Tam nie ma Aj ki.
- Pewnie poszła na podwórko - zgadywałam.
- Nie pozwalam jej wychodzić!
- Ale jak jej nie ma, to pewnie wyszła.

Wszyscy wylecieliśmy z domu jak wystrzeleni z katapul-ty. Ku szalonej uldze mamy, Ajka właśnie wchodziła przez bramę na podwórko. Matka rzuciła się w jej stronę.

- Gdzie łąziłaś, smarkata?! - krzyczała głosem, w którym słycać było łzy. - Gdzie ciebie diabli nosili, przecież nie wolno ci wychodzić nawet na podwórko, a ty poszłaś na ulicę!
- A bo, mamusiu, usłyszałam jakieś śmiechy, ja tylko trochę wyjrzałam - tłumaczyło się dziecko - i ci Niemcy, którzy tam się bawią, wcale mnie nie widzieli. Oni wcale nie są tacy źli, wiesz?

203

- ?
- No, co robisz takie oczy, mamusiu. Oni, ci Niemcy, bawią się lalkami. Chociaż nie trzeba się tak bawić lalkami, bo się niszczą, bo oni mieli tylko dwie i brali je za nóżki i uderzali główkami o mur. I tak huczało, chyba się te główki o mur rozbijały. Może były z porcelany, ja nie widziałam, bo mi Niemców plecy zasłaniały. Dorośli, a tak się bawią. Będzie coś na obiad?

Stałyśmy skamieniałe na tym podwórku. Odechciało nam się kartofli, cebuli i kiełbasy.

- Co się tak gapisz na tę małą? - przywołała mnie do rzeczywistości Kama.

I nagle Maria poczuła, że nie daje sobie rady z własnymi myślami, że musi o tym, co ją prześladowało od

czasu tej kretyńskiej gęsiej szyi, komuś opowiedzieć.

- Chodź na kawę - zaproponowała - powiem ci, dlaczego się gapiłam. I parę innych rzeczy.

Musiało być w jej głosie coś szczególnego, bo Kama nagle wzięła ją pod rękę i posadziła na najbliższej ławce.

- Dobra, zaraz pójdziemy. O co chodzi?

- Krótko mówiąc, o wspomnienia z getta.

- I TY CHCESZ o tym mówić? Nigdy w życiu nie pisnęłaś ani słówka o tych czasach, zawsze nas zbywałaś byle czym. Co się stało?

- Dżban wodę nosił, nosił i urwało się ucho - odpowiedziała żartem Maria, ale Kama dobrze wiedziała, że koleżanka nie żartuje i aż się przestraszyła tego, co może usłyszeć.

Chwilę potem usiadły przy stoliku w kawiarni.

- No, wal - powiedziała Kama.

Nie było to proste...

204

Rozdział XXIII

To było tak bardzo skomplikowane, że Maria zwiędła już po pierwszych słowach. Kama, jak jej było wiadome, wychowała się w dworku, w głębi kraju i faszyci tylko raz przyszli i zarekwirowali konie, obrabowali spiżarnię i zgwałcili niebieskooką i jasnowłosą służącą. Rodzice dziewczynki uważali, że przeżyli okropną rzecz i rzeczywiście, to było okropne, ale nijak się miało do przeżyć ludzi w gettach, w obozach, w czasie Powstania Warszawskiego, łapanek i ogólnonarodowej gehenny. Kama oczywiście dużo czytała, wiele wiedziała, docierało do niej wszystko,

o czym się mówiło. Ale jednak nie znała tego z autopsji. Jak w ogóle można sobie wyobrazić, że człowiek wychowany koniec końców nie przez tygrysy czy Marsjan, może rozbić niemowlęciu główkę o mur? To się nikomu normalnemu nie mieści w głowie i Maria, chociaż z przerażeniem, ale jednak z pewnym zrozumieniem słuchała wieści o tym, że są tacy, którzy po prostu nie wierzą w żadne holocausty, w Oświęcim

1 w ogóle w to, co się działo zanim się urodzili, a o czym teraz trują dziadkowie, którzy pewnie wymyślają takie okropieństwa, żeby sobie dodać wątpliwego splendoru. Owszem, Kama w to uwierzy, ale też pewnie pomyśli, że Maria przesadza. No tak, faszyci zabijali, ale przecież nie dzieci, nie niemowlęta, co one im zrobiły? Maria bała się takich reakcji, więc postarała się sprawę uprościć.

- Co ja ci będę nawijać - przypomniała sobie zwrot wnuczki - no wiesz, napadło mnie i ciągle pętają mi się po

głowie takie tam wojenne przeżycia. Wszystko mi się kojarzy, tak jak temu żołnierzowi.

- Jakiemu znowu żołnierzowi?
- No, z kawału. Wszystko mu się kojarzyło...
- A z seksem, wiem. A co, masz manię seksualną? Trochę za późno.
- Nie wygłupiaj się, z wojną mi się kojarzy. Wszystko.
- Ta dziewczynka z parku?
- Właśnie. Była podobna do mojej siostry.
- No?
- Co „no”?
- I co ci się takiego przypomniało?
- E tam.
- Nie znoszę, jak ktoś zaczyna i nie kończy.
- To makabryczne historie.
- Maria!
- No dobrze, zobaczyła, jak Niemcy...no, ona uważała, że rozbijają lalki o mur.
- Jakie lalki?
- To nie były lalki.
- Tylko co?
- Niemowlęta.
- Już słyszałam o tym, ale wszyscy tylko mówią, że o tym słyszeli, a nikt tego nie widział.

Maria spojrzała na Kamę. No i proszę, nie trzeba było zaczynać. Co z tym można zrobić? I tak nie uwierzy, a przecież ..

- Kama!
- Co „Kama”?! Myślisz, że nie wiem, co się działo? Ale w to, to ja już..
- KAMA!!! - Maria w końcu powiedziała to, czego wtedy nie powiedziała nawet własnej matce,

nikomu. Do takiej ciekawości po prostu wstyd jej się było przyznać. Ale teraz...

206

- Kama! Ja tam na drugi dzień poszłam, te niemowlęta jeszcze leżały pod murem. Nad jednym rozpaczała jego matka.

Kama spojrzała na Marię i widocznie zobaczyła w jej oczach prawdę. Zabełkotała coś, po czym zerwała się i pobiegła do toalety. Wróciła chyba dopiero po pięciu minutach. Miała czerwone oczy, a w ręce miętoszyła chusteczkę do nosa.

- Przepraszam - powiedziała - no, przepraszam. Mam uklęknąć, żebyś mi wybaczyła?

- Nie wygłupiaj się - zaprotestowała Maria, bo znając Kamę, wiedziała, że była do tego zdolna.

- I co, i takie rzeczy ci się przypominają?

- Bez przerw.

- Zwariujesz - powiedziała bez żenady Kama - ja bym zwariowała.

- Nie bój się, przecież zawsze o tym wiedziałam, ale teraz to mnie przerasta.

- Najlepiej utnij sobie jakiś romans... no nie, może na to ciut za późno. Przydałoby się coś, co tobą wstrząśnie, to by ci te wspomnienia wyleciały z głowy. Albo idź do psychiatry.

- Kiedyś byłam, opowiedział mi swój życiorys i kazał się nie denerwować. Nawet mu się nie dziwię, wtedy chodziło mi tylko o takie tam strachy, chyba nic nie można z tym zrobić.

- No, można się wygadać. Służę w każdej chwili. Naprawdę.

- Dziękuję - westchnęła Maria - może skorzystam.

Ale już wiedziała, że nie, że to nic nie daje. Żadne gadanie nie zmaże niczego co ją gnębiło, może musi całą rzecz przemyśleć do końca, przeboleć jeszcze raz? I wtedy się uwolni?

Była to bardzo wątła nadzieja, właściwie żadna, więc Maria wróciła bez pociechy do sanatorium, gdzie właśnie pan

207

Janeczek urządzał swój wieczorek pożegnalny. Dzisiaj już kończył pobyt, jutro leciał do Nowego Jorku z notesami pełnymi wywiadów, z rolkami, które miał zamiar wywołać w laboratorium swojego pisma i z filmami wideo, które chciał właśnie zaprezentować sanatoryjnym znajomym. Maria aż podskoczyła, kiedy na ekranie telewizora mignęła, jak to w duchu określiła, jej „paskudna morda i sylwetka dorodnej krowy”.

- Za tydzień reportaż znajdzie się na pierwszych stronach naszego magazynu, ja jestem szybki Bill i już rozmawiałem z redakcją. Mam aż cztery strony na Ciechocinek -dobił Marię Janeczek - pojutrze

wszystko leci do druku. Pani Marysiu, a początek wywiadu z panią idzie na okładkę.

- Zwariował pan - zareagowała niezbyt elegancko przyszła gwiazda - kogo interesuje taka stara baba?

- Wcale nie stara i wszystkich zainteresuje, pani Marysieńko. A pani będzie się należało niezłe honorarium - po czym John wymienił sumę, która błyskawicznie zdużyła wszystkie protesty Marii. „O, cholera” - pomyślała z radością - „ale forsa! Dam Szymkowi na wakacje Justyny i jeszcze mi zostanie. Co mnie obchodzi, że ktoś tam się będzie wytrząsał nad moją fotografią. Za takie pieniądze może ją sobie nawet powiesić w kiblu”. Więc już tylko słodko uśmiechnęła się do dziennikarza, podziękowała i zaczęła w myśli mozolnie przeliczać dolary na złotówki.

Na drugi dzień reporter wyjechał, a jego miejsce przy stoliku pozostało wolne. Na razie. Bo po dwóch dniach, kiedy Maria zeszła do jadalni, zobaczyła, że do jej stołu dostawiono krzesło i że siedzi na nim ni mniej, ni więcej, tylko Gabriel, a obok niego, na miejscu Janeczka, jakaś bardzo wiekowa pani.

Zaskoczony Marii Gabriel z miejsca tę panią przedstawił.

208

- Witaj Marysieńko - powiedział, zrywając się z miejsca

- Różo, to jest właśnie Marysia. A to oczywiście moja Róża. „I w ten sposób od razu ustalił stopień ważności - na

pierwszym miejscu siostra, a na drugim ja” - pomyślała małostkowo Maria, ale po chwili zreflektowała się - ostatecznie ta siostra była o wiele starsza, miała chyba osiemdziesiąt lat z hakiem.

- Różyczka przyjechała tylko na dziś, odwiózł nas mój kuzyn, wieczorem wracają do Warszawy - tłumaczył trochę zbyt gorliwie, tak, że owa Róża miała prawo poczuć się dotknięta - a ja, wyobraź sobie, wykupiłem tu pobyt do...

- po czym wymienił datę wyjazdu Marii.

Jak nic Szymon, który popierał starania ewentualnego ojczyma, puścił farbę. Maria nie lubiła kiedy ktoś spiskował za jej plecami, toteż tylko kiwnęła głową i od razu postanowiła cichcem przesunąć termin wyjazdu co najmniej o dwa dni. Tymczasem jednak usiadła i spojrzała na Różę. Starsza pani miała wzrok wbity w talerz. Sytuacja była niezręczna i Elżbieta zorientowała się, że o kogoś jest tu za dużo. Dławiąc się, przełknęła obiad, zabrała deser Samanty do pokoju i mamrocząc coś o jakimś nie istniejącym, a pilnym spotkaniu, raczej wybiegła, niż wyszła z sali. Róża od razu się ożywiła.

- To ty, dziecinko, nazywasz się Marysia?

- Tak, Maria.

- A na nazwisko Porter?

To nie wymagało odpowiedzi.

- A panięskie nazwisko?

- Rose.

- Maria Rose?

- Nie, proszę pani „Maria” to moje imię okupacyjne. Takie dostałam papiery i tak już zostało, szczególnie, że to właściwie jest to samo imię.

- Jakie „to samo”?

209

- Miriam.

Pani Róża gwałtownie poruszyła się na krześle.

- Nie chcę pani obrazić, moje dziecko, ale to chyba...no, za przeproszeniem... pani się nie gniewa, ale i imię, i nazwisko... To są żydowskie...no, żydowskie...Gabriel!

- Owszem, proszę pani - odpowiedziała spokojnie Maria - wcale nie za przeproszeniem i nie widzę żadnego powodu do obrazy, ale to są żydowskie imiona, czy tam nazwiska. Nawiasem mówiąc, imię „Róża” też było często używane w żydowskich rodzinach, tak się nazywała moja mama. W metryce miała napisane „Rojza”, a pani?

- GABRIEL?! - krzyknęła zbulwersowana staruszka. -Jak mogłeś mnie nie uprzedzić?!

Gabriel wyglądał na pacjenta z udarem. Oczy wyszły mu na wierzch, twarz miał nie tyle czerwoną, ile siną.

- Róża - wyksztusił - całe życie... całe życie cię znam, nie miałem pojęcia, że to ma dla ciebie jakieś znaczenie, przecież w czasie wojny tak żałowałaś państwa Blumen-sztajn, przecież tata się przyjaźnił z Aaronem! Róża!

- To zupełnie co innego, zawsze uważałam, pani wybaczy, że ludzie są równi i że nawet wśród Żydów można znaleźć porządnego człowieka, a w ogóle, Gabriel, czyja coś złego powiedziałam? Pani sama rozumie, droga pani, że co innego równość, a co innego... przecież pani też na pewno nie zechce wiązać życia z człowiekiem innej wiary. Gabriel, może już skończymy ten obiad, bo doprawdy... A jak pani poczuła się czymś urażona, to bardzo przepraszam, nie miałam złych intencji, przecież nie jestem żadną antysemitką, a metod stosowanych przez tego drania Hitlera nie pochwalam i nigdy nie uważałam, że cel uświęca środki. Gabriel!!! „Rojza”, też coś podobnego!

Maria wstała od stołu, nietknięty zraz z ziemniaczkami zastygał na talerzu.

210

_ Do widzenia pani - powiedziała z trudem - Gabrielu, zajmij się siostrą.

- Niech się sama sobą zajmie - pienień się dentysta - bierz, Różia, dupę w troki i idź do Wojtka, siedzi w restauracji koło „Grzyba”. W Warszawie porozmawiamy. Maria! Maria!

Zostawił skamieniałą staruszkę na krześle i dogonił swoją ukochaną.

- Maria, zaczekaj!

- Zajmij się siostrą, to przecież stary człowiek. Nie możesz jej samej wysłać.

- Ale zaraz wrócę, żeby to cholera wzięła. Ja nie jestem odpowiedzialny za tę kretynkę! Maria!

- No co „Maria”? Leć za Różą, bo ci się jeszcze z tego wszystkiego pAchoruje.

Poszedł, a Maria przypomniała sobie twarz Róży, kiedy zasugerowała jej, że może mieć na imię „Rojza” i zaczęła

się śmiać, ale szybko ten śmiech się urwał.

* * *

Rojza... mój Boże, mamy nigdy tak nikt nie nazywał, a jednak ... Co to było? Kiedy słyszałam to imię? No tak, wtedy, gdy mama wyciągnęła wszystkie papiery, szukała naszych zdjęć. Nie było ich i postanowiliśmy odwiedzić przyjaciółkę mamy, ona kiedyś dostawała w prezencie nasze fotografie, może się zachowały? Leon poleciał po swoją do kolegi, mama z trudem wyciągnęła ojca z domu. Ajka nie chciała zostać sama z panią Brońcią, która po śmierci Geniusi i pani Kasi cały czas popłakiwała. Fotografie były nam natychmiast potrzebne, bo przyszła wiadomość od Heńka, że szykują się papiery, już prawie są, ale zdjęcia musi mieć prawdziwe. Nie wiem, czy w getcie można je było zrobić, mamie to nawet chyba nie wpadło do głowy. Po-

211

szliśmy więc do tej koleżanki. Żyła i miała cały album! Z żalem oddała nam fotografie, poczęstowała chlebem z marmoladą i wracaliśmy właśnie do domu, kiedy kilka kroków przed bramą zatrzymał nas spocony i blady Leon. Ten Leon był doprawdy zrzędzeniem opatrności, ratował nas co chwila, byłam świnią, że go nie pokochałam tak, jak na to zasługiwał, że go nie doceniałam, jego miłości, a przede wszystkim jego szlachetności i bezinteresowności. No więc zatrzymał nas.

- Zawracajcie - szepnęła z rozpaczą - już nas tu nie ma!

- Co się stało? - zapytała naiwnie mama.

- Jak to, oczywiście jest blokada, panią Brońcią wyciągnęli z kryjówki!

- Skąd wiesz?

- Widziałem ją w kolumnie, szła i płakała. Wszystko w mieszkaniu poprzewracane!

- SKĄD WIESZ???
- No, byłem tam.
- Zwariowałaś?!!
- Niczego nie rozumiecie, była blokada... szybciej, nie stójcie tutaj! Była blokada, potem sobie poszli. Więc wszedłem, zabrałem woreczek i takie różne, bo zobaczyłem, że kryjówka rozwalona i nie ma tam po co wracać. O!

Leon pokazał palcem na swoje plecy, rzeczywiście, że też od razu nie zauważyliśmy, miał na sobie wypchany plecak, a w ręce dodatkowo trzymał coś, co kiedyś było walizką. - Więc chciałem na was poczekać, ale jakby mnie tknęło, wziąłem bambetle i poszedłem na ulicę, żeby zobaczyć, czy nie idziecie.

- A dlaczego nie wyjrzałeś oknem?
- Cicho, Ajka, nie wyjrzał, bo go tknęło - powiedziałam ledwo dysząc, a Leon kiwnął głową.
- No i jak tylko wyszedłem, wpadła druga grupa Niemców, nie wiem jak to się stało, zwykle nie ma blokady jed-

212

nej po drugiej, może wrócili ci sami, może wydawało im się, że coś przeoczyli, no, nie wiem. Są tam!

- Leon, gdyby nie ty... - zaczęła błogosławić chłopca matka, ale tato jej przerwał:
- No, dobrze, ale dokąd idziemy?

Okazało się, że idziemy do owego kolegi Leona, który został sam w mieszkaniu i że tam jest kryjówka.

- On nie ma z czego żyć - tłumaczył Leon - i w ogóle chętnie nas przyjmie.
- A jaka jest ta kryjówka - chciała się dowiedzieć Ajka - czy w piwnicy?
- Nie, w ścianie.
- Jak to w ścianie?
- Zaraz zobaczycie.

Rzeczywiście, zbliżaliśmy się już do tego domu, starego jak świat i po chwili Leon zapukał w umówiony sposób. Otworzył nam młodzieniec wychudzony jak szkielet, z zaczerwienionymi oczami i w myccie na głowie.

- Przyprowaździłem ci moją rodzinę - oznajmił Leon - bo u nas kryjówka jest spalona. Przyjmiesz wszystkich? Mamy co jeść.
- Witajcie, szalom - pokiwał głową młodzieniec - miejsca jest dosyć.

- Nie wiem, jak panu dziękować - znalazła się mama. Jej salonowa grzeczność w tych warunkach wydawała się groteskowa. - Nie chcemy robić kłopotu, pan wybaczy, ale...
- Mamusiu, nie wygłupiaj się - wtrąciła Ajka. - A ty -zwróciła się do mężczyzny - a ty, jak się nazywasz?
- Salek. To znaczy Salomon.
- Jak ten mądry król?
- Ajka, dlaczego mówisz panu „ty” - uznał za stosowne zapytać ojciec - co to za zwyczaj?

Leona to wszystko nagle zdenerwowało.

213

- Dajcie spokój, siadajcie, Salek, tu masz trochę żarcia. Roztasujcie się. Salek, pokaż im kryjówkę, a ja pójdę oddać te zdjęcia, bo facet ma czekać na...mniejsza o to. Idę.

Salomon uśmiechnął się nieśmiało.

- Wszyscy mi mówcie „ty” - poprosił - będę się czuł jak w rodzinie.
- A gdzie jest twoja rodzina? - znowu wyrwała się Ajka.
- Dziecko kochane - westchnął Salek - tam, gdzie jest większość Żydów.

Nawet Ajka to zrozumiała. A potem chłopak pokazał nam kryjówkę.

Rozdział XXIV

Było to coś niesłychanego, o takiej kryjówce można tylko marzyć i śnić! Skonstruowano ją prawdopodobnie dawno przed wojną i, jak nam tłumaczył Salek, służyła po prostu do przechowywania kradzionych futer, a może rzeczy z przemytu. Najpewniej i tego, i tego. Mieszkali tu kiedyś jacyś złodzieje j czy nawet bandyci i kiedy się wynosili, zostawili kryjówkę otwartą, wiedząc, że nie będzie już im potrzebna. Gdyby nie to, można by w tym mieszkaniu żyć latami i nie wiedzieć, że szeroki parapet pod oknem daje się podnieść. Pod nim była - jakby coś takiego nazwać? - bardzo szeroka szpara? Wąskie wejście? Jednym słowem, dziura między dwiema ścianami, tą normalną od strony „powietrza”, czyli zewnętrzną, a ścianą pokoju. Nikomu by nie wpadło do głowy, że to nie jest lity mur. Miejsce pomiędzy ścianami biegło przez całe mieszkanie Salka i mogło się tam wcisnąć kilka osób. Oczywiście musiały one stać w szeregu, a każdy był ściśnięty dwoma murami. Salek doszedł do takiej wprawy, że zanim zamykał od środka na skobel biały parapet, stawiał na nim miskę z wodą.

Byliśmy zachwyceni, tylko Ajka narzekała, że znowu będzie musiała stać w ciasnocie i ciemności. Leon, który szczęśliwie oddał zdjęcia i właśnie wrócił, zacietrzewił się.

- Ajka, słowo daję, już czas, żeby ci tato tyłek przetrzepał! Ciasno! Wynajmij sobie pokój w hotelu, w

Paryżu, to ci będzie luźno.

215

- W Paryżu też są Niemcy - przypomniał łagodny Salek - i za co chcesz bić dziecko? Czy to są warunki dla małej dziewczynki?

- To są wspaniałe warunki! - krzyknął Leon - Takiej drugiej kryjówki nie ma w całej Warszawie! Nigdy w życiu nas tu nie znajdą!

- A jak to się stało, pa., to znaczy Salek... to znaczy, wybacz Salku... że twoich złapali? Przecież ta ściana jest nadzwyczajna, chyba nikt nie mógł...

- Z ulicy - wyjaśnił krótko chłopak - wyszli, mama z tatą i nie wrócili. Nie wiem, nie widziałem... Pani rozumie, pani Różo, czekałem i czekałem... Bo była z nimi moja siostra, akurat taka, jak Ajka, tylko nazywała się Rebeka. No i czekałem, i czekałem. Ja pani się przyznam, że dalej czekam, całe życie będę czekał, bo może... nikt nie widział, jak ich zabierali. Może uciekli? Może gdzieś się ukryli? Może żyją? To tak trudno zrozumieć, tak trudno pojąć, ogarnąć rozumem, że ktoś wyszedł, że aż troje takich kochanych, takich dobrych... takich ludzi, wyszło. I już nigdy nie wrócą. Pani Różo, może tak nie jest? Może żyją?

Mama miała łzy w oczach.

- Moja siostra też tak wyszła. Wiele osób... Ale może, może oni żyją. Póki życia, póty nadziei, panie Salku.

Nie wiem i nigdy się nie dowiem, czy ktoś z tej rodziny ocalał, ale często zastanawiam się nad tą rozmową i tak sobie myślę, że wiele nauczyliśmy się i wtedy, i potem, i że w końcu uwierzyliśmy, że jest rzeczą normalną takie wychodzenie i niewracanie. Zbyt dobrze to zrozumieliśmy, tak dobrze, że uważaliśmy to za rzecz naturalną i trudno było później przyzwyczaić się do myśli, że jeśli ktoś wychodzi, to najprawdopodobniej wróci. No tak, wtedy, kiedy mama przeszukiwała papiery, widziałam to jej prawdziwe imię, tę „Rojzę”. Cała szkatułka z dokumentami została zresztą w starym mieszkaniu, Leon ją przeoczył, a potem

216

baliliśmy się tam pójść. Zresztą i tak przecież nie wynieśliśmy tego z getta, a nasze wyjście stawało się coraz bardziej prawdopodobne. Pamiętam, że kiedy mieszkaliśmy u Salka, kilka razy były blokady, a raz nawet Niemcy weszli do tego mieszkania. Staliśmy między ścianami cichutko, powstrzymywaliśmy oddechy, ale nikt nawet nie podszedł do okna. Wywalili wszystko z szaf, opukiwali ściany, ale te wewnętrzne, pomiędzy pokojami, zwalili na podłogę tremo, które, jako pamiątka lepszych czasów, wisiało w przedpokoju, zabrali z kuchni jakiś zegarek, który Salek, zmywając, położył na stole. Ale nas nie znaleźli, kryjówka była po prostu genialna. Kiedy w końcu sobie poszli i na podwórku ucichło, Ajka, zmięta, ale przepiętna satysfakcją, oznajmiła:

- Teraz oni nas wszyscy mogą pocałować w dupę.

Ojciec udawał, że nie słyszy, a ja dałam siostrze kawałek

cukru. Uważałam, że ma rację, że nigdy nas tu nie znajdą. I, śmieszne, ale miałam przez parę chwil jakby poczucie bezpieczeństwa, rzecz dawno zapomnianą. Ale tylko przez chwilę. Bo jak długo można to było wytrzymać, na jak długo starczy pieniędzy, a przecież trzeba też było czasem wychodzić na ulicę. Nie, poczucie bezpieczeństwa było właściwie już na zawsze stracone.

Gabriel wyprawił siostrę do Warszawy i zjawił się na kolacji z miną zbitego psa.

- Marysiu - zaczął, gdyż pani Elżbieta z Samantą jakoś się spóźniła i byli przy stoliku sami - Marysieńko, wybac. Nigdy bym nie pomyślał... nie wiem, co ją napadło.

- Daj spokój - odzęgnywała się od tej rozmowy Maria -co mnie to obchodzi, obca kobieta i tyle. Nie ona jedna. Nawet nie chcę o tym mówić.

217

- Ale... To w końcu moja siostra. Nie martw się, potem nie będziesz musiała wcale jej widywać. Tylko pozwolisz, żebym ja od czasu do czasu... Stara jest, muszę jej pomagać. Ale ty...

Maria wołała udawać, że nie rozumie o czym Gabriel mówi.

- Oczywiście, że nie będę się z nią widywać i chyba nie ma powodu, żebyś się tłumaczył, a tym bardziej prosił mnie o pozwolenie. Twoja siostra, twoja sprawa. O, witam panie, Samanta jakaś rozbawiona?

- Byłyśmy w Wesołym Miasteczku - powiedziała ze zgrozą w głosie pani Elżbieta - tak mnie męczyła, że wsiadłam z nią na karuzelę, do teraz mnie mdli. Samanta, nie kręć się na krześle!

Wieczorem Gabriel na próżno usiłował namówić Marię na kawiarnię, owszem, poszła, ale z Kamą, której opowiedziała o Róży.

- Kretynka - podsumowała starszą panią Kama - idiotka. Ja nie wiem, czy ten cały Gabriel nie jest taki sam. Nie znam go.

- To go poznasz - powiedziała Maria - wiesz, bardzo byś mi pomogła. On chce się ze mną żenić.

- Mówiłaś.

- No i właśnie. Może mi coś poradzisz?

- Spróbuję - zgodziła się z entuzjazmem Kama. Bardzo lubiła wszelkie miłosne historie, a z romanssem w tak zaawansowanym wieku jeszcze się nie zetknęła. Perspektywa doradzania, czy też odradzania koleżance była niezwykle kusząca. Więc już następnego dnia Gabriel musiał zgodzić się na spotkanie we trójkę, a potem wszyscy kelnerzy w kilku kawiarniach ciechocińskich poznali ten, jak jeden z nich powiedział, trójkąt „stary, ale jary”. Dwie wdowy i jeden starszy pan popijali wspólnie kawkę, jedli poziomki w kremie, a Kama jakoś nic Marii nie doradzała, ani nie

odradzała. Chociaż sądząc z tego, że była dla Gabriela szalenie sympatyczna i nawet kiedyś powiedziała, że ma męskie dłonie, podobał jej się i Maria z pewnym rozbawieniem zastanawiała się, czy aby Kama nie jest trochę o tego całego Gabriela zazdrosna.

Minęła właśnie połowa jej pobytu w Ciechocinku, kiedy do stolika podeszła kelnerka.

- W recepcji jest telefon do pani - oznajmiła.

Marii zamarło serce. Boże! Na pewno w Warszawie coś się stało! Widelec z młażnięciem wylądował w porcji buraczków, Maria na miękkich nogach pobiegła do holu. W słuchawce zabrzmiał jakiś zupełnie obcy damski głos.

- Czy mówię z panią Porter?

- Tak, o co chodzi, czy coś z Szymonem? Pani dzwoni ze szpitala?!

Osoba po drugiej stronie bardzo się zdziwiła.

- Why ze szpitala? - angielski akcent stawał się coraz wyraźniejszy. - No, sorry, ja dzwonię z Warszawy, właśnie przyjechałam.

Marii ulżyło. Nie, to chyba nie dotyczy Szymona.

- No dobrze, ale w jakiej sprawie?

- Ja się muszę zapewnić - myliła ta pani słowa - muszę wiedzieć na pewno, bo tata... Czy ja mówię z panią Porter? Z panią Porter z domu Rose? Z Miriam Rose?

- Owszem - odpowiedziała Maria, którą ta rozmowa coraz bardziej dziwiła - ale skąd...co...

- My w Nowym Jorku przeczytaliśmy taką gazetę, tam było o pani. Że pani przebywa w dobie terazniejszej w tym Cie... Cieczo... chocinyku, jaka to trudna nazwa. Tato o mało się nie zrobił z tego crazy, myszucie, pani rozumie...

Nie, Maria absolutnie nie rozumiała. Ktoś tam wyraźnie bredził, mieszał języki, skąd do tego kogoś żydowski, kto dziś mówi po żydowsku? Jaki Nowy Jork, owszem, Maria

miała tam koleżankę, ale Madzi zmarło się dwa lata temu i to na pewno nie o nią chodzi.

- Jaki tato!? - podchwyciła ostatnie słowa tej jakiejś dziwnej kobiety - Co za tato, dlaczego on by miał dostać bzika?

- Nie dostał „bzika”, co to jest bzik, pani mu coś wysyłała?

- KOMU? O czym pani mówi, bżika się nie wysyła, to jakaś nieprzytomna historia. Kto to jest, ten pani tata, czy on mnie zna?

Recepcjonistka patrzyła na Marię, cała ta rozmowa stawała się coraz ciekawsza.

- No właśnie - westchnęła kobieta z Warszawy - no właśnie. Tato powiedział, żeby z panią ostrożnie rozmawiać, bo to może nie pani.

- Mam tego dosyć - zdenerwowała się Maria - jak to „nie ja”? Kim pani jest?

- No... Jane Wilder.

W pierwszej chwili Maria nie skojarzyła sobie z nikim tego nazwiska, ale po chwili coś jej w głowie eksplodowało. Wilder? WILDER???

- Na miłość boską, czy pani jest krewną Chaima... Heńka Wildera?

- No właśnie - powtórzyła ta jakaś osoba - krewną. Dosyć bliską, bo...

- Coś podobnego - ekscytowała się Maria - serdecznie panią witam, no, coś takiego, nigdy mi na myśl nie przyszło, że Heniek miał żyjących krewnych. A ten pani tato, to może jakiś kuzyn Chaima? Mój Boże, musimy się zobaczyć, koniecznie, albo ja przyjadę do Warszawy, albo zapraszam do Ciechocinka, musimy pogadać, może pani ma jakieś jego zdjęcia, jak mnie pani znalazła? A, racja, to ten nasz dziennikarz, że też wam ta gazeta wpadła w ręce. Ale skąd telefon?

220

- No jak to, przecież podał nazwę sanatorium, tata tak długo się dowiadywał, aż się dowiedział, a ja akurat leciałam do Polski, do ciotecznej brata mamy... to znaczy, na pogrzeb, bo on umarł, a mama nie mogła jechać, serce... nie wolno jej wsiadać do samolotu. Więc tata prosił, żebym od razu zadzwoniła, bo bał się, że pani opuści to sanatorium i ślad się urwie. Jutro pogrzeb, ja godzinę temu przyleciałam i od razu...Tacie tak zależało... mam dla pani takie tam... i list.

- Coś podobnego, a skąd tata w ogóle o mnie wiedział? Jakiś nasz wspólny znajomy... mój i Heńka... musiał mu powiedzieć. Tak?

- No właśnie - wahała się rozmówczyni Marii - no właśnie... tato powiedział, żeby delikatnie. Bo pani może nie chce...

- Czego nie chcę?!

- Bo pani tyle lat ...pani mąż ...może on nie chciał... Ale w gazecie było, że wdowa, czyli mąż nie żyje, więc może...

Maria czuła, że robi jej się ciasno w głowie. Recepcjonistce uszy się wydłużały. To, co mówiła osoba po drugiej stronie telefonu wydawało się Marii niezborne i coraz bardziej wariackie. No dobrze, znaleźli się krewni Chaima, a co do tego miał Leon? O co w ogóle chodzi?

- Błagam panią - nie wytrzymała Maria - niech pani wreszcie wyjaśni tę sprawę. Kim pani jest, kim jest pani tata, dlaczego on sam nie dzwoni? A, wiem, z Ameryki może byłoby za drogo?
- Ale skąd, tata ma dosyć dolarów. Tyle, że się okropnie zdenerwował i myślał, że jeśli pani tyle lat nie chciała go znać, to widocznie... no, wolał, żebym ja.
- Na litość boską, KOGO nie chciałam znać? O czym pani mówi? Mnie tu zaraz krew zaleje, a pani...
- Ojej, sorry, już dobrze. No, niech będzie. No, mój tata to Chaim Wilder.

221

- KTO???
- No, Chaim Wilder. Harry. Hariy Wild, no.
- JAKI HARRY WILD???
- Ojej, no jaki. No ten, pani narzeczony z getta, co się pani tak dziwi?

Maria poczuła, że miękną jej kolana. Widocznie zbladła, bo nagle recepcjonistka ocknęła się z zasłuchania, wybiegła zza kontuaru i podsunęła Marii krzesło, a potem wyjęła spod lady wodę mineralną, naląła do szklanki i postawiła przed zbielejącą kuracjuszka.

- Ja., jak to... - wychrypiła Maria do słuchawki -prze... przecież Heniek nie żyje. Zginął w Powstaniu Warszawskim...
- Co też pani mówi - zdziwiła się ta Jane - tylko był ranny, utyka. To pani nie żyje. Dlatego tata tak się przejął. Mama też. To pani zginęła...
- Ja... ja zginęłam? Przecież jestem... A kim pani... co pani...
- No właśnie - powtórzyła swoje ulubione powiedzenie Jane - ja jestem córką Hariy'ego Wildera. Przecież pani chyba wie, że on ocalał, dlaczego pani... no, dlaczego...

Maria czuła, że to w ogóle nie jest rozmowa na telefon, że świat się przekręca i pomyślała, że chyba śni. Ta jakaś Jane to wariatka, a może Ruta oszalała i napuściła kogoś, żeby zrobił jej kawał. Myśl była absurdalna, ale w pierwszej chwili Maria chwyciła jej się jak tonący słomki.

- Ruta pani kazała zadzwonić? - zapytała załamującym się głosem.
- Nie, Ruta nawet odradzała tacie ten telefon, mówiła, że po tylu latach to nie ma sensu.
- Gdzie mówiła?!!!
- No, w domu, była u nas w zeszłą niedzielę.
- W Nowym Jorku?

- A gdzie?

222

- Jaka Ruta?

- Co pani... no, dobrze, Ruta Wilder, kuzynka taty, jej rodzice tu mieszkają od stu lat.

- A, nie, to nie Ruta.

- Jak to? Ruta, co pani...

Maria pomyślała, że nie wytrzyma dłużej tej rozmowy. Ruta jaka była, taka była, ale pomysł z kawałem był obłąkany. Ta Jane musiała być rzeczywiście córką Chaima, co było nie do pojęcia, ale przecież było.

- Drogie dziecko - powiedziała więc, zapominając, że córka Heńka musi być mniej więcej, tak jak Szymon, zupełnie dorosłą osobą - drogie dziecko, no dobrze, rozumiem, chociaż nie rozumiem. Jesteś córką Chaima Wildera? *

- No właśnie - westchnęła z ulgą Jane, której ta rozmowa także nie wydawała się normalna - no, właśnie.

- Musimy pogadać. Pakuję się i jadę do Warszawy. Długo będziesz?

- Wujaszka chowają jutro, ale jeszcze z tydzień pobędę. U kuzynki, u córki wujka Bronka. Poznam stary kraj... Dam pani mój telefon, to się spotkamy.

Recepcjonistka, która doskonale cały czas słyszała głos Jane, podsunęła Marii jakąś kartkę i długopis.

- Jutro wyjeżdżam i od razu do ciebie, dziecko, zadzwonię - powiedziała Maria. Po czym zupełnie skołowana, z okropnym bólem głowy, poszła na górę do pokoju i od razu wykręciła numer Szymka.

- Szymon - zaczęła z miejsca - nie masz pojęcia, co się stało!

- Co? - zapytał zaniepokojony syn. - Źle się czujesz? Może mam przyjechać?

- Przeciwnie! To ja przyjeżdżam! Wiesz, kto tu do mnie dzwonił? No, nie uwierzysz! Córka Chaima! On żyje! I o ile zrozumiałam, myślał, że ja o tym wiem!!! Zupełnie

223

tego nie pojmuję, nie mieści mi się to wszystko w głowie!

W słuchawce zaległa cisza, nie słychać było nawet okrzyków zdziwienia. Reakcja Szymka była nie do pojęcia.

- Halo! Szymek! Czy ty nie słyszałeś?

- Słyszałem.

- I nic? Nie jesteś zaskoczony?
- Nie jestem. Wiedziałem, że on żyje... od wielu lat...
- Przecież on w Powstaniu...
- To nie był on. Ktoś bardzo podobny wtedy zginął i taka wiadomość się rozeszła. Ale Heńka tylko ranili, w nogę, utykał, ale ocalał. Ta jego dziewczyna, ta Basia, wyciągnęła go spod gruzów. Bardzo była w nim zakochana. Więc kiedy się okazało, że ty nie żyjesz, ożenił się z nią i wyemigrowali do Ameryki.

Maria ścisnęła w ręce słuchawkę telefoniczną. Połowa z tych rewelacji nie docierała do niej, ale jedno zdanie zelektryzowało ją jeszcze bardziej niż inne.

- Szymek, co ty opowiadasz, jak to „nie żyję”?
- Żyjesz, ale on myślał...
- Co to znaczy „myślał”? Dlaczego mnie nie szukał?!
- Źle się wyraziłem. On wiedział, że zginęłaś.
- ????
- Tato go spotkał, zanim jeszcze odnalazł ciebie. Sam myślał, że nie żyjesz i tak powiedział Heńkowi.
- Jak to? Leon go spotkał??? Niemożliwe, kiedy?! Co ty opowiadasz, Szymek?!
- Od razu po wojnie. A tobie nic nie mówił, bo bał się, że... no, że pojedziesz do Heńka. Że go rzucisz. I Heńkowi też nie napisał, że się znalazłaś.
- To... to...nie, Leon?! Leon tak nas okłamywał???
- Nie okłamywał, po prostu nic nie mówił.
- Po prostu - powiedziała zgnękanym głosem Maria - po prostu...To ...to obrzydliwe! To haniebne! Szymek!

224

- Tato miał całe życie wyrzuty sumienia. W końcu nie wytrzymał i zwierzył się mnie, a ja z nim cały miesiąc nie mówiłem, może pamiętasz. Kazał mi przysiąc na głowy moich przyszłych dzieci, że ci nic nie powiem. Mamo...
- Idź do cholery - odpowiedziała Maria własnemu synowi i odłożyła słuchawkę, po czym położyła się na łóżku i -o dziwo - zasnęła kamiennym snem...

;

Rozdział XXV

..ale po pewnym czasie obudziła się tak gwałtownie, jakby obok niej wybuchła bomba. Uświadomiła sobie nagle, że coś się nie zgadzało, całe życie miała wrażenie, że wiadomość o śmierci Heńka jest jakaś jakby niepełna, uwierzyła w to, bo wtedy łatwiej było uznać czyjąś śmierć, niż jej zaprzeczyć. Ale już w relacji tamtej dziewczyny wyczuwała jakąś jakby nieścisłość, niby opis Heńka się zgadzał, a jednak Maria nie mogła go sobie wyobrazić takiego posiekanego kulami, umierającego, chociaż zwykle wyobrażała sobie takie rzeczy aż za dobrze. Pamiętała to uczucie niedowierzania, które jednak z czasem się zatarło. Dopiero teraz, dopiero w tej chwili, uświadomiła sobie, co to było. Oczywiście, to nie mógł być jej Heniek, ten nieszczęśliwy, umierający, czarnowłosy powstaniec, to był kto inny, jakiś inny brunet! Przecież Chaim miał przefarbowane, utlenione włosy, w czasie Powstania był blondynem! Kiedy ostatni raz go widziała, bardzo nie spodobała jej się jego aż przesadnie jasna czupryna, chociaż chwila nie była odpowiednia do zastanawiania się nad czymś kolorem włosów. Boże! Że też przez tyle lat nikomu to nie wpadło do głowy, ani jej, ani Ajce. A przecież Maria na całe życie zapamięta

ten dzień, kiedy za murami zobaczyła Chaima.

* * *

Leon przyszedł zdyszany i podekscytowany. Wyjął z kieszeni portfel i rozłożył na stole dokumenty. Heniek przy-

226

słał je razem z liścikiem wystukany na jakiejś starej maszynie. Pamiętam dokładnie każde słowo.

„Moi najmilsi. Witam Marię Kwiatkowską, Alinę Kopeć oraz jej mamę, Ryszardę Kopciową. Witam też pana Ludwika Zajęca i pana Antoniego Bączka. Niestety, pan Bączek ma dwadzieścia sześć lat, nie może już być inaczej. Przykro mi, ale mam nadzieję, że jakoś to będzie. Pan Ludwik wie, jak załatwić resztę spraw. Całuję.”

Leon palił nad świecą liścik od Heńka, a mama spojrzała na retuszowane zdjęcie taty. W ogóle przestał być podobny do siebie, zostały mu tylko duże, czarne oczy, z fotografii pajrzyła na nas tępa twarz jakiegoś młodego człowieka. Leon rozłożył ręce.

- To są prawie autentyczne dokumenty - powiedział -ktoś takie rzeczy załatwia. Panie Izium, niczego lepszego Heńkowi nie uda się zdobyć. Oczywiście korzystać z tego można tylko w ostateczności, te stemple są... no, sami widzicie.

Oglądaliśmy nasze papiery, imiona były dobre, zdrobnienie „Ajka” mogło od biedy pasować do Alinki, „Maria” było bliskie „Miriam”, tylko mama będzie się musiała przyzwyczaić do tej „Ryszardy”, a Leon do „Ludwika”, dobrze, że chociaż imiona zaczynały się na tę samą literę.

No, a ojciec z „Antonim” nie miał już nic wspólnego. Stał teraz nad tym swoim dokumentem, stał, wziął go do ręki...

- Różyczko - powiedział w końcu jakimś rozwlekłym głosem. - Ja nie wyjdę.
- Jak to? - krzyknęła mama - co znaczy „nie wyjdę”? Czyś ty zwariował, Izaak? Tu masz papier jak złoto, a...
- Jakie złoto? Czyja wyglądam na dwadzieścia lat?
- Dwadzieścia sześć.

227

- Wszystko jedno. Kto w to uwierzy, Róziu? A fotografia? Już Salek jest do niej podobniejszy niż ja.

Tato miał rację. Rzeczywiście, jakieś nikłe podobieństwo do Salomona było, może te charakterystyczne oczy? Ojciec wyglądał nie na dwadzieścia lat, tylko na sześćdziesiąt, chociaż miał czterdzieści parę. Posiwiął, zmarszczki szpeciły mu twarz, ręce się trzęsły...No i te zgaszone, smutne oczy...

- Przecież będziemy i tak się ukrywać, nikt na spacer nie będzie chodził - przekonywała gorączkowo mama - Iziek, ja cię proszę, ja cię błagam, nie rób tego, nie zostawaj.
- Panie Iziu, ja już mam załatwione dwie placówki, jedną dla kobiet, drugą dla mężczyzn. Ja pana proszę.
- Nie - westchnął ojciec - nie. Zostanę. Ostatnio ucichło z tymi blokadami, jest spokojniej, może Niemcy dadzą nam przeżyć.
- To ja też zostaję - zawołała mama, a Leon złapał się za głowę.
- Czy wyście powariowali, ja się staram, Chaim tam życie naraża i nie tylko Chaim! Załatwiają papiery, załatwiają kryjówki, -wychodzą ze skóry, a wy nie wyjdziecie? Pani Rózo, nie żał pani córek? Panie Iziu, pan ma jakieś złudzenia? Teraz jest względny spokój, a co będzie jutro? Pan myśli, że Hitler nagle pokochał Żydów? Oni nas tu wykończą! Jutro wychodzimy! Pani Rózo!

Co tu dużo mówić, ojciec się uparł. Nie miał siły na nowe życie, jeśli miało to być w ogóle jakieś życie, nie chciał nawet patrzeć na ten swój nieszczęsny dokument. W końcu zapowiedział:

- Rózo, co ma być, to nas nie minie. Ty z Mirką i Ajką musisz wyjść, jak nie zechcesz tego zrobić beze mnie, to się powieszę, żeby ci rozwiązać ręce. Przysięgam, jak ciebie i dzieci kocham, że się powieszę!
- Zwariowałeś! Iziek!
- Masz wyjść!

228

I tato, jak zwykle, położył się twarzą do ściany. W jego groźbę uwierzyliśmy z miejsca, ja i tak już dawno się bałam, że tato zrobi coś takiego. Mama, płacząc zbierała najpotrzebniejsze rzeczy, miałyśmy wyjść

pierwsze z grupą kobiet, które pracowały dla Niemców za murami i codziennie do tej pracy chodziły. Ktoś chyba przekupił strażnika, żeby się nas nie doliczył, miałyśmy wyjść i już oczywiście nie wrócić. To samo, ale godzinę później, mieli w planie mężczyźni, to znaczy już tylko Leon. Tatuś nagle odwrócił się w naszą stronę.

- Nie marnujcie tego dokumentu, wyjścia, kryjówki - powiedzieli - niech idzie Salek.

Myślałam o tym od kilkunastu minut, ale nikt nie śmiał czegoś podobnego ojcu zaproponować, nikt nie chciał przyznać, że zaakceptował jego rezygnację. Mama wybuchnęła płaczem.

- Jak to, zostaniesz całkiem sam?

- Jak ci zależy, to zaproszę tu Dawida. Taka kryjówka! Przyjdzie razem z rodziną...

Nigdy się nie dowiedziałam, czy ten Dawid wprowadził się do ojca. Czy był ktoś przy nim, czy może umarł w samotności. Salek pocałował ojca w rękę, popłakali się obaj, a potem okazało się, że w bramie zmienili wartownika i tego dnia nie mogłyśmy wyjść. Co więcej, wyłoniła się sprawa Ajki. Na placówki wychodziły do pracy tylko dorosłe kobiety, o dziecku nie mogło być mowy. Na szczęście moja siostra, chociaż chuda jak patyk, była wysoka. Mama włożyła jej pantofle na obcasach, znalazła w mieszkaniu starą szminkę pomalowała jej usta. Wyglądało to groteskowo, Ajka bardziej przypominała nieletnią prostytutkę niż dorosłą kobietę, wyglądała jak karlica.

- Zaraz po odłączeniu się od placówki niech pani z niej zetrze to świństwo - rozkazywał z niesmakiem Leon.

229

Denerwowaliśmy się okropnie, nie wiadomo było, czy tego następnego dnia będzie przekupiony strażnik, czy może w ogóle już nigdy nie przyjdzie? Ale był. Wczesnym rankiem, z duszą na ramieniu, ustawiliśmy się razem z innymi, autentycznymi „placówkiewiczankami” w szeregu. Nie pamiętam samego przejścia przez bramę, byłam spięta i odrętwiała, ręka Ajki w mojej dłoni drżała spazmatycznie, w głowie czułam ucisk po pożegnaniu mamy z ojcem, nie chciałam o tym myśleć, ale trudno też było zapomnieć. Nawet nie płakali, objęli się tylko, mama cała się trzęsła.

- Do zobaczenia, Róziu, jak nie na tym świecie, to na tamym... - powiedział mój niezbyt wierzący ojciec i pobłogosławił nas, a mama miała zupełnie suche, ale jakieś dzikie oczy. Szła teraz miarowym krokiem patrząc przed siebie, tak jak nam kazał Leon. I po chwili byłyśmy już po „tamtej”, tak zwanej wtedy „aryjskiej stronie”.

Rozejrzałam się, to było niewiarygodne, po ulicy normalnie chodzili ludzie, sklepy były otwarte, jakieś dziecko popychało lalkę w lalczynym wózeczku, jakaś para szła objęta i przytulona, ktoś się głośno śmiał, a kto inny, co już wydawało mi się pełnym obłędem, prowadził na smyczy psa. Patrzyłam na to jak na film i nagle zobaczyłam, że przygląda się nam jakiś blondyn. Wydawał mi się znajomy, odwrócił się, zbliżył, to był Heniek. Aż mnie poniosło, ale on pokręcił przecząco głową i zrozumiałam - nie znamy się, chciał tylko sprawdzić, czy przeszliśmy przez bramę.

Placówka szła przez most, Heniek zawrócił w stronę Starówki i straciłam go z oczu. Na moście miałyśmy się odłączyć, mama zwolniła, my też, placówka poszła dalej, cały manewr był oczywisty, na pewno ten, który prowadził i pilnował kobiet, także był przekupiony, bo udawał, że nic nie widzi. Zeszliśmy z mostu na Pradze, mama pamiętała adres. Miałyśmy, broń Boże, nikogo o nic nie pytać, wejść w bramę i osiem razy zapukać do mieszkania, cztery razy

230

lekko, a cztery mocno. Pukałyśmy nie osiem razy, ale sto. W mieszkaniu nikogo nie było. Ajka zmieniła buty i wycierała szminkę na klatce schodowej. Ze strachem w sercach, już prawie w panice, krążyłyśmy po mieście. Moje pierwsze wrażenie trochę się zacierało. I tu byli ludzie wynędzniali, wszyscy rozglądali się wokół siebie, ktoś uciekał, gdzieś była łapanka, słyszałyśmy odgłos strzałów. Raj to nie był, chociaż w porównaniu z gettem życie po tej stronie mogło się wydawać wspaniałe.

Jakoś nikt nie zwracał na nas uwagi, byłyśmy głodne, zbliżała się godzina policyjna. W mieszkaniu w dalszym ciągu nikogo nie było. Już pod wieczór wpadłam na to, żeby zajrzeć pod wycieraczkę, sama w zamierzczłych czasach zostawiałam tak wiadomości dla mamy. I rzeczywiście, znalazłyśmy karteczkę* zaadresowaną do jakiejś Ziułki. „Pojechałyśmy do W. po s. i k. - przeczytałam - będziemy jutro rano”. Nie wiedziałyśmy, gdzie i po co wyjechała ta pani, ale wiadomość, że nie będzie jej w nocy, była porażająca. Na tych schodach nie można było absolutnie zostać. Żadnego innego adresu nie miałyśmy. Mama przypomniała sobie telefon jednej znajomej, może nas przyjmie na tę noc?

Dwa domy dalej był sklepik z mydłem, przez szybę widać było telefon. Weszłyśmy tam.

- Mogłabym zadzwonić?
- Owszem, służę uprzejmie - powiedział ekspedient nie patrząc ani na mamę, ani na nas. Rozmawiał z jakąś klientką.
- No i widzi pani - mówił - to oburzające, co oni wyprawiają z tymi Żydkami.
- Rzeczywiście - kiwała głową jego rozmówczyni - podobno tam się dzieją straszne rzeczy. Żal mi ich.
- Ale trzeba jedno przyznać - westchnął sklepikarz - nareszcie nam kwestię żydowską załatwią. Polska będzie dla Polaków, droga pani.

231

- No, żeby nie była dla Niemców - odpowiedziała wyraźnie zde gustowana kobieta i wtedy usłyszałam, jak mama mówi:
- Jak to, to nie ty? Ale głos... No tak, przepraszam, widocznie się omyliłam.

Musiałymy już wyjść ze sklepu, nawet nie pytałam, czy mama coś załatwiła, wyraźnie ta znajoma udawała, że nie jest sobą, a mamy nie zna. No cóż, żaden człowiek nie może być potępiony za to, że boi

się narażać życie swoje i swoich dzieci. Zrozumiałam to później, wtedy byłam śmiertelnie oburzona. Ajka zaczęła już popłakiwać, stałyśmy na chodniku, za pięć minut zaczynała się godzina policyjna, nikt nie miał prawa znajdować się na ulicy. Sytuacja wydawała mi się beznadziejna, myślałam o powrocie do getta, ale jak? Mama nagle złapała Ajkę za rękę.

- Idziemy - powiedziała zdesperowanym głosem - i żeby żadna z was się słowem nie odezwała.

Gdyby ktoś mi o tym opowiedział, gdybym sama tego nie przeżyła, nie uwierzyłabym. Mama wymyśliła najbardziej nieprawdopodobną rzecz na świecie i tylko jej zimna krew

uratowała nam wtedy życie.

* * *

Świtało, Maria przewracała się z boku na bok, w końcu uznała, że nie zaśnie. Wstała, ubrała się i wyszła z sanatorium. Jakie to proste, zwyczajnie ubrała się i wyszła, o tej porze byłaby wtedy jeszcze godzina policyjna, a tu patrzcie, nikt nie ma zamiaru jej zabijać, nikt jej nie zade-nuncjuje, nikogo nie naraża, nawet siebie. Marię od czasu do czasu w takich sytuacjach ogarniało poczucie wolności, zdarzało się to nawet przed „gęsią szyją”. Szła ulicą i nagle czuła euforię - „patrzcie, ludzie, chodzę sobie, nie boję się, nie przemykam pod murem, nie patrzę, czy nie lecą bombowce, jestem wolna!”

232

Maria usiadła na ławeczce, patrzyła na okna sanatorium, w jednym zapaliło się światło. Ktoś odsunął zasłonę i spojrział wprost na ławeczkę. „To jest pokój Gabriela” -uświadomiła sobie Maria. Nie miała ochoty na spotkanie, wstała i obeszła budynek, nagle znowu poczuła się ścigana. I rzeczywiście po paru minutach podbiegł do niej Gabriel w dresie. Gumka wrzynała mu się w brzuch, na bosych nogach miał dosyć paskudne kapcie. Włosy sterczały na wszystkie strony, Maria uznała, że brak mu tylko szlafmocy.

- Co się stało? - zapytał ją adorator głośnym szeptem. -Czemu wczoraj nie wróciłaś do stolika? Myślałem, że zachorowałaś.

- Doprawdy? -^zdziwiła się Maria - To dlaczego mnie nie szukałeś?

- Bo wiem, że tego nie lubisz, a poza tym recepcjonistka powiedziała, że ty powiedziałaś, że jesteś OK.

- Musisz mówić po angielsku? Zresztą nieważne, nie jestem chora, mam tylko taką sprawę...

- Jaką sprawę?

Maria nie znosiła natręctwa. Gabriel nie miał żadnego powodu, żeby ją wypytywać.

- Wybacz, ale to nie twój za... to znaczy, nie powiem ci.

- Mnie możesz wszystko powiedzieć, przecież wiesz...

- Mogę, ale nie chcę - Maria nie byłaby może taka obce-sowa, gdyby nie wyprowadziły jej z równowagi wczorajsze telefony.

-Ale...

- No dobrze, wczoraj się okazało, że facet, który żył, zrobił mi niebotyczne świństwo, a facet, który nie żyje, ożył.

Gabriel nie wyglądał na usatysfakcjonowanego tymi informacjami.

- Co ty wygadujesz, Mario?!

233

- Prawdę. Chciałeś wiedzieć, to masz. Możesz iść i opowiedzieć Rózi, że zwariowałam. No, leć!

- Róża jest już w Warszawie. Obraziła się na mnie.

- Biedulka!

- Daj spokój, to moje zmartwienie.

- A pewnie, twoje - rozłościła się Maria i poczuła, że jej zimno w nogi - oczywiście. Twoje i tylko twoje, żadna baba na świecie nie będzie cię chciała z taką siostrunią, z taką zarazą. Kto wie, jaki ty jesteś i co sobie myślisz, dzieci jednej matki...

- No wiesz!

Ale Marii już było wszystko jedno. Przełało jej się. Całą złość na Różę, całe zdenerwowanie telefonem Jane, strach przed rysującym się w przyszłości spotkaniem z Heńkiem, cały żal do Leona, wylewała teraz na głowę biednego stomatologa.

- Myślisz, że jesteś taki atrakcyjny - syczała - że wszystkim kobietom na twój widok robi się gorąco? Że każda baba w moim wieku woli takie byle co, niż samotność? Że taki jesteś przepiękny i inteligentny? To się mylisz! Do pięt nie dorastasz takiemu Chaimowi, nawet Leonowi, żeby spokoju na tamtym świecie nie zaznał, oszust! Do pięt! A ty jesteś starym dziadem, oto kim jesteś! Nie żony potrzebujesz, tylko niańki, żeby ci sztuczną szczękę szorowała, żeby ci pampersy zmieniała, tobie, albo twojej Róziuni! Takie głupie to my nie jesteśmy, a teraz szoruj stąd! Idź do siebie, umyj się, włóż skarpetki, ohyda!

Ostatnie słowa doganiały pana Gabriela już w biegu. Odwrócił się i zwiewał do swojego pokoju, zostawiając Marię razem z jej atakiem furii przed domem.

Trzeba było się uspokoić, Maria odetchnęła głęboko, spojrzała na ciemne okna sanatorium i uznała, że wygłupiła się jak nigdy w życiu. „Jak ja spojrzę temu Gabrielowi w oczy, co ja tu wygadywałam?” - przypom-

234

niała sobie ze zgrozą. Ale po chwili pomyślała, że wcale nie będzie musiała na niego patrzeć, bo jutro wyjeżdża. Trochę jej się zrobiło żal tej znajomości, ale sprawa Heńka przysłaniała wszystko inne. Mój Boże, przecież Chaim zmartwychwstał, jak można się w tej sytuacji przejmować jakimś Gabrielem?!

;

Rozdział XXVI

Maria, trochę zmarznięta, położyła się na kanapce, która, a jakże, też stała w pokoju, skuliła się pod pięknym beżowo-brązowym pledem. Nieważny jest ten cały Gabriel, niepotrzebne są te wyrzuty sumienia. Wszyscy mężczyźni wydawali się Marii tego ranka wredni. Jak Leon, ten Leon, za którego wyszła za mąż przecież bez miłości, ale na szlachetność którego właśnie najbardziej liczyła, jak ten człowiek mógł ją przez tyle lat oszukiwać i jeszcze wciągać do tej obrzydliwej tajemnicy Szymona. A Szymek też jest dobry! Przysiągł! No to co, nie wiedział, w jakiej sprawie przysięga, mógł chociaż dać jej do zrozumienia, napomknąć... Pewnie sam się bał, że matka zbierze manatki i pojedzie za Heńkiem do Stanów. A Heniek! Leon mu powiedział, no to co? Taką wiadomość trzeba sprawdzić, mógł szukać Marii przez Czerwony Krzyż. Może wcale mu nie zależało, pewnie oplątała go ta Basia.

Maria czuła się oszukana i nieszczęśliwa. A co by było, gdyby od razu zorientowała się, że żaden brunet nie mógł być Heńkiem? Jak mogła o tym zapomnieć? Chociaż po przeżyciach tamtego dnia można było w ogóle stracić rozum...

Kiedy zobaczyłam dokąd mama nas prowadzi, zupełnie serio pomyślałam, że zwariowała. Ajce też coś podobnego musiało wpaść do głowy, bo tuż przed komisariatem zapała się nogami w ziemię.

236

- Mamo...

- Cicho! - syknęła mama.

Przed budynkiem komisariatu dwóch policjantów w granatowych mundurach opowiadało sobie jakieś kawały, w środku już paliło się światło. Z długiego korytarza prowadziły drzwi do kilku pomieszczeń, okropnie chciało mi się pić, pomyślałam, że to już nieważne, że za chwilę i tak nie będę żyła, że mamie to wszystko rzuciło się na głowę. Ajka była po prostu sina ze strachu, przypuszczam, że ja nie wyglądałam lepiej. Przez chwilę miałam zamiar wyrwać się matce i uciec i nie wiem, czy nie zrobiłam tego, bo nie chciałam ich zostawiać samych w obliczu śmierci, czy dlatego, że mogli mnie w czasie ucieczki jak nic zastrzelić, czy po prostu nogi- mnie nie niosły. Czułam jakąś dziwną miękkość w kolanach, usiłowałam przypomnieć sobie modlitwy. Nie mogłam, w głowie mi huczało i z przerażeniem obserwowałam wariackie poczynania mamy. Właśnie puknęła do drzwi, męski głos powiedział „proszę”, mama weszła do pokoju i pociągnęła nas za sobą.

Za biurkiem siedział policjant, nie znałam się na ich stopniach, ale sądząc po tym, że był w pokoju sam, że miał wielkie, ładne biurko i telefon, musiał być to ktoś ważny.

- Słucham, czego panie sobie życzą? - zapytał uprzejmie i wskazał nawet gestem krzesła. Mama

usiadła, my stałyśmy jak słupy soli.

- Och, proszę pana - powiedziała jakimś przymilnym głosem, a ja nagle zauważyłam jaka jest, pomimo swego wyniszczenia, ładna - taka nam się przydarzyła dziwna

rzecz.

- ?

- Otóż przyjechałam do Warszawy z córeczką i siostrą na chrzciny synka znajomej i zgubiłam adres. Tak się błąkamy, jutro, za dnia, pewnie trafię, ale teraz już jest godzina policyjna i nie mamy co ze sobą zrobić.

237

- Przykre - kiwnął głową policjant i nagle spojrzał na nas z jakimś namysłem w oczach - ale co ja mogę...

Mama też zauważyła to spojrzenie.

- No właśnie - powiedziała słodko - pan też to zauważył. Ja wiem, jesteśmy podobne do Żydówek i właśnie dlatego bałam się chodzić po ulicy. Mój dziadek był, niestety Węgrem i stąd cały kłopot. Więc mam taką prośbę: może mogłybyśmy za pana łaskawym pozwoleniem posiedzieć tę noc tutaj na korytarzu? Rano sobie pójdziemy.

To był czysty obłąd. Byłam pewna, że facet nie da się nabrać na taką naiwną bajeczkę, ale myliłam się. Pomysł mamy widocznie przekonał policjanta. Pewnie mu się w głowie nie mieściło, że można w ten sposób wejść do paszczy lwa, że można, według jego kryteriów, być tak bezczelnym, żeby nabierać na kretyńskie opowiastki policję, narażać życie, pchać się samemu w ich ręce. Nie wiem zresztą o czym ten człowiek myślał. Czasami tłukło mi się po głowie podejrzenie, że doskonale wiedział kim jesteśmy i chciał nam uratować życie. Było to mało prawdopodobne, bo przecież narażałby swoje, a święci do policji raczej się nie pchali. Słuchałam bredzenia mamy ze zgrozą, Ajka robiła wielkie oczy. Zastanawiałam się, czy do chwili śmierci mam jeszcze sekundy, minuty, czy może godziny.

Policjant wstał z krzesła i otworzył drzwi.

- Maniek - krzyknął i kiedy ów Maniek przybiegł z drugiego pokoju, rozkazał:

- Daj tym paniom po kubku herbaty, postaw trzy krzesła w korytarzu. I, zaraz, masz chleb?

- Mam.

- Ukrój trzy kawałki i daj mi tutaj, mam żoniny smalec. Panie sobie niech usiądą. Tam jest klozet, jakby coś. Maniek! Te kobiety tu posiedzą do rana.

- Aresztantki? To może...

- Nie, tak posiedzą, godzina policyjna. To Węgierki z pochodzenia - odpowiedział na spojrzenie podwładnego.
- No, już, leć do roboty.

Byłyśmy zupełnie oszołomione, ale ze wskazanej toalety skorzystałyśmy wszystkie trzy. Była tam nawet umywalka, był papier, ręczniczek, luksusy. Usiadłam potem na krześle, chleb ze smalcem był cudowny, w domu mama nigdy słoniny nie używała, nawet teraz spjrzałam na nią niepewnie, ale machnęła tylko ręką i sama ugryzła pierwszy kawałek. „Ciekawe - pomyślałam głupio - co zrobiłby w tej sytuacji pobożny Żyd?”

Obok nas przebiegali ludzie w mundurach, kilka razy wprowadzili wrzeszczących i wyrrywających się pijaków, w końcu posadzili obok nas wymalowaną dziewczynę.

- Jeszcze raz cię złapię - uprzedził ten, z którym przyszła - to tu zostaniesz, w mamrze!
- Co ja takiego zrobiłam - rzuciła się dziewczyna - już z facetem nie wolno się spotykać?
- Babce opowiadaj, spotykać! I to po godzinie policyjnej, w bramie!
- Nie twój interes, w bramie czy nie! Może mi dasz na hotel? A z tobą bym i tak nigdzie nie poszła, glina! Policaj! Pfe!
- Zamknij się - wściekł się chłopak - co to, Niemcem jestem?
- Gorzej, bo swój, a występuje się! Już lepsza jest taka jak ja!

Dziwiła mnie ta odwaga dziewczyny, policjant nie chciał może robić kwestii, bo tylko spojrzał na nią wilkiem.

- Kurwa! - stwierdził i odszedł, a dziewczyna zawołała:
- Jak ty się przy dziecku, kutasie, wyrażasz!

Nie powiedziała „kutasie” tylko o wiele dosadniej, ale mama miała naprawdę inne problemy niż ten, że się Ajka nauczy brzydkiego słowa. Dziewczyna zaczęła z nami rozma-

włać, jako że ona też musiała tu przesiedzieć resztę nocy. Kiedy usłyszała bajeczkę mamy, dała nam nawet swój adres.

- Jakbyście tej facetki nie znalazły, to możecie przyjść do mnie, nocować nie ma gdzie, bo osiem osób w izbie, ale obiad wam dam i coś na drogę i parę groszy, jakbyście nie miały na podróż. Po pierwszej to ja już wstaję, bo zdążę odespać noc i akurat Helka przychodzi z porannej zmiany, to włazi w moje bety. Polubiłam panią, pani...

- Ró... Ryszarda mi na imię - zająknęła się mama.

- O, jak ładnie. Pani mi nawet moją ciotkę przypomina, biedaczkę, złapali ją na początku, cholera wie, co się z nią dzieje. A ja mam na imię Jadwiga, ale wołają na mnie Dziuba.

Dziuba zapisała na karteczce ulicę i numer domu. Pamiętam, że tę kartkę przed wyjściem z komisariatu mama podarła na kawałeczki i spuściła z wodą w ubikacji. Zapytałam ją później po co to zrobiła.

- Głupie pytanie - odpowiedziała mama - przecież nie poszłybyśmy tam, osiem osób! I nie wiedziała kogo zaprasza.

- Ale jednak, na wszelki wypadek...

- A jakby nas złapali z tym adresem, wiesz co by zrobili ze wszystkimi w tym mieszkaniu?

No tak, Dziuba nie zasługiwała na taki los. Może trochę i dzięki niej, dzięki tej naturalnej, ożywionej rozmowie, dzięki temu, że jakoś udawało nam się śmiać z niektórych jej, nie zawsze zupełnie salonowych, opowieści, nikt nas nie przejrzał i przeżyliśmy tę nieprawdopodobną noc. Rano dostaliśmy po kubku zbożowej kawy z mlekiem i po jeszcze jednym kawałku chleba ze smalcem, grzecznie podziękowaliśmy naszym gospodarzom i znowu wy-szliśmy na ulicę. Pętałyśmy się ze dwie godziny, zanim mama uznała, że tamci pewnie już przyjechali. Poszliśmy więc na znajomą klatkę schodową i zapukałyśmy te

240

osiem razy. W mieszkaniu słychać było ruch, ktoś zapytał zza drzwi:

- Ziuta?

- Nie, przyjechałyśmy ze wsi na chrzciny Michałka - odpowiedziała mama umówionym hasłem. Drzwi się otworzyły i przestraszona tęga blondynka wciągnęła nas do środka .

- Matko Boska - jęknęła - jak tak można? Miałyście być przedwczoraj!

- Nie dało się wyjść - tłumaczyła przestraszonym szeptem mama - czemu nikt pani nie uprzedził?

- Mnie pani pyta? Nie wiem. Byłam pewna, że nic z tego, wyjechałyśmy po kiełbasę i słoninę do matki na wieś. Boże, dlaczego ta ZJuta mnie nie uprzedziła?

Blondynce wszystko leciało z rąk, bała się, że może tę łączniczkę, tę Ziutę, złapali i wyduszą z niej wszystkie nazwiska i adresy. Ale nie, okazało się, że owa Józefa po drodze do pani Feli złamała nogę, przy upadku straciła przytomność i zawieziono ją do szpitala. Dopiero kilka godzin po naszym przyjeździe przybiegł jej brat i opowiedział o wypadku.

Pani Fela się uspokoiła. My też. W miarę.

Można więc było rozpocząć normalne życie po aryjskiej stronie. Normalne...

* *

Maria usłyszała gong i ze złością stwierdziła, że już jest późno i że nie zdąży na pociąg do Warszawy. Skąd! Trzeba było się spakować, załatwić różne rzeczy w recepcji, dowiedzieć się czy nie zwróciliby pieniędzy za nie wykorzystany do końca pobyt. Wypadałoby się pożegnać co najmniej z panią Elżbietą i Samantą, z Kamą... no i z Gabrielem. Należałoby iść na stację i kupić bilet, zadzwonić jeszcze

241

raz do Szymona. W ogóle czekała Marię masa dokuczliwych rzeczy, które trzeba, należałoby, musi się... Po prostu okropność, taka wiadomość, Chaim żyje, nie do wiary, Chaim żyje, a pokojówce i tak trzeba coś dać w kopercie, Heniek zmartwychwstał, a do biblioteki książki trzeba zwrócić! Mój Boże!

Maria powoli schodziła na obiad, śniadanie, które przynoszono do pokoi, jeśli ktoś nie zjawiał się w stołówce, stało na stoliku przy drzwiach. Zapakowała wędlinę dla bezdomnego pieska, który kręcił się koło tętni i żał jej się go zrobiło. Biedny, kto go teraz będzie karmił? Gabriela było Marii też żal. Nie, może „żał” to niewłaściwe określenie... cała sprawa była jakaś mętna, niedokończona, Maria nie mogła sprecyzować własnych uczuć. Sama nie wiedziała, dlaczego nim pomiata, dlaczego była dla niego ostra. Przecież wiedziała, że to porządny człowiek, a jego sympatia bardzo Marii pochlebiała. Niezbyt często się zdarza amant w tym wieku. A może całe jej postępowanie było idiotyczne? Może trzeba właśnie teraz chwycić tę ostatnią szansę. No nie, to byłoby możliwe jeszcze przed tygodniem, jeszcze wczoraj, ale teraz, skoro Chaim żyje? „Chaim jest żonaty, ty idiotko - wymyślała Maria sama sobie - ma córkę, ma swoje życie, nic go nie obchodzi...” Nie, to niemożliwe, żeby Maria, żeby Miriam nie obchodziła Chaima, przecież kazał córce skontaktować się z nią! No tak, ale wtedy, po wojnie, jakoś bardzo szybko uwierzył Leonowi, może było mu to na rękę, ta śmierć Miriam, może miał jakieś zobowiązania w stosunku do Basi, może ją pokochał? Spotkał Leona i od razu mu uwierzył, a Leon kłamał, kłamał jak pies! Boże! No nie, nie kłamał, wtedy sądził, że one wszystkie zginęły. Sądził, ale nie mógł wiedzieć na pewno. A Chaim... Nie, może Heniek naprawdę mu uwierzył, może desperował, może to był dla niego cios, może ożenił się z rozpaczą i całe życie tęsknił za Miriam? A teraz,

242

skoro ją odnalazł....A teraz, jak już mnie odnalazł - myślała Miriam schodząc po schodach - teraz rozwiedzie się z Basią...Akurat! Chyba zwariowałam. Przecież minęło tyle lat." Ktoś przed Marią otworzył drzwi do stołówki, przytrzymał je... Gabriel.

- Dzień... dziękuję... - mruczy bardzo zmieszana Maria, nie wie jak się zachować, ale Gabriel uśmiecha się, jakby nie pamiętał porannej sceny.

- Już dobrze się czujesz? - pyta.

Maria uznaje, że to bardzo mądre wyjście z sytuacji, tak zwalić całą awanturę na złe samopoczucie. On oczywiście wie, że nie o to chodziło, że coś musiało się stać. Tak jest jednak łatwiej, więc Maria podchwytuje wykręt.

- Tak - mów/ - o wiele lepiej. Nie spałam w nocy, głowa mnie bolała. Przepraszam...

- Nic nie szkodzi - mówi zadowolony Gabriel, ale po chwili traci humor, gdyż Maria, już przy stoliku, zapowiada:

- No, Samanto, kochanie, ostatni raz jemy razem obiad, jutro wyjeżdżam.

- Dlaczego, pani Marysiu? - dziwi się Elżbieta - Przecież jeszcze...

- Miałam wiadomości z domu.

- Ojej, ktoś zachorował?

- Nie, nie. Ktoś przyjechał.

Gabriel wie, że nie powinien się wtrącać, ale nie wytrzymuje.

- Kto?

- Ktoś bardzo ważny - mówi nagle Maria - ktoś, kto może spowodować wielkie zmiany w moim życiu.

- Matko Przenajświętsza, jakie zmiany? - zdenerwował się Gabriel, a Marii znowu coś pstryknęło w głowie...

243

Rozdział XXVII

Uczyłyśmy się tego pacierza i uczyły od razu po przyjściu do pani Feli. Nadzieja, że cud się powtórzy i drugi raz wywinie się policji, była wątła. Papiery papierami, a nosy, moje i Ajki, na pewno nie były słowiańskie. Ale nasza gospodyni, chyba słusznie, była nieugięta:

- Macie się nauczyć wszystkiego co potrzebne. Tu jest „Ojcze Nasz”, tu jest „Wierzę”. Pani Ryszardo, macie to wszystkie wykuć na blachę. Potem dam wam jeszcze inne takie! I pani Rysiu...mogę tak mówić?

Mama obejrzała się odruchowo przez ramię szukając owej „pani Rysi”, zorientowała się jednak w ułamku sekundy.

- Oczywiście...

Ale pani Felicja zauważyła to wahanie.

- Słuchajcie, ja nie wiem i nie chcę wiedzieć, jak wy się naprawdę nazywacie. Tutaj widzę panią Ryszardę, Marię i Alin-kę.

- A można na nią mówić „Ajka”? Będzie jej łatwiej się przyzwyczać.

- Ajka... od czego to... nie, nie mówcie. Alinka... Ajka... no, owszem, może być. Więc macie

pamiętać. No i co to ja... Pani Rysiu, przedtem pani coś upadło i zawołała pani „gwałtu!” Bardzo proszę tego nie robić. Nauczcie się wołać „O, Jezu” albo „Jezus, Maria”, no, same wiecie.

Mama była zgorazona.

- Nie lubię wzywania imienia boskiego bez potrzeby. W ogóle, u nas...

244

- Niech pani nie będzie taka skrupulatna - zdenerwowała się Felicja - chcecie przeżyć, czy nie?! To róbcie, co wam mówię.

Strasznie Ajce nie szło to „Wierzę”, nic z tego nie rozumiała, zadawała sto pytań na minutę, plątała słowa. Długo trwało, zanim wykuła tekst na pamięć. Pomagała jej w tym córka naszej gospodyni, czternastoletnia Marzenka, która, ku zgrozie mamy, była wtajemniczona w całą sprawę. Dziewczynka chodziła na komplety i bardzo bałyśmy się, żeby się tam nie zwierzyła jakiejś przyjaciółce. Pani Fela mówiła, że na Marzence można polegać jak na Zawiszy, że wie, co jej także przecież może grozić za przechowywanie Żydów. Mama jednak bardzo się tym przejmowała.

- Ale po co p^ani jej mówiła? - męczyła naszą gospodynię.

- Bo nie jest kretynką. Nagle widzi trzy obce osoby, i to, nikogo nie obrażając, dwie z wyglądem... no, wiecie same. Co jej miałam powiedzieć? I niby skąd mamy nagle na utrzymanie? Od czasu, kiedy Edek zginął, ledwo wiązałam koniec z końcem. A tu nagle... przykro mi, że biorę od was pieniądze, ale bez tego mowy by nie było, żebym kogoś, oprócz nas dwóch mogła wykarmić. A teraz, same widzicie!

I pokazała nam kartkę wiszącą na bocznej ścianie szafki kuchennej obok kalendarza. Była to stronica wydarta z zeszytu w kratkę, przedzielona pionowo zielonymi liniami, a poziomo czerwonymi. Wypisała w tych rubryczkach dni tygodnia i na każdy dzień inne menu.

Później się przekonałam, że był to jadłospis niezmienny: w poniedziałek - flaki, we wtorek - sztuka mięsa, w środę - smażona wątróbka z buraczkami, w czwartek - bigos, w piątek - ryba, w sobotę - mielone kotlety, w niedzielę - pieczony kurczak. Nie wiem, jak przy bardzo różnym w owym czasie zaopatrzeniu, udawało się pani Feli trzymać tak ściśle planu, faktem jest, że przez cały czas nasze-

245

go pobytu, tylko raz w piątek zamiast ryby były naleśniki, a zamiast kurczaka na niedzielny obiad pani domu kupiła gęś. Zburzyło to też rytm następnych dni, gdyż gęś wystarczyła na poniedziałek i wtorek. Nigdy już potem w życiu nie widziałam nigdzie tak konsekwentnie prowadzonego gospodarstwa. Wtedy zaś wszystko nam bardzo smakowało, bo chociaż, od czasu znalezienia przez Leona skarbu, nie głodowałyśmy, to jedzenie można było kupić tylko byle jakie, a o żadnych kurczakach nawet nie marzyłyśmy. Zresztą, wiedząc, że pieniądze będą nam potrzebne właśnie na ucieczkę, mama bardzo w getcie oszczędzała. Miła była i mnie i Ajce ta stabilizacja, ten cień stabilizacji chociaż w sprawach kulinarnych.

Mamie było wszystko jedno co je. Chyba całymi dniami myślała o ojcu, o ojcu, który został sam w getcie i nie wiadomo, czy jeszcze w ogóle żyje. A jeśli żyje, czy poprosił owego Dawida o wspólne zamieszkanie, czy Dawid się zgodził i czy ten Dawid w ogóle jeszcze istniał. A jeśli nie? Kto ojcu da jeść, kto mu upierze, kto go pocieszy?

- Po co ja wychodziłam - zapytała mnie kiedyś znękany głosem mama - mogłaś wyjść sama z Ajką. Boże miłosierny, on tam zginie. Zginie!

Było mi strasznie żal ojca i żal mamy i żal siebie samej.

- Zobaczysz, tata przeżyje - mówiłam - jakoś sobie poradzi, w getcie jest teraz podobno spokojniej. I Dawid na pewno z ojcem mieszka. Taka kryjówka!

- Myślisz? - mówiła z nadzieją w oczach mama, ale nie na długo tej nadziei wystarczało. Po paru godzinach znów dochodziła do okna i patrzyła tak, jakby mogła zobaczyć co się dzieje za murami.

- Pani Rysiu - przypominała gospodyni - niech pani na litość boską, nie podchodzi do okna. Po co ktoś ma panią widzieć.

246

- Ale przecież sąsiedzi i tak wiedzą, że tu są kuzynki.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - odpowiadała przysłowiem pani Fela. Zresztą rankami jej nie było, pracowała przed naszym przyjściem i oczywiście pracy nie rzuciła. Była szatniarką w jednej takiej jadłodajni czynnej tylko do czwartej i to zajęcie pozwalało jej się spotykać z różnymi łącznikami bez zwracania na siebie uwagi. Jadłodajnia była dostatecznie podła na to, aby nie przychodzili do niej na obiady policjanci, a tym bardziej Niemcy. Dawano tam przede wszystkim flaki i gulasz z kaszą, czasami tę kaszę Felicja przynosiła w menażce do domu. Przynosiła też, co ważniejsze, wiadomości. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że Leon przeszedł szczęśliwie i ują dobrą kryjówkę na Mokotowie, a Salka razem z jego papierami złapano od razu za murami, zaprowadzono na policję i po stwierdzeniu, że jest obrzezany, zlikwidowano.

- Jak to „zlikwidowano”? - płakała Ajka i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że moja mała siostrzyczka chyba się w tym Salomonie kochała. - Co to znaczy, pani Felu? Marzenko?

- Nie wiem, moje dziecko. Tak mi powiedziano i tak powtarzam. Chyba niepotrzebnie...

Ajka nie była osobą, która dawała się zbywać.

- Mamo, co to znaczy „zlikwidowano”?

Mamie też zbierało się na płacz.

- To znaczy, że nie ma Salka. Nie żyje.

Ajka spojrzała na nią z pogardą.

- Tyle, to ja też wiem. Ale jak? Zastrzelono go? Powieszono? Zbito na śmierć? Spalono? Ja muszę wiedzieć, muszę wiedzieć jak myśleć o Salku, jak go wspominać. Bo dopóki się go pamięta, to tak, jakby trochę żył. Mamo?

Wtrącałam się, bo już nie mogłam tego słuchać.

247

- Na pewno go zastrzelono - wybrałam może najmniej makabryczny rodzaj śmierci - Ajeczko, myśl tak, jakby go zastrzelono.

- Skąd wiesz?

- Bo tak jest - wymyśliłam - że złapanego Żyda się roz-strzeliwuje. Taki jest zwyczaj.

- Naprawdę? Nie męczą ich?

- Nie męczą - odpowiedziałam, chociaż miałam co do tego absolutnie uzasadnione wątpliwości. - Nie męczą. Zginął, jak na wojnie. To bohater.

„Dziwny jest ten świat - myślałam wtedy - na którym trzeba dziecko w ten sposób uspokajać". Ale co innego mogłam zrobić? Uważałam, że nic, Ajka była jednak innego zdania. Wieczorem, kiedy kładłam się spać, zobaczyłam małą sylwetkę klęczącą przy tapczanie. Ajka złożyła dłonie i modliła się za Salka: „Ojcze Nasz - usłyszałam jej szept - któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. I daj, żeby Salek się nie męczył i światłość wiekuista..." Ajka widocznie uznała, że modlitwa tak, czy inaczej, trafi w końcu do tego samego Boga. A mnie się zdawało, że Bóg zasnął, że w niebie zapanowała noc.

*

Obiad się skończył, Gabriel usiłował zatrzymać Marię, chciał chociaż porozmawiać, wyjaśnić, umówić się.

- Mam jeszcze masę roboty - wymawiała się - lecę do Kamy, do biblioteki...

- Pójdę z tobą.

- Jak chcesz.

Gabrielowi wydawało się, że jakoś załagodzi, zakłajstruje całą sprawę, może jednak Marii chodziło o wyskok Róży? Myślał, że teraz, właśnie na tym ciechocińskim dep-

248

taku, uda mu się wreszcie przekonać Marysię. Przecież też jest niemłoda, taka samotna, dlaczego miałyby zrezygnować z możliwości ułożenia sobie życia? Gabrielowi Maria bardzo się podobała, cenił jej inteligencję, poczucie humoru, odpowiadała mu nawet fizycznie. „Dużo z tego nie będę miał - myślał samokrytycznie - ale pocałować ją przecież mogę, przytulić się wieczorem. Owszem, jest wybuchowa,

nawet złośliwa, ale nigdy nie lubiłem ciepłych klusek. Powiem jej, powiem wyraźnie, teraz, właśnie w tej chwili i na pewno..."

- Mario - zaczął uroczyście - Mario, czy...Czy mogę cię prosić o rękę?

Maria właśnie wypatrywała bezdomnego pieska i słowa Gabriela jakoś iie od razu do niej dotarły.

- O co? Czekaj, bo mi się szynka wysnęła z torebki.

- Jaka szynka? - zapytał bezradnie amant. - O rękę! Mario! Zostaw tę szynkę, głodna jesteś?!

- Nie ja, pies!

Rzeczywiście piesek, jakby wiedziony telepatią, zjawił się na drodze i stanął tuż przed Marią.

- Masz, piesku - kucnęła jego przyjaciółka - masz. To jest szyneczka, a to jajko na twardo. Dobre, co? Popatrz, jak żre - zwróciła się Maria do Gabriela. - Słuchaj, jak ja wyjadę, to przynos mu coś, dobrze?

- Niedobrze. Bo ja też jadę, bez ciebie nie mam tu czego szukać. Mario, ja cię proszę o rękę, a ty karmisz psa?!

Maria kiwnęła głową.

- No tak, nie będę udawać, że nie słyszałam.

- I co?

- Zrozum, Gabrielu... nie chciałabym cię znowu obrazić, ale...

- Zastanów się, jesteśmy samotni. Dlaczego zawsze musi być jakieś „ale”? Nie podobam ci się? Nie lubisz mnie? Wolisz być sama?

249

To były bardzo ważne pytania i Maria pomyślała, że może rzeczywiście...Tak, jest samotna, Szymon ma swoje życie. Gabriel owszem, jest dosyć przystojny i nie wzbudza wstrętu. Mogłaby go nawet pocałować. „Lubię go - myślała - i niezbyt mi się uśmiecha samotność. Może on ma rację, może się zdecydować? Jak to? A Chaim?! O, nie, drugi raz nie zrezygnuję z takiej szansy! Może Heniek już jest rozwiedziony? Może nareszcie...może..."

- Gabrielu, przykro mi...

- Może zaczekasz z tą odmową? Może się jeszcze zastanowisz?

„Właściwie on ma rację. Nie wiem, jak jest z Chaimem. Niech będzie."

- No... dobrze. Ale nie komplikuj sobie przez to życia. Nie będę miała pretensji, jeśli zainteresujesz się kim innym. Rutą?

- A daj że mi spokój z Rutą - zdenerwował się Gabriel, ale po sekundzie wziął Marię za rękę i złożył na jej dłoni soczysty pocałunek.

- Zastanawiaj się - powiedział - ja mam czas.

Piesek przez cały czas kręcił się koło nóg Marii, widocznie szynka bardzo mu smakowała. Ale do biblioteki psów nie wpuszczano, Maria oddała książki, odebrała kaucję i kiedy wychodzili, Gabriel potknął się o coś burego.

- No, popatrz, ten psiak czekał tu na ciebie!

- I co ja mam z nim zrobić - zmartwiła się Maria - kto go teraz będzie karmił? Zobacz, jakie ma oczy, jak na mnie patrzy.

- Psa ci żal bardziej niż mnie?

- Ty sobie poradzisz. Aż mi się serce kraje, kiedy patrzę na to biedactwo.

- To niech ci się nie kraje, weź go i już.

- Zwariowałaś?

250

Pies chyba rozumiał, że o nim mowa, liznął Marię przez pończochę i wyraźnie się uśmiechnął.

- Co ja mam... Gabriel!

- Jak uważasz.

- Cholera - wściekła się Maria - kłopot na głowę! Weterynarz, spacerki, ja nie mam na to sił! Dywan mi zasiusia!

- Nie zasiusiam - przyrzekł pies.

- Będzie chorował.

- Nie będę!

- To pies, czy suczka? - zainteresował się Gabriel, kucnął i stwierdził:

- Pies. Jak go nazwiesz?

Maria poddała się na całej linii. Wzięła pieska na ręce i powiedziała --Witaj, Brysiu.

Gabriel przyglądał się temu z uśmiechem, Maria coraz bardziej mu się podobała, a spontaniczny wybór imienia miło mu się skojarzył.

- A wiesz, że to brzmi jak spieszczenie od Gabriela -stwierdził, a Maria przytuliła Biysia i

powiedziała:

- No właśnie.

Rozdział XXVIII

W pociągu było pusto, Gabriel ustawił bagaże na półce i od razu zaczął biegać koło Marii, podtykać jej czasopisma, wafelki, orzeszki. Maria zdawała sobie sprawę, że taki człowiek to skarb, Leon nigdy nie był szarmancki i pomimo całej miłości jaką niewątpliwie czuł do żony, nie troszczył się o żadne takie drobiazgi. Wtedy Marię to denerwowało. Wiele było rzeczy, które ją w Leonie denerwowały. Były okresy, kiedy sama siebie nie rozumiała, kiedy żałowała z całego serca, że wyszła za niego.

Płaski krajobraz migał za oknami, Gabriel wreszcie usiadł spokojnie i zatopił się w jakiejś książce, Maria patrzyła przez nie domytą szybę na migające domy, drzewa, domki... Po wojnie wydawało się, że małżeństwo z Leonem, skoro Heniek zginął, jest logiczne, nieuniknione; tyle ich łączyło, wszyscy zginęli, tylko Ajka, tylko Ajka ocalała, a gdyby Leon, poszukując rodziny nie spotkał w tym biurze Szumka, to nie wiadomo, jak długo jeszcze Ajka siedziałyby w Domu Dziecka, jak długo byłaby pewna, że Miriam też nie żyje, że jest sama, samiutka na świecie. Maria nawet nie wiedziała, że Leon zna nazwisko Chaniny, że rozpozna w Szumku jej syna. Kiedy przybiegli obaj do Marii, kiedy okazało się, że mieszka w tym samym Domu Dziecka, w którym jest Ajka, pojechali tam wszyscy razem. Mój Boże, Miriam była niewypowiedzianie wdzięczna Leonowi, tak wdzięczna, że pomyliła to uczucie z miłością. Na krótko. Ale skoro już raz przyrzekła.. Zresztą Ajka bardzo

252

lubiła Leona, przypominał jej czasy, kiedy żyli rodzice, kiedy żył Salek. Była szczęśliwa, gdy jej siostra i Leon wzięli ślub i już wtedy zwierzyła się Marii.

- Wiesz, ja bardzo lubię tego Szumka Chaniny. On mnie też. Jak dorośniemy, to się pobierzemy, dobrze? Jak myślisz, czy Salek, tam w niebie, nie będzie na mnie zły?

- Nie będzie - przyrzekła Maria i pomyślała wtedy, że Ajka już jest taka duża, już się zakochała. A tak niedawno bawiła się lalkami, robiła im sukienki, przyszywała falbanki. „Nie, zaraz - pomyślała teraz, w pociągu, Maria. - Co

to było z tymi falbankami?"

* * *

;

Od razu po wizycie Waldka Ajka poprosiła o szmatki. Właściwie to nie był pierwszy raz, dziewczynka okrutnie się nudziła po tej aryjskiej stronie i wpadła w szal szycia malutkich laleczek, jedne były wielkości środkowego palca u ręki, inne trochę większe lub mniejsze, w zależności od szmatki, którą pani Felicja akurat podarowała. Lalki te wypychała Ajka malutkimi skraweczkami materiału i potem szyła im ubranka. Nie było to piękne, dziewczynka miała wprawdzie zdolności plastyczne, ale lalki wychodziły jej raczej

pokraczne. Inna rzecz, że ja nie umiałabym uszyć nawet takich. Pani Fela patrzyła na to łaskawym okiem, zajęcie było ciche i czyste. Dała nawet Ajce kolorowe, malutkie kłębuszki wełny, z których robiło się czupryny, długie dla „dziewcząt” i krótkie dla „chłopców”. Marzenka także interesowała się laleczkami, a raz nawet poprosiła o jedną z nich. Chciała ją zanieść na zajęcia, pani kazała zrobić coś - wszystko jedno co - żeby wykazać się biegłością w robotach ręcznych. Marzenka nienawidziła wszelkich podobnych rzeczy, nie umiała przyszyć guzika i pani Fela dawno machnęła na to ręką.

253

- Ajka - poprosiła więc Marzena - daj mi tę z warkoczami.
- A zwrócisz mi?
- O rany, nie mogę, to ma iść na taką wystawkę. Może kiedyś oddadzą, ale nie wiem. Zrób sobie drugą taką samą.
- I powiesz, że to ty sama zrobiłaś?
- Wielkie rzeczy.

Ajka westchnęła i oddała lalkę. No bo rzeczywiście, co ta biedna Marzenka miała poczuć? Z wdzięczności Ajka została obdarowana dużą szmatką w kwiatki, z której od razu zrobiła „kwiatową wróżkę”, tak, że wszyscy byli zadowoleni, dopóki nie przyszedł ten Waldek.

Był on cioteczny bratem Marzenki, jego matka była siostrą męża pani Feli, miał piętnaście lat, był wysoki i wygadany, prawdziwy syn Pragi warszawskiej. Akurat razem z mamą pomagałyśmy Felicji lepić pierogi na kolację, a dzieci zostały same. Nie miałyśmy pojęcia o czym mówią. Waldek zjadł potem połowę wszystkich pierogów i wyszedł. A na drugi dzień Ajka coś poprawiała przy tych lalkach i poprawiała, aż w końcu z dumą przyszała do mamy.

- Spójrz - pokazała jej lalkę „chłopczyka”. Wyglądał dziwnie, miał trzy nogi.
- Co to ma być, Marsjanin? - zaciekałam się.
- Dlaczego Marsjanin, człowiek - obraziła się Ajka - chłopiec.

Zaczęło mi coś świtać. Mama, jak zwykle naiwna, wpatrywała się w laleczkę wielkimi oczami.

- Po co to przyszyłaś? Człowiek ma tylko dwie nogi, nie umiesz liczyć do trzech?
- Mówiłam, że to nie noga. Waldek mi powiedział, że moje laleczki, to durne kaleki, bo nie mają...

Po czym Ajka dokładnie powtórzyła, czego te lalki, przedstawiające chłopców nie mają, oraz jak Waldek

254

nazwał to, co właśnie doszyła. Mama o mało nie zemdląta.

- Ajka, zlituj się!!! Jak ty się wyrażasz?! Odpruj te... w tej chwili!

Ajka stała i wyglądało na to, że nie rozumie, po co i dlaczego mama tak się awanturuje.

- Przecież panowie mają te... siusiaki - przypomniała sobie cenzuralne określenie. - Wiedziałam, tylko zapomniałam. Pamiętasz, jak pani Rachela pokazywała nam swojego Iziunia? Też miał siusiaka.

Podkusiło mnie.

- Ale wiesz - powiedziałam - te siusiaki, słowo daję, nie są wielkości nogi, tylko o wiele mniejsze. A poza tym, jak nie mają być Żydami, to powinny mieć jeszcze tu skórkę.

- Wiem - przypomniała sobie Ajka - pani Rachela mówiła, że Izio już jest obrzezany. Racja. I Waldek powiedział mi jeszcze, do czego, oprócz siusiania, służą te... no... te siusiaki.

- Gwał... Jezus, Maria - prawie krzyknęła mama - to jest okropne! Ajka!

Ale okazało się, że Ajka całą rzecz przyjęła w sposób zupełnie naturalny i właśnie, używając nomenklatury Waldzia zaczęła mamie tłumaczyć, co się robi, żeby mieć dzieci. Mama siedziała zupełnie ogłuszona, a moja siostrzyczka, powiedziawszy swoje, wyszła z kuchni zabierając laleczki, szmatki i igłę z nitką. Do wieczora ciężko pracowała, a przed spaniem pokazała nam laleczki ze skróconymi szczegółami. Ich brzegi obszyła falbanką.

- Już nie są obrzezane - westchnęła - szkoda. Ale jakby je jakiś Niemiec tu przedtem znalazł, to mógłby się skapować, kim jesteśmy i nas zabić. A teraz zobaczy, że wszystko w porządku, bo mają napletek.

Przy tej rozmowie była już pani Fela. Myślałam, że się rozchoruje ze śmiechu. Kiedy w końcu doszła do siebie, powiedziała:

255

- Widzę, że wizyta Waldzia dała efekty. Niech pani się nie martwi, pani Rysiu, to w gruncie rzeczy dobry chłopak, chociaż muszę przyznać, że łobuziak.

Mama przełknęła wszelkie protesty. Co mogła zrobić? U siebie w domu nie przepuściłaby smarkacza przez próg, ale tu...

- No tak, może i dobry - wykrztusiła z trudem.

Ale wieczorem chyba nie mogła zasnąć, bo słyszałam, jak przewraca się na łóżku do późnej nocy. Myślałam wtedy, że okropnie przesadza. Jakie miało znaczenie kilka brzydkich słów, czy uświadomienie Ajki, wobec tego, co się z nami działo, wobec losu ojca, śmierci Salka, wobec tego,

że znowu nie miałam wiadomości od Heńka.

* * *

Maria właściwie lubiła jazdę pociągiem, teraz też miarowy stukot ją usypiał i może nawet zasnęłaby na dobre, gdyby nagle nie poczuła, że ma mokre nogi. Spojrzała w dół prosto w uśmiechnięte oczy Biysia, który właśnie tylnymi łapami „zasypywał” to, co zrobił. Był z siebie taki dumny, że Maria nie miała serca, aby dać mu klapsa.

- Wszystko przez ciebie - zwała winę na Gabriela, który oderwał się od lektury.
- Co znowu przeze mnie?
- Mam mokre nogi.
- ??????
- Nie rób takich wielkich oczu. Mam zasiusiane buty.
- No wiesz - roześmiał się Gabriel - naprawdę nie poczuwam się...
- Namówiłeś mnie na psa?!
- Namówiłem.
- No więc widzisz.
- Nie jesteś dzieckiem, jakbyś nie chciała, to byś go nie wzięła. Czekaaj, w toalecie jest papierowy ręcznik, zaraz przyniosę.

256

„Też historia - myślała Maria, zmieniając pantofle i pończochy - tu dramat, Heniek żyje, Gabriel mi się oświadcza, a tu pies nalał mi do buta. Zawsze się muszę w coś wpakować, jak Szymek zobaczy Brysia to powie, że zwariowałam. A może dać go w prezencie Justysi?”. Ten pomysł w pierwszej chwili wydał się Marii wspaniały. Wyobrażała sobie z przyjemnością kwaśną minę Asi i radość wnuczki, ale na myśl, że mogłaby rozstać się z psiakiem, od razu zrobiło jej się smutno. „Żeby tak szybko można było pokochać człowieka - pomyślała - na przykład takiego Gabriela.” Niestety, nie było to proste, w ogóle o miłości w tym wieku trudno było marzyć. Chyba, że Chaim, że Heniek...

Gabriel papierowym ręcznikiem wycierał podłogę. Może nie byłby taki skory do wykonywania tej dosyć obrzydliwej czynności, gdyby wiedział, jakie marzenia snuje kobieta, którą pragnął pojąć za żonę. A Maria właśnie leciała do Stanów... nie, może lepiej, żeby Chaim przyleciał do Warszawy... No więc powiedzmy, że Heniek przyleciał do Warszawy.

Jaki był? Czy bardzo się zmienił? Oczywiście, musiał się zmienić, ale pozostały mu piękne, czarne oczy, a włosy może niezupełnie posiwiały. Pozostały mu jego wspaniałe dłonie, kiedy przyjedzie, spojrz też na rękę Marii. A Maria włoży tę obrączkę, tę obrączkę z drutu, teraz już może ją włożyć, jak to dobrze, że część biżuterii razem z tym pierścieniem przechowała się u pani Haliny, jak to dobrze, że mama zapomniała zabrać tego jednego pudełeczka od zapalek.

Chaim się wzruszy, na pewno, może zostanie w Polsce na zawsze, ciekawe, czy jest jeszcze z tą Basią, a może już nie, a może ma już inną żonę? Jakaś krowa zaryczała za oknami pociągu, ryk wyrwał Marię z transu. „Kretynko -ocknęła się - przestań. Kto to widział, żeby stara krowa marzyła jak nastolatka?"

257

- Dojeżdżamy - oznajmił Gabriel. - Maryniu, zbieraj się. Ja wezmę walizkę, a ty weź psa. Czy Szymon po ciebie wyjdzie? Bo jeśli nie, to ja...

- Wyjdzie, wyjdzie.

Na dworcu Centralnym łatwo jest kogoś przeoczyć, ale Szymon od razu podbiegł do wagonu, podziękował Gabrielowi, zaproponował, że podwiezie go do domu, osłupiał na widok Brysia. Wszystko działo się szybko i po krótkim czasie Maria była już w domu, zapalała gaz w piecyku w łazience, odkręcała krany...

- Siadaj, nie miotaj się - powiedział zdenerwowany Szymon, który uważał, że matka nie powinna była rezygnować z sanatorium - ja wszystko zrobię. Co to za pies?

- Mój, Bryś, nie podoba ci się?

- Nie o to chodzi, wiesz, jaki to kłopot?

- Gdybym się bała kłopotów, nie miałabym dziecka.

- No wiesz?

Szymon spojrzał złym wzrokiem na Marię, a jej zrobiło się głupio. Bo przecież właśnie bała się wtedy kłopotów, nie chciała mieć dziecka, nie chciała już nikogo nigdy więcej kochać.

Może nawet między innymi dlatego zdecydowała się na ślub z Leonem, właśnie dlatego, że go nie kochała, że nie będzie musiała się o niego bać, niepokoić, że kiedy wyjdzie z domu, nie będzie myślała, że może nie wróci tak, jak nie wrócili ci wszyscy ludzie w getcie, jak nie wróciła ciocia, rodzice Salka. A dziecko? Dziecko, to nowa męka, nowe niepokoje, nieprzespane noce, znowu niechciana miłość.

Kiedy lekarz stwierdził ciążę, Maria przysłała do domu i oświadczyła:

- Mowy nie ma. Umrę, a zrobię skrobankę.

- Kochanie - tłumaczył jej Leon, który nigdy nie wiedzieli, czy ma ją nazywać Marią, czy Miriam i wymyślił jakąś „Misię", którego to spieszczenia Maria nie znosiła.

258

- Misiuniu, co ty mówisz! To grzech!

- GRZECH?! Po tym wszystkim co się działo, chcesz mi wmówić...

- Zresztą nie o to chodzi. Ja chcę mieć syna!
- A ja nie chcę!
- Nie masz prawa!

Ajka, zwabiona krzykami, weszła do pokoju.

- Co, jesteś w ciąży?
- Nie twój interes, idź do kuchni!
- Mój interes! Mój siostrzeniec i mój interes. Mirka, ja ci pomogę, będę go lulać. No, nie bądź taka.

Maria przytuliła siostrę.

- Zrozum, ja nie mam siły. A jak coś się dziecku stanie?
- Już nic gorszego mu się nie stanie, niż sama mu chcesz zrobić!
- To jeszcze nie jest dziecko. A ja nie chcę się już o nikogo bać.

Te rozmowy trwały chyba ze trzy tygodnie, w końcu Leon poddał się i pełen żalu zaprowadził Marię do pewnego pana doktora, który w tak przekonujący sposób odmówił wykonania zabiegu, że po siedmiu miesiącach urodził się zdrowy i wesoły Szymon. Pan doktor nawet nie wiedział ile błogosławieństw spłynęło na niego najpierw z ust Leona i Ajki, a potem także Marii. Kochała swego syna z całego serca, a jednak zachowywała pewien dystans i starała się o niego nie bać, co jej się nie zawsze udawało. Może Szymon wyczuwał tę rezerwę, bo matkę uważał za osobę raczej chłodną uczuciowo i teraz nie rozumiał, skąd w niej się wzięła nagle miłość do tego brudnego kundla.

- Trzeba go będzie wykąpać, zawieźć do weterynarza. Zaszczepić i cholera wie co. Jakies witaminki mu pewnie będą potrzebne. Nie miała baba kłopotu...
- Jeszcze jedno słowo i podaruję Brysia Justynce - zagroziła Maria.

259

- Ani nawet!
- Mój pies, mój kłopot. Powiedz mi lepiej, co z tą Jane?
- Jane jutro o dwunastej tu przyjdzie, tak jak chciałaś -oznajmił Szymon i otworzył drzwiczki kredensu - tu masz różne takie słodkości, możesz ją poczęstować. A tu masz list od cioci Ajki, wczoraj przyszedł. Chcesz żebym był, kiedy tu przyjedzie ta cała Jane?
- Po co?
- Nie wiem po co. Może się znowu zdenerwujesz. Nie skończyłaś kuracji.

- Doskonale się czuję - skłamała śmiertelnie zmęczona Maria, której ciągle jeszcze dokuczały zawroty głowy -wspaniale się czuję, możesz już jechać do domu. I zabierz to dla Justyny.
- Co to jest?
- Bluzka.
- Po co ją rozpuszczasz?
- Nieprawda, wcale jej nie rozpuszczam. A jak będziesz protestował, to Bryś...
- Już dobrze - Szymon wziął paczuszkę i pomyślał, że rzeczywiście, Maria Justyny nigdy nie rozpieszczała. W różnych zachwytach i przytulaniach, w rozgrzszaniach wyskoków Justyny, prym wiodła tamta babcia, a Maria kupowała wnuczce prezenty.
- Zadzwonię jutro - zaczął się żegnać Szymek i bardzo się zdziwił, kiedy matka wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Nigdy przecież nie była skora do czułości...

A Maria po wyjściu Szymka zrobiła sobie herbatę i zaczęła ją pić zbyt szybko. Kiedy przemywała lekko oparzone wargi zimną wodą znowu pomyślała o Ajce...

Rozdział XXIX

„Dlaczego gotowałyśmy tę wodę na maszynie? - przypominała sobie teraz Maria - no, jak to, dlaczego, przecież goście...”

* *

Oczywiście, państwo Mieciovie, tak zawsze mówiła o nich Marzenka, nie, mówiła jeszcze poufalej, jak? Miecie, tak Miecie. Mieciovą była matką chrzestną Marzenki, była także zoologiczną antysemitką. Nie można było jej zakazać wizyt, obie rodziny zawsze się bardzo przyjaźniły, pani Feli dawniej sprawy Żydów w ogóle nie obchodziły, było jej doskonale wszystko jedno co o tym myśli żona Mieczysława. Marzenka bardzo lubiła matkę chrzestną, która, nie mając własnych dzieci, dziewczynkę obdarzała całym, niezaspokojonym uczuciem macierzyńskim. Obsypywała ją prezentami z każdej okazji, a także bez okazji, zachwycała się urodą Marzenki i namawiała zamożnego męża, żeby zapisał jej w spadku willę na Mokotowie i letni domek w Aninie. Było to nawet powodem tarć w małżeństwie, gdyż pan Mietek miał synka z pierwszego małżeństwa i pomimo karczemnych kłótni z byłą żoną odbywających się mniej więcej raz na miesiąc, nie zamierzał pozbawić owego Zenobiego spadku. Do pani Feli często oboje przychodzili, a jeszcze częściej przychodziła sama Mieciovą, aby poskarżyć się na skąpstwo i upór męża. Wtedy nie wolno

261

było paniom Rose wychodzić z pokoju. Nasza podejrzana uroda jak nic zaalarmowałaby matkę chrzestną Marzenki, która miała zadziwiające wyczucie tych spraw. A potrafiła siedzieć u przyjaciółki kilka godzin. Dlatego też, po jednej z takich długodystansowych wizyt mama nieśmiało poprosiła: - Pani Felicjo, może

mogłybyśmy dostać, to znaczy pożyczyć, jakąś maszynkę elektryczną i czajniczek? Tyle czasu nie możemy napić się niczego ciepłego...

Tyle czasu musiałyśmy też zachowywać absolutną ciszę, na szczęście pokój był usytuowany dosyć daleko od kuchni, gdzie z reguły przesiadywali goście pani Feli. Ale pić nam się bardzo chciało.

- Owszem, czemu nie... - zgodziła się nasza gospodyni, a potem przyniosła kuchenkę i czajnik. Niestety, maszynka elektryczna miała bardzo krótki sznur, przedłużacza nie było i kontakt został zamontowany tuż przy podłodze. Dostałyśmy więc jeszcze jakąś tackę, stawiała ją się na podłodze, na niej kuchenkę, na kuchence czajnik i od tego momentu mogłyśmy, pomimo straszących nas wizyt pani Mieciowej, opływać w luksusy. Nieraz słyszałyśmy, jak Marzenka przebiega przez korytarz, woła coś do matki chrzestnej, która zawsze odpowiadała jej donośnym, ociekającym słodyczą głosem, nazywając „moją Marzeniuchną”. Sądząc z opowiadań dziewczynki, była kobietą czułą i dobrą, dbającą o rodzinę i tylko trochę zazdrosną o pierwszą żonę Mieczysława i tego synka.

- No, i Żydów nie lubi. Bo zamordowali Chrystusa -dodawiała.

- Ale przecież on też był Żydem - odpowiadała Ajka, dla której to wszystko było w dalszym ciągu niepojęte.

- Ale go zamordowali.

- Myślisz, że jak się teraz morduje innych Żydów, to w porządku?

262

- Ja nie myślę, nawet was lubię, ale Mieciowa mówi, że nareszcie jest sprawiedliwość. Bo wy handlowaliście i oszukiwaliście i zabijaliście chrześcijańskie dzieci na macę.

- Zwariowałaś - denerwowała się Ajka - to są bzdury! Brednie! I co, że ktoś handlował, a Polacy nie handlują?

- Ja tam nie wiem, mnie to wszystko nic nie obchodzi i żal mi was. Ale matki chrzestnej musicie się strzec, bo ona gotowa polecieć na policję. A wtedy, Matko Boska, nas też mogą ukarać! Nie, Mieciusia by nam krzywdy chyba nie zrobiła. Ale wy siedźcie tu cicho.

No więc siedziałyśmy i od czasu do czasu mama robiła tę herbatę na maszynce, o którą poprosiła w złej godzinie. Całe szczęście, że woda zagotowała się może w minutę po wyjściu Mięci owej, bo wrzask, jaki podniosła Ajka, na pewno nie uszedłby jej uwagi.

Czajnik, jak zwykle, stał na podłodze i właśnie woda zaczynała bulgotać, kiedy moja siostra podbiegła do półki i nadepnęła prosto na dzióbek. Z czajnika chlusnęła na jej kostkę i stopę gotujący się wrzątek. Zrobiło mi się słabo, niewiele myśląc podbiegłam do Ajki i zerwałam jej z nogi pończochę razem ze skórą. Później się dowiedziałam, że trzeba było przeciąć materiał i ostrożnie odkleić go od nogi, ale działałam w szoku, zresztą nie sądzę, żeby to wtedy stanowiło jakąś różnicę. Z dobrych pięciu centymetrów kwadratowych zlaża ta nieszczęsna skóra, widać było czerwone mięso, Ajka wyła, mama pobiegła do pani Feli po

pomoc, pani Fela rozbiła jajko i białkiem posmarowała ranę. Była to koszmarna noc, a gdy minęła, noga Ajki wyglądała potwornie.

- Powinien to zobaczyć lekarz - zdecydowała pani Fela -jak dostanie gangreny, to co zrobimy?
- Jaki lekarz - zapytała zrozpaczona mama - pani wezwie tu lekarza? Żeby nas rozpoznał? A może mu pokażemy, te, pożał się Boże, papiery?

263

- Mowoy nie ma żeby wzywać lekarza. Ajka musi do niego iść.
- Iść?
- No tak... zaraz... polecę do pracy, niech mnie Zosia raz zastąpi. Potem pojedę z Ajką do takiego jednego... zaufanego... To nasz rodzinny lekarz, on nic nikomu nie powie. Ajka, a ty będziesz całą drogę trzymała chustkę do nosa przy twarzy. Na włosy naciągniesz beret. I żebyś się nie odezwała ani jednym słowem, bo jeszcze ci się coś wyspnie.

No i rzeczywiście, pierwszy raz w czasie pobytu po „aryjskiej stronie" obolała Ajka opuściła mieszkanie.

Kuśtykając moja siostra dotarła do przystanku tramwajowego, cały czas kichała w chusteczkę, a potem, kiedy obie przejeżdżały jakąś ulicą, Ajka z emocji zapomniała, kim jest, gdzie jedzie i co się dzieje, bo zdawało jej się, że przejeżdża znajomą ulicą, co zresztą było pomyłką.

- O, tu chodzyliśmy do cioci Racheli - oznajmiła wszem i wobec.

Imię „Racheli" nie było imieniem słowiańskim. Pani Fela zamarta, jakaś pani z przerażeniem spojrzała na drzwi, odnosiło się wrażenie, że ma ochotę wyskoczyć w biegu. Kobieta w fikuśnym kapelusiku na głowie rozejrzała się i dyskretnie podała Ajce tabliczkę czekolady, wyciągniętą z przepastnej torby. Facet z wąsem wpatrywał się w panią Felicję, która od razu na następnym przystanku w panice wysiadła z tramwaju ciągnąc Ajkę za rękaw.

- Mówiłam ci - powiedziała kipiąc zrozumiałą złością -żebyś trzymała buzię na kłódkę. Czy ten z wąsami za nami nie lezie?

Przerażona i obolała dziewczynka, starając się jak najlżej stąpać chorą nogą, obejrzała się.

- Nie, pojechał dalej. Proszę pani, ja przecież nic złego nie powiedziałam, żadnego brzydkiego słowa...

Ale pani Fela nie miała ochoty na dyskusję.

264

- Nieważne. Patrz, teraz cały przystanek musimy iść piechotą. Dasz radę?

Ajka musiała jakoś kuśtykać, doszły więc w końcu do lekarza. Powiedział jak i z czego robić opatrunki,

kazał Ajce leżeć, spojrzął na nią, westchnął i nie wziął ani grosza. Za to zaklął obie panie na wszelkie świętości i kazał im przysiąc, że nikomu nie powiedzą o tej wizycie. Był to miły człowiek, ale jego prośby na nic się zdały, po wyjściu z gabinetu pani Fela napatoczyła się prosto na Mieciową, siedzącą w poczekalni i kaszlącą jak umierający gruźlik. No cóż, nie było w tym nic dziwnego, pogoda była podła, a lekarz był lekarzem rodzinnym, odwiedzanym w czasie każdej choroby.

- O, Felcia! - *wykasłała Mieciowa - Chora jesteś?

Ajka nie widziała nigdy matki chrzestnej Marzenki i

znowu zapomniała o konieczności milczenia. Była też w tej chwili bez beretu i jej czarne loki lśniły w świetle lampy.

- Nie, to ja się oparzyłam - wyjaśniła.

- To córeczka sąsiadki - pospieszyła z tłumaczeniem Felicja - ona, to znaczy ta Kwiatkowska, też się przeziębiła, a tymczasem dziecko nadepnęło na czajnik i...

- Co ty bredzisz, jak to „nadepnęło na czajnik” - zdumiała się jej przyjaciółka - co ty, mała, chodzisz po blasze, czy jak?

Ajka zorientowała się, że coś jest nie w porządku, stała więc tylko i wlepiła zielone, wielkie oczy z ciężkimi powiekami w nieznaną.

Mieciowa przyglądała jej się uważnie.

- Fela, ty jesteś pewna, że to dziecko jest córką sąsiadki? A sąsiadkę od dawna znasz?

- Całe życie, to znaczy nie, od czasu, kiedy wyszłam za mąż. A Alinkę trzymałam do chrztu.

- To dlaczego ja nic o tym nie wiem?

- Przecież ci mówiłam, że mam chrzestną córkę.

265

- A jakże. W Krakowie. Ty coś kręcisz, Fela, a ja tego nie lubię. Powiedz tej Kwiatkowskiej, żeby odesłała tę szczeniarkę za mury, gdzie jej miejsce, bo się doczeka nieszczęścia. Gdybym się nie bała o ciebie, to zaraz bym tu zrobiła porządek...

- Następny proszę - zawołał lekarz i Mieciowa, sycząc i parskając, poszła do gabinetu, a przerażona Felicja zaciągnęła Ajkę do domu. Po czym, czemu trudno się było dziwić, dała nam trzydniowy termin na wyprowadzkę.

- Mieciowa po tych trzech dniach wyzdrowieje i będzie nieszczęście - powiedziała - dam znać, komu trzeba, że u mnie jesteście spalone. Muszę też uprzedzić biedną Kwiatkowską, że ją wkopałam, niech powie Mieciowej, że was wyrzuciła na zбитy łeb. Nic się nikomu nie stanie. Jak Mieciowa się

przekona, że was nie ma, to nikomu już nic nie powie. Ta Kwiatkowska, chociaż złoto, nie kobieta, chyba mnie zabije, sama nie wiem, dlaczego mi, nieszczęsna, przyszła do głowy. No, a jeśli chodzi o was, to nawet mam pomysł, ale to musi być uzgodnione.

Nie wiem, jakimi kanałami sprawa doszła do Chaima i jak nadeszła odpowiedź, w każdym razie trzy dni zamieniły się w pięć, bo pomimo maści doktora noga Ajki zaczęła się tak paprać, że nie mogła na nią stąpnąć. Po pięciu dobach ból trochę zelżał. Na szczęście Mieciowa leżała z grypą, nigdzie na nas nie doniosła, a szóstego dnia zajechała ryk-sza i zasłonięte na wszelki wypadek żałobnymi welonami, które niestety, łatwo można było wtedy pożyczyć, pojechaliśmy na nowe mieszkanie.

Jak się okazało, było to mieszkanie matki Waldka, pani Rapierskiej.

* * *

Maria jeszcze przypomniała sobie, że tę bliźnię po oparzeniu Ajki ma do dziś i że lubi ją pokazywać przy każdej okazji. W przeciwieństwie do siostry, która nie chciała

266

dotychczas wspominać tamtych okropności i przed historią z gęsią szyją nawet starała się o tym nie myśleć, Ajka zamęczała swoimi przeżyciami wojennymi po kolei wszystkich trzech mężów łącznie ze Szmulkim, który i tak przeżył tyle, że nie było mu przyjemnie wysłuchiwać makabrycznych opowieści żony. Maria zwracała Ajce milion razy uwagę:

- Uspokój się, po co opowiadasz ekspedientce w sklepie, że byłeś w obozie?
- A co - srożyła się siostra - mam się tego wstydzić?
- Kto mówi o wstydzie? Ale ją to nic nie obchodzi.
- Jak wszyscy weźmiemy wodę w usta, to ludzie zapomną...
- I dobrze.
- Dobrze? Chcesz, żeby się to powtórzyło?
- A myślisz, że jak powiesz ekspedientce, to się nie powtórzy?
- Jak będziemy krzyczeć o tym na cały świat, to się nie powtórzy.
- Cały świat ma nas w dupie, nasze przeżycia, getta, obozy... - podsumowała z goryczą Maria - są tacy, którzy w ogóle w to wszystko nie wierzą. A poza tym uważają wojnę za historię. Oświęcim, Belsen-Bergen, Majdanek, Powstanie, Pawiak, to dla nich wojny punickie, Grunwald. Historia starożytna.
- No i właśnie dlatego trzeba mówić.
- To po co wierciłeś tym dziurę w brzuchu akurat Szrau-Ikowi? On to wie i bez ciebie.

- Chyba można się pozalić własnemu mężowi!
- A jakże, można, tylko że on woli takie, które się nie żalą.
- Daj mi spokój - powiedziała wtedy Ajka - każdy żyje po swojemu. Ty Szymkowi nie opowiadasz o niczym, uważam, że źle robisz, a ja Lusi opowiadam i dobrze...
- I krzyczała ci po nocach.

267

- Ale wie.

Rzeczywiście, Lusia o wszystkim dowiedziała się tak dokładnie, że przy pierwszej okazji wyjechała do Izraela, gdzie był już jej ojciec. Szmulek emigrował po rozwodzie z Ajką i ożenił się z piękną dziewczyną, która niczego nie przeżyła, niczego nie widziała, a do Izraela przyjechała ze Szwajcarii. Lea była radosnym, pogodnym stworzeniem i Ajka nie mogła zrozumieć, co zobaczyła w o wiele starszym i raczej ponurym Szmulku. Wiadomość o tym, że Lusia nie wraca, że wychodzi za męża za Jakuba i zostaje na zawsze w Tel-Awiiwie, odchorowała. Marii było jej żal.

- Jedź też - radziła - zamieszkas przy młodych, będziesz z rodziną...
- Za późno - rozpaczła Ajka - nie znam języka, nie mam tam przyjaciół, mieszkania, emerytury... A Jakub...

No tak, to była przeszkoda. Po ślubie Lusia z Jakubem przyjechali na miesiąc do matki, a wyjechali po dziesięciu dniach. Ajka zapalała do zięcia zupełnie nieuzasadnioną nienawiścią, nic jej się nie podobało, słodkim głosem sączyła złośliwości. Jakub nie pozostawał teściowej dłużny, tak więc po kilku dniach Lusia wymyśliła pilny telefon z Tel-Awiiwu. Powiedziała, że ciotka Jakuba, która go wychowywała, dostała zawału, wobec czego muszą natychmiast wracać. Po czym wylecieli, aby pielęgnować zdrową jak koń ciotkę Esterę. Sprawa po paru latach na tyle przycichła, że Ajka przyjęła przed paroma tygodniami zaproszenie córki. Nie widziała jeszcze swojej wnuczki nazwanej na cześć Marii Miriam i teraz była w Izraelu.

No właśnie, list! Przecież Szymon zostawił list od Ajki!

Maria niecierpliwie rozerwała kopertę.

Rozdział XXX

„Droga moja Mireczko.

Byłam bardzo niespokojna, bo dzwoniłam do ciebie i dzwoniłam i nikt nie odpowiadał, dopiero wczoraj dostałam krótki list od Szymka, w którym pisze, że po małym wypadku siedzisz w Ciechocinku. Oczywiście zapomniał mi podać adres tego sanatorium, więc piszę do Warszawy, może albo on ci ten list prześle, albo zawiezie, nie wiem. Bardzo się zmartwiłam tym wypadkiem, podobno miałaś małe wstrząśnienie mózgu, Szymek pisze, że chodzisz jakaś zamyślona i w ogóle, może to skleroza? Żartuję. Mam nadzieję, że

ci to minie. Mogłabyś sama napisać, ale wiem, że nienawidzisz pisania listów, ale może zrób wyjątek, albo zatelefonuj, ja ci zwrócę forszę, chociaż nie wiem z czego, bo tu wydaję majątek na różne prezenty, bo Micia, tak nazywają tu małą Miriam, Micia, też pomysł, no więc chodzi ubrana jak żebraczka, a Lusia mówi, że takie frędzle są modne, pamiętasz twoje palto z frędzlami z obozu? Nienawidzę frędzli, przypominają mi to wszystko, tę nędzę, ten głód. No więc chodzę po sklepach i kupuję Mici ubranka na teraz i na wyrost, a Lusia, masz pojęcie, zamiast mi podziękować, to się denerwuje, że po co, że Jakuba stać na ubranie, że dziury w dżinsach są modne i że wszyscy takie noszą. W głowie mi się to nie mieści, rzeczywiście Dawidek Szmulka, chłopak już dziesięcioletni, też ma dziury w spodniach, że też Lea na to pozwala! Stary, siwy dziad, a ma

269

takiego małego syna, Chanina by się w grobie przewróciła, gdyby takie rzeczy widziała. Chociaż, jak sobie przypominam, ona nie była cnotką, niech spoczywa w spokoju.

Byłoby mi tu dobrze, ale Jakub, wiesz, jaki jest Jakub, patrzy na mnie wilkiem. Oni tu ciągle oglądają telewizję, a ostatnio, kiedy opowiadałam o tym, jak nas zadenuncjowali i musieliśmy uciekać od pani Haliny, to Jakub zaczął oglądać jakiś idiotyczny mecz i oboje z Lusią tak się podniecali, jakby od tego zależały losy świata. Poza tym Lusia chce oddać Micię do żłobka, ja tego nie przeżyję, więc zaproponowałam, że zostanę jeszcze parę miesięcy i się nią zajmę, chociaż nie mam siły do małych dzieci, ale lepiej, żebym ja cierpiała, niż dziecko. Ale Lusia na to, że mowy nie ma, że to nie na moje lata, a jak się upierałam, to Jakub powiedział coś takiego, no coś takiego, myślałam, że źle zrozumiałam, bo porozumiewam się z nim oczywiście po angielsku, więc myślałam, że nie zrozumiałam, ale zrozumiałam, on powiedział, że nie pozwoli, żebym Mici zamroczyła duszę. Czy może zaciemniła, czy zatruła, coś takiego. Mi-reczko, tak mi się zrobiło, jakby mnie ktoś spoliczkował, dlaczego on tak mówi? Czy ja Lusi zrobiłam jakąś krzywdę? Ostatecznie to, że bała się zostać w Europie, że bała się wojny, Niemców, antysemityzmu, czy to nie wyszło temu smarkaczowi na dobre? Przecież inaczej by jej nie poznał? Tylko sobie zrobiłam krzywdę, bo straciłam córkę, a ona tu teraz też ma powody do obaw, może nie?

Tyle mojego, że to słodkie dziecko, ta Micia mnie kocha. Ale jak, ciągle się przytula, tylko nie mogę z nią rozmawiać, bo po jakiemu? Lusia nauczyła ją kilku słów po polsku - „babcia, kochana, lubi, daj, mama, tata”. A ja nauczyłam się kilku słów po hebrajsku, ale to taki trudny język, że nigdy w życiu bym go nie opanowała, a ty mi sugerujesz żebym tu została! Po co? Żeby wyjść na niemowę? Żeby patrzeć na perkaty nos tego Jakuba? Coś podobnego, żeby

270

porządny Izraelita miał zadarty nos, koniec świata! Albo żeby spotykać się ze Szmulkiem i z tą jego ćwierkającą żonką? Powiem ci na ucho, że wydaje mi się, że Szmulek też ma już jej po uszy. Bez przerwy go gdzieś ciągnie, a to do kina, a to do znajomych, a to na długi spacer, nad morze, żeby popływać, a Szmul wolałby położyć się na tapczanie i poczytać. No cóż, latka nie te, trzeba było nie żenić się z taką podjrąwką. Raz nawet dał mi do zrozumienia, że lepiej mu było ze mną. No pewnie, obiadki, kolacyjki, koszule mu prasowałam, wszystko w domu robiłam i spokój też miał. W życiu na żadną wywiadówkę do Lusi nie poszedł, a teraz udaje oddanego ojca, jak ona już jest dorosła i ma go tam, gdzie mnie, nie chcę

się wyrażać.

Tak więc myślę, że już niedługo wrócę.

Kochana moja Mireczko, znasz mnie i wiesz, że czy tu, czy u nas, z Lusią, czy bez niej, ze Szulkiem, z Mikołajem, czy z Bohdanem, czy w samotności - nigdy nie będzie mi dobrze i zawsze będę żyła w przeciągu, wśród otwartych ścian.

Całuję cię mocno, twoja Ajka"

Maria z westchnieniem odłożyła list. Z całej gadaniny siostry, tylko ostatnie zdanie było prawdziwe. Dla kogoś takiego jak Ajka po prostu nie było miejsca na ziemi...

Maria odłożyła list do płytkiej szafki w korytarzu. Szafki, która zawsze przypominała jej kryjówkę u pani Rapierskiej. Jak to się właściwie stało, że załatwiono im kryjówkę u rodziny pani Feli, to chyba nie było bezpieczne? Na dodatek musiał do pani Haliny iść sam Henryk, bo łączniczka, która te sprawy załatwiała, ciągle leżała w szpitalu ze złamaną nogą, a drugą, Iwonę, złapali Niemcy i siedziała na Pawiaku...

271

* * *

Z tego, co mówiła potem pani Halina, domyśliłam się, że był u niej Heniek. Nie wiem, jak to się stało, że skierowano nas do krewnej pani Feli, prawdopodobnie cała ta rodzina współpracowała z Henrykiem, była w konspiracji. Może nie było innej możliwości? No tak, znalazłyśmy się na ulicy prawie z dnia na dzień, może nawet sama pani Fela zasugerowała tamto mieszkanie? Na pani Halinie można było polegać, poza tym była także w ciężkiej sytuacji, jej mąż, dziecienniały staruszek, leżał w łóżku i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Poza tym lojalność pani Haliny była sprawdzona, już od paru miesięcy mieszkał u niej uciekinier z getta, niejaki pan Mirosław, podejrzewałam, że tak naprawdę nazywał się Mojżesz, szkoda, że musiał zmienić to piękne imię. Okropnie bałyśmy się wszyscy Waldka, mama o mało się nie rozpląkała, kiedy okazało się, że pani Rapierska jest jego matką, że będziemy razem mieszkać, że zdajemy się na łaskę i niełaskę tego łobuziaka. Wydawało nam się, że wystarczy jego kaprys, a przyprowadzi Niemców lub policję do domu. Myliłyśmy się całkowicie. Waldek, chociaż nieznośny, nienawidził okupantów z całego serca, był oburzony tym, co działo się w getcie, wiedział na co naraża się matka. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że mógłby kogokolwiek zadenuncjować. Przeciwnie, nie tylko pokazał nam kryjówkę za ścienną szafą, za którą, oddzielona dyktą była mała komórka, ale nawet zainstalował specjalnie dla nas małą, nocną lampkę, której zresztą i tak nie można było używać. W kryjówce mieliśmy się chować w razie czyjejś wizyty i żaden blask nie śmiał przeniknąć żadną szparą.

Ajka nienawidziła już wtedy ciasnych i ciemnych pomieszczeń.

272

- No i dlaczego musimy się znowu chować? - narzekała. - Przecież mamy papiery.

Waldek dokładnie wyjaśnił jej, gdzie sobie może wsadzić takie papiery i zakończył:

- Tylko mój stary, ten sklerotyk, idiota, da się nabrać na takie gównno. Patrzy na was i spoza tego bielma na oczach was nie widzi. A każdy jeden, co ma dobre oczy, nie da się naciąć, Alina, ani na twoją mordę, ani na mordę panny Marysi. Tylko mamunia jeszcze ujdzie w tłoku.
- Nie mów do mnie „Alina” - zaprotestowała Ajka, jakby to było istotne.
- A jak, może Salcia? - zaproponował z ironią, ale bez złości, chłopak.
- Dlaczego? NJe, nie Salcia, wszyscy mówią do mnie „Ajka”.
- A od czego to?
- Od... od Aliny, oczywiście - zorientowała się moja siostra.
- Bywa, dobrze, niech będzie „Ajka” - zgodził się Waldek.

Pomimo różnicy wieku jakoś dogadywali się ze sobą. Wydawało mi się, że Ajka polubiła tego łobuziaka. Raz nawet, ku mojemu zdziwieniu, wieczorem, kiedy leżałyśmy na tapczanie, szepnęła mi do ucha:

- Wiesz, mama tak nie lubi Waldka, a to jest bohater.
- Dlaczego?
- Nie mogę ci powiedzieć, bo przysięgam na swoje życie, że nie powiem, a on powiedział, że jak złamię przysięgę, to przyjdzie w nocy i utnie mi głowę. Co byś czuła, gdybyś się rano obudziła i zobaczyła, że przy tobie leżą oddzielnie ja, a osobno głowa?
- Nie byłabym zachwycona - odszepnęłam - ale nie bój się, Waldek nic ci nie obetnie.
- Obetnie, nie znasz go. To bohater!

273

Byłam przekonana, że bohaterstwo chłopca polega na przechwałkach. Mówić można wiele... Ale kiedy Ajka wróciła do tej sprawy, trochę się zaniepokoiłam.

- Wiesz - zwierzała mi się gorącym szeptem - on naprawdę... przez niego Niemcy nie będą mogli w razie czego uciec. Jak na przykład wejdą tu inne wojska, angielskie, czy francuskie, albo rosyjskie. To oni nie będą mogli zwiać. Albo jak napadną na nich nasi... to znaczy partyzanci. Będą jak te głupie dupki uziemieni na perłowo.

Poznałam język Waldka, ale nie rozumiałam o co chodzi.

- No, powiedz mi, Ajuniu. Ja się nie wygamam.
- Akurat - nawet po ciemku czułam, jak siostrzyczka wzrusza ramionami - wszyscy dorośli to durne idioty i mają Waldka za łobuza i gnoja, ale on jest najlepszy ze wszystkich, no nie, od Salka nie, ale tak, to od wszystkich. I od taty nie, i od Leona nie.

- A od Chaima?
- Pies z nim tańczył, z tym Chaimem, niech będzie zdrowy i wesoły.

Zabawne było to mieszanie się różnych naleciałości językowych, ale sprawa bohaterstwa Waldka zaczynała mnie niepokoić. Co też ten gówniarz wyprawia? Złapałam więc panią Halinę w rzadko zdarzającej się chwili kiedy była w kuchni względnie sama, gdyż jej, leżącego w łóżku męża, nie brałam pod uwagę jako słuchacza. Zresztą spał. Leżał za zasłonką i chrapał, pan Mirek poszedł do swego małego pokoiku, dawnej słuźbówki, a mama z Ajką były w naszym pokoju. Waldek poszedł do szkoły, więc w tak zwanym stołowym, gdzie oboje z panią Haliną spali, było pusto.

- Marysiu, nic nie wiem o żadnych takich wyczynach Waldeczka - uspokajała mnie gospodyni.
- Przecież on by pani nie powiedział.
- Waldek mi wszystko mówi - zaperzyła się jego matka.

274

- Naprawdę?
- No prawie. A właściwie o co ci chodzi, Marysiu?

Nie chciałam wsypywać Ajki.

- Słyszałam raz jak się chwalił, że dzięki jego sabotażowi - tak się właśnie wyraził - Niemców szlag trafi.
- Matko Boska - przestraszyła się nie na żarty pani Halina - Józefie Świąty!!! Co ten smarkacz wyprawia?!
- No właśnie...
- Nogi mu z dupy powyrywam, tylko mi tego brakowało!
- Niech pani to łagodnie załatwi - broniłam jednak chłopca - on ma najlepsze chęci. Nie rozumie...
- Już ja mu wytłumaczę! Sabotaż, mało mi was w domu, jeszcze jakiś ogon tu za sobą przywlecze! Albo go zabiją!

Ajka, która urat weszła do kuchni zwabiona zapachem topionej słoniny, spojrzała z ciekawością na panią

- Przecież Waldek nie ma ogona, co też pani mówi! A może on ma kupić psa?!
- Jakiego znowu psa?

Machnęłam ręką i zabrałam siostrę do mamy. Po godzinie z kuchni dobiegły mnie podniesione głosy, widocznie Waldzio wrócił ze szkoły.

- Co ty wyprawiasz, jakie sabotaże ci w głowie? - krzyczała matka chłopca. - Ja ci pokażę!! Życie ci obrzydło?!

Zaalarmowany pan Mirek wyszedł ze swojego pokoju.

- Co się dzieje?!

- Nie pana zaszary interes - darł się niegrzecznie, chociaż może i nie bez powodu Waldek - a mama skąd wie?! Ajka naskarzyła?

Pani Halina oprzytomniała i widocznie uznała, że niepotrzebna jej w domu wojna między dziećmi.

- Jaka Ajka, ktoś cię na ulicy widział!! Co robisz, pytam?

Boże!

Halę.

275

- Powinna mnie mama chwalić, a nie wrzeszczeć, jakby mamę osa ugryzła w dupsko! Odkręcam Szkopom części z samochodów, jak je zostawiają na ulicy. W razie czego będą jak sparaliżowani, żaden nie zwieje, chyba że na swoich śmierdzących kulasach! Życie narażam dla wspólnego dobra, a mama wrzeszczy!

Pani Halina pomimo wszystko złagodniała.

- Nie rób tego synku - zaczęła, ale pan Mirek był szybszy. Nawet nie wiedziałam, że może wpaść w taki szal.

- Smarkacz! - ryczał - Giewał! To nie wiesz, że matka życie naraża, ludzi ukrywa?!!! Chcesz, żebyśmy wszyscy przez ciebie wpadli?!!! Mało Żydów zginęło?!!!

Moja matka, przerażona, wpadła do kuchni.

- Sza! Panie Mirku, pan zwariował?! Oszalał?! Przez pana wpadniemy, a nie przez Waldka! Może panu dać tubę, bo jeszcze nie wszyscy w kamienicy słyszeli?! Myszuge, wariat!! Cicho!!!

Pani Halina złapała się za głowę i jak nieprzytomna piy-snęła na klatkę schodową, po czym zadzwoniła do drzwi sąsiadów, a potem zeszła piętro niżej i zapukała do obu mieszkań. Tylko w jednym z nich ktoś zapytał „kto tam”, potem słyszeliśmy trzask otwieranych drzwi, bardzo głośną prośbę o szklaneczkę mąki i kroki na schodach.

- No - sapnęła pani Halina - tylko ta głucha babcia była u Stasiów, a tak, to wszyscy w pracy. Na szczęście nad nami są same strychy. Bo jakby ktoś pana usłyszał, panie Mirku, to koniec, musielibyście się w minutę wynosić. Czy panu się na głowę rzuciło?!

- No, przepraszam, poniosło mnie - tłumaczył się bladej jak śmierć mężczyzna - całe życie miałem

takie ataki złości.

- Teraz nie jest „całe życie” - widziałam, że mama miałaby ochotę uderzyć naszego współlokatora - teraz trzeba nad sobą panować!

276

- Właśnie - wtrącił Waldek, zadowolony, że nie na niego tu się złością - mordę w kubek i nie bulgotać. O mało całego SS pan tu nie ściągnął.

- Z tobą też jeszcze pogadam - przypomniała sobie pani Halina - masz natychmiast z tym skończyć, słyszysz?

- Słyszę, nie jestem głuchy. Może masz rację, jak mam narażać Ajkę...

Nie wiem, nie jestem pewna, czy Waldek dotrzymał słowa. I w końcu to nie jego poczynania ściągnęły na nas nieszczęście. ..

;

Rozdział XXXI

Zdenerwowana i niewyspana Maria nakryła stół krajką, zaparzyła kawę, ułożyła na kupionej niedawno paterze słodycze. Kroki na schodach...nie, ktoś wszedł wyżej. Tupot., chyba ta Jane by tak nie tupała, to Piotrek. Cisza... I wreszcie dzwonek, tak, to Jane, zupełnie niepodobna do Chaima, kasztanowe, proste włosy, brązowe - a nie czarne -oczy.

- Witam, witam, panna Jane, prawda?

- Hej, yes, tak, to ja...

Jane jest speszona i wściekła na ojca. Bo czy wysłała się córkę na spotkanie z jakąś przedpotopową miłością? Znajoma, też coś, Jane nie jest głupia, nieraz słyszała, jak mama wypominała ojcu tę starą sympatię. Wcale nie jest ładna ta cała Maria, czy też Miriam, stara jak diabli, dwa podbródki, siwe włosy, grubawa. No, może kiedyś...

Maria wskazuje Jane krzesło, siadają, uśmiechają się, Maria czuje, jak zaczynają uwierać mostek, czy jak to się tam nazywa. Dostawka? Nieważne, przy tym kurczowym grymasie coś się zaczyna wpijać w dziąsło, o czym ma mówić z tą smarkulą? Jest jednak dużo młodsza od Szym-ka!

- Co słyszać - zaczyna więc błyskotliwie i ma ochotę sama sobie dać klapsa - tego... miło mi panią widzieć. A co u tatusia?

- Dziękuję, wszystko po staremu.

278

Co to znaczy, do cholery, „po staremu”, dla Marli wszystko, co dotyczy Heńka jest rewelacją, począwszy

od tego, że w ogóle żyje.

- A co u mamy?
- Dziękuję, OK.
- Może ciasteczko? Kawa?
- Proszę.

Maria nalewa kawę, ręka jej drży.

- Drogie dziecko - nie wytrzyma w końcu - może mi opowiesz o waszej rodzinie? Jestem wszystkim bardzo zainteresowana. Nie wiedziałam, że twój ojciec przeżył wojnę.
- A właśnie - ożywia się wreszcie Jane - tata też myślał, że pani jest nieżywa, jak to się po polsku mówi? Trup, nieboszczyk. I jak przeczytał tę gazetę, to o mało nie padł na serce. A mama wcale nie była zadowolona... e, tego, mam kłopoty z polskim, mama była zdziwiona.
- Nie widzę, żebyś miała kłopoty z językiem, mówisz wspaniale.
- Miło mi. Bo w domu mówiliśmy zawsze po polsku i ja, i mama, i Mary.
- Kto?
- Pani nie wie? Mam starszą siostrę, Mary.
- To was jest dwie?
- Dwie. Ona już dawno wyszła za mąż, jej chłopak zrobił dziecko i się pobrali.
- A pani?
- Ja nie jestem taka idiotka, od czego są prezerwatywy, no, nie każdy to lubi, ale jak nie lubi, to ja nie chcę. Jestem porządną dziewczyną, wie pani.
- Miło mi - mówi Maria, która znów ma uczucie jakiejś ciasnoty w głowie - a Chaim co robi?
- Chaim? A, tata, on się nazywa teraz Harry. No, jak to co, jest prawnikiem.

279

Oczywiście, Maria doskonale pamięta, że Chaim marzył o prawie, o sprawiedliwym prawie, chciał je tworzyć, zmieniać, poprawiać.

- I co, jest może sędzią?
- Nie, pracuje jako ten... no, doradca w firmie.

- W jakiej firmie?
- E tam... w takiej co produkuje rajstopy, pończochy, skarpetki. Nic wielkiego, ale dobrze płacą. Tata się kazał zapytać co z Ajką? Czy ona też żyje? Jaka jest?
- Żyje. No, jaka... zwyczajna.

Nieprawda, Maria dobrze wie, że Ajka nie jest zwyczajna,
że jest dziwna. Dziwaczna... Że jest jej źle...

◆ * ◆

Dziwactwa Ajki zaczęły się pojawiać już u pani Haliny, najpierw nikt nie zwracał na to uwagi, dziecko się bawiło, no cóż, niech się bawi. Dziewczynka drgała na odgłos kroków na schodach, przy każdym stuknięciu, przy każdym szeleście - no cóż, były ku temu powody. Ajka nie chciała już szyć ubranek dla lalek, siedziała w kącie i całymi dniami nadśluchiwała.

- Mirka - pytała mnie, zapominając, że jestem Marysią - a czy to boli, kiedy się umiera?
- Nie wiem - usiłowałam zbyć żartem to makabryczne pytanie - nigdy nie umierałam.
- A potem, jak już się nie żyje, to co?
- To się idzie do nieba - odpowiadałam, chociaż nie wierzyłam w żadne niebo ani piekło, w ogóle już prawie w nic nie wierzyłam.
- Albo do piekła?
- Owszem, do piekła pójdzie Hitler, ale nie ty.
- A ty? A mama?
- My się spotkamy w niebie.
- A jeśli tylko mnie zabiją, to co, to będę tam sama i będę musiała na was długo czekać?

280

- Nie zabiją cię.
- A jeśli...
- Nie, w niebie nie ma czekania - wymyśliłam - bo w niebie nie ma żadnego czasu. Jak ktoś nie żyje, to wszystko jest od razu, teraz.
- A ja myślałam, że jak się umiera, to się jest samemu, w ciemności...
- Nie jest się w żadnej ciemności, Ajuniu, przecież człowiek, który umarł, nie jest po prostu

niewidomy. Dla niego nie istnieje ani ciemność, ani samotność, ani tęsknota, ani oczekiwanie. Nie wiem, dlaczego zawsze mówi się o tej ciemności, tak wcale nie jest.

- Bo w niebie jest jasno?
- Tak, bardzo jasno.
- I jak umrę, nikt już nie będzie mnie mógł zabić?
- Nikt cię teraz też nie zabije, zobaczysz.

Rozmowa wróciła do początku, ale Ajka nie była przekonana.

- Ja i tak nie pójdę do nieba, bo zgrzeszyłam. Jak dziecko grzeszy i ksiądz nie da rozgrzeszenia, to nie będzie zbawione.

Poznałam od razu nauki pani Feli. Miała może jak najlepsze intencje, ale nie wiem, czy dziecko w położeniu Ajki trzeba było jeszcze dodatkowo straszyć.

- Przecież nic złego nie zrobiłaś, nawet nie masz okazji, żeby coś...
- Można grzeszyć myślą. A ja chciałam, żeby oni poumierali.
- Kto?
- Wszyscy Niemcy.

Nie miałam siły, żeby mówić z siostrą o niewinnych niemieckich dzieciach, o nieodpłacaniu złem na zło. Zdołałam z siebie wykrzesać tylko małą poprawkę.

- Masz na myśli faszystów, hitlerowców.

281

- Wszystko jedno.
- Daj jej spokój - burknął pan Mirek, który zawsze do wszystkiego się wtrącał - też sobie znalazłaś czas na obiektywizm. Niemcy to Niemcy, wszyscy są tacy sami.
- Właśnie - dodał Waldek - wszystkich trzeba by powystrzelać jak kaczki. Jeden wart drugiego.
- Dajcie dziecku żyć - powiedziała mama, tylko nie miała na myśli Ajki, mówiła o mnie - ma rację, nie można wszystkich sądzić tak samo, Niemcy też ludzie.
- Żartuje pani - nabzdyczył się pan Mirek, ale w tej chwili ktoś zapukał do drzwi i przestraszona pani Halina otworzyła szafę. Weszliśmy do niej, nawet Ajka, która już wtedy śmiertelnie bała się małych zamkniętych pomieszczeń, wiedziała, że nie ma sensu się opierać. Pani Ra-pierska zasunęła tylną ściankę zamykając nas w dawnej spiżarni, która miała chyba ze dwa metry kwadratowe, a potem zazgrzytał

kluczyk od drzwi szafy. Ustawiliśmy się w określonym z góry porządku, mama i pan Mirek byli oparci plecami o ściankę z dykty - jakby ktoś ją opukiwał, usłyszałby głuchy dźwięk, taki jakby za nią był mur. Taką przynajmniej mieliśmy nadzieję. Ja z Ajką siedziałyśmy na stołeczkach, lampka się nie paliła, było cicho i ciemno, Ajka drżała, oddychała tak ciężko jakby szła pod wysoką górę. Bałam się, że ten oddech słychać było za ścianką, ale nie mieliśmy rady, można było wymagać od Ajki wiele, ale nie tego, żeby przestała oddychać. Nie wiedzieliśmy nigdy, czy ten ktoś kto przyszedł, to był zwyczajny niezapowiedziany gość, czy może nasłano na nas policję lub Niemców. Kilka dni wcześniej byliśmy już pewni, że nas szukają, bo pani Halina otworzyła drzwi od szafy. Czekaliśmy na odgłos opukiwania, mama i pan Mirek przycisnęli plecy z całej siły do cienkiej dykty. Ale nie, potem się okazało, że przyjaciółka naszej gospodyni koniecznie chciała pożyczyć jakiś niebieski sweterek, aby mieć wzór do roboty na dru-

282

tach i nie można się było od niej odzepić. Właśnie po ten sweter sięgała pani Halina w pełni świadoma paniki, w jaką nas otworzenie szafy wprawiło. Poczucie było tylko to, że, jak stwierdziła, nie było nas absolutnie słychać, oddechu Ajki też nie.

Ajka po każdym takim pobycie w komórce stawała się coraz bardziej nerwowa; pewnego razu zobaczyłam jak zagląda pod łóżko, otwiera dwudrzwiową szafę pani Haliny, odsuwa firankę...

- Nie podchodź do okna - powtórzyłam po raz setny -a w ogóle, czego szukasz?
- Ich.
- Nie rozumiem.
- Czego nie»rozumiesz? Ich. Oni mogą się schować byle gdzie. A potem nagle wypadną i nas zabiorą.
- Kto?
- Co ty, Mir... Marysiu na głowę upadaś? Niemcy, policjanci, szmalcownicy. Oni, no. Waldek mi mówił, że są wszędzie, więc może za firanką też?
- Waldek nie to miał na myśli - powiedziałam bezradnie, jak mogłam przekonać siostrę, że jest bezpieczna?
- I jeszcze mówił, no, Waldek mówił, że są takie duchy-mściciele, które mszczą się na Żydach za zamordowanie Chrystusa i one mogą ze mnie wyssać krew.

Pani Halina aż poczerwieniała.

- Zamorduję gówniarza! - krzyknęła - Mało tego jest, jeszcze mu żarty w głowie.

I rzeczywiście, musiała mu potem porządnie natrzeć uszu, bo chłopak, autentycznie skruszony, wszedł do pokoju i przeprosił Ajkę. Co prawda, po swoim.

- Nie wiedziałem, że jesteś takim głupim dzieciu-chem, co się duchów boi - burknął - żartowałem. No, przepraszam, nie chciałem cię nastraszyć. Nie ma żadnych duchów i jak cię ktoś zastrzeli, to tylko żywy czło-

283

wiek, no. Już w porządku? Możemy zagrać w domino, chcesz?

Ajka chciała, ale nic nie było w porządku. W nocy zrywała się z płaczem, w dzień siedziała w kącie. Noga zagoiła się wspaniale, ale Ajka i tak nie mogła wychodzić, nikt z nas nie wychodził. Pani Halina za to wychodziła kilka razy dziennie, zakupy robiła ratami, bo bała się taszczyć za duże torby; ktoś mógłby się zorientować, że ma zbyt wielu domowników. Już i tak sąsiadka z parteru zobaczyła, jak rozsypała jej się siatka i wypadły z niej męskie kalesony. Kupiła je dla pana Mirka, który z getta wyszedł tak jak stał.

- A po co pani męskie gacie, pani Zygmuntowa? - zapytała.
- Sprzedawali, to wzięłam.
- Za duże dla Waldka.
- Będą dla męża,.
- A po co panu Zygmosiowi gacie. I tak leży jak kloc, o świecie nie wie.
- Bez obrazy, ale to nie pani sprawa - zdenerwowała się nasza gospodyni, a wśród sąsiadów gruchnęła wiadomość, że Zygmosiowa ma chłopca. Kochanka. I że dla niego kupuje bieliznę, ubranie i jedzenie. Ku naszej zgrozie w ciągu tygodnia zaglądały do pani Haliny prawie wszystkie sąsiadki, pewnie w nadziei, że owego gacha zobaczą. Za każdym razem, oczywiście, chowaliśmy się w komórce. Na szczęście ciekawe panie doszły do wniosku, że kochanek spotyka się z naszą gospodynią gdzie indziej i najazd się skończył. I tak dobrze, że nie wpadły na prawdziwy powód tych intymnych zakupów. Nie wiedziałyśmy z mamą, czy się śmiać, czy płakać, nie wyobrażałyśmy sobie zapracowanej, mizernej pani Haliny, w ramionach kochasia. Sam pomysł wydawał się absurdalny. Potem, kiedy zobaczyłam naszą gospody-

284

nię po wojnie, wyświeżoną, uczesaną i spokojną, zauważyłam, że jest bardzo ładna. Nie ja jedna, bo pani Halina, pochowawszy w czterdziestym piątym roku męża, wyszła za pewnego chirurga i odmłodziła o dwadzieścia lat.

Wtedy jednak nawet Ajkę bawiły te plotki, a rzadko się zdarzało, aby ją cokolwiek bawiło. Zadowolone byłyśmy, kiedy Waldek podsunął jej do czytania przedwojenne roczniki czasopism.

- Zobacz, na tej stronie zawsze są kawały - pokazywał - a to jest powieść w odcinkach. A na tej stronie są listy od czytelników. Lubisz wiersze? Też są. No, masz.

Ajkę to wciągnęło, mnie zresztą też, męczące było tylko odpowiadanie ya tysiące pytań siostry.

- A co to znaczy „opera”? A to, co to jest?
- Wachlarz.
- Po co?
- Jak komuś jest za gorąco, albo duszno, to się wachluje.

Ajka przyjęła tę wiadomość z rzadko okazywanym entuzjazmem.

- Zrobię takie z papieru, w komórcie będzie się można powachlować. A te panie co je trzymają, te w balowych sukniach, też musiały siedzieć w komórkach, żeby ich nie zabili? To Żydówki?
- Co ci do głowy przyszło, w jakich komórkach?!
- To po co im wachlarze?

* * *

;

Jak Maria mogła o tym wszystkim opowiedzieć tej roześmianej, niebrzydkiej dziewczynie, która jest - nie do wia-iy - córką Heńka? Harry'ego, można się zgubić w tych wszystkich imionach, w tych wszystkich losach, powiązaniach rodzinnych, wspomnieniach...

285

Jane kręci się na krześle, potwornie nudna jest ta baba,

- 0 co tato kazał jeszcze zapytać? Oczywiście, o tę matkę, zaraz, o panią Rose.
- Tata jest jeszcze ciekawy, co się stało z pani matką, panią Rose, tak?
- Zginęła w czasie wojny - nie, Maria nie będzie opowiadać tej dziewczynie żadnych takich historii, dobrze, że nie trafiła na Ajkę, ta by jej opowiedziała wszystko ze szczegółami, Jane by spać po nocach nie mogła, ciekawe, czy Chaim o czymś mówił córkom.
- Zginęła - zmartwiła się pocziwie Jane - no tak, tatuś mówił, że tu się działy bardzo przykre rzeczy, że...
- Jakie?! - słowo „przykre" wydaje się Marii zupełnie nieadekwatne do wojennego horroru.
- No, niemiłe. Podobno nawet tu ludzi zabijali za byle co.
- Nie za byle co - nie wytrzymuje Maria - tylko za nic.
- Naprawdę? - dziwi się dosyć obojętnie Jane i Maria już wie, że ani Heniek, ani jego żona niczego córkom nie mówili.

- A tatuś, - zaczyna znowu z pewnym wysiłkiem - tatuś się nie wybiera do Polski?
- No właśnie, gdzie ja mam głowę, przecież się wybiera! Mama nie może latać samolotem i dlatego nie przyleciała na pogrzeb wujka, ale tata może i powiedział... to znaczy nie powiedział...ojej, no, ja mam list. O!

Jane wyciąga elegancką kopertę, Marii zamiera serce, tak, to jest charakter pisma Chaima, mój Boże, MÓJ BOŻE!!! Nie do wiary, więc to prawda, on żyje! Na łożu śmierci Maria poznałaby to pismo: „n” takie samo jak „u”, „k”, którego kreska nie wychodzi poza górną linię, „j” nie zakręcone u dołu i duże „M” o zaokrąglonych w dół liniach, tak, że gdyby je zamknąć, z litery zrobiłoby się serduszko.

1 właśnie takim serduszkem kiedyś Chaim zaczynał imię „Miriam”...Nie, teraz tego nie zrobił.

286

Jane widzi niecierpliwość Marii.

- To ja już pójdę - mówi - a pani do mnie zatelefonuje, Dobra?
- Oczywiście - mówi Maria. I za dziewczyną zamykają się drzwi.

;

Rozdział XXXII

„Droga Mireczko.

Jestem tak wstrząśnięty wiadomością o Tobie, że już trzeci dzień nie śpię, łączę po nocach, co niesłuchanie denerwuje Barbarę. Nie wiem, czy wiesz, że tak nazywa się moja żona. A może już wtedy o niej coś wiedziałś. Jak to się losy plotą, żyjesz, to cud, czemu Leon nie dał mi znać, przecież zostawiłem na starym mieszkaniu telefon mojej kuzynki, Ruty, do której zjechaliśmy po przyjeździe do Stanów?! A ty, tobie przecież Leon musiał powiedzieć, że żyję, czemu się nie odezwałś, może miałś mi za złe, że ożeniłem się z Barbarą, ale przecież myślałem, że ciebie już nie ma? A może Leon tobie też nie powiedział, że mnie spotkał, wydaje się to mało prawdopodobne, ale cóż... Gdzie się podziała nasza miłość, zginęła w ruinach getta, spaliła się w płomieniach, rozsypała się w pył. Ale jednak, gdy myślę o Tobie, Miriam moja, to serce mi drży.

Ja tu mam dobre stanowisko, pracuję w firmie, jestem doradcą prawnym i stać mnie na wszystko, co konieczne, domek z basenikiem, samochody, dobre uczelnie dla córek, służącą dla Basi. A mimo to, teraz, kiedy wiem, że żyjesz, droga moja, marzę, aby cię zobaczyć i jeśli pozwolisz, przyjadę. Ręce całuję, miła moja.

288

Twój przyjaciel Chaim”

Maria przeczytała list raz i nie uwierzyła własnym oczom. Na pewno coś przepuściła, czegoś się nie

doczytała, przecież jej Heniek był inteligentny i subtelny, miał takt, był delikatny, czytany... Nie, to niemożliwe, „basenik”, „miłość spalona w płomieniach”, po prostu zgroza, czy ten człowiek stracił poczucie przyzwoitości, co za banały, jakie to wszystko płytkie! To ma być Chaim, ten facet od skarpetek i samochodów w liczbie mnogiej? I podpis „twój przyjaciel”, no pewnie, „przyjaciel”, wszystko można sprowadzić do takich określeń.

Marię rozboleła głowa. Odłożyła list, a wspomnienia znowu zaczęły ją osaczać. Nie chciała tego, starała się przed tym bronić od pierwszego dnia, od tej idiotycznej gęsiej szyi. Jak to się stało, że akurat w takim okresie zmartwychwstał Heniek, Heniek, o którym teraz już w ogóle nie wiadomo było, co myśleć? Ciekawe, co by powiedziała Ajka. Chociaż to, co myśli, czy robi Ajka nie jest godne naśladowania. Maria nie chciała upodobnić się do siostry, zawsze wystraszonej, trzęsącej się o wszystko i wszystkich, zamęczającej tą troską kolejnych mężów, córkę, zięcia, wnuczkę.

Właśnie teraz, po przeczytaniu tego niewiarygodnego, płaskiego listu, Maria musiała opanować się, żeby tak, jak Ajka, nie wpaść w histerię, nie wybuchnąć śmiechem lub płaczem. Całe życie starała się być osobą zrównoważoną, czy może raczej udawać, że przyjmuje różne przeciwności losu z uśmiechem. Nie chciała, tak jak Ajka, poddać się uczuciom, nie chciała mieć ciągłej świadomości, że życie jest kruche i ulotne, że można wyjść i nie wrócić, że spóźnienie oznacza śmierć pod kołami tramwaju, starała się nie wracać myślami do tamtych czasów, nie patrzeć na wszystko z perspektywy obozu, czy getta, nie oceniać ludzi tamtymi, ekstremalnymi kategoriami. Więc teraz też nie może załamywać się po jednym niemądrym liście, nie może skreślać Chaima dlatego, że w takiej sytuacji nie umiał

289

się wystawić. Przecież myślał, że ona, Maria, wyszła za Leona wiedząc, że Heniek żyje! Chyba miał ją za ostatnią świnię, nie odzywała się, Boże, ten Leon to bydlę, jak on mógł?

Maria podeszła do szafki i nalała sobie pełen kieliszek, po czym wypita alkohol jednym haustem. Aż nią zatrzęśło, a kiedy wyobraziła sobie przerażenie Ruty na widok tak pitego koniaku, zachciało jej się śmiać.

Widocznie istnieje jednak telepatia, bo właśnie w tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Oczywiście, Ruta, Maria milion razy ją prosiła, żeby zapowiadała się telefonicznie, ale nic nie pomagało.

- Jesteś - rzuciła jej się na szyję - nareszcie!
- Skąd wiesz, że...
- Dzwoniłam do Szymona. Co za rewelacje mi opowiedział! Chaim żyje!
- No, żyje.
- A Leon umarł jak na zamówienie - wykazała się taktem koleżanka - teraz będziesz mogła wyjść wreszcie za Heńka. Och, jej, zupełnie jak w powieści.
- Siadaj - burknęła Maria - i dowiedz się, że on ma żonę. Myślał, że zginęłam.

- Może umrze...
- Nie wstyd ci, taka jesteś pobożna, a ludziom życzysz śmierci!
- Wcale jej nie życzę, ale wszystko może się zdarzyć. To co, już cię pewnie Gabriel nie interesuje?

„Tu leży pies pogrzebany - pomyślała Maria i spojrzała z niesmakiem na Rutę - po trupach chce złapać tego nieszczęsnego Gabriela." Jej złość chyba udzieliła się Biysio-wi, bo nagle wylazł spod fotela, gdzie Maria w złudnej nadziei, że nie wpakuje się jej do tóżka, urządziła mu postanie. Warknął i złapał Rutę za pantofel. Kobieta zerwała się z krzesła.

290

- A to co znowu za bydlę!? - wrzasnęła ze zgrozą.
- Powinnaś go pokochać - stwierdziła zgryźliwie Maria - nazwałam go na cześć kogoś, kogo bardzo lubisz.
- ?
- No, na cześć Gabriela.
- Psa nazwałaś Gabrielem, odbiło ci?
- Nie, to Bryś. Rozumiesz, od Gabrysia.
- Gdzie go kupiłaś?
- A kto by kupił takiego kundla. Przyplątał się w Ciechocinku. Gabriel zresztą też.
- Co też?
- Przyplątał się w Ciechocinku.
- Pojechał za tobą? - zdenerwowała się Ruta. - No wiesz, nie zależy ci, a uwodzisz go jak jakaś... jak jakaś...
- No, proszę, skończ, to mi nawet pochlebia, w moim wieku!
- Już ty wiesz, jak kto! Muszę ci powiedzieć, że flaki mi się przewracają, kiedy na ciebie patrzę - wybuchnęła Ruta - stara baba jak cholera, za przeproszeniem, a uwodzi mężczyzn. Zawsze taka byłaś, za Leona też wyszłaś, chociaż kochałaś Chaima!
- Przecież on nie żył! -żył!
- Ale ja nie wiedziałam! Zresztą on też się ożenił, czego się czepiasz?
- Ożenił się, bo ty nie żyłaś, miał prawo!

- A ja nie?!
- Nie, bo on żył!
- Idiotka, a ty co, trupowi robisz teraz awanturę nie wiadomo o co? Właściwie wiadomo, o Gabriela, może nie? To żebyś widziała, że on i tak ciebie nie chce. Nie podobasz mu się. Dotarło?
- Gadanie - nie poddawała się Ruta - gdybyś ty nie mąciła mu w głowie...

291

- Sama masz zamącone w głowie. Przychodzisz tu i się czepiasz. Ja już i tak mam wszystkiego dosyć...
- Pewnie, że dosyć, tu Gabriel, tam Chaim! I jeszcze pies!
- wrzasnęła bez sensu Ruta i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Ale po chwili wróciła.
- Tego...- powiedziała - nie gniewaj się. Już taka jestem, no. To co, co z tym Heńkiem, opowiedz mi wszystko od początku.

Maria nie miała najmniejszej ochoty na zwierzenia, podała więc tylko Rucie kopertę, z której koleżanka z zachłannością wyłuskała białą kartkę papieru. Maria ze zdumieniem śledziła wyraz jej twarzy, najpierw rozrzewniony

- czy aby oczy Ruty nie zabłyśły od łez? - potem rozanie-lony, zmartwiony i pod koniec znów jakby rozjaśniony łzami.
- Mój Boże, co to za cudowny człowiek - westchnęła, składając kartkę. - I ty nigdy nie miałaś wyrzutów sumienia, że zdradziłaś go z Leonem?

◆ # *

Wtedy właściwie nie miałam wyrzutów sumienia. Powinnam była mieć, ale nie miałam. Okropnie się tylko bałam, że zaszłam z Leonem w ciążę, ale nie, pod tym względem wszystko było w porządku i nawet niewiele myślałam o tamtym gabinecie, o całej tej sprawie, a nawet - co dziwniejsze - o Leonie.

Nie miałyśmy od niego żadnych wiadomości, dobrze, że mama miała naszą część „skarbu” przy sobie, bo kontakt z Heńkiem też się urwał. Nie wiedziałyśmy, co się dzieje z ojcem. Okna mieszkania pani Haliny wychodziły na Wisłę, za Wisłą zaś, na wprost nas, były tereny getta. Czasem nasza gospodyni, a jeszcze częściej Waldek, opowiadali różne historie o Żydach uciekających na tę stronę, o tym ilu z nich zginęło

292

na miejscu, o jakiejś dziewczynce leżącej blisko murów na jezdni, może umierającej z głodu, może rannej, o dziewczynce, do której nikt nie podszedł, bo wszyscy bali się tak jawnie pomóc żydowskiemu dziecku. Dziewczynka kilka godzin płakała, coraz ciszej i ciszej, aż ucichła i wtedy ją, jak się wyraził Waldek, policja

„sprzątnęła”.

Nie wolno nam było podchodzić do okien, patrzyliśmy w stronę getta z głębi pokoju, widzieliśmy tylko niebo, wyglądało wszędzie tak samo. Co więcej, wyglądało tak samo jak przed wojną, co wydawało mi się dziwne i jakby przeciwne temu, co się działo, przeciwne też naturze.

Ajka przeglądała czasopisma i chyba właśnie, co było wyjątkiem, zaśmiała się z jakiegoś dowcipu, kiedy usłyszeliśmy syreny i prawie jednocześnie huk bomb.

- Ruskie bombardują! - zawołał Waldek. - Do piwnicy!

Byliśmy na to przygotowani, taka sytuacja była sto razy

omawiana, o żadnej piwnicy dla nas mowy być nie mogło. Nie istnieliśmy, nie było nas w tym mieszkaniu, nikt nie mógł się o nas dowiedzieć. Co więcej zdarzało się, że w czasie nalotu złodzieje okradali opuszczone mieszkania, więc musieliśmy się ukrywać i przed tymi szumowinami. Bomby padały, a my siedzieliśmy zamknięci w szafce za szafą i muszę przyznać, że bałam się jak nigdy w życiu. Bałam się, że bomba trafi w ten dom, że zasypią nas gruzy, że zginiemy ranne, w mękach, z urwanymi rękami i nogami i nikt nigdy nie znajdzie naszych ciał. Mama tuliła nas mocno do siebie, nie opierała się plecami o ściankę, chyba nie groziło nam opukiwanie szafy akurat teraz. Wszystkie trzy siedzieliśmy na podłodze, ja i Ajka zakrywałyśmy rękami głowy, co było kompletnie bezsensowne, pan Mirek głośno odmawiał jakieś modlitwy po hebrajsku. W przerwach między wybuchami mama usiłowała mu to wyperswadować.

- Jeszcze ktoś usłyszy!

293

- Chyba anioł śmierci może nas usłyszeć - oburzył się Mirek. - Tylko modlitwa może jeszcze pomóc.

- Niech pan się modli, ale cicho, bo jak nas szabrownik usłyszy, to dopiero zobaczy pan anioła śmierci.

Może to przekonało naszego współlokatora, bo przez chwilę szeptał coś cichutko, a potem nagle się rozplakał.

- Po co mi to, po co ja się męczę, pani Rysiu. Żonę mi wywieźli, synek nie żyje, mój Benio nie żyje, a ja tu się trzęsę o siebie samego. Czym prędzej umrę, tym lepiej.

Ale jednak widocznie nie chciał umierać, bo modlił się dalej, a może już tylko o śmierć?

Ja w każdym razie chciałam żyć. Także się modliłam, sama nie wiedziałam, do jakiego Boga, modliłam się za siebie, Ajkę, mamę i ojca, za Heńka, Leona, za wszystkich, którzy może jeszcze żyli. Modliłam się do Boga o to, żeby był, żeby spojrzął w dół, żeby zobaczył co się dzieje, żeby się ocknął i przerwał tę wojnę. Modliłam się, aby bomba nie uderzyła w nasz dom, chociaż wiedziałam, że taka modlitwa nie dotrze do Boga, bo modlą się o to ludzie w każdym domu, a gdzieś przecież bomba musi trafić i na pewno ktoś z tych modlących się dzisiaj zginie. A potem, kiedy pomyślałam o tej konieczności, przestawałam się

modlić, bo nie wyobrażałam sobie, aby dobry Bóg mógł do czegoś takiego dopuścić, żeby mógł się godzić na bombardowanie, getto, Pawiak, łapanki, obozy. Nie było się do kogo modlić, dlaczego zginął Józio, dlaczego ta dziewczynka leżała ranna na ulicy i nikt nie mógł jej pomóc? Jak to jest w ogóle możliwe?

Wycie syreny przyjmowaliśmy z niesłychaną ulgą, tak jakby koniec alarmu kończył niebezpieczeństwo. Pani Halina, taszcząc razem z Waldkiem męża po schodach, wracała do domu i wypuszczała nas z szafy, a pan Zygmunt za każdym razem witał nas machnięciem ręki, co było jedynym przebłyskiem świadomości, jaki w ogóle dawał się

294

u niego zauważyć. Szliśmy do swojego pokoju, pan Mirek chował się w swoim. Tego dnia, który najbardziej wrył mi się w pamięć, poszedł jednak za nami, usiadł przy stole i powiedział:

- Pani Rysiu, nie powinienem, ale pani... ale ja pani coś powiem.

Mama jakoś nie bardzo się zainteresowała,

- Tak, a może napiłby się pan herbaty? Z jabłek?

Do dziś pamiętam smak „herbaty” parzonej na jabłecznych skórkach. Ale pan Mirek tylko machnął ręką.

- Pani słucha, bo to ważne.

Jego ton widocznie zaniepokoił mamę. Usiadła i słuchała jego szeptu. Mówił tak cicho, że usłyszałam tylko słowa „wpadka”, „idźcie”, „Hotel Polski” i „wymiana”. Pomyślałam, że facetowi widocznie zupełnie się w głowie pomieszało, jeśli proponuje mamie, żeby na wypadek wsypy wynajęła pokój w jakimś hotelu. Ale potem, kiedy Ajka zasnęła, mama powiedziała mi, że jest takie miejsce, właśnie nazywa się „Hotel Polski” gdzie są Żydzi z obcym obywatelstwem, na przykład z urugwajskim i na razie Niemcy ich nie ruszają, bo chcą ich wymienić na swoich jeńców, czy innych Niemców. Więc żeby w razie czego poszła tam z Ajką. Dała mi część „skarbu” Leona.

- Po co mi to mówisz - zdenerwowałam się - razem tam pójdziemy, a w ogóle to zawracanie głowy, kto nas wymieni, masz obywatelstwo urugwajskie? Niepotrzebnie mi to dajesz!

- Daję, bo nie jestem nieśmiertelna - westchnęła mama - a obywatelstwa oczywiście nie mam. Ale chyba by nas nie wyrzucili na ulicę?

Nie wiedziałam. Nikt nie wiedział. Poza tym sądziłam, że jak nas złapią, to już nigdzie nie będziemy mogły iść, najwyżej do tego nieba, o które tak się dopytywała Ajka. Ale za młoda byłam na to, aby stracić wszelkie nadzieje, więc

295

tego dnia, po nalocie, spałam jakby trochę spokojniej. I jakby te moje nadzieje trochę się spełniały, przez pewien czas nie działo się nic strasznego, do pani Haliny nie przychodziły znajome, nalotów w tym okresie nie pamiętam, może ich nie było, a może pomieszały mi się dni. Już myślałam, że może jakoś uda

nam się doczekać końca wojny u pani Haliny, kiedy pewnego dnia poderwał nas na nogi krzyk Waldka: - Getto płonie!

Rozdział XXXIII

Nie wiem jak, ani w którym momencie zginął mój ojciec, może go zastrzelili? Mam nadzieję, że nie spalił się razem z tymi domami i że zdołał wyjść na ulicę. Nie wiedziałyśmy jak doszło do powstania, ale uważałam, że to ma sens, jak umierać, to z honorem, bo co innego pozostało?

Mama siedziała na krześle z twarzą w dłoniach, opłakiwała śmierć ojca, pani Helena usiłowała wmusić w nią jakiś rosół, Ajka szarpała matkę za rękaw.

- Mamo, co się dzieje? Mamo?

- Daj spokój - powiedziała szorstko i do dziś nie mogę sobie tego darować. - Nie zwracaj mamie głowy. Nie wiesz, co się dzieje? Tata się pali razem z gettem. To się dzieje, żebyś wiedziała...

W ciągu następnych dni pani Halina przynosiła jakieś wiadomości, jedna była bardziej przerażająca niż druga. Pan Mirek w swoim pokoju palił papierosa za papierosem, sąsiadka, która akurat przyszła pożyczyć dwie marchewki do zupy jarzynowej, wywąchała dym.

- Pani Zygmuśowa - pociągnęła ze świstem nosem - czy aby Waldzio nie wziął się za papierochy? Bo tu okropnie, za przeproszeniem, śmierdzi.

297

Pani Halinie skóra ścierpła. Waldek nie palił, zresztą nie było go w domu. Jedno, co przyszło jej na myśl, to wyznanie:

- Nie, to ja... tak mi już wszystko obrzydło, że zaczęłam kopcić.

- Nie szkoda pani pieniędzy?

- A szkoda, ma sąsiadka rację, muszę z tym skończyć.

Po tej rozmowie pan Mirek został zmuszony do rzucenia

papierosów, co było o tyle proste, że pani Halina ich po prostu nie kupowała.

- Może panu życie obrzydło - powiedziała - ale mnie i Waldusiowi nie. Żeby wpaść przez głupie papierosy, to już byłby szczyt wszystkiego.

Pan Mirek patrzył na nas szklanymi oczami.

- Nie ma Benia - powtarzał - nie ma nikogo. Tam jest moja siostra, tam była moja siostra, w tych płomieniach. Oj, pani Rysiu, tam była Rachela z małą Chajusią i one się palą, Estera się pali. Tam została moja rodzina, Benia już nie ma, żony nie ma. Ja nie chcę żyć, pani Rysiu...

Mama chyba też nie chciała żyć, ale miała dzieci, tylko to ją jeszcze jakoś mobilizowało. Nie miała siły pocieszać pana Mirka, gładziła tylko jego posiwiałą głowę i mówiła „No cicho, cicho...”, ale nie uspokoiła tym jego drżących rąk, nie ożywiła szklanych oczu.

A pewnego dnia pan Mirek znikł. Nasza gospodyni zawołała go, bo właśnie postawiła kartoflanekę na stole, ale nie odpowiadał. Ostatnio często nie odpowiadał, więc pani Halina poszła do jego pokoju i wróciła z krzykiem. Nie było go ani tam, ani w łazience, ani w schowku, nie było go w mieszkaniu.

- Boże miłosierny, Matko Boska, Józefie Święty - des-perowała pani Halina - złapią go, zaraz na pierwszym rogu go złapią, a on wyśpiewa, jemu już było wszystko jedno! To jest koniec, pani Rysiu, dziewczynki, wychodźcie, za chwilę tu przyjdą Niemcy, Matko Boska, to koniec! Koniec!

298

Rzeczywiście, miała chyba rację, już zbierałyśmy się do wyjścia, kiedy do mieszkania wpadł z krzykiem Waldek.

- Mamo! Mamo, tam za rogiem pan Mirek wpadł pod tramwaj!

Pani Halina złapała się za serce.

- Skąd wiesz?! Waldziu, skąd...

- No skąd, bo akurat wracałem jak się zrobił krzyk, że jakiś człowiek rzucił się na szyny. Przepchałem się przez tłumek, a tam stał motorniczy bladej jak trup i przysięgał na głowy swoich dzieci, że ten gość sam się rzucił, że to nie jego wina, tego motorniczego, a jeden facet mu basował, że tak, że sam widział, facet szedł spokojnie i nawet nie wyglądało na 1p, że chce przejść na drugą stronę, aż tu nagle biegiem skręcił i buch! na szyny. Trup na miejscu! Podszedłem bliżej i mam, to był pan Mirek, jak Boga kocham, niech ja skonom, nasz pan Mirek!

- Powiedziałaś, że go znasz?!

- No, mam, co ty, masz mnie za idiotę? Przecież jak go rozbiorą, to zobaczą, że Żyd. Co to, rozumu nie mam, czy jak?!

Wstyd powiedzieć, ale poczułyśmy ulgę. Biedny pan Mirek już nam nie zagrażał, nie musiałyśmy uciekać. Swoją drogą, pomyślałam, jaki to był porządny człowiek, mógł przecież skoczyć z naszego czwartego piętra na bruk, ale nie, popełnił samobójstwo tak, żeby nie można go było zlokalizować, żeby nikogo nie wsypać.

To samo powiedziała pani Halina, a kilka dni później, niespokojna, przyznała się mamie:

- Pani Rysiu, ja dałam na mszę za duszę Mirosława. Jak pani myśli, czy to dobrze? Może w waszej religii jest coś, co tego zabrania? Nie pomyślałam przedtem, a ksiądz mszę już odprawił.

Mama nie wiedziała jak to jest.

- Ale nie sądzę, pani Halu, żeby to był grzech. Przeciwnie, to dobrze, że tak czy inaczej, ktoś się za niego modlił. Bóg jest jeden.

Może rabin byłby innego zdania, nigdy o to nikogo nie pytałam, ale zgodziłam się wtedy z mamą. Żal nam było pana Mirka, może niepotrzebnie? On już nie miał po co żyć, nie miał siły żyć i wolał podzielić los swojej rodziny.

Jeśli to w ogóle było możliwe, w mieszkaniu zrobiło się jeszcze smutniej. Siedziałyśmy w nim jak w klatce i chyba wszyscy straciliśmy instynkt samozachowawczy, bo pewnego dnia pani Halina zapomniała zamknąć drzwi na zamek, a ja nie usłyszałam kroków sąsiadki i nie wybiegłam z kuchni, kiedy pani Karolina weszła.

- Co to pani Zygmsiowa drzwi nie zamyka? - zapytała - to niedobrze, łążą tacy różni i jeszcze... a, przepraszam, nie zauważyłam, ma pani wizytkę?

- Właśnie - tłumaczyła stanowczo zbyt nerwowo pani Halina - właśnie, znajoma przyszła. Córka mojej przyjaciółki. To Marysia, Marysiu...

- Dzień dobry pani - przywitałam sąsiadkę - ładna dziś pogoda.

- Komu ładna, a komu pada deszcz, przyszła pani i nie zauważyła, że się śpi? To ja nie będę przeszkadzać i tylko jedno powiem, pani Zygmsiowo, że za dużo gości to może niezdrowo mieć. I jeszcze, że powinna pani pomyśleć o innych ludziach z kamienicy.

- Nie rozumiem.

- Aaaale! Rozumie pani i panna Marysia, bez obrazy, też rozumie. Przyjdę kiedy indziej i uprzedzam...

Sąsiadka wyszła, a my zaczęłyśmy w popłochu zbierać się do ucieczki. Nic z tego, chyba po dziesięciu minutach policja zaczęła walić do drzwi, rzuciłyśmy się do kryjówek. Tym razem o ścianę oparłam się ja, pana Mirosława już przecież nie było.

Do mieszkania wpadło trzech policjantów, a ja z przerażeniem zauważyłam, że tylna ścianka szafy jest niedomknięta...

* * *

Maria otworzyła szeroko okno, powietrze w Warszawie pachniało - jeśli można użyć tego określenia - zupełnie inaczej niż w Ciechocinku. Po tym wczorajszym, męczącym dniu, Maria spała niespokojnie, śniła jej się jakieś dziwne rzeczy, śniła jej się - tak, teraz sobie przypomina - tamto rachityczne, smutne drzewko, ale siedziała pod nim nie z Chaimem, nawet nie z Leonem - to był ktoś obcy, jktoś groźny, Maria bardzo się bała. I co dalej? Nie, niczego innego nie dało się zapamiętać. Zresztą nieważne, trzeba teraz

zjeść śniadanie, wyprowadzić psa... ojej, codziennie trzeba będzie wyprowadzać psa. Maria spojrzała na ufną, śmieszoną mordę Brysia i nie wiadomo dlaczego akurat w tej chwili przypomniała sobie, że przecież musi na ten list Chaima odpowiedzieć, musi jakoś zareagować, musi zadzwonić do Jane. I co odpowiedzieć Heńkowi? Że powinien przyjechać? I co?

Jak to „i co”? I wszystko!!! Przecież o tym Maria marzyła przez całe życie. Żadnego innego mężczyzny nie kochała tak, jak Chaima, w ogóle żadnego mężczyzny nie kochała. Zawsze towarzyszyło jej jakieś „gdyby” - gdyby to nie był Leon, tylko Heniek... gdybym się całowała nie z Leonem, a z Chaimem... gdyby Heniek to wiedział, to by powiedział, Chaim by zrozumiał, Chaim by wiedział, Heniek by nigdy... Czasem Marii nawet wyrывało się coś takiego, Leon wtedy dostawał szału. „Przestań nas porównywać!” - krzyczał - „Wysłaś za mąż za mnie, a nie za Chaima!”. Maria w tej chwili uświadomiła sobie, że Leon chyba nigdy w tych kłótniach nie powiedział, że Chaim nie żyje, nie krzyknął

301

na przykład: „Heniek zginął”, może rzeczywiście nie chciał już kłamać, a do powiedzenia prawdy zabrakło mu odwagi. No dobrze, co było, to było, a teraz trzeba się zdecydować.

Ale minęło południe, zaczęło się ściemniać i Maria, wyrzuciwszy pięć wersji listu do Chaima, nadal nie wiedziała, czy go zaprosić, czy nie. Przeglądała teraz wyrzucone kartki, może jednak coś by się nadawało? „Drogi Heńka, nie wiedziałam, że żyjesz, bardzo się zdziwiłam, gdy Jane zatelefonowała i...”

Bzdury, „zdziwiłam się”, idiotyczne określenie. Zdziwić się można, kiedy się okazuje na przykład, że kartofle zdrożały, nie, to jest do niczego. Następna kartka:

„Drogi Harry, miło mi usłyszeć, że masz dwa samochody i że twoje marzenia o prawie się spełniły!” Fuij, ironia zupełnie nie na miejscu, człowiek odnajduje się po połowie wieku, a tu takie... Nie więc, następna kartka:

„Heńku miły, co za niespodzianka, jestem poruszona do głębi tym, że żyjesz, całe życie marzyłam o Tobie...” „Boże, chyba mi odbiło” - pomyślała Maria - „co za łzawa grafomania, nie mam szesnastu lat” i No i czwarta stroniczka zasmarowana imionami „Chaim”, „Heniek” i „Harry”. W gruncie rzeczy najbardziej sensowna, najlepiej oddająca uczucia Marii. Piątą kartkę Maria podarła na drobne strzępy, były to też jakieś wyznania, żale. To do niczego, najlepiej sprawę załatwić krótko i rzeczowo. Poza tym właściwie nie ma wyboru, przecież nie można Heńkowi zabronić przyjazdu. No więc:

„Drogi Chaimie.

Oczywiście, przyjeżdżaj, możesz się zatrzymać u mnie, albo w hotelu, jak wolisz. Chciałabym ci tylko jedno na razie wyjaśnić: nie wiedziałam, że żyjesz. Leon zmarł, więc

302

nie możemy mu już niczego zarzucić. Na pewno zrobił to z miłości do mnie.

Twoja córka jest urocza. Ja mam syna, Szymona i wnuczkę Justynkę. Ajka żyje, mama zginęła. O

wszystkim dokładnie pomówimy, kiedy przyjedziesz.

Podaję ci na dole strony mój warszawski adres i telefon.

Czekam na ciebie niecierpliwie.

Miriam"

Maria miała ochotę podrzeć i tę kartkę, zbyt rzeczową i suchą. Ale czuła, że na nic lepszego się nie zdobędzie, zatelefonowała więc do Jane i umówiła się z nią w kawiarence na pja^cu Bankowym.

„Przynajmniej zjem sobie coś dobrego” - pomyślała Maria, która nie miała na spotkanie z Jane, córką Barbary, najmniejszej ochoty.

Szła też na nie bez entuzjazmu i rzeczywiście było nudno i nieciekawie. Jane, która miała wyjechać już za parę dni, wzięła list do ojca i pożegnała się z byłą flamą taty z widoczną ulgą.

Tak więc Maria myślała, że dziewczyna już się więcej z nią nie skontaktuje i zdziwił ją jej telefon.

- Pani Maria? Tu Jane, mam dla pani nowinność.

- Co takiego? A, rozumiem.

Jane niechęć wymyśliła bardzo pożyteczny neologizm, łącząc wiadomość z nowinami i Maria chciała ją za to pochwalić, ale córka Heńka nie dała jej dojść do słowa.

- Pani Mario, tata dzwonił z Nowego Jorku i kazał sobie przeczytać pani list i ja mu dałam pani telefon i on będzie do pani zaraz dzwonił, to znaczy o szóstej równo, więc niech pani nie wychodzi z domu.

Marię ogarnęła panika. Boże, to się nie mieści w głowie! Chaim będzie dzwonił!

303

- To ja odkładam słuchawkę, bo jest za dwie szósta, hej!

- Dowi...- Jane przerwała połączenie, jest za dwie szósta, Boże! Dotychczas cała sprawa Heńka była trochę nierzeczywista, wiadomości, list, ta obca Jane... Ale głos?! Jeszcze tylko półtorej minuty, kilkadziesiąt sekund i Maria usłyszy głos prawdziwego Chaima, mój Boże, czy głos mu się też zmienił? Co Chaim powie tym głosem? Jeszcze minuta, nie, pół, może telefon się zepsuł? Maria podnosi słuchawkę, jest sygnał i w momencie, gdy ją odkłada, dźwięczy dzwonek.

- Słu... słucham?

- Miriam? To ja...

Nie, głos mu się wcale nie zmienił, to naprawdę Chaim.

Maria nie może mówić, zanosi się płaczem i myśli - „Co ja robię, przecież on będzie mnie uważał za idiotkę!”

- Żyjesz - mówi Heniek - żyjesz! A Leon mi powiedział, że cię zadenuncjowali, zabrali od pani Haliny, że to była ostatnia wiadomość, jaką o tobie miał... Miriam, Miriam, to naprawdę ty?

- To ja - płacze Maria - to ja. Przyjeżdżaj, Chaim, czekam na ciebie...

Rozdział XXXIV

Krzyki policjantów przenikały przez szafę, nie domkniętą ściankę z dykty, czułyśmy się nagie, odstonięte, złapane. Serce mi się rwało na kawałki, kiedy słyszałam spazmatyczny oddech siostrzyczki, kiedy czułam, jak tuli się do mojej łydki, obejmuje mnie kurczowo, cała się trzęsie. Bałam się, umierałam ze strachu o nią, o mamę, o siebie, wszyscy znikali z mojego życia, wszyscy, których kochałam, ojca nie było, może Heńka też już nie było, za chwilę nie będzie i nas. Jak można to sobie wyobrazić, że strzelą takiemu dziecku, takiej słodkiej Ajuni w głowę, oby od razu w głowę, żeby się tylko nie męczyła. Za chwilę wywloką nas z tej kryjówki, zabiją panią Halinę, Waldka, Boże, jak możesz do tego dopuszczać?

W mieszkaniu ktoś przewracał meble, ku mojemu zdumieniu przedarł się do nas głos chłopca:

- Co pan, panie władzo, jakie Żydki, co za Żydki, do mamy przyszła Marysia, a czarna, bo może jej mama puściła się z Murzynem? Pan patrzy, panie władzo, jak pan chce, to ojcu kołderkę podniosę, może się pitigrili w łóżeczku z jakąś Żydóweczką? No, tato, posuń się, pan władza chce zobaczyć, kogo tam masz? A może pod łóżeczkiem? Nie, tylko nocniczek ze szczynami, a może...

- Zamknij mordę - zdenerwował się policjant i chyba pchnął Waldka, bo pani Halina krzyknęła:

- On przecież nic...

Znowu coś huknęło, ktoś uchylił drzwi naszej szafy.

305

- A tu co pani ukrywa?

- Kiecki, panie władzo - usłyszałyśmy spanikowany głos - sweterki, gacie starego...

Pani Halina szybko zamknęła szafę, hałasy dochodziły teraz z korytarza, w końcu trzasnęły drzwi na klatkę schodową.

Nie znaleźli nas! Nie do wiary, dali się nabrać na wygłupy Waldka, na bajeczkę o Marysi. Siedziałyśmy w tej kryjówce, pani Halina chyba odczekiwała, aż policjanci wyjdą z kamienicy. Pomyślałam, że przecież mamy te papiery, że może trzeba było siedzieć w kuchni i nie chować się, tylko je pokazać, przecież po to są. Ale nikt z nas nie miał do nich zaufania, dopiero teraz, kiedy będziemy musiały uciekać, może dopiero teraz się przydadzą.

Pani Rapierska, blada i rozdygotana, wypuściła nas w końcu z kryjówki.

- Same rozumiecie - zaczęła trzęsącym się głosem - ja mam dziecko...musicie... O Boże, niedługo godzina policyjna, jak ja was... ale ta cholerna Karolina wyszła właśnie z domu, uciekajcie, dopóki nie wróci...

- Dobrze pani Halino - przytakiwała mama - rozumiemy... idziemy...

- Tam za rogiem jest apteka - mówiła gorączkowo nasza gospodyni - ten właściciel to porządny człowiek, mieszka piętro wyżej. Może was przenocuje. Zaraz godzina policyjna. Pani Rysiu, Ajuniu, Marysiu... Idźcie z Bogiem, Jezus, Maria... Idźcie.

Wybiegłyśmy z bramy, mama coś mówiła o tym Hotelu Polskim, ale to było za daleko, nie zdążyłybyśmy, nie miałyśmy wyjścia, tylko ten magister, ta apteka... Weszłyśmy wszystkie trzy, na szczęście nie było klientów, mama podeszła do lady.

- Pani sobie życzy? - mężczyzna był szpakowaty, miał miły głos, może...?

306

Mama schyliła się i coś zaszeptała, pokazywała nas temu panu, zaczęła wyciągać z torebki metryki...

Magister wybiegł zza lady, zamknął wejście do apteki, spuścił żaluzje.

- Już i tak zamykałem - powiedział bez entuzjazmu w głosie - więc co? Czego pani po mnie oczekuje? I dlaczego akurat ode mnie, kto was tu przysłał?!

- Nikt - zorientowała się mama - zobaczyłam pana przez szybę, tak pan miło wyglądał... No i już za późno było, żeby jechać do ciotki.

- Dziwnie panie wycelowały...

- Pociąg się spóźnił o dwie godziny.

- No, dobrze - zdecydował się farmaceuta - przenocuję was, ale tylko jedną noc. I pamiętajcie, pamiętaj, dziecko - zwrócił się do Ajki - nigdy was tu nie było. A jakby jednak., to, jak mówiła mama, przyjechałyście na chrzciny, pociąg się spóźnił...

- Spóźnił się... - przytaknęła Ajka, widocznie już trochę doszła do siebie po przeżyciach w kryjówce.

- Prześpijcie się w magazynie, przyniosę wam koce.

Magazyn pachniał oszałamiająco lekarskimi, od tych

chemicznych zapachów kręciło w nosie. Farmaceuta przyniósł także talerz z kanapkami i herbatę w termosie, westchnął i powiedział:

- Macie, jedzcie. Pewnie po tej dalekiej drodze jesteście głodne.

W jego głosie usłyszałam ni to ironię, ni to współczucie. Byłam pewna, że doskonale wie, kogo ukrywa,

wie i boi się, a jednak...

Ku własnemu zdziwieniu byłam rzeczywiście głodna, zjadłyśmy z Ajką kanapki, mama nie chciała, wypła tylko trochę herbaty.

- Mamo, zostawimy ci dwa kawałki z serem, przecież lubisz - namawiała Ajka.

307

- Nie mogę.

- Ale mamusiu...

- Ajuniu, nie zwracaj głowy, jak ci mówię, że nie mogę, to nie mogę.

Postawiłyśmy jednak talerzyk z chlebem na podłodze, skuliłyśmy się na postaniach, Ajka kręciła się i wierciła.

- Mamo, siusiu.

W takiej sytuacji, jakby się wydawało, sprawy o których wspomniała moja siostra, w ogóle nie powinny się liczyć. Pomimo to bardzo się liczyły. Mijały minuty, godziny, nie mogłyśmy zasnąć, farmaceuta nie pomyślał o wskazaniu nam jakiegoś miejsca, trudno mu się było dziwić, Ajka zaczęła popłakiwać, ja męczyłam się jak potępieniec, mama nic nie mówiła, ale też kręciła się na postaniu. W pewnej chwili usłyszaliśmy jakieś chrobotanie, może to nasz gospodarz sprawdzał, czy drzwi są zamknięte?

Ajka pierwsza zauważyła ruch przy talerzyku z chlebem.

- Mamo! - wrzasnęła - Szczur!!

- Cicho, sza! - przestraszyła się mama. - Chcesz nam sprowadzić Niemców na głowę?! Jaki szczur, tu są chemikalia, żaden szczur by się tu nie uchowal!

Może w teorii mama miała rację, praktyka jednak pokazywała co innego. Nad talerzykiem z kanapką stało szare, duże zwierzątko z długim ogonem i wcinało zostawiony przez nas serek, aż mu się uszy trzęsły.

- Mamo, ja się boję — piszczała Ajka, która widziała w życiu tyle potwornych rzeczy - mammo, ja nie chcę!!

Mama z obrzydzeniem podeszła do talerzyka.

- Sio - powiedziała - wynocha! Won, do kogo ja mówię?!

Szczur z pogardą zwinął ogon, wyraźnie lekcewał i mamę, i mnie, i Ajkę. Nie tylko nie przerwał jedzenia, ale widocznie zawołał kolegę, bo z nory przy ścianie wylazło coś jeszcze większego. Ajka wtuliła buzię w spódnicę mamy.

- Oooo!! - zawyła.

Nad nami rozległo się szuranie, ktoś szedł po schodach, po chwili zazgrzytał zamek. Zamarłyśmy, ale był to tylko farmaceuta w szlafroku i w kapciach.

- Czyja się myślę - powiedział groźnym głosem - czy słyszałem jakiś krzyk?
- Przepraszam - tłumaczyła się przerażona mama - pan wybacz, dziecko przestraszyło się szczura.
- Znowu są? - zdziwił się pan magister. - Myślałem, że je wytępiłem. A swoją drogą mają chyba panie większe powody do strachu, niż szczur? Cóż to, dziecko ze wsi, a szczura się boi? Pani wybacz, nie chcę tu z nikogo kpić, ale musi pani jakoś... no, musicie tak jakoś... no, żeby to się wszystko kupy trzymało. Boże, co ja mam... zaraz, a ta mała...jak ci na imię?
- Ajka.
- To od Alinki - pośpiesznie wyjaśniła mama.
- Ajka, no tak. A może ty... może dziecko chciałoby... Bo ja nie pokazałem paniom. Tam, za kotarą, są drzwi. I usilnie proszę, bardzo proszę o ciszę. A na te szczury nic teraz nie poradzę. No to dobranoc. Rano was wypuszczę. I jeszcze raz proszę, bądźcie cicho. No.

Aptekarz poszedł, a my rzuciłyśmy się w stronę kotary. Kto by pomyślał, zasłaniała jakby tylko półkę, a za tą półką dopiero szło się wąskim przejściem, do korytarzyka i na końcu tego korytarzyka były drzwi, a za tymi drzwiami toaleta. Mama przedtem nawet podeszła do półki, ale nie zauważyła przejścia, było to wszystko jakieś dziwne.

- Już wiem - powiedziała Ajka, która zawsze miała dobrą orientację przestrzenną - patrzcie, tam dalej są schodki, to jest wejście do apteki, a klozet na pewno jest jeden, ma wejście i z magazynu, i z tej apteki. Może dlatego ten facet nas przyjął, że tu są dwa wejścia, jakby wpadli tam, to można uciekać tędy, a jakby tu...

- Masz rację - przytaknęła mama - a teraz...

Śmieszne, ale w o wiele lepszym humorze wróciłyśmy na

nasze postania i nawet zasnęłyśmy. To znaczy, ja zasnęłam, nie wiem, jak to było z mamą. Może siedziała, płakała i odpędzała te ohydne szczury?

A rano pan aptekarz dał nam na drogę kanapki i odprowadził aż do tramwaju. Bez żadnej wpadki pojechaliśmy do tego Hotelu Polskiego o którym opowiedział nam pan Mirek, mama z kimś tam rozmawiała, coś załatwiała i przyszła do nas prawie uśmiechnięta.

- Wpisano nas na listę palestyńską - powiedziała, a ja chociaż nie rozumiałam o co chodzi, ucieszyłam się, wydawało mi się, że nasze życie zostało jakby zalegalizowane. - Możemy tu zostać parę

dni - ciągnęła mama - a potem... potem może coś uda się załatwić, jakąś kryjówkę, spotkałam tu znajomego. Powinniśmy się codziennie modlić za Leona, gdyby nie ten jego skarb... Nie wiem, czy ktoś nas by przyjął, ludzie się boją i w ogóle...

Nawet się nie dziwiłam, pewnie, że się boją, a za Leona oczywiście można się pomodlić, tylko jak? Za żywego, czy martwego? Nie miałyśmy o nim żadnych wiadomości, a on o nas, jak się okazało, miał, ale tylko do czasu, gdy byliśmy u pani Haliny. Martwiłam się o niego, owszem, ale tak jak człowiek martwi się o kogoś tylko znajomego, tak, jakby nie było tych chwil w gabinecie dentystycznym,

0 których wolałabym wtedy zapomnieć. Pomodliłam się więc za Leona mając nadzieję, że żyje. Było mi jakoś lżej na duszy, po raz pierwszy od lat poczułam się bezpieczna, usiadłam i postanowiłam poszukać czegoś do czytania.

I tak spędziłyśmy w tym hotelu jedną noc, a następnego ranka obstawiono hotel, Niemcy wygnali nas na podwórko

1 ktoś wyczytał osoby z tej listy palestyńskiej.

Załadowano nas na ciężarówkę, potem wpakowano do pociągu i tak skończyło się błogie życie w hotelu.

310

Maria odłożyła słuchawkę, dwa razy nie trafiła na widełki, ręka jej się trzęsła, w uszach szumiało. To był głos Chaima, niezmienny, zupełnie taki sam, jak w getcie, imię „Miriam” brzmiało tak samo, wydawało się, że czas nagle zawrócił to nie był żaden Harry Wild, to był Chaim Wilder, jej Chaim. Jak mogła chociaż przez chwilę zastanawiać się, czy ma przyjechać do Warszawy, oczywiście, że tak, natychmiast! O żadnym hotelu mowy nie ma, przecież ta jego Basia nie będzie teraz, po stu latach, zazdrosna o Marię, trzeba przygotować duży pokój dla Chaima, żadne rozkładane łóżko! Nie, lepiej oddać mu sypialnię, a samej przenieść się tu, oczywiście, może matka Piotrusia pożyczy Marii terr rozkładany fotel? Albo nie, trzeba kupić wersalkę, i tak się przyda. Jak Justysia będzie nocować, to nie trzeba będzie niczego rozkładać. Tak, oczywiście, wersalkę postawi się tu, stół przesunie się tam, nawet będzie lepiej, bo bliżej kuchni. I trzeba zrobić zakupy, co by Heniek najchętniej zjadł, pewnie czulent, ale jak zrobić czulent, który musi stać w piecu przez chyba całą dobę? Mama oddawała przed wojną cały gar czulentu do piekarza, nie, to zbyt skomplikowane. Nagle Marię olśniło. Gęsia szyja! To był chyba jakiś znak, jakaś telepatia, może Chaim w tej Ameryce ją wspominał, może myślał o gęskiej szyi, którą robiła mama, ale przecież nie zaniósłam jej wtedy Heńkowi, tylko opowiadałam o niej, o Chaninie, która ją przyniosła, o mamie, która ją nadziewała. Trzeba tłuszcz gęsi posiekać z mąką, sól, pieprz, czy teraz w ogóle gęsi mają szyje? Idiotyczne pytanie, mają, ale te mrożone są bez szyi, może na targu, nie na tym, tu nie ma, wybiorę się na Żoliborz, poproszę Asię... Albo nie, poproszę tę babę, co tu sprzedaje drób, niech mi się postara, zapłacę jej za tę skórę i tłuszcz, ile zechce, Chaim na pewno marzy o gęskiej szyi.

311

Maria miotła się po mieszkaniu, przesunęła stół, przewiesiła obrazki, Chaim za trzy dni przylatuje! Za trzy dni! Wszystkie powleczenia pościeli są do kitu, stare, trzeba kupić nowe, niedaleko jest sklep. Najlepiej kolorowe, na filmach zawsze Amerykanie śpią w kolorowej pościeli, a może Chaim by wołał białą, jak u mamy? Żeby tylko przyleciał szczęśliwie, co za zbieg okoliczności, Ajka przylatuje dwa dni później, dzwoniła do Szymona, płakała w słuchawkę, podobno ten Jakub ją śmiertelnie obraził, mówiła, że koniec, że nie chce go znać, biedna Ajka, pewnie jak zwykle przesadza. Spotkają się, a to Chaim się zdziwi, pamięta chude, blade dziecko, a zobaczy starą, grubą babę.

„Zobaczy dwie grube, stare baby - myśli Maria trochę z ironią, a trochę ze smutkiem. - Czy w ogóle poznamy się na tym lotnisku? Może zabrać ze sobą tekturkę z napisem „Harry Wild”? Jednak szkoda, że Jane już jutro odlatuje, minie się z ojcem, ale musi pojutrze być w Stanach.

Maria zmęczona siada na chwilę. A co będzie, jeśli samolot nie doleci, katastrofy się zdarzają. A tu akurat i Ajka, i Chaim. Na lotnisku będą czekali krewni i nagle ktoś przez megafon powie, że ludzie, oczekujący na samolot z Nowego Jorku mają się zgłosić do jakiegoś pokoju. I ktoś bardzo smutnym głosem oznajmi... Bzdury! To jest właśnie to czego Maria nienawidzi u Ajki, takie wyobrażanie sobie różnych nieszczęść, taka nieufność losom, wieczne zamartwianie się rzeczami, których nie ma, zdarzeniami, które sama sobie wymyśliła. Właśnie dlatego Maria zawsze bała się miłości, dlatego znośnie jej było z Leonem, o którego, wstyd przyznać, nie drżała, nie wyobrażała sobie, że przejechał go tramwaj, że padł na zawał, z Leonem, który, prosił bardzo, mógł się spóźnić o pół godziny, a Maria nie odchodziła od zmysłów, tak jak Ajka, która żyła z sekundnikiem w ręce, która zamęczała wszystkich pytaniami

312

o której dokładnie wrócić, dokąd idą, czy mają przy sobie adres rodziny. Po co? Po to, tłumaczyła, aby było kogo zawiadomić w razie wypadku. I nie daj Boże, żeby ktoś się spóźnił, co tam spóźnił, żeby nie przyszedł pół godziny przed zapowiedzianym terminem. Ajka już stała w oknie, już brała proszki uspokajające, już szukała telefonu pogotowia, a gdy ten ktoś przychodził, robiła mu niczym nie uzasadnione gorzkie wymówki, biadała, że nikt się z nią nie liczy, że ma chore serce, że kiedyś umrze na zawał. Biedna Luska wiecznie musiała się opowiadać, telefonować, pędzić do domu.

Maria zdawała sobie sprawę, że Ajka niczemu nie była winna, że to są jakieś tam nerwice, jeśli nie choroba psychiczna, ale sama bardzo się pilnowała, żeby nie upodobnić się do siostry. A bywały chwile, gdy Szymek dorósł, że też stała w oknie, też się bała, tyle że nikomu o tym nie mówiła. I przecież nie zacznie teraz bać się o Chaima, ostatecznie jego wizyta nic nie zmieni, ma swoją Basię, swoje życie... Jakie ono było? Maria chciałaby znać każdy szczegół, on na pewno też. Przecież nie wiedział nawet, że Maria była w obozie...

h

ń

Rozdział XXXV

...był pewien, że zginęła. Jak to się mogło stać? Maria nie mogła zrozumieć, nie mieściło jej się w głowie,

że Leon tak podle ją oszukał, ją i Chaima. Ufała Leonowi jak nikomu na świecie, zawsze był dla niej wzorem szlachetnego człowieka. Spotkała go na ulicy parę tygodni po powrocie do Warszawy. Szła przed siebie, nawet nie bardzo wiedziała dokąd idzie, szukała Ajki już tyle czasu, była u pani Haliny, drzwi otworzył jej jakiś zarośnięty, zaspany facet.

- Pani Rapierska? - burknął - Mąż jej akurat będzie miesiąc, jak kopnął w kalendarz, to wzięła tego swojego gagatka i pojechała do siostiy na wieś. Ja jej mieszkania pilnuję, bo to teraz takoma rzecz.
- Ale nie przychodziła tu taka dziewczynka, czarna?
- Ani czarna, ani biała.
- Ma pan adres pani Haliny?
- Po cholere mi adres?
- Ale jak wróci, to pan powie, że tu była Marysia.
- To pani?

Facet mówił bardzo głośno, sąsiadka uchyliła drzwi.

- Może pani wie, czy tu przychodziła taka dziewczynka...
- Ja nic nie wiem, kto tu przychodzi, a kto odchodzi - najeżyła się kobieta i zawiązała mocniej szlafrok - już mieliśmy w wojnę dosyć tych obcych, o mało nas wszystkich nie pozabijali, żeby Żydówki chować, też coś. Jak je policja wyprowadzała to tak ryczały, że...

314

Maria nie miała zamiaru tego wysłuchiwać, nie wiedziała, o co chodzi, baba była wrogo nastawiona, nawet tego nie ukrywała. „Widocznie kto inny też się tu ukrywał” - pomyślała z żalem. I nie wiedziała, że Leonowi, który tu już był, opowiedziano tę samą historię, o tym, jak na podwórku rozstrzelano matkę z dwiema córkami. Leon był pewien, że chodziło o nich, o rodzinę Rose, skąd mógł wiedzieć, że owa niby głucha babcia także ukrywała trzy żydowskie kobiety? I właśnie tego dnia, gdy Maria wyszła z instytucji, która pomagała w poszukiwaniu rodzin, kiedy dowiedziała się, że nic nie wiedzą o żadnej Judycie Rose, właśnie tego dnia wpadła prosto na Leona.

Spojrzał na nią i o mało nie zemdlął.

- Miriam?! /
- Leon?!!

Wydawało jej się, że śni. Nie szukała go jeszcze, myślała tylko o Ajce, on też jej nie szukał, był pewien, że nie żyje. Byli sami wśród ruin, sami wśród wspomnień, tylko oni pamiętali swoje rodziny, swoich bliskich. Marii wydawało się wtedy, że są sami na świecie, Leon też tak chyba myślał...

Nie, on wiedział, wiedział przez cały czas, że Chaim żyje, Chaim, któremu niedawno opowiadał, jak zginęła Miriam i Ajka i pani Rose. Chaim, z którym poszedł do małej, zaplutej knajpki na Pradze, z którym pił i płakał nad losem całego narodu. Znał adres Chaima, wiedział, że ten dzień, w którym spotkał Miriam, poprzedza o dwa dni dzień ślubu Heńka z ową Basią, że potem jadą do Ameryki. Gdyby powiedział Marii, pobiegłaby do Chaima jak na skrzydłach, nie byłoby może ślubu z tamtą dziewczyną, a Leon straciłby jedyną szansę, aby być z Miriam, z Miriam, którą od lat kochał, o której myślał po prostu obsesyjnie. I teraz, kiedy ją odnalazł miałby oddać ją Heńkowi?

Maria nie wątpi, że była to bardzo trudna decyzja, trudna i niebezpieczna, mogła przecież spotkać Heńka tak, jak

315

spotkała Leona. Gdy Leon dowiedział się, że ktoś powiadomił Miriam o śmierci Chaima, o tym, że zginął w Powstaniu na Starówce, milczał.

Wyglądało na to, że przyjął śmierć Heńka do wiadomości, o ile Maria sobie przypomina nie skomentował tego, a potem już nigdy o śmierci Heńka nie wspomniał. Rzeczywiście, nie wspomniał, co więcej ucinął wszystkie rozmowy na ten temat. Że też Maria nie widziała w tym nic podejrzanego! No tak, na początku uważała, że może jest zazdrosny, a potem przestała na to zwracać uwagę. Tylu ludzi zginęło, może lepiej nie myśleć o nich ciągle. Leon zatroszczył się wtedy o wszystko, zaprosił Marię do swojego pokoiku na Pradze, tak, że nie musiała już wynajmować łóżka w ogromnym, wspólnym pokoju na Stalowej, latał, szukał śladów, nawet dopytywał się o matkę, przecież Maria nie była na sto procent pewna, że zginęła od tego strzału. Chodził do tamtego biura, kto mógł przypuszczać, że Ajka, która uczyła się pisać w obozie na sękatej desce wyjętej z pryczy, niewyraźnie zapisze własne nazwisko i zarejestrują ją jako „Bose”, a nie „Rose”.

- Kochanie, mogłam cię szukać do sądneho dnia - przytuliła potem Maria odnalezioną siostrzyczkę - ale czemu ty mnie nie szukałaś?
- Byłam pewna - łkała Ajka - że umarłaś. Byłam pewna... Jak ci się udało przeżyć?
- Wyzwolono nas i dali mi lekarstwo. W ostatniej chwili - Maria nie pamiętała wyzwolenia, była nieprzytomna i ocknęła się dopiero w zaimprovizowanym szpitalu. - Ale powiedz, jak się tu znalazłaś?
- Ciocia Sara przed śmiercią mnie tu przyprowadziła. Wiesz - szepnęła dziewczynka - cały czas się trochę boję, dobrze, że mnie zabierasz, bo tu są same żydowskie dzieci. A ciocia Sara umarła w szpitalu, chyba na serce, wiesz?

316

- Jaka szkoda - zmartwiła się Maria - ale dlaczego się boisz?
- Bo jak przyjdą Niemcy, to nas hurtem wszystkich wywiozą do gazu.

Maria już wtedy wiedziała, że jest źle, że ten strach trudno będzie wykorzenić, oczywiście zabrała od razu

Ajkę, chciała też zabrać Szmulka, ale znalazł się jego wujek, cioteczny brat Chaniny i chłopiec zamieszkał z nim i jego żoną.

A Maria wyszła za Leona, wydawało jej się to nieuniknione, zresztą Ajka tego tak bardzo chciała, a Leon był wspaniały i szlachetny. Może, myślała Maria, może po prostu nie był w stanie powiedzieć prawdy? Teraz dopiero stało się jasne, czejjiu Leon za żadne skarby nie chciał jechać na stypendium do Stanów i nawet pod koniec życia nie przyjął zaproszenia do Nowego Jorku, dokąd mógł pojechać na pół roku razem z Marią. Całe życie musiał się bać. I nagle Maria, oprócz złości, poczuła, że w jakiś sposób mu współczuje...Trzeba będzie to wszystko opowiedzieć Chai-mowi. O Leonie, a także o tamtych czasach, o pani Halinie, o Hotelu Polskim, o obozie...

W pociągu było duszno, ciasno i nie wiadomo było, dokąd nas wiozą. Ajka tym razem nie dała się nabrać na żadne bajeczki, nie uwierzyła mamie, że jedziemy na wieś i tak jak większość z nas, myślała, że podróż skończy się czymś okropnym.

W tym całym zamieszaniu zapodziała się gdzieś paczuszka z jedzeniem, ofiarowanym nam przez aptekarza, byliśmy głodne, a w miarę upływu czasu także spragnione. Nie pamiętam, jak długo jechaliśmy zanim pociąg stanął na tej stacji, nie znam jej nazwy i nie chcę

317

znać. Na lewo czerwieniły się budynki dworcowe, ale po drugiej stronie torów widać było las, prawdziwy las, drzewa, wiele drzew, Ajka wspięła się i patrzyła przez szybę na tę tak bliską, na tę niedostępną zieleń.

- Zobacz, Mirka, prawdziwy las - zachwycała się - może nas tu wypuszczą i pozwolą iść na spacer do tego lasu?

Sama w to nie wierzyła i bardzo zdziwiłyśmy się, kiedy jakiś Niemiec otworzył drzwi wagonu.

- On mówi - przetłumaczył jeden z naszych współtowarzyszy - żeby nie wychodzić i że nam wpuszcza tylko trochę powietrza, żebyśmy się nie udusili.

Zrozumiałam to sama i ucieszyłam się - skoro mamy się nie udusić, to może nie wiozą nas na śmierć. Mama stanęła tuż przy tych otwartych drzwiach.

- Popatrz, Mirka - powiedziała - zobacz, w tym wagonie, który stoi na sąsiednim torze... co tam leży?

Przyjrzałam się. Rzeczywiście, na odkrytej platformie coś się zieleniło, czerwieniło...

- Cholera wie. Chyba buraki. O, i marchewka.

- Marchewka ... - zastanowiła się mama - marchewka. A Ajunia jest taka głodna. Prawda, Ajuniu?

- No, pewnie.

- Wszyscy jesteśmy głodni - powiedziałam - ale...

- Tym bardziej.
- Co „tym bardziej”?
- Zobacz, Niemiec się odwrócił. Skoczę przez tory, przyniosę wam marchewkę.

Wtedy myślałam i do dziś myślę, że mamie, niech spoczywa w spokoju, pomieszało się z tego wszystkiego w głowie. Pomysł był absurdalny, wagon z marchewką stał na torze oddzielonym od nas pasmem zieleni. Pilnowali go Niemcy, łazili między torami. W tej chwili rzeczywiście byli odwróceny plecami, a nasz wartownik odszedł, ale była to kwestia sekund. Mama musiałaby przejść przez peron,

318

przez trawnik, wdrapać się na tamtą platformę, zabrać te warzywa - w eo?! - i wrócić z nimi. Rzecz zupełnie niewykonalna. Może mama po prostu nie mogła żyć ze świadomością, że ojciec zginął, że Ajka jest głodna i spragniona, że jedziemy na śmierć. Wiem, że nie popełniłaby samobójstwa, że nie chciała nas zostawić, ale może szukała tej śmierci? Nie zdążyłam jej zatrzymać, wszystko stało się tak szybko, mama wyskoczyła, podbiegła do platformy i nawet zaczęła się na nią wspinać, kiedy zjawił się jeden ze strażników i złapał ją za rękę. Padł strzał, jednocześnie ktoś zatrzaskał drzwi naszego wagonu i pociąg ruszył.

Chyba zemdlałam, bo nie pamiętam ani dalszej podróży, ani przyjazdu do obozu. Jak przez mgłę docierały do mnie krzyki Niemców, Ajka mi mówiła, że ocknęłam się po kilku godzinach i nawet ją pocieszałam i tuliłam. Nic z tego nie zostało mi w głowie. Dopiero w obozie oprzytomniałam, ktoś krzyczał, a w mojej zmąconej świadomości snuło się tylko jedno: nie ma matki, teraz ja, tylko ja muszę opiekować się siostrą. Tę pierwszą noc w obozie w końcu przemajaczyłam, na dobre ocknęłam się dopiero rano, zdrętwiała, z płaczącą Ajką w objęciach.

Żyłyśmy. Żalodne to było, ale żyłyśmy. Bez ojca, bez mamy, za nami zostały trupy i ruiny, ale my byłyśmy żywe. Co więcej, nie musiałyśmy się ukrywać, tu byli sami Żydzi, te wszystkie kobiety ze zmartwiałymi, szarymi twarzami, to Żydówki. Można było wyjść przed barak, można było krzyczeć i płakać, Boże, to wolność, mamę zastrzelili, ale Ajka żyła i ja żyłam, może nas nie zabiją? Patrzyłam na kolczaste druty otaczające teren obozu, na niebieskie niebo z pierzastymi chmurkami, na śmierdzący budyniec, w którym mieściła się latryna, na ziemię pod stopami, na dym snujący się z jakiegoś wysokiego komina, na Ajkę, oglądającą prawdziwy, leżący na piachu kamy-

319

czek, na parujące kotły z namiastką kawy, które ktoś przyniósł nie wiadomo skąd i byłam... no tak, byłam zadowolona.

Zabili mamę, przywieźli nas do obozu, pewnie w końcu wszystkich tu zagazują, ale na razie... na razie można było oddychać a nad nami świeciło słońce.

Część druga

AJKA

Rozdział XXXVI

Nie wypada płakać w samolocie, tamta pani mnie obserwuje, pewnie myśli, że lecę na jakiś pogrzeb, a w duchu się śmieje, „patrzcie ludzie, ta stara Żydówka płacze”, zresztą co mnie to obchodzi, niech myśli co chce, obca baba, co mnie obchodzi obce baby. Mam swoje zmartwienia, nie, nie lecę na pogrzeb. Raczej z pogrzebu. Z pogrzebu mojej córki, tfu, na psa urok, jak mogłam tak nawet pomyśleć, Lusiu, chwała Bogu żyje i ma się dobrze. Tyle że ja już jej nigdy w życiu nie zobaczę, ani jej, ani Mici, mojej jedynej, ukochanej wnuczki, nigdy w życiu.

Jak on mógł, ten Jakub, jak mógł, gdyby nie Bluma, nigdy bym się nie dowiedziała co ten człowiek wygaduje, jak mnie nienawidzi. A Lusiu jeszcze usiłuje go tłumaczyć, zmęczony, ciężko pracuje, no owszem i co z tego?

Wcale im nie siedziałam na karku, mają takie wielkie mieszkanie, cztery pokoje, siedziałam u siebie całymi przedpołudniami, zajmowałam się Micią, ale po obiedzie miałam chyba prawo pogadać z własną córką, jaki dom pogrzebowy, wcale nie robiłam z ich domu domu pogrzebowego, czy już nie wolno mi wspomnieć czasem mamy, ojca, znajomych? Co on sobie myśli, jak może, i tak ordynarnie, że drzazga w dupie, dobrze, że mi Bluma powtórzyła, ciekawe swoją drogą, jak jest „dupa” po hebrajsku. O czym ja myślę, takie nieszczęście, a mnie się po głowie głupoty snują. Trzeba było zapytać Blumy.

323

Nigdy więcej do nich nie pojedę, nawet gdyby mnie błagali na kolanach, nie chcę widzieć tego chlęstka, on chyba nie puści Lusi z Micią do mnie, uważa, że smucę dziecko, idiota, wcale jej nie smuciłam, rysowałam historyjki, czy to moja wina, że wymyślały mi się same smutne zakończenia? Nie wstyd mi było robić awanturę o to, że krasnoludek chodził smutny i obdarty, w sabotach? Micia nawet tego nie rozumiała, mówiłam po polsku, Lusiu się śmiała, przetłumaczyła temu idiocie, a on od razu z pyskiem.

Bluma mi powtórzyła, że Jakub się boi o dziecko, boja ciągle siedzę w obozie i najwyższy czas, żebym z niego wyszła. Nieprawda, a poza tym łatwo mu mówić, co on wie, gówniarz, niczego nie przeżył, chociaż nie... tam też się dzieją różne rzeczy. Ale nie ma porównania. I co ja teraz zrobię?

Lusiu niby płakała, jak wyjeżdżałam, ale tak naprawdę chyba była zadowolona, bo...

- Tak, słucham? Nie, dziękuję pani, nic mi nie jest. Nie, nie jest mi słabo. Kiedy lądujemy? O, to dobrze. Nie, dziękuję za kawę, już piłam. Naprawdę, niczego mi nie brakuje, tak sobie tylko wspominam, a wie pani, wspomnienia nie zawsze są przyjemne. Człowiek w moim wieku, z mojego pokolenia, ma za sobą takie przeżycia... Tak, dobrze się czuję.

Ta stewardesa wcale nie jest taka ładna, chociaż miła, owszem, ale też nie ma czasu. Nie ma i co ją obchodzą moje przeżycia, nawet Lusiu nie chciała słuchać, mamu, powiedziała, daj już spokój, sto razy to przerabialiśmy, już wszystko wiem, rozumiem, ale naprawdę...

Naprawdę, to gówno wie ta cała moja Lusiu, tego się nie da opowiedzieć, czy ona może sobie wyobrazić

sytuację, gdy na jej oczach ktoś strzela do matki?

.

Pociąg na chwilę stanął, jakiś Niemiec otworzył drzwi. Ajka nie pamiętała, co powiedziała, ale tamto pytanie mat-

324

ki zapamiętała, zapamiętała na całe życie, gdyby wtedy odpowiedziała, że nie, że nie jest głodna, że nie chce marchewki, może mama nie wyszłaby z wagonu? Ale kiwnęła głową, chętnie by schrupała pyszną, pomarańczową marchew i mama poszła. Miriam usiłowała ją zatrzymać, coś krzyknęła, Ajka wyjrzała z wagonu, mama szła przed siebie, już była blisko, zaczęła wdrapywać się na platformę i nagle złapał ją Niemiec. Ajka nie pamięta wystrzału, może dlatego, że ich pociąg ruszył. Mama nie podbiegła, upadła na ziemię, a one zostały same, odjeżdżały, postać mamy była coraz mniejsza, Boże, co teraz będzie?! Ajka szarpała siostrę za rękaw, ale Miriam nie odpowiadała, zasnęła, to było nie do pojęcia, mama nie zdążyła wrócić, a Miriam sobie śpi!

- Nie krzyc[^] - powiedziała jakaś pani, która jechała w tym samym wagonie - nie krzycz, dziecko, to nic nie pomoże. Twoja siostra chyba zemdląca. - Ta pani była bardzo dobra, miała butelkę z wodą, przemyła Miriam oczy i czoło i Maria jakby trochę się ocknęła, coś szepnęła, przytuliła Ajkę, a potem znowu zamknęła oczy i tak już było przez całą drogę. Ajka była głodna i przerażona, co się stało z mamą, zabili ją? A może tylko tak udawała, może się położyła, poczekała aż pociąg pojedzie i uciekła?

Ajka pomyślała, że mama wcale nie wyglądała jak Żydówka, ona jedna, a Mirka i Ajka były podobne do taty. Więc mama bez nich łatwiej może się uratować. Pewnie tylko udawała, że idzie po marchewkę, ma te papiery, może już teraz chodzi wolna, udaje panią Rysię, zostawiła córki i uciekła. Co teraz będzie, a może Miriam umrze, jest taka blada, ma podkrążone oczy. Umrze, Ajka zostanie sama i ją zabiją, oczywiście, że zabiją, będzie się błąkać tam, gdzie teraz jadą, sama, samiutka i jak ma przeżyć? A może pokaże te papiery, powie, że jest Alinką i uwierzą jej? Będzie to powtarzać i nigdy w życiu się nie przyzna, że nazywa się Rose, nigdy, to może przeżyje?

325

Pociąg jechał i jechał, Ajka nagle zdała sobie sprawę, że już tak dawno nie jechała pociągiem, mama jej opowiadała, że przed wojną jeździły do Ciechocinka, ale to było milion lat temu i Ajce pozostały z tych eskapad bardzo mgliste wspomnienia. A jazdy pociągiem nie pamiętała wcale, że też można się tak szybko poruszać! Dziewczynka zamknęła oczy, usiłowała wyobrazić sobie, że właśnie jedzie z mamą na wakacje, że za chwilę wysiądą w jakimś Ciechocinku, mama opowiadała, że tam jest pięknie, że jest fontanna, to znaczy, że woda tryska z wielkiego kranu, który jest ustawiony do góry nogami, tak, że ta woda najpierw leci do góry, a potem spada z takiej kopuły, mama mówiła o tym „Grzyb”. Śmieszne, po co ludzie robią takie rzeczy i basen tam jest. Ajka pamiętała, że kiedy była zupełnie malutka, o mało się nie utopiła w tym basenie, właściwie nie była pewna, czy pamięta, czy zna to z opowiadań, Mirka ze zgrozą mówiła: „poszłaś sama, bo mamusia kupowała lody i przez sekundę na ciebie nie patrzyła, polazłaś i o mały włos, a zachłysnęłabyś się tą wodą, na szczęście jakiś pan zauważył i cię wyciągnął”. „I co potem, co

potem?" - dopytywała się wtedy Ajka. - „A potem mama dała ci w dupsko, to potem" - kończyła łzawą opowieść Mirka.

Ajka pomyślała, że właściwie byłoby lepiej, gdyby się wtedy utopiła, w tym pięknym basenie, na wakacjach w Ciechocinku, żyłaby krótko, ale przyjemnie, a tak, to jedzie teraz nie wiadomo gdzie, mamy nie ma, a Mirka też może zaraz umrze i nawet nie ma gazety, żeby ją przykryć. Kiedy umrze, to ją chyba wyrzucą po prostu z wagonu. A może ona tylko udaje, może właśnie chce, żeby ją wyrzucili, a później wstanie i ucieknie, tak jak mama. Może nawet pójdzie szukać mamy, potem będą obie razem na wolności, a ją, Ajkę zawiozą nie wiadomo dokąd, niektórzy mówili, że Niemcy zabijają Żydów w tych obozach, no pew-

326

nie, Niemcy zabijają Żydów, od tego są. Czy ją, Ajkę, zastrzelą od razu, czy może będą przedtem bić, a może powieszą, albo spalą, nie wiadomo co faszystom przyjdzie do głowy.

Maria nagle się poruszyła, żyje, ta pani przetała jej usta wodą, Mirka coś szepnęła.

- Co, co mówisz? - Ajka schyliła się do warg siostry.
- Nie martw się Ajka, nie płacz - Mirka z trudem podniosła rękę i pogładziła siostrę po głowie - no, nie płacz, nie bój się. Mama nie żyje, ale ja jestem. Będziemy razem.
- Nie uciekniesz?
- Nigdy w życiu!
- Przysięgasz?

Mirka znowu zamknęła oczy, ale Ajce zrobiło się łżej. Nie będzie sama, nawet jak ją będą zabijać, to razem z Mirką, razem łżej umierać, tato mówił, że wszyscy umierają, no pewnie, dziewczynka widziała to codziennie, wszyscy umierali. A pani Halina? Pani Halina w ogóle nie jest Żydówką, ona nie umrze, może tato nie powiedział wszystkiego, może tylko wszyscy Żydzi umierają, a inni nie? Albo o wiele później, jak już są tacy starzy, że im wszystko jedno? Mąż pani Haliny był taki stary, a żył, Waldek mówił, że jego tato ma sto lat z hakiem, ciekawe, czy to prawda, czy Waldek się wygłupiał.

Jak to jest, kiedy się nie jest Żydem? Musi być dziwnie, mężczyźni nie są obrzezani i nikt ich nie może wsypać, można chodzić po ulicy i nawet wyjeżdżać na wieś, tak jak pani Fela z Marzenką. Ciekawe, jak jest na tej wsi, tam podobno są prawdziwe krowy, nie tylko narysowane w książce i ryczą, i dają mleko.

Ajka siedziała obok siostry, pociąg zwalniał, ktoś z hukiem otworzył drzwi, Niemcy, wrzeszcząc i bijąc wypycha-

327

li wszystkich na dwór. Mirkę też uderzono, Ajka kurczowo trzymała ją za rękaw, na szczęście stała, nie przewróciła się, Niemcy pognali gdzieś mężczyzn, co to Ajkę obchodziło, przecież nie było tu ani taty,

niech spoczywa w spokoju, ani Salka, niech... ani Leona, czy nawet tego Chaima. Tamta pani płacze, jakby jej serce wyrwali, pewnie zabrano jej męża, co to Ajkę obchodzi. Ona jest z Mirką, Niemcy każą im wejść na ciężarówkę, ciekawe, czy jadą od razu na rozstrzelanie czy jeszcze przedtem coś będzie? Ajka trzyma Mirkę, to jest najważniejsze, nie rozłączyć się z siostrą. Trzyma ją i nie wie, czy woli, żeby coś przedtem było. Bo jakby mieli znowu bić, to nie, to lepiej od razu, dlaczego pan Goldman kiedyś mówił, że Żydzi są narodem wybranym? Do czego? Do śmierci? A może pan Bóg tak kocha Żydów, że chce ich mieć jak najszybciej u siebie? Trudno to wszystko zrozumieć, trzeba o coś ważnego zapytać Mirkę.

- Mirka, no, ocknij się, nie siedź taka jak słup.
- Co?
- Czy my jedziemy na śmierć?
- Co?
- Bo może trzeba by się pomodlić?

Nie, nic z tego, siostra jest znowu jakby nieprzytomna, zresztą pomodlić się można zawsze, tylko do kogo? Do Jezusa Chrystusa? Do samego Boga? Wszystko jedno, Ajka składa ręce i cichutko odmawia modlitwę, której nauczyła ją pani Fela. Wie, że to nie jest żydowska modlitwa, ale w tej chwili nie pamięta żadnej innej, co za różnica, Bóg, to Bóg, chyba wysłucha małą dziewczynkę jadącą na śmierć? „Okropnie dużo musi Pan Bóg teraz wysłuchiwać tych modlitw” - myśli Ajka - „Ciekawe, czy je spełnia”. I nagle przychodzi jej na myśl, że nie, że chyba nie spełnia, bo mama się modliła, a tata i tak się spalił.

328

Ciężarówka zatrzymała się gwałtownie, ludzie polecili w przód, ktoś uderzył Mirkę w głowę, może i dobrze, bo znów się ocknęła. Naokoło były druty kolczaste, widać je było wyraźnie, bo reflektor omiatał co chwilę teren obozu, cała kolumna kobiet została wepchnięta do baraku, Ajka zobaczyła jakieś dziwne, trzypiętrowe łóżka, kobiety zajmowały pierwsze i trzecie piętra, a środkowa część jednej z prycz przypadła Mirce i Ajce.

- Dla dzieci nie ma osobnych miejsc, będziesz spała z matką - powiedział ktoś po polsku, śmieszne, myślał, że Miriam jest jej matką, ale było ciemno, więc ta pani mogła się pomylić.
- Kładźcie się - poradziła i okazało się, że to sąsiadka z pryczy, leżała na dole - kładźcie się i śpijcie.

No więc Ajka położyła się na tym jakoś dziwnie szeleszczącym sienniku, nakryła siebie i Mirkę szarym, cienkim kocem, przytuliła się do pleców siostry i chciała zasnąć, ale Mirka coś szeptała, mówiła o mamie, może była chora? Na myśl o tym Ajkę ogarnęła zgroza, nie, tego byłoby za wiele, Mirka nie ma prawa zachorować i umrzeć i zostawić ją samą, to się nie może stać. Dotknęła czoła siostry, tak jak dotykała jej mama. Nie, Mirka była chłodna, może jest tylko zmęczona. Trzeba zasnąć, tak, jak radzi ta pani z dołu, zasnąć, przytulić się i spać.

I rzeczywiście, śmiertelnie zmęczona Ajka zasnęła, a rano okazało się, że Mirka już nie śpi, obejmuje ją i

jest zupełnie zdrowa. Można było wyjść z baraku, Ajka już od dawna nie oglądała takiego pogodnego nieba, najpierw chciała schować się pod pryczą, ale siostra powiedziała, że nie, że tu nie trzeba się ukrywać, że tu są sami Żydzi i można wyjść na powietrze.

- Pooddychaj sobie - powiedziała - pooddychajmy, zobacz jakie ładne chmurki, zobacz, w tym kotle coś jest, może dadzą nam jeść, albo chociaż coś do picia.

329

- Ale gdzie my jesteśmy - chciała się dowiedzieć dziewczynka - co to za miejsce, czy tu wolno Żydom żyć? Może to Ciechocinek?

- Nie bądź głupia - powiedziała łagodnie Mirka - nawet się nie łudź. To obóz.

- I nie zabiją nas?

- Może na razie nie - obiecała starsza siostra i przytuliła Ajkę. - Na razie żyjemy. Popatrz, jakie niebieskie niebo, popatrz, kamyczki leżą na ziemi. Żyjemy.

„Tak - pomyślała Ajka - żyjemy. Jak to dobrze. Może nawet pożyjemy jeszcze trochę?”

Rozdział XXXVII

No, nareszcie, kazali zapiąć pasy, lądujemy. Nie ma to jak w domu, ciekawe, czy Mirka zrobiła mi jakieś zakupy, pewnie zapomniała, trzeba będzie jeszcze dziś lecieć do sklepu. Kto mnie będzie oczekiwał, najlepiej, żeby przyjechał Szymon, jak nie, trzeba będzie jechać autobusem, kto by wyrzucił pieniądze na taksówkę z lotniska, nie lubię lądowania, Boże, jeszcze się rozbijemy. No... No, już. Uff... Na pewno będzie Szymon, Mirce też by się nic nie stało jakby przyszła, a może czeka na mnie w domu z obiadem? No nie, to by było za piękne, to tylko ja całe życie czekałam na kogoś w domu z obiadem, na Szmulka, na Lusię, na Mikołaja, na Bodzia. Ja czekałam z krupniczkami, a ten sukinsyn flirtował z Zosią, niech ją piekło pochłonie. A tam, stare dzieje. Kiedy te bagaże przyjadą, może odesłali je do Damaszku, czy na inny koniec świata, nie daj Boże, mam tam prezenty dla nich wszystkich, nawet dla Asi, Justyneczka na pewno ucieszy się tymi srebrnymi kolczykami, co za robota, co za precyzja! Toteż kosztowały majątek, ale Justysi przecież nie będę żałować. Są! No, są, słowo daję, są! Ciężkie jak cholera, dobrze, że Szymon będzie... gdzie on jest, słowo daję, zapomniał, czy co? Matko najmiłsza, przecież obiecał! Może miał po drodze wypadek, nic innego, tylko wypadek, ludzie teraz jeżdżą jak wariaci, może to tylko stłuczka, a może...Zaraz zemdleję, może Szymek leży teraz w jakimś szpitalu z rozbitą głową, żeby tylko przeżył! Żeby przeżył!

331

- Ciociu, tu jestem! Ciociu Aj ko! Jestem!!!

Jest! Co za ulga!

- Szymek, gdzie się schowałeś, już myślałam...

- Wiem, już widziałeś mnie na marach. Nie, cały czas tu sterczę, taki tłum...Daj te walizki, co tam masz, kamienie?
- Jakie kamienie? Kolczyki dla Justyneczki...
- Uszy jej się urwą.
- Nie wygłupiaj się. Trochę książek przywiozłam. Dla ciebie. Z twojej branży, ale po angielsku.
- Cudownie, ciociu!
- I puzzle dla Mirki, wiesz, jak ona lubi układać, a tam są zupełnie inne i coś dla Asi.
- Przecież nie lubisz Asi.
- Kto ci to powiedział?!
- Mam oczy.

Zrobiło mi się głupio, nie wiedziałam, że to widać. Rzeczywiście, nie przepadałam za Asią, jest apodyktyczna, trzyma Szymka pod pantoflem, krzyczy na Justynkę, a do mnie ma jakiś dziwny stosunek, jakby się bała, co za nonsens, czego się może bać? Nawet nie lubi, kiedy Justyna mnie odwiedza. „Tylko niech ciocia nie opowiada jej jakichś okropności - powiedziała kiedyś - żadnych wspomnień wojennych, bardzo ciocię proszę.” Niby się zgodziłam, nie, to nie, ale Justyna sama mnie prosiła! I co wielkiego, opowiedziałam tylko, co nam dawali w obozie do jedzenia, a Asia zrobiła z tego wielkie halo, myślałam, że mnie zabije.

- Jak ja ciocię proszę - krzyczała w słuchawkę - to ciocia nie rozumie.
- Przecież jej tylko powiedziałam, że nam dawali jedną kromeczkę dziennie i...
- Właśnie i że umieraliście z głodu. Justynka pół nocy przepłakała.
- A wiesz, ile ja nocy przepłakałam?

332

E tam, co tu dużo mówić, rzeczywiście nie lubię Asi.

- Zdaje ci się - powiedziałam teraz i nagle uświadomiłam sobie, że jedziemy sami z Szymkiem, a Mirka nie przyszła.
- Gdzie Mirka? Czeka u mnie?
- Nie, nie mogła przyjść, ma gościa.

No tak, cała Mirka, akurat musi zapraszać gości, jak ja przylatuję.

- Jakiego gościa?

- No właśnie - mruczy Szymek i jakoś dziwnie na mnie patrzy - sam nie wiem, jak ci to powiedzieć. Zdenerwujesz się.

- Niby dlaczego mają mnie denerwować goście Mirki, wiesz, gdzie ja mam jej znajomych, począwszy od tej wariatki Ruty, a ..*

Szymek jest wyraźnie nieswój.

- Tu nie chodzi o żadną Rutę. To ktoś, kogo znasz.

- No i dobrze, mam go w...

- Nie, nie masz go w...

Jakoś mnie to rozbawiło.

- No dobra, wykrztuś wreszcie, co to za tajemniczy gość?

Ale Szymon spojrzał na mnie i zaproponował:

- Wiesz co, jest wcześniej, może od razu pójdziemy do mamy?

- Jestem brudna...

- Mama też ma łazienkę. Przyszykowała obiad. Jak chcesz, to podwiozę cię do domu, zostawisz bagaże i dopiero...

Pomyślałam, że nie warto, przespałam się trochę w samolocie, nie byłam tak bardzo zmęczona, Szymon mnie zaintrygował.

- No dobrze, to jedź od razu do Mirki, posiedzę godzinę, a potem mnie odwieziesz.

- Wspaniale! - ucieszył się Szymon. - Ale mam coś do załatwienia na mieście, po prostu za godzinę po ciebie przyjadę.

333

Łgał jak pies, całe życie poznawałam, kiedy Szymuś kłamie, znałam go lepiej niż jego własna matka, która rzadko kiedy syna widywała, całe dni siedziała w redakcji, po południu tłumaczyła, a Szymuś bez przerwy siedział u mnie i bawił się z Lusią. Na wakacje też przeważnie go brałam, Mirka nie lubiła wyjeżdżać, a jak już jechała, to bez Szym-ka, do sanatorium, lichy wie gdzie, Leon chciał ich oboje zabierać na wczasy, ale Mirka mówiła, że musi chociaż miesiąc od nich odpocząć. Teraz Szymek też kłamał, wyraźnie nie chciał zostawać na tym obiedzie u matki. Dziwne, co jak co, ale gotować Mirka umie. Udawałam, że mu wierzę. Nie chce, to nie, nie mój interes.

- Dobrze - powiedziałam - ale dlaczego nie zjesz z nami? Mama byłaby zadowolona.

- Mama nie byłaby zadowolona - odpowiedział pełnym zdaniem Szymuś i żał mi się go zrobiło.

Znowu widocznie pomyślał, że Mirka go lekceważy.

- Na pewno... - zaczęłam, ale nie udało mi się skończyć zdania, właśnie dojechaliśmy, Szymon zapytał, czy ma zanieść walizki na górę, ale potrzebna mi była tylko jedna, ta z prezentami.

Otworzyła Mirka, jakaś dziwna, z wypiekami na twarzy, przywitała mnie z roztargnieniem, Szymon od razu poszedł.

W pokoju był jakiś mężczyzna, wstał na moje powitanie i raczej jęknął, niż powiedział:

- Ajka...

Nie znałam go. A może znałam? Czarne oczy, śniada cera... Coś znajomego w wygięciu ust ... Skojarzył mi się z bardzo dawnymi czasami, jakiś znajomy z getta? Ale kto?

- Nie poznajesz mnie?

Nie znoszę takich sytuacji, co można odpowiedzieć na podobne pytanie?

- Bardzo mi przykro, niezupełnie... tak, jakby...

334

- To jest Chaim - nie wytrzymała Mirka, a ja speszyłam się jeszcze bardziej. Jaki Chaim? Nie znałam żadnego Chaima, że też ktoś jeszcze teraz w Polsce się tak nazywa...

- Chaim - powtórzyła, nie wiadomo czemu bardzo zdenerwowana Mirka - no, Chaim Wilder. Heniek. Zlituj się, nie pamiętasz Chaima?!

Uznałam, że Mirka chyba zwariowała. Oczywiście, że pamiętałam Heńka Wildera, w getcie nie można było wejść do pokoju, żeby ich nie złapać na całowaniu się, ale przecież ten jej chłopak zginął w Powstaniu Warszawskim, same, osobiście, razem z Mirką spotkałyśmy dziewczynę, która widziała jego trupa.

- O czym ty mówisz... Mirka, przecież Heniek...

- On żyje! Żyje!

- Bredzisz.

- Przecież żyję - wtrącił się nie bez powodu ten facet -Ajka, to była pomyłka. Żyję, mieszkam w Ameryce. Żyję, co tak patrzysz, żyję!

- No, nie dziw się, że Ajka patrzy - powiedziała nerwowo Mirka - właśnie widzi ducha.

Słabo mi się zrobiło. Żyje?! Chaim żyje?!

- Zaszło nieporozumienie - wyjaśniał w niemądry sposób Heniek, słowo „nieporozumienie" jakoś

nie oddawało ducha tej sytuacji - Leon...

Nie słuchałam, usiadłam ciężko na krześle. Nie do wiary, no, nie do wiary. Chaim żyje, Heniek, za którym Mirka tak

tęskniła w obozie, Chaim o którym marzyła, Chaim...

* * *

- Gdyby tu był Chaim - mawiała w trudnych chwilach -to by załatwił nam inne miejsce na pryczy.

Rzeczywiście, środkowe leżysko, które przypadło siostram, było najgorsze z możliwych. Gdyby barakiem rządził Chaim, na pewno dałby im inne miejsce, dolne albo

335

górne, ale Chaima nie było, nie było ani przy zajmowaniu miejsc, ani przy rozdzielaniu zupy, ani pewnie w ogóle. Czasami Ajka miała dosyć tych wiecznych marzeń Mirki, tego beznadziejnego zakochania w Chaimie, którego zresztą i tak zdradziła z Leonem, a jeśli myślała, że Ajka o tym nie wie, to się grubo myliła. Wiedziała i nie mogła zrozumieć siostry, tak tęskniła za Heńkiem, tyle o nim mówiła, a w tym paskudnym gabinecie migdaliła się z Leonem. Ajka zresztą wołała Leona, jej zdaniem był o wiele miłszy, mądrzejszy, lepszy i przystojniejszy niż Chaim. Och, gdyby on tu był...

Prycza okazała się potwornie niewygodna, przewrócić się na bok mogły tylko obie osoby jednocześnie. Po kilku dniach Ajka zapomniała, że powinna być szczęśliwa bo jednak żyje. Nie mogła być szczęśliwa, boki ją bolały, nogi drętwiały, Mirka spała jak zabita, przewracała się nie wtedy, kiedy tego chciała Ajka. Koc był cienki i tylko jeden, w nocy bywało chłodno, Ajka przytulała się do pleców siostry, ale Mirka wcale nie była ciepła, też marzła pod kocikiem. Z siennika wyłaziły słomki, okropnie kłuły, było twardo, Ajka czuła się rano zupełnie połamana.

- Mirka, ja nie mogę spać na tej pryczy - narzekała - nawet usiąść się nie da, bo trzecie piętro jest za nisko. I w dzień też nie ma gdzie usiąść. Zobacz, ci co są na parterze, to mają dobrze! Mogą sobie w nocy normalnie wstać! I taka pani Sara, popatrz, pani Sara śpi samiutka na całym parterze, może usiąść w dzień i ma widno. A na trzecim piętrze, zobacz, mieszka taka pani Zosia, ma gorzej, niż ta cała Sara, ale lepiej niż my, może usiąść. Mogłabyś załatwić, żeby nas przenieśli?

Mirkę takie gadanie szalenie denerwowało.

- Z kim załatwić? Zwariowałaś, ciesz się, że żyjesz. Może mam napisać zażalenie do Hitlera?! Nie ma wolnych parterów, nie ma i już!

336

- A może ktoś umrze?

- Nawet jak ktoś umrze, to są tu tacy, którzy się przed nami przeniosą, starsi, nam łatwiej się wdrapać niż takiej na przykład, Leosi.

Ajka westchnęła i z zazdrością popatrzyła jeszcze raz na legowisko Sary. Marzyła o nim po nocach, to był niesłychany luksus, niewyobrażalna wygoda. Sąsiadka zdobyła skądś kawałek odłamanej deseczki, a może wyjęła ją nawet spod siennika i oddzieliła w nogach jakby pudełeczko, taką półeczkę z otworem u góry. Trzymała tam miskę i łyżkę, a obok jakieś swoje przywiezione i nie odebrane drobiazgi, chustkę do nosa i książkę! Naprawdę, prawdziwą, najprawdziwszą książkę.

Chyba nigdy o niczym Ajka tak nie marzyła, niczego tak nie pragnęła, jak tej parterowej, cudownej pryczy, razem z tym schowkiem i książką. Gdyby pani Sara chciała ją pożyczyć! Ale nie, okazało się, że nie, że to niemożliwe.

- To jedyne, co mam - powiedziała pani Sara - i ja tę książkę czytam bez przerwy, bo inaczej bym oszalała. Moje drogie, nie wypuszczę jej z ręki za nic na świecie.

- To już ją chyba pani zna na pamięć?

- Dziecko kochane, ja już nie mam pamięci, wolę nie mieć pamięci, nie mów o tym, ja się staram zapomnieć.

- O czym pani chce zapomnieć?

Ajka doskonale pamięta, że właśnie w tej chwili podbiegła Mirka i odciągnęła ją od Sary, a potem ostro skrzyczała.

- Nie zadawaj takich pytań, idiotko! Tu każdy wolałby o czymś nie pamiętać, rozumiesz?

I Ajka przypomniała sobie mamę, właściwie nie musiała sobie przypominać, mama ciągle w niej tkwiła - zginęła czy uciekła? Mirka mówiła, że na pewno nie uciekła, to znaczy, że zabili ją tam na stacji? A może nie? To było okropne, Ajka z przerażeniem uświadomiła sobie pewnej

337

nocy, że wolałaby wiedzieć na pewno że mama nie żyje, niż się ciągle niepokoić, zastanawiać i truć. Z płaczem przyznała się siostrze do tego okropnego uczucia, uważała, że to straszny, niewybaczalny grzech i że ani Bóg, ani mama nigdy by jej tego nie przebaczyli. Ale akurat o to Mirka się nie pogniewała.

- Nie płacz, Ajusiu - powiedziała i pogładziła dziewczynkę po głowie - już nie płacz. Jeśli to cię pocieszy, mój Boże, to ci powiem, że mama na pewno nie żyje.

Okazało się jednak, że to wcale nie była żadna pociecha i Ajka znowu nie mogła spać, bo wyobrażała sobie jak mama umiera tam na tej stacji, jak woła Ajkę i Mirkę, a one sobie pojechały dalej pociągiem i mama umierała samotnie. Nie było końca tej sprawy, nie można było tego zrozumieć, czy życie w ogóle jest możliwe bez rodziców, bez Leona, bez Salka? A co będzie, jak Miriam też umrze?

- Nie martw się - pocieszała siostra - jak umrzemy, to razem.

Ale tak też nie było dobrze, jak to „umrzemy”?

Ajka pomimo wszystko nie umiała sobie tego wyobrazić. Czy umiera się na zawsze? A może potem się wraca? No tak nic dziwnego, że pani Sara chciała o czymś zapomnieć, może o cudzej śmierci, a może o własnej? Ajka też wolałaby nie pamiętać getta, ale uważała, że nie powinna zapominać, bo wtedy zapomniaby też o ojcu, o Józiu, o Sal-ku! Nie, Ajka chciała pamiętać Salka, zawsze chciała o nim pamiętać. Przysięgła sobie, że nigdy nikogo innego tak naprawdę nie pokocha, zresztą czy istniał drugi taki Salek na świecie?

Tak też powiedziała pewnego dnia pani Sarze, która okazała się bardzo miłą kobietą i Ajka miała prawo siadać na jej pryczy. Mirka też, więc w dzień już nie trzeba było ciągle stać.

338

- Proszę - powiedziała pani Sara - siedźcie sobie, przecież wam tego nie żałuję.
- Oj, jak fajnie! - ucieszyła się Ajka, a Mirka westchnęła:
- I tak nas chyba niedługo pognają do roboty.

Ale okazało się, że nie. Ktoś rozmawiał z jakimś Niemcem, może go przekupił, a może ten Niemiec okazał się człowiekiem, i dowiedział się, że to nie jest obóz pracy. Że mają ich wszystkich wymienić na jeńców wojennych, a jak nie, jakby się nie udało, to... Wiadomo, ten Niemiec tylko machnął ręką i powiedział, że te transporty, które stąd wyjeżdżają, to wcale nie na wymianę, tylko...

Jeden z mężczyzn, z męskiego baraku, który jak się okazało, był niezbyt daleko, powiedział pani Sarze, żeby się modliła, bo ta cała lista palestyńska to lipa i że żadnych jeńców nikt za tych, co się na nią zapisali, nie odda. Że potrzymają ich, a potem do pieca. Ajka podsłuchiwała, jak pani Sara rozmawiała o tym z Mirką. Ale wolała nie wierzyć w taką okropną rzecz, to pewnie plotki, po co by tu ich Niemcy więzili, mogli wszystkich od razu zabić. Na pewno ta lista jest ważna i pewnego dnia wszyscy pojedą gdzieś daleko i tam ich wymienią i wszystko będzie dobrze. Ajka czasami myślała tak, a czasami inaczej, a najczęściej w ogóle nie zastanawiała się nad tym, co będzie i tylko starała się przeżywać dzień za dniem.

Tymczasem pani Sara tak się przywiązała do Ajki i Mirki, że kazała mówić do siebie „ciociu”. I nawet dała Ajce do przejrzania tę książkę, ale okazało się, że napisana jest po żydowsku, i ani Ajka, ani Mirka nie mogły przeczytać ani słowa.

- Mogę was pouczyć - zaproponowała ciocia Sara, ale tymczasem okazało się, że jest coś o wiele ciekawszego, że pani Weronika urządziła szkołę na pryczy i tam można było się uczyć! Więc Mirka przeprosiła ciocię, bo ważniejsza była taka niby normalna nauka, niż akurat żydowski.

339

- Ciociu - tłumaczyła Mirka - nie gniewaj się, ale co my zrobimy z tym językiem, jeśli nawet przeżyjemy, to z kim będziemy rozmawiać? Z nieboszczykami?

Ciocia Sara rozplakała się, ale przyznała Mirce rację.

- No dobrze, to niech Ajka chodzi do tej pani Weroniki -powiedziała - ale ty, Mirka, mogłabyś się pouczyć. Jak nie chcesz żydowskiego, to mogę dawać ci lekcje angielskiego, co?

Owszem, to Mirce bardziej odpowiadało, Anglików Niemcy chyba nie pozabijają?

- Właśnie - przypomniała sobie wtedy - gdyby tu był Chaim, to też by mógł uczyć, on znał angielski. To znaczy zna, przecież na pewno żyje. Nawet lepiej, że go tu nie ma...

Właściwie nie było wiadomo, czy to lepiej, czy nie, gdzie w ogóle Żydowi bywa lepiej czy bezpieczniej? Ajka uważała, że nigdzie.

Rozdział XXXVIII

No tak, tam nie było Chaima, ale teraz siedzi tu przede mną i normalnie popija kawę ze szklanki. To jest po prostu niewiarygodne, owszem, po wojnie odnajdywali się ludzie, takie sytuacje były na porządku dziennym, przecież ja też odnalazłam Mirkę, a właściwie ona mnie, ale teraz?! Po tylu latach?

- Chaim? Heniek?! Jak to się stało?! Wszyscy byliśmy pewni, że nie żyjesz, ta dziewczyna widziała twojego trupa?!

- Uspokój się - mówi Mirka, ona co drugie zdanie, które kieruje do mnie, rozpoczyna od „uspokój się” to jest nie do wytrzymania, czy ja rzeczywiście robię wrażenie wiecznie podminowanej? - Uspokój się, to nie był Heniek, tamten był brunetem, że też żadna z nas o tym nie pomyślała!

- Mirka, coś ty, przecież Chaim był czarny jak...

- Ale się ufarbował, żeby nie wyglądać jak Żyd.

No tak, prawda, Mirka mi wtedy mówiła.

- Rzeczywiście, więc kto to był?

- Nie wiem, chyba Wojtek, walczyliśmy razem, ale jak mnie trafili w nogę to zemdlałem. Gdyby nie Basia...

- Jaka Basia?

- Jego żona - mówi z przekąsem Mirka. - Od razu po wojnie Heniek się ożenił.

- Jak mogłeś - zrobiło mi się okropnie przykro, Mirka tak go kochała, zdradzała go, ale... - No, jak mogłeś?!

341

I Chaim z Mirką zaczęli mi tłumaczyć, przerywali sobie, cała ta historia była zupełnie nieprawdopodobna. LEON??? Leon okazał się taką świnią? Ten Leon, którego uważałam prawie za ojca, który był taki dobry, szlachetny, który tyle lat mnie utrzymywał, no, razem z Mirką, ale jednak! Leon, którego kochałam, podziwiałam?

- To niemożliwe, on by tego nie zrobił, to nieporozumienie...
- I nie tylko Leon, ale i Szymek - dobiła mnie Mirka.
- Jaki Szymek?
- Znasz wielu Szymków?
- Twój?
- Właśnie.

Ale okazuje się, że Szymek przyrzekł i nie można mieć do niego żalu.

Wypiłam tę kawę, zjadłam coś i Szymon odwiózł mnie do domu. Byłam zupełnie wypompowana i zdezorientowana, nie każdy po powrocie z końca świata zastaje w domu ducha. Coś podobnego!

Szymon hałasował w kuchni, weszłam do niego.

- Synuś - powiedziałam - daj spokój, co ty wyczyniasz, przecież jadłam obiad u Mirki.

Ale okazało się, że Szymek nie gotuje, tylko kroi cielęcinę na kawałki do zamrożenia. Nakupił mi tyle mięsa, że starczyłoby dla pułku ułanów, zwariował.

- Po co to, ile wydałeś, niech ci chociaż zwrócę.

Ale Szymek absolutnie i kategorycznie odmówił przyjęcia pieniędzy, wsadził pacuszki do zamrażalnika i pokazał mi kilka puszek z jarzynami.

- Masz obiady co najmniej na dwa tygodnie - stwierdził - potem powiesz mi co dalej.
- Dalej kupię sobie sama.
- No, zobaczymy.

Dobry chłopiec z tego Szymona, taki opiekuńczy, Asia doprawdy ma szczęście, ani ładna nie jest, ani specjalnie

342

miła, a złapała takiego wspaniałego chłopca. No, trzeba przyznać, że Justynę dobrze wychowała, trochę może za bardzo ją wychuchali. Ile razy wymknie mi się coś o tamtych czasach, tyle razy zwraca mi uwagę, że niby po co martwić dziecko. Nawet Mirce to mówią, chociaż muszę przyznać, że Mirka rzadko wraca do tamtych lat, a mnie się ciągle snują po głowie. Bo uważam, że zmarnowano mi życie. Tak, właśnie tak uważam, nie byłam winna, że odeszli ode mnie aż trzej mężowie, nie byłam temu winna, jestem, jaka jestem, przez getto, przez obóz, sama wolałabym być wesoła i dowcipna. Szmulek też swoje przeżył i mógłby mnie zrozumieć, a nie zostawiać mnie z dzieckiem i zwiewać do Izraela. Gdyby został, może mielibyśmy drugie dziecko[^], takiego chłopaka, jak Szymon, nazwałabym go Salomon, Salek, zawsze

chciałam mieć Salomona, synka Salomona, takiego, jak Szymon. Ale Szmulek zwiął, a tamci...Nie, Mikołaj był ze mną tylko przez rok. a Bodzio... Było już dla mnie za późno, on też mówił, że za późno, Lusja już była duża... No i patrzcie ludzie, ze mną było za późno, ale jak złapała go ta koszmarna Zo-sieńka, to okazało się, że nie jest za późno, a Staszek ma teraz jedenaście lat! Może rzeczywiście nie byłam dla Bohdana dobra? Ale przecież pielęgnowałam go w chorobie i gotowałam i pracowałam. Chciałam tylko, żeby się mną opiekował, czy to zbyt duże wymagania? Szymon opiekuje się Asią, widocznie należy do takiego opiekuńczego typu mężczyzn, dla mnie też jest nadzwyczajny-

- Szymek, idź już do domu, zostaw te zakupy, resztę sama rozpakuję. Jesteś wspaniałą, nie wiem, jak ci mam dziękować, żeby tak rozpieszczać starą ciotkę.

~ Dla mnie jesteś drugą matką, dobrze o tym wiesz.

O mało się nie rozplakałam. No tak, wiem o tym, Mirka zawsze była chłodna, z rezerwą, a ja..

343

Nie, chyba nie zawsze, wtedy, w obozie, wcale nie była zimna, doskonale pamiętam, jak mnie przytulała, pocieszała. ..

- Wiesz, Szymek, Mirka dawniej była inna. W obozie...

-Ajka...

* * *

W obozie, o którym Ajka już tyle razy opowiadała, że nikt nie chciał jej słuchać, w obozie, o którym Ajka mówiła zalewając się łzami, tak, że nie sposób było wytrzymać rozmów na ten temat, w obozie Mirka była inna.

W nocy przytulała siostrę i nawet śpiewała jej piosenki, jakieś dziecinne kołysanki, o zaczarowanym sadzie, w którym mieszkał jeź, o tym jak niebo sypie gwiazdami, o jakimś Murzynku, który śpi u mamy. Mirka nigdy nie miała ładnego głosu, ale to ciche nucenie nie wymagało talentów wokalnych. Ajka często usypiała, wyobrażając sobie, że jest w domu i że to mama tak ją przytula, że w sąsiednim pokoju jest ojciec, a może nawet Józio. Zасыiała spokojnie, ale w nocy budziła się kilka razy, bo trzeba było przewrócić się na drugi bok. Prycza skrzypiała, ktoś krzychał przez sen, na panią Sarę sypały się źdźbła słomy z siennika. Ranki były zupełnie beznadziejne, aż do dnia, kiedy pani Weronika urządziła tę swoją słynną szkołę na pryczy. Od tego czasu było trochę lepiej, Ajka od rana cieszyła się na tę godzinę czy dwie, kiedy usiądzie razem z Melą, Esterką i Krysią obok nauczycielki. Była ona osobą bardzo pomysłową i w tych warunkach, kiedy oczywiście nie było niczego, nawet papieru, uczyła poprawnego pisania. Od razu pierwszego dnia wszystkie dziewczynki podniosły materac z łóżka pani Weroniki i jej córki Krysi i wyjęły jedną deskę z pryczy. A potem się złożyły i za cztery małe kromeczki chleba kupiły od pana Wojtka ołówki.

344

- Sprzedają tylko dlatego, żeby szkoła mogła istnieć - powiedział - no i jestem głodny.

Pewnie, wszyscy byli głodni chociaż nie tak bardzo, jak parę miesięcy później, ale nie wszyscy mieli co sprzedać. Pan Wojtek był kiedyś studentem medycyny. W czasie wojny, żeby nie zapomnieć tego, czego się nauczył, robił ciągle nowe konspekty, nosił więc ze sobą przyboiły do pisania. Miał chyba ze trzy ołówki i nawet notesik, ale ten jeden zielony ołóweczek oddał pani Weronice. Dziewczynki pisały na desce z pryczy i przez ten czas, kiedy istniała szkoła, zapisały chyba deski z kilku pięter, ale w użyciu były tylko dwie, bo pani Weronika szorowała je kawą, żeby Niemcy broń Boże nie trafili na te niby-wypracowania.

- Mama je mŚe, bo jakby przeczytali, że Ajka napisała, że Hitler to świnia, to by nas wszystkich wzięli i powiesili.

- Raczej nie pisz takich rzeczy - prosiła nauczycielka.

- A mówić mogę?

- Mówić możesz.

Na tych lekcjach dziewczynki uczyły się też rachunków i historii, ale biologii nie.

- Przykro mi, ale pojęcia o tym nie mam - tłumaczyła się pani Weronika i nawet zapytała, czy Wojtek, jako medyk, nie mógłby jej pomóc. I Wojtek rzeczywiście raz miał wykład o anatomii człowieka, ale ani Ajka, ani inne dziewczynki nic z tego nie zapamiętały, oprócz wiadomości, że człowiek ma kość ogonową. Czuło się ją siedząc na twardej pryczy. A potem Wojtek powiedział, że nie po to się wysiła, żeby dziewczynki robiły sobie żarty i już nie było więcej wykładów z biologii ani z anatomii. Po wojnie przez całe liceum Ajka miała okropne stopnie z tego przedmiotu, a raz nawet zdawała poprawkę po wakacjach. I o czym by nauczycielka nie mówiła, wszystko kojarzyło się Ajce z Wojtkiem i kością ogonową. Żadne korzenionózki ani Paprocie i ich rozmnażanie nie wchodziły jej do głowy, a

345

kiedy usiłowała opowiedzieć o obozie i Wojtku na lekcji, koleżanki ją wyśmiewały, pani nie wysłuchała, a potem powiedziała, żeby Ajka przestała zwać wszystko na wojnę, że wszystkie dziewczynki ją przeżyły i nie ma co o tym bez przerwy myśleć. Ajka na początku była bardzo urażona, ale potem dowiedziała się, że męża biołozki zamordowali w Oświęcimiu i przestała się boczyc na nauczycielkę.

Ale na przykład z polskiego wiele się Ajka w szkole pani Weroniki nauczyła, do dziś pamięta fragmenty poematów Słowackiego, ulubionego poety obozowej nauczycielki... „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami" powtarzała sobie wtedy wieczorami początek wiersza „Testament mój", „Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny, Dziś was rzucam i dalej idę w cień - z duchami - " ...dalej było coś, czego Ajka nie rozumiała i wobec tego nie zapamiętała. Mirka nawet się trochę dziwiła.

- Czy to nie jest dla was za poważne? - pytała.

- Ależ skąd - teraz Ajka była zdziwiona - dlaczego „za poważne"? Może dalej, ale te linijki nie. Przecież my tu wszyscy razem cierpimy i płacemy. Może nie? Ciekawe, czy za czasów Słowackiego też

były obozy i getta i łapanki.

- Nie było, nie zwracaj głowy - gniewała się Mirka -jemu chodzi zupełnie o co innego.
- Może, ale to i tak pasuje.

Mirka machnęła wtedy ręką, co za różnica, nie chciało jej się tłumaczyć siostrze przesłań wieszczą, czy miała jakieś znaczenie właściwa interpretacja poezji? Ale i tak okazało się, że pani Weronika rozwiała wątpliwości Ajki. Musiała być dobrą nauczycielką, skoro już po wojnie Ajka właśnie z tego tematu dostała kiedyś piątkę z plusem. Ołówek zamienił się po pewnym czasie w smętny ogryzek. Nie bardzo było czym pisać i Weronika zwróciła się do pana Wojtka.

- Może sprzeda pan nam jeszcze jeden?

346

Niestety, Wojtek miał już dla dziewczynek tylko pół ołówka, resztę oddał panu Dawidowi, który prowadził w męskim baraku tak zwany „tramwaj”

- Oni są zupełnie nieprzytomni - denerwowała się ciocia Sara - zobaczysz, Mirka, powiesz całą grupę, a może i nas razem z nimi! Jak wejdą i zobaczą, co tam się dzieje, to...

Ajka była bardzo ciekawa. Co też takiego mogło się tam dziać? Kobiety w zasadzie rzadko wchodziły do męskiego baraku, ale kiedy dziewczynka zorientowała się, że mężczyźni właśnie tego dnia mają swoje tajemnicze zebranie, weszła do baraku pół godziny wcześniej i schowała się pod pryczą pana Dawida.

Było ich pięciu, może sześciu, zdjęli z dolnej pryczy materac i ku zdumieniu Ajki, zaczęli wyjmować co drugą deskę.

„Na łeb im się rzuciło, chcą może tymi deskami bić Niemców?!” Ale nie, wyjęte deski postawili pod ścianą, Wojtek został wysłany przed barak.

- Dlaczego ja? - usiłował bronić się chłopak. - Też chcę posłuchać!
- Ktoś musi stać na warcie - powiedział Dawid - następnym razem stanie Marek. Sam wiesz, że nie mogą nas złapać z tą gazetą, wykończą nie tylko tramwajarzy, ale tego Niemca też.
- Uch, zabiję się z rozpacz - Wojtek złapał się za głowę - wielkie rzeczy, będzie o jednego Niemca mniej.
- Akurat o tego jednego dobrego.
- Strasznie on dobry, za darmo nam tej gazety nie podrzuca.
- Jak to? Nikt mu nie płacił.
- Ale wyrabia sobie opinię. Jakby co, to sam przyznasz, że nam pomagał.

- Jakby jakie „co”?

~ No, jakby przegrali wojnę.

Dawid spojrzął na chłopca.

347

- Żartujesz, na razie się na to nie zanosi. On naraża życie.

- Wiesz, gdzie go mam z jego życiem?

- No dobrze, ale pilnować trzeba. Idź przed barak.

Ajka w dalszym ciągu nie rozumiała o co chodzi i co mają

tu ci panowie robić. Zrozumiała dopiero wtedy, kiedy wszyscy usadowili się na tych deskach, a w szpary spuścili nogi. Wyglądało to rzeczywiście tak, jakby jechali tramwajem. Dawid wyciągnął skądś niemiecką gazetę, gdzie na marginesach wypisał sobie część tłumaczenia, a potem zaczął streszczać i omawiać artykuły. Były to wiadomości sprzed dwóch tygodni, ale nawet Ajka musiała przyznać, że lepszy rydz niż nic.

Wiadomości były fatalne. Niemcy chwalili się zwycięstwami, więźniowie w „tramwaju” wzdychali, a Ajka w pewnym momencie wybuchnęła płaczem.

Marek zerwał się jak oparzony, zajrzał pod pryczę i wyciągnął zasmarkaną i potarganą dziewczynkę.

- Co ty tu robisz, do jasnej cholery?!

- Nie krzycz na dziecko - wtrącił się Dawid - no, powiedz, co tu robisz?

- Byłam ciekawa... ale Niemcy... co będzie, jak oni...

- Na razie martw się, co będzie, jak powiem twojej mamie, co wyprawiasz.

Ajce zrobiło się strasznie smutno.

- Mama nie żyje, to moja siostra...

- Wszystko jedno.

Dziewczynka pomyślała, że to wcale nie jest wszystko jedno i ten cały Marek chyba ma źle w głowie. Dawid też widocznie zwrócił na to uwagę, bo spojrzął na chłopca.

- Co ty wygadujesz, nie płacz, Ajka, Mirka nic ci nie zrobi. Tylko nikomu o nas nie mów, ani o gazecie, ani o „tramwaju”!

- Dobrze, ale Mirce mogę?

348

- Mirka wie. A ty, Marek nie strasz dziecka, nie uważasz, że i tak ma dosyć?

- A kto nie ma dosyć - zdenerwował się Marek - nie będę tu nad nikim wylewał łez, matka nie żyje i co z tego, a moja żyje? A twoja? Kto w ogóle żyje, my też jesteśmy martwi, chodzące trupy, myślicie, że wyjdziemy z tego piekła?

Ajka z przerażeniem patrzyła, jak Marek krzyczy, jak wybucha płaczem, jak Dawid kładzie mu jakąś mokrą szmatę na czole.

- Uciekaj stąd - powiedział jeden z mężczyzn - ale to już!

I Ajka pobiegła do kobiecego baraku, rzuciła się Mirce na szyję.

- Powiedz, my^tąd wyjdziemy?! Wyjdziemy?!

- Nie płacz, kochanie, oczywiście, że wyjdziemy - przytuliła ją starsza siostra.

Nie, nikt nie mógłby wtedy powiedzieć, że Mirka jest oschła czy nieczuła.

Kiedy się tak zmieniła? Może po wojnie?

Rozdział XXXIX

Szymon wyszedł, zawsze mi smutno, kiedy wychodzi, mój Boże, żeby Lusia była chociaż w połowie taka kochająca i uważająca, jak ten chłopiec. A przecież skakałam koło niej całe życie, ptasiego mleka jej nie brakowało, z Mikołajem rozwiodłam się też dlatego, że nie był dla niej taki dobry, jak to sobie wyobrażałam. Oczywiście, wiem, że i on miał pewne pretensje, podobno ciągle narzekałam, nieprawda, zresztą co miałam robić? Pozwolić, żeby zdominował Lusię, żeby skąpił jej na stroje, na głupią czekoladę? Sto razy mu mówiłam, że już ja się dosyć nagłodowałam, dosyć nanosiłam łachmanów, że moja córka nie musi tego powtarzać. E tam, nie warto wracać do tych spraw.

No więc Szymon wyszedł, wlałam pod prysznic, zmyłam z siebie podróż samolotem, przyszykowałam kanapki, chciałam obejrzeć telewizję, ale nie rozumiałam, o czym mówią. W głowie cały czas tkwiła mi historia z Chaimem. Nawet nie to najbardziej mnie poruszyło, że się odnalazł, co on mnie właściwie obchodzi, obcy facet, nigdy za nim nie przepadałam. Byłam zadowolona kiedy Mirka przestała na niego czekać, kiedy uwierzyła w jego śmierć i wyszła za męża. Uważałam, że Leon jest o całe niebo lepszy od Heńka. Więc teraz też najbardziej zbulwersowała mnie sprawa jego postępowania, jego kłamstwo, jak mógł?! Oszukał Mirkę, po prostują okłamał, nie ma co mówić, jego milczenie było obrzydliwym kłamstwem i jeszcze wciągnął w to syna! Czułam okropne rozczarowanie, złość, że

350

Leon nie żyje i nie mogę mu wygarnąć prawdy w oczy. Mirka by go chyba zamordowała gdyby sprawa się

sypnęła kilka lat temu.

A z drugiej strony, z drugiej strony, chyba go jednak rozumiem. Ta idiotka gotowa była rzucić jego, rzucić Szym-ka i polecieć do Ameryki nawet wiedząc, że Chaim jest żonaty. Był legendą jej życia, niedoścignionym wzorem i ideałem, już ja znam Mirkę, co tam mąż, dziecko, a tym bardziej jakaś Basia? Pojechałaby do niego, na pewno! Więc może Leon dobrze zrobił?

Myślałam o tym cały wieczór, spałam niespokojnie, a rano obudził mnie ten telefon, doprawdy, coś potwornego, dopiero co przyjechałam, jeszcze się na dobre nie zdomowiłam, a tu taka sprawa, taka koszmarna sprawa, dlaczego zawsze wszyscy czegoś ode mnie chcą?

Nie, nie miałam pojęcia, czy Zosia miała jakąś dalszą rodzinę, oboje wychowywali się w Domu Dziecka, oczywiście w innym okresie, Bodzio był od niej o sto lat starszy. Spotkali się na zjeździe wychowanków dziesięć lat temu, nie, co ja mówię, przecież Staszek ma już jedenaście lat. Czyli jakieś dwanaście lat temu. Od razu, kiedy wrócił, wyczułam, że coś jest nie tak, łąził cały w skowronkach, stary pryk. Pół wieku już miał na karku, nawet z hakiem, a ona była ze dwadzieścia lat młodsza! Doskonale pamiętam tę „zasadniczą rozmowę”, którą ze mną pewnego dnia raczył przeprowadzić. Nawet wino kupił, pacan, chociaż wiedział, że po winie słabo mi się robi. Postawił butelkę i kieliszki, kręcił się na tym fotelu jakby go coś gryzło, wzdychał i pocierał dłonią czoło.

- No dobrze - powiedziałam - więc o co chodzi?

Domyślałam się o co, już mi Ruta zdążyła powiedzieć, że go widziano w knajpie z jakąś podfruwajką, jak to się teraz nazywa? Laska? Nieważne. Bodzio był człowiekiem uczciwym, to muszę przyznać, co w sercu to na języku.

351

Miałam tylko nadzieję, że to jakaś przelotna sprawa, że się wypali, ale nie.

- Chodzi mi o Zofię - oświadczył oficjalnie - Ajuniu, bardzo mi przykro, ale czy pamiętasz? Po tamtym zjeździe wychowanków opowiadałem ci o Zofii, ale potem ... no, potem się z nią spotykałem.

- Długo to trwa?

- Kilka miesięcy, tydzień po zjeździe wpadłem na nią w tramwaju i tak jakoś...

Byłam nawet skłonna mu to wybaczyć, trudno, nie ma takiego chłopa, żeby od czasu do czasu nie zrobił skoku w bok.

- Bardzo to obrzydliwe - stwierdziłam - ale trudno. Zapomnijmy o sprawie, pod warunkiem, że...

- Nie, nie o to chodzi - powiedział Bodzio, a potem wylał na moją głowę kubeł pomyj. Otóż okazało się, że ja jestem egoistką i nie chciałam z nim mieć dziecka, ale mam Lu-się, a on nie ma nikogo i...

- Jakiego dziecka? - zapytałam - O czym ty mówisz, nie odmawiałam ci żadnego dziecka, jak się pobraliśmy, byłam już dobrze po czterdziestce, a ty... Nawet nie pamiętam, żebyśmy mówili na ten

temat.

- Owszem, mówiliśmy, raz, przed ślubem, zapytałem, czy chcesz mieć jeszcze dzieci, a ty popukałaś się palcem w czoło.

- Boże mój, myślałam, że ty się tego boisz, a nie, że chcesz.

I głowę dam, że tak właśnie było, a Bodzio, z tą całą swoją uczciwością teraz wykręcał kota ogonem. Podskakiwał na tym fotelu, męczył się, aż w końcu namaszczonym głosem oznajmił:

- Wiedz, moja droga, że Zofia spodziewa się maleństwa, mojego dziecka. Przyznasz, że mam wobec niej poważne zobowiązanie i bardzo cię proszę, usilnie cię proszę, żebyś

352

nie robiła trudności i dała mi rozwód. Najlepiej byłoby za obopólną zgodą.

Wściekłam się.

- Możesz mnie pocałować w tę obopólną zgodę! - wrzasnęłam i walnęłam go poduszką w tw.

Potem było trochę zamieszania z adwokatami, Lusia bardzo to przeżyła, lubiła Bodzia, ale w końcu wszystko się ułożyło i nawet raz, kiedy Staszek miał chyba rok, poszliśmy do nich. Jeden jedyny raz, pławienie się w ich szczęściu rodzinnym jakoś mnie nie uszczęśliwiło. Wykręcałam się potem jak mogłam, chociaż nie do wiary, ta Zosia kilka razy dzwoniła, nawet mi powiedziała, doskonale pamiętam, że chciałyby utrzymywać kontakt, bo Staszek oprócz nich nie ma żadnej rodziny, ani babci, ani nikogo, więc ja mogłabym być dla niego na przykład cicią. Pomyślałam wtedy, że dziewczucha jest bezczelna i nietaktowna i bardzo byłam zła, kiedy okazało się, że Lusia, w tajemnicy przede mną, jednak tam bywała. Mirka, przed którą wyplakiwałam tę nielojalność Lucynki, wcale nie stanęła po mojej stronie.

- Zosia nie jest niczemu winna, Bohdan i tak by odszedł - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo jesteś niemożliwa, ciągle stękasz, narzekasz, doprowadzasz ludzi do rozpacz. Opanuj się, doprawdy, albo się lecz, co ci szkodzi, że Lusia pobawi się ze Staszkiem?

Okropnie się wtedy na Mirkę pogniewałam, ja mam zmartwienie, a ona jeszcze dokłada! Wcale tak ciągle nie narzekałam i nie przez to Bodzio przespał się z tą dziumdzią, tylko dlatego, że była ode mnie młodsza! Dlatego!

No i masz, teraz ten koszmarny telefon, co ja mam robić?! Boże, dlaczego tak mnie doświadczasz, dlaczego właśnie mnie zsyłasz same cierpienia, kłopoty?! Dlaczego się na mnie uwziąłeś?!

353

To było właściwie powiedzonko pani Sary „Boże, czemu się na nas uwziąłeś?!“ Kiedyś usłyszał to jeden z

najstarszych mężczyzn. Z zawodu był krawcem damskim i sympatyzował z Gołą, która też była krawcową, ale w przeciwieństwie do swego starego adoratora, umiała nawet w obozie wyciągać ze swojego zawodu korzyści. Tego dnia Kopel odwiedzał właśnie w baraku Gołą i bardzo się rozłościł kiedy usłyszał słowa Sary.

- On się na nikogo nie uwzina - powiedział niezbyt poprawnie, gdyż jego rodzinnym językiem był żydowski, a polskiego nauczył się już jako czeladnik krawiecki - na nikogo, a już najmniej na nasz naród. Jesteśmy wybrani i te cierpienia będą wynagrodzone, a...

- Panie Koplu, daj pan spokój - rozłościła się Sara -nikt mnie nie pytał, czy chcę być wybrana, oprócz mego, błogiej pamięci, męża.

Kopel okropnie się zgorzzył i długo na widok nieszczęsnej Sary odwracał wzrok, a Ajka nawet twierdziła, że spluwał. Mimo to ciągle odwiedzał Gołą, która zajmowała parterowe miejsce na pryczy naprzeciwko Sary i Mirki. Opowiadał też różne historyjki Racheli, wielkiej, niezgrabnej i niedorozwiniętej córce Goły, przez którą o mały włos nie doszło do nieszczęścia. Gdyby Niemcy zrobili ten apel z miskami jeden dzień wcześniej...

Dla Ajki takie nadprogramowe apele były męką, dziecku trudniej stać długo bez ruchu niż dorosłym. Codzienne apele nie trwały tyle czasu, zawsze wszystko się zgadzało, ten sektor był położony w środku innych terenów, dla innych rodzajów więźniów. Każdy był otoczony drutem kolczastym, więc żeby uciec, trzeba by się przebić przez obce obozy, wszystko razem zaś było położone w głębi Niemiec. O wydostaniu się z tego miejsca nie mogło być mowy, nikt nawet nie próbował,

354

0 ile Mirce i Ajce było wiadomo. Toteż na apelu brakowało tylko umarłych, a w pierwszym okresie nie było ich wielu. Dopiero później, gdy głód był już nie do wytrzymania, gdy szalał tyfus... ale wtedy, kiedy zdarzyła się ta historia z Rachelą, normalne apele można było wystać. Gorzej się działo z tymi specjalnymi, Ajka nie miała siły stać godzinami, gdy Niemcy sprawdzali czystość prycz wynoszonych przez więźniów na tak zwany „apel z pryczami". Właśnie na takim apelu przysiadła sobie na piętach.

- Ajka wstań, bo będzie nieszczęście - prosiła Mirka i Ajka wstawała, ale po godzinie znowu siły ją opuszczały. Nie tylko ją. Jeden z Niemców latał dookoła kolumny, stojącej w błocie obok rozłożonych na deski prycz. Niektórzy przy-siadali na stelażach, niektórzy siadali na ziemi, Niemiec się wściekał, aż w końcu złapał jedną z desek...

Mirka też wtedy oberwała, w samą skroń, straciła na chwilę przytomność. Kiedy się ocknęła, było już po apelu, Ajka przykładła jej do głowy jakąś szmatę, była zapłakana, ręce jej się trzęsły.

- Czego ryczysz? - wyszeptała dziewczyna - też oberwałaś?

- Płaczę, bo się boi o ciebie - powiedziała Sara - o mały nie umarła ze strachu. No ale już wszystko w porządku. Ile palców widzisz? - wyciągnęła przed siebie dłoń

1 Mirka, którą rozśmieszyło to proste pytanie, odpowiedziała:

- Osiemdziesiąt.

Ajka, przerażona, znowu zaczęła chlipać, a Sara krzyknęła:

- Nie wygłupiaj się, straszysz dziecko.

- Ojej, no, ile, oczywiście, że pięć, Ajka czemu ty ryczysz, nic mi nie jest, tylko głowa mnie trochę boli.

Głowa bolała Miriam jeszcze przez kilka dni, czasem widziała wszystko jak przez mgłę, kręciło jej się, jak mówiła,

355

we łbie, ale potem dolegliwości przeszły i na razie wyglądało na to, że okropnie wystraszonej Ajce bardziej to bicie zaszkodziło, niż Mirce.

- Tak to jest, gdy człowiek boi się o kogoś - mówiła Sara - tak to już jest. Kiedy żył mój Milek nie sypiałam całymi nocami i co minutę sprawdzałam, czy oddycha. A to były przecież spokojne czasy, mieliśmy piękne mieszkanie na Kruczej, mąż był lekarzem, i daj każdemu, Boże, takie zarobki. A potem... Ciesz się, że Mirka jest tu z tobą, że jeszcze masz dla kogo żyć. Może jakoś to się skończy, może Niemców szlag trafi, wyjdiesz za mąż, będziesz miała dzieci, Mirka będzie miała dzieci...

Wtedy chyba pierwszy raz pojawiło się w głosie Miriam coś nowego, twardego, nieprzyjemnego.

- O, nie, żadnych dzieci na ten podły świat nie mam zamiaru wydawać! Żeby je mordowali, gazowali, rozstrzelowali?! Żeby musiały się chować w kryjówkach? Żeby się o nie musiała ciągle bać?! Nigdy, nigdy w życiu!!!

- Co ty mówisz - zgorszyła się przyjaciółka - przecież kiedy wojna się skończy, nikt..

- Akurat! Jeszcze nie było takich czasów, żeby Żydzi mogli żyć spokojnie. Nigdy żadne żydowskie dziecko nie będzie bezpieczne, nigdy!

Na tym rozmowa się skończyła, bo ogłoszono apel z miskami, to już było łatwiejsze, bo miski myło się w kawie. Niemcy szukali plamek i gdyby Rachela dzień później...Na szczęście, Gołda płacząc i rwąc włosy z głowy zdążyła umyć, wyszorować piaskiem tę obrzydliwą, zanieczyszczoną przez Rachelę miskę. Gdyby chociaż była pusta, ale nie, Rachela o mało nie zrujnowała matki. W misce były bowiem aż trzy szpulki nici - czarnych, szarych i najmniej użytecznych, białych, cztery igły i osiem szpilek. Gołda łątała kobietom podarte ubrania, prawie nikt oprócz niej nie miał igły, niektórzy woleli zaszyć sobie jakieś dziury sami

356

i aby to zrobić, wyciągali nitki z koców. Było to niebezpieczne, ale w obozie nie dawano pasiaków, każdy chodził w tym jednym ubraniu, w którym przyjechał i jakoś trzeba było sobie radzić. Ale i to dawało Gołdzie zarobek - wypożyczała tę najgrubszą igłę. Każdy okrucuch chleba był dla niej od początku ważny, bo Rachela była beczką bez dna i zjadała porcje swoje i matki. Może dlatego nie zdążyła wtedy do latryny,

złapała akurat tę miskę...

Gołda szorowała też igły, prała nici, przez pewien czas nikt nie chciał tego wziąć do ręki, ale potem okazało się, że nie ma innej rady i Gołda znowu zaczęła trochę szyć.

- Mój Boże, jak ty, pomimo wszystko, rośniesz -wzdychała Mi[^]ka - co to będzie, niedługo nie zmieścisz się w tej sukience!

- Pani się nie martwi - pocieszała Gołda - ja jej z tej sukienki zrobię bluzkę, a z paninej podpinkę do płaszcza, tylko z samego dołu, spódniczkę. Góra jeszcze pani zostanie, żeby było cieplej.

I rzeczywiście, przyszła taka chwila, że trzeba było przerabiać podpinkę Mirki na Ajkę. Ale to było dużo później, kilka miesięcy po tamtym wyczynie Racheli. A wtedy Ajka z koleżankami miała wspaniałą zabawę, cała sprawa wydawała im się niesłychanie śmieszna, rozpacz Gołdy przesadna. Do Racheli brzydziły się zbliżyć, ale dziewczyna nie szukała żadnego towarzystwa, a na kpiny dziewczynek odpowiadała bezmyślnym uśmiechem.

- Biedna ta Gołda - użalała się nad krawcową ciocia Sara - mało tego wszystkiego, to jeszcze nienormalne dziecko. Po prostu Bóg się na nią zawziął, mówię wam...

Ale Gołda może wcale tego tak nie odczuwała, bardzo kochała córkę i całymi dniami szyła, łątała, robiła na drutach. Tylko pałta Mirki, tego od podpinkę, nie chciała naprawić.

357

- Co ja na to poradzę, Mirka - mówiła, a było to już prawie pod koniec jej życia - co ja mogę zrobić, kiedy cały dół się wychapał, kiedy od pasa wiszą tu same frędzle...

I tak się stało, że Mirka wróciła do Warszawy powiewając tymi nieszczęsnymi frędzlami.

Rozdział XL

Miała rację ciocia Sara, niech jej ziemia lekka będzie, może nie Bóg, może los, ale ktoś mnie przez całe życie prześladował. Nigdy, nigdy nie byłam spokojna ani szczęśliwa, owszem, kochałam Szmulka, nawet bardzo go kochałam, ale on jednak nie był Salkiem. Co z tego, że pierwsza miłość dopa/ła mnie, kiedy byłam dzieckiem? Salomon już na zawsze stał się w moich oczach niedoścignionym ideałem, wzorem mężczyzny, Mirka powinna była to rozumieć, przecież sama myślała tak o Chaimie, ale ona w ogóle nie chciała przyjąć moich żalów do wiadomości:

- Nie zwracaj głowy, nie wyszukuj sobie zmartwień -mówiła - Szmulek to wspaniały mąż, kocha cię, nie truj mu głowy, po co ciągle wspominasz Salka: „...A Salek zawsze... A Salek by nigdy...” Kto to zniesie? A poza tym, przecież ty tego nieszczęsnego chłopca właściwie prawie nie znałaś, byłaś dzieckiem, może on wcale nie był taki święty!

To było okropne, jak śmiała?! Ale pomimo wszystko ze Szmulkiem jeszcze było mi najlepiej i myślę, że gdyby nie to, co się wtedy w Polsce działo, może byłabym szczęśliwa. Urodziła się Luscia, taka była

śliczna... No cóż, było, minęło, a teraz, kiedy może wreszcie znalazłabym spokój, kiedy już nie liczę na nikogo, na żadnego mężczyznę, nawet na Lusię też nie, akurat teraz musiało się to stać! Ta facetka z telefonu była taka bezceremonialna, przecież Bodzio był moim mężem, a ona tak prosto z mostu:

359

- Halo, czy to pani Majewska?
- Owszem, a kto...
- Proszę pani, dzwonię ze szpitala... czy pani była żoną Bohdana Majewskiego?
- Co się stało?
- Niestety, wypadek...

Zrobiło mi się słabo.

- Jaki... jaki wypadek... kto... co...
- Bardzo mi przykro, Niestety... pani były mąż i jego żona... synek...
- Ale... czy pani chce powiedzieć, że...
- Niestety. Pan Majewski od razu, a pani Majewska i dziecko są w naszym szpitalu. To ona podała mi pani dane. ... telefon... i...

Zakręciło mi się w głowie, musiałam usiąść, słuchawka w mojej ręce była mokra i śliska.

- Boże, co za nieszczęście!
- Czy pani przyjdzie?

Tego właśnie się obawiałam, na to zanosilo się od początku rozmowy. Nienawidzę szpitali, niedobrze mi się robi na samą myśl o tych ponurych fabrykach śmierci, wcale nie mam wrażenia, że to są miejsca, w których ktoś komuś pomaga. Wiem, że to nonsens, że krzywdzę lekarzy, pielęgniarki i kogo tam jeszcze, wiem, że robią co mogą, czasem nawet więcej, a czasem mniej, ale rozum rozumem, a uczucia uczuciami. Starałam się znaleźć jakiś wykręt, wstydziłam się samej siebie, ale nie chciałam tam iść, po co Zosia podała im mój telefon, co tam się dzieje?

- A., no wie pani, dopiero przyjechałam, tyle spraw. I w czym bym pomogła?
- Przepraszam, czy to pani Ajka Majewska?

Zosia musiała z tego wszystkiego zapomnieć mojego imienia, „Ajka”, też doprawdy, to jest dobre w rodzinie. Ajka!

360

- Tak, ale...
- Chyba zachodzi jakieś nieporozumienie - dziwiła się ta z telefonu - pani Zofia Majewska powiedziała, że oprócz jej wuja, Antoniego Krzysztofińskiego, pani jest jedyną ich krewną.
- To ona ma wuja? Nic o tym nie wiedziałam, ale to bardzo dobrze. Może się nią zaopiekuje, boja...
- Nie mamy kontaktu z wujem. Nie znamy telefonu, napiszę kartkę. Proszę pani, nie bardzo rozumiem, czy pani w tej sytuacji - ostatnie słowa podkreśliła - czy pani odmawia przyjscia?

Zrobiło mi się potwornie głupio, rzeczywiście, przecież nie mogę...

- Nie, nie, broń Boże, przyjdę, oczywiście, że przyjdę. W jakim oni są stanie?
- Jeśli chodzi o panią Zofię, cóż, nie będę ukrywać... a chłopiec nieźle, musi zostać na obserwacji, ale chyba nic takiego... był z tyłu, a zderzyli się czołowo. Ja już nie mogę dłużej zajmować telefonu, więc pani przyjdzie?
- No tak...

Kobieta odłożyła słuchawkę, a do mnie dopiero w tej chwili dotarła cała ta tragedia. Boże! Bohdan! Jako to, Bodzio nie żyje?! Przecież nie jesteśmy w getcie, ani w obozie, a on nawet nie jest... nie był Żydem! I tak z minuty na minutę?! Zabolało mnie serce, przecież tyle razem przeżyliśmy, to była taka dobra, spokojna miłość, gdyby nie Zosia trwałaby może do dziś, żyłby, nigdy nie chciałam mieć samochodu, bałam się, że będę na kogoś czekać pełna złych przeczuć, widząca sto wypadków na godzinę, nie, nie pozwoliłam Bodziowi na kupno samochodu, teraz kiedy Szymek jeździ, też ciągle się boję. Nie chciałam i miałam rację, mój Boże, wolałabym tej racji nie mieć.

Pakowałam torebkę, zupełnie straciłam głowę, swoją drogą co to za wujek, zawsze się mówiło, że oni nie mają

361

żadnej rodziny, a może to tylko Bohdana podrzucono, a Zosię ktoś do tego Domu Dziecka oddał i potem zerwał z dzieckiem kontakt? Wujek? Możliwe i bardzo dobrze, przynajmniej ktoś się tym zajmie.

Szłam do przystanku, chyba zupełnie zwariowałam, dlaczego nie zadzwoniłam do Mirki, do Szymona? Może poszliby ze mną, co ja powiem tej Zosi, po co ona w ogóle mnie prosi o wizytę, przecież nie wskreszę Bodzia. Biedny Bohdan, ostatnio, kiedy go widziałam, źle wyglądał, już wtedy źle wyglądał, może miał jakieś kłopoty i przez to nie uważał? Brednie.

O Boże, to już szpital, szłam po śliskich, wypolerowanych schodach na czwarte piętro, nienawidzę tego zapachu, co za pomysł, żeby w szpitalu były takie niebezpieczne schody, ta staruszka w szlafroku z całej siły trzyma się poręczy, ohydne są te szlafroki. Ciekawe, czy to jej prywatny, czy szpitalny? Nie rozumiem, dlaczego kupują takie paskudztwa, przecież kolor nie stanowi o cenie?! Czy ludzie w szpitalu muszą się czuć jak ostatni łachmaniarze? Nie, to był chyba jej prywatny szlafrok, każdy pacjent jest ubrany inaczej,

pewnie szpital w ogóle nie daje szlafroków, jeszcze jedna rzecz, na którą nie ma pieniędzy.

Pokój 406. To tu. Boże, boję się wejść, niech chociaż złapię oddech, cztery piętra to nie przelewki w moim wieku. Windy odpadają, za żadne skarby... Stałam tam chyba z dziesięć minut, ale w końcu otworzyłam drzwi. Rurki, opatrunki, monitor... Pielęgniarka machnęła niecierpliwie ręką, cofnęłam się, to było potworne, wcale nie poznałam Zosi pod tymi bandażami.

Drzwi się otworzyły, pielęgniarka spojrzała na mnie potępiającym wzrokiem.

- Tu nie wolno wchodzić, pani...?
- Ale wezwano mnie.
- Pani Majewska?

362

- Tak, nie rozumiem...
- Proszę za mną.
- Chciałabym pomówić z Zosią.
- Za chwileczkę.

Zaprowadziła mnie do obrzydliwego, sterylnego gabinetu, białe ściany, w oknie żaluzje, smród środków dezynfekcyjnych, metalowe poręcze krzesel, metalowe nogi biurka z błyszczącym blatem, oszklone szafki z ohydnyimi opakowaniami od igieł? Leków? Na ścianie jeden, jedyny obrazek, martwa natura utrzymana w szarościach, jakaś deska? Stół, a może podłoga? Przez okno wpada promień słońca i oświetla leżące na tej drewnianej płaszczyźnie okulary. Nic więcej, co za okropny, makabryczny pomysł,

skóra mi cierpnie, okulary...

* * *

Właśnie takie okulary nosiła nauczycielka z obozu, pani Weronika. Miała bardzo zły wzrok, minus osiem dioptrii i gdy zdejmowała szkła, niewiele widziała.

- Kiedy mama uczyła w prawdziwej szkole - opowiadała koleżankom Krysia - to nie mogła nawet przetrzeć okularów, bo kiedy je tylko zdejmowała, uczniowie zaczynali ściągać.
- Spodnie? - zapytała głupio Ajka i okropnie się obraziła, kiedy Esterka nazwała ją „smętną idiotką”.
- Co ty, do szkoły nigdy nie chodziłaś?

Okazało się, że właśnie tak, Ajka nigdy nie chodziła do szkoły, przed wojną była za mała i tyle. Tamte dziewczynki były o parę lat starsze i jeśli nawet nie widziały takiej zupełnie prawdziwej szkoły z klasami, dzwonekami i woźnymi, to o nich czytały, a Kiysi pani Weronika ciągle o tych sprawach opowiadała. Ajka

nie wiedziała, co to zna-czy „ściągać” i nawet tego nie rozumiała.

363

- Po co ten pani najgorszy uczeń, ten Arturek, przepisywał od kogoś zadane lekcje? Przecież jak nie chciał się uczyć, to mógł nie chodzić do szkoły.

Okazało się, że to nie było takie proste, że dawniej dzieci zmuszano - niestychane, ZMUSZANO - żeby się uczyły w takiej prawdziwej, pięknej szkole, gdzie były podobno nawet specjalne ławki i każde dziecko miało własne zeszyty i książki, specjalnie wydrukowane dla określonej klasy.

Pani Weronika powiedziała, że niektóre dzieci dostawały nawet śniadania, bułkę z kiełbasą!!! I kubek kakao!!! I byli nie tylko nauczyciele, ale woźni. Nie wiadomo dlaczego ta wiadomość bardzo Ajkę poruszyła, pomyśleć tylko, był taki ktoś, kto zamiatał, a ta woźna ze szkoły pani Weroniki pocieszała dzieci, którym stało się coś złego, dostały dwóję, albo się pobily.

- Jak to? - zdenerwowała się Ajka - Ktoś je bił? Przecież wtedy nie było Niemców?

- Ojej, nie, same się kłóciły, nie wiesz?

No tak, oczywiście, Ajka sobie przypomniała, że kiedyś, bardzo dawno temu, jej brat, Józiek, też bił się z chłopakami, to była zwyczajna rzecz i zupełnie inne bicie niż obozowe.

- I co, ta pani woźna pocieszała dzieci?

- Nasza tak - uśmiechnęła się pani Weronika - była dla nich jak rodzona matka. No, może ciotka.

- I dzieci ją kochały?

- Bardziej ją lubiły niż nauczycieli.

- I co, kiedy ją zabili?

- Kogo?

- Tę woźną?

- Kto ci powiedział, że ją zabili?

- A nie?

- Nie wiem, chyba nie, pracowała cały czas w tej szkole.

- W tej, w której pani uczyła? To nie była żydowska szkoła?

364

- Ajuniu, to była zwyczajna szkoła. Była i jest. Ja musiałam odejść, jak poszłyśmy do getta.

- I ta szkoła, taka zwyczajna szkoła, z ławkami i w ogóle, stoi jak dawniej i dzieci do niej chodzą? Uczą się z książek?

- Chyba tak.

To było nie do pojęcia, szkoła z bajki, z dawnych, dawnych czasów, kiedy nie było getta, stoi sobie jak gdyby nigdy nic i dzieci do niej chodzą, uczą się i ściągają i może nawet dostają drugie śniadania? Nie, to zupełnie niemożliwe, dziewczynce nie mieściło się w głowie, że gdzieś może istnieć jakiś dziwny świat bez prycz, bez ukrywania się, bez strachu!

- I te dzieci nie boją się, że je zabiją?

- Moja droga -j westchnęła pani Weronika - wszyscy się boją, jest wojna. Nikt nie jest niczego pewien, nie myśl, że tylko my się tu boimy. Tam też są łapanki, też są Niemcy...

- Ale te dzieci... chodzą do szkoły?

- Może chodzą, nie wiem.

- Prawda, przecież Waldek też chodził do szkoły! - Ajka dziwiła się sama sobie, że jakoś nigdy dotychczas o tym nie myślała, Waldek wychodził i wracał, ale o szkole nigdy się nie mówiło.

To wszystko było bardzo dziwne, Ajka myślała ciągle o tych innych dzieciach i o szkole z ławkami i panią woźną. Poza tym myślała o jedzeniu. O bułkach na śniadanie, o kubku kakao! Dostawała coraz mniejsze porcje. Mirka wydzielała jej takie malutkie kawałeczki chleba, że można je było połknąć w trzech kęsach. Zupy na obiad też było mniej. Ajka była głodna, a kiedy pewnego dnia przypomniała sobie dom, mamę i jakąś wspaniałą, nadziewaną gęsią szyję, aż się rozplakała.

- Mirka, pamiętasz gęsią szyję?

- Tę od Chaniny?

~ No. Pycha, co?

365

Mirka przełknęła ślinę i nagle się rozzłościła.

- Daj spokój, nie mówmy o tym, idź do Weroniki, chyba czas na lekcję.

Ale tego dnia nie było lekcji. Pani Weronika leżała na swoim trzecim piętrze, a na parterze, gdzie mieszkała Esterka z matką i gdzie zwykle wszystkie siadywały, leżała też matka Estery. Mama Krysi nawet się uśmiechnęła i z góry pomachała Ajce ręką.

- Jutro już będę zdrowa - powiedziała - nie bój się. Po prostu jakoś mi słabo. - Mówiąc to wychyliła się z pryczy. Wychyliła się i...

Ajka będzie tę chwilę pamiętała do końca życia, Krysia akurat odeszła i nikt inny nie patrzył na panią

Weronikę, a ona wychyliła się z pryczy i...Może dlatego, że popatrzyła w dół, a może zawadziła ręką, tego Ajka nie widziała, zobaczyła tylko, że pani Weronika wychyliła się z pryczy, a okulary...

Krysia mówiła, że jej mama bez tych okularów jest prawie ślepa. A teraz wychyliła się, spojrziała w dół i te okulary...

Leciały i leciały... Ajka z ustami otwartymi do krzyku, nie słysząca własnego głosu, widziała jak okulary spadają i spadają, są coraz bliżej podłogi, zaraz się roztrzaskają, szkło pęknie na milion części, odłamki zasypią cały barak, a pani Weronika będzie ślepa, zupełnie ślepa. Nikt nie będzie trzymał ślepeca w obozie, takich ludzi się zabija, nikt ślepy nie może tu żyć. Ajka skamieniała, patrzyła jak te okulary lecą i lecą, w obozie nie ma mowy o innych, to koniec.

Nie pamiętała, nigdy nie pamiętała tego momentu, kiedy okulary zetknęły się z ziemią, nie pamiętała chwili, kiedy pani Weronika z krzykiem zeskoczyła z pryczy, kiedy podbiegła Mirka i zabrała siostrę na pryczę cioci Sary. Wszystko działo się już poza świadomością dziewczynki,

366

może zemdląca, a może tylko zamarła, uciekła od tej grozy, od widoku spadających okularów.

No cóż, czasem nawet w obozie zdarzały się happy endy. Jakimś cudem szkła się nie stłukły, pękła tylko oprawka, ten mostek na nosie i pan Kopel, chociaż był krawcem, a nie optykiem, znalazł gdzieś jakiś drucik i połączył obie części okularów.

- No, Ajuniu, popatrz, są wspaniałe, po prostu jak nowe - pokazywała je potem Ajce pani Weronika, ale dziewczynka nie chciała patrzeć, bała się ich dotknąć, więc nauczycielka dała spokój. Lekcje zostały wznowione i Ajka bardzo się z tego cieszyła. Zamieniła się tylko miejscami z Krysią, żeby nie siedzieć tuż przy pani Weronce i nie patrzeć na żadne okulary.]

Rozdział XLI

Ten obrazek mnie formalnie dobił, no, dobił mnie, mało tych obrzydliwości, tego smrodu, nieszczęścia, to jeszcze okulary, okulary na podłodze! Pielęgniarka, czy może lekarka, ależ tak, lekarka, miała plakietkę przypiętą do fartucha, Izabella jakaś tam, przez dwa „1”, zaczęła mówić, czemu oni przybierają taki protekcyjny ton? Słabo mi się zrobiło, kiedy dotarł do mnie sens tej przemowy, owijała sprawę w bawełnę, ale nie jestem kretynką.

- Czy pani chce powiedzieć, że Zosia umrze?
- Nikt nie jest prorokiem, nie należy tracić nadziei.
- Bardzo proszę...
- Przykro mi, ale jak mówiłam, stan jest krytyczny. Na dodatek wie, że jej mąż zginął i to nie ułatwia sprawy.
- Ale jest przytomna?

- Przeważnie. Chciała z panią mówić. Tylko bardzo proszę, spokojnie, bez łez i załamywania rąk, niech jej pani nie zdenerwuje.

Spojrzałam na nią chyba bez sympatii, bo zaczęła się tłumaczyć:

- Wie pani, ludzie są różni.

- A co z tym wujkiem?

- Miałam wysłać kartkę, ale jedna z pielęgniarek mieszka blisko niego, więc tam dziś zajrzy. Pani Majewska nie przywiązuje do tego kontaktu wagi, nie utrzymywali stosunków. To jakaś dziwna sprawa.

- Dlaczego?

368

- Sama nie wiem - zastanowiła się ta doktor Izabella - chora raz prosi, żeby go zawiadomić, raz mówi, żeby go nie zawiadamiać, prosi, żeby przyszedł, a potem mówi, że nie jest wart żeby go wpuszczać.

- Może bredzi?

- Może... chyba nie.

Zniecierpliwiłam się, nie po to przyszłam, żeby rozmawiać o wujku Zosi.

- To ja do niej pójde. A do Stasia?

- Bardzo bym prosiła, leży na pediatrii. Ostrożnie, bo nie wie o ojcu.

Niedobrze mi się robiło od tych wizyt, ale skoro już tu byłam. .. Weszłam do zaciemnionego pokoju, spod bandaży widać było tylko jedno oko Zosi, na mój widok z tego oka popłynęły łzy. Nie, to było nie do wytrzymania, nie na moje nerwy i stare lata. Siedziałam tam z pół godziny, może dłużej, trzymałam Zosię za rękę, nawet zapomniałam, że to ta sama zdzira, która zabrała mi męża. Gładziłam ją po tej dłoni z drogim pierścionkiem, na pewno dał go jej Bodzio i z przerażeniem słuchałam jak poleca mojej opiece i trosce Stasia.

- Nie mam nikogo, nikogo - jęczała - tylko ty! Tylko ty, Bohdan mówił mi o tobie wspaniałe rzeczy. Nawet byłam zazdrosna. Ze tak się troszczysz o Szymona, chociaż to tylko twój siostrzeniec. I Justysię kochasz, to znaczy, że umiesz kochać cudze dzieci. Tylko ty, błagam, tylko ty, nie daj go do Domu Dziecka, to koszmar, nawet nie wiesz...

Owszem, wiedziałam, doskonale pamiętałam uczucie osamotnienia, beznadziejność, kiedy ciężko chora ciocia Sara była zmuszona przed śmiercią zaprowadzić mnie do tego smutnego domu. Gdyby nie Szmulek, chyba bym wtedy zwariowała, myślałam, że Miriam nie żyje... A Zosia Przecież całe dzieciństwo spędziła w Domu Dziecka, nic dziwnego, że nie chciała, aby trafił tam jej syn.

369

- Jaki Dom Dziecka, wyzdrowiejesz, pomożemy ci, dasz sobie radę.
- Ale jak nie wyzdrowieję...
- Nie opowiadaj głupstw, lekarka mi mówiła, że wszystko będzie dobrze - kłamałam bez zmruczenia oka - a co z tym twoim wujkiem?

Zosia wyglądała okropnie, spod bandaża wychylił się kawałek policzka, był jakiś siny, spuchnięty. Poruszyła ręką.

- Nie... to nie wujek... ty nic nie wiesz. Bodzio, tylko Bodzio wiedział.
- O czym?
- O nim. Nie licz na niego, niech przepadnie. Tylko ty...

Do pokoju weszła lekarka, wizyta była skończona, chciałam wstać, ale Zosia zacisnęła palce na mojej dłoni.

- Przyrzeknij, przysięgnij mi, leżę na łożu śmierci...

Nie znoszę, nienawidzę, brzydzę się takim patosem, nawet w tej sytuacji aż mnie zatkało ze wstydu, chciałam jak najszybciej z tym skończyć.

- Tylko ty, zaopiekuj się Stasiem, błagam cię w imię...

To było nie do wytrzymania, czysty melodramat, Zosia

naczytała się jakichś powieściodeł, naoglądała łzawych seriali, nie mogłam tego słuchać i żeby jak najszybciej skończyć te okropieństwa powiedziałam:

- Dobrze, dobrze...

A Zosia, zupełnie jak w „Trędowatej” czy czymś w tym rodzaju, opadła na poduszki i wymruczała coś, czego już na szczęście nie słyszałam. Może cierpienie i śmierć nobilitują, może jestem potworem, ale doprawdy bardzo jej w tej chwili nie lubiałam.

Czekała mnie jeszcze wizyta u Stasia, zeszłam na dół, musiałam błędzić jakimiś korytarzami, prawdziwy labirynt, w szpitalu rozwozili jedzenie, nie rozumiem dlaczego kartofle w takich miejscach nie są ani przetarte, ani całe,

370

na talerzach leżały kupki grudkowatej, żółtej masy. Wreszcie dotarłam do sali, gdzie leżało kilkoro dzieci, Stasia bym oczywiście nie poznała, gdybym, ku szalonej uldze, nie zobaczyła siedzącej przy nim Mirki. Na mój widok podbiegła do drzwi.

- Skąd się tu wiedziałaś?! Mirka?

- Sąsiedzi Bohdana do mnie zadzwonili. Była tam policja. .. Nieważne. Koszmarna historia...
- A jak Staszek?
- Nieźle. Nic nie wie o Bohdanie. A co z Zosią?

Powiedziałam, co z Zosią, posiedziałyśmy przy płaczącym i niespokojnym chłopcu, żal go było zostawić, ale tak, czy owak, musiano go trochę poobserwować. Mirka porozmawiała z jak^ś pielęgniarką, obiecałyśmy, że jutro przyjdziemy, wyszłyśmy zupełnie rozbite. „Biedny chłopiec, co się z nim stanie?” - pomyślałam i nagle ze zgrozą zdałam sobie sprawę, że powiedziałam „dobrze, dobrze”! O Boże, czy to było zobowiązanie?! Czy przyrzekłam tej nieszczęsnej Zosi, że zaopiekuję się Stasiem?! Co ja zrobiłam, chyba oszalałam! Nie mam do tego sił, zdrowia, pieniędzy! Nie chcę, dosyć miałam kłopotów z Lusią, dosyć namartwia-łam się o nią, o Micię, o Szmulka, Mikołaja i Bodzia, o Mirkę, Szymona i Justynę, nie chcę się nikim opiekować, na nikogo czekać!

- Rozumiem, to okropne - powiedziała, patrząc na mnie moja siostra - ale ostatecznie z Bodziem dawno się skończyło, Zosi nie lubisz, a Stasia prawie nie znasz. Czemu się tak strasznie przejmujesz, jesteś zupełnie biała? Słabo ci? Może usiądziemy w tej kawiarence?

To był dobry pomysł, nad kawą i ciastkiem opowiedziałam Mirce o moim „dobrze, dobrze”, a ona złapała się za głowę.

- Masz talent do pakowania się w niesamowite historie ~ powiedziała - i co teraz zrobisz?

371

Od wielu lat już nie paliłam, ale teraz wstałam, żeby kupić papierosy, to było ponad moje siły.

- O, nie - zaprotestowała Mirka - po moim trupie, lepiej zamówię „adwokata”. Już nie pamiętasz pani Idy? Nie pamiętasz Jakuba?

* *

Rzeczywiście, pani Ida... spała na środkowym miejscu dwie prycze dalej. Ciocia Sara, która w ogóle była dobrą duszą i opiekowała się nie tylko siostrami, o co Ajka nawet miała do niej żal, często zaglądała do tej Idy, gładziła ją po głowie, po rękę, która zwisała w dół, namawiała ją na wstawanie.

- Nie leż tak - mówiła - nie wolno, kiedyś jakiś Niemiec cię przydybie i gotowe nieszczęście.
- Wszystko mi jedno.
- Ale nam nie jest wszystko jedno.
- Dajcie mi spokój.

Ta rozmowa już i tak była postępem, w ciągu pierwszego okresu Ida w ogóle nie chciała z nikim rozmawiać. Próbowala i Mirka, i pani Weronika, i nawet Gołda, chociaż wiecznie była zapatrzona w tę

swoją nieudaną Rachelę. Nawet Kopel podszedł kiedyś do pryczy i zaczął Idę besztać. Podobno mówił, że to grzech tak się zamykać w sobie, że Ida powinna się modlić za dziecko, że on zwoła mężczyzn na te modły, że trzeba odmówić kadisz. Ajka nie rozumiała, o co mu chodzi, bo mówił po żydowsku, ale Ida zrozumiała i po polsku kazała mu odejść i dać sobie spokój i to były właściwie pierwsze słowa, jakie świadomie wypowiedziała od czasu przyjazdu do obozu.

Krzyki pani Idy budziły wszystkich dookoła, przerywały sen, który i tak był płytki i niespokojny. Ajce od czasu wypadku z okularami ciągle śniły się krety, nawet na początku nie wiedziała dlaczego i dopiero ciocia Sara jej to wytłumaczyła,

372

Sara była bardzo mądra, Ajka uważała, że nawet mądrzejsza od pani Weroniki. Tylko od mamy nie, gdyby tu była mama, myślała Ajka, to też by mi przypomniała, że krety są ślepe, a może nie są, tylko tak się o nich mówi, bo mieszkają w ciemności? Kiedy ciocia powiedziała o tych kretach, Ajka uświadomiła sobie, że kiedyś, dawno temu Salek jej o nich opowiadał i teraz, przez oczy pani Weroniki, zaczęły jej się śnić. Wyłaziły z nor, było ich pełno, wyjadały zupę z kotłów, wyżerały chleb, te sny były makabryczne i może byłoby dobrze, że Ajka była z nich budzona, gdyby nie to, że wracała do jeszcze makabryczniejszej jawy. Bo Ida krzyczała „ratunku” i wołała jakiegoś Arturka, wołała przenikliwym, przerażającym głosem, ale żaden Artur do niej nigdy nie przyszedł, Ajka nawet myślała, że chodzi o Artura z męskiego barału, ale nie, okazało się, że Ida tak woła swego synka, którego w drodze do obozu wyrzuciła z pociągu. Miał dopiero miesiąc i nie był obrzezany, jego matka była pewna, że jedzie na śmierć, więc kiedy pociąg zwolnił, w panicznym strachu i w przypiływie skrajnej rozpacz, przecisnęła becik przez okno i wyrzuciła na nasyp. Widziała jeszcze, jak powoli ześlizgiwał się na pole, obok była droga, którą szły jakieś Niemki, nie wiedziała, czy słyhać było potem strzał, czy może coś stuknęło, była oszołomiona, a później pociąg przyśpieszył. Nikt nie zauważył nazwy tej miejscowości, był półmrok, może dziecko zostało od razu zastrzelone, może Niemki je podniosły i oddały policji, może się zabiło upadając? A może, może jakaś kobieta wzięła je i wychowuje?

- Ida, tak na pewno jest - pocieszała ciocia Sara, kiedy już poznała całą tę smutną historię, kiedy Ida zaczęła trochę mówić - przecież wśród Niemców też są ludzie, oni też mają dzieci.

- Co ja zrobiłam? - nie dawała się uspokoić kobieta - Boże, Sara, co ja zrobiłam, przecież żyję, Artur też może by wyżył.

373

- W jaki sposób? Na zupie z pokrzyw? Miesięczne dziecko?

- Teraz byłby już starszy.

- Nie byłby - Sara ciężko westchnęła i położyła dłoń na ręce Idy - nie byłby. To nie jest miejsce dla niemowląt, już dawno byłoby po wszystkim. Nie miał żadnych możliwości, Ida. Dobrze zrobiłaś, może jest u jakiejś rodziny. Może go znajdziesz po wojnie. A jak będziesz wymieniała chleb na papierosy, to tego nie dożyjesz.

Bo Ida prawie wcale nie jadła, piła tylko te obrzydliwe zupy, w których pływały całe pokrzywy, a chleb wymieniała na papierosy. Ajka nie pamiętała skąd brały się w obozie papierosy, może były jakieś przydziały dla mężczyzn. Ida paliła i paliła, raz nawet wybłągała u Dawida margines od gazety, zawinęła w to słomę z siennika i zapaliła, o mało nie umarła z kaszlu, smród był taki, że można było się udusić.

- Nigdy go nie znajdę i nie zależy mi na życiu.

Ajkę najbardziej w tym wszystkim zafrapowała wiadomość, że Niemcy to też ludzie i że mają dzieci. Oczywiście, no tak, to było zrozumiałe, a jednak nie, niezupełnie zrozumiałe. Jak to, mają dzieci, kochają je? Befszyk na przykład, Niemiec, przezwany tak przez więźniów z powodu krwistej, czerwonej mordy, Befszyk, który latał po obozie, ryczał i bił kogo popadło, który przeklinał czystą niemczyzną i łamanym polskim językiem - czy taki człowiek, jeśli można to było nazwać człowiekiem, mógł mieć ukochaną żonę i dzieci?! Czy wobec tego nie rozumiał, co czują inne dzieci, zamknięte w gettach i obozach, co czują inne kobiety?

Ajka usiłowała wyobrazić sobie córkę takiego Befszyka, dziewczynkę, która wiedziała, że jej ukochany tatuś właśnie przyszedł z pracy po zabiciu kilku osób, po tym, jak skopał na przykład takiego Marka, jak walnął w głowę

374

tę nieszczęsną Rachelę, która zamiast zejść mu z drogi, stała i głupio się uśmiechała. No więc przyszedł tato do domu i co? Chwalił się, że upolował Żyda? Czy Polaka, czy Greka, wszystko jedno? A mama tej dziewczynki mówiła, tak jak kiedyś mama Ajki:

- Dzieci, do stołu, bo tatuś się napracował i jest zmęczony!

I ta córeczka, Ajka nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że się nazywa Brunhilda, całowała spracowanego tatulka w czerwoną mordę, siadała mu na kolanach i opowiadała, że w szkole pani mówiła, że trzeba być dobrym dla zwierzątek, troszczyć się o pieska i kotka? I może Befszyk gładził tego pieska po główce?

- Tak, Mirka?

- Wymyślasz fikstworzone historie - wzdychała Miriam - kto ci powiedział, że ten bandyta w ogóle ma tu jakąś rodzinę?

- Ale może mieć?

- Już nie masz innych zmartwień?

Owszem, na brak zmartwień trudno było narzekać, ale sprawa rodziny Befszyka, czy innego Niemca, bardzo Ajkę gnębiła. To było nie do pojęcia, świat był nie do pojęcia, a już sprawa Arturka i pani Idy była taka, że nawet myślenia o niej nie dawało się wytrzymać.

- Czy Ida może włożyła do becika jakąś karteczkę? -pytała Ajka.

- Coś ty, dziecko - kiwała głową ciocia Sara - jaką karteczkę? Skąd miała wziąć karteczkę? I co mogła napisać, że to jest Arturek z getta?
- Dlaczego od razu z getta? Mogła napisać, że to jest na przykład Hans Muller i że po wojnie matka się po niego zgłosi i da nagrodę.
- Powinnaś pisać powieści - ciocia Sara przytuliła dziewczynkę i pogładziła ją po głowie - nie było czasu na

375

takie rzeczy, a poza tym Hansów Mullerów przez „u umlaut” nikt teraz nie wyrzuca z pociągu.

- Prawdopodobnie Ida nigdy się nie dowie, co się stało z dzieckiem - orzekła Mirka, wstała i zdjęła miskę z pryczy, bo zbliżał się czas, kiedy z kuchni przynoszono kotły z zupą - nie wiem, jak będzie mogła z tym żyć.

Mirka miała rację. Ida nie mogła z tym żyć. Paliła papierosy, po kilku miesiącach znowu zamilkła, a pewnego razu, idąc w nocy do latryny, zaczęła głośno krzyczeć i skakać. W ciemności, którą przecinały reflektory ze strażniczych budek, jej sylwetka wyglądała jak wycięta z papieru. Niemiec przez pewien czas wodził za nią snopem światła, ale wtedy, kiedy zrozumiał, że wykrzykuje obelgi pod jego adresem, pod adresem Hitlera i wszystkich „panów świata”, strzelił. Miał dobre oko, Ida od razu upadła.

- Popęłniła samobójstwo i tyle - orzekł Marek i chyba miał rację.

* * *

- I nie wiem w końcu - stwierdziła Mirka - czy ten chłopiec, który po wojnie przyjechał z Niemiec, żeby szukać rodziny, to był ten jej Arturek, czy nie. Zobacz, jednak zdarzali się dobrzy ludzie, ta kobieta podniosła niemowlę na trasie, którą jechaliśmy i akurat w tym czasie. I potem powiedziała chłopcu, co się stało, żal jej było matki, która może go szuka. Ale nie wiedziała, jak się nazywa. Może to był on, a może nie...

Wolałam się nad tym nie zastanawiać, bo jeśli to był on, to Ida niepotrzebnie zginęła. A tak, to chłopiec, który zresztą przyjechał tu z przybraną matką i mówił tylko po niemiecku, wrócił z nią do domu. Może to wcale nie był Artur, może to nawet nie był Żyd, może podrzuciła go jakaś

376

niemiecka smarkuła, która zaszła z żołnierzem w ciążę? Tego nikt nigdy się nie dowie. Zresztą doprawdy miałam teraz inne kłopoty, siedziałyśmy nad tą kawą, Mirka wzdychała i wzdychała, skubała serwetkę, widziałam, że gnębi ją coś poza sprawą Zosi.

;

Rozdział XLII

No i po drugiej kawie pękła. Musiało jej to wszystko dobrze dokopać, skoro wybrała sobie mnie za powierniczkę, pomyśleć tylko, taką starą babę, jak ja, uważała zawsze za dziecko. Denerwowało mnie to, ale rozumiałam Mirkę, tyle lat mi matkowała, od czasu kiedy mama zginęła opiekowała się mną, sama nie wiem, czy byłam jej ciężarem, czy pociechą. Ale teraz siedziała, trzymała szklankę w obu rękach, podobno po tym można poznać ludzi, którzy przeżyli obozy, po grzaniu rąk od ciepłych szklanek. Jeden nasz znajomy, który przeżył kilka lat na Syberii, także... ale nie to było teraz najważniejsze. Mirka grzała dłonie, w końcu się jakoś przemogła i wykrztusiła:

- Mam zgryz z Chaimem.
- Jaki zgryz?
- On...no wiesz, on mnie namawia na emigrację.
- Co takiego, Mirka, teraz?! Chyba jeszcze nie oszalałaś, niby po co, on ma żonę, w twoim wieku chce sobie zrobić z ciebie metresę, czy...
- Uspokój się - przerwała mi siostra tym zniechęconym powiedzonkiem - oczywiście, że ani mi się śni... Ale Heniek mówi, że jak ja nie pojedę, to on odczeka i przyjedzie tutaj.
- Co odczeka, po co...
- Nie wiem, na jakiś termin uprawomocnienia rozwodu, czy coś w tym rodzaju.
- Jak to? Rozwodzi się?!

378

- Ma zamiar.
- Zwariował, tyle lat z nią żył! I dla ciebie chce ją rzucić?!
- Może to ona jego chce rzucić? A on, skoro mnie znalazł...
- A córki chce tam zostawić?!
- Ajka, uspokój się, wcale mi nie chodzi o morale Heńka, córki są dorosłe.
- I mogłabyś się na to zgodzić, przecież on tam zarabia, a tu... masz go wziąć na utrzymanie?
- Będzie miał doskonałą emeryturę, w dolarach, nie o to...

Okropnie się zdenerwowałam, nawet nie wiem dlaczego, ostatecznie nic by się takiego nie stało, gdyby Chaim wrócił. Może Mirka byłaby z nim szczęśliwa. Właściwie to szalenie romantyczne, powrót miłości sprzed lat, spełnienie marzeń, żywa legenda.. Tylko ta jego Basia, jakoś niezbyt elegancko zapowiadało się czekanie na rozwód po tylu latach...

Mirka złożyła łożeczkę z serwetki do ust, nigdy nie mogłam się tego nauczyć. Żal mi się jej zrobiło.

- No...no więc...Mireczko, może wreszcie spełnią się twoje marzenia. Ja nie mam nic przeciwko temu, skoro Chaim się znalazł... nie musisz przecież niczego planować, ale jeśli ta jego żona się zgodzi... Może on też tęsknił za tobą przez całe życie, a teraz... to prawdziwy wstrząs. Uważam, że nie musisz mieć wyrzutów sumienia, przecież jej nie zabijecie, tak się po prostu składa. Zacznesz nowe życie z Chaimem, będziesz jeszcze szczęśliwa. To się rzadko zdarza osobom w naszym wieku. Ja ci radzę, żebyś...

Mirka wrzuciła łożeczkę do szklanki z resztą kawy, obrzydliwość, doprawdy, czasem trudno mi patrzeć na jej nonszalancję.

- Czy ja cię prosiłam o radę i tę rzewną przemowę? -Sarknęła - W ogóle nie o to chodzi, że też ty nigdy nie dasz człowiekowi skończyć!

379

Poczułam się, jakby mnie kopnęła, nie pierwszy raz jej ton doprowadził mnie do szału.

- A co? - burknęłam, chociaż miałam ochotę wstać i wyjść, albo wylać jej na głowę resztę tej kawy razem z rozmięktą łożeczką.

- O to, że mam Chaima gdzieś, rozumiesz! Legenda! Boże mój, on dłubie w nosie!! Chodzi po mieszkaniu w skarpetkach i nazywa mnie swoją różyczką!!! Różyczka z moim tyłkiem, też coś, za każdym razem staje mi przed oczami podziałka mojej wagi! Mówi o tej swojej zasranej firmie jakby to była najważniejsza instytucja w Stanach, drugi Biały Dom, zanudza mnie na śmierć tymi biznesami. Na dodatek ma wrzód żołądka!

- To nie jest żaden zarzut.

- Ale ciągle o nim mówi, cholera! Romantyczna legenda, już wolę Gabriela, mówię ci, widziałam go wczoraj na brydżu, przy Heńku jest błyskotliwym Adonisem. Ajka, wolałabym, żeby Chaim się nie znalazł, nie życzę mu, nie życzyłabym, żeby zginął, żeby to on leżał wtedy na Starym Mieście, ale niechby się tu nie pokazywał. Jak ja mam się go pozbyć, na litość boską?

Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać, wiadomo, ludzie się zmieniają. Pół wieku z hakiem to nie żarty, może z Salkiem byłoby to samo?

- Co mam ci powiedzieć? - bąknęłam niepewnie - Zastanów się, może on jest speszony, może to tylko pierwszy okres, może się jakoś ustoi...

Mirka posmutniała.

- Nic się nie ustoi, Ajka, to zupełnie obcy człowiek i na dodatek niesympatyczny. Poza tym używa obrzydliwego dezodorantu. Mowy nie ma, niech wraca do siebie, ja go tu nie chcę. Diabli nadali tego dziennikarza z Ciechocinka, ten artykuł. Mogłam sobie spokojnie siedzieć w sanatorium.

380

przypomniała mi się Zosia.

- No, nie wiem, teraz, kiedy był ten wypadek z Bodziem, chyba i tak poprosiłabym, żebyś wróciła.
- Niby dlaczego, co mnie obchodzi twój Bodzio?
- Żartujesz, to nie ja utrzymywałam z nim cały czas stosunki, to nie ja zapraszałam ich do siebie, myślisz, że nie wiem? A skąd sąsiedzi mieli twój telefon? Dlaczego do ciebie zadzwonili? Przyjaźniłaś się z nimi za moimi plecami, ale Ruta mi o wszystkim opowiadała.
- Polska Agencja Prasowa. No to co, Bohdan był bardzo porządnym facetem. Wcale mnie nie prosiłaś, żeby zerwała z nim stosunki. Wiedziałam, że ci Ruta powiedziała i co?
- To nielojalne/
- Trele-morele. Nic ci nie ubyło. Lubiłam Bodzia, swoją drogą o czym my mówimy, on już nie żyje, biedaczek. Zosia też chyba się przekręci. Co ty zrobisz ze Staszkiem? Miała jakiegoś wujka, Staś mi mówił, że zjawiał się u nich raz na jakiś czas. Kto to jest?
- Pojęcia nie mam - powiedziałałam i zaświtała we mnie nadzieja. Może jednak ten facet zaopiekuje się chłopcem? Może Zosia bredziła i gość jest w porządku?

Wyszliśmy z tej kawiarenki zupełnie skonane, Mirka powlokła się do domu, w którym rezydował Chaim. A ja poszłam do siebie i walnęłam się na tapczan. Snuło mi się po głowie, że powinnam wziąć kąpiel, było mi zimno, zaczęłam przysypiać i jak często przed snem, wróciły do mnie

tamte czasy... tamte sprawy...

* * *

Na pryczę, zwolnioną przez panią Idę wprowadziła się Debora. Dotychczas zajmowała jedno miejsce z matką, chociaż miała już skończone siedemnaście lat. A może nawet osiemnaście? Ponieważ było to środkowe, najgorsze

381

piętro, nikt nie protestował, a ona i jej matka odetchnęły, bo trudno im było spać razem. Oddzielały ją od Ajki inne prycze, ale Debora często przychodziła do Sary, siadała obok dziewcząt i usiłowała zaprzyjaźnić się z Mirką. Ajka była nawet trochę zazdrosna i siostra ją uspokajała:

- Nie wiem, o co ci chodzi, ja wcale nie przepadam za tą całą Deborą.
- Ale z nią gadasz i gadasz.
- To ona gada i gada.
- O czym?
- Przecież słyszysz, siedzisz tu cały czas jak przymuro-wana.

- Daj dziecku spokój - łagodziła ciocia Sara - a co ma robić, iść do kina?
- Przecież nic nie mówię.

Na pryczy zrobiło się ciasno, już i tak nie bardzo było gdzie siedzieć, Debora była, jak zresztą wszyscy, chuda jak patyk, ale zaczął też przychodzić Marek z męskiego obozu.

- Nie wolno ci tu przesiadywać, jak cię złapią...

Ale chłopak widocznie uważał, że warto ryzykować dla pięknych, bardzo oryginalnych oczu dziewczyny. Ajka doskonale widziała, jak trzymał ją za rękę, a pod kocem, którym się okrywali, łąpał ją też za kolano. Było coraz zimniej, wszyscy zaczęli marznąć, ale Ajka nie uwierzyła De-borze, która usiłowała jej wytłumaczyć, że właśnie dla ciepła tuli się do Marka.

- Akurat - powiedziała - takie duperele to babci opowiadaj. Już ja wiem, po co ludzie przyciskają się do siebie. Najpierw ecie-pecie, a potem z tego są bliźnięta. Waldek mi mówił dokładnie, jak to jest.
- AJ-KA!!! - wyskandowała ze zgrozą ciocia Sara, a Mirka tylko się uśmiechnęła.
- Ciociu, nie gorsz się, ona nie ma pojęcia, o czym mówi.

Obrażona Ajka, która doskonale wiedziała, o czym mówi,

382

o mało nie wyłożyła kawy na ławę, ale Debora nie pozwoliła na to.

- Już dobrze, jeśli nawet wiesz, to nie opowiadaj takich rzeczy. Ja po prostu lubię Marka. Tak tu smutno, no, Ajka, co ci szkodzi? Zazdrosna jesteś, że nie masz własnego chłopca? Jeszcze kiedyś będziesz miała, wojna się skończy, ty dorośniesz i zakochasz się. Zobaczysz.
- Już byłam zakochana - wyrwało się dziewczynce.
- Naprawdę?
- Ale on nie żyje.
- No tak. Będzie inny...Zobaczysz, wszystko się ułoży, jesteś śliczna, ty wyjdiesz za mąż, Mireczka wyjdzie za mąż..
- Rachela wyjdzie za mąż, Gołda wyjdzie za mąż i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie - wykpiła optymizm Debo-iy Mirka. - Nie zawracaj dziecku głowy. I jak chcesz się pi-tigrilić z Markiem, to nie na tej pryczy, bardzo cię proszę.
- Ależ Mireczko... - zgorszyła się ciocia - doprawdy, co to za wyrażenia. Chociaż rzeczywiście, Deboro, bardzo bym prosiła...

Debora skinęła głową i uśmiechnęła się. Zęby miała jak lity, biedy marmur, prawie bez szpar, kiedy nie

była taka wychudzona mogła być bardzo ładna.

- Przepraszam, nie myślałam...
- O to chodzi, że nie myślałaś.

Dziewczyna nie obraziła się, w ogóle na nikogo nigdy się nie obrażała. Była miła, jak na gust Ajki o wiele za miła, każdemu przytakiwała, za wszystko dziękowała, a z Markiem zaczęła spotykać się na swojej pryczy. Na początku siedzieli zgarbieni, głowy im wystawały powyżej górnego piętra, nogi zwieszali, lokatorki z góry i z dołu przepędzały ich, jak mogły. Denerwował je Marek, jakby go Niemcy złapali w damskim baraku, mogłoby się to źle skończyć nie tylko dla zakochanej pary. Tak więc, po kolejnej awantu-

383

rze, nagle znikły nogi i głowy, a potem okazało się, że Marek jednak nie zniknął, tylko leży obok Debory na tym środkowym piętrze. Pan Dawid się wściekł.

- Co ty sobie myślisz, smarkaczu - pienie się - amory w obozie? Chcesz żyć z dziewczyną w takich warunkach?!
- Ja sobie tych warunków nie zamawiałem!
- Ale jest, jak jest!
- No to co?
- Zachowaj sobie tę wielką miłość na inne czasy.
- Na jakie inne czasy? Czy pan mi zaręczysz, że dożyję innych czasów? Umrę i nie będę wiedział, jaka ona jest!
- Kto jaki jest? - nie zrozumiał Dawid.
- Śmo! Mam panu tłumaczyć?!
- Chyba wy nie... Tak na pryczy?! Przy ludziach?!
- Nie pana interes.
- Boże, Marek, sprowadzisz na wszystkich jakieś nieszczęście!
- Jeszcze jedno? Chyba już nam sprowadzono nieszczęście, jedno więcej czy mniej, nie gra roli.
- Ale co powie matka tej, jak jej tam, Debory?!
- Okropnie mnie to obchodzi. Wyklnie nas, no i co?

Mirka uważała, że cała ta sprawa jest żałosna, matka Debory zapłakiwała się na swojej pryczy, ale młodzi

ludzie nie słuchali żadnych argumentów. Przy każdej okazji wdrapywali się na pryczę Debory, sąsiadki uciekały ze swoich miejsc, ciocia Sara usiłowała wytłumaczyć coś Deborze, ale usłyszała mniej więcej to samo, co Dawid. Tyle, że chłopca pilnowali koledzy, więc nieczęsto udawało mu się dotrzeć do kobiecego baraku. A potem zmniejszono jeszcze porcje chleba i zupy, i Marek tak jak wszyscy, zaczął myśleć tylko o jedzeniu. Inne sprawy obojgu wywietrzały z głowy i chłopiec już bardzo rzadko kładł się z Deborą na jej drugim piętrze. Ognisty obozowy romans przycichał, ludzi bardziej obchodziła zupa w kotłach niż amory Marka. Zupa i chleb.

384

Rozdział XLIII

Najważniejszy stał się głód, na próżno Gołda wystawała przed męskim barakiem, mężczyźni już prawie niczego nie chcieli łątać ani cerować. Marek wyglądał jak szkielet. Dużemu, wysokiemu chłopcu głód bardziej doskwierał niż drobnej Deborze, którą zresztą matka dokarmiła.

- Wstydź się,»czemu bierzesz od matki? - wtrącała się w nie swoje sprawy Mirka.
- Nie biorę - uśmiechała się po swojemu dziewczyna -mama sama mi daje. Ty też dajesz Ajce.
- Ajka jest dzieckiem, rośnie.
- Dla matki ja też jestem dzieckiem.
- Ale ona jest słaba, nie wytrzyma.
- Wytrzyma - Debora nie dawała się przekonać, matka przelewała zupę ze swojej miski do miski Debory, nawet ciocia Sara nie mogła na to patrzeć.
- Ona się wykończy - szeptała wieczorem, kiedy Mirka już leżała na piyczy i tylko zwieszała głowę w dół - zobaczysz.
- Przecież nie można kobiecie zabronić, Debora to jej oczko w głowie, ostatnia, troje dzieci zginęło, mąż gdzieś przepadł, nie wiadomo, czy żyje, chce uratować córkę.
- Rozumiem, ale Debora nie powinna...
- Powiedz jej.
- Już mówiłam.

Ajka słuchała tego ze zgrozą, zdawała sobie sprawę, że jest taką samą obrzydliwą świnią jak Debora, tamta obja-

385

da matkę, ona Mirkę. Ale tak trudno było się powstrzymać, jak można było nie zjeść dodatkowego kęsa chleba, skoro Mirka prosiła, kładła go na kocu, mówiła, że nie jest głodna. O wiele łatwiej było w to

uwierzyć. Uwierzyć i zjeść kawałek wspaniałego, czarnego chleba. I tak nie zagłuszało to głodu, ale jednak.

Może lepiej postępowali ci, którzy dzielili się sprawiedliwie. Chleb rozdawano w baraku, pan Kopel zrobił prymitywne wagi z nitek wyciągniętych z koców i z kawałków deseczek, które kiedyś leżały pod drutami. Osoba wybrana w głosowaniu kroić chleb, a potem rozdzielała go po kawałku na kilka osób, nie można było każdemu oddzielnie go dawać, trwałoby to za długo. Później, w ramach pryczy czy rodziny, dokonywano dalszego podziału, służyły do tego wagi pana Kopia, lub inne, robione na ich wzór. Jedna osoba rozważała chleb na kawałeczki, ale nie były one identyczne.

Wagom było daleko do precyzji, tak, że na przykład jedna kromeczka wydawała się większa lub mniejsza niż pozostałe trzy lub cztery. Poza tym zdarzały się kawałki częściowo pokruszone, z większą ilością skórki, lub mniejszą, bywało też, że chleb okazywał się spleśniały i wtedy w jednej porcji było więcej tej pleśni, w innej mniej...

Ajka patrzyła ze zgorzonym zaciekawieniem, jak znajoma rodzina - matka, ojciec i dwie córki - rozkładała porcje na kocu. Potem wylosowana w danej chwili osoba -mógł to być ojciec, który przynosił swój chleb z męskiego baraku, mogła to być matka lub jedna z córek, na przykład Mela - odwracała się tyłem do pryczy.

Jej matka wskazywała palcem określoną kromeczkę i pytała:

- To dla kogo?
- Dla mnie.
- To dla kogo?

386

- Dla taty.
- To dla kogo?
- Dla ciebie.

Ostatnia porcja przypadła siostrze. Po tym ceremoniale rodzina zaczynała jeść, starannie zbierając z dłoni okruszki, każdy swoje.

Tego rodzaju procedura była powszechna i nie dziwiła, gdy chodziło na przykład o sąsiadki z jednej pryczy. Ale w rodzinie?! Mirka dzieliła chleb i bez żadnego losowania dawała Ajce większy kawałek, pani Gołda robiła to samo dla Racheli, już nie mówiąc o matce Debory, która zostawiała sobie marne okruchy. Ale rodzina Meli uważała, że tak jak oni robią jest właśnie dobrze i sprawiedliwie, że w ten sposób nikomu łaski nie robi i nikt nie będzie miał potem wyrzutów sumienia. Mela była dumna z takiego podziału i tłumaczyła Deborze:

- Zobaczysz, wszyscy przeżyjemy, a twoja mama się z tego wszystkiego wyniesie na tamten świat i

będziesz sobie całe życie robiła wyrzuty.

- Dlaczego? Czy ja jej zabieram? Sama chce.
- Nie udawaj głupiej.
- To ty jesteś niemądra, Meluniu - jak zwykle z uśmiechem odpowiadała Debora - kiedy mam mieć wyrzuty sumienia? Myślisz, że przeżyjemy tę wojnę?
- A nie?
- Nie wiem. Może każdemu z nas dane było tylko te kilkanaście lat życia? Dorośli dłużej żyli, to nam się też coś należy.
- To jest świńska filozofia - zdenerwowała się Mirka - uważasz, że możesz zabrać życie swojej matce?
- Żadna filozofia, jestem za głupia na filozofię - uśmiechnęła się Debora - po prostu chcę jeszcze trochę Pożyć i skorzystać, ile się da. Mama już swoje widziała, miała męża, dzieci, była nawet w Paryżu. A ja? Skąd mogę

387

wiedzieć, czy mnie na przykład nie wywiozą z następnym transportem?!

Mela wzruszyła ramionami, niech Debora myśli swoje.

- Prawda, Ajka? - powiedziała. - Niech Debora mówi co chce, ja uważam, że u nas jest sprawiedliwiej. Nawet jak mama wylosowała kawałek chleba z pleśnią, to wzięła od taty kawałek skórki i tata się zgodził.

Ajka nie wiedziała, jak powinno być, ale czuła, że robi źle biorąc chleb od Mirki. Przysięgła sobie, że nigdy więcej, ale następnym razem znowu nie wytrzymała i zjadła dodatkowe dwa kęsy, a potem nie mogła spać, sama nie wiedziała, czy z głodu, czy dlatego, że czuła się ostatnią świnią. I potem za każdym razem, kiedy siostra podtykała jej coś do jedzenia, chleb, pół kartofla, czy trochę zupy, Ajka prosiła:

- Nie kuś mnie, niech to będzie ostatni raz.
- Dobrze, dobrze - odpowiadała Miriam.

Następnego dnia obudził mnie telefon, dzwoniła pielęgniarka ze szpitala, ta, która miała zwrócić uwagę na Staszka. Właśnie schodziła z nocnej zmiany.

- Proszę pani - powiedziała - paninego Stasia dziś wypisują, nic mu nie jest, ale trzeba go szybko zabrać, bo ta kretynka z sąsiedniej sali przyszła i powiedziała chłopcu, że jego ojciec nie żyje, a matka też jest jedną nogą na tamtym świecie. Stasio, biedne dziecko, okropnie to przeżył, musieli go wpuścić do matki, siedzi tam i oboje płaczą. Jej to zaszkodzi, a on się nie pozwala wyprowadzić, kopie i krzyczy. Może

pani coś poradzi? Matka bardzo prosi, ta pani Majewska, żeby pani przyszła zaraz.

Przypomniało mi się to nieszczęsne, powiedziane w szpitalu „dobrze”, nie mogłam go tak zlekceważyć, jak to zrobiła Mirka w obozie. Właśnie, Mirka, może ona...

388

Telefon długo dzwonił, w końcu Chaim podniósł słuchawkę.

- Hello...

- To ja, Ajka, daj mi Mirkę.

- Wiesz, która godzina?

- Heniek, wiem, wpół do siódmej. Daj mi Mirkę.

- Mireczka śpi.

- To ją obudź.

- Musiałbym wejść do sypialni.

- Więc wejdź do sypialni.

- To nie wypada.

- Chaim!

- Mieszkam tu pod warunkiem, że żadne takie...

- Chyba ci się i/a też rzuciło - wściekłam się - jakie „takie” w twoim, w waszym wieku, wstydziłbyś się, Mirka ma siedem...

- Wiem, ile Mirusia ma lat. W starszym wieku też można...

- Chaim, jak ci nie wstyd, masz żonę.

- Daleko.

- Słuchaj, twoje życie erotyczne mi wisi, daj mi Mir...

- Co, co ci robi?

- Wisi.

- Nie rozumiem.

- To idiom, daj mi Mirkę, bo mam ważną sprawę! Usłyszałam jakieś szuranie, trzasnęły drzwi, na dalekim

planie słycać było niewyraźny głos Mirki.

- Co się dzieje?
- Spij dalej, to tylko Ajka.
- Dla mnie Ajka nie jest „tylko”. Głos się przybliżył.
- No, co?
- Mirka?

~ Nie, szach perski. No?

389

- Dzwonili ze szpitala, Staszek wpadł w histerię i w ogóle trzeba go zabrać. Pójdiesz ze mną? Spotkałybyśmy się u Zosi za godzinę, on przy niej siedzi.
- A Zosia jak?
- Nie wiem, jeszcze żyje.
- To może się wylize?

Westchnęłam, życzyłam Zosi wszystkiego najlepszego, zabrała mi męża, ale nie jestem znowu taka, żeby w tej sytuacji pragnąć zemsty. Skąd! Szczególnie, że rozwiązałoby to sprawę Staszka, doprawdy nie czułam się na siłach, żeby zacząć życie jeszcze raz, wziąć na wychowanie dziecko. Boże, po co ja powiedziałam to „dobrze, dobrze...”

Mirka weszła do szpitala prawie jednocześnie ze mną, od razu mnie zemdliło, ale wzięłam z domu chusteczkę skropioną moją ulubioną wodą kolońską „Kobako”, którą kiedyś, zupełnie przypadkowo, kupił mi Bodzio na urodziny. No i patrzcie ludzie, Bohdan porzucił mnie, zginął, a ja ciągle pachniałam tak samo. Przyłożyłam sobie chustkę do nosa, a Mirka od razu zorientowała się o co chodzi.

- Nie histeryzuj, francuski piesek - warknęła - nagle się taka wrażliwa zrobiłaś?
- Co ci szkodzi, że...
- Bo nie znoszę przesady. Pomyślałby kto, że się w życiu smrodów nie nawęchałaś.

Od razu przypomniały mi się baraki, ohydna latryna...

- I ty o tym mówisz? Zawsze do mnie masz pretensję, że wracam do tamtych czasów.
- Do jakich czasów?
- No jak to, do obozu, do tamtych lat.

- Wcale nie o obozie myślałam, tobie się wszystko kojarzy.
- A o czym?
- O niczym w szczególności. W ogóle.

390

Akurat. Wyrwało jej się, a teraz kręci. Zresztą nie było się nawet czasu spierać, bo wchodzący do pokoju Zosi. Wyglądała jakby ciut lepiej, sama nie wiem, na czym to polegało, może skóra jej się zaróżowiła? Może ręka nie była już taka bezwładna? Przy jej łóżku siedział zapłakany Staszek, pewnie już go wypisali, bo nie nosił piżamy tylko własne ubranie, okropnie brudne, pogniecione i podarte, zniszczyło się w czasie wypadku, czemu oni w ogóle go w to ubrali? Trzeba będzie wziąć klucze do ich mieszkania, iść po rzeczy. Boże, szkoła! Szkolne rzeczy też musi się zabrać, oczywiście trzeba go do tej szkoły odprowadzać, wstawać skoro świt! Może Szymon będzie mógł go rano podrzucać?!

Mirka usiadła obok Zosi, dlaczego ona Mirki nie wpakowała w Staszka, tylko mnie? Mirkę znała sto razy lepiej, a może dlatego? Zosia za mądra nie jest, a moja siostra robi wrażenie oschłej i gburowatej. Wysłałam na korytarz, żeby się rozejrzeć za lekarką. Udało mi się przydybać ją w gabinecie, piła kawę, wyglądała jak wypluta, aż mi było przykro zawracać jej głowę, ale przecież musiałam.

- Zofia Majewska, ta z wypadku, z synem? - przypomniała sobie od razu. - Wie pani, że jakimś cudem ma się lepiej. Jeszcze za nic nie ręczę, ale uraz głowy był chyba powierzchowny, oczywiście jeszcze czeka ją wiele badań, w każdej chwili może coś... ale gorzej nie jest.
- To można mieć nadzieję?
- Nadzieję zawsze trzeba mieć, póki życia, póty nadziei.

Nie znoszę takich gadek, człowiek chce się dowiedzieć czegoś konkretnego, a nie wysłuchiwać banałów.

- Czyli jest możliwe, że wyzdrowieje?
- Owszem, ale ręczyć nie mogę.
- A chłopiec?

-To nie mój pacjent, ale koleżanka mi mówiła, że absolutnie nic mu nie jest, może go pani zabrać.

391

- Domyśliłam się, już jest w ubraniu, nie rozumiem, jak można go było ubierać w te lachy, mogliśmy przywieźć inne.
- Nie chciał. Nie pozwolił nic wyrzucić, powiedział, że tatuś mu kupił te spodnie i koszulę, i on nic innego na siebie nie włoży.

No tak, jak to nigdy nie należy z góry się oburzać.

- To co, można go zabrać?
- Nawet trzeba. Właśnie, kto zajmie się pogrzebem pana Majewskiego?
- Mój siostrzeniec.

Szymon jest doprawdy nieoceniony, zajął się od razu wszystkimi sprawami, a to przecież i kłopotliwe, i drogie, no, nieważne, Bohdan na pewno coś zostawił, ale na razie nawet nie można było Zosi o to pytać. Wróciłam do pokoju, Zosia już spała, trzeba było wyciągnąć z pokoju Staszka. Nawet nie chce mi się myśleć o tej scenie, biedny chłopak i ja biedna, prawie siłą wsadziłyśmy go do taksówki, Mirka wzięła klucze i pojechała po jego rzeczy, a ja zostałam z nim sama w domu. Nie wiedziałam, co robić, pchałam w niego jakąś czekoladę z orzechami, usiłowałam go przytulić. Nic z tego. Staszek siedział w kącie pokoju najeżony i wydawało mi się, że mnie wini o wszystko. Płakać mi się chciało i nawet o mało się nie rozryczałam, ale akurat ktoś zadzwonił do drzwi. Nie otwieram byle komu, ale przez wizjer zobaczyłam Piotrka.

- Mama pyta - zaczął - czy pani czegoś nie trzeba, bo słyszała o tym wypadku i podobno...

Nie miałam pojęcia skąd sąsiedzi wiedzieli o Bohdanie, tu niczego się nie da ukryć, zresztą po co miałabym to ukrywać.

- Podziękuj mamie, ale niczego mi...

Piotrek zauważył przycupniętego na krześle Staszka.

- Cześć, będziesz tu mieszkał?

392

Cisza.

- Mowę ci odjęto?

Cisza.

- Ty, nie bądź dupkiem, co tak siedzisz jakbyś miał pełne portki zmartwienia?

Niedobrze mi się zrobiło, lubię Piotrka, ale taktem to on nie grzeszy.

- Piotrusiu, daj mu spokój, to jeszcze dziecko, żaden kolega dla ciebie. I ma powód, żeby... Może lepiej teraz idź, powiedz mamie...

- Dlaczego nie mam być jego kumplem? - usłyszałam głos Staszka. - Pani myśli, że jak on jest trochę starszy, to już nie może ze mną gadać?

Położyłam uszy po sobie, wybiegłam do kuchni, przyniosłam galaretkę z nówek, wprawdzie garmazeryjną,

ale dobrą, pojemnik lodów czekoladowo-waniliowych, czekoladę, jakieś słodycze, które przyniósł mi Szymek, zaproponowałam herbatę, gdybym mogła, ozłociłabym tego Piotrka, powinien iść na psychologię.

- Niech pani tak nie lata - powiedział - niech pani sobie odpocznie w drugim pokoju, my tu pogadamy. Ma pani szachy?

Nie miałam szachów, ale miałam scrabble. Dałam im i wyniosłam się ze stołowego. A kiedy po godzinie Piotrek wychodził, Staszek już był spokojniejszy. Przebrał się w przywiezione przez Mirkę ciuchy i nawet zapytał, kiedy będzie pogrzeb ojca.

Człowiek jest doprawdy dziwny, kiedy przywiozłam Staszka ze szpitala byłam przerażona jego stanem, bałam się, że jest w szoku, że nie dotrę do niego, martwiłam się, że tak ciężko przeżywa śmierć ojca, wypadek, że się z tego nieprędko otrząśnie. Myślałam z przerażeniem, że będzie potrzebna pomoc Psychiatry, psychologa, licha wie kogo, że szok może nie mi-tnąć. A teraz, kiedy Staszek tak szybko doszedł do siebie, kie-

393

dy tak po prostu zapytał o pogrzeb, pomyślałam z niesmakiem, że jest nieczułym dzieckiem i że nic go to wszystko nie obchodzi. Powiedziałam to nawet Mirce.

- Uspokój się - zaczęła - zawsze wyciągasz za szybko zupełnie idiotyczne wnioski. Staszek jest normalnym chłopcem, ma chwile takie i siakie. Na pewno nie jest nieczuły, czy ty nigdy nie zrozumiesz drugiego człowieka?!

Nieprzyjemnie mi się zrobiło, ale muszę przyznać Mirce trochę racji. Nie bardzo umiem się, jak to ona mówi, wczu-wać. Ale mogłam sobie wyobrazić, jak czuje się Staszek w obcym domu, tej pierwszej nocy na obcym tapczanie, na dodatek u obcej osoby. Otuliłam go kołdrą, tak, jak otulałam w dzieciństwie Lusię, tak, jak usiłowała mnie otulać Mirka tym cienkim, szarym kocem.

Rozdział XLIV

Otulanie niczego nie rozwiązywało, była już zima, rano ziemia między barakami była pokryta szronem. Buty, w których więźniowie przyjechali, rozleciały się i Niemcy nie wiadomo dlaczego, rozdali wszystkim drewniane saboty wyciosane z jednego kawałka drewna. Saboty były duże, za duże na kobiety, a o wiele za duże na Ajkę. Trudno było w nich chaiżyć, ocierały stopy, naciskały na odmrożenia, które pojawiły się od razu z pierwszymi mrozami.

- Mirka, zimno mi - płakała Ajka w dzień, płakała w nocy. Nie było sposobu, żeby się ogrzać, jedyny piecyk w baraku, tak zwaną „kozę” oblegały ciągle zmarznięte kobiety, przepychały się, po kilku minutach były odsuwane przez kogo innego. Mistrzynią w takim wkręcaniu się była Debora, nie używała, jak inne, łokci, nie pyskowała, tylko wciskała się jakoś niepostrzeżenie, zdobywała ułamki milimetrów i w końcu dobijała do piecyka.

- Znów tu jesteś - denerwowała się Gołda - teraz kolej Racheli, ty przed chwilą się grzałaś.

Debora nie odpowiadała, uśmiechała się uprzejmie i pozwalała, aby ręka Racheli precyzyjnie się obok niej i dotknęła brzegu piecyka. Rachel nie miała instynktu samozachowawczego, nie wiedziała, że się oparzy, wybuchnęła histerycznym wrzaskiem. Ajka podejrzewała, że Debora zrobiła to naumyślnie, ale Mirka tak nie uważała.

- Wcale nie naumyślnie, Debora nie jest złośliwa.

-Tylko jaka, przecież wie, że Rachel jest nienormalna.

395

- Daj spokój, to brzydkie słowo.

- To jak mam mówić?

- Bo ja wiem. Niedorozwinięta?

- Wcale tak nie jest ładniej.

- Ojej, wszystko jedno, jaka jest, taka jest. Debora w ogóle o tym nie myśli, jej po prostu nie obchodzi nikt poza nią.

- A nieprawda, bo Marka kocha.

Mirka pokręciła głową, nie, Debora chyba nie kochała nawet Marka. Widać było, że chłopiec marnieje, okropnie schudł, oczywiście nie był wyjątkiem, ale Debora tego jakby nie zauważała, przyjmowała od niego kawałki chleba, a raz przyniósł jej nawet kanapkę-kromeczkę z dwiema kosteczkami mięsa, które znalazł w zupie. Kostki były wielkości małego paznokcia, ale były też wspaniałym, rzadkim znaleziskiem i niesłychanym rarytasem. Marek niósł podarunek w odmrożonych dłoniach, z trudem kuśtykał, bo dla niego saboty były za małe, miał wielkie stopy, a żaden z wysokich mężczyzn nie chciał się z nim zamienić.

- Panie Koplu - proszę - panu saboty leżą z nóg, dla mnie byłyby w sam raz.

- Mnie jest przykro - odpowiadał Kopel - ale Gołda robi mi onuce, owinę stopy i och, jak będę miał ciepło. A jak saboty będą w sam raz, to mi się już onuce nie zmieszczą.

- Niemiec zobaczy, że pan ma onuce z koca i wtedy już panu będzie potrzebny tylko całun.

- Pan mnie nie straszy, akurat Niemiec będzie mi oglądał nogi.

Trudno się było Kopiowi dziwić, rzeczywiście, mówił prawdę. Gołda z wyciągniętych z koców wełnianych nici robiła na drutach różne rzeczy, onuce, a nawet coś w rodzaju bezrękawników. Druty wyklepał jej ze znalezionych pręcików też Kopel, a szydełko zrobiła sobie sama z kawałka deski.

396

Wyciąganie nitek z kocy było oczywiście zabronione, więc trzeba było robić to bardzo zręcznie, jedną nitkę ze środka, jedną z brzegu, a potem przesuwając pozostałe tak, aby nie było śladu. Najwięcej nici

można było wyciągnąć z brzegu, wtedy koc się skracał, ale ostatecznie nikt nie mierzył ich centymetrem, jakoś na to Niemcy nie wpadli. Tak więc Gołda miała dodatkowe źródło zarobku. Onuce zaczęły zamawiać u niej mężczyźni, kobiety same je sobie robiły, Gołda miała pretensję.

- To ja wymyśliłam szydełko z drewna - mówiła - a wy mnie małpujecie.
- Idź do urzędu patentowego i zgłoś ten wynalazek - rozeźliła się wreszcie Mirka - nie ma tak, żebyś na nas żerowała.
- Mirka, daj spokój - uciszała ciocia Sara. - Gołda ma na utrzymaniu chore dziecko.
- No i dobrze, ja też mam dziecko.

Takie kłótnie nie trwały długo, nikomu nie chciało się pyskować, z ust snuły się obłoczki pary, było okropnie zimno.

- Posuń się, Debora - prosił Marek - ogrzeję ręce przy piecyku.
- Ale tylko na chwilkę, mnie też jest zimno - uśmiechała się dziewczyna i chwaliła - pyszny był ten chleb z mięsem. Jak kiedyś jeszcze znajdziesz mięso w zupie, to mi przyniesiesz, dobrze?
- E tam, dwa razy miałbym znaleźć?
- Wszystko jest możliwe.

Tymczasem okazało się, że szczęście następnym razem miał nie Marek, tylko matka Debory. Dziewczyna uśmiechała się, nawet się chwaliła.

- Ja to mam szczęście - mówiła - najpierw Marek, teraz mama. Ale pycha! Może teraz ja znajdę?
- ~ I co, komu oddasz, Markowi czy mamie? - zapytała Mirka, ale Debora nie wyczuła ironii.

397

- No, coś ty? Niby dlaczego?
- Może oni też chcą spróbować?
- Bardziej się cieszą, kiedy mogą dać mi prezent.
- To co, oddajesz im przysługę?
- A pewnie. Popatrz na mamę.

Rzeczywiście, mama promieniała, Mirka wściekała się, ale kiedy sama znalazła strzępek mięsa, wrzuciła go Ajce do zupy.

- Nie chcę! - rzuciła się dziewczynka - Deborę chcesz ze mnie zrobić?!

Nie, Mirka tego nie chciała, ale z drugiej strony... Następnym razem zaczęła i podrzuciła siostrze kawałek kartofla, kiedy Ajka się odwróciła. Życie doprawdy stawało się coraz bardziej skomplikowane. Na dodatek Mirka nie miała zdolności manualnych i onuce, które zrobiła, były pełne węzełków i rozłaziły się na pięcie.

- Widzisz - mówiła Gołda - wszystko trzeba umieć.

Ale Ajka i tak odżyła, saboty już się mniej zsuwały z nóg,

śnieg nie dostawał się bezpośrednio do gołych stóp, onuce jednak trochę grzały. Tylko na apelu nie można było ich nosić, bo Niemcy mogliby się zorientować. Rano apel, wieczorem apel, nogi siniały, wszyscy się trzęśli, a stukot zębów chyba było słychać. Na szczęście nie wszystkie apele trwały długo, Niemcom też nie było zbyt ciepło, chociaż byli poubierani w zupełnie niewiarygodne rzeczy.

- Ty, Mirka, oni mają i oficerki, i onuce, a może jeszcze skarpetki? Mundury mają ciepłe, a chyba pod mundurami jakieś gacie, podkoszulki, co?

- Już nie mam się nad czym zastanawiać, tylko nad ich gaciami, Ajka, daj spokój, fe!

- Chciałabym mieć takie „fe”... Płaszczki mają pewnie na watolinie i nawet rękawiczki! No, naprawdę, rękawiczki! I szaliki, i czapki! Pamiętasz, ja też miałam kiedyś rękawiczki, takie z jednym palcem, zielone.

398

- Szare.

- A nie, bo zielone!

- Ajka, chyba ja lepiej wiem! Szare z niebieskim szlaczkiem!

Apele pomimo ciepłych ubrań, w które wbijali się Niemcy, nie trwały zbyt długo, chyba że akurat miał służbę Befsztyk. Grzała go chyba własna złość i te dwa, czy trzy dni w tygodniu liczył więźniów po kilka razy, wyłapywał każdą nierówność szeregu, a nie daj Boże, żeby się ktoś przewrócił, czy przysiadł na piętach. A zdarzało się to coraz częściej, nikomu tu sił nie przybywało.

Ajka marzyła o rękawiczkach, śniły jej się zielone, ciepłe „łapki” z jednym palcem, aż tu pewnego dnia okazało się, że w kotłach przyniesiono coś lepszego niż rękawiczki - gorące kartofle w mundurkach, po trzy na głowę!

- Takie kartofle lepiej grzeją ręce niż pierzyna - cieszyła się dziewczynka i obracała ziemniak w dłoni - będę go miała i miała i zjem dopiero, jak ostygnie.

Wytrzymała całe pięć minut.

- No i gdzie twoje „rękawiczki”? - zapytała Mirka.

- W brzuchu - przyznała Ajka. Nie, nie można było wytrzymać, wszyscy zjedli je od razu, całe, z łupinami. Tylko Debora swoje kartofle obrała, a że akurat przyszedł Marek, zapytała, czy chce łupiny.

- No pewnie.

- To masz, jedz na zdrowie.

I Marek zjadł, a ze wzruszenia pocałował dziewczynę w rękę. *

- Dobra jesteś - powiedział - bardzo dobra.

- Marek, puknij się w łeb - nie wytrzymała Mirka, ale chłopiec w ogóle nie wiedział, o co jej chodzi, a Debora złapała Mirkę za rękę.

- Czy coś się stało? - zapytała zatroskanym głosem. -jesteś zdenerwowana. Może coś z Ajką?!

399

- Pocałuj mnie w dupę - odpowiedziała Mirka ku zgorszeniu cioci Sary, która, jak zwykle, usiłowała łagodzić wszelkie spory.

- Mirka, jaki ty przykład dajesz dziecku i w ogóle o co ci chodzi, przecież Debora po prostu zatroszczyła się o Marka. Wszyscy inni zjedli skórkę, a ona...

- A ona nie musiała, bo zeżarła kartofle matki, sama widziałam - pieniała się Mirka, a ciocia Sara tylko wdychała i wdychała, i w końcu już po raz drugi zaczęła matkę Debory.

- Źle robisz, myślisz, że jak umrzesz, to jej będzie lepiej?

- Dopóki żyję, to jej będzie lepiej. Sara, proszę cię, nie wtrącaj się do nas.

Rzeczywiście, nie trzeba było się wtrącać, każdy miał jakiś sposób na przeżycie albo na umieranie. Debora zjadła kartofle, zachwycony nią Marek wrócił szybko do swojego baraku, chyba był już zbyt głodny i zmarznięty, żeby zostawać u dziewczyny na pryczy.

Od tego czasu bywały dni, kiedy zamiast zupy zjawiały się ziemniaki i nie wiadomo było, czy to dobrze, czy źle, bo sprawa miała kilka aspektów.

- Jak jest zupa - mówiła Gołda - to dzielą sprawiedliwie, temu pół chochli, tamtemu pół chochli. A jak...

- A nie - nie zgadzała się ciocia Sara - bo jeden dostaje rzadsze, a jeden gęściejsze.

- No tak, ale jak pilnować, to rozdają równo, przecież to nasi rozdają, nie oni. I wiadomo, że jest kolejka po repetę, co dzień dostaje kto inny, sprawiedliwie.

- Ale jeden dostaje w zupie kartofla, a czasem kawałek mięsa, a inny nie.

- To już jest sprawa szczęścia. A te kartofle w mundurkach są różne, jedne większe, a inne mniejsze, a rozdają jak leci.
- Nie można segregować, bo by wystygły.

400

- No i zobacz, Dawid dostał zgniłego kartofla, nie można go było jeść.
- Nie zjadł?!
- Nie można było, sama bryja.
- E tam - przeciągnęła Ajka - nie wierzę, żeby nie można było zjeść kartofla.

Zawsze przypominał mi się ten zgniły kartofel Dawida, kiedy zastanawiałam się, co zrobić na obiad, co lubi Lusia, co Mikołaj, a co Bodzio. Tylko Szmulek nie był wybredny, może też pamiętał czasy, kiedy jego matka, Chanina, przynosiła mu jakieś[^])krawki wędlin, resztki zup i prawie zgniłe jarzyny, które kupowała za pieniądze zarobione na swoim nędznym handelku? Z tych czasów zostało mu upodobanie do solidnych, sytnych dań. Najbardziej cenił sobie słynny bigos, który robiłam z okazji większych uroczystości rodzinnych. Ale ja nigdy nie byłam wybredna. A teraz nie wiedziałam, co ugotować, żeby smakowało Staszкови, żeby zjadł.

Tego pierwszego dnia nie poszedł jeszcze do szkoły, Mirka miała go zabrać do szpitala, do Zosi i rzeczywiście, w południe wstąpiła. Poszli sobie, myślałam, że nareszcie trochę odpocznę, jeszcze nawet nie byłam porządnie rozpakowana. Otworzyłam szafę, a tu masz! Dzwonek!

Za drzwiami stał jakiś obcy facet, bałam się go wpuścić, ale przez szparę w drzwiach, bo nie zdjęłam łańcucha, podał mi dowód osobisty.

- Niech się pani nie boi, na pewno Maria opowiadała pani o mnie.

To był ni mniej, ni więcej, tylko ten legendarny Gabriel, amant mojej siostrzyczki, doprawdy, stare babsko, a ma Powodzenie. Na mnie nawet pies nie chce już spojrzeć, ten

401

łagodny Biyś Mirki też mnie obszczał. No dobrze, otworzyłam drzwi, wpuściłam go. Przystojny, to znaczy w miarę przystojny, szarmancki, buchnął mnie w mankiet i zaczął przeproszać.

- Pani wybaczy, dzwoniłem, ale chyba pani wyłączyła telefon?
- Nigdy w życiu!
- Może akurat pani nie było, pozwoliłem sobie wstąpić, bo...

Na pewno wcale nie dzwonił, bał się, że nie zechcę się z nim spotkać i słusznie, co za pomysły, przychodzi tu z takimi osobistymi sprawami. To wszystko nie powinno mnie w ogóle obchodzić, co ja mu poradzę?

- Tylko pani... właśnie o to chodzi, że z Marią nie mogę się dogadać, raz jest miła, a raz się wścieka.
- Pana siostra...

Mirka opowiadała mi o tej żoźcie, baba była nie do przyjęcia.

- Przecież wcale nie musiałyby się kontaktować, zresztą Róża nie jest taka zła, wyrwało jej się. Nie ma pani pojęcia, jak tego żałuję. A teraz zjawił się pan Henryk i nie wiem, czy ja mam w ogóle jakieś szanse.

Idiota, skąd mam wiedzieć, czy ma szanse, nie może się dogadać z Mirką, a ja? Ja też nie mogę. Niech się tylko spróbuję wtrącić, no, dostanę za swoje. Ale coś mu jednak mogłam powiedzieć.

- Pan Henryk to tylko dawny znajomy Mirki. Nic tam między nimi nie ma i nie będzie.
- Naprawdę? Bo zatrzymał się u Marysi...
- Proszę pana, w tym wieku... chyba pan nie myśli, że...
- Ależ skąd, broń Boże - odżegnywał się ten cały Gabriel - ale wie pani... Przepraszam, ale muszę z kimś o tym pomówić, a panie są takie zżyte... Chciałbym sobie ułożyć te, może ostatnie, lata. I jeśli Marysia zdecydowanie mnie nie

402

lubi... jest przeciwna...To powinna mi wyraźnie to uświadomić, ale, wie pani, raz zachowuje się bardzo miło, a raz jest po prostu odpychająca. Więc może pani ustaliłaby... może pani by ją zapytała. Bo mnie nie odpowiada wprost i nie wiem...

Jakbym słyszała Leona, stanął mi przed oczami jak żywy, taki jakiś zgaszony, smutny. Boże, kiedy to było, właśnie się odnalazłyśmy, dopiero niedawno Mirka zabrała mnie z Domu Dziecka. Gdyby Leon wtedy nie spotkał Szmulka mogłyśmy się jeszcze długo szukać, byłam zresztą pewna, że Mirka umarła na tyfus. Kiedy nas wywieziono z obozu, a ona została, bo nie mogła iść, została prawie nieprzytomna na tej ohydnej przyczynie, byłam pewna, że zaraz, za chwilę/imrze. Ciocia Sara też tak uważała, więc kiedy Mirka przyszła do Domu Dziecka...

Rozdział XLV

...o mało nie oszalałam ze szczęścia. I jeszcze Leon, Leon też żył!

To było niewiarygodne, inne dzieci bardzo mi zazdrościły, Bluma płakała kiedy odchodziłam, nawet przyrzekła mi przyjaźń na wieki. Oczywiście byłam najzupełniej pewna, że Mirka wyjdzie za Leona, ale ona wtedy też się wahała. Zwodziła go, okropnie mnie to denerwowało. I Leon, tak jak teraz Gabriel, pewnego dnia wziął mnie na rozmówkę.

- Ajuniu - powiedział - jak myślisz, czy Mirka mnie kocha?

Uważałam, że powinna go kochać.

- Myślę, że tak.
- No to dlaczego nie chce wyjść za mnie?
- A nie chce? - zmartwiłam się.
- Nie wiem.
- Ja z nią pogadam - powiedziałam, byłam pewna, że to jakieś nieporozumienie - czekaj, ja z nią pogadam.
- A może ona ciągle jeszcze myśli o Chaimie?

Musiało go to bardzo boleć, jeśli rozmawiał o swoich

sprawach z dzieckiem. Pamiętam, że się okropnie zaczerwienił, pomyślałam, że nie daj Boże szlag go trafi.

- Przecież Heniek nie żyje, ta dziewczyna mówiła...

No tak... teraz sobie przypominam, Leon wtedy milczał, nie potakiwał, już nie był czerwony, tylko zupełnie biały. Myślałam, że tak się wzruszył tą rozmową, a on chyba miał wyrzuty sumienia. Może też się bał, że jakoś się o Chaimie

404

dowiemy? Musiał go spotkać kiedy jeszcze nie wiedział, że Mirka żyje.

Pogadałam z nią i może trochę dlatego, że nalegałam, a może dlatego że była samotna, a Leona lubiła, zgodziła się na ten ślub.

Zamyśliłam się, Gabriel powtórzył głośno, coś co powiedział. Dotarło to do mnie.

- Nie wiem. Może pani uda się wyjaśnić... Marysia panią tak kocha.

Spojrzałam na niego. Marysia... zawsze mnie to trochę raziło, po co Mirka zmieniła sobie imię po wojnie? Może nie chciała się afiszować hebrajskim imieniem? To znaczy nie „może”, tylko na pewno. Powiedziała mi kiedyś, że nie ma zamiaru niczego? ukrywać, ale że też nie widzi potrzeby chodzenia z transparentem.

- Dla mnie zawsze będziesz Mirką - powiedziałam.
- No i dobrze, proszę bardzo - zgodziła się i tak już zostało. A teraz ten Gabriel opowiada mi o „Marysi”.
- Może i kocha - skinęłam głową - ale nie mam na nią aż takiego wpływu, żeby ją nakłonić do małżeństwa.
- Ależ wcale nie proszę o żadne nakłanianie - obraził się trochę Gabriel - chcę tylko jasnej

odpowiedzi, tak, albo siak. Przepraszam, to znaczy tak, lub nie.

Zazgrzytał klucz, Mirka oczywiście ma klucze od mojego mieszkania. Osłupiała, kiedy napatoczyła się na Gabriela.

- Co ty tu robisz?! Przecież się nie znacie?
- Już się znamy.
- Skąd wzięłaś adres?
- Szymek mi dał.
- Doprawdy, nie rozumiem...

Postanowiłam chwycić byka za rogi.

- Pan Gabriel przyszedł prosić o twoją rękę - oznajmiłam.
- Co takiego?!

405

- Marysiu...
- Zwariowałaś?!
- Nie, chciałbym...
- To nie do wiary - wściekała się Mirka - nachodzisz moją siostrę w takiej sprawie, czy ty...
- Nie „nachodzi” - łagodziałam - po prostu przyszedł. Może kawy, może herbaty? Obiad też mam. Siadajcie, uspokójcie się, Staszek, chodź do kuchni, jak się czuje mama?

Uciekłam z pokoju, Zosia podobno powoli dochodziła do siebie. Lekarze uznali, że nie jest tak fatalnie, jak się zdawało, nie było wewnętrznych obrażeń, cuda się zdarzają. Chłopiec był w doskonałym humorze, zaczął wyjadać gulasz z garnka, okazało się, że dobrze trafiłam, lubił duszoną wołowinę. W pokoju było podejrzenie cicho, zajrzałam tam. Mirka siedziała sama.

- Co z nim zrobiłaś?
- Nic, poszedł sobie, kazał cię pożegnać.
- Ale jak załatwiłaś... co mu powiedziałaś?
- Uspokój się, Ajka, powiedziałam, że jestem zmęczona i żeby mi nie zawracał głowy.
- Zobaczysz - ostrzegałam ją - że on ci bryknie. Straci cierpliwość i ożeni się z Rutą.

- I bardzo dobrze.
- Pożałujesz.
- To ty pożałujesz, jak się nie odczepisz. Doprawdy, mało mamy kłopotów, jeszcze mi potrzebny Gabriel. Ajka, już jest za późno, nie przyzwyczaję się do obcego faceta w domu.
- To mu to wyraźnie powiedz, bo chłop chce się żenić, a ty mu wiążesz ręce.
- Sama mówisz, że jemu chodzi w ogóle o żonę, a wcale nie o mnie.
- O ciebie też. Nie lubisz go?

406

- Lubię, Brysia też lubię, ale niekoniecznie muszę brać z nim ślub.

Z Mirką niełatwo się dogadać, teraz nawet nie było warunków, bo z kuchni wyszedł Staszek. Od chwili, kiedy się dowiedział, że Zosia będzie żyła, stał się zupełnie inny, miły i pogodny, tak, jakby zapomniał, że za parę dni jest pogrzeb jego ojca. Żał mi było Bodzia, ale nie chciałam Staszce o nim przypominać. Można go było zrozumieć, bał się, że straci matkę i teraz odczuwał już nie żal, lecz ulgę. Ja zresztą też, opieka nad Staszkiem, skoro miała trwać tylko przez parę tygodni, czy nawet miesięcy, a nie przez całe życie, nie wydawała mi się już tak uciążliwa. „Pomieszka, pomieszka, a potem Zosia go zabierze” - myślałam i czułam, jak mi ciężar spada z piersi. Może też nie myślałam o Bodziu? Albo za mało myślałam? Pogrzeb miał być w czwartek, Szymon załatwił już wszystko, trumnę, księdza, miejsce na cmentarzu... Do dziś wydaje mi się to dziwne, żeby nie powiedzieć - zabawne.

* * *

Dla jednego człowieka tyle zachodu, takie ceremonie... Ajka już po wojnie dostała ataku śmiechu w Teatrze Polskim, gdy w jednej ze sztuk celebrowano śmierć tylko jednego człowieka, szykowano nabożeństwo, stypę, trumnę, wygłaszano przemówienia... Wydawało jej się to dziwactwem, przecież codziennie umierało tylu ludzi, składano ich w stosy, byli tam więźniowie także z innych terenów obozu, leżeli po kilka dni, dopiero potem, hurtem, gdzieś ich wywożono. Chyba do krematorium, już było wiadomo, z jakiego komina wysnuwa się szary dym. Ajka kiedyś bardzo się zdenerwowała, bo zauważyła, że jeden trup jakby się ruszył, widziała to przez okno baraku, ale stos leżał po drugiej stronie, to już była inna część obozu i nie było tam oczywiście wstępu. Mirka patrzyła i patrzyła,

407

a potem powiedziała, że nie, niczego takiego nie zauważyła.

- Który to był?

Ajka spojrzała jeszcze raz. Wszyscy wyglądali tak samo, to byli chyba sami mężczyźni, może to był piąty od góry? A może ósmy? Ajka nie była pewna.

- Chyba ten, któremu noga wystaje, zaraz, jednak piąty.
- Ale z lewej strony, czy z prawej?
- Ojej, od góry piąty. Z tej strony, nie będę ich liczyć, przyjrzyj się, rusza się czy nie?

Mirka nie była pewna, ale jakby nawet się ruszył, to co? Co można było zrobić, tu nie było karettek pogotowia. Na wszelki wypadek pokręciła głową.

- Wydawało ci się. Nikt niczym nie rusza, same trupy.
- Na pewno?!
- Na pewno - pocieszała Mirka siostrę - nie martw się, oni już nie żyją.

Dziewczynka odetchnęła z ulgą, można już było spokojnie odejść od okna, nic nadzwyczajnego się nie działo. Pomyślała to chyba wtedy w złą godzinę, bo parę minut później do obozu wpadła grupa SS-manów z Befsztykiem na czele i zaczęła zaganiać kobiety do bramy. To było potworne, rozległ się płacz i krzyk, więźniarki były pewne, że zabierają je na śmierć, że to następny transport do gazu, że je wywożą, tak jak wywozili już innych więźniów. Przez całą drogę, brnąc przez bryjowatą papkę śniegu, modliły się już tylko o lekką śmierć. Mirka mocno przytulała nieprzytomną z przerażenia Ajkę. Było bardzo zimno, ktoś powiedział:

- Patrzcie, przynajmniej przed śmiercią zobaczymy jeszcze drzewa.

Rzeczywiście, droga prowadziła między szpalerem świerków, a może sosen, Ajka nie знаła się na roślinach, w każdym razie igły były zielone, w końcu tej alei stał

408

budynek, na placyku otoczonym drutem. Nie kolczastym, normalnym drutem.

- Uważaj, Ajka, nie dotykaj, jest na pewno pod napięciem - szepnęła Mirka i pomyślała, że właściwie dlaczego nie, może lepiej zginąć od porażenia prądem, niż od gazu. Zastanowiła się przez ułamek sekundy i już sięgała po rękę siostry, żeby razem, jednocześnie dotknąć tego drutu, kiedy zobaczyła, że Sara robi to samo, łapie metal całą dłonią. Drut nie był podłączony do prądu, trzeba było wejść do tego złowrogiemu budynku. Z wrzasku Niemców wynikało, że kobiety mają rozebrać się do naga, rzeczy położyć na ławach w pierwszym pomieszczeniu, a same iść do drugiego.

W tym drugim/na suficie widać było prysznic, nie, to chyba nie są normalne natryski, może przez te otwory puszczą gaz? Jeden z Niemców zatrasnął za kobietami drzwi, ktoś zaczął krzyżeć, ktoś się modlił, Mirka przytuliła Ajkę, obie płakały. Z sufitu trysnęła ciepła woda, kobiety poczuły dziwny zapach, Gołda krzyknęła „gaz” i wszystkie, chociaż nie było żadnej szansy na ucieczkę, runęły do zatrzęsniętych drzwi, pchnęły...

Drzwi były otwarte, następne także, kobiety nago wybiegły na mroz, Niemcy zwijali się ze śmiechu.

- Tfu - powiedział jeden z nich - śmierdzące brudasy, jak to uciekają przed kąpielą!

To rzeczywiście były zwyczajne prysznic, nie wiadomo dlaczego Niemcom wpadło do głowy, żeby zaprowadzić kobiety do łaźni. Może Befsztyk świadomie zrobił więźniarkom kawał.

Już prawie uspokojone wróciły pod prysznic, umyły się, włożyły na siebie odwszone w międzyczasie łachy.

- No i popatrz, żyjemy - dziwiła się w drodze powrotnej Ajka.

409

Ale już następnego dnia Mirka pomyślała, że cieszyły się przedwcześnie. Rano dziewczynka nie poznawała ani siostry, ani cioci Sary, ani baraku. Leżała w gorączce na pryczy i majaczyła. Może przeziębła się na śniegu? Pod prysznicem? A może to był tyfus?

Z męskiego baraku przy człapał więzień, który kiedyś, dawno temu, był podobno lekarzem. Obejrzał Ajkę i zakaszłał.

- T chyba też tyfus, grypa, cholera wie co. A na pewno odra.
- Co pan mówi, przecież nie miałyby się od kogo zarazić?!
- Może od jakiegoś z panów świata?
- Niemiec miałby przywlec odrę do obozu?

Widocznie tak było, bo zachorowało jeszcze parę osób,

Ajka leżała pokryta czerwonymi plamami, Rachela leżała, nie wiadomo było, co robić. Lekarz przyszedł raz i drugi, popatrzył i rozłożył ręce.

- Czyja w ogóle nic nie mogę zrobić? - rozpaczła Mirka.
- Co ja panience mogę powiedzieć. Trzeba dużo pić, lekka dieta, chronić oczy, spędzić gorączkę. Ona ma chyba też tyfus.
- Pan żartuje, ona umiera, a pan sobie kpi. Lekka dieta, może soki owocowe?
- Przydałyby się.

Ajka majaczyła, a Rachela umarła. Nie wiadomo, czy tylko na tę odrę, czy też na coś jeszcze, może z głodu, albo na tyfus. Gołda siedziała na pryczy, pozwoliła wynieść córkę, nawet za nią nie poszła, nie podchodziła do stosu, siedziała cicha, jakby zamyślona, jadła swoje porcje, jeśli ktoś jej to jedzenie podał. Kłębki powierzonych jej nici leżały w misce, w końcu ich właścicielki, uznawszy, że Gołda już nie będzie nikomu szyc, ani robić na drutach onucy, zabierały każda swoje, a potem ktoś zabrał też igły-

410

Gołda nawet nie zauważyła kradzieży, już nie pilnowała skarbów, było jej wszystko jedno, a pewnego dnia, było to już wiele dni po tym, jak Ajka wyzdrowiała, pewnego dnia Gołda nie wstała do porannego apelu i Niemiec, któremu nie zgadzała się liczba więźniarek, znalazł ją martwą pod kocem. Był to bardzo zły apel, widocznie Befsztyk uważał, że kobiety są odpowiedzialne za jego kłopot i odbijał to sobie przez dwie godziny. Wszystkie więźniarki odetchnęły, kiedy Gołda się znalazła i właściwie nikt po niej nie płakał.

- Może tak i lepiej - powiedziała Sara - są już razem.
- Pani w to wierzy?
- A ty nie?

Mirka nie wiedziała, czy wierzy, jak można wierzyć w Boga, który dopuszcza do takich rzeczy? Wolą się nad tym nie zastanawiać, a już na pewno śmierć Gołdy niczego nie zmieniała.

- Nie wiem, ale może rzeczywiście dobrze się stało. Gołda nie chciała żyć bez Racheli. Swoją drogą, ciekawa jestem, jaka świnia podwędziła jej igły?! Przecież wtedy jeszcze żyła.
- A skąd wiesz?
- Mam oczy, najpierw igły były w misce, a potem zniknęły.
- Pewnie sama je gdzieś wsadziła - odezwała się Debora - przecież nie wiedziała, co robi.
- Nic nie robiła.
- Ale mogła je wyrzucić?
- Przecież to nie miałyby sensu.
- Więc co się z nimi stało?
- Ktoś je ukradł. Żeby teraz, to jeszcze. Ale ukradł, kiedy Gołda żyła. To obrzydliwe.
- Dziecko kochane - westchnęła Sara - a co tu nie jest obrzydliwe?

411

Ale Mirka była nieugięta.

- My, my nie powinniśmy być obrzydliwi. Skoro nie mamy rady, skoro nic nie poradzimy na to, co się wokół nas dzieje, musimy chociaż same zachować jakąś godność, uczciwość. A nie okradać kogoś takiego jak Gołda. Zresztą nie tylko kogoś takiego, w ogóle, każdego. Właśnie w takiej sytuacji trzeba zachować uczciwość, wtedy, kiedy jest najtrudniej.

Ciocia Sara pogładziła Mirkę po głowie, powiedziała coś cicho o szlachetnych idealistkach i dodała:

- Nie licz na to, że wszyscy tu są tacy święci. Trudno zachować dumę, kiedy się zdycha z głodu.
- Ten, co rąbnął igły, nie zrobił tego z głodu.
- Uważasz, że kradzież chleba jest bardziej do przyjęcia?! Nie, tego Mirka nie myślała. Kradzież chleba w obozie to

było kompletne dno.

Rozdział XLVI

W kondukcje szło może sto osób, nawet nie wiedziałam, że Bodzio stał się taki popularny, za naszych czasów mieliśmy tylko kilku przyjaciół, a w pracy nikt specjalnie Bo-dzia nie szanował. A może go nie doceniałam. No cóż, po ślubie z Zosią Bohdan zmienił też pracę, bardzo awansował, przed jego trumną w kościele leżało z pięć ogromnych wieńców, nie licząc całych stosów kwiatów. Ksiądz chwalał Bohdana pod niebiosa, nawet nie sądziłam, że miał tyle zasług, że pracował społecznie, że... zresztą, czy to wszystko jest prawdą? O umarłych albo dobrze, albo wcale... Nie oczekiwałam, że ksiądz powie, jak to Bohdan mnie rzucił dla Zosi. Co za ironia losu, a ja w jej imieniu kupiłam teraz wieniec na jego grób. „Kochająca żona i syn”. Powinno być w liczbie mnogiej: „Kochające żony...” Ciekawe, co by wtedy ksiądz powiedział. Zresztą my nie mieliśmy ślubu kościelnego, więc może w oczach niektórych ludzi to się w ogóle nie liczyło?

W kościele było okropnie duszno, obok mnie siedział Staszek, a z drugiej strony usiadł jakiś starszy pan. Nie wiedziałam kto to jest, ławka przed trumną przeznaczona była właściwie tylko dla najbliższych, no cóż, ja już się wprawdzie do nich nie zaliczałam, ale przecież nie mogłam pozwolić, żeby dzieciak tam siedział zupełnie sam, Bohdan Przecież nikogo nie miał, Zosia też nie. Nagle mnie olśniło. To pewnie ten wujek Zosi, jak mu tam? Antoni na pewno, nazwisko? Jakies takie od imienia, Grzesiowski? Nie,

413

Maćkowiak? Też nie. Już mam, Krzysztofiński! Ulżyło mi, no cóż, wujek Zosi miał prawo tu siedzieć, powinowaty.

Staszek nie zwracał początkowo na niego uwagi, spojrzał dopiero wtedy, kiedy gość jakoś żałośnie westchnął. Spojrzał tak, jakby go poznawał, ale ze zdziwieniem, jak na dalekiego znajomego, jakby się dziwił jego obecności. Przypomniłam sobie, że Zosia o tym wujku mówiła dziwne rzeczy i kiedy nabożeństwo się skończyło i kondukt ruszył, ustawiłam się tuż obok faceta. Z drugiej strony nagle wyłoniła się Mirka.

Staszek został trochę z tyłu z Piotrkim, który widocznie uznał, że skoro Stanisław uważa go za przyjaciela, musi być na pogrzebie. A może tylko skorzystał z okazji, żeby nie iść do szkoły.

- Dzień dobry panu - zaczęłam szeptem tego wujka -pan jest krewnym Zosi, prawda?
- A pani skąd wie?

- Skoro pan usiadł przed trumną...
- No tak. Krewnym. A jakże - zaśmiał się nie w porę facet - tylko ona mnie widzieć nie chce.
- Przecież zawiadomiła...
- Pewnie dlatego, że rąbnęła się w głowę.
- Nie, dlaczego pan tak myśli?
- Już ja wiem, jak jest - sapnął gość i nagle poczułam zapach wódki. Przed południem, słowo daję, musiał pić od samego rana! Może ze smutku, z żalu po Bodziu? Bardzo mnie intrygował, cała sprawa była trochę tajemnicza.
- A jak jest? - nie wytrzymałam i usłyszałam szept Mirki „Uspokój się, nie twoja sprawa!". Facet był widocznie tego samego zdania, bo spojrzął na mnie złym wzrokiem i syknął:
- Nie paniusi zamazany interes.

A potem odwrócił się i poszedł, tylko po drodze pogłaskał po głowie Stasia, który rozmawiał z Piotrkim o ostatnim

414

meczu piłki nożnej. Na pogrzebie własnego ojca, słowo da-

- No i co, doczekałaś się - powiedziała Mirka - po co wsadzasz nos w nie swoje sprawy. Wujek, to wujek.
- Bodzio mówił, że ona nikogo nie ma.
- No to się mylił.
- On był po wódce, ten wujek.
- Może dlatego Zosia go nie lubi.

Staszek podszedł do mnie.

- Daleko jeszcze?
 - Nie. Kto to był ten pan?
 - Taki tam. Niby wujek. Przyszedł do nas kilka razy, ale mama... jak przyszedł pierwszy raz, to była cała heca, tato go o mało niqrwyrzucił za drzwi, ale potem jakoś znowu przyszedł. Mama raz go lubi, a raz nie.
- A ty?

- A mnie on wisi. Co tam... taty mi żal - powiedział i nagle przytulił się do mnie i rozplakał się na cały głos, kondukt na chwilę stanął, ludzie patrzyli z takim zdziwieniem, jakby stało się coś nieprzewidzianego. Jedna taka z grubym zadkiem nawet podbiegła.

- Co się stało?!

Przypomniał mi się wspaniały wiersz Szymborskiej, kogo właściwie tak naprawdę obchodził zmarły? Każdy lezie w tym kondukcje bo wypada, każdy gada o duperelach, a jak dzieciak płacze, to się dziwią. No, o dziecku już Szymborska nie pisała, ale na tym pogrzebie akurat było.

- Co się stało?! - powtórzyła złym głosem Mirka. - Ojciec mu umarł, nie zauważyła pani?

Babsko poszło, może byłyśmy niesprawiedliwe, na pewno nie miała złych intencji.

Musieliśmy jeszcze przeczekać mowy nad grobem, jakiś dyrektor znalazł sobie okazję do popisów krasomówczych. „Drogi Bohdanie - wykrzykiwał, ciekawa je-

415

stem, czy byli kiedyś na ty - drogi, niezapomniany Bohdanie, coś uczynił? Czemu odszedłeś od nas w tak młodym jeszcze wieku, w pełni sił twórczych, mogłeś..." Nie znoszę takiego gadania, pretensji do nieboszczyka, można tak było żegnać pana Wołodyjowskiego, ale na normalnym pogrzebie jakoś to razi. „Czemu zostawiłeś na tym świecie młodą żonę i nieletnią córeczkę..." kretyn, nawet nie wie, że Bohdan ma syna, Staszek zrobił wielkie oczy, ktoś zachichotał, jeszcze pójdzie plotka, że Bodzio miał nieślubną córkę. Po dyrektorze wylazła jakaś kobieta, ta sama, którą obrugała Mirka. Wylczyła dosyć sucho wszystkie funkcje, które pełnił Bohdan, przypominało to bardziej referencje potrzebne do uzyskania posady, niż wspomnienie o człowieku.

Okropnie się zmęczyłam na tym pogrzebie, a trzeba było jeszcze iść do Zosi, cały czas miałam ze sobą dwie puszki kompotu z ananasa, o który bardzo prosiła. Ciągłe nie mogłam uwierzyć, że tak się troszczę o tę małpę, o tę dziewuchę, która mi zabrała męża. Gorzej, zacznam ją nawet lubić.

Dowlokłam się do tego szpitala na ostatnich nogach, miałam wrażenie, że są spuchnięte od kostek do ud.

Nogi puchły prawie wszystkim. Podobno z głodu, nawet na pewno z głodu. Mirka była chuda jak patyk, a nogi miała baloniaste. Jeszcze gorzej wyglądała pani Weronka. Od dołu do góry nogi były równej szerokości, jak walce, a kiedy się wepchnęło w ciało palec, bardzo długo zostawało tam wgłębienie. Ajka z Krysią nawet się z tego śmiały, pani Weronka żartowała:

- Jestem kobietą w dziurki, zupełnie jak koronkowa serwetka mojej mamy.

416

Ale serwetkę przypominała tylko białym kolorem twarzy. Wszyscy zaczęli przypominać duchy, o ile duchy w ogóle mają kolor. Jednak już w czasie tej pierwszej zimy rekordy chudości pobijał ojciec Meli i Hanki, pan Kuba. Po losowaniu zabierał swoją porcję chleba i gdzieś zniknął, w obozie trudno było coś ukryć, więc

po niedługim czasie okazało się, że chodził do Stefana. Spotykali się w rogu latryny i Marek pewnego dnia zobaczył, że Stefan bierze chleb pana Kuby, a w zamian daje mu papierosy. Kuba od razu, z lubością, wypalał je w tejże latrynie.

- Co robicie?! - zdenerwował się wtedy Marek - Stefan, skąd masz tyle papierosów?

Było to niemądre pytanie, Stefan miewał rzeczy zupełnie nieprawdopodobne, kiedyś zdobył nawet termometr, innym razem aspirynę, a już szczytem jego osiągnięć handlowych była puszcza sardynek, którą sprzedał komuś umierającemu za koc.

- Mnie już nic nie ogrzeje - stwierdził umrzyk - a przed śmiercią przynajmniej zjem coś dobrego.

Stefan potem ten koc zamienił na pół kilo chleba, chleb na złotą monetę przemycną w obcasie buta do obozu, za monetę dostał od Niemca dwa kilo chleba, za dwa kilo chleba kupił dwie monety... jednym słowem, wypytywanie Stefana, który potrafił robić interesy nawet z Niemcami, było naiwne. Tyle, że Marek szalenie się zgorszył.

- Jak możesz - warczał - przecież Kuba wyciągnie przez to nogi!

- Jestem dorosły - wtrącił ojciec Meli - wolę wypalić niż zjeść. Marek, to nie twój interes. A jak powiesz Beli, albo dziewczynkom, to będziesz ostatnią świnią.

Marek nie musiał niczego mówić, żona Kuby zorientowana się bardzo szybko i zaczęła pilnować męża jakby był ma-tym dzieckiem. Chodziła za nim, żądała, żeby swój chleb zjadał od razu po losowaniu, zupa prawie go karmiła. Nie-

417

wiele to pomagało, Kuba zaczął swoją porcję brać nie wspólnie z rodziną, tylko z kolegami w baraku, a ściślej mówiąc ze Stefanem. Już nawet swojego kawałka nie dzielili i nie losowali, Stefan brał wszystko, a Kuba wypalał papierosy od razu. Najdziwniejsze było to, że ciągle okropnie chudł, już wydawało się, że nie ma na nim niczego, oprócz skóry i kości, a w ciągu następnych dni okazywało się, że jednak coś musiało być, bo pan Jakub stawał się jeszcze bardziej przezroczysty, a oczy wpadały mu jeszcze głębiej.

- Tatusiu - płakała Mela - nie pal! Przecież się zabijasz.

- Ty tego nie rozumiesz, dziecko kochane - tłumaczył ojciec - kiedy palę, mam wrażenie, że żyję.

- Ale przecież jesteś głodny.

- Ty też jesteś głodna, chociaż nie palisz.

- Wstydzilibyś się - już krzyczała pani Bela - jak nie chcesz jeść, oddałbyś lepiej chleb dziecku! Tego Stefana trzeba zabić, krew z ciebie wypija. Bandyta, z Niemcami robi interesy! Wypasiony jest jak byk, na twojej krzywdzie.

- Wcale nie akurat na mojej - wzruszał ramionami Kuba - dla niego ta moja porcyjka to mucha. On

nie takie rzeczy sprzedaje.

- Złodziej, sprzedałby własną matkę!
- Nieprawda. Jak kupić za całe kilo chleba lekarstwo dla Racheli, to oddał je za darmo.

Było tak rzeczywiście, widocznie handlowanie nie zabiło w nim ludzkich uczuć. Tłumaczył też pani Beli, która przyszła do Stefana i zrobiła mu potworną awanturę:

- Przecież panin Kuba jest dorosły, jak chce, to pali. Czy ja jemu każę, czy ja jego namawiam? Nie, on sam do mnie przychodzi i błaga. Kopel może zaświadczyć.
- No - zaświadczył Kopel - prawda. Przychodzi i błaga. Co Stefan winien, że pani mąż jest myszuga i wariat, że chce się truć?

418

Nic nie pomagało, Kuba palił i pewnego dnia nie wstał z pryczy. Na apelu zgłoszono go jako chorego, nie on jeden nie mógł się podnieść, Niemcy wiedzieli, że dzień, dwa i będzie po wszystkim. Apel się zgadzał, nikt akurat nie zrobił z tego sprawy i Kuba spokojnie sobie leżał w tym męskim baraku, a przy nim siadywała na zmianę żona, albo córki.

- Żebyście tacie nie pozwoliły wymieniać chleba! - nakazała córkom pani Bela. Dziewczynki syczały na Stefana jak kotki. Na początku Kubę to rozczulało.
- Moje dziewczynki - mówił - moje kochane, tak się o mnie troszczą...Daj główkę, niech cię pogładzę.

Mela niechętnie schylała głowę, trochę bała się tej wychudzonej, przezroczywej dłoni o sinych paznokciach, ojciec gładził ją po przeredzonych włosach, a potem szepnął:

- Idź i zawołaj mi tu Stefana.
- Nie, mama nie pozwoliła.
- Dziecko drogie - uniósł się Kuba resztką sił na pryczy - zawołaj Stefana, a jeśli nie chcesz, to wyjdź z baraku.
- Mama...
- Nieważne, słuchaj, co do ciebie mówię! Idź i zawołaj Stefana. A potem wracaj do mamy.

Mela rozplakała się i wybiegła z baraku, a kiedy po pewnym czasie - może to było dziesięć, a może piętnaście minut - przybiegła razem z matką z powrotem do Kuby, zobaczyły, jak dopala peta i zdążyły jeszcze usłyszeć jego błogosławieństwo.

- No i patrzcie - stwierdził Kopel - umarł szczęśliwy. Co mu żałujecie? Miesiąc wcześniej, czy później nie robi różnicy. Całe szczęście, że już po apelu, zostanie wam jeszcze jego chleb kolacyjny. Chyba

że Stefan dał mu tego papierosa z góry.

- Nie, nie, weźcie ten chleb - i handlarz wsunął w ręce kobiet nie tylko porcję Kuby, ale swoją własną. Może miał

419

wyrzuty sumienia, a może było mu żal płaczącej głośno Meli.

A kiedy wieczorem Ajka okropnie pyskowała i nazwała pana Kubę idiotą, złym ojcem i świnią, która sama się zabiła, Mirka powiedziała:

- Wiesz, łatwo jest kogoś osądzać. A może Kuba nie mógł już wytrzymać? Może wolał umrzeć?
- Zostawił rodzinę.
- No, tak. Pewnie nie rozumował racjonalnie.
- Jak?

Ale Mirce nie chciało się tłumaczyć siostrze, co ma właściwie na myśli. Były chwile, kiedy doskonale rozumiała Kubę, aż za dobrze. Zresztą, przecież nie on jeden wymieniał chleb na papierosy, nie on jeden przyspieszał swoją śmierć. Pewnie ma rację Kopel, miesiąc później czy wcześniej, co za różnica? A może jednak jest jakaś różnica, zima się kończyła, chyba wiosną będzie lepiej? Ajka właśnie o to teraz pytała:

- Mirka, popatrz, już jest cieplej. Może wojna się skończy na wiosnę?

Rozdział XLVII

Zosia spała. Policzki miała zaróżowione, ręka zwisała jej z krawędzi łóżka, naprawdę wyglądała o wiele lepiej. Usiadłam na okropnie niewygodnym stołeczku bez oparcia i czekałam. Nie miałam przecież zamiaru jej budzić, niech śpi.

Wyciągnęłam z Aorby książkę, którą jej przyniosłam, może czuje się już na tyle dobrze, że może poczytać? Nie miałam pojęcia, czy w ogóle lubi czytać, czy, tak jak wielu ludzi, woli telewizję, a zagląda tylko do książki kucharskiej? Zawsze uważałam, że Zosia to kretynka, że Bodzio poleciał tylko na jej ładną buzię i zgrabną figurę, żeby się nie wyrazić dosadniej. Ale mogłam się mylić. Może nie chodziło tylko o jej wdzięk, ale i o to, że ja na pewno nie byłam łatwa w pożyciu? Teraz, kiedy minęło już tyle czasu od tych wszystkich ślubów i rozwodów, kiedy już nie mam żadnych szans na ułożenie sobie normalnego życia, teraz dopiero zaczynam rozumieć pewne sprawy. Na przykład to, że zawsze żądałam od ludzi zrozumienia, więcej, oczekiwałam pewnych przywilejów dlatego, że miałam wojenne dzieciństwo, za getto i obóz, za aryjską stronę i Dom Dziecka, za to, że nie miałam rodziców. Uważałam, że wobec tego mam prawo do pewnych dziwactw, do ataków złości, do tolerowania przez rodzinę moich zmiennych nastrojów i czegoś w rodzaju depresji.

Siedziałam tak przy śpiącej Zosi i myślałam, że chyba ona nie wymagała od Bodzia, żeby jej dokładnie mówił, o której

421

wróci i żeby jeszcze na dodatek wracał pół godziny przed czasem, nie wymagała od Staszka, aby jej dokładnie opowiadał, czy w szkole ktoś mu nie dokuczył, żeby przechodził przez jezdnię nie po tamtych pasach, bliższych szkoły, tylko po dalszych, bo to przejście wydawało się spokojniejsze. Nie dzwoniła do sekretariatu szkoły, jeśli tylko Staszek spóźniał się trzy minuty, nie pytała, czy może wybuchł pożar, nie wypytywała potem syna, czemu pani przedłużyła lekcje, nie mówiła, jak to wpływa na jej nerwy. Może Bohdan poczuł się nareszcie wyzwolony z tej pajęczyny, którą oplątywałam jego, Lusię, a przedtem Szmulka i Mikołaja. Chyba niemiła była moim bliskim myśl, że godzinę przed ich powrotem do domu chodzę tam i z powrotem po mieszkaniu, że nie wchodzę do kuchni, bo mogłabym nie usłyszeć telefonu z pogotowia lub ze szpitala, zawiadamiającego, że właśnie był wypadek, że oni już też nie żyją, Szmulek, Lusia, Mirka, Mikołaj, Bodzio. No, rzeczywiście, Bodzio naprawdę zginął w wypadku, ale akurat wtedy, kiedy w ogóle o nim nie myślałam. Oczekiwałam, że wszyscy będą się ze mną cackać, współczuć mi, że zawsze będą mieć na uwadze te moje przeżycia, które, jak sądziłam, zwalniają mnie w pewnej mierze z odpowiedzialności za moją nieprzytomną psychikę. Może nawet miałam trochę racji, pewne rzeczy są nie do opanowania, ale przecież nie wszystko. No i inni nie muszą z tego powodu cierpieć, tak już jest, że jeśli człowiek nie ma nogi, to inni nie muszą go dźwigać na plecach, chociaż bardzo ładnie, jeśli to czasem robią. Czasem...Ale moi mężowie nie chcieli mnie nosić, chcieli żyć i teraz to rozumiem. Nie było innego wyjścia niż te nieszczęsne rozwody, ja się nie mogłam zmienić, nie mogłam przestać się denerwować, a oni nie mogli tego wytrzymać. Kto wie, może Lusia też uciekła przede mną do Izraela, może, gdybym wiecznie nie stała jej nad głową jak kura nad jajkiem, nie zostałaby tam z tym całym Jakubem?

422

Zosia spała, otworzyłam książkę, była to powieść stara jak świat, jakiś kryminał Agaty Christie „Morderstwo na plebanii”. Już nawet nie pamiętałam o co tam chodziło, zajrzałam do środka, z książki wysypały się zasuszone płatki jakiegoś kwiatu. Wzięłam jeden do ręki, rozsypał mi się w dłoni. Co to było? Kiedy dostałam tę różę, bo to chyba była róża? Kto mi ją dał, sama nie miałam zwyczaju kupować sobie róż. Kryminał leżał na dole półki, w drugim rzędzie, Lusia nie znosiła takich rzeczy, Mirka też nie, to była moja książka i mój kwiatek. Czemu go zasuszyłam? Może to pamiątka związana z jakimiś przeprosinami? Nie, żaden z moich mężów nie dawał mi kwiatów, kochanków nie miałam, a przecież nie suszyłabym płatków, gdyby mi je dali w biurze[^] jakiejś służbowej okazji.

To musiało być coś bardzo ważnego, w książce było tych płatków więcej, nie, nie zostawię jej Zosi, jutro przyniosę co innego. Że też człowiekowi wylatują z głowy takie rzeczy. Chyba nie przypominę sobie co to za płatki, śmieszne, pamiątka o której się nie pamięta.

Zosia otworzyła oczy i uśmiechnęła się, a potem nagle zaczęła płakać.

- Ajka... dziś był pogrzeb, tak?
- No tak... Jak się czujesz?
- Niby lepiej...Mój Boże, pogrzeb Bodzia...Mój Boże.

Zosia schowała się pod kołdrę, dławiała się, łkała, w żaden sposób nie mogłam jej uspokoić, zwołałam lekarkę. Przesiedziałam potem jeszcze może pół godziny. No cóż, trudno się dziwić, dla mnie Bohdan był przeszłością, a Zosia nie wyobrażała sobie na pewno życia bez niego. Zawsze była uzależniona od mężczyzny, od męża i finansowo, i psychicznie. Co ona teraz zrobi?

Wracałam zmordowana jak pies i martwiłam się o Zosię, nawet zastanawiałam się, czy ktoś znajomy nie znalazłby dla niej pracy, myślałam, że może sama przez pe-

423

wien czas jej pomogę. Kretynka ze mnie, koniec świata, czy mam sobie brać tę zdziwę na kark? Ale nazwałam ją tak tylko z przyzwyczajenia, nie, już nie uważałam jej za dziwkę.

W domu czekała na mnie Mirka z kolacją, właściwie z obiadem, bo od rana nic nie jadłam. Staszek poszedł do Piotrka, było cicho i spokojnie. Na stole stała butelka z czystą wódką, co ta moja siostra ma za pomysły?

- Wódka? - zapytałam z niedowierzaniem.

- A czemu nie? Po winie robi ci się słabo, a trochę czegoś na rozgrzewkę na pewno nam się przyda. Na frasunek. ..

- Ale ty też wypijesz?

- Oczywiście! Przyznam ci się, że to... że zdarza się...Kiedy mam wszystkiego dosyć, to kieliszek, czy dwa...

Okropnie się przestraszyłam.

- Mirka! Ty pijesz?! Na litość boską!!

Siostra spojrzała na mnie spłoszonym wzrokiem, ale głos miała szorstki.

- Uspokój się, od razu „pijiesz"! Zawsze robisz z igły widły. Nie pokazuj tu takiej zgorzzonej miny, zdarza mi się to rzadko, kiedy nie mogę już znieść tego wszystkiego, tych wszystkich Heńków, Gabrielów, pretensji Asi, pustego mieszkania, pustego życia!

- Wcale nie pustego, co ty opowiadasz?!

- Ja chyba lepiej wiem. „Piję", doprawdy...A co, wołałabyś, żebym się trula prochami, albo żebym kiedyś olała to wszystko i poszła? Proszę, mogę iść, mogę wleźć pod pociąg, mogę odkręcić gaz, albo...

- Co ty wygadujesz?!

- ... albo skoczyć do Wisły. A może pojechać do jakiegoś Honolulu? Ale naszukalibyście się, no!

Mirka cały czas dolewała sobie do kieliszka, miałam już dosyć tych bredni.

424

- Nie wiem - powiedziałam - co cię nagle dziś ugryzło, przecież to ja wróciłam zmęczona, to ja byłam u Zosi, to ja mam Staszka na głowie, to mój były mąż zginął, to ja...

Mirka spojrzała na mnie z ironią w oczach, nie znoszę tego, w ogóle nie znoszę ironii.

- A tak - prychnęła - ty, ty, zawsze ty. Pępek świata. No dobrze, jedz, przepraszam, nie wiem, co mi odbiło. No, przepraszam. Nie martw się, nie jestem alkoholiczką, gadałam byle co. No, Ajka...

Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć, ledwo żyłam, wygodniej mi było uznać, że Mirka rzeczywiście plotła jakieś bzdury. Wypiłam kieliszek tej wódki i od razu poweselałam.

- Czekaj, nie pii na pusty żołądek - zorientowała się moja siostra - zjedźrśledzika, zaraz przyniosę drugie, sznycel z jajkiem.

Mirka jest nieoceniona, czułam, jak zmęczenie gdzieś znika.

- Dobrze?

- Wspaniałe. Zupełnie, jakby to były moje urodziny, czekałaś na mnie z takimi pysznościami, naprawdę...

Urodziny... No i przypomniały mi się tamte, takie dawne, wspaniałe urodziny.

Obudziła się wcześniej niż zwykle, była piękna pogoda, niebo nad obozem nie było zasnuwane dymem, może akurat tego dnia krematorium nie działało? Mirka ucałowała Ajkę, życzyła jej wszystkiego najlepszego, żeby wojna się skończyła, żeby następne urodziny spędziła na wolności... I dała jej całą kromkę chleba, do dziś Ajka nie wie, jak ją zdobyła. Kromka była ukrojona z tak zwanego, o ile Ajka dobrze pamięta, „komiśniaka”. Pachniała cudownie, jakimś kwasem, może drożdżami, nie znała się na tym, ale

425

obozowy chleb miał zapach po prostu upajający. Chyba że był spleśniały, wtedy zapach był inny, po ciemku można było rozpoznać różnicę.

Oczywiście urodzinowa kromka nie była zepsuta. Ajka obracała ją w dłoni i nie wiedziała, czy zjeść całą od razu, czy zachować trochę na później, na wieczór, kiedy głód najbardziej dokuczał. Właściwie, z czego Ajka doskonale zdawała sobie sprawę, powinna była podzielić się z Mirką, przecież nie mogła sama pochłonąć takiej calutkiej, kwadratowej kromki. Wyciągnęła rękę w stronę siostry.

- Ale ty zjedz połowę.

- Mowy nie ma - krzyknęła Mirka. - Nie po to się starałam, nie po to daję ci prezent, żeby go teraz odbierać.

- Aleja sama nie mogę... To byłoby świństwo...

- Nic podobnego. Nie podtykaj mi tego, bo nie wezmę.

Do dziś Ajka pamięta uczucie ulgi, które ją wtedy ogarnęło. W gruncie rzeczy od początku wiedziała, że Mirka nie da się namówić i częstowała ją chlebem właściwie po to, żeby nie mieć wyrzutów sumienia. Czegoś takiego, jak cała, względnie gruba kromka chleba, nie miała w ręce od niepamiętnych czasów. No i rzeczywiście, to przecież były jej urodziny.

- Zjedz wszystko od razu - poradziła dobrotliwie ciocia Sara - raz chociaż się najesz. No, śmiało!

Ajka ugryzła duży kęs, chyba większy niż cała normalna porcja. Miała pełne usta chleba, czuła jego cudowny, lekko przydymiony i kwaskowaty smak, trochę gliniasta konsystencja powodowała, że przylepiał się do zębów, bardzo dobrze, w ten sposób starczał na dłużej. Potem drugi kęs, trzeci, to było niesamowite, ugryzła już trzy razy, a zostało jeszcze więcej niż pół kromki.

- Dobre?

Ajka kiwnęła głową, nie chciała rozmawiać, nie chciała się rozpraszać, skupiła całą uwagę na jedzeniu.

426

Gryzła, smakowała, przedłużała to wszystko jak mogła, ale chleb po pewnym czasie znikł i dziewczynka już niczego nie miała w ręce. Zlizwała z dłoni ostatnie okruchy i poczuła się jakoś dziwnie. Owszem, znała to uczucie, ale jakby o nim zapomniała i teraz stała wsłuchując się w siebie. W końcu zrozumiała. No tak, po prostu nie była głodna, znikło towarzyszące jej ciągle uczucie ssania w żołądku, oczywiście zjadłaby jeszcze milion takich kromek, ale głodna nie była. Coś wspaniałego! Cudownie!

- No?

- Ojej, dziękuję - rzuciła się Mirce na szyję. - Najadłam się, słowo daję, jak babcię Kocham. Nażarłam się! Jesteś cudowna!

Mirka puchły z dumy, ale to jeszcze nie był koniec. Ciocia Sara sięgnęła pod koc i wyjęła dwa zimne kartofle w mundurkach.

- A to ode mnie - powiedziała - jedz na zdrowie. I życzę ci, żebyś dożyła czasów, kiedy nie będą ci smakowały takie ziemniaki.

Ajka rzuciła się cioci na szyję, ale rozśmieszyła ją myśl, że kartofle w mundurkach mogłyby jej kiedyś nie przypaść do gustu. Był to zupełny absurd, nic lepszego nie było na świecie, zimne kartofle w mundurkach, jeszcze z odrobiną soli to było najcudowniejsze jedzenie, jakie można było sobie wyobrazić. Nie wierzyła, żeby kiedykolwiek miała kręcić nosem na coś takiego. I co dziwniejsze, miała rację. Wiele lat po wojnie, nawet wtedy, gdy już jej bardzo szkodziły, nie mogła się oprzeć wystu-dzonym ziemniakom gotowanym w skórce. Wstawiała w nocy, brała ziemniak przeznaczony do kartoflanej sałatki, obierała go - no tak, później jednak go obierała - posypywała solą i zjadała w tajemnicy przed domownikami, którzy uważali to za dziwactwo, żarłoczność i nieodpowiedzialność.

427

- Oszalałaś, jak Boga kocham - mówił Szmulek - przecież lepiej zjeść jabłko.
- Ajka, naprawdę, co ci strzela do głowy - rugał ją Mikołaj - ohyda, zimne kartofle, zaszkodzą ci. Chcesz, zrobię ci kanapkę?
- Słowo daję, masz źle w głowie - warczał Bodzio - po to zapalasz światło, budzisz mnie? A z czego zrobisz sałatkę dla Leonów?
- Mamusiu, zostaw, przecież wiesz, że potem cię brzuch boli.
- Mój brzuch - odpowiadała butnie Ajka - daj mi spokój. Lubię to i koniec.

Tak więc ciocia Sara źle prorokowała w te pamiętne urodziny Ajki, ale upominek ofiarowała jej wspaniały. Ajka, względnie najedzona, zostawiła sobie kartofle do poduszki, co było o tyle nieprawdą, że nie miały poduszki. Chciała zjeść je na zakończenie dnia, aby w nocy chociaż raz nie budzić się z głodu. Ale nie wytrzymała, zjadła je już po dwóch godzinach. Były doskonałe, ani trochę nie zgniłe, zwarte, dogotowane, nie rozmazywały się i nie miały czarnych, wrośniętych kawałków. Można je było zjeść całutkie. Tym razem Mirka dała się namówić na plasterek, ale Sara nie, ciocia tylko przyglądała się przyszywanym siostrzenicom.

- Mój Mileczek też jadł z takim apetytem - przypominała sobie, chociaż rzadko wspominała na głos synka - też tak się cieszył jedzeniem. A przecież wtedy miał wszystkiego w bród. To było takie pogodne, dobre dziecko, komu przeszkadzało takie złote dziecko, dlaczego... Oj ej, przepraszam - zreflektowała się - przecież to świąteczny dzień, twoje urodziny. Nie chciałam cię zasmucać, jedzcie, moje kochane, jedzcie.

Niepotrzebnie miała wyrzuty sumienia, Ajki nie można było wtedy czymś takim zasmucić, co dzień słyszała opo-

428

wieści o zamordowanych rodzinach, zaginionych dzieciach, rodzicach, którzy wyszli z domu i nie wrócili.

Owszem, myślała czasem o synku cioci Sary i nie wiedziała, czy go żałować czy może uznać, że on już ma wszystko za sobą, nie musi się bać i może tak jest lepiej.

Urodziny mijały, ale na Ajkę czekała jeszcze jedna niespodzianka. Przed wieczornym apelem przyszły do niej koleżanki, Krysia i Mela, i wyciągnęły przed siebie cztery zaciśnięte piąstki.

- Wybieraj - uśmiechnęła się Melania - jak zgadniesz, dostaniesz prezent.
- A jak nie zgadnę?
- Możesz próbować cztery razy.

Ale dziewczynka zgadła już za drugim podejściem. Krysia otworzyła dłoń. Leżała na niej przedwojenna dwudzie-stogroszówka, orzełek był wypolerowany, aż błyszczał, a reszka starta tak, że została gładka powierzchnia. Ktoś szpilką, a może drucikiem wygrawerował na niej - „Ajce -Mela i Krysia”, a pod tym napisem była data i nazwa obozu. Miała też wywierconą dziurkę.

- Cudownie - zachwycała się solenizantka, zachwycały się też Mirka z cicią Sarą.
- Ajeczko, masz wspaniałe koleżanki. To pamiątka na całe życie!

Ajka, chociaż pieniędzy bardzo jej się podobał i od razu zawiesiła go sobie na szyi, pomyślała, że wolałaby jeszcze ze dwa kartofle. Potem długo miała tę pamiątkę i bardzo żałowała, kiedy okazało się po jednej z przeprowadzek, parę lat po wojnie, że nie może jej znaleźć. Ale wtedy, w obozie, wyciągnęła i Melę, i Krysię, i tak się skończyły te cudowne urodziny, chyba najprzyjemniejsze w życiu Ajki.

Rozdział XLVIII

Przyszłam właśnie ze szkoły Staszka, bo kto miał w tej sytuacji chodzić na wywiadówki, jak nie ja? Byłam zadowolona, nauczyciele go chwalili, nie miał żadnych nowych ocen, bo uznali, że nie można go stresować, ale jego wychowawczynie powiedziały, że dochodzi do siebie, że jest opanowany i tylko raz dał po głowie koledze, który powiedział, że jak ktoś powoduje wypadek samochodowy, to sam jest sobie winien, i że bałwanom nie powinno się dawać kierownicy do ręki. Sama bym gówniarzowi dołożyła, co za wstrętny chłopak, zresztą to wcale nie była wina Bo-dzia, a jakby nawet, to jak można. Chyba powtarza po rodzicach, co za ludzie! Nauczycielka jest owszem, sensowna, obrugła tamtego, a Staszce tylko powiedziała, że takich spraw nie załatwia się pięścią. Od przyszłego tygodnia mają go zacząć pytać, ale dwój, to znaczy jedynek, mają mu jeszcze nie stawiać. No i dobrze. Więc przyszłam zadowolona z tej szkoły, kupiłam po drodze chłopcu wielką tabliczkę czekolady, zrobiłam dobry obiad, aż tu naraz dzwonek. Nie znoszę nie zapowiedzianych wizyt i nienawidzę, kiedy ktoś dzwoni, jakby się paliło. Zdążyłam wstać i podejść do drzwi, a dzwonek wcale nie milkł, ten ktoś cały czas trzymał palec na przycisku, zawału można dostać. Wyjrzałam przez wizjer. Nie wpuszczam byle kogo, od pewnego czasu grasują jacyś bandyci i zabijają samotne staruszki. Nie czuję się staruszką, w ogóle nie znoszę tego słowa, dlaczego w ten sposób określać człowieka? Czy

430

wiek jest jedyną cechą wyróżniającą kobiety po...no, wszystko jedno, kobiety w pewnym wieku? Mniejsza o to. Wyjrzałam przez wizjer. O framugę opierał się ten wujek Zosi, ten Antoni Krzysztofiński, czy Krzysztof Antoniński, czy jak mu tam. Trzymał w ręku jakąś paczkę i dzwonił. Co miałam robić, otworzyłam mu.

Od razu poczułam całą gorzelnię, od faceta buchało jak z wagonu ze spirytusem. Był pijany w sztok. Chciałam zamknąć drzwi, chyba oszalałam, że w ogóle otworzyłam, ale gość wsadził stopę przez próg.

- Skąd pan wziął mój adres? - powitałam go niezbyt grzecznie.
- Poszło się za szanowną paniusią - odpowiedział - już kilka dni temu./Chyba mam prawo wiedzieć,

gdzie mieszka Stasiunio.

- Czego pan chce?
- To tak mnie pani wita? Już Zośka nagadała?
- W ogóle nie rozmawiałam z nią na pana temat.
- Nie wpuści mnie pani? Ja jestem nieszkodliwy, a że trochę chlapnąłem... Każdemu się zdarza. W szczególności w takim wypadku.
- Mnie się nie zdarza.
- Chwali się szanownej pani. A Stasiulek jest?

Z pokoju wyrzwał Staszek. Nie widziałam na jego twarzy entuzjazmu.

- A, wujek. Po co wujek przyszedł?
- Niewdzięczny smarkacz - rozgniewał się wujek - to ja taki kawał drogi idę, prezent niosę...

Przypomniała mi się obozowa kromka chleba i dwa kartofle w mundurkach. Niczego tak wspaniałego na pewno pan Krzysztofiński nie przytaszczył.

- Jaki prezent, przecież ani to moje urodziny, ani imieniny...
- Bo wtedy zapomniałem. Masz.

431

Wpuściłam go w końcu, trudno było bądź co bądź chyba krewnego Staszka trzymać za drzwiami. Ledwo wyplątał się z kurtki, wlaźł do pokoju i ciężko klapnął na krzesło.

- Nie ma paniusia czegoś dla kurażu?
- Kawę, albo herbatę.
- E tam, pani żartuje.
- Nie żartuję.
- To kawę - zadysponował z niesmakiem - ale bez mleka i dużo cukru.

Staszek odwijał prezent, nie uwierzyłam własnym oczom. To był laptop, taki mały komputer, kosztuje majątek!

- Proszę pana, co pan, skąd...
- Nie ukradłem, dobrze zarabiam, a co, nie wyglądam -odgadł moje wątpliwości facet - ma się ten

biznes, handluje się, może popijam, ale uczciwy zawsze byłem, niech Zosia pani powie, czy nie przysyłałem jej do Domu Dziecka różnych takich... Gdyby nie pomysły tej cholery, to bym nie dał Zosi gnić w tej budzie. Co miałem robić, mieszkanie było jej, wszystko było jej, a Bietka, żeby ją szlag, to była, za przeproszeniem, kurwa pierwszego sortu i to ona...

Staszek zrobił wielkie oczy, a mnie zaczęło coś świtać. Wujek?! To przecież chyba ojciec Zosi, dziadek Staszka!

- Staszek, idź do Piotrka, my tu mamy do pogadania.
- Ja też chcę słuchać.
- Nie teraz.
- No... a mogę zabrać laptop? Trupem padnie, jak zobaczy.
- Możesz.

Chłopiec, ociągając się i zerkając na pana Kszysztofiińskiego, wyszedł.

Koniecznienie chciałam z gościa wyciągnąć całą prawdę, więc załamalam się i postawiłam na stole resztę tej czystej wódki, którą przyniosła Mirka.

432

- O, a jednak - ucieszył się pan Antoni - wiedziałem, że taka kobitka jak pani na sucho mnie nie wypuści.
- Dobrze, więc jak to było? Jaka Bietka?
- Matka Zosi. No, mogę pani powiedzieć, żadna tajemnica, Zosia wie od dawna, tyle że się do mnie nie przyznaje. Mówi, że takiego ojca ma w wielkim poważaniu, że jej całe dzieciństwo zapaskudziłem. JA? JA? Ja ją nosiłem, ja ją urodziłem, ja ją oddałem do Domu Dziecka? Nie ja, tylko Bietka. Przespałem się z dziwką kilka razy i miałem sobie brać na kark bachora? A czy wiedziałem, że ona jest mo-ja?
- A teraz pan wie?
- Niech się pani przyjrzy Staszкови. Skóra ze mnie zdjęta. I ten, o, igały palec u prawej dłoni ma tak samo zakrzywiony. Dopiero jak się urodził nabrałem pewności, ale i przedtem dbałem o Zosię, chociaż nie mogłem Bietce na sto procent wierzyć. Spała z kim popadło, nawet nie wiem, czy przedtem nie miała innych dzieci. Wredna była, świeć panie nad jej duszą.
- A co, nie żyje?
- Pijana była i zamarzła na śmierć w parku. Nawet pisali o tym w gazetach.
- A Zosia wie?

- Powiedziałem jej.
- I dlaczego pana tak nienawidzi?
- Mówiłem, bo ją zostawiłem w Domu Dziecka. I parę razy przyszedłem pod gazem. No i zdarzyło się, że długo nie przychodziłem, a ona może czekała.
- Długo? Miesiąc?
- Co pani...rok, dwa... Jakby się o tym moja żona dowiedziała, to znaczy o Bietce, o Zosi, to ja nie wiem! Koniec świata. Szczególnie, że sama nie miała dziecka. No, a teraz jej się zmarło, a ja jestem staj i sam jak palec. Więc chciałbym, żeby Zosia... no i Staszek, przecież to mój

433

wnuk... Jak wyzdrowieje, niby Zosia, to mi do niego może nie dać podejść. Zła jest na mnie. Dlatego przyszedłem, póki ona jest w szpitalu. Może pani jej przetłumaczy. Przecież jestem jej ojcem.

- Trochę za późno pan sobie o tym przypomniał.
- No, a jak nawet, to lepiej późno, niż wcale. I nie tylko o to chodzi, że późno, ale o to, co jej kiedyś powiedziałem.
- Co jej pan powiedzieli?

To było jeszcze przed ślubem Zosi, miała może trzynaście lat i pan Antoni niepewny swojego ojcostwa, ale uznając, że to możliwe, odwiedził córkę w wieczór wigilijny. Podobno musiał okłamać żonę, co ze względu na ten szczególny dzień uważał za okropny grzech. Żeby ochłonać po domowej awanturze, gdyż żona nie do końca wierząc w nagle znaną ciocię w Domu Starców powiedziała małżonkowi kilka niezbyt miłych słów i uprzedziła, że stygnącego karpia po żydowsku wsadzi mu po powrocie na głowę, więc po tej awanturze pan Antoni wstąpił na jednego, czy też na dwa piwka do znajomego baru. Dopiero po godzinie wyszedł stamtąd i dotarł do córki w tak zwanym stanie nietrzeźwym. Na uwagę wychowawcy odpowiedział językiem mało parlamentarnym, a Zosię, która przybiegła go uściskać, nazwał bękartem, znajdą, wyrzutkiem i bachorem, po czym powtórzył jej już kolejny raz, aby nie nazywała go „tatusiem”, tylko w najlepszym razie „wujkiem”, bo mało co na świecie budzi takie wątpliwości jak jego ojcostwo i żeby znała swoją matkę, szlaję i dziwkę, to by uwierzyła, że może być córką każdego pijanego przechodnia, bo trzeźwy by się z Bietką nie przespał. I niech Zosia wie, że on przychodzi tylko dlatego, że a nuż, widelec, że powinna go w zadek całować, że się w ogóle do niej przyznaje i, że jak mają go tu obrażać, to więcej jego noga w Domu Dziecka nie postanie.

434

Po czym poszedł sobie i nie zjawił się przez rok, a po roku, kiedy przyszedł, tym razem po świętach, Zosia w ogóle nie chciała z nim mówić, a wychowawczyni powiedziała, że pan Antoni nie ma żadnego prawa do Zosi bo ojcostwa nie uznał i wobec tego nie jest żadnym krewnym i jeśli jeszcze raz przyjdzie, a szczególnie znowu pijany, to wezwie policję, czy w ogóle kogoś, kto panu Antoniemu przyłoży.

Potem jego kontakty z Zosią były już bardzo rzadkie, aż pewnego dnia, ku swojemu zdumieniu, dostał zaproszenie na ślub Zosi i Bohdana Majewskiego. A potem dostał zaproszenie na chrzciny Staszka i od razu uderzył go wygląd wnuka. Jego wątpliwości wobec tego się rozwiały i usiłował pogodzić się z Zosią, która raz chciała go widzieć, a raz nie i była w tym bardzo nierówna.

- W ogóle nie rozumiem, proszę szanownej pani - zwierzał mi się - na jakiego grzyba przysłała mi zaproszenie na ślub i chrzciny?

Ja rozumiałam. Zosia chciała mu pokazać, że ma własną rodzinę, że nie zależy jej na żadnym ojcu, skoro ma męża, a potem dziecko. Własną rodzinę, własne mieszkanie, własne meble we własnym pokoju, własną kuchnię, stół, regały, książki...

* * *

Dla Ajki książki zawsze były bardzo ważne. Jeszcze u pani Haliny, kiedy Waldek przynosił jej z biblioteki różne powieści, przeważnie o Indianach, albo kryminały, bo nie mogła się doprosić o książki dla dziewczynek, jeszcze wtedy czytanie było jedną z bardzo niewielu przyjemności. Kiedy czytała, wtapiała się w akcję, zapominała gdzie jest, co ją otacza, była jakimś Lwim Sercem, albo detektywem, śmieszyło ją trochę, że tak się szuka faceta, który

435

zabił tylko jedną, czy dwie osoby, ale rozumiała, że to były inne czasy, że wtedy zabijanie było karane. Wyobrażała sobie, jak to było cudownie, kiedy można było siedzieć spokojnie w domu, albo nawet wychodzić bez strachu na ulicę i tak jak jedna z bohaterek powieści bać się tylko jednego, jedynego człowieka, niechby nawet bandyty, który musiał aż się specjalnie skradać, czy przebierać, który musiał w bardzo kłopotliwy sposób zdobywać, a później chować broń, aby zabić jedną, jedyną kobietę. Na dodatek tej bojącej się niedojdzie pomagał mąż, detektyw, pomagała jej policja, a ona ciągle żyła w strachu, jęczała, mdlała, i wrzeszczała z powodu każdego szelestu. W końcu ten bandyta wcale jej nie zabijał i jeszcze ktoś pisał o tym całą książkę, dwieście stron jak w mordę strzelił! O tej jednej facetce! Ale czytała się to dobrze, a kiedy w końcu Waldek przyniósł „Anię z Zielonego Wzgórza”, Ajka na kilka dni zupełnie oderwała się od rzeczywistości. To było cudowne!

A w obozie... W obozie zdarzyła się rzecz zupełnie niesamowita, niewiarygodna, Ajka nie wierzyła, dopóki Mela nie przyniosła jej pierwszej strony „Ani z Avonlea”. Już po kilku zdaniach okazało się, że tak, że to naprawdę jest dalszy ciąg, że ta Lucy Maud Montgomery napisała jeszcze inną książkę o tej samej Ani, mój Boże, a ktoś przywiózł ją do obozu, ktoś miał te dalsze dzieje Ani! Miał, podzielił na strony i wypożyczał każdą z nich za deko chleba, to znaczy nie stronę, tylko kartkę. Mirki nie było na to stać.

- Nie ma mowy - powiedziała - Ajuniu, przecież coś musimy jeść.
- Będę jadła samą zupę.
- Wiesz, że to niemożliwe.

Ajka wiedziała. Matka Meli i Hanki po śmierci męża jakoś lepiej sobie radziła, handlowała czymś, może

biżuterią przemycaną przez niektórych więźniów. Niemcy

436

czasem dawali za to przez druty dodatkowy chleb. Mirka nie dawała sobie wspomnieć o resztkach ze skarbów Leona.

- Uspokój się - mitygowała siostrę - to jest na czarną godzinę. I nawet nie wspominaj o tym, bo jeszcze ktoś ukradnie.

- Jaka może być czarniejsza godzina?

- Zwariowałaś? Nie wiesz?

Oczywiście, Ajka wiedziała, może trzeba będzie sobie kupić życie, ale tak okropnie, tak strasznie chciała dorwać się do książki! Niestety, „Ania” była za droga. Taniej można było przeczytać stroniczki z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”, ale Mirka i tego nie mogła Ajce kupić. O wiele taniej wypadła „Nil” Ludwiga i właśnie kartkę z „Nilu” przyniosła kiedyś Mirka na pryczę.

- Masz, zdobyłam ci książkę. Jak to przeczytasz, kupię dalsze kartki. Tylko szybko czytaj, bo następna osoba czeka.

To było straszne, Ajka nareszcie dorwała się do czegoś drukowanego, ale prawie nic nie rozumiała, to było okropnie nudne i po kilku kartkach zrezygnowały.

- Szkoda na to nawet okruszka, to nie dla ciebie.

- Kiedy to wspaniała książka - protestowała ciocia Sara.

- Ale nie dla Ajki.

Mela za to rozkoszowała się „Anią” i wieczorami opowiadała Ajce jej treść. Niestety, miała złą pamięć, a co gorsze, nie czytała nigdy pierwszego tomu i wszystko jej się myliło. Ajka opowiedziała jej w skrócie dzieje tej rudej dziewczynki, dziwiąc się trochę, że autorka książki uważała ją za nieszczęśliwą, nawet jeśli musiała kiedyś piastować bliźnięta. Ajka chętnie by opiekowała się jakimiś, aby to nie były dzieci Befszyka. Potem Meli łatwiej już było zrozumieć dalsze dzieje Ani. Właścicielka książki wystąpiła nawet z pretensjami:

437

- Opowiadasz, a ja przez to tracę.

_ ?

- No tak, bo ci, co słuchają, już nie muszą potem pożyczać książki.

- Nigdy nie było powiedziane, że mam nie opowiadać.

- To teraz ci mówię.
- Pani chyba zwariowała - wtrąciła się ciocia Sara - co to, pani napisała „Anię”? Każdy może ją znać.
- Ale Mela przeczytała ją tutaj. I jak będzie opowiadać, to dalszych stron jej nie pożyczę.
- Niech pani nie pożycz - powiedziała nagle pani Weronka - znam to prawie na pamięć i dalsze tomy też. JA będę opowiadać!
- Wypraszam sobie - zawołała przerażona baba - to moja książka!
- Ale tylko ten egzemplarz. Ja czytałam inne!
- Ale...

Mela zwróciła kobiecie dwie kartki.

- Już nie chcę - powiedziała - wszystkiego dowiem się za darmo.
- Bezczelna gówniara! Ja cię...
- ... pocałuję w nos - zakończyła Mela. Tego dnia pani Weronka zaczęła opowiadać książki zupełnie za darmo. Ajce zrobiło się trochę źzej.

Wprawdzie to nie było to samo co czytanie, ale jednak o wiele lepsze niż nic. Krysia była szaleni dumna ze swojej odczytanej matki, ale kiedy doszła w kilka miesięcy, a może tygodni później do połowy „Lalki” Prusa, pani Weronka nagle się zacięła i nie mogła sobie przypomnieć, czy Wokulski ożenił się z tą śliczną panią z oficyny, czy nie? I od tego dnia jakoś wszystko uleciało jej z głowy. Jeszcze długo po wojnie, pomimo kilka razy przeczytanej „Lalki”, Ajce się zdawało, że Wokulski jednak w końcu poślubił panią

438

Stawską. Może tak powinno się było stać, Ajka życzyła jej tego z całego serca.

Tymczasem jednak opowieści się skończyły i nawet nie było wiadomo, czy Ania w końcu wyszła za Gilberta, bo pani Weronice chyba już od dawna pewne rzeczy się myliły...

;

Rozdział XLIX

- Nic panu na to wszystko nie poradzę - powiedziałam i nagle żal mi się zrobiło tego starego, pijanego faceta - nie wiem, co nowego mogłabym powiedzieć Zosi. Wcale nie jesteśmy przyjaciółkami, i tak by mnie nie posłuchała. Zresztą, sama nie wiem...
- Pani nie chce się za mną wstawić, bo jestem pijany - trafnie odgadł dziadek Staszka - ale ja nie jestem alkoholikiem, mogę pić, mogę nie pić, a ona nikogo nie ma... A mnie też żona rzuciła... Żeby pani wiedziała, że mieszkam w pięknym mieszkaniu, trzy pokoje z kuchnią, jakby oba zamienić, to można by

wykombinować nawet domek w jakimś Aninie, żylibyśmy sobie jak u Pana Boga za piecem. Mój biznes...

Nagle zaciekawił mnie ten jego biznes, czym on może handlować?

- Jaki biznes? Cóż pan właściwie robi?
- Nic takiego... mam sklepik do spółki z takim jednym.
- Jaki sklepik?
- Zwyczajny.
- Ale czym pan handluje?
- Takimi różnymi...
- Nie rozumiem.
- I nie musi pani. Co to, przesłuchanie, na policji jestem, czy co?

Pan Antoni aż ział oburzeniem, nie dowiedziałam się i do dziś nie wiem, co to za tajemniczy asortyment miał w skle-

440

pie mój rozmówca. Wydawało mi się to podejrzane, może wcale nie miał sklepu, może był paserem, może wdawał się w jakieś lewe interesy? W każdym razie absolutnie nie miałam zamiaru namawiać Zosi na wspólne zamieszkanie z ojcem, typ był podejrzany, a takich, co to mogą w każdej chwili przestać pić, też już nieraz widywałam. Najczęściej nocą na dworcu Centralnym.

- Już widzę i czuję, że pani szanowna też jest przeciwko mnie - ojciec Zosi wstał i ruszył w stronę drzwi - ale ja tego tak nie zostawię. Mam prawo widywać własnego wnuka!
- Przecież może go pan widywać - łagodziałam, bo nie miałam najmniejszej ochoty narażać się temu typowi. -Kiedy Zosia wyjdzie ze szpitala na pewno nawiążecie jakiś kontakt.
- Myśli pani, że ona mi wybaczy?
- Może wybaczy, niech pan zatelefonuje - podałam mu moją wizytówkę - może za tydzień? Powiem panu, jak się czuje Zosia.
- No, ale bez jaj - zastrzegł się facet - ze mnie pani durnia nie zrobi. I niech pani ucałuje ode mnie Staszka. Może mu pani powie, kim jestem?
- Zosia mu powie.

Pan Antoni coś mruknął i poszedł, na schodach prawie zderzył się z Rutą. Aż mi się niedobrze zrobiło, doprawdy, co za dzień, najpierw ten pijaczek, a teraz ona.

Wpadła do przedpokoju, rzuciła ten swój idiotyczny kapelusik na wieszak i klapnęła na krzesło.

- O! - zawołała - Widzę, że gościa się miało, wódeczka na stole. Daj mi kieliszek, raz kozie śmierć, niech ja też spróbuję tej trucizny.

Napiła się i od razu zaczęła wylewać mi na głowę pretensje.

- Obie z Mirką nie wiecie, co dobre! Heniek dostał depeszę, a Mirka nawet nie usiłuje go zatrzymać! Ta cała Ba-

441

sia ma obok siebie dwie córki i głowę ci daję, że nic jej nie jest. A Mirka pobiegła kupować bilety na samolot i jeszcze powiedziała Chaimowi, nie uwierzysz, a może uwierzysz, sama taka jesteś, żeby Heniek już nie wracał, że nie widzi tu dla niego, jak się wyraziła, per-spek-tyw!!! Perspektyw! A ty pewnie jeszcze przyznasz jej rację, nigdy nie lubiłaś Chaima, tylko ciągle Leon i Leon. Powiedz jej, tej kretynce, że pewnie jego Basi nic nie jest, to tylko sztuczki, akurat teraz mam uwierzyć w atak serca? Ja dostanę ataku serca, Mirka łamie sobie życie, nie mogę na to patrzeć!

Zrozumiałam z tej przemowy, że Basia zachorowała i Chaim wraca do Ameryki.

- Ruta, przecież jeżeli jego żona jest chora...

- Chora! Można zatelefonować i przekonać się...

- Może zatelefonował?!

- Wszystko jedno, na pewno kłamie. A jakby nawet, ja jej nie życzę niczego złego, ale jeśli nawet., to tym bardziej Mirka powinna się go trzymać, Heniek to wygrana na loterii.

- Zlituj się, jego żona żyje!

- Może umrze. Może to jednak prawda, a taki atak...

- I nie wstyd ci liczyć na czyjąś śmierć? Myślisz, że Chaim, nawet jakby pochował żonę, to tak od razu by się drugi raz ożenił?

- A myślisz, że on o tym nie myśli?

- I uważasz, że to w porządku?

- Ja w ogóle nic nie uważam - zastrzegła się zupełnie bez sensu Ruta - ja tylko cię proszę, żebyś wpłynęła na Mirkę.

- Widziałaś kiedyś, żeby ktoś wpłynął na Mirkę?!

Obie zamilkłyśmy. Miałam doprawdy okropny dzień, najpierw facet każe mi rozmawiać z Zosią, potem Ruta z siostrą, a do obu spraw nie miałam przekonania. Czemu Ruta tak się podniecała, co ją właściwie

obchodził Chaim i jego ewentualne małżeństwo z Mirką?

442

- Bo ona nie wie, czego chce i przez to ludziom komplikuje życie - odpowiedziała na moje myśli Ruta - taki Gabriel nie wie co ma w końcu robić...

Rozjaśniło mi się w głowie. No oczywiście, Ruta ma nadzieję na Gabriela! Co za niemądre babsko, przecież on się nią wcale nie interesuje...

Byłam potwornie zmęczona, wreszcie Staszek wrócił od Piotrka, Ruta wyszła, nigdy nie lubiła dzieci, a ja położyłam się na tapczanie. Jakaś mucha latała nade mną i co chwilę siadała mi na czole...

W obozie było pełno takich much. W porównaniu z wszami nie prezentowały się specjalnie obrzydliwie, a jednak Ajka bała się ich. Bała się, że usiądą komuś znajomemu na twarzy i ten ktoś ich nie odpędzi, nie skrzywi się, nie zmarszczy brwi, że ta mucha będzie łąziła po nieruchomych ustach i policzkach, że może nawet stanie na otwartym oku, a ten ktoś oka nie zamknie, tak, jak nie zamknęła go Rachela, Gołda, czy pan Jakub. Twarze, po których chodziły muchy wyglądały jak odlane z wosku, były albo sine, albo żółtawe i na widok takiej spokojnie łążącej muchy Ajka wiedziała, że ten ktoś już nie żyje. Bardzo nie lubiła takiego widoku, oczywiście, ludzie umierają, ale much jakoś się bała i kiedyś nawet narobiła takiego wrzasku, że zleciało się pół baraku.

- Czego wrzeszczysz - denerwowała się Mirka - muchy nie widziałaś?

- Ale ona łązi po pani Weronce!

Ktoś pocieszał płaczącą Krysię, ktoś dał jej nawet kawałek chleba, Mirka nakryła jej matkę kocem.

- Nie rycz, Ajka - powiedziała szeptem - to Krysię ma prawo płakać, to jej matka umarła, a nie twoja.

- Ale te muchy... Były dwie... łąziły sobie jakby nigdy nic.

443

- Daj spokój, nagle się taka wrażliwa zrobiłaś. Codziennie ktoś umiera, muchy nie są temu winne.

- Ale czemu tak łążą?

- Nie wiem i doprawdy mam większe zmartwienia. Muchy, też coś!

Ajka w końcu się opanowała, usiadła obok Krysi. Ktoś już wyniósł panią Weronkę, na pryczy zrobiło się luźno. Matka Meli też przyszła, pogładziła Krystynę po głowie.

- Nie będziesz sama, dziecko kochane - powiedziała - ja się tobą zaopiekuję, chcesz być moją córeczką?

Bardzo to było miłe ze strony mamy Meli i Ajka uważała, że jednak Krysię powinna coś odpowiedzieć, nie

odwracać się tyłem i nie wzruszać ramionami. Ale matka Meli nie miała o to pretensji, przez parę dni ciągle kręciła się koło Krysi i nawet chciała, żeby zamieniła się z kimś na miejsce na pryczy, żeby mieszkać bliżej, ale akurat wtedy wpadł Befszyk z jeszcze kilkoma Niemcami i kazali natychmiast, ale to NATYCHMIAST zbierać się i przeprowadzać na inny teren.

Ajka przerażona patrzyła, jak ludzie pakują w koce swoje skarby, jak matka Debory ładuje do swojego tłumoka rzeczy swoje i córki, i zarzuca sobie wszystko razem na plecy, jak pan Kopel niesie jakieś drewnianki i druciki i jak Befszyk mu to wszystko wyrywa, i wali go po twarzy, a potem przewraca i kopie. Mirka trzymała Ajkę kurczowo za rękę, obie bały się, że się zgubią, nie wiadomo było, dokąd się idzie. Matka Meli niosła ostrożnie zaoszczędzoną miskę zupy, nie było kiedy jej zjeść, jakiś Niemiec ze śmiechem wsadził jej tę miskę na głowę. Z krótko obciętych włosów spływała woda, zwieszały się jakieś pepelechy, okazało się też, że w zupie był kawałek kartofla, który zatrzymał się na samym czubku głowy. Mela zdjęła ten kartofel i po chwili wahania włożyła go sobie do ust. No, chyba, szkoda byłoby go wyrzucić. Po drugiej

444

stronie drogi szli mężczyźni. Marek ledwo powłóczył nogami, koledzy podpierali Kopia, któremu krew skapywała na ubranie. Właściwie nie było wiadomo, czy to tylko przeprowadzka na inny teren, czy jeden z następnych transportów do gazu. W poprzednim zabrano wiele osób i Kopel się za nie modlił tak, jakby umarli. Bo w wymianę nikt już nie wierzył.

Ajka szła drogą pomiędzy drutami kolczastymi. Oddzielały od siebie tereny, na które podzielony był obóz. Widać było za nimi snujących się ludzi, tak samo wyniszczonych jak ona, ktoś krzyknął, dobiegł do drutów, może mu się wydawało, że widzi krewnych, ale szybko go od tych drutów odciągnięto. Piach pod nogami nie był taki szary i ubity jak ziemia na poprzednim terenie, może mniej ludzi tędy chodziło. Gdzieś przed Ajką majaczyło coś zielonego, może obóz się tam kończył, może droga prowadziła do lasu? A gdyby tak zacząć biec, pędzić, a gdyby Befszyk nie zauważył, może można było podbiec chociaż do tych drzew, albo nawet dalej, schować się w jakimś rowie, wśród krzaków, przeczekać noc, a potem iść i iść przed siebie. Dokąd? Ajka doskonale wiedziała, że są to tylko marzenia, byli w głębi Niemiec, nikt jej tu nie pomoże, nie przechowa, a w ogóle mowy nie ma o tym, żeby uciec. Zresztą i tak za nic w świecie nie zostawiłaby Mirki.

To zielone przed kolumną więźniów wcale nie było lasem, rosło tam tylko kilka drzewek, droga skręcała i ukazały się baraki. Wszyscy, poganiani przez wściekłego i zmęczonego Befszyka oraz jego kolegów, zostali wpędzeni na nowy teren, także otoczony drutami. Strażnik z wysoko umieszczonej budki skierował karabin akurat na Mirkę, dziewczęta popędziły do przodu. Pierwsza wpadła do baraku Debora. Nic dziwnego, nie była niczym obciążona, oba koce, miski i inne rzeczy niosła matka. Łatwo więc było dziewczynie wbiec do baraku i rzucić się na najlepsze

445

miejsce, sąsiadujące ze ścianą i okienkiem. W poprzednim baraku mieszkała tam stara Dobieszowa, ledwo widząca była pielęgniarka, chyba najstarsza osoba w obozie. To najlepsze, parterowe miejsce ktoś

zwołnił specjalnie dla niej, światło padające z okienka pozwalało jej widzieć chociaż kontury pryczy, może nawet miskę trzymaną na kolanach. Na wyższe piętro pryczy pani Dobieszowa nie mogła się wdrapywać. Teraz też ufnie podeszła do okna, ale Debora ją powstrzymała.

- Tu już jest zajęte.

-Ale...

- Nie ma „ale”, kochana pani Dobieszowa. Mówię, że zajęte, to zajęte. Parter i drugie piętro. Zaraz przyjdzie mama. Może pani zająć górę.

- Dziecko drogie, przecież wiesz, że ja nie mogę...

- Ja też nie mogę.

Do pryczy zbliżyła się ciocia Sara.

- Deborko, jak ci nie wstyd!

- Pani Saro, a jak pani nie wstyd wtrącać się do nie swoich rzeczy? Ja też chcę pomieszkać przy oknie.

- Przecież dobrze widzisz!

- To co, mam oślepnąć?

- A co ma zrobić, twoim zdaniem, pani Dobieszowa?

- Nie muszę mieć na ten temat zdania. Nie mój interes. Mamo! Mamo, tu!

Matka Debory z ulgą rzuciła tobołek na pryczę, z rozwiązanego koca wypadły kłębki sprutych z koca nici. W jednym z nich tkwiły igły.

- Mirka! - wrzasnęła Ajka. - Patrz, to igły Gołdy!

Ciocia Sara spojrzała z obrzydzeniem na Deborę.

- Coraz lepiej - skonstatowała - jeszcze na dodatek kradniesz. Ciekawe, czy Marek o tym wie?

Debora wcale się nie zmieszała.

- Wcale nie ukradłam. Odziedzyczyłam. No? Co, nie

446

podoba wam się? Gołda mnie lubiła i przed śmiercią dała mi te igły. Możecie udowodnić, że tak nie było? No. A pani, pani Dobieszowa, jak zechce w świetle zjeść zupę, to zapraszam, może pani zawsze tu przysiąść. Chyba, że przyjdzie Marek. Ale tak, to proszę bardzo, okienko jest do pani dyspozycji. Tylko nie wiem, dlaczego pani tak na tym zależy, pewnie niedługo i za tym oknem będzie leżał stos umarłaków. A

może ich pani nie widziała?

Nikomu nie chciało się dłużej słuchać tego gadania, Ajka sądziła, że pani Dobieszowa naprawdę na poprzednim terenie nie widziała trupów za oknem, bo teraz zbladła i odsunęła się od ściany. Ktoś pomógł jej znaleźć inne miejsce, a Debora spokojnie rozlokowała się u siebie. Ajka wdrapała się na drugie piętro, zajęte przez Mirkę. Oczywiście nie udało się zdobyć parteru. Siostry przytuliły się do siebie i Ajka szepnęła.

- Mirka, to nie w porządku.

- Co?

- Wszystko.

- Najzupełniej się z tobą zgadzam - zaśmiała się smutno dziewczyna - to nie jest w porządku. Powinniśmy mieszkać normalnie w Warszawie, powinnaś chodzić do szkoły. .. Rodzice...

- Daj spokój, nie o to mi chodzi, tylko o Deborę. Wszystko jej się udaje. Takie obrzydliwe świństwa, takie...

- Nie podniecaj się. Ona już taka jest, nic na to nie poradzimy.

- Ktoś powinien jej powiedzieć!

- Sara jej powiedziała.

- Ale ona ma to gdzieś. Zajęła miejsce pani Dobieszowej, jak ona teraz będzie się ruszać po ciemku? Ukradła Goł-dzie igły...

- Byłaś przy tym? Może naprawdę Gołda pozwoliła je zabrać.

447

- Nie mów! Wiesz, że to nieprawda. Gołda z nikim po śmierci Racheli nie rozmawiała, akurat jej tam było do rozdawania igieł.

- Nie podniecaj się. Daj spokój. Sama chętnie przyłożyłabym Deborze, ale to by i tak nie pomogło. Ona chce żyć.

- A ty nie chcesz?

Mirka przytuliła mocniej siostrzyczkę. Nie mogła jej niczego wytłumaczyć. Sama nie rozumiała tego co się działo, a działy się przecież o wiele poważniejsze rzeczy, niż wysoki Debory.

- Myślisz, że Pan Bóg ją skarże? - zapytała już prawie śpiąc Ajka.

- Nie wiem. Nie wiem, co w ogóle myśli sobie Pan Bóg -westchnęła Mirka. Było to rzeczywiście bardzo trudne pytanie.

Rozdział L

Boże mój, jaki świat jest mały! I co z tego wynika! Zupełna ironia losu! Otóż Chaim po alarmującej depeszy poleciał do Steinów i od razu następnego dnia napisał do Mirki. Musiała mu tam ta jego Basia dać dobrze popalić, a może sam się opamiętał, trudno wyczuć. Zaraz, Mirka zostawiła ten li|t, jest!

„Droga moja, kochana Mireczko, duchu mojej młodości.

Niestety, nie sążone nam być razem. Nie, to «niestety» jest niesprawiedliwe, mogłabyś pomyśleć, że zmartwiło mnie to, co zastałem w domu. To nieprawda, na swój sposób kocham Basię i cieszę się, że jej choroba okazała się nie tak groźna.

Wiadomość o nagłym pogorszeniu była... nazwijmy to nieporozumieniem. Otóż znajoma pani Ruty, której nie wiem czemu Ruta uznała za stosowne powierzać nasze tajemnice, zna przypadkowo warszawską rodzinę Barbary. Kiedy w jednej z ich rozmów padło moje nazwisko, powiadomiła tę rodzinę o tym, że mieszkam u ciebie, że byłaś kiedyś moją narzeczoną, jednym słowem, wszystko wyszło na jaw i to w formie nie do pojęcia zwulgaryzowanej. Rodzina Basi uznała za konieczne zatelefonować do Barbary, a ona telegraficznie ściągnęła mnie do Stanów. Możesz sobie wyobrazić to powitanie.

Droga moja, tak więc nasza przeszłość musi jeszcze raz być pogrzebana. Nie opuszczę Basi, matki moich dzieci. Te-

449- Nie mów! Wiesz, że to nieprawda. Gołda z nikim po śmierci Racheli nie rozmawiała, akurat jej tam było do rozdawania igieł.

- Nie podniecaj się. Daj spokój. Sama chętnie przyłożyłabym Deborze, ale to by i tak nie pomogło. Ona chce żyć.

- A ty nie chcesz?

Mirka przytuliła mocniej siostrzyczkę. Nie mogła jej niczego wytłumaczyć. Sama nie rozumiała tego co się działo, a działy się przecież o wiele poważniejsze rzeczy, niż wyskoki Debory.

- Myślisz, że Pan Bóg ją skarże? - zapytała już prawie śpiąc Ajka.

- Nie wiem. Nie wiem, co w ogóle myśli sobie Pan Bóg -westchnęła Mirka. Było to rzeczywiście bardzo trudne pytanie.

Rozdział L

Boże mój, jaki świat jest mały! I co z tego wynika! Zupełna ironia losu! Otóż Chaim po alarmującej depeszy poleciał do Stanów i od razu następnego dnia napisał do Mirki. Musiała mu tam ta jego Basia dać dobrze popalić, a może sam się opamiętał, trudno wyczuć. Zaraz, Mirka zostawiła ten li|t, jest!

„Droga moja, kochana Mireczko, duchu mojej młodości.

Niestety, nie sążone nam być razem. Nie, to «niestety» jest niesprawiedliwe, mogłabyś pomyśleć, że

zmarwiło mnie to, co zastałem w domu. To nieprawda, na swój sposób kocham Basię i cieszę się, że jej choroba okazała się nie tak groźna.

Wiadomość o nagłym pogorszeniu była... nazwijmy to nieporozumieniem. Otóż znajoma pani Ruty, której nie wiem czemu Ruta uznała za stosowne powierzać nasze tajemnice, zna przypadkowo warszawską rodzinę Barbary. Kiedy w jednej z ich rozmów padło moje nazwisko, powiadomiła tę rodzinę o tym, że mieszkam u ciebie, że byłeś kiedyś moją narzeczoną, jednym słowem, wszystko wyszło na jaw i to w formie nie do pojęcia zwulgaryzowanej. Rodzina Basi uznała za konieczne zatelefonować do Barbary, a ona telegraficznie ściągnęła mnie do Stanów. Możesz sobie wyobrazić to powitanie.

Droga moja, tak więc nasza przeszłość musi jeszcze raz być pogrzebana. Nie opuszczę Basi, matki moich dzieci. Te-

449

raz widzę, że to wszystko, to były mrzonki, nieżyłowe plany, miałaś rację, tyle czasu minęło, nie jesteśmy już tamtymi ludźmi i rozplynęło się we mgle nasze drzewko z żelazną ławeczką. Bądź zdrowa, droga moja, nie wiem, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Chcdm"

Tak więc Ruta własnymi rękami, a właściwie własnym za długim językiem zniszczyła plany wyswatania Mirki. Co zresztą i tak by jej się nie udało. Mirka wpadła do mnie z tym listem wczoraj wieczorem, zła jak osa.

- Mówiłam ci, że on w niczym już nie przypomina mojego Chaima - warczała - nawet jakby go ta Basia rzuciła, to bym go nie chciała. Za żadne pierniki! Palant!
- Nie wiem, czemu się denerwujesz - mówiłam, chociaż było mi przykro, cała ta sprawa była nieprzyjemna od początku do końca, w gruncie rzeczy Heniek nie był w porządku wobec Basi. Chyba ją kiedyś kochał, skoro się ożenił, byli tacy, którzy opłakiwali zmarłą narzeczoną przez całe życie, a on się pomartwił i od razu... A może ożenił się z wdzięczności? Nie, to by nie miało sensu. No dobrze, dowiedział się, że Mirka żyje, przyjechał i co? Czy rzeczywiście rzuciłby Barbarę, czy to było puste gadanie? A teraz Mirka się może martwi, stoi z tym listem w ręce, jakby trzymała coś obrzydliwego.
- Wcale się nie denerwuję - zełgała mi prosto w oczy -i jeżeli myślisz, że mi chodzi o to, że wrócił do żony, to się bardzo mylisz. Przecież ci mówiłam, że go nie chcę.
- To o co ci chodzi?
- Nie zauważyłaś? Nie czytałaś, co ten bałwan pisze?
- Czytałam, rzeczywiście, trochę to pompatyczne, ale nic takiego...
- Ławeczka! To była drewniana ławeczka! Drewniana! A nie żelazna!

450

- Zlituj się, co za różnica, co to ma za zna...
- Ma! Drewniana! To ma zasadnicze znaczenie, że też tego nie rozumiesz! Wszystkie wspomnienia, cała ta miłość... Drewniana! Wiesz, co mu odpiszę, wiesz?!
- Daj spokój, nie ma powodu, żeby tak emocjonalnie...
- Emocjonalnie! Żeby mnie pocałował w dupę, to mu napiszę! I wyrazy współczucia dla Basi, biedna ofiara! Drewniana! Coś takiego! Kretyn!!

Moja siostra, wściekła jak diabli, wyszła, a list zostawiła na stole.

Bo ja wiem, może ma trochę racji. Ta ławeczka, to rachityczne drzewo, było dla niej symbolem ich uczucia. Pewnie myślała o tym na naszej wąskiej pryczy w obozie, może

O tej ławce n[^]rzyła po nocach, każde drzewko w parku przypominało jej o Heńku przez te wszystkie lata, kiedy sądziła, że dawno nie żyje. Pewnie nawet wtedy, kiedy szła z małym Szymkiem na skwerek, szukała w różnych ławkach i drzewach podobieństwa do tamtej ławki, gładziła ręką szorstkie drewno i marzyła o swojej wielkiej miłości. Zrobiła sobie z tego legendę. A tu masz, facetowi się pomyliło. Bo ja wiem... może między innymi na tym polega różnica między kobietą a mężczyzną? Dla nich takie drobiazgi nie są ważne, drewniana, żelazna, co za różnica i tak dobrze, że w ogóle pamiętał jakąś ławkę. Mirka przesadzała, ale ona już taka jest, albo wszystko, albo nic, albo kocha, albo nienawidzi. Bardziej ją dotknęła ta głupia pomyłka, niż to, że Heniek stał się taki jakiś... bez kręgosłupa. Chociaż i to jej się nie podobało, cała ta historia nie miała sensu i może lepiej byłoby, gdyby się ten Chaim w ogóle nie odnalazł, nie przyjeżdżał i nie zawracał głowy. Przez jego zmartwychwstanie Mirka zaczęła uważać Leona za kłamcę

1 oszusta, a tak sobie myślę, że nie ma racji. Biedny Leon, pewnie też się męczył cały czas, bał się, że sprawa wyjdzie na jaw. Całe życie był taki dobry dla Mirki, może, kiedy ją

451

spotkał, Chaim jednak już wyjechał, może uważał, że... nie, uważał po prostu, że Mirka go nie zechce. Byli tacy, którzy zabijali z takiego powodu, a on nie zabił, tylko zataił. To jednak trochę tak, jakby zabił. Dla Mirki Chaim nie żył. Nie wiem, dlaczego nie potępiam Leona, dlaczego tylko mi go żal. Może go po prostu kochałam jak ojca.

Nigdy nie zapomnę tego dnia, Szmulek wpadł do pokoju dziewczynek bez pukania, Esterka właśnie wkładała pończochy i wrzasnęła, aż mnie ucho zabolowało.

- Figę mnie obchodzą twoje brudne nogi! - odrzyknął jej Szmulek. - Nie do ciebie przy szlem, tylko do Ajki.
- Przyszedłem - poprawiła go Elka, która zawsze dbała o czystość języka, jakby od tego zależało jej życie. Chociaż może i zależało...
- Odczep się. Ajka, tylko żebyś nie zemdląła.

- Jeszcze tak nie ma, żebyś mdlała na twój widok - odcięłam się, bardzo lubiłam Szmulka, może już wtedy się w nim podkochiwałam i właśnie dlatego robiłam wszystko, żeby o tym nie wiedział.
- Na mój widok może nie. Siadaj. Ktoś do ciebie przyszedł.
- Kto?
- Słuchaj, nie uwierzysz...

Chłopak był taki przejęty, że poczułam niepokój. Zdarzało się, że do Domu Dziecka przychodzili rodzice, zdarzały się sytuacje dramatyczne, w pierwszej chwili pomyślałam, że może wiadomość o śmierci cioci Saiy była pomyłką, może pochowali kogo innego, a ona jest żywa w szpitalu. Nie, przecież byłam na pogrzebie, więc kto... Nie chciałam zgadywać, nie chciałam mieć nadziei, Mirka na pewno umarła na tyfus, kiedy wyganiano nas z obozu do pociągu została nieprzytomna na pryczy. Ale może jednak?! Musiałam mieć dziwny wyraz twarzy, bo Szmulek wziął mnie za rękę.

452

- Nie denerwuj się. Chodź.

W zalanej słońcem świetlicy stała Mirka, a przy niej był Leon. Poznałam ich od razu, nie wiedziałam co robić, bałam się, że to sen, nieraz śniło mi się, że Mirka przyszła, a teraz stała, była zalana łzami, podbiegła do mnie, przytuliła z całej siły. To było nierealne, nie wierzyłam, dotykałam jej twarzy jakbym była ślepa, dotykałam jej rąk.

Leon też płakał, w końcu rozryczał się nawet Szmulek, pani wychowawczyni, której nawet nie zauważyłam, wycierała z hałasem nos. I to ona odezwała się pierwsza:

- Boże, żeby tak do wszystkich dzieci ktoś przyszedł. Ajuniu...

To był wspaniały dzień, który obie odchorowałyśmy. Ja miałam jakieś/przypadłości nerwicowe, Mirce nawaliło serce. Leon opiekował się nami jak najczulszy ojciec i mąż, chyba wtedy Mirka zdecydowała się wyjść za niego.

I patrzcie ludzie, cały czas wiedział, że Chaim żyje. Musiało go to porządnie dręczyć. A Mirka była pewna, że Heniek zginął w Powstaniu.

* * *

O Powstaniu Warszawskim więźniowie dowiedzieli się pewnego dnia, kiedy za drutami przechodziła kolumna ludzi. Szli w milczeniu, w którym wyczuwało się jakąś beznadziejność. Ajka przyglądała im się z bezpiecznej odległości, nie tylko zresztą Ajka. Wszyscy wyszli z baraków, patrzyli, może wśród nich są jacyś znajomi, krewni? Tamci z przerażeniem oglądali wypętlę na słońce upiory, widzieli trupy i krew, widzieli rzeczy, które nie mieściły się w głowach, ale takich ludzi jeszcze nie oglądali. Niemcy latali wzdłuż kolumny, ale w chwili, kiedy akurat pobiegli do przodu, ciocia Sara zawołała:

- Skąd jesteście?!

Nie było słycać odpowiedzi, tamci ludzie szeptali, dawali jakieś znaki, w końcu kolumna przeszła. Dopiero potem rozeszła się wieść, że byli to Polacy przywiezieni do obozu po upadku Powstania Warszawskiego. Mówiono też, że cała Warszawa została zrównana z ziemią, zburzona. Mirka płakała, ciocia Sara płakała, cały obóz płakał. Jak to możliwe, żeby w ogóle nie było Warszawy? Dokąd można było wrócić, jeśli nie do Warszawy?

0 Powstaniu mowa też była w jednej z niemieckich gazet, którą podrzucił jak zwykle ktoś pod druty. Omówiono te wiadomości w „tramwaju”, który dalej działał w męskim baraku. Uwierzono tej gazecie, chociaż nazywano ją oczywiście „szmatą”. Cały teren ogarnęła rozpacz i dopiero teraz wszyscy zdali sobie sprawę, że jednak mieli nadzieję, jednak sądzili, że kiedyś wrócą do domu, będą chodzić Marszałkowską, zaprowadzą dzieci do łazienek. Trudno było uwierzyć, że nie ma już żadnej Marszałkowskiej, nie ma ulic, placów, że z Warszawy została kupa gruzów.

- Może po wojnie to się odbuduje? - wpadła na pomysł ciocia Sara.
- Już parni nie ma innych zmartwień - wtrąciła się De-bora - mnie tam wszystko jedno, jak Warszawy nie ma, to pojedę gdzie indziej. Aby przeżyć.

1 może pierwszy raz Ajka pomyślała, że Debora ma trochę racji. Bo właściwie dziewczynka nie bardzo pamiętała tę całą Marszałkowską, nie pamiętała tych łazienek, o których tyle mówiła ciocia Sara, nie miała przed oczami żadnych placów ani skwerów. A te brudne ulice w getcie... Ludzi szkoda, okropnie szkoda ludzi, ale ulice... Może lepiej, że zniknęły, że ich nie ma, może ktoś w tym miejscu zbuduje inne domy, takie, w których będą piękne, duże pokoje, łazienki i ubikacje, a w każdym mieszkaniu, tak sobie wyobrażała Ajka, będzie wspaniała, wygodna kryjówka, a w tej kryjówce będą książki i może mały otwór na

zewnątrz, tak, aby powietrze miało którędy dochodzić. Każda kryjówka będzie inna, żeby nie można było jej znaleźć, a plany mieszkania będą musiały być niszczone, palone, tak, aby o schowku wiedział tylko właściciel. W takiej kryjówce, marzyła dziewczynka, byłoby miejsce na ubikację, żeby nie trzeba było godzinami się wstrzymywać i może na umywalkę, i na spizarkę. Więc może nie trzeba tak strasznie się martwić, że zburzono takie brzydkie i niewygodne domy. Po wojnie architekci będą mieli okropnie dużo roboty. Bo przecież Niemcy przegrają w końcu tę wojnę, niemożliwe, żeby ją wygrali, jak wtedy wyglądałby świat? Jaka szkoda, że tato nie żyje...Ajka koniecznie chciała porozmawiać z kimś o tych swoich marzeniach, o tej swoistej odmianie szklanych domów i w końcu dopadła ciocię Sarę-

- To będą wspaniałe domy, cudowne mieszkania - kończyła opowieść o swojej wizji - wyobrażasz sobie, ciociu? Niech tylko ktoś zapuka, to my siup do takiej wygodnej kryjówki i proszę, może sobie ten ktoś siedzieć godzinę, albo dłużej.

Pani Sara, ku zdziwieniu dziewczynki, nagle zaczęła płakać.

- A nie wpadło ci, dziecko do głowy, że może nie trzeba się będzie chować? Jeśli uważasz, że Niemcy przegrają wojnę...

Ajka spojrzała z uznaniem na zalaną łzami twarz.

- No, rzeczywiście! No, naprawdę! Ojej! To i na spacer będzie można wyjść! Jaka ja jestem głupia, ciociu, oczywiście!

- No i widzisz, kryjówki będą niepotrzebne.

Nie, z tym się Ajka nie mogła zgodzić. Kryjówki muszą być, na wszelki wypadek. Przecież nie można aż tak ryzykować, żeby nie mieć dostępu do żadnego schowka. To nie do pomyślenia, Ajka sądziła, że nigdy nie czułaby się bez-

455

piecznie w mieszkaniu bez kryjówki. Pomyślała, że nawet sto lat po wojnie zawsze będzie w swoich mieszkaniach chciała mieć kryjówkę, zawsze będzie miała jej projekt w głowie.

* * *

Miałam wtedy rację... Zawsze, we własnych mieszkaniach, w mieszkaniach rodziny, w mieszkaniach przyjaciół i znajomych, rozglądam się, patrzę, planuję...

Rozdział LI

Sensacja! Zosię wypisują ze szpitala! Co więcej, biorę ją na pewien czas do siebie, bo jeszcze z trudem się porusza i nie będzie mogła poradzić sobie z gospodarstwem, ze Staszkiem. .. No i z własną rozpaczą po śmierci Bodzia. Lekarz zapytał, czy ma kogoś bliskiego, no niby ma tego ojca, ale trudno na niego liczyć, zresztą Zosia za nic w świecie by z nim nie zamieszkała. Muszę przyznać Mirce, że okazała się na poziomie, od razu zaproponowała, że weźmie ich do siebie, Staszka razem z jego matką i nawet skłonna byłam się zgodzić, bo doprawdy, w stosunku do Zosi mam uczucia bardzo ambiwalentne. Ale, co mnie bardzo zdziwiło, kiedy Mirka poszła na chwilę zrobić siusiu, Zosia złapała mnie za rękę.

- Ajka, proszę cię, nie! Lubię Mirkę, ale ona jest taka... no, taka., taka rzeczowa. Wolałabym... ja ci wszystko zwrócę co do grosza, odwdzięczę ci się... ale jakbyś mogła... Stasiulek już się do ciebie przyzwyczaił i tak lubi tego Piotrka...

Koniec świata, była kochanka mojego męża, układ doprawdy nie z tej ziemi!

- Kiedy Mirka ma większe mieszkanie i...

- Ja wiem, ty nie chcesz, na pewno mnie nienawidzisz, wolałabyś gdybym ja umarła, a Bodzio przeżył, ja wiem...

Spojrzałam na nią, to byłby całkiem niezły pomysł, mój Boże, mieć z powrotem Bohdana i to ze Staszkiem, którego naprawdę więcej niż lubię! Przez chwilę mignęła mi wizja takiego scenariusza, ale był

to tylko błysk, stało się jak się stało i nic tego nie zmieni.

457

- Głupoty gadasz - powiedziałam - u mnie jest ciasno, ale jeśli wolisz...

Mirka wróciła z toalety, zaczęłyśmy omawiać całe to karkołomne przedsięwzięcie. Trzeba było Zosię przewieźć samochodem, a wóz Szymka znowu był w naprawie.

- Gabriel cię podwiezie - oznajmiła moja siostra.

- Jaki Gabriel?

- Znajomy dentysta.

- Jeszcze mi tylko dentysty brakowało. Może to na dodatek chirurg szczękowy?

Byłam zadowolona, że Zosi w ogóle chce się żartować.

- Nie, zwyczajny stomatolog.

- Przecież nie będzie ci wiercił w zębie - dodałam - a wóz ma duży.

- Jaki? - zainteresował się Staszek, który też przyszedł odwiedzić matkę.

- Duży.

- Ale jaki?

- Zielony.

- Baby! - prychnął niegrzecznie chłopak. - Pytam o markę.

- Polonez - błysnęła fachowością Mirka.

- E tam. To krowa. Mało zwrotny, ciężko się prowadzi.

- Toteż Gabriel chce go sprzedać i kupić coś nowszego.

Nawet o tym nie wiedziałam.

- Skąd ma forszę - zdziwiłam się - przecież jest na emeryturze!

- No to co, nie wiedziałaś, że znowu zaczął przyjmować? Ma w domu gabinet, dokupił coś tam i trzy razy w tygodniu leczy. I to kogo!

- Kogo?

- Samą śmietankę, siostra, ta Róża, ma jakieś arystokratyczne znajomości, Gabriel zaczął świetnie zarabiać.

W gruncie rzeczy mało mnie to obchodziło, niech zarabia.

458

- I co, odwiezie Zosię?
- Sam się ofiarował.
- Ale szlachetny!
- Nie ma powodu do kpín - zgorzyla się Mirka - nie każdemu by się chciało.
- Już dobrze, to niech tu jutro będzie o dwunastej. Zaczekamy przed szpitalem, a jakby Zosi jeszcze nie do końca załatwili te tam wypisy, to zaczekajcie na dole przy szatni.

Rzeczywiście, czekali, Gabriel opiekuńczo wziął Zosię pod rękę, posadził na tylnym siedzeniu, a potem prowadził tak, jakby wiozł saską porcelanę. Miał rączę, w jezdniach jest pełno dziur, przekonałam się o tym, kiedy mnie kiedyś wieźli ze złamatią ręką na ostry dyżur. Co sekundę miałam wrażenie, jakby mi ktoś tę rękę łamał jeszcze raz.

W domu czekał Staszek i nakryty stół, zrobiłam wspaniały obiad.

Zosia najpierw położyła się na tapczanie, a ja wstawiłam kartofle do pieczenia. Byliśmy w piątkę, ja, Mirka, Zosia ze Staszkiem, no, a Gabriela trudno było wyrzucić.

Obserwowałam Mirkę. Nie wiem, czy mi się zdawało, czy po wyjeździe Chaima, a szczególnie po liście z ławeczką, okazywała jakoś więcej sympatii Gabrielowi. Nałożyła mu na talerz całą górę moich rewelacyjnych kartofelków, dolewała mu wina, a nawet, słowo daję, raz powiedziała do niego „Gabrysiu”. Może jednak coś się tam kroilo? Może miała dosyć samotności?

To przykre, że marzenia całego jej życia diabli wzięli, Mirka, przy swojej skłonności do przesady i wydawaniu szybkich sądów, zupełnie skreśliła Heńka, który przecież niczego złego nie zrobił. Po prostu się zestarzał, trudno wymagać od człowieka w jego wieku romantycznych porywów, nikt nie pozostaje do śmierci zakochanym młodzieńcem o płonących oczach. Uważałam też, że dobrze zrobił, wracając do Basi,

459

chora, czy nie, urodziła mu dwoje dzieci, wyciągnęła go z gruzów, należała jej się na stare lata opieka. Oczywiście, rozumiem, że przez tyle czasu mogło się w tamtym małżeństwie coś popsuć, ale bardzo mi się nie podobało, że Heniek sprawiał wrażenie, jakby od razu chciał rzucić żonę. Może zresztą, oszołomiony spotkaniem z Miriam, tylko tak mówił, wydawało mu się, że może spełnić marzenie całego życia? Nie wiem, co bym zrobiła w takiej sytuacji.

Patrzyłam w czasie tego obiadu na Mirkę. Pomyśleć tylko, była gotowa wybaczyć Chaimowi to, że się ożenił, że tak od razu uwierzył Leonowi, że jej nie szukał i wyjechał do Ameryki, a nie wybaczy mu nigdy tej żelaznej ławeczki. Bardziej ją to zabolalo niż małżeństwo z Basią, dwie córki i zaprzepaszczenie wszystkich marzeń. Przypuszczam, że gdyby ta Basia sama wyrzuciła go z domu, żeby przyszedł teraz z

bukietem storczyków i brylantową kolia, nic by mu już nie pomogło - ławeczka była z drewna, nie z metalu, rozpadała się powoli, tak, jak rozpadało się ich życie w getcie i niepamięć o tym była nie do wybaczenia. Cholera wie, może Mirka ma rację...

Wszyscy kończyli już obiad, chciałam być szalenie elegancka i na deser wniosłam drewnianą tacę z serami. Postawiłam ją na stole, spojrzałam na to, co podałam. Były tam różne gatunki, a poza tym całe, calutkie, ze zdjętą pokrywką, okrągłe pudełko z trójkącikami topionych serków. Usiadłam i wzięłam jeden z nich. Lubiłam trzymać taki serek w dłoni...

* * *

Kiedy Ajka wychylała się z drugiego piętra swojej pryczy, widziała miejsce przy oknie, które zajmowała Debora. Znowu zaczęło być zimno, dziewczynka wróciła z apelu okropnie przemarznięta i nie do zniesienia głodna.

460

Wydawało jej się, że zaraz z tego głodu i zimna umrze, a Mirka nie chciała jej dać kawałka chleba, który zostawiła z rozdawanego rano przydziału.

- Nie dam ci - mówiła - nawet mnie nie proś. Wiesz, jak to się kończy, Maniuta zjadała wszystko od razu i już jej nie ma. Zjesz teraz, a wieczorem nie będziesz mogła z głodu zasnąć.
- Przecież jest jeszcze zupa obiadowa.
- Zupełnie zjesz w środku dnia. Zresztą nie wiadomo, może znowu będzie rzadka?
- A Debora coś je.

Mirka też się wychyliła z pryczy. Rzeczywiście, Debora trzymała na kolanach coś szalenie dziwnego. Obok niej stał pan Stefaś, chyba dał jej to jakieś pudełeczko, a teraz czekał na zapłatę.

- To co będzie?
- Dobrze - powiedziała Debora, wyciągnęła spod koca kłębek nici z igłami i chyba dwie z nich dała Stefanowi.
- Trzy. Umawialiśmy się na trzy.
- Dwie wystarczą.
- No, dobrze - zgodził się handlarz - gdybyś nie była taka ładna, to nic byś u mnie nie wytargowała. Ale dwa mi oddaj.
- Ani nawet...
- Debora, oddaj dwa i po rozmowie.

Dziewczyna niechętnie wyjęła z pudełeczka jakieś dwa błyszczące trój kąci.

- Masz pan. To rozbój na równej drodze.
- I dobrze.

Ajka nie wytrzymała.

- Debora, co kupiłaś?
- Nie twój interes.
- Powiedz dziecku - wtrąciła się Mirka - przecież ci nie ubędzie.
- Ojej, no, topione serki.

461

- Jezus Maria, skąd on wziął topione serki?
- Nie pytaj mnie, skąd Stefan to wziął, on by ananasa też od Niemców dostał.
- Przesadzasz.
- No i dobrze. Może dacie mi spokojnie zjeść?

Ajka wychyliła się mocniej z pryczy.

- Daj mi potrzymać jednego serka, tak ładnie wygląda.
- Jeszcze czego, żeby się rozciapciał. Idź spać.

Ale Ajce nie było do spania. Takich serków jeszcze nigdy w życiu nie widziała, a może nie pamiętała, wszystko jedno. Leżały sobie w okrągłym pudełku, brakowało tylko trzech - tego, który od początku nadgryzała Debora i tych, które zabrał pan Stefan. Leżały obok siebie, każdy był zawinięty w błyszczące sreberko, a na wierzchu każdego była przyklejona nalepka z jakimś rysunkiem. Z kolorowym rysunkiem, Ajka tak się wychyliła, że o mało nie spadła z pryczy. Nie, trudno się było zorientować co jest na naklejce, chyba jakieś góry? Trawa? Wieczko od pudełka leżało obok, niestety do góry nogami, widać było tylko szarą tekturę.

Ajka pomyślała, że na odwrotnej stronie chyba też jest obrazek. Ale nie to było najciekawsze, o wiele bardziej zaciekawiło dziewczynkę odwijanie serka z opakowania. Bo właśnie Debora skończyła pierwszy, odłożyła zużyte sreberko i zabrała się do drugiego. Spod opakowania ukazała się kremowa masa, serek zapachniał jakoś bardziej przejmująco niż ten pierwszy, a może Ajka przedtem nie zwróciła na to uwagi. Debora rozwijała go po kawałeczku, nadgryzała, a potem odwijiała dalej. Ajka nie wiedziała, jaki coś takiego może mieć smak, sądząc po kolorze i konsystencji, a przede wszystkim zapachu, ten smak musiał być boski.

Sam widok cieszył oczy. Debora powoli smakowała serek, kiedy zjadła już połowę drugiego trójkątka, podniosła dłoń.

462

- Mamo, zjedz połówkę.
- Nie, kochana, to dla ciebie.
- Jeszcze mi zostały cztery.

Ajka na swojej pryczy szybko obliczyła: w pudełku na początku musiało być osiem serków. Boże, aż osiem!

- Nie szkodzi, jedz na zdrowie.
- Cholera, niech pani weźmie tę połówkę - wściekła się Mirka - co pani wyprawia!
- Nie twój interes, odczep się - odpowiedziała ze złością Debora, ale wstała i wsunęła siłą matce papierek z połową serka.
- Jedz, mamo, bo mnie tu wezmą za egoistkę i potwora!

Matka wzdychając, wzięła resztę serka, zaszeleściło sre-

berko. Debora/zabrała się do następnej porcji, Ajka po prostu czuła w dłoni gładkość opakowania, zimną, śliską powierzchnię, wyobrażała sobie, jak od wuj a papierek, a potem... Co potem? Potem czuje się w ustach jakiś cudowny smak, delikatny, może trochę taki, jak margaryna? Nie, o wiele lepszy. Dziewczynka wpatrywała się w Deborę, miała pełne usta śliny.

- Cholera, czego oczy wytrzeszczasz, nie można tu mieć chwili spokoju - wyszczała nagle Debora - myślisz, że to przyjemnie, kiedy ktoś się tak wgapia w usta! Żebracze nawyki, coś okropnego, Mirka, zabierz tę smarkulę!

Nigdy w dotychczasowym życiu Ajka się tak strasznie nie zawstydziła. Myślała, że nie przeżyje tej hańby. A przecież nie chciała żebrać, nawet jej do głowy nie przyszło, żeby poprosić Deborę o kawałek serka. Chciała tylko popatrzeć. Tyle okrutnych rzeczy ją spotkało, ale pomyślała, że słowa Debory będą ją paliły do końca życia, chociaż to przecież nie było nic takiego ważnego, te głupie serki w śliskich, srebrnych opakowaniach.

Owinęła się w koc i leżała cicho na pryczy. Nie widziała, jak Debora zjada serki do końca, nie wiedziała nawet, czy

463

wyrzuciła sreberka, o które przedtem chciała poprosić. Nie słyszała także, już wieczorem, jak matka Debory, śmiejąc się ze szczęścia, daje córce te pół serka, którego nie zjadła, który zaoszczędziła dla córki

na kolację.

Ajka nie usłyszała też zachwyconych podziękowań Debory.

Nigdy więcej też nie widziała w obozie takich serków i źródło zaopatrzenia pana Stefana pozostało dla niej tajemnicą.

Rozdział LII

...zawsze, kiedy trzymam taki serek w ręce czuję się niesłychanie bogata, po prostu tonę w luksusie. Podobne uczucie ogarnia mnie, kiedy obieram z łupinki kartofle gotowane w mundurkach, a obierki - po prostu niesłychane - wyrzucam. Czuję wtedy, że osiągnęłam w życiu wszelkie możliwe dobra materialne i właściwie niczego więcej mi nie trzeba.

W taki też dobiły humor wpadłam przy końcu tego uroczystego obiadu. Zresztą nie ja jedna. W doskonałym humorze była też Zosia, według mnie nawet w zbyt doskonałym jak na wdowę w żałobie, osobę, która jakkolwiek by patrzeć, była nie u siebie, zwała się razem z dzieckiem komuś na głowę i będzie też niezłym obciążeniem finansowym, jak na moją emerycką kieszeń. Owszem, dorabiam, ale czy akurat po to, aby utrzymywać kobietę, która uwiodła mi męża? Nie, moje uczucia były okropnie niestabilne, raz lubiłam tę Zosię, raz odzywały się stare pretensje. Czy to jej wina, że chlapnęła sobie te kilka kieliszków, że była zadowolona z wyjścia ze szpitala? Przecież mówiła, że mi zwróci pieniądze, nie wiem tylko z czego, ile jej zostawił Bodzio? Zresztą i tak nie będę przecież od niej brała, skąd, to nie do pomyslenia. Od gościa? Nigdy.

Odłożyłam serki, przy stole było gwarно, Zosia wypytywała Gabriela.

- Lubi pan wiercić w zębach?
- Wie pani - żartował - lubię, widocznie mam skłonności sadystyczne. A jak jeszcze trafię w nerw, to ho, ho! Rozkosz!

465

- Przestań - zgorszyła się Mirka.
- Ja wiem, że pan nie mówi poważnie - śmiała się Zosia - zresztą teraz są takie urządzenia, że wierci się bezboleśnie. Może nie?
- Zależy, jeśli na fotelu usiądzie mój wróg...
- A kto by przychodził do wroga na wiercenie w zębie! Chyba wariat.
- Bo też tylko wariat mógłby być mi wrogi - wdzięczny się Gabriel - ja, wie pani, jestem dobrym człowiekiem, mam samych przyjaciół. Marysia może zaświadczyć.
- No, Chaim nie bardzo cię lubił.

- Chaim, Chaim...nie chodziło o mnie.
- Jaki Chaim? - zdziwiła się Zosia - Jakie to dziwne imię, chyba żydowskie?
- Tak, bo co? - najeżyła się Mirka.
- Znasz jakiegoś Żyda? A jacy oni są?

No, nie do wiary! Ten idiota Bohdan nigdy jej o nas nie wspomniał! A może uważał to za zupełnie nieważne?

- Mają rogi i widły. A i kopyta - mówiła Mirka, zła jak osa.
- Wygłupiasz się. Na pewno wyglądają tak jak ja i ty.
- Ja na pewno - powiedziałam i widocznie miałam jakieś dziwne nuty w głosie, bo Zofię olśniło.
- To wy... ojej, przepraszam. Zaraz, może mi nawet Bohdan coś mówił. Ojej, no, nie miałam nic złego na myśli, mnie naprawdę jest wszystko jedno, nie zdawałam sobie sprawy... Nie gniewaj się, Marysiu, Ajka... przepraszam.

Właściwie rzeczywiście nie powiedziała niczego złego, może myślała, że wszyscy Żydzi są brunetami, czy coś w tym rodzaju. Nie było o co robić sprawy, ale Mirka nie popuszczała.

- Nie słyszałaś, jak Ajka mówi do mnie „Mirka”?
- No, to co?

466

- To od „Miriam”. Kiedyś tak się nazywałam. A ty co myślałaś?
- Nic nie myślałam. Że masz dwa imiona, na przykład Maria Mirosława.
- A, nic nie myślałaś. Dobrze. A..
- Daj spokój - przerwałam siostrze - nie rób sprawy z byle czego. Lepiej pijcie tę kawę, bo wystygnie.

Przez to głupstwo humory jakoś się zwarzyły, po kawie Mirka wstała.

- Muszę wracać, Brysia trzeba wyprowadzić.

Nie zatrzymałam jej, Zosia musiała odpocząć, ostatecznie dopiero co wyszła ze szpitala. Gabriel od razu się zerwał, oczywiście odwoził Mirkę. Na pożegnanie pocałował Zosię w rękę.

- Miło mi było panią poznać, mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, że się będziemy często widywać.

- Ależ oczywiście - zagruchała Zosia takim tonem, że Mirka spojrzała na nią spode łba - bardzo chętnie, a jak stanę na nogi, to przyjdę do pana z lewą górną czwórką.

- Służę plombą gratis - uśmiechnął się Gabriel.

Zostałyśmy same, Zosia usiłowała mnie jeszcze przeproszać, ale machnęłam ręką.

- Doprawdy, w ogóle nie ma o czym mówić, Mirka jest przeczulona i tyle. Kładź się spać, dosyć tego jak na jeden dzień.

Zosia położyła się i zasnęła, Staszek wziął się do odrabiania lekcji, a ja zostałam ze stertą naczyń do zmywania. Nie znoszę tego. Od zmywania boli mnie albo krzyż, albo brzuch, zależy pod jakim kątem się schylam. Kiedy jestem sama staram się każdy talerz opłukiwać od razu, ale teraz... Garnek po barszczyku, patelnia po schabowych, naczynie żaroodporne po ziemniakach, niedobrze się robi. Chłapałam wodą i zdawałam sobie sprawę, że dopóki Zosia jest u mnie, dopóty będę musiała gotować obiady dla

467

trzech osób, po prostu horror. Za jakie grzechy mnie to spotyka, chyba zwariowałam, co takiego Bodzio o mnie mówił, że Zosia darzy mnie, cholera, zaufaniem i szacunkiem? Na dodatek kiedy się obudziła, przyszła i pocałowała mnie.

- Gdyby nie ty - powiedziała - nie miałabym żadnego oparcia.

- Masz ojca.

- Daj spokój!

- Nie będziesz utrzymywać z nim stosunków?

- Jak przestanie chlać.

- Może przestanie... Zależy mu na was.

- Nie wierzę. Ale na razie tylko ty... Wiesz, dziwię się, że Bodzio cię rzucił.

O mało nie padłam trupem. Ona się dziwi! Robiła, co mogła, żeby go uwieść, a teraz się dziwi! Bezczelność!

- Do dziś jesteś taka ładna - bredziła - dobra...

- Kto jest ładny? - nie lubię obfudy - Ja?

- Naprawdę, oczy, włosy... usta...

- I może figura?

- No, gdybyś trochę tego... schudła...

- Nie zawracaj głowy - zezłościłam się, ale spojrzałam w lustro. Nie, Zosia po prostu nie jest szczerą.

Owszem, był czas, kiedy wyglądałam jak człowiek, może nawet niektórym mogłam się podobać. Kiedy to było, mój Boże, historia starożytna. No, a w obozie! Ciekawa jestem, co by powiedziała Zosia, gdyby zobaczyła kobiety z obozu. Szczególnie te bez zębów.

i

* * *

Kiedy Ajka myślała o zębach, zawsze przypominała jej się ta okropna sprawa szczoteczki. Miały tylko jedną wspólną, na początku Mirka bardzo nad tym bolała, ale

468

kiedy okazało się, że nawet ta jedna stanowi nieoceniony, rzadki skarb, chroniła jej jak oka w głowie.

Trzymała ją też cały czas przy sobie, w zapiętej na agrafkę kieszeni, jedynej jaką miała. Kazała też Ajce szorować zęby wodą dwa razy dziennie. Kiedy okazało się, że agrafki nie ma, a szczoteczka także zginęła, Mirka płakała tak, że ciocia Sara musiała ją mitygować.

- Dziecko kochane - mówiła - daj spokój. Już nie masz innych zmartwień? Zdychamy tu z głodu, patrz, masz niegojące się rany od odmrożeń na dłoniach i stopach, kto wie, czy w ogóle...

- Co „w ogóle”? - zapytała Ajka zmrożona pesymizmem zwykle w miarę pogodnej Sary.

- Nic takiego! A ty, Mireczko, płaczesz o byle co.

- Czym będziemy myć zęby?!

- Tak jak wszyscy. Palcem.

Ale Mirki to nie pocieszyło. Mycie zębów było jakby ostatnim znakiem człowieczeństwa, było dla niej symbolem zachowania jakiejś godności. Zrezygnowanie z tego, to dno, człowiek z brudnymi zębami był łazęgą, ostatnią szmatą, mama pilnowała mycia, codziennie sprawdzała, kazała otwierać usta, patrzyła na szczoteczki i nie daj Boże, aby były suche. Mirka dobrze pamiętała, jakie boje staczała mama z Józiem, któremu zdarzało się wieczorem nie umyć zębów. I teraz, kiedy może naprawdę nie było to sprawą najważniejszą, strata tej wytartej już prawie, czerwonej szczoteczki, była dla Mirki stratą po prostu niepowetowaną. Poszła nawet do pana Stefana.

- Kilo fchleba - wymienił handlarz cenę - ani deko mniej.

- Pan zwariował!

- A wiesz ty, smarkata, jak to trudno zdobyć? Ktoś by musiał ukraść Niemcowi w kantynie, jest taki jeden z innego terenu, nosi kotły.

469

- Jak to „Niemcowi”?! Używaną?
- A jaką?!
- O, nie, po Niemcu?! Fuj, nawet za darmo bym nie wzięła.
- To nie. Idź do sklepu i kup nową.

To było niesłychane, Mirka siedziała na pryczy i płakała, wszyscy ją pocieszali, Ajka nawet pukała się palcem w czoło.

- Oszalałaś, słowo daję, wielkie rzeczy. Wszyscy myją zęby palcem albo wcale nie myją. Żebyśmy tylko takie zmartwienia miały.

Nic nie pomagało. Mirka w końcu weszła na pryczę, zakryła głowę kocem i nawet przestała płakać. Wiedziała jak wygląda, jak wyglądają inne kobiety, chude, z obwisłym biustem, bez tyłków, po prostu szkielety, wieszaki nie tyle na ubrania, ile na rozpadające się łachy. Wszystkie powłóczyły, nogami, ruszały się jak muchy w smole, wlokły się na spuchniętych nogach. Nie można było nic na to poradzić, ale Mirka chciała chociaż dbać o jaką taką czystość, a szczególnie podtrzymywały ją na duchu jej piękne, białe zęby. To było jedyne, co jeszcze zachowała, co przypominało dawną Mirkę. Ajka też miała ładne zęby i miły uśmiech. A teraz żółtkną i po wylatują i tak cud, że jeszcze się trzymały. Teraz koniec, nic już nie zostanie z dawnej ładnej i pełnej życia Miriam, o której Chaim mówił, że kiedy się śmieje, to jemu świecą słońca. Tak, właśnie w liczbie mnogiej, „słońca”. Jeżeli kiedyś Mirka wróci do tej, niechby nawet zburzonej Warszawy, jeśli Heniek przeżył, to co powie? Nie będzie dawnej Mirki, nie będzie słonecznego uśmiechu, pewnie nawet chłopiec jej nie pozna. A mama? Co mama by powiedziała, gdyby wiedziała, że Mirka nie pilnowała szczoteczki, nie uratowała zębów Ajki i teraz przez jej gapiostwo dziecko będzie chodziło bezzębne, jak Chanina. A może Chanina miała zęby?

470

Mirka już niczego nie pamiętała, nie chciała wyleźć spod koca.

- Załamała się przez takie głupstwo - biadała ciocia Sara - co tu się dzieje, ludzie przeżywają piekło, a nie wytrzymują drobiazgów.
- To ostatnia kropla - mówiła mama Debory - biedna Mirka, straciła rozum, czy co? Przecież zęby wylatują ze szkorbutu, nie chodzi o mycie! Nic, tylko oszalała!

Na to właśnie wyglądało. Ze stratą szczoteczki dziewczyna przekroczyła jakiś próg, a za nim już był tylko płacz i Mirka, resztkami sił zdając sobie sprawę, że zachowuje się irracjonalnie, nie mogła nad tym zapanować. Nagle straciła wszelką nadzieję, uznała że to koniec, że nie ma sensu walczyć. Jże może jednak Bóg istnieje i kiedy umrą obie z Ajką połączą się gdzieś na innym świecie, który doprawdy już gorszy być nie może. A jeśli nie istnieje, to też dobrze, nie będzie głodu, mrozu, prycz, transportów, ile w końcu można wytrzymać?

Ajka szarpała koc, płacz Mirki, a potem jej milczenie wydawały jej się pozbawione sensu. Tyle strasznych rzeczy się zdarzyło, a ta idiotka płacze po głupiej szczoteczce?

- Ocknij się, do cholery, naprawdę - najpierw błagała, potem także zaczęła płakać, obok pryczy zebrał się tłumek kobiet.

- Nie ona pierwsza - powiedziała ponuro jedna z nich - będzie tak leżeć, aż umrze. Życie jej obrzydło, czemu tu się dziwić.

Ajkę to gadanie doprowadzało do rozpacz, razem z Mirką umierał cały świat.

- Rozstąpcie się, kretynki, chcecie ją zadusić - odezwała się nagle Debora, której do tej chwili nie było między kobietami - dajcie mi przejść.

- Bo co?

471

- Bo śmo!

Debora po swoim wkręciła się w tłumek i ostrym ruchem zerwała z Mirki koc, po czym szarpnęła ją tak, że dziewczyna musiała na nią spojrzeć.

- Masz, smętna idiotko - powiedziała - najpierw poszukaj, a potem rób hecę na pół świata.

I podała Mirce wytartą szczoteczkę do zębów. Było to po prostu niewiarygodne. Mirka gwałtownie usiadła na pryczy i stuknęła oczywiście głową w deski trzeciego piętra.

- Gdzie to znalazłaś? - dopytywała się zaszokowana Ajka, bo jej siostra siedziała wpatrując się szklanymi oczami w czerwona szczoteczkę.

- W latrynie - poinformowała zwięźle Debora - musiała jej wypaść jak siadała. Leżała na podłodze.

Nie było to sympatyczne miejsce i Ajka zużyła do mycia szczotki całą wieczorną porcję tak zwanej kawy. Wydawało jej się też, że szczoteczka jest jakby w innym odcieniu czerwieni, niż była. Ale nie powiedziała tego Mirce, która jakoś powoli dochodziła do siebie. Bo może jej się zdawało. A może Debora... nie, to było nie do pomyślenia, ta dziewczyna nigdy przecież nic swojego nikomu nie oddała. Ale jednak...

Rozdział LIII

„Moja kochana córeczko.

i

Bardzo zmartwił mnie Twój ostatni list. Nie przejmuj się tak humorami Jakuba, przejdzie mu, mężczyźni lubią sobie odbijać w domu niepowodzenia, które mają w pracy. Przecież wiesz, że nie zostawisz nigdy Mici, a ja, chociaż Twój pobyt u mnie byłby spełnieniem wszystkich moich marzeń, nie chciałabym Twojego rozwodu za nic na świecie. Mam nadzieję, że to przejściowe nieporozumienie i...

No i widzisz, pisanie listu przerwał mi Twój telefon. Bardzo się cieszę, że to był, jak powiedziałaś, chwilowy wybuch goryczy. Prawdę mówiąc od czasu, gdy przyszedł Twój list, nie przespałam porządnie ani jednej nocy, nawet dzwoniłam do Ciebie i nikt nie odpowiadał, okropnie się martwiłam. Ale to dobrze, że wyjechaliście razem na te trzy dni, żeby obgadać sprawę. Blumajest nieoceniona, jaka to wygoda, że możecie zostawiać u niej Micię. Jak to się dziwnie losy plotą, moja kochana, kto by w tym Domu Dziecka, w którym byłam z Blumą, pomyślał, że kiedyś to ona, a nie ja, mój Boże, będzie się opiekować moją wnuczką... A propos dawnych czasów, czy nie wiesz, co się dzieje z Debo-rą? Nie utrzymuję z nią kontaktu listowego, nie lubię jej, chyba orientujesz się dlaczego. A jednak jestem ciekawa, co u niej słychać. Popytaj ludzi, dobrze?

Teraz, kiedy minęło więcej niż pół wieku wszyscy, którzy pamiętają mnie jeszcze jako dziecko, stali mi się jacyś bar-

473

dziej pożądani, może nawet napisałabym do Debory? Kiedy byłam u was spotkałyśmy się u Kohnów, najlepiej zapytaj jego żonę, znasz ich przecież. Oczywiście, doskonale wiem, że Debora była okropna, ale pamiętam też historię ze szczoteczką do zębów. Może jednak coś w niej tkwiło? A może się zmieniła? U Kohnów rozmawiałyśmy bardzo krótko, wiem tylko, że jej matka przeżyła wojnę i umarła jako bardzo stara kobieta. Może Debora jednak się o nią troszczyła? Byłam wtedy dzieckiem, może nie pamiętam wszystkiego, może pamiętam tylko niektóre rzeczy, wybiórczo, a inne, niemniej ważne, uleciały mi z głowy? Dziecko inaczej odbiera pewne sprawy, to co mnie się wydawało najważniejsze, może najważniejsze nie było?

Z telefonu wiesz, że Zosia lada chwila się ode mnie wyprowadzi, już czuje się dobrze. Szczerze mówiąc, mam tego dosyć, skaczą koło niej jakby była kimś mi najbliższym, masz rację, że chyba zwariowałam. Ale powiedz sama, co miałam robić? Zresztą Staszka bardzo lubię, bardzo i będzie mi go brakowało. Przypomina mi czasy, kiedy Ty, moja kochana córeczko, byłaś w domu, kiedy czekałam na Ciebie, stojąc w oknie. Bardzo tego nie lubiłaś, prawda? Zawsze wiedziałam, że to Cię denerwuje, a mimo to nie mogłam wytrzymać, stałam w tym oknie i czekałam na Ciebie, zresztą na Szmulka też, na Mikołaja, a potem na Bohdana. Mirka zawsze mnie za to rugała, a dopiero teraz widzę, że robi to samo. Ile razy do niej przychodzę, słyszę już na podwórku szczekanie Brysia, skąd by wiedział, że idę, gdyby mu Mirka nie powiedziała? On to doskonale rozumie, nieraz słyszałam jak Mirka, poznając odgłos kroków na schodach, mówiła «Gabriel idzie» i Bryś dopiero wtedy zaczynał szczekać. Ale wtedy Gabriel był już prawie pod drzwiami, a ja słyszałam psa zanim weszłam na klatkę schodową. Piszę i nagle zdałam sobie sprawę, że chyba Gabriel spotyka się z Mirką przede wszystkim u mnie. Czę-

474

sto oboje przychodzą, ale rozmawiają jakoś tak, jakby się ostatni raz widzieli właśnie tu. Może się mylę? Wiesz, bardzo bym chciała, żeby się pobrali, Mirka jest taka samotna, wprawdzie ma doskonałe stosunki z Szymkiem, Asią i Ju-stynką, ale jednak codzienne życie płynie jej oczywiście z daleka od nich. Justynka ma jakiegoś chłopca, uważam, że o wiele za wcześnie i mam nadzieję, że jest to miłość pla-toniczna. Widziałam ich u Mirki, chłopak ma piętnaście lat, nosi jakieś spodnie w krokiem na kolanach i co drugie

słowo mówi «o, kurdelemele, przepraszam, nie chciałem». Justynka patrzy w niego cielecym wzrokiem, nazywa go «Pip-sztok», nie mam pojęcia, co to znaczy. Naprawdę nazywa się Emanuel, bardzo nadęte imię, a Justynka mówi na przykład «Pipsfctoczku, zjedz jeszcze ciasteczko» i chłopak odpowiada: «Już więcej nie wepchnę, kurdelemele, przepraszam, nie chciałem». Jak się można kochać w czymś takim? Moja pierwsza, wielka miłość to był Salek, opowiadałam ci o nim, historia starożytna. On nawet chyba nie wiedział, że go kocham... Ale wiesz, pamiętałam o nim całe życie i kiedy nie układało mi się z Twoim ojcem, ze Szmul-kiem, nieraz myślałam, że gdyby żył Salek, byłby inny. Głupie to, przecież właściwie prawie go nie znałam.

Odpisz mi koniecznie, jaka szkoda, że te telefony są takie drogie! Przede wszystkim napisz wszystko o Mici, jak się rozwija, co mówi, mój Boże, moja wnuczka mówi po he-brąjsku, to okropnie trudny język, w życiu się go nie nauczę, już jestem za stara. Serce mi się kraje na myśl, że nie mam wspólnego języka z własną wnuczką, czemu wy w domu nie mówicie z Jakubem trochę po polsku, on też by się podciągnął, znajomość języka to wygrana na loterii. Naucz Micię chociaż podstawowych rzeczy, niech ja się z nią dogadam!

Co by tu jeszcze... No, oczywiście, najważniejsze! Przyjedźcie do mnie! Najak długo chcesz i możesz, Zosia,

475

jak pisałam, lada chwila się wyniesie i pokój będzie do waszej dyspozycji Tylko nie daj się namówić Mirce, bo ona chce, żebyś mieszkała u niej. Co z tego, że ma większe mieszkanie? Ale przecież i tak więcej niż jeden pokój nie jest wam potrzebny, bo jak się orientuję, jeśli przyjedziesz, to tylko z Micią, Jakub nie bardzo chce spędzać tu urlopy. Pewnie, że Meksyk jest ciekawszy. Ale Ty masz więcej wolnego, więc przyjedź koniecznie. Nawet nie wiesz jak tęsknię za Tobą i Micią, kochana moja. Siedzę czasami przed telewizorem, coś tam miga, łudzę się, że nie jestem sama...

Jestem sama, nawet kiedy mieszka tu Zosia ze Staszkiem, zawsze jestem sama.

Tak więc całuję mocno i czekam na Was.

Mama

PS. Zosia i Staszek przesyłają pozdrowienia, a Mirka sama napisze."

Starannie wymazałam ostatnie zdanie przed pozdrowieniami i wyjęłam kopertę. Nie znoszę adresowania, wolę napisać cały list niż go zaadresować i przez to teczka pęka mi od napisanej i nie wysłanej korespondencji. Ale do Lusi oczywiście list wyślę od razu, co za szczęście, że pogodziła się z Jakubem, jaki jest, taki jest, ale Lusię kocha, a moje uczucia do niego są zupełnie nieistotne. Ciekawe czy Lu-cynka dowie się czegoś o Deborze, szkoda że wtedy tak krótko z nią rozmawiałam. Właściwie mało ją znałam w obozie, była ode mnie dużo starsza, chyba w wieku Mirki. Mirka też jej nie lubiła, chociaż po tej sprawie ze szczoteczką trochę jakby zmiękła...

476

Mirka powoli otrząsała się z załamania, nawet po kilku dniach usiłowała z tego żartować.

- No i widzisz, że powinnaś myć zęby - tłumaczyła Ajka - sama myśl o brudnej szczęce o mało mnie nie zabiła. Tyle przeżyliśmy, a tu popatrz, taka perspektywa okazała się gorsza niż śmierć.
- Wygłupiasz się - stwierdziła Ajka - to po prostu był jakiś zły moment.
- A inne momenty są dobre?

Nie, żadne chwile nie były dobre, ale bywały złe i gorsze. A teraz, kiedy znowu zaczęło być bardzo zimno, o te lepsze momenty byłj coraz trudniej. Niemcy zmniejszyli jeszcze przydział chleba, zupy były coraz rzadsze i Lutek, który razem z Mietkiem nosił kotły, coraz rzadziej miał wesołą minę. A miewał ją, kiedy mógł po zdjęciu pokrywy i zamieszaniu chochlą zawołać „Gięste!!!” Jego wesoły głos słyhać było wtedy na całym terenie i nikt już nie wymawiał tego słowa w prawidłowym brzmieniu. Ajka potem przez całe życie musiała pamiętać, że mówi się „gęste”, nawet raz w liceum nauczycielka polskiego wyśmiała ją przed całą klasą. „Wstyd - powiedziała - Ajka napisała «gięstość zaludnienia” doprawdy, aż oczy bołą, kiedy się na coś takiego patrzy!” Ajka wtedy wstała i opowiedziała całej klasie o Lutku i zupie w kotłach. Nauczycielka się rozplakała, przeprosiła dziewczynkę, a Mirka w domu zrobiła awanturę.

- Wstydu nie masz, żeby takie rzeczy opowiadać w klasie. Szukasz litości, czy co? Wielkie rzeczy, nawet ci dwójki nie postawiła!
- Ale mnie wyśmiała, miałam siedzieć cicho?
- I słusznie cię wyśmiała, „gięste”, też coś, mogłaś się tego oduczyc!

477

Właściwie Ajka mogła się tego oduczyc już w obozie, bo zupy nie były gęste i Lutek zamilkł. Taszczył te kotły, a potem, na zmianę z Mietkiem, wlewał ludziom do misek brudną wodę, w której pływały pokrzywy, a czasem jakieś inne liście, trudno je było zidentyfikować. Dobrze jeszcze, jeśli zupa była gorąca, czasem się zdarzało, że była ledwo ciepła i nawet nie można było sobie o miskę ogrzać zmarzniętych rąk. Chleb też był czasem spleśniały, tak spleśniały, że trudno go było jeść. Był też, nie wiadomo czemu, wilgotny. A najgorzej, kiedy był i wilgotny, i spleśniały, wtedy trzeba go było suszyć, przylepiając -a lepił się doskonale - do ścianki rozgrzanego piecyka. Nie było łatwo znaleźć tam miejsce, trzeba było czekać na swoją kolej.

To był wieczór. W baraku paliła się jedna żarówka na sznurku, przy piecyku skupiły się zmarznięte i głodne kobiety, ktoś opowiadał jakiś kryminał przeczytany w innym życiu, robił to o wiele gorzej niż pani Weronka, ale jednak słuchanie tej zawiłej historii dawało chwile względnej przyjemności. Mirka wreszcie dostała miejsce na boku piecyka, całe szczęście, Ajka już nie mogła wytrzymać, o mały włos, a zjadłaby ten kawałek chleba razem z pleśnią i wilgocią. Była przeraźliwie głodna, najpierw nie mogła doczekać się kolacji, jak szumnie siostry nazywały wieczorny kawałek chleba, a potem tego miejsca na piecyku. No, ale nareszcie Mirka przykleiła rozpadające się dwie kromeczki, ktoś jadł już swoją przyrumienioną porcję, zapach przyprawiał Ajkę o zawrót głowy.

Trochę to musiało jednak potrwać, kryminał się ciągnął, jedna z kobiet, która też czytała tę książkę, zaczęła protestować.

- Ten facet wcale nie nazywał się Bolek, tylko Billy. I to się w ogóle nie działo w Londynie, tylko pod Londynem. Wszystko pokręciłaś.

478

- To ty pokręciłaś. Dobrze pamiętam, czytałam to tuż przed wojną.

- A ja w czasie wojny!

- Baby, cicho - zdenerwowała się ciocia Sara - co za różnica, Billy czy Bolek. Ważne jest, kto w końcu zabił.

- Doskonale pamiętam, że...

- Nie mów! - krzyknęła Mirka - Nie mów, bo popsujesz całe opowiadanie! No, co było dalej?

Pierwsza z kobiet westchnęła i ciągnęła opowieść, Ajka trochę się domyślała końca, bo jeśli ta dziewczyna dziedziczyła piekarnię, to chyba miała dostateczny powód, żeby zamordować skąpego wuja.

- Mirka - szepnęła - to ta siostrzenica?

- Co ci przyszło do głowy, po co?

- Przez piekarnię.

- Co tam piekarnia, to na pewno jego syn, on miał dziedziczyć kolekcję znaczków pocztowych, to jest warte majątek!

- Co miał dostać?

- No, marki, znaczki, ten wujek zbierał je całe życie.

- Po co?!

- Dla przyjemności. Takiego miał konika, zamiłowanie, jak ci mam to wytłumaczyć?

- Wariat, niby co robił z czymś takim? Wysyłał listy?

- Jakie listy, Boże, to dziecko o niczym nie ma pojęcia!

- Przecież ich nie zjadał, nie rozumiem. I to jest coś warte? Dlaczego?!

- Cicho, bo nic nie słyszać, nie gadajcie! - uciszała ciocia Sara. Cała historia zbliżała się do końca, Ajkę przestało to interesować, znaczki, też coś, zupełny obłąd. Że też w ogóle komuś się chce opisywać takie głupoty.

- Mirka, może już?

Starsza siostra dotknęła chleba dłonią.

- Jeszcze chwileczkę.

479

- Kiedy ja już nie mogę...

Żaróweczka przy suficie zamigotała parę razy i zgasła. Przy piecyku ktoś się poruszył, coś syknęło, żaróweczka znowu zamigotała i światło się zapaliło.

Boki piecyka były puste. Ta, która ukradła chleb, chyba od razu włożyła go sobie do ust. Ajka nigdy nie dowiedziała się, kto to był.

Rozdział LIV

.!jtę. o) o 'na -iiiiM bŁ> n&tifił ibs(_ i c ;f naT

Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy martwić. Zosia się wyprowadziła, koniec z obiadkami, z zakupami, z wieczornymi zwierzeniami na każdy temat. Miałam doprawdy mieszane uczucia, Zosia opowiadała mi o Bodziu, zapomniała, że przedtem był moim mężem!? Oczywiście, że nie, ale jakby nie^brała tego pod uwagę. Zabawne, zresztą nie wiem, czy zabawne, słuchałam tego z zażenowaniem, dziewczyna bierze sobie o tyle starszego faceta, a potem się dziwi, że on za rzadko... Nie, naprawdę, jak ona mogła, szczególnie po jego śmierci?

Staszek popłakał się przy pożegnaniu, zapewniłam go, że zawsze może do mnie przyjść, a jeśli Zosia pozwoli, zostać na jakąś sobotę i niedzielę, oczywiście nie wtedy, kiedy przyjedzie Lusią z Micią. Bo jestem pewna, że niedługo się zjawią, zaprosiłam je w ostatnim liście. Więc może dobrze się składa, że Zosia się wyniosła. Co za cisza! Nie wiem w końcu, czy lubię tę samotność, czyjej nienawidzę. Gdybym jeszcze ciągle nie niepokoiła się o Lusię, Micię, Mirkę, a nawet Szymka i Justynkę... grzeszę, lepiej już się niepokoić, niż nikogo nie mieć.

W końcu, żeby przerwać to obijanie się po pustym domu, poszłam do Mirki, powinnam była zatelefonować, ale jakoś tak najpierw wyszłam, a zdecydowałam się, kiedy byłam już na ulicy. Szkoda że nie mam telefonu komórkowego, trzeba o tym pomyśleć, tylko te pieniądze... No więc zjawiłam się u niej niezapowiedziana i do razu napatoczyłam

481

się na Rutę. Siedziały tam we dwie i popijały kawę, Ruta na mój widok zrobiła złe oczy, pewnie jej przerwałam jakieś plotki.

- Siadaj, siadaj - Mirka za to ucieszyła się aż przesadnie - co ci dać, mam kartoflankę z obiadu, był Szymek. Chcesz?

Ten, kto nie jadł kartoflanki Mirki, nie wie, co dobre. Chciałam.

- Nie wiem, jak wy możecie jeść takie paskudztwo - odezwała się ze zwykłym sobie taktem Ruta - u nas w klasztorze siostry to gotowały jak już nic innego nie było, ale wtedy była wojna. Kartoflanka, też coś, do ust tego nie biorę.
- A kto cię częstuje? - zapytała zjadliwie Mirka. - Nawet ci nie zaproponowałam żadnej zupy.
- No pewnie, jak Ajka przychodzi, to dla niej jest, ale ja...
- Jesteś niekonsekwentna, mówisz, że nie lubisz, a potem...
- Nie wiedziałaś, że nie lubię. Właśnie o to chodzi, o ten twój chłód, brak wycucia, dlatego wszystko się wali.

Zauważyłam między nimi jakieś napięcie, chyba się pokłóciły przed moim przyjściem.

- Co się wali? - zaniepokoiłam się.
- Nic się nie wali, Ruta wymyśla jakieś niestworzone historie.
- Ja wymyślam?! Dobrze, zapytaj Ajki, czy niczego nie zauważyła, Zosia była u niej tyle czasu. Proszę, zapytaj. Ajka?

Nie miałam pojęcia o co jej chodzi, co miałam zauważyć.

_ ?

- Nie rób takich wielkich oczu. Pytam, czy zauważyłaś, że coś się święci między Gabrielem a Zosią.

Zamiast pomyśleć, wybuchnęłam śmiechem. Gabriel był jeszcze starszy niż Bohdan, gdzie mu do Zosi? I przecież ona w ogóle nie wychodziła z domu, kiedy mieliby się spo-

482

tykać? A jak się widywała z Gabrielem, to tylko przy mnie i na dodatek zwykle przy Mirce.

- Czego rżysz? Takie to niemożliwe?
- Wszystko jest możliwe - powiedziałam - ale przecież Gabriel sto razy oświadczał się Mirce. A ona nie chce. Czy może chcesz?

Mirka zaczęła coś przestawiać na stole, wyszła do kuchni, kręciła się i w końcu ani nie zaprzeczyła, ani nie potwierdziła. Zamiast do mnie, zwróciła się w końcu do Ruty.

- No, powiedzmy, wyobraźmy sobie, że masz rację. To chyba i tak nie twój interes. Już ci mówiłam, zanim Ajka przyszła, żebyś się nie wtrącała, a pomysł, żeby iść z tym do Zosi i zrobić jej awanturę jest, wybaczone, ale najzupełniej poroniony. N/togładałaś się chyba mydlanych oper w telewizji, bo to jest za

głupie nawet na „Trędowatą”.

- Nie chcesz, to nie - warknęła Ruta i wstała - ale to ci tylko powiem, że wyrzec się Gabriela dla ciebie jeszcze mogłam, ale dla tej wywłoki...
- To śmieszne, nie masz się czego wyrzekać, Gabriel ma cię w ... Gabriel nigdy się tobą nie interesował.
- A poza tym Zosia nie jest, jak to elegancko ujęłaś, wywłoką - nie wiem dlaczego stanęłam w obronie drugiej żony mego rodzzonego męża.
- A kim? Już ty powinnaś najlepiej wiedzieć! Zwykła kurwa i tyle.
- Ruta!
- Co „Ruta”? Myślicie, że nie znam brzydkich słów?! Patrzcie spokojnie jak ta... ta... zabiera ostatniego atrakcyjnego mężczyznę w odpowiednim wieku i nic? Jak go nie chciałaś, to trzeba było zatrzymać Chaima, a Gabriela mnie zostawić i nie pozwolić, żeby zabierała ta..ta...Zosia!

Ostatnie słowa wypluła takim tonem, że brzmiało jak najgorszy epitet. Po czym wyszła do korytarza, ale po swojemu wróciła.

483

- I to wam tylko powiem na zakończenie - syknęła - że mam dość waszej protekcjonalności, poklepywania po plecach i wyższości, którą mi okazujecie pewnie tylko dlatego, że nigdy nie byłam z facetem w łóżku. Bo innego powodu nie widzę, do czego niby takiego doszłyście? Wszystko, czego dotykałaś, Mirka, paskudziłaś, wszystkiego się bałaś, w nic nie chciałaś się angażować. Nie masz za grosz energii, miałaś zdolności, mogłaś pisać, ale nie, redagowałaś cudze teksty, bo bałaś się, że ci twoje odrzucą. A ty, Ajka? Wiecznie zatroskana kura domowa, co zrobiłaś ze swoimi zdolnościami? Malowałaś, sprzedawałaś obrazy? Nie, skąd, łatwiej projektować opakowania czy reklamy, babrać się w liternictwie! Stałyście tam, gdzie was postawiono, już wolę być starą panną, niż zatruwać życie takiemu człowiekowi jak Leon, niż wychowywać dziecko w lodówce, niż męczyć, tak jak ty, Ajka, własnych mężów i urządzić Lusi codziennie śledztwo, trząść się bez przerwy nad wszystkimi. Wariatki! Jesteście obie do niczego, jako żony, kobiety, matki, zapaskudzacie życie sobie i innym. A mnie macie za idiotkę, bo się nie pieprzę z trzema mężami! Mam tego po uszy, a nawet wyżej uszu i oznajmiam ci, Mirka, że możesz mnie skreślić z grona wielbicielk i kulawych kacząt! Żegnam!

Mirka, nie na żarty przestraszona, wybiegła za nią na klatkę schodową, ale wróciła sama. Była nawet nie tyle zła, ile zmartwiona.

- Odbiło jej. Ale muszę przyznać, że ma trochę racji. Myślisz, że jej przejdzie?
- Nie wiem - powiedziałam, nigdy nie widziałam Ruty takiej wścieklej - co ona mówi o Zosi i Gabrielu?

- Bredzi, to niemożliwe... Zresztą i tak Gabriel ani przez sekundę nie myślał o Rucie. Przecież ze mną chce się żenić.

- No, a ty?

Mirka zabrała talerz po kartoflance i westchnęła. 484

- Mam mówić szczerze?

- No wiesz...

- Gdyby nie ta jego siostrzyczka, to kto wie... Mam dosyć tych pustych ścian. Asia robi co może, żebym nie widywała często Justyny. Ostatnio wyrwało mi się, słowo ci daję, że niechcący, co to takiego było, zaraz? A czekaj, powiedziałam, że jestem za gruba i że kto by przewidział w obozie kiedy wyglądałam jak szkielet na spuchniętych nogach, że kiedyś będę się chciała odchudzić. Justyna zapytała, czy wszyscy tak wyglądali, a Asia kazała jej wyjść z pokoju i okropnie się wściekła. Że po co, że stresy, takie tam. No i Justyna nie była tu nawet z Szymkiem, chociaż mieli oboje przyjść w sobotę, a dzisiaj Szymek wpadł sam i zaklinał mnie, żebym się pilnowała, bo Asia robi z tego całą aferę. Nie rozumiem, przecież Justyna czyta różne książki, ogląda filmy wojenne, dlaczego akurat ja nie mogę pisnąć słowa? Może to jest za bliskie? Jedno ci powiem - mam tego dosyć. Z Gabrielem można chociaż trochę pogadać. O, jest Bryś. Wiesz, jak przychodzi Ruta, to on idzie do drugiego pokoju. I tak dobrze, że jej nie gryzie. Czego chcesz piesku? Daj mu taką czekoladową pastylkę, tam leżą, takie psie.

Mirka za dużo mówiła. Zawsze zaczynała mówić, kiedy była zdenerwowana. Widocznie poruszyła ją ta sprawa z Rutą.

- Nie martw się - zaczęłam - Ruta się przeprosi. W tym wieku trudno o nowych przyjaciół.

- Mam ją gdzieś - wygłosiła nieprawdę Mirka.

- To co z Gabrielem?

Mirka spojrzała na mnie.

- A ty jak uważasz?

- Uważam - powiedziałam poważnie - że powinnaś się zdecydować. A ta jego siostra..To idiotka, nie musisz się z nią spotykać. Zresztą może się do ciebie przekona.

485

- Nie potrzebuję, to ja się muszę do niej przekonać - najeżyła się Mirka - ale może masz rację. Może rzeczywiście... Skoro ty uważasz, że...

- Uważam. A poza tym on ma pieniądze.

- Ajka!

- Daj spokój. To nie jest bez znaczenia. Biedę możesz klepać solo.

- Nie klepię biedy. Ja sobie jakoś zawsze dawałam radę,

nie potrzebuję pieniędzy Gabriela. Pamiętasz salami?

* * *

Owszem, Ajka doskonale pamiętała. Za drutami pewnego dnia pojawili się Węgrzy, Ajka najpierw w ogóle nie wiedziała, co to za ludzie i po jakimu mówią. Byli na terenie podobnym do tego, na którym gnieździli się Żydzi z Warszawy. Oba tereny oddzielone były od siebie drutami, ale można było czasem coś sobie nawzajem podać, a i porozmawiać. Pierwsza dogadała się z nimi znająca świetnie angielski ciocia Sara. Węgrzy mieli jeszcze trochę rzeczy, które chcieli wymienić na chleb. Jeden pokazał przez druty gruby plasterek zaszuszonego na kamień salami i ciocia Sara przyleciała z tą wiadomością do Mirki.

- Kupmy to salami do spótki - zaproponowała - Boże, jak bym je chociaż powąchała!

- Oszalałaś? - dowiadywała się dziewczyna - Jaki chleb, masz za dużo chleba? Bo ja mam tylko wieczorną porcję.

- Ja też. Może nam odda, jest chyba bardzo głodny.

- To dlaczego nie zeżre tego salami?

- Bo jest twarde, a on nie ma zębów. Chodź szybko, bo kto inny kupi.

- Ale po co, nie najemy się we trzy plasterkiem salami.

- Przecież nie chcę go jeść. Tylko powąchać, a potem sprzedamy.

486

- Komu?!

- Stefanowi.

- Myślisz?

- Słuchaj, kto nie ryzykuje...zobaczysz, że zarobimy.

Mirka spojrzała na siostrę.

- Ajka, to jest też twój chleb. Jak uważasz?

- A co to jest salami?

- Kiełbasa. Nieważne, chcemy pohandlować. No?

Ajka bardzo się bała. Jeżeli nikt nie kupi tego czegoś, czego było, jak wynikało z rozmowy, bardzo mało,

to chleb przypadnie. Ale z drugiej strony, Stefan ciągle ryzykował i powodziło mu się dobrze. Zresztą Ajka miała nieograniczone zaufanie i do Mirki i do Sary.

- No, róbcie^ak chcecie, ja się zgadzam.

Patrzyła potem, jak Mirka i Sara zbliżają się do drutów, jak Sara coś tłumaczy tamtemu więźniowi, jak wymieniają coś przez ogrodzenie. Patrzyła, jak Mirka biegiem pędzi do męskiego baraku, wraca, znowu podchodzi do drutów, znowu się wymienia, znowu biegnie do męskiego baraku...

Trzy razy tak wracała, a potem obie z Sarą podeszły do Ajki.

- Nie uwierzysz - śmiała się Mirka tak radośnie, jakby nagle uciekli wszyscy Niemcy. - Nie uwierzysz. Ciociu, pokaż jej.

- Nie tutaj i w ogóle zmarzłam. Chodźmy do baraku.

W baraku Sara położyła na pryczy zawiniątko i Ajce o mało oczy nie wyszły z orbit. Zamiast trzech kromek chleba na kocu pojawiło się siedem - Ajka liczyła je kilka razy, bo nie wierzyła w to, co widzi, a więc siedem kawałków chleba i jeden plasterek salami!

- Jak...jak to zrobiłyście?!

- Gdyby Stefan nie leżał z gorączką, nigdy by nie wypuścił takiego złotego interesu z rąk - opowiadała Mirka. - Postępuj tylko: za pierwszym razem zamieniłyśmy nasze

487

trzy kromki-na jeden plasterek salami. Za ten jeden plasterek Stefan, zachwycony takim towarem, zapłacił mi aż dwa razy tyle, czyli sześć kromek. Pobiegłam z tym do drutów, tamten więzień zawołał kolegę, który też się chciał zamienić, nawet dwóch kolegów. Sprzedali nam za te sześć kromek dwa plasterki, a Stefan dał mi za te dwa dziesięć kromek, powinien był dać dwanaście, ale nie miał. No, czekaj. Z tych dziesięciu kromek oddałyśmy Węgrom trzy za jeden plasterek, bo oni już też więcej nie mieli. I popatrz, zostało nam siedem kromek chleba i cały plasterek salami. Pycha, co?

Mirka później już nigdy nie zrobiła takiego wspaniałego interesu, ale tym chwaliła się przed całym obozem i wszystkim znajomym już na wolności. Sprawa salami stała się przysłowiowa, była dowodem zaradności Mirki i jej zdolności handlowych, niestety nigdy później nie potwierdzonych. Zaufanie Ajki do wszelkich poczynań siostry jeszcze wzrosło, a cudowny smak chleba z kawałeczkiem węgierskiej wędliny mogła przypomnieć sobie w każdej chwili. Tego dnia prawie nie była głodna i spała cudownie. Polubiła też Węgrów, chociaż w czasie swego pobytu w Budapeszcie nie umiała po angielsku sensownie zreferować tej całej afery. Co gorsze, młody człowiek, z którym rozmawiała, uważał ją chyba za sklerotyczkę, która opowiada niestworzone rzeczy. Ale Ajka wiedziała swoje i uważała, że żaden amerykański biznesmen nigdy nie zawarł lepszej transakcji niż Mirka.

bj - oj iv tiApj 'liatofe • ł" "i ńdr,

'Jv ujl :s>h ■ y-. •• o ,/■ >iw c . >j eiwia w ">!n o<! \

.tbiarso rn as .««;?;. ribf, jowbiansn .bc.i

-ob .isishi.nt isiseim ci^d©j .tsdik >M .oft." i ust i bo os

Rozdział LV

q veq sjeai uml .3(fcfera oi? c.^ilyJ .ipmateią osojłn ob . :a aoie si/wi eo.q ijyióJji .słruSą pni. 3jmuirs. JbL
^iodsasiilbł Stała się bardzo przykrą rzeczą i doprawdy, tak mi żal i Brysia i Mirki, która płakała w telefon
dobre pół godziny. Otóż głupi pies poleciał za jakąś suką i wpadł pod tramwaj. Nawet nie chcę sobie
wyobrażać, co z niego zostało. Mirka oczywiście to widziała, była z nim na spacerze i spuściła go ze
smyczy, tam jest taki placik, a do tramwaju trzeba iść kawałek drogi, ale co to jest dla psa. Pobiegł jak na
wyścigach. Mii-ka wini siebie, mówi że w ogóle nie powinna go była odczepiać, że zwykle tego nie robi,
ale była taka ładna pogoda, pies się wyrwał do przodu, ona nie nadążyła.. Co tu dużo mówić, był pies,
nie ma psa, bardzo to smutne. Lubiłam tego Bysia, tak zabawnie merdał ogonem i szczyrzył zęby jakby w
uśmiechu. Nawet mu kiedyś kupiłam specjalną miskę do wody, taką białą, podobno z czegoś, co się nie
tłucze. Miska stała w pokoju na kawałku wykładziny, ale i tak, kiedy Bryś pił, to mu potem resztki wody
skąpywały z pyska na podłogę, robiły się białe plamy na parkiecie, a Mirka musiała to zapastowywać. Czy
tak się mówi „zapastowywać”? Nieważne, sto razy jej radziłam, żeby tę miskę przeniosła do korytarza,
tam nie ma drewnianego parkietu, tylko takie zielone płytki. Mirka przyznawała mi rację, ale miski nie
przesuwała. Teraz ją pewnie wyrzuci. Nawet jej poradziłam, może głupio, żeby poszła do schroniska i
wzięła innego pieska, ale tylko dowiedziałam się, że jestem bez serca i nie chodzi w ogóle o psa, tylko o
TEGO psa, o Brysia. No cóż, Brysia już nie

em

489

ma. Szkoda, naprawdę, mam nadzieję, że nie cierpiał, że go od razu zabiło. Motorniczy, to była zresztą
kobieta, dostała ataku hysterii, nie mogła podobno dalej prowadzić, ktoś przyjechał, żeby ją zastąpić. Ale
Mirka mówi, że nie ma do nikogo pretensji, tylko do siebie. Inni mają psy po kilkanaście lat, znam jedną
panią, której pies teraz skończył siedemnaście, a Mirka miała Brysia tak krótko.

Kiedyś zastanawialiśmy się, czy psy mają duszę. Jeśli mają, to Bryś miał na pewno i duszę, i rozum.
Właściwie sam sobie wybrał Mirkę, a potem jej pilnował, szczekał, gdy ktoś był pod drzwiami, a raz
przyniósł swoją kość-za-bawkę i położył Mirce na spódnicy, jakby ją chciał poczęstować. Biedny pies... tak
głupio skończył. Mirka rozpacza, kto by pomyślał, że tak pokocha jakiegokolwiek zwierzę, mnie nigdy nie
chciała kupić nawet kanarka, mówiła że to okropny kłopot, bo nie wiadomo co zrobić z wakacjami.
Rzeczywiście, nie miałyśmy żadnej rodziny, której mogłybyśmy podrzucić zwierzątko. Teraz, to co innego,
Brysia Mirka mogła zostawiać mnie albo Szymkowi. Takie miałyśmy plany, nawet z góry się godziłam, a
tu... Wątpię, czy uda mi się namówić Mirkę na innego psa.

A może ja bym się zdecydowała? No nie, jesteśmy już właściwie obie za stare, z psem trzeba wychodzić
na spacer, do weterynarza, trzeba go wychowywać, możemy nie zdążyć. Nie, to już nie dla mnie i nie dla

Mirki. Trudno.

Szymek podobno od razu przyjechał, zabrał Brysia i nie wiem, co z nim zrobił, pewnie pochował gdzieś w lesie, to okropne. Chciałam iść do Mirki, ale mi zabroniła.

- Wyglądam jak nieboskie stworzenie - wychrypiła - i nie mam do nikogo sił.
- No wiesz, widziałam cię już w gorszym stanie.
- Daj spokój, nie gniewaj się, ale muszę to jakoś sama...
- Dałabym ci herbaty, może byśmy coś chlapnęły...

490

Nie, Mirka nie dała się namówić. Na dodatek wieczorem zadzwonił Szymek i bardzo mnie zaniepokoił.

- Ciociu - powiedział, raz nazywa mnie ciocią, a raz mówi po prostu „Ajka”, Mirka mu na to zwracała kiedyś uwagę, ale mnie jest zupełnie wszystko jedno. - Ciociu, zatelefonowałam do tego całego Gabriela, ostatecznie zabranie psa z Ciechocinka to była chyba jego inicjatywa i powinien się zainteresować. Wiedziałem, że mama do nikogo nie będzie dzwonić, ale pomyślałem...No, jednym słowem, mówię mu co się stało. Owszem, przejął się, powiedział „biedny pies”, ale nawet nie zaproponował, że pójdzie do mamy.
- Może pójdzie bez propozycji? Nie musiał ci się opowiadać.
- Kiedy właśnie... Zaraz, jak on to ujął... Powiedział, żebym złożył kochanej Marysi wyrazy współczucia. Jakby sam nie mógł tego zrobić.
- Nie rozumiem. Pokłócili się?
- Nic o tym nie wiem.
- Może źle zrozumiałeś?
- Może. Ale miał coś takiego w głosie... jakąś rezerwę. Skończył szybko rozmowę, nie zapytał, co u mnie słychać. Zawsze pytał.
- Może się przejął Brysiem?
- Nie wiem. Ajka, wyciągnij z mamy...dowiedz się, może go ostatecznie odpaliła. Bo tak to wyglądało... Ja za nim specjalnie nie przepadam, ale myślałem, że mama ułoży sobie z nim jakieś życie. Szkoda by było. Sam nie wiem. Bardzo się martwię, mama opłakuje psa, a jeszcze i to... Wiesz jaka ona jest. Jak ten przysłowiowy dzban, który nosi wodę, nosi, a w pewnym momencie urywa mu się ucho. Pogadaj z nią, bo mnie powie, żebym się nie wtrącał.
- Mnie też.

- Ale spróbuj.

491

No i mam w perspektywie wyciąganie od Mirki zwierzeń. Chociaż zaraz, nie, Szymek się chyba myli, przecież Mirka powiedziała mi, żebym dzisiaj nie przychodziła, ale żebym wpadła pojutrze na kolację i że Gabriel też będzie; i ma przynieść jakąś rewelacyjną sałatkę z baru na placu Bankowym. To znaczy, że się nie pokłócili. Szymkowi musi się wydawać. Daj Boże. Cały czas widzę Brysia jak pędzi, ogon mu powiewa, taka ładna była dziś pogoda, nawet przed telefonem od Mirki przypomniała mi się ta obozowa wycieczka do lasu. Fakt, że wtedy widziałam Mirkę płaczącą bardziej niż dziś z powodu Brysia. Kiedy wróciliśmy, była zupełnie spuchnięta.

-Biwoąo sle la IstBum Vj|3Yxoqoiq śaś "Hxbr»q 3^01/

* * *

Już od pewnego czasu w obozie coś się zmieniało. Befsztyk wrzeszczał jakby rzadziej, apele nie były takie częste. W „tramwaju" było weselej, gazeta donosiła o klęskach wojsk niemieckich, więźniowie zaczęli mieć nadzieję, że to się kiedyś skończy. Jeden z Niemców gdzieś zniknął, na jego miejsce przyszedł ktoś o wiele starszy, kto nie wrzeszczał i nawet miał w oczach coś...

- Zobacz, Mirka, przyjrzyj mu się - mówiła Ajka - patrzy na nas, jakby mu było żal.
- Żal mu, że jeszcze żyjemy. Nie patrz na niego, bo jeszcze dostaniesz po łbie. Z takim, to jak z głównym, trzeba obchodzić z daleka.

No i właśnie pewnego dnia, wczesną wiosną, ten Niemiec zebrał grupkę dzieci, które przycupnęły na słońcu. Mirka akurat była w baraku i nie widziała, jak ten oficer kazał ustawić się trójkami - śmieszne, bo dzieci było tylko sześcioro - i wyprowadził te dwie trójki z obozu. Ajka oczywiście od razu posłuchała, nawet jej nie wpadło do głowy, że mogłaby kogoś poprosić o zawiadomienie Mirki. Stanęła razem z Melą i Krysią, nawet wzięły się za ręce i pomasze-

492

rowały za zielonym mundurem.

- Do gazu, czy nas rozstrzela? - zapytała przerażonym szeptem Krysia.
- Może nie - odszepnęła Ajka, która jakoś nie podejrzewała akurat tego Niemca o złe zamiary.
- To po co nas zabrał?

To była zagadka. Dzieci poszły prosto, szły między drutami, potem druty się skończyły, dalej były jakieś budki strażnicze, zabudowania, a potem...a potem zaczął się las. Prawdziwy las, z drzewami, z zieleniącą się, nikłą jeszcze trawą, z przebijającymi spod mchu kwiatami.

- Popatrz, kwiaty! - Ajka zawołała to na cały głos, a Niemiec odwrócił głowę i, po prostu nie do

wiary, jakby się uśmiechnął? /

- Prawdziwe kwiaty - zachwycała się Mela. Tak, rzeczywiście to były najprawdziwsze kwiaty, nawet pachniały, miały jakby fioletowe płatki i jasnozielone listki. Ajka bardzo chciała zerwać chociaż jeden i zanieść go Mirce, to byłby wspaniały prezent, ale bała się Niemca. Poza tym w gruncie rzeczy nie była zupełnie pewna czy w ogóle wróci do obozu, może Kryisia ma rację, może on chce je tu zastrzelić, może władze obozowe wydały rozkaz, żeby pozbyć się dzieci?

Niemiec zauważył ruch dziewczynki.

- Weź - powiedział, ku zdumieniu dzieci, po polsku - ty weź das kwiat. Dla mamy. Masz mama? W obóz?

- Mam siostrę.

- A, tak. Gut. Mama gdzie?

- Moją mamę - zaczęła wojowniczo Ajka - to wyście...

Mela boleśnie uszczypnęła koleżankę w pupę. Jeszcze

tego brakowało, żeby ta idiotka pyskowała Niemcowi. Bohaterka się znalazła, jak się wścieknie, to mu przejdzie ochota do pogaduszek. Ajka dobrze zrozumiała intencje Melanii.

493

- Mama umarła. Nie żyje.

- No tak, jaaa... Popatrzcie sobie na natura. Drzewa, tak? Las. A potem my do obozu. Do siostra.

I, nie do wiary, Niemiec sobie poszedł, znikł za drzewami. Dzieci zostały same, Kiysia od razu krzyknęła:

- Zwiewamy! Chodu! Już nas tu nie ma!

- Ty się puknij w głupi łeb - powiedział jeden z trzech zabranych do lasu chłopców - gdzie chcesz lecieć? Przecież jesteśmy w Niemczech. Oszalałaś?

- A co powiedziałaaby mama? Umarłaby, jakbym nie wróciła - dodała Mela - ty nikogo tam nie masz, aleja i Ajka. .. Natan ma rację.

- Zresztą od razu by nas złapali - dodał Natan.

Cała dyskusja, jak się w tej chwili okazało, w ogóle nie miała sensu, bo Niemiec wyszedł spoza drzew, chyba po prostu robił siusiu, a dzieci cały czas miał na oku.

- Idziemy z powrotem - oznajmił - no!

Ajka, która została w tyle, zobaczyła na ziemi coś różowego, jakiś kawałek papieru i na wszelki wypadek

schowała go pod gumkę u spódnicy. Może się przyda, papieru w obozie nie było, a na tym może da się coś napisać. Mirka na pewno będzie zadowolona. Niemiec nagle przystanął, jakby sobie coś przypomniął. Wyciągnął z kieszeni zawinięte w papier cztery kromki białego chleba. Były złożone po dwie, między nimi był żółty ser.

Ajka patrzyła, jak Niemiec przełamuje kromki, sobie zostawia jedną z nich, a każdemu dziecku wręcza po połówce.

- Na, esst. Jeść.

Chleb był wspaniały, chociaż Ajka poczuła się jak że-braczka i właściwie miała świadomość, że nie powinna nic od wroga przyjmować, że to ją poniża, że powinna rzucić mu ten chleb w twarz i powiedzieć, co myśli o mordercach, zbirach i bandytach, którzy zamordowali jej rodzinę, trzy-

494

mają Mirkę w tym parszywym obozie, że jedna zafajdana wycieczka do lasu i te pół kromki chleba, to nie jest odpowiednia rekompensata za wszystko, co ludzi spotyka.

Ale nic nie powiedziała, a chleb zjadła do ostatniego okruszka. Nie uśmiechało jej się męczeństwo i śmierć, bo była pewna, że Niemiec, chociaż niby dobry, czegoś takiego by jej nie darował. Jadła ten chleb i nawet nie był jej gorzki, jadła i patrzyła spode łba na Niemca, który bardzo zadowolony z siebie zapalił papierosa.

Ajka ścisnęła w ręce kwiatek, różowa kartka drapała ją w gołe ciało, teraz już spokojniej przyglądała się krajobrazowi, Niemiec na pewno nie zamierzał jej zabijać. Daleko, za linią drzew, stały domki, Ajka zauważyła ludzi idących dróżką, jakieś niemieckie dzieci biegły z czymś na plecach, może to były tornistry, może te dzieci po prostu wracały ze szkoły. Jakaś kobieta goniła krowę, krowa muczała, z kominów snuł się zwyczajny dym. Gdzieś daleko zaszczekał pies, niczym to się nie różniło od szczekania polskich psów. Świat za drutami był nierealny. Ajce pomyślało się mściwie, że niedługo przestanie tu być tak sielsko, że kiedy bomby polecą, ludzie przestaną się śmiać i też poczują, że jest wojna. Chociaż co jest winien ten pies, czemu ma cierpieć ta krowa? A nawet, przyznała Ajka, chociaż takie myślenie przychodziło jej z trudem, może niewinni są też ci ludzie, ta chłopka, która dogoniła wreszcie krowę, te dzieci, które może nawet nie należą do Hitlerjugend?

Wreszcie piękne widoki się skończyły. Na spotkanie dzieci wracających z Niemcem pół obozu rzuciło się do bramy. Mirka, potargana, zapuchnięta od płaczu, o mało nie udusiła Ajki w uścisku.

- Boże, myślałyśmy, że was zabrali... że do gazu... Że już nigdy...

Płakała Mirka, płakała matka Meli, płakały rodziny chłopców, ojciec Natana leżał na pryczy z atakiem serca.

495

- On nas tylko zabrał do lasu - mówiła Ajka.

- Dał nam chleb.
- To jakiś dobry Niemiec - tłumaczył ojcu przerażony Natan.
- A to dla ciebie...

Mirka jakby uśmiechnęła się na widok pogniecionego trochę kwiatka, a kiedy oprzytomniała, obejrzała różową kartkę i o mało nie zemdląta.

- Ty smężna idiotko, jak mogłaś! Gdyby zobaczył co podniosłaś, co przy taszczy łaś, zabiłby was wszystkich!
- Ale dlaczego, co to jest?!

Była to ulotka zrzucona w czasie jednego ze zdarzających się już teraz nalotów. Wzywała Niemców do poddania się, Ajka w końcu nie wiedziała dokładnie, co w niej było. Mirka w pierwszym odruchu chciała ją wrzucić do piecyka, ale potem jednak zaniósła ją do męskiego baraku. Będzie świetnym materiałem do następnego „tramwaju”, a pan Dawid ryzykował już tyle, że jedna ulotka nie stanowiła problemu. Na wszelki wypadek Mirka powiedziała, że znalazła ją na terenie obozu.

- I żebyś nigdy, przenigdy nie przyznała się, że ją przywlokłaś z lasu - uprzedziła Ajkę.

No i dobrze, ale jednak dziewczynka lepiej się poczuła. Nie powiedziała Niemcowi, co myśli, zjadła jego chleb, ale coś jednak zrobiła. Uważała, że może się uznać w pewnej mierze za konspiratorkę. Przecież narażała życie.

Rozdział LVI

No więc jednak! Przyjeżdżają! Lusią z moją wnuczką, z moją kochaną Micią! Przyznam się, że po starciach z Jakubem bałam się, że nie wypuści Lusi, że nie pozwoli jej przyjechać, a jednak! Może on nie jest taki okropny jak mi się wydaje. Grnnt, że je zobaczę! Mój Boże!

Trzeba kupić parę rzeczy, może nawet składane łóżko, bo to stare się sypie, Micia już za jest duża, nie zmieszczą się razem na moim tapczanie. Jak to dobrze, że mam tę leżankę w dużym pokoju, oddam im sypialnię, może kupić nowy telewizor? No nie, to przesada. Ale talerze muszę kupić, wstyd, stare są wyszczerbione i jakieś zabawki dla Mi-ci, lalkę, może wózek dla lalki? Misia? Widziałam śliczne kangurki z małymi w torbie, pójdę i kupię.

Listonosz przyniósł list aż na górę, dobry chłopak, wiedział, że czekam, dałam mu z tej radości trochę za dużo, nieważne. Serce mi biło, kiedy rozcinałam kopertę, no, ale przyjeżdżają.

„Kochana Mamo!

Miło mi napisać, że zdecydowałam się przyjechać do Ciebie z Micią. Jak słusznie przewidywałaś, Jakub nie ma na razie urlopu, a potem będzie rzeczywiście wołał jechać gdzie indziej. Są różne ku temu powody, nie tylko to, że trudno wam się zgodzić. On ma przykre skojarzenia... zresztą wiesz o tym. Aleja owszem, bardzo chętnie Cię zoba-

czę, a także ciocię Miriam, Szymona, Justynkę i nawet tę egzaltowaną Asię. Micia troszkę już mówi po polsku, a na końcu listu załączam ci fonetycznie napisane hebrajskie słowa, które będą najpotrzebniejsze. Wypisz je sobie wielkimi literami i powieś na szafie, same ci wejdą do głowy, zobaczysz. Zresztą przecieżja zawsze mogę tłumaczyć. Kochana Mamusiu, bardzo już za Tobą tęsknię. Przyrzekam, że będę punktualna, że nie będziesz musiała na mnie czekać, ani się niepokoić, zresztą po to przyjeżdżam, żeby być z Tobą.

Jeśli Szymek może nas oczekiwać na lotnisku, to bardzo dobrze, jeśli nie, to wezmę taxi, ty nie przychodź tam, bo wiem, że przyszłabyś godzinę wcześniej i zmordowałabyś się jak pies.

No to do zobaczenia, jak co, to zadzwoń. A może Szym-kom, czy ciotce coś jest potrzebne? Może to samo lekarstwo, które kupowałaś?

Do zobaczenia, Lusia. To tłuste obok to pocałunek Mici."

Wspaniały list, nareszcie czuję, że żyję, że mam po co żyć, nie tylko po to, żeby snuć się po pokoju i przypominać sobie te makabry wojenne. Teraz, kiedy przyjeżdża Lusia, wszystko nabrało sensu, budzę się i wiem, że jestem komuś potrzebna, że ktoś mnie kocha, tęskni za mną, specjalnie przyjeżdża do mnie z końca świata. Nie razi mnie już tak milczący telefon, milczący dzwonek u drzwi, cisza w mieszkaniu. Wiem, że to już niedługo, że potem przez całe dwa tygodnie będzie tu wesoło, znów Lusia będzie ze mną oglądała telewizję, znowu będziemy się razem śmiały. A Micia! Micia będzie mówić do mnie „babciu”, będzie się do mnie przytulać, będzie mnie lubiła. Jak inaczej będzie wyglądał pokój, w którym ustawię zabawki, kangurka tu, wózeczek obok kaloryfera. Lusia zwykle rozrzuca swoje

/

rzeczy, kiedyś się o to gniewałam, a teraz, mój Boże, chętnie zobaczę jej bluzki i spódnice rozwieszane na krzesłach, jej pantofle pod tapczanem, odkręconą szminkę w łazience.

Życie doprawdy ma sens. Jak to dobrze, że mam oszczędności, że trochę udało mi się dorobić, mogę je nawet zaprosić raz, czy dwa do restauracji, chociaż kto wie, może Lusia jest spragniona domowej kuchni?

Teraz wiem, dla kogo będę gotować, obejdę wszystkie targi w Warszawie, muszę dostać całą gęś, muszę zrobić Lusi tę wspaniałą gęsią szyję, o której tyle opowiadała Mirka. Mnie też się coś snuje po głowie, pamiętam jak przez mgłę Chaninę, która przecież byłaby moją teściową, gdyby nie zginęła. Jśzmulek mi nieraz opowiadał o matce, a Mirka pamięta i ją, i przepis na tę szyję. Tyle że to jest bardzo tłuste, ale raz kozie śmierć. Budzę się rano i aż chce mi się żyć, doprawdy, coś niesamowitego, chce mi się żyć, jestem pełna zapału i energii, Lusia przylatuje, życie nabrało barw. A już myślałam, już się bałam, że nigdy jej nie zobaczę, że Jakub się obraził, takie różne myśli przychodziły mi do głowy, doprawdy, powinnam się wstydzić, przecież nawet, jakby Jakub miał coś przeciwko temu, to Lusia by przyjechała. Tyle, że może bez Mici. Ale będą tu obie!!! Chyba zamówię sprzątaczkę, okna wyglądają tragicznie, trzeba je umyć, a sama

już nie dam rady. Muszę zadzwonić do pani Urszuli, ciekawe czy jeszcze przychodzi sprzątać, no i ile mi zaśpiewa. Trudno, niech będzie!

Dawno już się tak nie cieszyłam, Mirka, chociaż ciągle jeszcze przygaszona po wypadku Brysia, też powiedziała, że się cieszy, ale ku mojej uldze już nie proponowała, żeby Lusja mieszkała u niej. No i bardzo dobrze. Trochę się, prawdę mówiąc, o nią niepokoję, taka jest rozbita po śmierci Brysia jakby to był człowiek, a nie, koniec końców, pies. Szymek też powiedział, że Mirka już przesadza, że

499

prawie wcale nie wychodzi. Kiedy byłam u niej na kolacji, zauważyłam, że kupiła byle co, nie o to chodzi, że mi nie smakowało, ale o to, że ona zawsze tak się starała, a tu nagle jakby sobie odpuściła. Na dodatek Gabriel w ostatniej chwili zadzwonił, że nie może przyjść, bo ma bardzo cierpiącego pacjenta i musi mu coś tam robić. Nie rozumiem, mógł się przecież spóźnić, ile czasu siedzi pacjent? A poza tym Gabriel nie przyjmuje w soboty. Nawet zapytałam, co Mirka o tym myśli, ale ona powiedziała, że wcale nie myśli, że nie ma siły na myślenie, a Gabriel może dla niej wyrwać pacjentowi nawet całą szczękę. Zjadłyśmy tę niedobrą sałatkę, chyba Mirka zapomniała dodać do niej majonezu, wołałam już nic nie mówić. Z Mirką czasem trudno się dogadać. Nie lubię, kiedy taka jest, przypomina mi się ten ostatni okres w obozie...

* * *

Plotka goniła za plotką, wiadomo było, że Niemcy przegrywają wojnę, ale wiadomo też było, że więźniowie mogą tego końca nie dożyć.

- Mirka - zapytała pewnego dnia Ajka - co z nami będzie?
- A niby skąd ja mam wiedzieć - odpowiedziała jakimś dziwnym głosem siostra - uważasz, że jestem jasnowidzem?

Ajka okropnie się zmartwiła, Mirka ją zwykle pocieszała, a tu nagle...

- Ale jak myślisz?
- Nie myślę. Dosyć się namyślałam. Od czasu, kiedy mamę zabili, tylko ja muszę myśleć i troszczyć się o wszystko, sama bym chciała, żeby raz mnie ktoś pocieszył. Daj mi spokój, idź do kogo innego, do cioci Sary, do Meli, do pana Stefana, do...

500

(

Ajka słuchała tego przerażona.

- Co ty mówisz, do jakiego pana Stefana?!
- Do jakiego, do tego, z którym handlowałam salami, nie pamiętasz? Może on się tobą zaopiekuje, ja mam dosyć, przyczepiłaś się do mnie jak plastelina, ja też żyję, idź sobie!

To było po prostu niewiarygodne, Ajka pobiegła po Sarę.

- Tyfus plamisty - orzekła - Mirka ma okropną gorączkę, nie widzisz? I plamy.
- Przecież już miała tyfus.
- Brzuszny. Ten jest inny. Przenoszą go wszy.

W obozie oczywiście wszyscy mieli wszy, Ajka co wieczór z obrzydzeniem starała się oczyścić z nich ubranie, Mirka robiła to sami, ale skutek był mizerny. Włosy miały obie obcięte na języka, ale jednak i w tych króciutkich włosach były gnidy. Nie można było się tego ustrzec, nie było gdzie i jak prać, nie można się było porządnie umyć, dziewczęta używały do mycia namiastki wieczornej kawy, co zresztą było surowo zabronione i z czym trzeba się było kryć. A teraz, akurat teraz, kiedy zaczęła świtać jakaś nadzieja, Mirka tak strasznie zachorowała.

Ajka całą noc siedziała przy siostrze, trzymała jej rękę na czole, wiedziała, że dziewczyna bredzi, ale jednak jej słowa sprawiały ból.

- Zawsze ja - szeptała Mirka - tylko ja. Wszystko ja. Zupę jej dolewałam, chleb dzieliłam nierówno. Wszystko dla Ajki. Bo mama patrzy i kiedyś zapyta „starcze, gdzie są twoje dziatki" czy jak to tam było? Tracę wszystkich. Mamę i tatę. A Józek? Chaim, pomóż mi... Ja już nie mogę, nie chcę być ojcem zadzumionych. Co mam ci jeszcze oddać, Ajka? Dlaczego muszę cię kochać? Nie będę, teraz ja, teraz ja. Ten kawałek salami, ja też chcę, ale nie. Tylko Ajka. Ajka...
- Nie przejmuj się - pocieszała dziewczynkę ciocia Sara.

501

- Ona tak nie myśli. Oby tylko wyzdrowiała, zapomni, że kiedyś takie rzeczy mówiła.
- Ale czy wyzdrowieje? Ciociu?

Tego nikt nie wiedział, Mirka leżała, w pewnym momencie nawet przestała bredzić. Ajka była niepoczyszona, bała się o siostrę, a jednocześnie nie mogła zapomnieć jej słów. Prawdę mówiąc, pamiętała je przez całe życie i czasem wątpiła w miłość siostry. Ile w niej było zwyczajnego poczucia obowiązku?

Sara zdobyła gdzieś szmatkę, moczyła ją w wodzie i przykładała Mirce do czoła.

- Jak się ociepli - uczyła Ajkę - to zakręć nią parę razy w powietrzu, tak, żeby furkotała, wtedy znowu się oziębi. I przykładaj Mireczce do czoła. To jej sprawi ulgę, zobaczysz.

Z męskiego baraku przybiegł pan Stefan, przyniósł kupioną od Niemca za jakieś resztki złota ćwiartkę jabłka.

- Masz, daj jej po plastereczku, to Mirce dobrze zrobi.

- Kiedy nie mam czym zapłacić.
- Myszuge, wariatka - zdenerwował się handlarz - a kto chce czegoś od ciebie, czy ja proszę o zapłatę? Daję ci, to znaczy Mirce, taka wspaniała dziewczyna i akurat teraz, akurat teraz umiera..
- Nie umiera!!!
- No dobrze, czy ja coś mówiłem? Dawaj jej po plastereczku. A jakby nie mogła, to weź i zetrzyj.
- Co pan, na czym?
- Masz, Kopel to zrobił.

Stefan podał Ajce jakieś wieczko od puszki podziurkowane gwoździem. Po jednej stronie miało kilkanaście otworków, po drugiej było szorstkie i wyglądało rzeczywiście jak tarka. Ajce stanęła przed oczami kuchnia w getcie i matka, trąca jakieś ziemniaki. Spróbowała,

502

rzeczywiście, jabłko się tarło. Ajka wzięła trochę masy na palec i przytknęła siostrze do warg. Mirka cmoknęła, jabłko znikło.

- Zjadła!
- No widzisz. Ale tarkę mi potem oddasz.

Mirce wydawało się, że jest w sadzie, była kiedyś w dzieciństwie u koleżanki, której ojciec miał jabłonie i grusze. Pachniało tam opadłymi jabłkami, tak samo jak w tej chwili. Otworzyła oczy, nie, to nie był sad, ale zapach jabłka nie zniknął.

- Ajuniu - powiedziała, odzyskując na chwilę przytomność - co to jest?!
- Pan Stefan przyniósł ci jabłko, moja kochana, już nie bredzisz? Będziesz zdrowa, ciociu, ciociu! Mirka jest przytomna.
- Boże, jaki boski smak... Ale ty też jadłaś?
- Jadłam - skłamała Ajka - oczywiście. Masz, jeszcze trochę jest.
- Wspaniałe - zachwycała się Mirka i utkwiała bardzo błyszczące oczy w twarzy siostry - cudowne. Mówiłam, że najlepiej spędzić wakacje u Bożenki, a mama nie chciała, widzisz, mamo, jak tu jest dobrze, nie masz się o co bać, nie pójdziemy same nad Wisłę. Jak Ajunia urośnie, to też tu ze mną przyjedzie, a Józio miałby tu kolegę, Bożenka ma brata. Leszek jest fajny, ale się nie gniewaj, że on zna brzydkie słowa, tata go złał i kazał umyć usta mydłem, śmieszne, piana szła mu z pyska, a jutro jedziemy do lasu. Chaim z nami pojedzie, nie, Chaim nie żyje, nikt nie żyje, jest tylko sad, może to niebo? Ajuniu, jesteśmy w niebie, w niebie pachnie jabłkami. W niebie, w niebie pachnie jabłkami. Mamo, w niebie, jak jest w niebie? Czym pachnie w niebie, Józiu, tato? Jabłkami?

Mirka mówiła coraz ciszej, w końcu zamilkła i zamknęła oczy. Ajka z płaczem pobiegła po Sarę.

503

- Nie, nie umarła, znowu jest nieprzytomna - orzekła przyjaciółka - zjadła to jabłko?
- Wszystko, nawet wyskrobałam reszteciki z ząbków tarki.
- A sama spróbowałaś?
- Nie, skąd! Ale ciociu, jak myślisz, czyjej to pomoże? Te trochę jabłka?
- Nie wiem - pokręciła głową Sara. - Mój Boże, naprawdę nie wiem. Odniesz Stefanowi tarkę, ja posiedzę przy Mirce.

Ajka poszła do męskiego baraku i czego się potem długo wstydziła, pomimo całego, okropnego zmartwienia, pomyślała o tym, żeby wylizać tarczkę i poczuła na języku smak tartego, świeżego owocu. Miała potem wyrzuty sumienia, przecież mogła dać tarkę do polizania siostrze.

To był wspaniały smak, ale Ajka już przez całe życie nie skosztowała żadnego jabłka, nienawidziła ich z całego serca.

Rozdział LVII

Stała się rzecz zupełnie niewiarygodna, okazało się, że ta idiotka Ruta ma lepiej w głowie niż ja. Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać, czuję się winna, ten bydlak odwiedzał Zosię u mnie, a ja byłam ślepa. Nie wiem, czym mnie ta zdzira oczarowała, jak mnie omotała i oszukała już drugi raz! Jeszcze mieli czelność przysłać nam zaproszenie na ślub! Wyczułam już jakiś czas temu, wyczułam, że Gabriel jest jakiś inny, Mirka w ogóle nie chciała na ten temat rozmawiać, ale kiedy nie przyszedł wtedy na kolację... Od razu jego tłumaczenie wydało mi się podejrzanym. Że też nie miał odwagi po prostu przyjść i powiedzieć Mirce. Nawet nie chcę myśleć o tym, że sama jest sobie winna, po co się wykręcała od odpowiedzi, czemu tak się wahała, Gabriel nie jest młodzieniaszkiem i nie ma czasu na czekanie. No nie, jeszcze brakowało, żebym tłumaczyła tego starego kretyna, mógłby być dziadkiem Zosi, jak mu nie wstyd! Ciekawe, co będzie z nią robił, dzia-dyga, z taką młodą kobietą, czy on nie rozumie, że poleciała tylko na jego pieniądze, na ten gabinet dentystyczny, na arystokratyczną klientelę, którą mu przysyła jego wredna siostra? No tak, teraz jest pewnie zadowolona, Zosia na pewno nie jest Żydówką, chociaż nie jestem pewna czy jej tatuś przypadnie do gustu dobrze urodzonym znajomym. Już sobie wyobrażam jak na weselu wypija litr wódki i rozstawia wszystkich po kątach, dobrze im tak.

505

Żał mi Mirki, udaje, że się tym nie przejmuje. Nieprawda, wiem że nieprawda. Na pewno tak czy siak, bez względu na swoją ostateczną decyzję, ceniła sobie zainteresowanie Gabriela, jego troskę, przyjaźń, jeśli już nawet nie nazywać tego miłością. Teraz została sama, Chaim wyjechał i nie wróci, sądzę, że w gruncie

rzeczy woli ustabilizowane życie w Stanach niż niby-romantyczny związek ze starą miłością. To były czyste mrzonki i zawracanie głowy, nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Ale Gabriel był realny dopóki nie zawróciła mu w głowie ta smarkata. Jak ona to zrobiła, kiedy? Mężczyźni nie mają za grosz rozumu, czy on myśli, że Zosia straciła głowę dla takiego starego dziada? Zapachniała mu... no, nie chcę być ordynarna.

Nie pójdziemy na ten ślub, niech sobie Zosia nosi białą suknię z welonem, nie wiem, czy wdowy noszą białe suknie? Jeszcze nawet nie minęła żałoba po Bodziu, jeszcze dobrze nie ostygł w swoim grobie, jak jej nie wstyd, prawdziwa harpia. I ja takie coś obskakiwałam, karmiłam, nawet lubiłam!

Zatelefonowałam do Mirki, nie chce rozmawiać, powiedziała, że wszystko jest nieważne, że nie ma czasu. Że musi coś załatwić, przygotować i że mnie całuje. Boję się o nią. Naprawdę niepokoję się o Mirkę. Jest jakaś dziwna. Za spokojna. Za rzeczowa. Co chce załatwić? Co ma zamiar zrobić?

* *

Ajka bardzo się bała, następnego dnia rano w obozie rozległy się krzyki, zaczął się jakiś niezwykły ruch, Niemcy wrzeszczeli. Ciocia Sara przybiegła i odciągnęła dziewczynkę od siostry.

- Mamy się zbierać i wychodzić - powiedziała - ewakuują obóz.
- Kiedy nie mogę, przecież Mirka nie wstanie!

506

- Chorzy tu zostają.
- Ja też zostanę.
- Dziecko, nie masz wyboru. Nie możesz zostać, wywloką cię.

Ajka stała, nie wiedziała co robić, świat się walił, jak to? Ma iść bez Mirki? Przecież to niemożliwe, nie do pomyślenia, tak nie może być, Mirka tu umrze!

Do baraku wpadł Befszytk.

- Raus!!!
- Idziemy!

Ciocia Sara siłą wyciągnęła Ajkę z baraku, siłą zaciągnęła do szeregu, to było jak zły sen, po chwili cała kolumna znalazła się na tej samej drodze, którą dzieci szły na pamiętną wycieczkę do lasu.

- Nie płacz - szeptała Sara - ja zastąpię ci siostrę, ja się tobą zaopiekuję, zawsze będę dla ciebie ciocią Sarą, po wojnie zamieszkamy razem, dopóki żyję masz kogoś bliskiego, nie płacz...

Ale Ajka wcale nie płakała. Szła drogą jak automat, nie widziała drzew, które już były zielone, nie czuła zmęczenia, nie zdziwiła się widokiem stacji kolejowej, nie czuła strachu, kiedy pociąg po długim czasie

wreszcie ruszył. Było jej wszystko jedno, nie chciała żyć, jak to możliwe, zostawiła Mirkę, chorą Mirkę, nieprzytomną, mającą, zostawiła ją na pewną śmierć...

Rozdział LVIII

Jestem bardzo niespokojna o Mirkę, już drugi dzień nie ma jej w domu, nikogo nie uprzedziła, nic nie powiedziała, nie zostawiła żadnej kartki. To do niej niepodobne. Szymon chce zawiadomić policję, może nagle straciła pamięć, może się gdzieś błąka... Mój Boże, ona piła!

Ostatnio miała tyle zmartwień, wszystko jej się wymknęło z rąk. Boję się, może...

Boję się. Boję się, przecież wiem... Ja też...

* * *

Pociąg stanął, Niemcy kazali nam wysiąść i ustawić się w szeregu, a potem pojechali gdzieś na rowerach. Słychać było strzały, na wysokiej skarpie ukazał się żołnierz w amerykańskim mundurze, zbiegał z tego wzniesienia, krzyczał, trudno go było zrozumieć, potem jego słowa dotarły do więźniów. Z przerażeniem patrzył na szkielety w łachmanach i wołał, wołał po żydowsku:

- Koniec, koniec, dla was wojna się skończyła, nie płaczcie! Jesteście wolni! Dlaczego płaczecie?!